



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

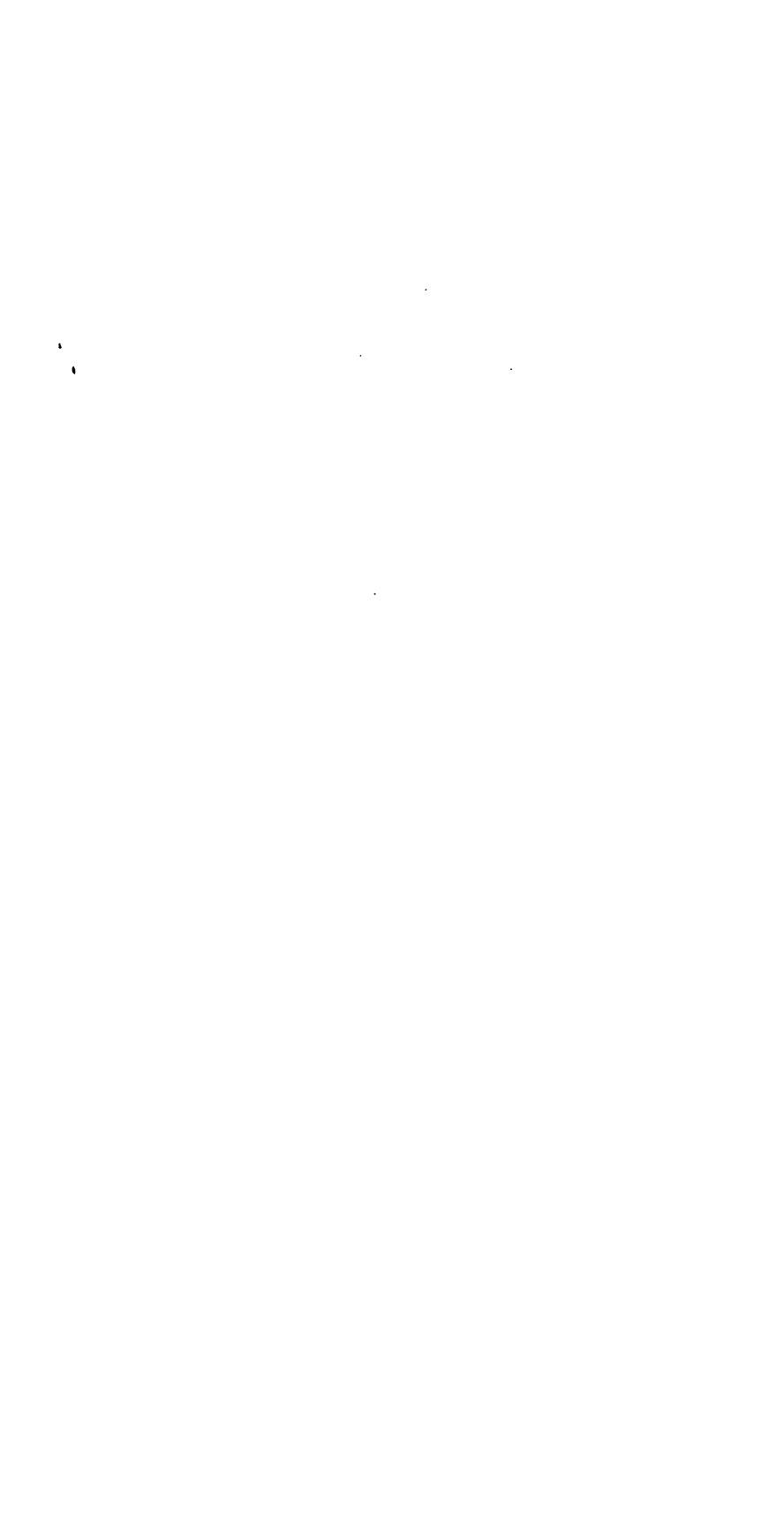
Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>





EX LIBRIS
W.O. BIERNACKI-PORAY





EX LIBRIS
W.D. BIERNACKI-PORAY







LISTY Z PODRÓŻY.



6



LISTY Z PODRÓŻY

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

(Z WARSZAWY DO RZYMU).

TOM I

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—
1875.

Дозволено Цензурою
Варшава 18 Септлбрл 1874.

DRUK J. BERGERA,
Warszawa, ul. Daniłowiczowska Nr 619.

PANI

Alexandrze i Chometowskich
BORKOWSKIEJ.

18

Pani była pierwszą pobudką do ogłoszenia tych listów, w piśmie wydawaném przez Panią. Poświęcając je Pani w tém osobném wydaniu, chciałbym tylko połączyć Jój imię z imionami tych najbliższych przyjaciół mojej młodości, do których je i o których pisałem; a razem złożyć Pani hold wdzięczności za przyjaźń, która mi zachód dni moich osładza.

Z USZANOWANIEM I PRZYJAŹNIĄ

A. E. Odyniec.

1875. Lutego 26.
WARSZAWA.



SŁÓWKO PRZEDWSTĘPNE.

Ja ztąd oczu nie stracę, i w tém będę stały,
Że chwalić nie omieszkam, co jest godno chwały.

J. Kochanowski.

Zabierając się do ogłoszenia w osobnej książce *Listów z podróży*, odbywaney przed czterdziestu pięciu laty przez Adama Mickiewicza i Antoniego Edwarda Odyńca, wydawca zwrócił uwagę, iż autor wprost przystępując do opowiadania wypadków, nie przygotowuje do nich czytelnika obrazem uczuć i stosunków, z których się owa podróż wywiązała i któremi od początku do końca była karmiona. Wskazuje się nam od razu mnóstwo klejnotów z uroczej świątyni serc młodocianych, której przedtém nie mogliśmy poznać w całości; której ołtarze nieubłagana ręka czasu następnie pokruszyła; której bogowie, uniesieni przy sercu czcicieli swoich, z nimi do grobu się pokładli; na której ściepieniach bluszcz już lub trawa porasta, a i ściany coraz głębiej osuwają się w ziemię. W po-

śród dostojnych zwalisk świątyni żywota wybrańców naszego społeczeństwa przed pięćdziesięciu i czterdziestu laty, snadno już zbłądzić nieświadomemu, a jeszcze snadniej zbłądzi późniejszy przychodzień, jak pośród gruzów i odłamków kolumn na milczącym cmentarzu wielkości świata greckiego. Zdało się tedy wydawcy książki i piszącemu te słowa, iż byłoby rzeczą w niej jakim względzie pożyteczną, dać chociażby najogólniejszy rzut oka na stosunki i uczucia, z których się podróz dwóch poetów po Europie wywinęła. Trochę téż znajomości miejsca, na którym roztaczała się istnie Teokrytowa sielanka miłości nauki i cnoty—trochę wieści serdecznej z owych czasów, dotąd niezagłuszonej wśród uroczych pagórków i dolin pochylonych ku zbiegowi Wilenki i Wili—trochę wieczornej rozmowy z ludźmi, którzy na owe stosunki z blizka patrzali, albo i sami uczestnikami ich byli,—składało się w myśli na zarys wizerunku i przemocą napraszało się pod pióro. Mniemaliśmy zaś, że skoro na starych obrazach, malowanych przez braciszków klasztornych, podziw, cześć i miłość przejmująca kierującego pędzlem, może do pewnego stopnia odbłaskami uczucia nagrodzić niedokładność rysunku i kolorytu, tedy i mającemu pisać o czasach Mickiewiczowskich uniwersytetu wileńskiego, wolno się łądzić nadzieją niejakiego powodzenia...

Przedewszystkiem uderza nas w tych czasach górnosc piastowanej idei. Co w sposób nieodpowiadający istocie rzeczy zwano wtedy „Romantycznością,” pewnym niby kierunkiem literackim, z romansu średnio-

wiecznego zrodzonym, a sprzecznym z istnie magdeburskimi *Ortylami* klassycyzmu francuzkiego i warszawskiego, to było nie samém tylko umiłowaniem pewnej formy poetyckiej, ściśle spokrewnionej z cudownością duchową, albo jak się ironicznie mówiło, z duchami i upiorami. Była to owszem i wiara religijna, i zobowiązanie względem przeszłości, i obyczaj w stosunkach ze współczesnymi, i hasło w szukaniu dróg przyszłości. Nie chodziło jedynie o to, żeby zamiast opiewać „Dafnę w drzewo bobkowe przemienioną,” pisać raczej o zakochanych w sobie bracie i siostrze, przemienionych w „bratki”; lecz szło od razu o całkowite odrodzenie się na duchu, którego jednym tylko i to podrzędniejszym przejawem miało być odnowienie formy poetyckiej. Jak w symbolicznym *Tukaju*, poczętym przez Mickiewicza, a prowadzonym dalej przez Odyńca, należało dla odmłodzenia pociąć na części starego człowieka i tajemniczym lekiem namaszczać jego członki: tak i w tém odmłodzeniu moralném, kuszone się poddać całego człowieka duchowego przeobrażeniu na lepsze—i rzeczywiście przeobrażenie się odbywało. Na miejsce lekceważenia albo nawet szyderstwa z wiary ojców, z przeszłości rodzinnej,—ze staroświeckiego obyczaju i miłości duchowej, na miejsce wszystkich owych czynników rozkładu, zasianych przez pisarzy materialistycznych XVIII stulecia, a lekkomyślnie przez nas z uwielbieniem przejętych, starano się postawić umocnienie w wierze, umiłowanie pamiątek rodzinnych, czystość i serdeczność stosunków, szlachetność i duchowość uczuć.

Już to jedno, że lud wiejski nie z krain auzońskich, ale z nad Niemna, Wilii i Bugu, uznano za przedmiot godny wystawiania w blasku postaci idealnych, kiedy do owój pory zwykle w dziełach sztuki krajowej występował w poczwarze opoja lub srogiego sołtysa, jak niewolnik lub wyzwoleniec w komedyi starożytniej, było ogromnym krokiem naprzód w zapatrywaniu się na stosunki społeczne. Już samo wyrzeczenie się przez poetów naszych owego klasycznego bezwstydu, któremu jeszcze tyle hołdował w najlepszych swoich utworach Trembecki, w którym plugawie i bezczelnie brodził Węgierski, ba! i sam biskup Naruszewicz,—zamiast tego zaś uwielbienie czystości i niewinności uczuć w duchu rodzinnej klechdy i pieśni ludowej, stanowiło wymowny dowód znakomitej naprawy obyczaju. O rodzinnym pierwiastku żyjącym i historycznym w poezyi, o kolorycie miejscowym, a nawet formie wiersza zbliżonej do pieśni ludu, już nie mówimy, jako o rzeczy znanėj powszechnie. Myśl odrodzenia pulsowała we wszystkich arteriach organizmu umysłowego.

Nie wszędzie atoli, gdzie się poezya polska odzywała, tak pojmowano ruch umysłowy, mianowany podówczas „Romantycznością,” jak pojmowano go w Wilnie i jak powyżej określono. W Krzemieńcu przebłyskiwało ledwo słabe księżycowe światelko, pochodzące z odbicia „promieni” tryskających z Wilna; pomimo wielu przymiotów rzeczywistych téj szkoły, czuć było, iż rozlewającemu się z niej światłu brak

ożywczego ciepła. W naukach ścisłych i historycznych, było tam kilku ludzi nielada; ale w w sferze gorętszej działalności duchowej, muskane wiersze Fe-lińskiego, to może najwybitniejszy wyraz nie uczuć wewnątrz piastowanych, lecz zewnętrznego objawu bicia serca Krzemieńca. We Lwowie zapasy z klasycyzmem wyraziły się przedewszystkiém w wierszowanych łamigłówkach filologicznych Kamińskiego i w zawziętém propagowaniu filozofii Kanta, pono nie całkiem zrozumiałej dla samych jój owoczesnych szerzycieli. Rozumiano tam jednak przynajmniej jedną stronę ważniejszą ruchu, a czego w walce z Niemcami nie domówił autor *Nowych Krakowiaków i Górali*, to sobie dopowiadano przedrukami dzieł gdzieindziej wydanych, nie pytając o pozwolenie autora. W Krakowie zdrowo pojmovane starożytnictwo klassyczne, tudzież chodzenie ze czcią po skarbnicach przeszłości krajowej, wydało Przybylskiego, Sołtykowicza, Bandtkego; lecz płynąc z prądem życia terażniejszości nie rwano się wcale. W Poznaniu, który po kilkunastu latach stał się był jedném z najważniejszych zbiorowisk różnostronnej działalności umysłowej i obywatelskiej, w początkach epoki romantycznej głuche panowało milczenie. Później krzątał się tam nieco Józef Muczkowski, lecz sam jeden niewiele mógł zdziałać, zwłaszcza że chęciom szlachetnym nie pomagało natchnienie. Wreszcie co do Warszawy, ta lubo miała gościem zkądinąd przybyłego, głęboko sercem i umysłem sięgającego ro-

mantyka Brodzińskiego, lubo stała się wypadkowo przytułkiem do pracy i łóżem Łazarza dla autora *Maryi*, lubo słyszała piosnkę o zmykającym z jej murów Mazepie, wygrywaną na kozaczym teorbanie przez Bohdana Zaleskiego, lubo słyszała zgrzytliwy wiersz o zamku kaniowskim,—wszakże ogólnie rzecz biorąc, była obozem oszańcowanym, w którym cały kościół wojujący klassycyzmu i obyczaju francuzkiego w naszym kraju, zaopatrywał się w proce i tarany na przeciwnika. Uprzedzenie tak daleko tu sięgało, że naczelnny wódz „Klassyczości,” Stanisław Potocki, publicznie się przechwalał, iż nawet słowa języka ojczystego wtlacza w łoże Prokustowe form właściwych jedynie francuzczyźnie. Nie sam Mickiewicz w swojej rozprawie: *O krytykach i recenzentach warszawskich* odmalował to zasklepienie się ducha twórczości narodowej w kokonie obczyzny; nierównie wcześniej, a z równą, jeżeli nie większą dosadnością, wypowiedział to samo ówczesny żołnierz, późniejszy biskup Ludwik Łętowski. Ten najpierwszy może z piszących u nas teoretyków romantycznych, już w roku 1816, zatem nawet przed Brodzińskim, dowodząc, że „myśl robi poetę, rym zaś tylko wierszopisa,” jak gdyby już wtedy przepowiadał *Irydioną*,—jednocześnie taką daje charakterystykę działalności literackiej w Warszawie, w broszurze zatytułowanej imieniem *Podróży do Rzeczypospolitej Uczonych*: „Miasto Aencyklopedya jest stolicą Rzeczypospolitej Uczonych. Leży w błotnistej dolinie, a rzeka uprzedzenia zdaje się niemal całe do-

koła oblewać. Dwadzieścia cztery bramy ułatwiają wejście, lecz mimo takową dogodność, mieszkańcy ścieżkami na wyłom ochoczej przechodzą. Pałac poezyi z wierzchu przepysznie przyozdobiony, lecz mimo zbytek sztuki, nosi cechę przymusu a wysadności. Po pod mury przechodzą się uprzywilejowani nowiniarze, chroniąc się od słonecznego prawdy światła..." Cóżby do tego wizerunku mógł dodać najzarliwszy późniejszy romantyk ze szkoły Mickiewicza?

Wilno tedy pierwiastkowo było jedynem w całym znaczeniu siedliskiem „Romantyczności,” pojmowanej nietylko jako dążenie ku reformie przepisów artystycznych, lecz zarazem jako kodeks kierowania uczuciami i jako układ stosunków społecznych. Nic więc dziwnego, że ludzie obojętni patrzali z daleka na to miasto z niejakiem niedowierzaniem, przeciwnicy zaś gnieźdzący się w Warszawie nie skąpili mu lekko-myślnych wyrzutów za rzekomą pogardę odwiecznych tradycyj sztuki. Nie tu zaiste miejsce rozpatrywać się w drobnostkowych zapasach o nieistniejące w Krymie nadbrzeżne „płaszczyny,” któremi radzono Mickiewiczowi zastąpić znajdujące się tam istotnie widziane przezeń urwiste „krawędzie” skał, lub o inne podobne przedmioty, zaledwo potrącone przez Siemieńskiego, a nietknięte przez historyków literatury. Wątek to do osobnej, wyczerpującej a zajmującej pracy. Jednego wszakże pominąć tutaj nie można, jako rysu nadzwyczaj charakterystycznego i ważnego w ruchu romantycznym wileńskim. Owocześni klassycy war-

szawscy twierdzili, jakoby tak zwane przez nich „zamłotowanie w upiorach i słabych rymach,” wyszło z porodka niedojrzałej młodzieży akademickiej wileńskiej, powodującej się myślą zakądną zresztą dowcipną, że „gdzie nie znaleźć sensu, tam i rymu nie trzeba.“ Owoż był to błąd najwierutniejszy, bo właśnie szerzycielką odrodzenia duchowego między młodzieżą wileńską była starszyzna szkoły głównej w „podwójnych wieńcach lauru i siwizny, obywatelskiej i śpiewaczej chwały.” Młódź zaś owa uniwersytecka, która później jak gwiazdy rozsypała się po firmamencie nauki i sztuki, była rolą rozwijającą ziarna, rzucone uprzejmą dłońią mistrzów.

Najpierwszym reformatorem zapatrywania się na sztukę w ogóle, a na poezję w szczególności, był nie wierszyk z nad Ilmu lub Sprewy, stanowiący iskierkę roznieconą w nagromadzone prochy, ale professor literatury greckiej i rzymskiej, Ernest Groddeck, największy pono swojego czasu erudyta i estetyk w jednej osobie. Ciekawy może się o tém przekonać, nie sięgając nawet do jego dzieł naukowych, lecz poprzestając na odczytaniu rozpraw dorywczych, ogłaszanych w czasopismach wileńskich. Jego objaśnianie właściwości literatury starożytnej przez odrębne cechy narodowościowe, przez kojarzenie się wieszczów ze swoim ludem, dało podstawę i szkole romantycznej, i owemu streszczonemu przez Mickiewicza, niedościgłemu, zachwycającemu określeniu pieśni, jako „arki przymierza między dawnymi a młodszymi laty, w której lud skła-

da i broń swego wojownika, i kwiaty swoich uczuć, i myśli swoich przedzę". Jego zapatrywanie się na ton dobroduszny epopei Homera, odezwało się w cudnym tonie *Pana Tadeusza*, a teraz dalej odbija się w przekładzie *Odysei* przez Siemieńskiego. Zresztą komuż nie wiadomo, że Mickiewicz z fałszywymi klasycami walczył przedewszystkiem bronią znajomości literatury klassycznej? albo że właśnie romantycy, kształcąc swój wiersz na wzorach starożytnych, wyrwali go z nudnej kolei aleksandrynow francuzkich, nadali mu tyle rozmaitości, giętkości i wdzięku? Wiernym w uniwersytecie towarzyszem Groddcka był kierownik Mickiewicza, Odyńca, Chodzków, Malinowskiego, Balińskiego i innych, namiętny miłośnik literatury klassycznej, tłumacz Lukrecjusza, Moliera, Cerwantesa, Milтона i Byrona, znakomity znawca piękna, Leon Borowski. Jemu to nadewszystko młódź uniwersytecka zawdzięczała rozmiłowanie się w starych autorach polskich, zwłaszcza w Janie i Piotrze Kochanowskich, a z późniejszych w Trembeckim i Woroniczu, w ich wielkiem skupieniu myśli, w ich prawdziwie narodowych zwrotach mowy i dosadności wyrażań, co następnie było cechą całej szkoły pisarzy wileńskich. Tym sposobem, co kształceni na wzorach francuzkich nazywali odszczepieństwem, to było w pewnym względzie odrodzeniem prawdziwej klassyczności, tak bezpośrednio przez zapatrywanie się na wzory starożytne, jak pośrednio przez zgłębianie pisarzy polskich wieku XVI, którzy tym wzorom

hołdowali. Ale myśl młoda i młode uczucie nie pozwalały zgubić się w jałowym naśladownictwie: pod klasyczną nawet formą wiersza *Do Joachima Lelewela*, tętniły te same myśli i uczucia, co „bryłę świata z posad wyrzucać chciały.” Bo téż jak Grodeck i Borowski w zakresie teoryj artystycznych, tak Lelewel był reformatorem „romantycznym” zapatrywania się na dzieje powszechne w ogóle i na krajowe w szczególności; on pierwszy u nas na miejsce roczników dynastyj, rozwijać począł z katedry dzieje ludów, co zaiste było niemałym przewrotem wyobrażeń. Całkiem tak samo professorowie i poprzedni wychowawcy uniwersytetu, zasiadający pod prezydencją uczonego Jędrzeja Śniadeckiego przy „szubrawskim” stole redakcyjnym *Wiadomości Brukowych*, założonych przez Kazimierza Kontryma, byli pierwszymi „romantycznymi” reformatorami obyczaju, nieubłaganymi karcicielami wszelkiego złego, nie z goryczą nienawiści, nie z paszkwilarném szyderstwem, lecz w duchu miłości społeczeństwa. Ich kilkoletnie wydawnictwo, jako źródło szczeropolskiego dowcipu, jako skład zdrowych obywatelskich myśli, dziś jeszcze z pożytkiem się czyta, a podówczas niesłychane wywierało wrażenie. Szczególniej prawdziwie obywatelskie zapatrywanie się tego pisma na położenie ludu wiejskiego, nietylko znalazło rozgłośne echo w pisarzach romantycznych, lecz niemało się nawet przyłożyło do uchwały orzekającej wyzwolenie włościan, zapadłej na sejmiku szlacheckim w Wilnie w r. 1818. Co do kierunku religijnego, którym tak wybitnie na-

cechowała się praca literacka romantyków, starzyzna szkoły głównej litewskiej, jedna z najpierwszych, a może i najpierwsza podówczas w Europie z doboru potęg umysłowych, jeśli nie cała, to przynajmniej w najznakomitszych swych członkach, nie wyjmując i obu Śniadeckich, których ze zdumiewającą odwagą materyaliści tegocześni kładą za swoich protoplastów— przyświecała młodzieży pięknym przykładem bogobojności i chodzenia w zakonie Pańskim. Nakoniec i owe znane kółka młodzieży, mające na głównym celu dzielenie się z uboższymi kolegami zasobem grosza, nauki i moralności, wzięły początek od towarzystwa pomocy naukowej, zawiązanego i zasilanego przez starszych, tak professorów, jak byłych wychowawców uniwersytetu. Jednym słowem, wszystkie pierwiastki składowe, których cząstka odbijała się w literaturze romantycznej, a więcej daleko pulsowało w praktyce życia młodzieży, były błogosławionym szczepem ducha uniwersytetu wileńskiego. Młodzież jeno była gruntem urodzajnym i dobrze uprawnym, na którym szczep rozrósł się w drzewo, zajaśniał kwiatem rumianym i owoc wydał stokrotny. Gdyby rodowód reformy był inny, nigdyby nie wydała tak doniosłych i tak pożytecznych wypadków.

Trudno tu się rozwódzić nad charakterystyką rozwijających się na takiej podstawie owocnych stosunków młodzieży uniwersyteckiej, „promieniających” dziwną czystością i powagą uczuć i myśli w formie koleżeństwa szkolnego, nacechowanych „miłością cnoty” daleką od klasztornej przymusu, ale niewyczerpa-

na w wynajdowaniu okrasz i ponęty dobrego. Trzeba posłuchać czytania dotąd niedrukowanych, niestety! wspomnień dziekana Józefa Kowalewskiego, jak ów „Arcy”, ów „największy szczupak” Tomasz Zan, autor pierwszej ballady na bruku wileńskim, jak za nim „Mentor” Jan Czeczot, późniejszy zbieracz pieśni ludowych nad Niemnem i Dźwiną, jak „krzywousty i kudrawy” Maryan Piasecki i inni „prowodyrowie stada” wysilali dowcipy na robienie zasięków i przekopów, powstrzymujących kipiącą młodzież uniwersytecką od przekraczania granic właściwych. I tłumne zgromadzenia wieczorne w mieszkaniu jednego z kolegów, i tłumniejsze jeszcze wyprawy świąteczne za miasto, połączone z obozowaniem przy mleku i chlebie razowym, i samotne a tęskne zbijanie bruków po pod oknami upatrzonój bogdanki, do której rzadko przelotne wejrzenia, najczęściej same tylko wzdychania dolatywały, a wreszcie i zręcznie podżegane współzawodnictwo w elukubracyach wierszem i prozą, po polsku i po łacinie:—wszystko było z przebiegłością rzecz można macierzyńską obmyśliwane, żeby odciągnąć od nieprzystojnej zabawy, od kieliszka i wysoce podówczas wziętego faraona. Gdy się ów król kosterstwa rozpierał na „złoty” i na „srebrny” salach w Wilnie, okładały go *Wiadomości Brukowe* biczem satyry; na zgromadzeniach młodzieży biczem nań były „jamby,” tudzież rozprawy naukowe i moralne. Największą sztuką przewodniczących było dokazać, żeby nie domyślano się przewodnictwa; żeby ugruntowanie w cnocie, zamiłowanie nauki i gotowość do poświęceń

niby same od niechcenia przychodziły; żeby buta młodzieńcza nie widziała i nie czuła pajęczych więzów, któremi ją bratnie dłonie krępowały; żeby owszem niewolnik rad był ze swojej niewoli. Pod tym względem zdarzały się pomysły strategiczne i psychologiczne, mogące się nie powstydić porównania z pomysłami najrzęczniejszych strategów klasztornych, celujących, jak wiadomo, w knowaniu planów zapobiegania złemu pomiędzy bracią.

A jeżeli wszelkie zabiegi nie poskutkowały, jeżeli zwłaszcza właściwa młodemu wiekowi chętka bujania samopas po stepach i lasach wyobraźni, odprowadziła któregośkolwiek od warsztatu powszedniej pracy: warto posłuchać, jak umiano wtedy karcić zbytnika. Jedno ze świadectw takiej wysokiej umiejętności, przytoczone przez samego Odyńca w liście z Rzymu, podanym w *Kronice Rodzinnej*, mamy w tej chwili przed oczyma. „Edwardziel!”—pisze Czeczot do swojego „Tele-maka,”—„nie mogę cię nazwać *kochanym*, bo nic jeszcze nie zrobiłeś *kochanego*; a jak słuchy dochodzą, historii, prawa, łaciny nie umiesz, nie uczysz się i cały romantycznością, romantyczną odurzony, klasyków prawdziwych nie znasz, a przeciw klassycznosci powstajesz; piszesz wierszyki niepomyślane, niewyważone i niemi kolumny dzienników zapełniasz. A zatém jeszcze Edward nie *kochany*, póki historii, prawa i łaciny nie umie, póki czego kochanego nie robi, a skromniejszym się jeszcze nie stanie... Ach Tele-maku! nie wiem, czy tylko piszesz, czy i sądzisz? Jeżeli

tylko piszesz, to jeszcze pół biedy, bo źle napiszesz, to choć komu czas darmo zabijesz, ale wolniejszy jesteś na sumieniu. Lecz jeżeli źle osądzisz, to choćbyś za swém nie pociągnął zdaniem, nie jesteś wolny od grzechu. Sędziego ciężki jest urząd. Długo się trzeba sposobić, wiele znać, wiele umieć; mieć zdanie zdrowe, czyste, wysokie, mieć rozum wielki i siły olbrzymie... Nie sądź bardzo drugiego, nie sądź bardzo ogółu; sądź najprzód siebie samego, a jak siebie się nauczysz, to będziesz może mógł coś prawdziwszego wyrzec o podobnym sobie. Nie eryluj się nigdy na sędziego! Bóg zda się ani ciebie, ani twego Mentora na to nie przeznaczył. Skromny im pracy jest wydział, może wątpliwa jój wartość, ale o tém niech inni sądzą! Oni, chociaż jak drudzy sądzić mogą w kącie, publicznie powinni tylko występować z pracą, a nie z sądami... Jedna niech będzie książeczka, ale dobra; jedno zdanie, ale zdrowe! Lepsze jedno ziarnko pożywne od korca plew nieużytecznych. Poczciwych ludzi zadaniem być powinno uczyć się i myśleć co najwięcej, a mówić i pisać jak najmniej... Zmiłujcie się, wznagajcie chwałę narodową! ale niechaj nic gwałtem nie kwitnie; bo pisać tylko wiersze dla tego, żeby je potem drukować, dalipan, czyby nie lepiej pójść glinę wozić taczkami? A więc Telemaku *szanowny!* nie kończ i nie sztukuj swych kusych do mnie listów wierszami, bo ja chcę listów a nie żurnaków; a listów, jeśli można, chcę częstszych. Boję się, żeby się nie rozpuścił Telemak, a ja żebym nie stracił tytułu i władzy Mentora...”

Takimi to słowy—zamiast pochlebiania „*światłej młodzieży uniwersyteckiej*”, jak dziś czynią po niektórych czasopismach—przemawiali do młodszych przewodnicy lub starsi towarzysze ławy uniwersyteckiej, a słowa ich nie były pisaniem na wodzie i wietrze, bo uczynki stały za niemi. Nie rozprawiano wówczas na ulicach i przecznicach miasta o „powstawaniu” świata, choć lepiej od nas umiano i rozumiano Laplasa; ale za to pierwsza w języku polskim geografia matematyczna, pierwsza fizyologia, pierwsza chemia, pierwsza astronomia, pierwsza historia powszechna, pierwsza ekonomia polityczna były napisane i ogłoszone w Wilnie przez profesorów lub wychowawców tamecznej wszechnicy. Patrząc na nich wznagało się sercem i umysłem owo świetne pokolenie Chodzków, Czeczotów, Daniłowiczów, Ignacych Domejków, Jeżowskich, Kontrymów, Kowalewskich, Małewskich, Malinowskich, Mianowskich, Mickiewiczów, Odyńców, Wiernikowskich i Zanów, w których gorące uczucie nie zawadzało rozważnej myśli, a dodawało jej szlachetności, w których wyrozumiałość dla innych rosła na gruncie surowości dla siebie samego. W okresie czasu, o którym mowa, w tłumnej plejadzie tylu przyszłych znakomości literackich, raz tylko *jeden* zaostrzyło się młode pióro na artykuł krytyczny: Mickiewicz napisał poważny zresztą i łagodny rozbiór *Jagiellonidy* Tomaszewskiego. Ale za to kto ciekaw, niech porówna np. pierwsze wydanie *Konrada Wallenroda* z późniejszymi, a przekonana się z drobiazgowych poprawek, jak nawet powszechny poklask dawany temu poematowi, nie roz-

broił surowości autora względem własnego dzieła. Co Czeczot w imię „kochania” z dziwną prostotą i słodyczą przypominał Odyńcowi, to stanowiło zbiór zasad z praktyki codziennej wyczerpanych i szanowanych jak przykazanie. Święta potęga miłości wzajemnej była tylko ich krzewicielką i piastunką między młodzieżą.

Ktoś gotów zapewne powiedzieć, że stosunki przywiązania, serdeczności i zachęty wzajemnej, jak owe malujące się w słowach Czeczota do Odyńca, są i dzisiaj nierzadkie, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą, zawsze głębiej i rzewniej czującą od ludzi posuniętych już w lata i wystudzonych rozczarowaniem. Bez wątpienia, przykłady takich stosunków nie są rzadkością, i smutna przyszłość czekałaby społeczeństwo, gdyby się stało inaczej, gdyby młodzież nieroztropnie uwierzyła, że święty ogień Westy jest znamię słabości charakteru. Ale to niezawodna, że tak uorganizowanej jak w Wilnie, tak wyćwiczonej i tak jednolitej falangi, mającej za regulamin cześć w uczuciu i w czynie dla wszystkiego co zacne i piękne, nigdzie ani przedtem ani potem nie było między młodzieżą uniwersytecką. Jakoż więzy koleżeństwa, które najczęściej rozluźniają się i zrywają po opuszczeniu murów szkolnych, tam kępowały na zawsze, na całe życie doczesne, a może i na życie po zgonie w jedność wiary i cnoty. Butwiejące archiwa uniwersytetu wileńskiego, szczególnież z czasów po roku 1820, mogłyby na to siła dostarczyć dowodów; niemało też ich dostarcza korespondencja prywatna, której cząstkę zaledwie odnoszącą się do Mickiewicza i Lelewela ogłoszono, gdy część nierównie

większa dotąd spoczywa w ukryciu. Ale po co już dzisiaj przywoływać martwe karty na świadki życia? Dość spojrzeć na pozostałych z owój doby, kiedy się z sobą spotkają: co tam bywa radości, gwaru, wycieczek w przeszłość i przyszłość, rozpraw naukowych, filozoficznych i estetycznych, potakiwań i sprzeczek, upadków i tryumfów, jak gdyby ciężar lat pięćdziesięciu przebytych w doli i niedoli, bark nie uchylał ku ziemi! Przypatrując się i przysłuchując tym rozprawom, nieraz czujesz się przeniesionym wstecz o pół wieku, na zgromadzenia owych „miłośników cnoty”,—tylko że widzisz mniej trochę rumieńców, a więcej zmarszczek na licach, słyszysz mniej mowy o sentymentalnej miłości, a więcej o twardych życia zagadkach. Zresztą—„moc nałogu!”—takięj subtelności w obejściu, takiego zgadywania woli piękności, takiego skwapliwego wykonywania jęj rozkazów i takięj za to wszystko nagrody w życzliwości wzajemnej, dziś jeszcze im starym pozazdrościć można. I tak też wszystko do nich na zawsze przylegało, co wynosili z Wilna na drogę życia. Od Połagi, gdzie Mickiewicz w piaskach zasuwających zioła kwitnące upatrywał porównanie do postępów germanizacyi, aż za Kaukaz, gdzie jeden z Chodźków pierwszy wymierzył szczyt Araratu—od Wołgi, nad którą Kowalewski układał pierwszy słownik języka tatarskiego, aż do Brukselli, w której Lelewel tłómaczył cudzoziemcom zagadkę ich własnej geografii i numizmatyki średniowiecznej—od Teheranu, gdzie Pietraszewski w grobowych napisach i w umarłym języku Zenda-Vesty dobadywał się pokre-

wieństwa między starymi Persami a Słowianami, do Chili, gdzie Domejko czarodziejską laseczką nau wskazywał skarby ukryte w ziemi:—wszędzie za nią i z nią szły obozem ich nabytki duchowe. „Rozciąga się ten łańcuch, ale nie pęka,” dobrze jeden z nich powiedział o przywiązaniu.

To uczucie braterskiego przywiązania, we wszystkich swoich objawach, nie było kwiatem bez owoc lub martwą wiarą bez uczynków, lecz pomoc wzajemna między najbliższymi i najdalszymi kolegami, stała u nich na pierwszym względzie. Dość zajrzeć do świeżo wydanej, niewymownie szacownej *Korrespondencji Adama Mickiewicza*, aby się zaraz od pierwszych kaprzekonać, jakie pomiędzy tymi ludźmi było baczenie na potrzeby każdego, jaka skwapliwość w niesieniu pomocy materialnej i moralnej, tém upartsza, im większe były przeszkody a środki szczuplejsze. Rzecz można, iż jasnowiedzenie współczucia, zkadinaż zresztą naukowo stwierdzone, o mil sto ostrzegęło o tej knicy albo przygodzie towarzysza, potrzebującego ją Konrad bratniego słowa lub ręki bratniej ku podźwignieniu. I pomoc koleżeńska, czy to moralna, czy materialna, nie zawodziła, a była tém snadniejsza i przyjęta, że stanowiła albo odpłatę za wyświadczoną już innemu usługę, albo zadatek takiegoż wywzajemnienia się względem któregoś z braci w przeszłości. Co zaś najmilsza w towarzyskiem obcowaniu wszystko to się robiło jako rzecz najpowszedniejsza i jakoby nie warta uwagi. Jak nie było pedantyzm w nauce, tak nie było też wymuszenia w postępowaniu

prostota i ton żartobliwy stanowiły atmosferę moralną stosunków; najsurowszej powinności po frejentowsku nadawano dowcipne pozory. Piastowano kapłaństwo sztuki, ale poecie kazano za pomocą czytania swych utworów wynudzać ze zwalisk upiora, którego modły i zaklęcia wystraszyć nie mogły,—i ballada dodaje, że skutek nie zawiódł oczekiwania. Wzajemnie zachęcano się w pracy, ale mówiono, „oryentalnie a razem z litewska”, że jest to „w szkapę lenistwa próc ostrym kijem przymuszania.” Wspierano się kęsem chleba, najczęściej od własnych złaknionych ust odjętym, lecz powiadano z uśmiechem: „Prawda, że czasem źle marnuję pieniądze; ale kiedy mam grosz, każdy z przyjaciół może wziąć z niego trzy czwarte.” Albo też krótko i wężłowato pisano: „Odbierzesz tu rubli assygnacyjnych sto, połowę dla ciebie, połowę dla Janka. Może Janek przyjąć bez skrupułu: to są pieniądze uzyskane z *Wallenroda*.” Albo z innego tonu: „Ja i Adam mamy po jednej izbie, już jesteśmy bez naszego (skarbowego) stołu; na teraz jeszcze objadamy Zaleskich. Adama poezya dzwoni zębami i moja proza nie lepiej... Ta pani Wołkońska jest dziwnej dobroci osoba. A jak tam ciepło! na schodach cieplej, niż u mnie przy piecu.” Albo jeszcze z Orenburga: „Adama i wszystkich wiernych Bogu poleca Abdragan Mołła... Chodzę z siekierką, już to aby w przypadku bronić się od Kirgiza, już aby w zaroślach czynić sobie łatwiejsze przechadzki. Część dnia gorętszą, jednostajniejszą i większą przepędzam na uczeniu Piotrusia, na czyta-

niu książek. na pisaniu dziełka o poznaniu siebie. Jeśli Bóg nie udzielił mi zdolności, darów i zręczności do czynienia rozleglejszych postug, uczenie, kształcenie choć jednego człowieka godnie wchodzi do celu życia... Przez trzy lata dochód mój nie przechodził ogółem 400 rubli assygnacyjnych; od was przysłanych dostało się mnie rub. 60 assygnacyjnych...” i przytém ani słowa skargi na ludzi lub losy!... Albo wreszcie taki opis żałoby po rozstaniu się z Mickiewiczem na długie lata: „Teraz byłem u Szymanowskiej, gdzie przypominam, że nic nie jadł. Wszędzie łyzy, u jednych zasychają, u drugich jeszcze płyną. Z Odyńcem chociaż się uzbajali w wino i porter, mimo to Odyńiec beczy, a ja jak na licho, patrząc na panny płaczące, nie mogę się od łez wstrzymać... Wszystko było łzawe, poświadczam...” Czy my dzisiejsi lepiej postępujemy, ciągle się własnem przechwalając postannictwem, najmniejszy drobiazg podnosząc do godności czynu społecznego? Czas, biegły chemik, należycie to kiedyś wyświecił rozbiorem ilościowym i jakościowym...

Jednym z przedmiotów dopiero co scharakteryzowanej koleżeńskiej troskliwości między wychowawcami wszechnicy wileńskiej, była podróż Mickiewicza za granicę. Troskano się o nią już na długo przed spełnieniem zamysłu; owszem nawet znalezienie dla poety towarzysza podróży, z dawna na pilnym miano względzie. Pierwszy ślad zamiaru wyprawienia autora *Grażyny* za granicę, spotykamy w liście Józefa Jezowskiego do Franciszka Malewskiego, pisanym

6 maja 1822 roku, zatem na lat siedm przed spełnieniem zamysłu. Mowa naówczas była o wysłaniu Mickiewicza i Jezowskiego w podróż zagraniczną kosztem uniwersytetu, dla uzupełnienia wiadomości potrzebnych professorom. Podawał ich jako kandydatów książę kurator, a koledzy tém bardziej tego życzyli, że spodziewali się poprawy zdrowia Mickiewicza we Włoszech i Francyi południowej. Ponieważ jednak poeta nie spełnił był wszystkich formalności naukowych, wymaganych po takich kandydatach do podróży, a mianowicie nie przybrał się do zdania egzaminu na stopień magistra, więc rada uniwersytecka jeszcze zwłóczyła. Tymczasem w roku następnym, znalazły się po za granicą kufrow kassy uniwersyteckiej pieniądze, o które się postarali przyjaciele, by cierpiącemu na rozdrażnienie nerwów od pracy, a dotkniętemu boleśnie fatalnym obrotem serdecznych stosunków z Maryllą, nastęrczyć sposobność wytchnienia i rozerwania myśli. Wówczas to najtroskliwszy ze wszystkich mentorów Jan Czeczot, wypowiadał już troskę o towarzysza niezbędnego poecie w podróży.

„Staraj się dłużej utrzymać za granicą—pisał Czeczot do Małewskiego dnia 21 stycznia 1823 roku,—bo z Adamem nie wiadomo co zrobić. Uczyć dalej żadną miarą nie może, do ostatka straci zdrowie; mówi, że go lekcyje na cały dzień paraliżują. Lubo zdaje się być teraz spokojniejszym i jest nawet w istocie, jednak zawsze nudny, często bezsenny, ciągle tylko fajką i kawą żyje. Każdy widzi, sam pragnie, doktorowie radzą, że mu potrzebny koniecznie wojaż;

ale jakiż ma być jego wojaż? jakiegoż on pragnie? *Czy się uczyć? Broni Boże! chodzić a chodzić. Ze wszystkich twoich opisów Riesen-Gebirge (góry Olbrzymie na granicy czeskiej od Szlązka) najbardziej go zajęły. Może ta mania ustać, jak się ujdzie mil sto, a chodzenie nie będzie nowością, może i posiedzi gdzie przez zimę; lecz czy tak czy owak, zawsze potrzebny za granicą punkt jakiś bliższy, do którego by i na zimowe leże powrócił, i w każdym zdarzeniu mógł się zgłosić. Dziwna to jego będzie pielgrzymka! Ni to jemu razem pieniędzy dać można, ni pewnym być, że gdzieś nie okradną, albo sam od razu nie straci, a potem zostanie w ciężkiej potrzebie. A gdzie się wówczas uciekać? Nie wiem też, jak mu w jego humorze przypadnie być między obcymi, a na zyski czyhającymi ludźmi; najczęściej zapewne będzie samotny: nie pójdzie on bowiem poznawać ludzi, ale Riesen-Gebirge; doliny, łąki, te go zajmą, a to wszystko wątpię, czy nie będzie miało szkodliwego na jego imaginację wpływu. On zdaje się potrzebować ciągle nad nim czuwającego anioła stróża, a tam same tylko będą dla niego głązy. Z tych przyczyn im bliższy będzie punkt jego komunikacyi, tém mu będzie lepiej i weseliej. Że go wyprawić trzeba, to rzecz konieczna, bo do reszty się zdrowie jego zrukuje. Staraj się więc Franciszku pozostać dłużej za granicą, bo inaczej boję się go wyprawić i t. d.”*

Podróż ta pod opieką Malewskiego nie przyszła wówczas do skutku. Przerwana zbiegiem wypadków

w r. 1823, a następnie odwrócona w inną stronę, bo do Odessy, Krymu, Moskwy i Petersburga, w lat sześć dopiero na nowo się nawiązać i urzeczywistnić dała. Atoli plan wyprawy za prozaiczne roгатki celne pruskie i poetyczne słupy żelazne spoczywające na dnie Sali, skreślony w liście pocziwego „Janka” do Malewskiego, nie zmarniał bezpożytecznie, choć się odłożył. Spełnił się z małemi zmianami w roku 1829. Czeczot w swym liście kładł za warunek, że celem podróży nie miała być „broń Boże” nauka, ale odpoczynek i rozrywka; tak się też odbywała po sześciu latach, jak to widzimy w obecnych i dalszych *Listach* Odyńca, oraz w skąpych kilku biletach samego Mickiewicza. Nad Renem lub w Alpach, zamiast studyów geologicznych, mamy lubowanie się widokiem malowniczych zamczysk średniowiecznych i „wschodem słońca na Righi,” albo też tęskny zwrot myśli ku tej, z którą poeta „nigdy, nigdy się rozstać nie może.” W wielkich i małych zbiorowiskach ludzi, zamiast badań etnograficznych, ekonomicznych, lub co gorsza, „okurzania pyłów po bibliotekach,” jak się wyraża o swych poszukiwaniach naukowych we Włoszech uczonej nasz optyk Ciołek, widzimy same tylko uroczystości i zabawy salonowe, nieustanny gwar życia pod przewodem ludzi znakomitych stanowiskiem towarzyskiem, lub jeszcze znakomitszych zasługą. Nawet oglądanie słynnych po wszystkie wieki wirydarzów sztuki ludzkiej, odbywało się nie z książką słynnego nieboszczyka Winkelmana w ręku, ani w żywem to-

warzystwie równie słynnego Viscontego, lecz w gronie najpiękniejszych dzieł ręki bożej, ku którym uczucie szacunku, a pono i tkliwszego przywiązania, ozłacało te miejsca, „gdzie kolumn rząd i tłum posagów stoi.” Świadcstwo takiego charakteru wycieczek archeologicznych, zapisał Mickiewicz w cudnym wierszyku, ogłoszonym dopiero w r. 1871:

... Mój Ciceronie! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twém świeci czołem;
Przez rzymskie bramy, groby i świątnice
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.
Ty umiesz przejrzeć nawet serca z głazu,
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadnąć przeszłość z jednego wyrazu,
Ach! ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma!

Młodość i poezya, dwie nadobne siostrzyce, nie odstępowały naszych podróźnych. Samo nawet czytanie Liwiusza w zwaliskach Kolosseum nie było Mommsenowskiém syllabizowaniem i nicowaniem autora, choć ku temu wychowańcy „oddziału literatury i nauk wyzwolonych” w Wilnie wyostrzone posiadali narzędzia,—lecz było wynikłością poetycznej potrzeby bezpośredniego wrażenia, jakie wśród zwalisk Rzymu wywierać może dziejopis sławiący jego potęgę. Nauka z tego wszystkiego sama się czepiała umysłu i sama się odbijała w *Listach* Odyńca; lecz uganiać się z nią nie było w zamiarach podróźników.

Podobnież się stało co do wyboru przez Mickiewicza i Odyńca punktu „na zimowe leże,” wzmian'

wanego dawniej w liście Czeczota: za taki punkt, nieco odleglejszy, niż marzył Czeczot, obrali byli nasi wędrownicy wieczne miasto, do którego od czasów Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego, poeci polscy ubitym szlakiem ciągnęli. Podobnie było wreszcie z uczynieniem zadość „potrzebie ciągle czuwającego anioła stróża;” różnica zaszła tylko co do osoby. Zamiast starszego wiekiem opiekuna, jakim byłby Franciszek Malewski, Mickiewicz dostał młodego, poświęconego, po trochu jak on sam egzaltowanego, ale czujniejszego odeń towarzysza w Odyńcu, o którym sam autor *Grażyny* powiadał, „że gdyby znalazł podobną do niego kobietę (ma się rozumieć nie z wdzięków), gotówby się zaraz ożenić, pod jednym wszakże warunkiem, aby nie tak była ochoczą do szukania nowych przyjaciół.” Cóżkolwiek bądź, obowiązki Odyńca przy Mickiewiczem były właśnie takie, jakie Czeczot zamierzał być złać na Malewskiego. Jak je spełniał Telemak nagle przeobrażony w Mentora, jak pilnował, iżby wieszczka nie okradli lub sam nie stracił pieniędzy, o tém już się czytelnik z *Listów* dowiedzieć potrafi. Wszakże nie darmo były one poniekąd raportami, składanemi niby delegowanemu owego szerokiego koła, które myślą i sercem, od ławy uniwersyteckiej, wszędzie towarzyszyło poecie...

Tak się ta podróż wywijała i przygotowywała ze stosunków koleżeńskich, jedynych w swoim rodzaju, które podówczas opróżniały miłość cnoty i nauki między młodzieżą, a potem dojrzalszych wiekiem

bratnią przyjaźnią wiązały nawzajem. Szacowne szczegóły tej podróży stanowią osnowę samej książki, a są tak naocznie i niemal dotykalnie wystawione, że uwalniają od niepotrzebnych komentarzy, które ich przezroczystość tylko zaćmićby mogły. Co najwięcej, tu lub owdzie króciutkie objaśnienie mniej znanego, podrzędnego szczegółiku lub imienia zamierzchłej gwiazdy dziesiątej wielkości, może okazać się potrzebném, i to się poda w przypiskach. Lecz pozostaje napomknąć jeszcze o bliższym stosunku osób, między którymi toczyła się z oddala rozmowa o tej podróży, obecnie po wielu latach odzywająca się żywym głosem, jak owe słowa zamarzłe w powietrzu zimowém pod biegunem, a roztajałe i przemawiające na nowo z nastaniem ciepła wiosennego, o których przed zdumionym cesarzem niemieckim miał według legendy rozpowiadać Aleksander Lisowski, sławny wódz nazwanych jego imieniem lisowczyków. To nam wyjaśni powód braterskiej poufałości *Listów* i zajmowanie się w nich najdrobniejszymi nawet szczegółami, ściągającemi się do Mickiewicza.

Któż z nas nie zna autora *Obrazów Litewskich*, Ignacego Chodźki? albo tłumacza *Bożkiej Komedy* Juliana Korsaka? albo autora *Felicyty* i *Barbary Radziwiłłówny* Antoniego Edwarda Odyńca? Było to z różnych względów jakoby „Trzech Budrysów” litewskich. Dwaj z nich, mianowicie Chodźko i Odyniec, byli z tych samych okolic, do ówczas znanych i słynnych tylko z nauk i wychowawców akademii smorgońskiej; obaj też, lubo nie jednocześnie, kształcili się

w szkołach bazylikańskich w Borunach. Korsak, urodzony w Słonimsczyźnie i kształcony początkowo w Szczuczynie u pijarów, niewiele odbiegł od dwóch poprzednich miejscem urodzenia, a bardzo już był zbliżony jednostajnością wychowania kierowanego przez zakonników, nim wszyscy trzej w późniejszym czasie połączyli się ściślejszemi węzłami powinowactwa. I. Chodźko i A. E. Odyniec zaślubili rodzone siostry Mackiewiczówny, z których jedną, Ludwikę Chodźkową, jako „nieznaną daleką” znajdujemy wspomnianą w poezjach „nieznanego dalekiego” Mickiewicza; o drugiej zaś, Zofii Odyńcowej, wśród licznych wzmianek w jego listach, napotykamy i tę, że gdy pisał *Pana Tadeusza*, „miał ją często w myśli; malując heroinę poematu swego Zosię.” Nareszcie małżonka J. Korsaka była synowicą Chodźkowej i Odyńcowej; nie znajdujemy o niej napomknięć w Mickiewiczu, ale zapewne tylko dla tego, że dotychczas nie ogłoszono żadnego listu do Korsaka. Przypuszczenie to z tém większą godzi się stawić pewnością, im wyraźniej w korespondencji poety przegląda jego serdeczne zajmowanie się nawet drobiazgami, sprawiającemi radość przyjacielom. Nie przepominał przecież doradzać swym zaufanym nawet imion chrzestnych dla dzieci, mających się dopiero narodzić! Dla wszystkich rówieśników, z którymi łączyła go zażyłość, autor *Grażyny* był w stosunkach domowych niby Krywe-Krywejtą, niemal bożkiem rodzinnego ogniska, z którym w dziwnie ujmujący sposób zawsze się umiał

jednoczyć. Cóż dziwnego, że płacąc mu za to pi wiązaniem niemal rodzinném, zajmowano się j osobą jakby bratem lub siostrą?

Atoli największą i dla późniejszych pokoleń : zrozumiałszą spójnią tak między samymi listującymi jak między nimi a Mickiewiczem, stanowił ów d życia uniwersyteckiego, o którym rozpisaliśmy się wyżej, a który jeżeli nie najdonośniej, to w każu razie najwyraźniej ujawnił się w kierunku literac wszystkich czterech towarzyszy. „Nasz stosu samotrzeci”—pisze Chodźko do Korsaka, zwrac zarazem myśl do Odyńca—„zawiązała przyjaźń i dzieńca, podtrzymywało jedno dążenie i jeden życia: naukowa praca i kształcenie się religijno-ralne, nakoniec utwierdziło powinowactwo famil po naszych żonach. Sam przyznasz, że to jest je z arcy rzadkich zdarzeń, które troje ludzi oplata rzczywistemi węzłami.” W inném zaś miejscu, p nosząc się w czasy młodości, tak opisuje tę wła epokę, w której się prowadziło listowanie z podr „Nowe gwiazdy jawić się poczęły na firmamencie rackim i gasić dawniejszych luminarzy. Pan Igr niewiele odbiegły wiekiem od akademickiej młodzi wśród której się te fenomena reformy odbywały, z ich prawie wszystkich, a kochał i był kochany tych szczególnie, z którymi go wzajemna poetyc zbliżała sympatya. Pan Edward i pan Julian i bliżej złączeni z sobą, chętnie i ochoczo zawią miłe wzajem z panem Ignacym stosunki. On w

towarzystwie przedłużał swą młodość i wszystkie Jój ułudy; oni w jego większym ze światem otarciu się jako starszego, niewyczerpane mieli źródło dowcipnych spostrzeżeń, podniecających młodzieńczą ich wesołość; a wszyscy trzej w poetycznych projektach, poufnych powierzaniach się i zachętach, coraz to nowe rozkosze serca, coraz to większe powody wzajemnej przyjaźni znajdowali..." „Byli to"—dodaje—nowi *renegaci klasycyzmu*..." Otoż i węzeł zjednoczenia wszystkich z czwartą postacią działającą w *Listach*. Adam Mickiewicz był nawróciicielem, kierownikiem myśli, rozkoszą serca, przedmiotem czci bałwochwalczej nietylko jako człowiek, lecz i jako chorąży, trzymający wysoko sztandar nowego kierunku literackiego i społecznego. On, jak ów Halbań, poeta romantyczny dla Wallenroda, „był i duszy ich spowiednikiem, i powiernikiem ich serca." Słowa jego, jak powiada Odyniec, „miały dla nich wpływ i własność wiosennego grzmotu; myśli po nich występowały, jak trawa z ziemi." Po trzydziestu latach od nawrócenia na romantyzm, wszyscy trzej razem po raz ostatni w tém życiu zebrani, jeszcze, jak świadczy Chodźko, „słuchali słów mistrza." Kto się chce więcej dowiedzieć, niżeli w ciasnych ramach przedmowy zawrzeć można, ten niech przeczyta w pismach Ignacego Chodźki jego *Dwie Konwersacje z Przeszłości* (pierwsze wydanie 1857, drugie 1872 w Wilnie u Zawadzkiego). Tak pewną ręką kreślonego rysunku, tak barwnego malowidła przeszłości, takiego ciepła uczuć ożywiających pisarza, po trzydziestu kilku latach rozpamiętywającego wypadki,

nawet w bogatej pamiętkowej literaturze zagranicznej spotkać niełatwo. Ilek to być musiało serca w samej dobie wydarzeń, kiedy „pięśń nową, drżącą przed dawną mistrzami, ośmielał kuś braci rówieśnej,” kiedy „geniusz w wodzu szedł gwiazdą przed nimi,” gdy „byli silni wspólnymi siłami. „wierzyli w tryumf swej myśli plemienną?”

Jest zwyczaj dość pospolity za granicą, że przedmowy do dzieł cudzych piszą się dla pochwalenia lub zachwalenia autora: wypadaloby przeto utartym gdzieindziej torem, choć bez potrzeby, i choć na końcu powiedzieć coś miodowego o podróżniku i jego książce. U nas jednak wysławianie autora pod okładką jego dzieła, na pokaz przed jego czytelnikami, równie jak wysławianie gospodarza w jego domu, na głos przed jego gośćmi, jeżeli się może dawniej zdarzało, dziś Bogu dzięki nie poczytuje się za rzecz godną naśladowania. Lecz jeżeli piszący te słowa sam na swe usta z obowiązku pieczęć kładzie i własnemu każe milczeć sądowi, nikt mu za złe nie policzy, gdy wspomni o pochwałach dawanych przez innych, a zwłaszcza takich, których nie wolno posądzać o marne przypochlebianie się ludziom. Owoż świadectwo dobrze spełnionego przy Mickiewiczu towarzystwa, mamy zapisane w jego *Korrespondencyi*. „Wracałem przez Simplon—pisze z Rzymu do Odyńca 19 listopada 1830,—,i smutno mi było w tych miejscach i pokojach stawać, gdzieśmy niegdyś piechotne, wesołe miewali noclegi. Bo niezawodnie tamta podróż była ze wszystkich najprzyjemniejszą.” W innym

liście pisanym z Bexu 9 lipca 1833, jeszcze tęskniej się odzywa o wspólnym pobycie w Dreźnie: „Jeśli chodzisz do Plauen, przypominaj tam miłe czasy naszego pobytu! Już potem równych nie było dla mnie!”... Serdeczność tryskająca z tych wyrazów pełnych prostoty, dowodzi serdeczności ożywiającej samą podróż, i ona to nie co innego tak ozłociła *Listy*, tak uczyniła je powszechnie miłymi. Wybrane grono najcenniejszych w Warszawie umysłów, po przeczytaniu ich udawało się do Odyńca z przełożeniem, by koniecznie wziął na siebie pisanie zyciorysu Mickiewicza. Tłumacząc ich myśli, Deotyma ze znaną sobie trafnością definicyi mówiła o jego *Listach* w wierszu zamieszczonym w *Bibliotece Warszawskiej*, że „zdrowie z nich tryska jak aromat z ziela, że „dowcip z nich puszcza nie zatrute strzały”, że jest w nich „owa staropolska prostota, co to jak kotek mruga filuternie”, że „na dnie ich serce ze szczerego złota”, że ich autor jest w nich „dwakroć poeta, pieśnią i przyjaźnią”. Dla tego to owe *Listy*, że jeszcze powiemy słowami autorki odezwy, „obiegły kraj cały, wszędzie witane jak list przyjaciela.” Wybiegły nawet za granice kraju. Daleko we Florencyi czytał je Teofil Lenartowicz, i oto co napisał 6 lutego 1871 r. w liście poufnym do przyjaciółki, ogłoszonym w *Kuryérze Codziennym*: „Część *Listów z podróży* czytałem w *Kronice Rodzinnéj*, pożyczonéj mi od kogoś z przejezdnych, i nacieszyć się nie mogłem dowcipem i fantazyą polską. *Listy* Heinego przy téj swobodzie niewymuszonéj, jakże się wydają pretensjonalne! *Listy* Betiny Arnim za poetyczne, pani de

Seigné za dworskie i drobiazgowe. Jest to w swoim rodzaju arcydzieło, jakiemu równego nie posiada nasza ani żadna literatura; pisząc je p. Edward Antoni nie wiedział, że był prawdziwie inspirowanym, ale też tylko tak powstają pieśni ludu, epejeje i wszystko co ma pozostać." Takiej pochwały z pod pióra co napisało *Zachwycenie* i *Złoty Kubek*, zapewne żaden poemat nie doczekał. A to tylko zwyczajne listy, pisane od niechcienia do przyjaciół...

Wypadek—bynajmniej zresztą nie ślepy—zrządził, że *Listy z podróży* doczekały się trudnego w naszym położeniu uznania zagranicą, i to pośród narodu najnieprzychylniejszego dziś Polakom z pobudek plemiennych i innych. Professor Bratranek w Krakowie przetłumaczył na język niemiecki część tych *Listów*, odnoszącą się do pobytu naszych podróżników u rodziny Göthego w Wejmarze, i ogłosił pod tytułem: *Zwei Polen in Weimar*. Dziennikarstwo niemieckie nad Sprewą, nad Renem i Dunajem, zawrzało na ten raz jednomyślnym poklaskiem i rzuciło się do przedrukowywania wyjątków. Sprawozdawcy wołali, że znaleziono „skarb ukryty” (ein ungehobener Schatz). Tłumacz dedykował swój przekład synowej wielkiego Göthego pani Ottylii, której wizerunek blisko przedpółwiekowy narysował Odyniec w VI-m i VII-m swym liście. Dostojna matrona w piśmie dziękującym prof. Bratrankowi za dedykację, ogłoszonem w *Bibliotece Warszawskiej*, napisała następane słowa: „Szczerze mogę panu powiedzieć, że pomimo tylokrotnych opisów naszego domu i kółka, żaden inny nie daje tak

wiernego wyobrażenia o rodzaju ich towarzyskości, która stanowiąc sama najprostszą, ale też zarazem (że się śmiem tak wyrazić) i najdelikatniejszą gościnność, starała się dla każdej znamienitszej indywidualności dostarczać najstosowniejszego materyału; przez co i samo to kółko, acz szczupłe, było wszakże tak pełne interesu, i ojciec (Göthe) jako przewodnik chóru, sam zawsze tworząc szczyt jego, widział się otoczony gronem, stanowiącém niezbędne ogniwo wszelkiej towarzyskości—gronem wykształconych kobiet” i t. d. Okres to może nawet w języku niemieckim za długi, ale trudno o pochlebniejszą dla malarza pochwałę wykonanego przezeń portretu. Po tych słowach, nie wiem czy jest po co jeszcze dodawać, co drukowano po niemieckich dziennikach, że wielki książę wejmarski otrzymał przekład Bratranka na gwiazdkę 1870 r. od swój najjaśniejszej połowicy, która w natłoku tegożczesnych wyrobów muzy niemieckiej, nie mogła znaleźć nic lepszego i powabniejszego na upominek w dniu uroczystym dla męża.

Zresztą uznanie przez Niemców pracy Polaka, jest dla nas rzeczą podrzędniejszego znaczenia. Niemców nadewszystko obchodziła w książeczkę Dra. Bratranka jedna olbrzymia figura Göthego: nas zaś w *Listach Odyńca* obchodzi każdy rys obrazu promiennej doby, której światło i ciepło dotąd, jak wieczorem dzień letni, czujemy w sercach i piśmiennictwie krajowém. Kilkakrotnie już się kuszono odtwarzać tę piękną chwilę w rozwoju naszej literatury i oświaty: nikt nie umiał sprostać założeniu, i rzecz można, nie zbliżył się

ku sprostaniu. Dopiero Odyniec po prostu, bez wysilenia i zabiegów, odsłania przed młodém pokoleniem stubarwne malowidło téj przeszłości, jak tajemniczy Twardowski przed Zygmuntem Augustem postać ukochanej Barbary. Im pilniej wpatrujemy się w malowidło, tém głębiej toniemy w zadumie, a z obrazu coraz jaśniej występuje postać znajoma, ogarniająca wielkiém sercem radości i cierpienia epoki. Znamy tę postać wspartą na Judahu skale, jak wyszła z pod pędzla Wańkowicza; znamy i to oblicze Antinouse, jak je dla potomności odwzorowała w Wejmarze ręka Davida. Zdaje się, że ta postać ożyła i z ram występuje w pełni „młodości górnej i chmurnej”, z odbiciem jeszcze „dzieciństwa sielskiego anielskiego” w prostocie i niekiedy wesołości dziecinnéj. A widok ten pociąga nas i rozrzewnia tém więcej, że nosimy w pamięci i koniec owych kilku wierszy, w których poeta, w ostatnim już roku przed zgonem, zamknął dzieje własnego żywota...

„Polały się łzy me czyste, rześiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moję młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męzki, wiek kłęski;
Polały się łzy me czyste, rześiste...”

WINCENTY KRÓTYŃSKI.

Czerwiec 1874. Warszawa.

L I S T

DO

REDAKTORKI „KRONIKI RODZINNEJ”.

Znałem za młodu światłego i uczonego człowieka, p. pułkownika P., wychowawca niegdyś szkoły kadetów, kolegę i przyjaciela Niemcewicza, który całą swą młodość przepędził w wielkim świecie warszawskim, w najwyższych towarzyskich i literackich kołach. Lubił on i umiał z niepospolitym talentem i dowcipem opowiadać mnóstwo ciekawych i zabawnych anegdot o dworze Stanisława Augusta, i o ówczesnym społeczeństwie warszawskim; ale zauważałem z wielkim podziwieniem, że nie tylko unikał starannie wszelkich poważnych wspomnień o znakomitych wypadkach i ludziach, lecz nawet zapytywany o to odpowiadał zazwyczaj krótko, sucho i z widoczną niechęcią. Nie umiałem odgadnąć przyczyny, aż on mi sam dopiero, za bliższym poznaniem się na wsi, wytłómaczył ją mówiąc: „Wspomnienia są ostatnim skarbem i świętościami starości, tém droższe, im się dotyczą rzeczy i ludzi bliższych sercu naszemu. Poniewierać się niemi nie godzi. Gdy opo-

wiadam rzeczy błahe i obce dla mnie, mniejsza o to, czy mnie kto słucha. Ale właśnie wtedy słuchają. Jedni dla tego, że im błahość najlepiej do smaku; drudzy, że posłyszawszy jakąś anegdotę, mogą ją sami potem przed innymi powtarzać. Ale spróbuj mówić o sobie—poczujesz zaraz, że to nikogo nie obchodzi, lub że ci robią łaskę słuchając. Zaczynj mówić dobrze o drugich—a bądź pewny, że znudzisz słuchaczy. Jeżeli zaś ci drudzy byli twoimi przyjaciółmi, towarzyszami twojej młodości, a potem, skutkiem cnót swych i zasług, stali się ludźmi sławnymi, i po śmierci, dla następnych pokoleń, są już tylko jakby typami cnoty, zasługi i sławy:—o! wtedy, mój przyjacielu, milcz o nich przed drugimi jak ściana, jeśli się nie chcesz narazić na najdotkliwsze upokorzenie wewnętrzne, lub na najobraźliwsze posądzenie moralne. Jedni bowiem, aby ci odjąć co im się być zdaje zaletą, okrzykną cię natychmiast że się przechwalasz i kłamiesz; drugim naprawdę nie może się w głowie pomieścić, jakbym ja mógł na przykład obiadować i śmiać się z Krasickim, grać w warcaby z Naruszewiczem albo w faraona z Trembeckim, pić wino i tańcować z Węgieńskim, lub ze sławnymi dziś współuczniami moimi koleżeńskie figle wyprawiać. A cóż dopiero, gdyby z tych opowiadań moich można było wyciągnąć ten wniosek, że mnie ci ludzie lubili, albo byli przyjaciółmi moimi! Dość już tego, abym dla młodych zwłaszcza słuchaczy, stał się przedmiotem zaocznych przynajmniej żartów, albo sarkastycznych przycinków, na które

choćbym nie zważał, ale narażać się na nie nie lubię, i nie widzę żadnej potrzeby.”—

Wyznaję, że słysząc kiedyś te słowa, kładłem je, jak zwykle młodzi, na karb uprzedzeń i gderactwa siedmdziesięcioletniego już naówczas staruszka; a lubo sam starzejąc, przekonałem się nieraz (jak to także zwykle się zdarza), że staruszek miał słuszność: nie mniej przeto często żałuję, że go nie zdołałem nakłonić, aby to, co mi o tych i tym podobnych ludziach nieraz po całych godzinach na cztery oczy opowiadał, zostawił przynajmniej na piśmie dla tych, coby go z równem zajęciem i uczuciem czytali, jak ja opowiadającego słuchałem. „Jeżeli spotkasz takich— odpowiadał mi na to—to sam sobie powtarzaj albo pisz dla nich coś słyszał; ja ani już ich szukać, ani palców dla nich czernić nie będę”.—

Gorzko nieraz wyrzucam sam sobie, że w swoim czasie nie uczynił, nim słyszane szczegóły tak się w pamięci mojej pomąciły albo zatarły, że już pozostałych w niej nawet w żadną całość związać nie mogłem. Ale właśnie ta okoliczność dała mi poczuć żywiój brak, a oraz i przyczynę braku podobnych szczegółów w literaturze naszej; to jest brak wiadomości o osobistém i towarzyskiém życiu najslawniejszych pisarzy naszych z epok przeszłych, których spółcześni czy przez lenistwo, czy przez obawę sądów ludzkich, spisać nie chcieli; podczas kiedy we wszystkich literaturach innych, anegdotyczna historia autorów tak obszerne i ważne zajmuje miejsce,

a dla ceniących ich dzieła, w obcych nawet krajach tak wiele ma zwykle powabu.

Jakoż utyskiwania na to stają się coraz powszechniejsze; i już przed laty ś. p. Michał Grabowicz wzywał usilnie wszystkich literatów, ażeby, jeśli chcą użyć ich sami, udzielali mu materyałów „do storyi anegdotycznej naszej literatury, to jest do obrotu nie samych tylko dzieł, lecz ogólnego życia naszego umysłowego, a więc koteryi literackich lub pojedynczych ludzi, którzy, w różnych czasach i w różnych miejscach, pomagali do ruchu literackiego, wpływali nań, lub tylko wystawieni nań byli”.—On sam, pierwszy początek, skreślił i przysłał mi kiedyś krótką auto-biografią własną, aby mię do wywzajemnienia się zachęcić. Po zgonie jego, przed parą laty, podałem ją do druku właśnie przez ręce Pani; i gdy Pani w nowym swém piśmie, otwierasz miejsce dla podobnych wspomnień, a wezwanie ś. p. Grabowskiego powielasz: starać się będę z méj strony, aby, o ile możności, zadość temu uczynić.

Tymczasem oddaję do rozporządzenia Pani listy moje z podróży niegdyś odbytej, pisane do dwóch moich przyjaciół: Juljana Korsaka i Ignacego Chodźki, które po zgonie ich obu do rąk moich wróciły, a których ogłoszenie jużem był niegdyś przedtém zapowiedział. List zaś niniejszy racz Pani umieścić, jał wstęp i przedmowę do nich.

A. E. ODYNIEC.

1 Grudnia 1867 r. Warszawa.

LISTY Z PODRÓŻY.

—•••—

I.

Do Juljana Korşaka.

Brześć Litewski, 22 Kwietnia (4 Maja) 1829.

Zdziwisz się odbierając list odemnie z Brzeşcia. Ja sam dziwię się, że tu jesteni. A jestem tylko przejazdem; a jadę do Petersburga! Wczoraj rano ani mi śniło się o tém. Czytałem sobie najspokojniej Sismondego „*La Littérature du Midi*”, kiedy wszedł nasz kochany Eustacy ¹⁾, gość równie miły jak niespodziewany. „Zkąd? dokąd?” — ma się rozumieć pierwsze zapytanie. — „Przyjechałem wczoraj z Berlina, a dziś do Petersburga wyjeżdżam!” — „Szczęśliwy! obaczysz się z Adamem.” — „A no! to siadaj ze mną! Jadę w interesie wiązań Radziwiłłów; mam powóz obszerny; zawiozę cię bez kosztu i odwiozę do Wilna.” —

¹⁾ Eustachy Januszkiewicz.

Jak w „Jerozolimie Wyzwolonėj” Eustacy Tassa na widok Armidy:

„Zachwycił zaraz ognia, jako chwyta
Płomienia słowa blisko położona;”

tak na te słowa Eustacego naszego zapaliło mi się w głowie i w sercu, i tak się gracko uwinąłem z paszportem i innemi przyborami do drogi, że już o dziesiątej wieczorem:

Zagrzmiała trąbka—jak echem grzmotu
Domy się trzęsą od kół łoskotu;
Tętni most głucho—my pędzim śmiało,
Aż niebo w nurtach Wiślanych drżało.
Skrzypi żwir szosse—i mil dwadzieścia
Przemkły jak jedna—i piszę z Brześcia.

Jeśli zaś w Petersburgu odbiorę odpowiedź twą *poste restante*, to obiecuję ci zaraz z nad Newy zacząć uiszczać obietnicę, daną ci w obec Wisły na wyżynach Parchatki (w Puławach), pisania w listach do ciebie dyaryuszu wszelkiej mojej podróży, którą wiesz, że mi przepowiednia rokuje. Stefan ¹⁾ wierzy jój równie ze mną; Pan Joachim ²⁾ śmieje się z niej i ze mnie; a ja ufam w nią więcej niż kiedy, widząc jak się podróż dzisiejsza niespodzianie złożyła. Ale będzie, jak będzie!—Tymczasem słyszę już dzwonek zamiast trąbki, i Eustacyusz woła aby kończyć. Bądź więc zdrow! pisz *poste restante*, a będziesz miał odpowiedź i dyaryusz. Czy ciekawy?—obaczmy.

¹⁾ Witwicki.

²⁾ Lelewel.

II.

Do tegóż.

St. Petersburg, 5 (17) Maja 1829.

Listu twojego *poste restante* nie ma; ale że jeszcze być nie mógł, a pewny jestem że będzie, zaczynam za-
tém swoje, nie czekając na niego.

Zaledwie d. 1 (13) Maja, (bośmy się zatrzymywali po drodze u matki Eustachego), o godz. 9 wieczorem stanęliśmy w grodzie Piotra, przed pałacem xięcia Wittgensteina, i pierwszą osobą, którąśmy wchodząc na próg sieni spotkali, była sama xiężna Stefania ¹⁾), schodząca właśnie ze wschodów, w całym blasku balowego stroju i wdzięków, mająca gdzieś jechać na wieczór. Jeżeli taką była Barbara Radziwiłłówna, to nie dziw, że się w niej królewic zakochał.—Na towarzysza mojego czekało już mieszkanie przygotowane dla niego w pałacu; ja, zabrawszy moje manatki, pojechałem do mieszkania Adama. Nie zastałem ani jego, ani pana Franciszka ²⁾); ale poczciwy Nikifor uwierzył mi na słowo, że będę pożądanym gościem; otworzył drzwi i uczęstował herbatą.—Nie spodziewaj się abym ci opisywał wrażenia i uczucia moje; jeśli współ-

¹⁾ Córka xięcia Dominika Radziwiłła, wydana za x. Wittgensteina, w którego dom wniosła wszystkie dobra nieordynackie Radziwiłłów nieświezkich.

²⁾ Malewskiego.

czujesz, to je sam odgadniesz; sentymentalizować nie będę.

Przed tygodniem ubiegło właśnie pół pięta roku, jak go po raz ostatni, wraz z tobą, wyjeżdżającego z Wilna widziałem. Myśl, że go lada chwila wchodzącego obaczę, trzymała mnie w obudzeniu pomimo bezsennej nocy poprzedniej i znużenia podróży. Przejrzałem wszystkie sprzęty i sprzeczki; ale oprócz krzesiwka fabryki wileńskiej, które mu dałem na pamiątkę, na samym już z Wilna wyjeździe, nic znajomego dawniej nie znalazłem. Nakoniec, jak ów Dafnis w sielance, „przyległem” na łóżku jego, i „znużenia w śnie swobodnym zabyłem”.—Obudziłem się pod pocałowaniem, i pierwszy widok, który oczy moje uderzył, był to jaskrawo-czerwonawy kolor hiszpańskiego płaszcza, w którym On stał pochylony nademną, odbijający blask świecy, którą Nikifor trzymał nad moją głową, dla pokazania, „*kakoj to baryn*” tak poufale rozgościł się w domu.—Adam wygląda prześlicznie; wesoły i ożywiony. Wzrok niegdyś posepny i mgławicy, błyszczący i promienieje jak brylant. Pan Franciszek też zdrow i wesoły.—Słońce wschodziło, kiedyśmy po raz ostatni powiedzieli wzajem „dobranoc”; ja z dodatkiem cytacyi sonetu, za co Adam pogroził mi palcem. Wkrótce znowu obudził nas Oleś ¹⁾, do którego Adam słów parę przed położeniem się napisał, a Nikifor odniósł je wyszedłszy do miasta.

¹⁾ Alexander Chodźko.

Na Olesiu znać także, że mu klimat północny nie szkodzi.—Po herbacie, pan Franciszek poszedł do bióra, my zaś zostaliśmy gawędząc i paląc cygaro. Notabene, Adam nie broni już go nam palić, jak dawniej, uznając przecież, żeśmy już nie „imberby”.

Ale tu muszę cofnąć się do Mińska, abys zrozumiał co dalej nastąpi. Otoż w Mińsku spotkaliśmy się w traktyerni z jadącym także do Petersburga Włochem, hrabią *Camillo Gritti*, z Wenecyi, którego obroniwszy od niesprawiedliwego zdzierstwa gospodarza, zjedналиśmy przez to sobie bliższą jego znajomość i wdzięczność, tak, że pod względem rozpłat na stacyach i w oberżach, zdał się całkiem na naszą opiekę. W podróży, między innymi, opowiadał nam mnóstwo szczegółów o świetnym niegdyś przyjęciu i owacyach, które najznakomitsza młodzież w Medyolanie i Wenecyi wyprawiała dla podróżującej po Włoszech pani Maryi Szymanowskiej, tak na cześć jej talentu, jak wdzięków. Szczegóły te opowiadałem właśnie Adamowi, kiedy mu przyszła myśl pusta zmistyfikowania pani Szymanowskiej, której naprzód chciał mię przedstawić. Pisze więc i posyła przez Olesia kartkę, że przyjechał do Petersburga polecony mu z Warszawy przez Waleryana Krasińskiego i przeźemie, Hiszpan, Don Alonzo Truchillo y Astorgas y Bubantes, który jest przyjacielem pana hr. Camillo Gritti, ma dla niej od niego ukłony, i przeto życzy ją poznać. Oles miał zapowiedzieć, że go Adam przyprowadzi niezwłocznie; a była to już godzina jedenasta. Nie przewidzieliśmy, że p. Franciszek idąc do

bióra, chociaż to wcale nie było po drodze, wstąpi jednakże do pani Szymanowskiej, niby dla powiedzenia o mojem przybyciu, a w rzeczy samej zapewne dla oddania przy tej zręczności dzień dobry pannie Helenie. Zamierzona więc przez nas mistyfikacya chybiła swego celu; ale natomiast pani Szymanowska postanowiła zażartować nawzajem, przyjmując mię jak rzeczywistego Hiszpana. Oleś, czy dał się wciągnąć do kompletu, czy, jak powiada, zatrzymany gwałtem przez panienki, na spotkanie nasze wyjść nie mógł; dosyć, żeśmy nie wiedzieli o niczem. Adam tymczasem, zawiązawszy mi sam chustkę, jak mówił, *po europejsku*, (bo ją dotąd po wileńsku nosiłem), dawał mi w drodze rozmaite przestrogi, i uczył jak mam z hiszpańska po francuzku wymawiać. Pani Szymanowska przyjęła nas z jak największą powagą; Adam też nie mniej poważnie i seryo wydeklował całe moje hiszpańskie nazwisko. Panienki tylko z Olesiem, powitawszy nas bardzo grzecznie zdaleka, szeptały i chychotały pod oknem. Zacząłem opowiadać o panu Gritti, i tyle różnych przytoczyłem szczegółów, że była chwila, w której pani S., jak sama potem wyznała, uwierzyła rzeczywiście w Hiszpana, a oznajmienie p. Franciszka wzięła za mistyfikacyą z jego strony. Nie długo jednak to trwało; bo wnet przechodząc do Warszawy, zaczęła mię pytać o mnie samym, i z tak widoczną przesadą szerzyć się z pochwałami mojemi, że mię tém skonfundowała zupełnie. Na zapytanie więc: czy ani słowa nie nauczyłem się w Warszawie po polsku? odpowiedziałem przeproszeniem za żart,

którego, ma się rozumieć, całą odpowiedzialność na Adama złożyłem. Pojmiesz więc łatwo ton nowego powitania i dalszej rozmowy. Panienki mówiły ze mną, jak z Hiszpanem. Panna Celina przesliczna; z oczu i z cery prawdziwie do Hiszpanki podobna. Panna Helena mniej piękna, ale pełna życia, dobroci i wesołego dowcipu. Po kilkunastu minutach rozmowy, Oleś zaproponował panienom zwykłą widać między niemi grę w piłkę, do której i ja się *wkupiłem*. Adam został w salonie z panią S. i z jej siostrą, panną Julią Wołowską, ociemniała na wzroku, ale światłą i miłą osobą. My graliśmy *w kaszkę* w drugim przyległym pokoju; lecz że piłka była nazbyt *koźlista*, a ktoś ją łowiąc niezbyt zgrabnie potracił, (bo kto? nikt się nie przyznał), trafił się fatalny przypadek: to jest, że uderzyła w okno, i z brzękiem wybiwszy szybę, wyleciała precz na ulicę. Panna Helena uderzyła w dłonie; panna Celina zaszła się od śmiechu i rzuciła się na kanapę. Ale wtém zmieniała się scena. Pani S. na brzęk szyby wybiegła szybko z salonu, a obaczywszy co się stało, dalejże z powagą matczyną upominać skonfundowane panienki. Panna Celina porwała się z kanapy, i stała nieruchomie ze spuszczonei oczyma; panna Helena oblała się rumieńcem. Wtenczas ja, pociągawszy Olesia za rękę, przykląkłem razem z nim i zawołałem: „Pozwól nam pani za te panie odkłęzcę!”—Przybrana surowość matki pierzchnęła przed wesołym uśmiechem, a uśmiech ten był hasłem dla obu panienek, że znowu śmiejąc się głośno, jedna rzuciła się na szyję matce, drugą rękę jej całowała.

— koleś i my, jako współwinowajcy, przystąpiliśmy też do przeprosin, i pomimo instygowania na nas stojącego w progu Adama, amnestya była powszechną. A matczyński uścisk pani Szymanowskiej, przyłożył jakby pieczęć do tej szczególnej piérwszej znajomości, po której jesteśmy już dzisiaj, jakbyśmy się od dzieśmiu lat znali.

Dużo po pani Szymanowskiej osobą, z którą Adam chciał mnie zaraz zapoznać, i tegóż dnia po południu zapoznał, jest pan Józef Oleszkiewicz, malarz. Wolał ze wszystkiego, że ten człowiek ma wielki wpływ na Adama, który opowiadał mi o nim mnóstwo szczegółów — nie pozor Bartolbów, jako o oryginale, ale o tych innych opowiadań widać, jak go głęboko szanuje i kocha, i jak pewny jest uczuć wzajemnych. Chodził tu czytając to, co o nim słyzałem: pan Józef Oleszkiewicz, znakomity artysta, rodem z prowincyi nie był od wielu lat stale w Petersburgu osiadły, jest najbogobojniejszy człowiek, i jak go nie nazywają „Mistyk”, to jest, wierzący nie tylko w bogactwa, ale w żywą zawsze i wszędzie obecność Boga, w Jego wolę i rozządzenie we wszystkiem; w opiekę i nad wszystkimi czuwającą Opatrzność, i natomiast w tajemniczy świat ducha, przeważnie choć niewidocznie wpływający na ludzi. Ustawiczne przytoczenie z tego Bibliu nadaje myślom i wyobraźni jego „wiedzący” — jak mówi Adam, nastrój i kierunek, tak — jak Swedenborg przewiduje niekiedy przyszłość i wiele rzeczy trafnie przepowiedział. W przepowiedniach się jednak nie wdaje, i owszem pod

tym względem jest niezmiernie ostrożnym. Najwydatniejszą atoli cechą jego jest miłość, w najrozleglejszém tego wyrazu znaczeniu, ogarniająca nie tylko wszystkich bez wyjątku bliźnich, ale wszystkie żyjące stworzenia, a nawet i świat roślinny. Nad tém uczuciem dla całego stworzenia, góruje w nim tylko cześć i uwielbienie dla Stworzyciela i Zbawcy, i żarliwość o chwałę Jego. Uczuć tych i łatwowiernej jego dobroci nadużywają czasem niektórzy; ale on sam nie tylko tego nie widzi i nie przypuszcza, ale owszem oburza się na tych, którzy tak sądzą, i chcieliby go o tém przekonać; posądzenie albowiem, i w ogólności sąd o bliźnich na złe, w oczach jego największym jest grzechem. Na tém to tle mianowicie, Adam opowiada o nim mnóstwo pociesznych, a jednak wzruszających szczegółów, które szanować i kochać go każą. Muszę ci powtórzyć niektóre, abyś podług nich sam sobie dalsze o nim wyobrażenie utworzył.

Jeden z hulaków i utracyszów, przez pół filozof i literat, p. B., nasz ziomek, znający najdotkliwszą strunę serca Oleszkiewicza, to jest, troskliwość jego o cześć Pana Boga, wpadł raz do niego wyrzekając i bluźniąc na Opatrzność, która nie dozwala mu nigdzie dostać 300 rubli assygnacyjnych, choć tak mu są w téj chwili potrzebne, że bez nich w łeb sobie strzeli. Nie ma człowieka w Petersburgu, któryby znając pana B., nie poznał się na tak wyraźnej komedyi; ale dobroduszny Oleszkiewicz wziął rzecz na serio, i wierząc w prostocie serca, że mu się udało na koniec skruszyć upomnieniami swojemi zrozpaczonego

niby bluźnierce; dla témi lepszego utrwalenia ich skutku, dobył z kantorka żądane 300 rubli. ostatnie note które sam posiadał, (bo zwykle wszystko, co zapracuje, rozdaje proszącym o wsparcie), i oddając je panu B. rzekł: „Widzisz, jak nierozsądnie bluźnisz na Opatrzność. Ja mam właśnie zbywającą tę sumę, i Opatrzność przywiodła cię do mnie. Weź więc, a daj mi słowo uczciwe, że już więcej tym sposobem nie zgrzeszysz. Oddasz, jak będziesz mógł; czy mnie samemu, czy, kiedy ja umrę, komuś równie potrzebującemu, jak sam jesteś w tej chwili.”—Adam, opowiadając to dodawał, że pan B., pomimo swego cynizmu, lubo wziął pieniądze, i ma się rozumieć nie oddał, tak przecież był przejęty i upokorzony dobrą wiarą Oleszkiewicza, że o nim odtąd z największą tylko życzliwością i uszanowaniem wspominał.

Drugie zdarzenie, podobnego nieco rodzaju, przypomina fakt z życia ś. Jana Kantego. Razu jednego wieczorem, Oleszkiewicz napastowany został przez złoczyńcę, który mu wyrwał z rąk pugilares, podczas gdy go pod latarnią przeglądał; ale że był silniejszy od niego, nie tylko że mu zdobycz odebrał, ale ujętego mocno za rękę zmusił do błagania o miłosierdzie, aby go nie oddawał w ręce sprawiedliwości. Naówczas Oleszkiewicz, zaprowadziwszy go do pierwszej bramy, w której paliła się lampa, otworzył przed nim naprzód swój pugilares, dla pokazania, że w nim zgoła nie było pieniędzy; następnie zaś, przypuszczając, że go ostatnia chyba nędzą do podobnej zbrodni zmusiła, dobył z innej kieszeni kilkanaście rubli, i dał mu je

pod przysięgą, że nadal złodziejskiego rzemiosła zaniecha. Skruszony łotr padł przed nim na kolana, i prosił o powiedzenie nazwiska, a w parę lat potem, stawił się sam u niego, jako sługa w sklepie kupańskim, i oddał mu wzięte pieniądze.

Ale nie skończyłbym dzisiaj, gdybym ci chciał opisywać różne inne podobne anegdoty, które o nim od Adama słyszałem. Nie mogę wszakże pominąć jeszcze jednej, w której Adam sam był aktorem; że zaś ta łączy się ściśle z niemniej szczególną miłością Oleszkiewicza dla zwierząt, muszę jeszcze i na tym punkcie kilka słów o nim powiedzieć. Wszystko co żyje, jako obdarzone życiem przez Boga, ma już dlań pewien charakter świętości; ztąd nie tylko żadnego nigdy mięsa nie jada, przypisując właśnie jedzeniu jego wszystkie zwierzęce popędy i namiętności w ludziach, i z nich, jako kara krwiożerstwa, wynikające między nimi wojny; ale i najdokuczliwsze nawet żyjątka znajdują w nim opiekuna i obrońcę. Tak np. zabijanie lub trucie much, Oleszkiewicz uważa za grzech, z egoizmu tylko naszego wynikający; sam zaś broni się od nich następującym sposobem. Codziennie rano namacza w piwie kilkanaście arkuszy grubiej bibuły i rozwiesza ją w kącie na poręczach krzesła. Jakoż muchy, napiwszy się piwa, siedzą potem w półsenne dzień cały na suficie albo po ścianach, nie naprzykrzając się nikomu, ani pstrząc nawet rozwieszonych obrazów. Ale jakkolwiek Oleszkiewicz wszystkie bez wyjątku żyjące istoty równą troskliwością ogarnia, najpierwszym wszakże przedmiotem upodo-

hania jego są—koty. Dom jego napełniony jest niemami; chodzą i łażą wszędzie, gdzie im się podoba, a żywność ich dzienna kosztuje go bez porównania więcej, niż jego własna. Prócz tego jest osobny pokój, zwany „iufirmeryą,” gdzie pod osobnym dozorem starcy Fiołki, rodzą się i hodują młode, a pielęgnują się chore. Skoro jednak młode dorosną, Oleszkiewicz rozdaje je każdemu kto zechce, dając przytém, jak powiada, w posagu, po samcu 5, a po samicy 10 rubli assygnacyjnych, na dzieci; za co nawzajem biorący obowiązują się pod sumieniem, żywić je i utrzymywać starannie, i muszą mu dać swój adres, aby od czasu do czasu mógł się przekonać naocznie, czy zobowiązania biorą swój skutek.—Jednego tedy razu Adam, wśród największego upału, spotkał go na jednej z oddalniejszych ulic, chodzącego od domu do domu z kartką w ręku, i czytającego numeru nad bramami. Zapytany co tu robi, odpowiedział, że szuka numeru, wskazanego mu na tej ulicy, lecz którego znaleźć nie może; kiedy zaś opowiedział dalej, że adres ten dał mu jeden z tych, co wzięli u niego kociątko i posag po nim: Adam śmiejąc się, zaczął mu dowodzić, że ten co je wziął, dał mu umyślnie numer fałszywy, a utopiwszy kota, posag tylko sobie zatrzymał. Posądzenie to tak obruszyło Oleszkiewicza, że przypisując tylko sobie samemu omyłkę w zapisaniu numeru, bez pożegnania nawet rozstał się z Adamem, i za obaczaniem się znowu, nie pierwój przestał go gderać o brak miłości bliźniego, aż ten, dla świętego pokoju, posądzenie swoje odwołał.

Otóż do tego zacnego człowieka zaprowadził mnie Adam. Jest on wysokiego wzrostu, dziwnie słodkiej, spokojnej i szlachetnej twarzy. Przyjął mnie jak można najuprzejmiej; kiedy zaś mu powiedziałem, że wiele o nim słyszałem od Adama: „A, a!—zawołał z uśmiechem—to pewnie opowiadał dziwosy. On to zawsze ze mnie podedrwiwa. Ale to nic nie szkodzi! Ja wiem, że on mnie kocha, bo on wie, że ja go kocham.”—I kiedy Adam odpowiedział na to, że na nich właśnie sprawdza się przysłowie: że kto się kocha, ten się kłóci; Oleszkiewicz, machając ręką i kiwając głową, rzekł zawsze z uśmiechem: „Nic to nie szkodzi! Ty myślisz teraz, że ty strasznie rozumny, i że nie ma światła nad rozum. Ale to nic nie szkodzi! Jak Pan Bóg chce, tak będzie.”—I obracając się ku mnie, dodał: „On broni się przeciw duchowi, jak Jakób; ale to nic nie pomoże. Jest on naczyniem wybranem, i prędzej później Łaska go napełni, i przez niego spłynie na drugich.”—

Adam śmiejąc się odpowiedział na to, cytując z baśni ludowej, co w niej, niesiony w zawiązanym worze, woła, jak wiesz, ciągle po drodze, aby kogoś z przechodniów do zajęcia miejsca swego pokusić: „Ani czytać, ani pisać (nie umiem), a na urząd mię wiozą!”—Oleszkiewicz zaśmiał się także; ale po kilku chwilach dalszej w tymże tonie rozmowy, zwrócił się do mnie, i wpół z uśmiechem, wpół z żywością rzekł: „Zróbże tu co z ludźmi? Szczepisz w dąb, nie przyjmuje; szczepisz w kapustę, rozłazi się.”—W ogólności sposób jego wyrażania się jest dosadny i figuryczny.

Dalszą rozmowę naprowadziłem na sąd o ludziach. *Wdyż* teoria bezwarunkowego wyrzeczenia się wszelkiego sądu jednych o drugich, wyznaje, iż mi się i nie-pojęty i dziękę zdawała. Ale Oleszkiewicz rozróżnia wiązania od sądu, a cóż dopiero od wyrokowania o drugich; a tak pięknie, tak głęboko, a przytém tak wymownie rozwinął teorią chrześcijańskiej miłości bliźniego, iż poczułem najdoskonaliej, że wszystkie nasze sądy o drugich pochodzą tylko raczej z braku miłości dla nich, niż z zbytku zamiłowania prawdy, jak to sami sędziowie zwykle ogłaszają. Bóg rzeczywiście, poki kogo kochamy, wad w nim albo zgoła nie widzimy, albo widząc nie czujemy; a nawet im więcej sami moglibyśmy boleć nad niemi, tém mniej pewno głosilibyśmy o nich. — Wyszedłem wzruszony i zbudowany, jak rzadko z którego kazania; a teorią miłości, którą słyszałem, sama przez się zastosowałem się w sercu do mistrza ¹⁾.

¹⁾ Oleszkiewicz zmarł w jesieni 1830 r. Wiadomość, że jest umierający, dostał Mickiewicza w Genewie w liście pani Franciszka M. — Nie byłem w domu kiedy list ten odebrał. Za powrotem znalazłem go dziwnie zmienionym i zaczerwienionymi oczyma. Na pytanie, co mu jest? widocznem było, że odpowiedzieć nie może, aby znow w sobie nie obudzić wzruszenia. Domysłem przypuszczając nieszczęścia i złąkłem się o najbliższych. Wówczas on powstał szybko z kanapy, i idąc niby zapalić fajkę u komina, w przechodzie wziął mię za rękę i jak przez gwałt wymówił tylko: „Oleszkiewicz,” — poczem wyszedł do drugiego pokoju. Wieczorem dopiero dał mi dc

III.

Do tegoż.

St. Petersburg 9 (21) Maja 1829.

Wczoraj Adam zawiózł mię do poety Kozłowa ¹⁾, któremu, jak wiiesz, dedykował swojego „Farysa”. Trzech, których nadewszystko pragnąłbym poznać: Puszkina, Żukowskiego i xięcia Wiaziemskiego, w téj chwili na nieszczęście nie ma w Petersburgu. Wszyscy oni należą do najbliższych przyjaciół Adama, którym on téż serdeczną wzajemnością odplaca.

W listach jego do mnie czytałeś wiele szczegółów o spotykającej go tu ogólnie uprzejmości i życzliwości; ale on sam nie pisał nigdy o swoich literackich tryumfach, o których tutaj dopiero dowiaduję się od drugich.

przeczytania ów list, ale mowy o nim nie było. Nazajutrz obudził mię wcześniej niż zwykle, mówiąc abym się śpieszył z ubraniem i razem z nim szedł do kościoła. Jakoż trafiliśmy w sam czas na mszę, którą był wczoraj na intencyą chorego zamówił.—Odtąd już ani razu nie wspomniał o Oleszkiewiczu, jak zwykł był dawniej, w żartobliwy sposób; a mówiąc o nim, mówił już tylko zawsze jako o najcnotliwszym i najświętobliwszym jakiego znał, człowieku. Pamięć jego miała największy wpływ na przyszły religijny kierunek myśli i uczuć poety. Brat Piotr, ratujący od ostatecznego upadku rozumową pychę bluźniercy, jest to uosobienie idei i wpływu Oleszkiewicza.

(P. A.)

¹⁾ Jan Kozłow przełożył między innemi „Sonety Krymskie” Mickiewicza na język rossyjski; † 1838.

Oprócz sławy z dzieł pisanych, z których, jak wiesz, wyjątki tłómaczyli wszyscy najznakomitsi poeci tutejsi, improwizacye jego, których miał kilka tu i w Moskwie, choć były tylko prozą i to po francuzku, wzbudziły podziw i zapal słuchaczy. Ach! bo pamiętasz jego improwizacye w Wilnie! Pamiętasz to prawdziwe *przemienienie* twarzy; ten blask oczu, ten głos przenikający, że cię aż strach ogarnia, jakby duch przez niego przemawiał! Wiersz, rym, forma, nic tu nie znaczą. Mówiącym z natchnienia ducha, dany był dar wszystkich języków, a raczej ten tajemniczy język, który każdy człowiek zrozumie. Przy jednej z tych improwizacyi w Moskwie, Puszkina, na cześć którego dany był ów wieczór, porwał się z miejsca, a zagarniając w górę włosy i prawie biegnąc po sali, wołał: *Quel génie! quel feu sacré! que suis-je auprès de lui?*—i rzuciwszy się na szyję Adama, ścisnął go i całował jak brata. Wiem to od naucego świadka, i wieczór ten był początkiem wzajemnej między nimi przyjaźni ¹⁾. Niedawno, kiedy już Adam otrzymał paszport za granicę, literaci tutejsi wyprawili dlań pożegnalną ucztę, na której ofiarowali mu puchar srebrny, bardzo pięknej roboty, wyłaczany wewnątrz, z wrytymi imionami ich wszystkich, tudzież Moskiewskich kolegów, którzy choć nieobecni, należeli

¹⁾ W późniejszych już latach Puszkina, kiedy mu przyjaciele zarzucali obojętność i brak ciekawości, iż nie chce zwiedzić zagranicznych krajów, odpowiedział: „Piękności

do składki. Adam podziękował im przecudną, jak mówią, improwizacją, także prozą w języku francuzkim, która wszystkich, i w końcu jego samego, do rzewnych łez poruszyła. Piliśmy z tego puharu przy obiedzie, którym kochany pan Franciszek uraczył u siebie w domu kilkunastu bliższych przyjaciół i wspólnych naszych kolegów. Nie mogliśmy uprosić Adama, aby improwizował; ale za to tak był ożywiony w rozmowie, że ani spostrzegł, jak zamiast piwa, wypił całą szklanę madery, i dopiero gdy już nalewał drugą, przestroga pana Franciszka: „Czy to nie będzie za wiele?” zwróciła jego uwagę i wykryła poprzednią omyłkę. To dało powód do śmiechu i żartów, i do nieskończonych anegdot o czcicielach Bachusa za dawnych czasów u nas, przyczém Adam w opowiadaniu prym trzymał. Nie widziałem w nim przedtém nigdy takiej wesołości, ani takiego daru opowiadania.

Ale wracając do Kozłowa. Jest on oddawna już ociemniały, a sławny w literaturze rosyjskiej z pięknego poematu p. t. „Czerniec” (Mnich), z wielu udatnych poezyi lirycznych i przekładów z Lorda Byrona, którego jest najzapaleńszym czcicielem. To téż, gdy mu Adam powiedział, że ja téż nieco po angielsku rozumiem i tłómaczyłem kilka urywków z jego ulubio-

natury potrafię wyobrazić sobie piękniej nawet, niż są w istocie; pojechałbym chyba dla poznania wielkich ludzi; ale znam Mickiewicza, i wiem, że większego nadeń nie znajdę.”—Słowa te mam powtórzone sobie przez tego, który je słyszał z ust samego Puszkina.

(P. A.)

nego poety, zapalił się jak proch i zaczął z największym uczuciem, ale bez żadnej przesady, deklamować na pamięć naprzód oryginał, a potem swoje tłumaczenie początku „Narzeczouej z Abydos,” które mi się bardzo podobało. Ale podobały mi się w nim najwięcej: uprzejmość, szczerłość, prostota, nadewszystko zaś egzaltowane przywiązanie i prawie cześć dla Adama. Nie mogę ci powtórzyć wszystkiego, co mówił o nim; ale mówił tak poetycko, z takim wzruszeniem i zapalem, że nie mogłem się wstrzymać od łez; a i on sam szlochał jak dziecko, uściskając mię wzajem. Adam stał na uboczu i milczał, ale widziałem, że był poruszony.

Ależ bo Kozłow nie prawil komplementów! Mówił co czuł głęboko, a wszystko co powiedział, to prawda. „*Vous nous l'avez donné fort, et nous vous le rendons puissant,*” wyraził się między inuemi. I tak jest najrzeczywiściej. Jak w jego oczach i twarzy, tak i w jego rozmowie, jest całkiem co innego, niż było. We wszystkiém dawniej był nastrój głównie uczuciowy, który cię urzekał i pociągał ku niemu, ale sam na ciebie nie wpływał. Był on jak xiężyc omglony, a teraz, rzechy można, promienieje jak słońce. Teraz, kiedy co ważniejszego mówi, to jakby światło biło z tych słów jego, tak się od nich widomie w myślach twoich rozwidnia. A przytém ma widocznie ducha wieszczego, który wprawdzie i przedtém nieraz już się w nim w wielu razach objawiał. Sam mi powiadał, że wygrał parę tysięcy rubli assygnacyjnych w zakłady od różnych osób, które z nim różniły się w zdaniu,

co do mających nastąpić wypadków, podczas byłej kampanii tureckiej, i miały wszelką racjonalność za sobą; on zaś polegał tylko na wewnętrzném poczuciu.

W tych czasach zajęty był pisaniem osobliwszego dzieła, p. t. „Historya Przyszłości.” Pisze je zaś po francuzku i ma już napisanych przeszło 30 arkuszy. Przejrzałem je tylko przelotem, a on sam odczytał mi niektóre patetyczne ustępy, to jest mowy na wzór Liwiusza. Ale to precudowna rzecz, powiadam tobie! i jeżeli dokończy jak zaczął, będzie to może kiedyś „Don Kiszot” swojego czasu. Bo jak Cerwantes w tym swoim romansie przedstawił, w sposób komiczny, skutki rozbującej uczuciowości i wyobraźni wieków przeszłych; tak Adam, w poważnym tonie historii, chce przedstawić przewidywane skutki materialnego egoizmu i egoistycznego racjonalizmu, którym świat obecny hołduje. Ale Cerwantes skupiał to wszystko w jednej osobie swego bohatera; Adam zaś chce okazać w losach całych narodów, zestawiając obok siebie: najwyższy szczyt cywilizacyi materialnej i najniższy upadek uczucia, ducha i wiary—notabene, tylko w mężczyznach. Kobięty albowiem, jakkolwiek emancypowane już całkiem i porównane we wszystkich prawach z mężczyznami, nie mogą jeszcze się pozbyć owych „starych przesądów,” i stanowią „Izbę niższą” w obradach sejmowych, stanowią też jedyną opozycyą i tamę przeciw absolutnemu panowaniu tego, co Izba wyższa, to jest mężka, zowie „czystym rozumem”, potępiając wszelkie uczucie.

Opowiadanie zaczyna się od r. 2,000 i ma obejmować dwa wieki. Po ogólnym poglądzie na ówczesny stan świata, a mianowicie Europy, następuje opis jej przygotowań i narad sejmowych, w obec grożącej napaści Chińczyków, która w końcu przychodzi do skutku. Bitwa stoczona przez same kobiety i nieco dwudziestoletnich młodzieńców, pod wodzą bohaterki z nad Wisły, kończy okres już napisany. Cała zaś ta historia, jak mi mówił Adam, kończyć się ma na wejściu ziemi w stosunki z planetami, a to za pomocą balonów, które naówczas tak mają żeglować po powietrzu, jak dziś okręty po morzu; cała zaś ziemia ma być pokryta siecią kolei żelaznych, które, jak wiiesz, budują już w Ameryce i zaczynają na próbę budować w Anglii, a którym Adam ogromną przepowiada przyszłość, twierdząc, że postać świata przemienią. A cóż dopiero mówić o cudach przemysłu, wynalazkach i odkryciach, które już są opisane w Poglądzie! Jest to świat z Tysiąca Nocy i Jednej; a wszystko tak poetyckie, tak cudowne, a przytém tak na pozór prawdopodobne, że i pragniesz, żeby tak było, i wierzysz, że tak być może. Boję się dotykać szczegółów, bo czuję, iżbym dzisiaj nie skończył. Ale jak nie powiedzieć choć słówka o całych flotach skrzydlatych balonów, latających w powietrzu, jak żorawie lub gęsi? O całych miastach domów i sklepów, budowanych z żelaza na kołach, a pędzących po kolejach żelaznych, ze wszech stron lądu, na wielki jarmark pod Lizboną, dokąd znowu ocean, w olbrzymich okrętach, przynosi płody innych części świata? Jak nie wspomnieć

o Archimedesowych zwierciadłach, ustawionych na ogromnych przestrzeniach w ten sposób, że ogniste litery, odbite w pierwszym, w oka mgnieniu odbijają w ostatniem? O teleskopach, przez które z balonu można całą ziemię obejrzeć, a z ziemi widzieć, co się dzieje na jej satellitach? O akustycznych przyrządach, za pomocą których, siedząc spokojnie przy kominku w hotelach; można słuchać dawanych w mieście koncertów, lub wykładów lekcyi publicznych? i t. d. A wszystko to opisano tak prosto, tak naturalnie, jakby w tém nic nadzwyczajnego nie było. I Adam téż na seryo utrzymuje, że to wszystko być kiedyś może i musi. A i czemuż byćby nie miało? Wieszcza a prorok to jedno; a on jest wieszcz nad wieszczę! Ale dość, dość już o nim! bo i musimy iść zaraz na wieczór, gdzie panna Celina ma śpiewać; i muszę ci jeszcze koniecznie opowiedzieć pocieszną anegdotę, która nas dzisiaj rano do łez rozśmieszyła.

Spaliśmy jeszcze w najlepsze, kiedy nas obudziło głośne „Salve Domine!” wyrzeczone nad łóżkiem mojem, a raczej nad kanapą, gdzie sypiani. Był to nasz sławny poeta, Wincenty z Ciechanowca Hrabia Kiszka Zgierski, *Ex libera parte* ¹⁾, w szerokim, gra-

¹⁾ Słynny w swoim czasie z pretensyjności i bezsensowności autor wielu dramatów i tragedyi wierszem i prozą, wydawanych przezeń bardzo ozdobnie, i na których tak się podpisywał. Był naprzód sekretarzem konsystorza rzymskokatolickiego w Wilnie, a następnie urzędnikiem w ministerjum skarbu. Umarł po roku 1836.

natowym, hiszpańskim płaszczu, z karmazynową, axamitną podszewką, ze złotym sznurem i kutasami złotymi, w kapeluszu nademną stojący. Wiész, że pomimo alluzji w „Strachach,” której on zresztą wcale nie stosował do siebie, w dobrych z nim w Wilnie byliśmy stosunkach. Adama téż tu czasem odwiedzał; a teraz przyszedł obaczyć się ze mną. Rozmowa, z przedmiotu na przedmiot, zesła wkrótce do poezyi. Zapytałem, czy nie napisał jakiego nowego dramatu? Odpowiedział, że jest zajęty przygotowaniem do wydawania handlowego dziennika, we czterech językach, a dla rozrywki pisze tylko same akrostychy. „Ale czemu to nasz pan Adam nie obdarzy nas jakim dramatem?” dodał, zwracając się do Adama.—„Gdzie mi tam do dramatu!”—odpowiedział śmiejąc się Adam. „Łatwiej to panu, co masz już tyle doświadczenia i wprawy.”—Komplement ten, chociaż wymówiony w pół żartem, tak widocznie ujął naszego gościa, że porwawszy się z krzesła, na którym siedział przy mnie, przesiadł się na stojące przy łóżku Adama, i biorąc go za rękę, rzekł z największą dobroduszością: „Nie trzeba rozpaczać, nie trzeba; przyjdzie i to, przyjdzie i to!”—Śmiech głośny pana Franciszka, który z drugiego pokoju słyszał i widział wszystko przez drzwi otwarte, przerwał dalsze słowa zachęty, i jakby mistrzowskiego ośmielania, które w ich tonie wyraźnie czuć się dawało. Adam bardzo pokornie dziękował mu za to, co on téż wziął za dobrą monetę. Nakoniec, na prośbę moję, aby nam przedeklamował jaki nowy akrostych,

powstał z krzesła, i zawsze w płaszczu, z kapeluszem w ręku, stanąwszy na środku pokoju, rzekł bardzo poważnym tonem: „Wyobrażam sobie, że miałem kochankę, i że ta kochanka umarła; a imię jej było Adela. Wyobrażam sobie, że jestem na tém polu, gdzie ją pochowano, i mówię.” Tu zaczął deklamować z największym entuzjazmem, zatrzymując się za każdym wierszem i potrząsając w takt kapeluszem. Pamiętaj tylko, że każde ó kreskowane pisze i wymawia jak o otwarte; i oto masz ten wzorowy akrostych, który nam po trzy razy na żądanie nasze powtórzył, i któregośmy oba, na wielką jego pociechę, nauczyli się i po kolci wyrecytowali przed nim na pamięć:

„Adelę błonie to pieści
Dobroczynne bestwo cnoty.
Echo wód z wiatrem szeleści,
Losow jej wroząc ciąg złoty.
Adelę błonie to pieści.”—

Żeby ci nie mącić wrażenia tak rzewnego trenu,
kończę na dzisiaj—i bądź zdrów.

IV.

Do tegoż.

St. Petersburg 14 (26) Maja 1824.

List twój otrzymałem przed chwilą; przyszedł w sam czas ku mojej pociesze. Adam wyjechał wczoraj rano. Odpłynął parostatkim do Lubeki, który dopiero za dni dziesięć miał odejść, odszedł zaś wczoraj najnie spodziewaniej z powodu jakichś okoliczności handlowych. Tęskno mi, ale nie powiem, **żebym był bardzo smutny**; albowiem wiem, że **przepowiednia się ziszcza**, i że **razem z nim jadę do Rzymu!** **Ale wprzód będę w domu i u ciebie.** Miejscem spotkania ma być Drezno. A teraz chcę ci opisać ten wyjazd, który był dość osobliwy. Będziesz go mógł pomieścić w wyobraźni swojej, obok wyjazdu jego z Wilna, przy którym byliśmy razem.

Pisałem ci w ostatnim liście, że się wybieramy na wieczór. Był to muzykalny wieczór u P. Ministra Oświecenia, Szyszkowa. Żona jego, Narbutówna z domu, jest przyjaciółką pani Szymanowskiej, a cioteczną siostrą szkolnego mego kolegi i przyjaciela, Karola Laskowicza, który służy w kancelaryi ministra i jest codziennym gościem w ich domu. Ztąd ten wieczór. Pannienki, to jest panna Celina i Helena, śpiewały to razem, to *solo*; między innemi „Wilię.” Muzyka prześliczna; płynie jak rzeka. Ale jak czerpająca jej wody, ma od lic jej „śliczniejsze jagody,” tak głos obu śpie-

waczek od muzyki nawet śliczniejszy, a panna Celina od głosu. Słuchałem więc póki śpiewały, albo gdy pani Szymanowska grała; ale jak drudzy z kolei do fortepianu zasiedli, wolałem choć pocichu z panienkami rozmawiać. Oleś podzielał toż zdanie i także do konwersacyi należał. Adam więc aż z drugiego końca salonu, przyszedł do nas z surową miną i reprimandą. Odpowiedziałem, że on sam przecież nie zawsze chce tylko „słuchać, słuchać, słuchać.” Panienki się zaśmiały; on pogroził mi palcem, mówiąc, że tylko obecność cudzych ludzi broni mię od pokręcenia za ucho. Apellowałem do panny Heleny, która téż wydała wyrok, że nie godzi się karać drugich za grzechy własne.

Onegdaj, po raz czwarty, jak mi się zdaje, obiadowaliśmy u pana Kaspra Żelwiera, który jest Lukulusem tutejszym dla ziomków, jeżeli nie pod względem wykwintu, to przynajmniej pod względem gościnności i hojności, z jaką swych gości przyjmuje i uracza. Jest on plenipotentem wszystkich prawie możniejszych domów z gubernii zachodnich; dla zdolności swych i prawości charakteru, szacowany powszechnie i wzięty, a dla swój uprzejmości i jowialnego dowcipu, niemniej także powszechnie lubiony. Stół u niego codzień otwarty; a najlepsze przysmaki krajowe, które sam sobie z różnych stron sprowadza, lub które mu ugoszczeni przezeń przysyłają, czynią obiady jego prawdziwemi typami dawnych, szlacheckich biesiad naszych, tak z powodu gatunku potraw, dobrych win, a zwłaszcza porteru, jak i swobodnej, gwarniej weso-

łości. Wszyscy mieszkający w Petersburgu ziomkowie, są u niego częstymi gośćmi, ale nikt częstszym, jak malarz Orłowski, który, téż niepospolitym, choć może nieco za rubasznym dowcipem, wiele się do uprzyjemnienia tych biesiad przyczynia. Dowcip ten jest w doskonałej harmonii z całą jego postacią, a nawet z ubiorem. Olbrzymiego wzrostu i kształtów; twarz, oczy, ruchy, równie wyraziste i śmiałe, jak zarysy jego rysunków; choć o nie tak dba mało, jak o własny swój ubiór. W pracy, jak mówią, ma być bardzo leniwy, chociaż za jego rysunki płaconoby mu hojnie; ale on właśnie dla tego za pieniądze pracować nie lubi, że czułby się w obowiązku roboty swe naówczas wykończyć. Za to téż, kiedy jest w towarzystwie i w dobrym humorze, gotów na lada świstku papieru, który mu podsuną pod rękę, kreślić jak od niechcenia najrozmaitsze, a zawsze prawie genialne szkice, czy piórem, czy ołówkiem, czy nawet palcem w atramencie maczanym. Dom zwłaszcza pana Żelwietra jest dlań najulubieńszą w tym rodzaju pracownią; to téż nikt pewnie nad pana Kaspra nie posiada obfitszego zbioru tych szkiców. Otoż i na tym, a raczej po tym onegdajszym obiedzie, Orłowski był w najlepszym, artystycznym humorze. Język i ręka były w ciągłym ruchu; śmiał się, prawił koncepta, a każdemu, kto go poprosił i podał arkusz papieru, *ex promptu* wnet coś narysował. Między innemi, panu Franciszkowi i mnie powiedział, abyśmy każdy na półarkuszu papieru oznaczyli grubo ołówkiem pięć punktów, w dowolnej odległości i kierunku, a w kwadrans, między temi

pięciu punktami, na półarkuszu pana Franciszka zjawił się przecudny orzeł z rozpuszczonemi skrzydłami i szponami, a na moim kozak w prysiudach, z teorbanem w ręku. Nakoniec, umoczywszy sam pióro w atramencie, posadził ogromnego żyda na ćwiartce, i w parę minut utworzył się z tego żyd prawdziwy, którego lisia czapka była owa pierwotna plama.

Wszystko to zatrzymało nas prawie do siódmój, i prosto ztamtąd spieszyliśmy do pani Szymanowskiej, mając razem jechać na teatr. Projekt ten bardzo mi się uśmiechał; ale na pierwszym zaraz wstępie do salonu, zmitrężył mię smutny humor panny Celiny. Usta, jak zrosłe z sobą dwie gałązki koralu, nie poruszyły się nawet uśmiechem na powitanie nasze, a żywszy niż zwykle rumieniec świadczył o świeżem jakimś i niemiłym wzruszeniu. Domyśliłem się, że musiała być jakaś reprzymanda, tém bardziej, że i wyraz twarzy obecnych, to jest panny Heleny, samój pani Szymanowskiej i panny Julii, nosił widoczną cechę seryoznego nastroju. Udałem przeto, że tego nie widzę, a wszcząwszy rozmowę o Orłowskim i powtarzając różne anegdoty, które tylko co od niego słyszałem, usiłowałem jak mogłem rozerwać moje słuchaczki. Ale nic nie pomagało. Adam siadł na kanapie przy pani Szymanowskiej, ja z tyłu po za krzesłami panienek, a Oleś obok panny Heleny. Alić na pierwszą wzmiankę o teatrze, panna Celina oświadczyła sucho, że nie pojedzie, bo ją „strasznie głowa boli.” Struchlałem i użyłem całej elokwencji, aby odwrócić ten fatalny zamiar. Oleś téż dopomagał wymownie; ale

niestety, był to groch na ścianę. A tymczasem i chwila wyjazdu zbliżała się. Certamen nasz stawał się coraz żywszym, i sądzę, że ból głowy ustałby powoli, gdyby Adam, ni w pięć ni w dziewięć, nie wyrwał się jak Filip z konopi, i słysząc po raz może dwudziesty powtórzone: „Kiedyż ja nie mogę jechać,” powstał nagle z kanapy, i nachmurzywszy czoło, ni proszony, ni dziękowany, przystąpił ku nam i rzekł: „A pewno, lepiej nie jechać, niż tak dalej grymasić.”—„A pewno, że nie pojedę”—była prędką odpowiedź; i zrozumiałem, niestety, tą razą, że postanowienie było stanowcze. Dla formy tylko jeszcze próbowałem je zmienić; ale już sam nie byłem w humorze, będąc zwłaszcza zły na Adama. On sam widać żałował tego, co najpewniej z natchnienia matki powiedział; ale już nie czas było naprawić. Przepraszać nie wypadało, a i trudno też było tak prędko wyzdrowieć. Liczyłem jeszcze nieco na ostatnią minutę, i gdyśmy już wyszli na wschody, za pozwoleniem pani Szymanowskiej, wróciłem raz jeszcze do salonu, ażeby szczęścia spróbować. Ale tu co za widok! Biedna panna Celina siedziała wsparta łokciami przy stole, i zakrywszy twarz dłońmi płakała, łkając jak dziecko. Na skrzyp drzwi i na mój widok, zerwała się, i nie mówiąc, pobiegła do drugiego pokoju. Tak mi się żal jój zrobiło, że omal sam nie płakałem. Lecz koniec końców, pojechaliśmy bez niej, a wszyscy w najgorszym humorze. Adam nadrabiał rezonem; widać jednakże było, że był niespokojny; choć wtedy jeszcze nie przeczuwał bynajmniej, że to było ostatnie rozstanie.

Teatr ciągnął się nadzwyczajnie długo, a nim odprowadziliśmy damy, północ już była, gdyśmy wrócili do domu. Ale tu znowu niespodziana scena! Po wszystkich kątach zapalone świece; w środku pokoju na stole podróżny tłóмок Adama, otoczony stosem odzienia i bielizny, które pan Franciszek przynosi, a Maryan *Kudrawy* ¹⁾ pakuje. On to przed dwiema godzinami przyniósł właśnie wiadomość o zmienionym nagle terminie wyjścia parostatku, a że u niego wszystko idzie cwałem, nie czekając więc na przyście Adama, sam zajął się pakowaniem rzeczy. Adam ani się mieszał do tego, rozmawiając z panem Franciszkiem, którego ja zastąpiłem w pomaganiu do pakowania i w pisaniu rejestru rzeczy. Pośpiech ten nie był nikomu po myśli; ale trzeba było pośpieszać, bo statek punkt o ósmiej miał odejść, a wprzód jeszcze potrzeba było wiele formalności załatwić. Nie spaliśmy więc noc całą, i wtenczas to stanął na pewne projekt wspólnej podróży. Nikifor poszedł po Olesia; ja zaś miałem biedz do pani Szymanowskiej, z prośbą, aby była na brzegu, bo już Adam sam u niej z pożegnaniem być nie mógł. Ale gdzie krótko, tam się rwie. Było już około szóstej, a odległość przynajmniej z wiorstę. Szczęściem spotkałem *zwozczyka*; proszę, żeby jechał co prędzej; aż wtém w połowie drogi, na placu, gdzie mnóstwo drążek, pęka ós przednia u moich. Zeskoczyłem

¹⁾ Piasecki.

i skinałem na drugie. Wybiegło ich z linii z dziesiętek; wskoczyłem na pierwsze i dalej. Ale nie ujechałem stu kroków—trafi—szyna pękła u koła. Wołałem na nowe drążki—było ich ze sto—ani ruszyły się żadne. Musiano mię wziąć za czarownika; a ja drugą połowę drogi musiałem za to biedz czwałem.

Zbudzona nagle pani Szymanowska, nie budząc nawet panienek, ubrała się jak można najprędzej, i wnet po siódmej byliśmy nad Newą, na środku której stał dymiący już okręt, pierwszy, który w życiu mojem widziałem. Grono bliższych przyjaciół, zawiadomionych o odejździe, we łzach otaczało Adama. O trzy kwadransy na ósmą, już go łódka niosła na statek; o samą ósmą głos dzwonka—świst pary—szum wody—i okręt ruszył poważnie wzdłuż rzeki—Adam stał na pokładzie, odkrył głowę i chustką ku nam powiewał. Blask słońca jakoś ogniście odbijał od barwy jego płaszcza, i po tém tylko najdłużej można go było rozróżnić. Pan Franciszek, Oleszkiewicz, Oleś i ja, odprowadziliśmy panią Szymanowską do domu. Panienek dotąd nie widziałem jeszcze. Ale za chwilę tam idę. Jutro z Olesiem płyniemy do Kronsztadu, a pojutrze z Eustachym w drogę.

V.

Do tegoż.

Wilno, 21 Maja (2 Czerwca) 1829 r.

Dulcis est fumus patriae, a cóż dopiero ciepły, wonny, balsamiczny powiew, który w téj chwili przez otwarte okno tchnie ku mnie z sosen Trzech-Krzyżkiego boru i z kwiatów Botanicznego Ogrodu, złączony ze śpiewem słowików i z szumem naszej swawolnicy Wilejki, co jak skacząca wiewiórka obraca koła Królewskiego Młynu i srebrzy się od blasku xiężycy. Ach! a samże ten xiężyc! Świeci w pełni jak aureola nad ruiną zamku Jagiełłów, i u stóp jój odbija od ścian grobowca Ś-go Kazimierza, i migoce w złocistym krzyżu, co jak ów krzyż Konstantyna na niebie, w powietrzu zda się nad katedrą jaśnieje. Wszystko to czuję, słyszę i widzę z otwartych okien domu państwa Spitznagłów ¹⁾, gdzie mieszkam, i przy których to piszę. A noc tak spokojna i cicha, że się płomyk świec nawet nie chwieje.—Tysiąc miast może być większych i piękniejszych od Wilna, ale nie wiem, czy poetyczniejsze być może. I jeżeli Warszawa, jak mówią, ma być żywem uosobieniem herbu swego i symbolu—Syreny; to za herb i symbol dla Wilna uszlaby prosta, skromna, pobożna dziewczeczka, co się modli u Ostrój Bramy, albo дума pod Górą Zamkową.

¹⁾ Ferdynand Spitznagel, professor uniwersytetu Wileńskiego, wykładał Materyę medyczną i Terapię.—Dom stał tuż obok dawnój Bramy Zamkowej, razem z nią następnie zrzucony.

Nie zakochasz się w niej może od razu, ale kiedy pokochasz, to już raz na zawsze. Ja w tej chwili czuję się rozkochanym w Wilnie, chociaż myślę właściwie o Petersburgu, to jest o panie Celinie i jej siostrze, i o żegludze do Kronsztadu z Olesiem, o czém wszystkiém chcę ci słówko powiedzieć, ażeby opis mego tam pobytu uzupełnić i zaokrąglić niejako.

Zaniósłszy sam na pocztę ostatni mój list do ciebie, poszedłem wprost do pani Szymanowskiej, piérwszy raz po wyjeździe Adama. Zostałem wszystkich z czerwonymi oczyma, i łzy znów na mój widok popłynęły na nowo. Biedna Celinka! Łkała głośno jak małe dziecko. Ale i ja byłem nie mędrszy—choć w porównaniu z niemi, powinienem był być raczej jak dobry chrześcijanin, który wierzy i spodziewa się na pewno, że się spotka na drugim świecie, z kim się tutaj płacząc pożegnał. Oni w to ufać nie mogą, i przeto żal mi było więcej ich, niż siebie. Przyszli wkrótce pan Franciszek i Oleś, i całą już resztę dnia przepędziliśmy razem. Celinie żal, jak widzę, najbardziej, że się z Nim kaprysząc rozstała. Bo gdy matka powiedziała do niej w rozmowie: „Nie ma już, ktoby ci prawdę powiedział;” zaniósła się nieboraczka od płaczu, aż musiała wybiedz z pokoju. Przed rozejściem się, pisaliśmy wszyscy razem wspólny list do Adama, który pani Szymanowska, przez jakąś okazję, miała mu przesłać do Drezna.

Nazajutrz raniuteńko z Olesiem popłynęliśmy do Kronsztadu na codziennym parostatku pocztowym, który w wieczór ztamtąd powraca. Piérwszy raz byłem na

morzu. A ranek był precudowny; a niebo złoto-różowe; a morze gładkie, jak kryształ zwierciadła! Myśli nasze, jak mewy koło nas, ulatywały i bujały w przestrzeni—najczęściej w ślad za okrętem, na którym Adam w tej chwili może prądy Bełtu przepływał. Ale nie zapomnieliśmy i o was: to jest o tobie zwłaszcza i o kochanym Żegocie ¹⁾, co sobie, jak gołąbki w koszykach, w swoich wiejskich zaciszach siedzicie, ścieląc gniazdzka dla przyszłych swych parok; podczas kiedy my z nim, jak bociany z jednego gniazda, rozlecim się wnet, i może na zawsze—on na wschód, ja na zachód; on w świat bajek z *Tysiąca Nocy*, ja w kraje cudów i pamiątek Romy! Ale musiałem wkrótce o tém wszystkiém zapomnieć, mając właśnie na głowie wiersz do panny Celiny, który jej obiecałem wpisać do sztabucha. Napisałem już był jeden, ale cóż, kiedy nań matka położyła *veto*. Trzeba więc było koniecznie sklecić drugi, a tu, jak na złość, weny ani słychem! Wołam o nią i krzyczę *in petto*, jak czajka o bajkę w Krasickim, a myśli, jak mewy na ryby, polują na treść i koncepta. Wszystko próżno!—Schodzimy więc do kajuty na frysztyk, i skrapiamy go szklanką madery. Dopiero kiedy wino zaszumiało w głowie,

¹⁾ Ignacy Domejko, dziś rektor uniwersytetu w Chili, urodzony 22 sierpnia 1802 r. w powiecie Nowogrodzkim, we wsi ojczystej *Niedziwiadce*. Do niej to w *Panu Tadeuszu* Wojaski robi aluzję, mówiąc o szczęsném pogodzeniu Domejki z Dowejką. W chwili, o której tu mowa, Domejko mieszkał i gospodarował we wsi swojej *Zapole*, o milę od Lidy.

przy szumie kół parostatku, zacząłem wprost *ex prompitu* i w powrocie dokończyłem ramotę, która przeszła nareszcie matczyną cenzurę i zjednała mi rzewne pożegnanie panny Celiny. Wpisanie bowiem do sztambucha tych wierszy, było ostatnim aktem ostatniej mojej wizyty u nich po powrocie z żeglugi; i musiała siedzieć tuż przy mnie, podczas kiedy ja wpisywałem. Śliczna, miła dziewczynka, niech ją Bóg błogosławi! Ale i siostra jej, choć mniej piękna, niemniej żywe i miłe zrobiła na mnie wrażenie, wesołością, dowcipem i dobrocią anielską. Rozstaliśmy się o wschodzie słońca—bo tu wschód w tej porze roku zaraz po północy—a w godzinę już potem dygotaliśmy z Eustachym w kibitce, zamiast kocza, w którym przyparadowaliśmy z Warszawy. I trzebaż, że przed wieczorem jeszcze dla gaszenia osi, która się w niej zapaliła od jazdy, musieliśmy zużyć aż trzy butelki najwyborniejszego Lafitta, w które wiąże Wittgenstein zaopatrzył na drogę ulubieńca swego, Eustachego. Resztę przygód, niezbyt ciekawych, odkładam do osobistej rozmowy, a tu chcę ci jeszcze przepisać oba te wiersze do panny Celiny, choćby tylko na poetyczny finał tej najpoetyczniejszej, jak dotąd, w życiu mojem podróży.

Jutro wyjeżdżam do domu. Ztamtań na kilka dni do Dziewiętni. Ale przed 13 tutejszego czerwca, proszę i czekam ciebie w Giejstunach ¹⁾, na ten dzień moich imienin... Bądź zdrow!

¹⁾ Dziewiętnie, wieś Ignacego Chodźki, w pow. Zawilejskim, dziś Święciańskim; Giejstuny, wieś rodzinna A. E. Odyńca w pow. Oszmiańskim.

W I E R S Z Z B R A K O W A N Y .

Gdybym ja miał, gdybym ja miał piękne twe oczy,
Z których, jak przez gwiazdeczkę,
Gdy mrugając jaśniej,
Jak aniołek duszeczka
Patrzy się i śmieje—
Ach! twoje piękne oczy!

Gdybym ja miał, gdybym ja miał uśmiech uroczy,
Co wszystkim słowom twoim,
Naksztalt raju strażnika,
Razem jak usta twoje,
Wszystkich serca odmyka:—
Ach! twój uśmiech uroczy!

Nie trwonilibym chwil drogich daleko od ciebie,
By tém pismem twą pamięć zapewnić dla siebie,
Tylko patrząc na ciebie wciążbym się uśmiechał.
A wtenczas, wiem, że choćbym za kraj świat pojechał,
Poszłyby za mną wszędzie tęskne twe wspomnienia,
Zal takiego uśmiechu, takiego spójrzenia!

W I E R S Z N A P A R O S T A T K U .

Wre, szumi, huczy—para wybucha,
Dzwonek zadzwonił—parochód płynie.
Chćiwie na morskie patrząc głębinie,
Myślę o pięknej pannie Celinie—
To jest o wierszach do jój sztambucha.

O! wszystkie Muzy! o! Apollinie!
Dziś, dziś wieszczego dajcie mi ducha!
Niech jak z wód perła, z myśli wypłynie
Bym, coby pięknej pannie Celinie
Lśnił jako perła z kart jój sztambucha!

Lecz się kapryszą piękne boginie,
I dumny Febus prośb mych nie słucha.—
A tyż tu po co?—Znam cię po minie!
Tak patrzysz z oczu pannie Celinie,
Tak mierzysz z pierwszej kartki sztambucha! ¹⁾

Stój, stój, nie strzelaj! Grot twój nie minie,
A wiesz, że ranny gołąb nie grucha.
Precz!—Ja dziś muszę myśleć jedynie,
O! nie o pięknej pannie Celinie,
Ale o wierszach do jój sztambucha.

Bo jutro w drogę!—w świat, nie w pustynio..
Zkąd więc ta w sercu tęsknota głucha?—
Tam się duch wzniesie, tam myśl rozwinie!..
Tak! a myśl o mnie w pannie Celinie
Zniknie, jak wiersz mój na dnie sztambucha!

Lecz ja!... czy pójdę, gdzie Dunaj płynie
Gdzie Montblanc krzepnie, lub Wezuw bucha:
Ilekróć serce na Północ skinie,
Pamięć o pięknej pannie Celinie
Polarną Zorzą zalśni dla ducha.

¹⁾ Rysunek Orłowskiego: Amorek strzelający z łuku.

VI. .

Do Ignacego Ohodźki.

Giejtuny, 17 (29) Czerwca 1829 r.

Słońce wschodzi—ale nim zajdzie, już ja będę daleko od domu. A czy, i kiedy powrócę? Czy znajdę wszystkich tych, których zostawiam?—Smutno mi jakoś i straszno. Całą noc oka zmrużyć nie mogłem, i kiedy wszyscy śpią jeszcze, korzystam z chwili, aby od was dzisiejsze, ostatnie pożegnania rozpocząć. Bo od powrotu od was, cały mój terazniejszy pobyt w domu był jak jednym ciągiem pożegnań, chociaż go od powitania zacząłem. Ledwo bowiem wysiadłem z bryczki, słyszę turkot i widzę w bramie jakiś rydwan zaprzężony *kwadrygą*. Kto? Poczciwy, kochany Julian! Nie umiem dość wypowiedzieć, jak on mi swoją bytnością cały ten tydzień osłodził. Mówię *osłodził*—bo choć ja, prócz tęsknoty po was, nie doznałem w tym czasie żadnej innej goryczy: ale właśnie dano mi w nim tyle nowych dowodów życzliwości, dobroci, przyjaźni, że gdybym był sam jeden, myśl o wyjeździe gdzieś tam w cudze kraje, takby mi mogła być boleśną i straszną, jak śmierć konającemu bez xiędza, z którymby mógł o tamtym świecie pomówić. A i tak, gdyby nie pewność złączenia się i podróowania z Adamem, to kto wie, czyby

mi w końcu nie zabrakło odwagi i siły na to właśnie, o czém przez długie lata, jako o ideale szczęścia, marzyłem. Wprawdzie czerpię otuchę w doświadczeniu własném, że jak mi zawsze było żal zewsząd wyjeżdżać, tak znowu wszędzie, dokąd przyjechałem, znalazłem zawsze tylu dobrych ludzi i tyle nowych, nieprzewidzianych przyjemności, że i sam ów żal za przeszłością zamieniał mi się powoli w miłe tylko i wdzięczne wspomnienie, pomnażające skarb uczuć obecnych. Możeż da Bóg, że i z wojażem tak będzie. Ale tymczasem trzebaż biedy, że właśnie wracając od was spotkałem się z wrażeniem, które jakby złowrogi cień chmury na myśli moje rzuciło. Podczas popasu w Sućkowie ¹⁾, wszedł do karczmy podróżny żołnierz, zdany ztamąd przed 15 laty w rekruty i wracający raz pierwszy za urlopem do domu. Nikt go nie znał i on nikogo. Sam wyraz jakby jakiejś ciekawości i trwogi, z jaką się rozglądał po kątach, zwrócił nań moją uwagę. Dowiedziałem się więc kto jest i po co przybywa. Siadł przy mnie na ławie za stołem, i jakby dla nabrania odwagi, wychyliwszy kwaterkę wódki, zaczął się rozpytywać karczmarki o różnych swoich krewnych i znajomych. Na każde zapytanie była jedna i ta sama odpowiedź: „umarł,” albo „umarła.” On za każdym razem pocierał tylko czoło i milczał. Nakoniec, z wyraźném wahaniem się, za-

¹⁾ Mała miejscina między Smorgoniami a Krewem, z kościołem i klasztorem niegdyś XX. Bazylianów.

pytał o jakąś Krystynę. Karczmarka nie wiedziała z razu o kim mowa, ale gdy jęj wymienił nazwisko ojca, kowala, który mieszkał tuż obok kuźni: „Nie znałam jęj—odpowiedziała—ale wiem, że poszła za mąż za garncarza do Krewa, i że już dawno nie żyje, zostawiwszy kilkoro dziątek.”—Biedny żołnierz zalał się łzami; a i mnie taki smutek i przestrich ogarnął, że przez całą już resztę drogi rady dać sobie nie mogłem, i aż dopięro przyjazd Juljana przerwał pasmo czarnych myśli i marzeń. Zawsze jednak obraz tego żołnierza stoi mi ciągle w oczach przy każdym pożegnaniu.—W przeszły piątek, po wyjeździe już Juljana, wieczorem, przy najpiękniejszym świetle księżyca, w altanie naszego ogrodu, pod cieniem tych lip odwiecznych, piérwszy raz od lat wielu zebrana była cała nasza rodzina. Młodszyom braciom pozwolono przyjechać ze szkół na moje imieniny i dla pożegnania się ze mną. Ojciec siedział w pośrodku na darniowej kanapce, i ze zwykłym swoim łagodnym, serdecznym rozumem, który w każdym nawet obcym dla niego sympatyą i uszanowanie obudza, rozmawiał z nami na pozór o rzeczach zwyczajnych, obojętnych, ale nietrudno było odgadnąć, że to wszystko, co mówił, pochodziło z jędnęj głębszkiej myśli i uczucia: że już drugięj podobnęj chwili nigdy może dla niego i dla nas nie będzie, i że korzystając z nięj, chce każdemu z nas wypowiedzić nięjako swoję wolę i zostawić prawidło postępowania na przyszłość. Nie mówił on tego wyraźnie, żeby siebie i nas nie rozrzewniać; a jednak skutek tęg rozmowy był taki, że

musiał w końcu uspakajać i pocieszać nas wszystkich, on, który sam może w tej chwili najbardziej potrzebował pociechy. W życiu mojem nie czułem dotąd tak rzewnego i tak głębokiego wzruszenia, a jednak tej to właśnie chwili i tym słowom ojca winienem, że z dziecinnego jakiegoś rozdrażnienia wyobraźni i serca, które mię coraz bardziej osłabiało, przeszedłem do męskiego poczucia na seryo, dla czego przedsięwzięę tę podróż, i jak z niej powinienem korzystać, ażeby i sobie, i drugim wynagrodzić boleść rozstania. „Bądź cnotliwym i spełniaj ściśle obowiązki każdego stanu, w jakim będziesz, a resztę zdaj na Opatrzność!”— To były ostatnie słowa ojca, które mnie, klęczącemu przed sobą, powiedział. I dałby Bóg, abym kiedyś przy końcu życia powtórzyć mógł z Karpińskim: „Słuchałem cię, mój ojczel!”—Bo co dotąd, to Bogiem a prawdą, w jednem chyba zdaniu się na Opatrzność stosuję się ściśle do rady ojcowskiej. Ale bo też, mój drogi! byłbym chyba najgłupszym i najniewdzięczniejszym z ludzi, gdybym nie czuł na każdym kroku cudownych prawie wpływów i łask Opatrzności, bez żadnej z mojej strony zasługi i pracy. Przeraza to mię nawet niekiedy, jak ów pierścień Polykratesa, od którego Solon uciekał, widząc, że mu się wszystko nazbyt dobrze wiedzie. Bo cóż ja jestem rzeczywiście w sobie? Zero jeszcze—czekające chyba na numer, jaki przed niem kiedyś ma stanąć; a przecież nie spotkałem dotychczas szczęśliwszego od siebie. Cała moja np. terazniejsza podróż, czyż nie jest jakby jednym ciągiem najszcześniejszych i najpoetyczniej-

szych zdarzeń i wrażeń? a czyż ja sam nawet pomyślałem o niej, wprzód niż do mnie w Warszawie wszedł niespodziany gość, kochany Eustachy? Czyż się mogłem spodziewać na seryo, abym miał podróżować z Adamem, choć mi to przepowiednia wróżyła, ale co się tak samo jakoś bez projektu nawet złożyło? Czyż marząc przez lat tyle o twoim *Helikoniku* ¹⁾, od pierwszej na nim bytności, śmiałem nawet w marzeniu roić taką chwilę, jaka mi, dzięki tobie, rzeczywiście na nim zabłysła? Ta podróż i ta chwila, są to dwie nowe przewodnicze gwiazdy, które mi wzeszły na horyzont przyszłości; teraźniejszy zaś pobyt mój w domu mam za ostatni odblask szczęśliwej epoki dzieciństwa i młodości studenckiej. To nic, że mię rozrzewnia; rozrzewnienie to nie jest gorzkie. Kto nie zapłakał, kończąc szkoły, gdy się z kolegami rozstawał? Kochankowie nieraz płaczą przy ślubie, i lzy te, jak powiadają, są owszem dobrą wróżbą szczęśliwego małżeństwa, jak deszcz padający w dzień ślubu. Jest to pożegnanie przeszłości—dowód tylko, że była szczęśliwa. A czyż lepiej mówić z Byronem:

„Czegoż mam płakać? za kim i po kim,
Kiedy nikt po mnie nie płacze?”

Moje całe szczęście jest w tém, że mam tylu, których z żalem porzucam, i że widzę, że mię oni za-

¹⁾ Ob. *Dwie Konwersacye z Przeszłości*, przez Ignacego Chodźkę.

tują. Proccziwi nasi sąsiedzi, którzy mię dzieckiem pieścili, jak każdy chce mi teraz uprzyjemnić te ostatnie chwile pobytu między nimi! Fetowali mię po kolei u siebie, a na dzień moich imieniem wszyscy zjechali się do nas. Dzień ten był punktem kulminacyjnym i mojego szczęścia, i żalu. W wigilię mój ojciec zaprosił wszystkich gospodarzy ze wsi na obiad; a siostra na siurpryzę dla mnie, wyprawiła wieczorynkę dla dziewcząt i matek. A wiész może, że dziewczęta Giejstuńskie słynne są w okolicy jak Saxonki w Niemczech. Juljan był zachwycony, i tańcowaliśmy też z niemi do upadłego. Tymczasem dowiedziałem się, że dawna moja mamka i piastunka, nie mi o tém nie mówiąc, urządziły nazajutrz na moję intencję pielgrzymkę do św. Antoniego, do Holszan ¹⁾. A więc i ja też, nie im nie mówiąc, stawilem się wraz z siostrą we wsi o wschodzie słońca. Wszystkie tancerki z wczorajszego balu, same z własnej ochoty, w świetecznych gorsecikach i w kwiatkach na głowie, przyłączyły się też do orszaku, który miał tylko składać się ze starszych. Juljan, który o tém nie wiedział, żałował potem nieborak, że się polenił iść milę piechotą, i wolał z ojcem moim jechać na mszę powozem. Dla mnie cała ta droga była prawdziwie roz-

¹⁾ Holszany lub Olszany, gniazdo książąt Holszańskich, dziś liche miasteczko, a raczej wieś licząca około 80 domów i 600 mieszkańców. Wspaniała i niegdyś bogaty, tameczny kościół i klasztor Franciszkanów, do którego wzmianka w texcie się odnosi, fundował Paweł Sapieha w r. 1618.

koszna. Szedłem między mamką i niańką, w pośród grona kilkunastu gospodyń. Siostra przewodniczyła dziewczętom. Najstarszy z całej wsi, 80-cio letni gospodarz, był promotorem różańca i nowenny do św. Antoniego, które z książki przez całą drogę odmawiał. A i wszystkie dziewczęta czytają na książkach, które im kiedyś jeszcze przed wyjazdem do Warszawy rozdałem. Słowem, oprócz nabożeństwa, cała ta nasza pielgrzymka miała dla mnie szczególny poetyczny urok. W Holszanach poleciwszy mamce i niańce ucześnieństwo po mszy moich kompanów, sam już z ojcem powróciłem do domu. Niektórzy goście przyjechali wraz z nami z kościoła, inni już nas w domu czekali. Późno w noc pożegnałem się z nimi po raz ostatni, a skutkiem całodziennych wrażeń, resztę już nocy bezsenne przechodziliśmy z Julianem w ogrodzie.

Ale zapomniałem ci jeszcze powiedzieć o jednej także miłej niespodziance. Zaraz nazajutrz po powrocie od was, pojechałem do Borun na mszę studencką i na cmentarz, a także i dla pożegnania się z kilku jeszcze dawnymi professorami. Jeden z nich, ksiądz Maxymilian Lebel, który jeszcze i ciebie pamięta, jest dzisiaj prefektem szkoły. Mówiąc z nim, żałowałem, że nie mogłem przyjechać w Maju, aby być na studenckiej majówce. Ale on oświadczył gotowość wyprawienia dla mnie extraordinaryjnej *czarownicy*, i przyjścia na nią do Giejstun. Przygotowaliśmy się więc na przyjęcie, i spotkawszy z Julianem w pół drogi uroczystą falangę malców, z chorągwiami, bębnami i muzyką jak zwykle, przypomnieliśmy sobie

z nimi, pewno po raz ostatni w życiu, wszystkie dawne gry i zabawy szkolne. Wieczorem odprowadziłem naszych gości, idąc razem z nimi piechotą, aż na sam rynek Boruński, gdzie jeszcze na waletę zagrałem w ściankę przy murze, przy którym i ty kiedyś musiałeś łapę nadstawiać. To było niejako pożegnanie z czasami i wspomnieniami szkolnemi.

Jak zaś te wszystkie wrażenia wpłynąć widać musiały na zmiękczenie mojego serca, to muszę ci, nie chwając się, opowiedzieć fakt mojej dobroci. Kochani moi sąsiedzi, pan Dawid i Mateusz Zawadzcy, przyszli do mnie ze swemi psami o świcie, aby raz jeszcze popolować ze mną. Ledwośmy weszli do kniei, psy zaraz ruszyły szaraka. Ranek był prześliczny i cichy, powietrze tchnęło balsamem, granie psów zagłuszało skowronki. Czulem powab i rozkosz życia. A wtém szarak z nastawionemi uszami wpadł na drogę, przy której stałem za krzakiem, i przysiadłszy słupka na chwilę, puścił się wprost na sztych ku mnie—a więc już ciż na śmierć niechybną. Już, już miałem wziąć na cel — gdy wtém nagle tak mi się żal go zrobiło, że nie ufając sam sobie, spuściłem odwiedziony już kurek, i dozwoliłem mu przebiec o pięć kroków odemnie. Spostrzegł mię i czmychnął do lasu. Chciałem wystrzelić na wiatr dla zabawy, ale i tego nawet nie zrobiłem, żeby nie przestraszać biedaka. Myśliwi śmieli się ze mnie; ale wszakże obiecali solennie, nie polować już bezemnie w tej kniei.

Juljan wyjechał w piątek po obiedzie;—a wtém nazajutrz rano, kiedy mi było najsmutniej, spadł mi znowu jak z nieba gość nowy—gość, nad którego milszego wymarzyć nawetbym nie mógł — najlepszy, najukochańszy Żegota. Przyjechał na całą noc ze swego Zapola, żeby się ze mną pożegnać, i zatrzymał się przez wczorajszą niedzielę, aby dzisiaj wyjechać wraz ze mną. To mi bardzo osłodzi ten wyjazd. Będziemy jechali noc całą; przez jutro zabawię u niego, a potém on mię jeszcze przeprowadzi do Strzały ¹⁾, mając tam właśnie być w sąsiedztwie u stryja. Ja za chwilę jadę jeszcze sam konno do Borun, do kościoła i na grób matki; a ten list przez konnego posłańca wyprawię. Odbierzecie go przed zachodem—a więc może właśnie w téj chwili, gdy ja będę wyjeżdżał z domu. Pobłogosławciez mnie myślą i sercem, i nie zapominajcie o mnie! A teraz—bywajcie zdrowil a Boże daj, do zobaczenia!

¹⁾ Strzała, wieś rodzinna Juljana Korsaka.

VII.

Do Juljana Korsaka.

Drezno, 3 Sierpnia 1829 r.

Znasz ty ten kraj—grusz, wiśni i jabłoni,
Co jak raj-gaj, wzdłuż dróg rosną na błoni,
A pokus wąż, choć mizdzy się w owocach,
Nie zwabia rąk, by je tu kraść po nocach?
Tu jestem ja—o! i jak byłbym rad,
Gdybyś i ty wspólnie je ze mną jadł!

Znasz ty ten kraj—przysłowiem słynny głośno,
Że w nim jak mak, piękne dziewczęta rosna?
I pełno ich, jak wiśni tam na drzewie,
Lecz i tu wąż, przy każdej, jak przy Ewie!
Ztąd znów jam rad, żeś i ty tu nie gość,
Bo strzedz się sam, mam już kłopotu dość.
Znasz ty ten kraj? —

Z daty listu, jeśli z wierszy nie zgadłeś, widzisz co zacz on, i że jestem w jego stolicy; a ta parafraza piosnki Minjony, niech ci tylko służy za dowód, że myślałem o tobie jadąc, i myślę tutaj chodząc; tam z rzeczy wspomnień o owych czasach w Giejstunach lub w Strzale, gdyśmy musieli uprzedzać wschód słońca, aby uprzedzić pastuszków w podbieraniu dojrzałych i opadłych gruszek: a tu z powodu żywych Minjonek, które wiem, iżbyś wolał nad złote nawet jabłuszka; chociaż one same, od czasów Atalanty,

tak tu, jak bodaj i wszędzie, najbardziej gonią za niemi.

Jestem tu od dni czterech. Adama już nie zastałem; pojechał do Karlsbadu pić wody i tam czeka na mnie. Wyjechałem z Warszawy 22 lipca. Do rogatek, jak ty z Żegotą do granicy w Brześciu, przeprowadziło mię nie lada gronko: pan Joachim, Brodziński, Mochnacki Maurycy i Stefan, których kochany Waleryan ¹⁾ na pożegnalne śniadanie u siebie zgromadził. Swoją drogą przyszli tamże Tadeulo i Julek, ²⁾ którzy mi obiecali tegoż dnia jeszcze napisać do ciebie i przesłać ci ostatnie pożegnanie moje. Towarzysza też mojej podróży, którego mi także Waleryan naraił, uważam za bardzo pomyślny za-datek jój i wróżbę; gdyż był nim, aż tu do Drczna, p. Stanisław hr. Rzewuski (starszy syn pani Rozalii), o którego rozumie i zacności wiele już przedtém słyszałem, a teraz je sam przez siebie nauczyłem się czuć i oceniać. Starszy o lat kilka odemnie, a co się tycze nauki, to ma jój sto razy więcej. Był on kiedyś najpiérwszym uczniem, bo wziął najpiérwszy złoty medal w uniwersytecie Paryzkim, a że już przedtém dużo podróżował, prawdziwa łaska Boska, że mi się taki Mentor na piérwszego towarzysza na-

¹⁾ Waleryan Krasiniński, późniejszy autor dzieła w języku angielskim o „*Reformacy w Polsce*“ i tłumacz na język angielski wielu powieści Bronikowskiego.

²⁾ Tadeusz Hrehorowicz, b. uczeń uniwersytetu wileńskiego, i Juljusz Słowacki.

darzył. Skorzystałem téż ztąd nie mało, zwłaszcza co do sposobu korzystania z podróży; bo i on podróżował nie po pańsku, lecz po studencku.—Jechaliśmy najętym furmanem z Kalisza, małą budką krakowską, białém płótnem pokrytą, i dwiema chudemi szakpami, które jednak po szossie jako tako ciągnęły. Wprawdzie i pakunek niewielki; dwa malutkie tłómaczki, dwa parasole, dwa kijki, i nic więcej. Ale z Kalisza do Wrocławia, gdzie już szossy nie było, wlekleśmy się, brnąc w piaskach, prawie noga za nogą, tak, że pewnie trzecią część drogi odbyliśmy piechotą. Z Wrocławia mieliśmy już nowy ekwipaż niemiecki, nie bardzo paradniejszy niż pierwszy. Wyobraź sobie długą, wyplataną skrzynkę na kołach, pokrytą na całej długości wypukłym daszkiem z ceraty, na obręczach rozpiętą, a zwisającą jak firanki po bokach, z klapą podnoszącą się zamiast drzwiczek. W środku dwie ławki, zawieszona na pasach, tworzą siedzenia na cztery osoby. My jechaliśmy we trzech; a trzecim był p. Zaborowski z Warszawy, któregośmy we Wrocławiu spotkali. Cały zaś ten ekwipaż ciągnął tylko koń jeden, ale silny i tłusty, z jednej strony przyprężony do dyszla.

W podróży nic takiego nie zaszło, coby warte było opisu; opisywać zaś wszystko, co się widzi nowego, na toby ani wołowej skóry, ani siły wołowej nie stało; a oprócz tego towarzysz mój mnie nauczył, aby nawet na pisanie dziennika wiele czasu nie tracić, a tylko patrzeć i myśleć. Patrząc téż na wszystkie strony, ile oczy wystarczą, a medytuję jak mogę

iumiem. Na każdym popasie i noclegu, gdzie tylko był kościół z wieżyczką, wdrapywałem się na nią, aby kraj dokoła obejrzeć. Ależ bo w Prusiech, a bardziej jeszcze w Saxonii, to wszystko inaczej niż u nas. Pola uprawne jak dworskie ogrody; wsie i miasteczka, w porównaniu z naszymi, wyglądają jakby dziewczęta wystrojone na odpust, obok bab pielgrzymujących w łachmanach. Z jednej wieży w Lignicy naliczyłem 10 kościołów i 16 murowanych wiosek, bielejących wśród zieleni drzew; i tu także zaczęła się znów szossa, wysadzana owocowymi drzewami—a na wiśniach tyle prawie jagód, co liści.

We Wrocławiu bawiliśny dzień cały, oglądając miasto i kościoły. Rzewuski mówi, że po Norymberdze, żadne miasto w Niemczech nie ma ich tyłu i tak pięknych, w stylu gotyckim, jak Wrocław. Byłem u pana Korna xięgarza, a z nim potem u dwóch sławnych profesorów tamecznych, pp. *Passow'a* i *Wachler'a*. Wszyscy niezmiernie uprzejmi i wyraźnie radzi z odwiedzin, a przytém bardzo ciekawi szczegółów o uniwersytetach naszych i o niektórych profesorach, mianowicie Niemcach, lub o wykładających też przedmioty, co oni. „Nauka jest już pewnym rodzajem powinowactwa;”—powiedział p. *Passow*. Co do mnie, poznanie ludzi znakomych i sławnych ęci mię sto razy więcej, niż wszystkie osobliwości, które „*Guide du Voyageur*” wskazuje. To też nie tracę czasu w Dreźnie, i w ciągu tych czterech dni, co tu jestem, oprócz oglądania galeryi, skarbcza, zbrojowni, etc. etc., poznałem już Ludwika *Tieck'a*; Fryde-

ryka *Kind'a*, autora libretta do opery „*Freykühn*” i wielu tomów poezyi i powieści; *Tiedge'go*, autora „*Uranii*,” 80-letniego staruszka; *Falkensteina*, bibliotekarza biblioteki królewskiej i autora „*Życia Kościuszki*,” muzyka *Hummela*, rysownika *Retsch'a*, i sławnego Bronikowskiego. Ten ostatni, który już wiedział o mnie od Adama, przy pierwszej zaraz znajomości, wyszedłszy wraz ze mną z domu, zaprosił mię do pierwszej restauracyi tutejszej, wcale nie wspaniałej z pozoru, i uraczył starym węgryzmem. Ostrzeżono mię jednak, żebym się z nim w ściślejsze stosunki nie wdawał, bo skończy na proszeniu o pożyczanie pieniędzy. Nie boję się ja wprawdzie tego, bo wiem, że „*Cantabit vacuus coram latrone viator*,” i że „mądry Salomon nie zaczerpnie z próżnego naczynia.” Ale z tego powodu dowiedziałem się, że Bronikowski, jakkolwiek spokrewniony przez matkę z najpierwszemi rodzinami saskimi, nie używa tu wielkiej renomy, a słynie jako utracysz i *bon-vivant*, niekoniecznie w estetycznym tego słowa znaczeniu. Ale co mi do tego! Ja w nim widzę autora: „*Boratyńskiego*,” „*Moiny*,” „*Zawieprzyc*,” które, pamiętasz, jak nas zachwyciły i przenosiły w przeszłość. W rozmowie też pełen werwy i ognia, zwłaszcza gdy się rozgada, jak przy owej butelce węgryzyna, i potem na przechadzce po Brühlowskim tarasie. A jak pojmuje i czuje głęboko poetyczność dziejów i obyczajów naszych!—to, co właśnie w opinii klasyków warszawskich za najmniej, a raczej za całkiem niepoetyczne uchodzi. To też gdy go pytałem, dla czego nie pisze po polsku? odpowiedział

naprzód, że pobierając pierwsze nauki w języku niemieckim, lepiej nim włada niż polskim, a powtóre, że dla publiczności naszej, chcąc pisać o rzeczach własnych, a być od niej czytany i ceniony, najlepiej jest pisać w języku obcym i zyskać naprzód zdanie pochwalne u obcych. Twierdził téż, że w jednym tylko Adamie znalazł prawdziwe rozumienie poczucie historyi naszej, której zresztą, jak się wyraził, nikt u nas dotąd rzeczywiście nie umie. Ja przynajmniej nauczyłem się wiele nowego z jego rozmowy, o czém wprzód od nikogo nigdy nie słyszałem.—Musi mieć lat około 50; figura niepozorna, ale twarz rozumna. Wié wszystko, co się dzieje w literackim świecie warszawskim, i widzę, że go to interesuje. Na jutro mam z nim znowu *rendez-vous* w „Grosse Garten,” gdyż ma w bliżkiej wioseczce najęte mieszkanie na lato, gdzie nie ciągle, ale często po całych dniach przebywa, i tam właśnie najwięcej pracuje.

Ludwik Tieck, u którego byłem z Falkensteinem — któremu znowu polecił mię przed wyjazdem ztąd Adam, i w liście zostawionym tu do mnie wskazał mi go za przewodnika po Dreźnie:—Ludwik Tieck, trochę ułomny, z postacią i twarzą ruchliwą i powiedziałyby prawie figlarną—tyle w niej przebiegłości zda się i rozumu—z dziwnie bystreimi i przenikliwemi oczyma, nie odpowiada na pozór ideałowi poważnego literata-Niemca, którego za to Fryderyk Kind zdaje się być najdoskonalszém uosobieniem. Musi mieć lat około 60; niższy wzrostem od ciebie, i choć ani z postaci, ani z rysów, a więc sam nie wiem z czego,

ale zda mi się jakoś podobny do ciebie; tyle prostoty, szczerości i dobroduszości w tój twarzy! A i fajki z ust nie wypuszcza. Jak postarzejesz, będziesz pewnie taki, i tak siedzący ciągle przy stoliku, i tak leniący się chodzić, że, jak mi sam powiadał, od lat kilku nie był ani razu za miastem. A i żona tój jego, i córka, to istne ideały Niemek, w najlepszym tego wyrazu znaczeniu. Wizyta, którą im wczoraj nad wieczorem oddałem, stoi mi przed oczyma, jak Flamandzki obraz. Zastałem ich wszystkich w ogródku, w altanie ocienionój liśćmi winogrodu. On sam, w letnim szlafroku, w pantoflach, bez chustki na szyi, w małej czerwonej czapeczce na głowie, z porcelanową dużą fajką w ręku, czytał głośno jakąś nowellę. Przy drugim mniejszym stoliczku, na którym warzyła się kawa, na spirytusowój machince, siedziała żona z pończoszką w ręku, skromniutko, ale tój czyściutko ubrana, i czuwając nad kawą słuchała czytania. Między niemi, na niskim taboreciku, siedziała piękna panna Rozawita, (Róża biała), tak nazwana od tytułu najslawniejszój powieści swego ojca: tylko że na okrągłój, pulchnój i uśmiechnionój twarzyczce, obu róż łączyły się barwy, ocienione bujnemi pierścieniami włosów, spływających na szyję. Ubrana była cała w bieli, oprócz czarnego fartuszka, zaszypanego kwiatami, z których wiązała bukiet dla posłania siostrze, którój trzyletnia córeczka, ze starą niańką, bawiła się w ogródku. Pan Kind, którego już dniem przedtém w bibliotece królewskój, za pośrednictwem Falkensteina poznałem, przedstawił mię

znie i córce, jako téż składającego rymy, co mi zjednało natychmiast bystre, ciekawe spójrzenie panny Rozawity, które że się spotkało z podobnémże mojem, w twarzy jój róża rumiana stanowczo przemogła nad białą. Przypomniałem na szczęście kilka wierszy z „Pięknój Kwiatarki” Göthego, a ich czytowanie posłużyło mi za piérwszy wątek rozmowy.

Rozmowa z ojcem była naprzód o przedstawieniach Freyechütza w Warszawie; a że na żądanie panny Rozawity powiedziałem po polsku parę strof z „chóru strzelców” i z aryl Agaty: miałem prawo prosić nawzajem o przeczytanie mi przez autora, na pamiątkę miłej znajomości, jakiejkolwiek poezyi swojej. Prośba, jak widać było, nie zdała się natrętną, bo ojciec z uśmiechem zapytał córki, coby radziła przeczytać? Bez wahania się i namysłu odpowiedziała: „*Heilige Christ*;” i zaraz odwiązawszy fartuszek i zawinąwszy w nim kwiaty, pobiegła do mieszkania po xiążkę; ja zaś tymczasem z matką mówiłem o pięknym ogródku i o białej królowój kwiatów, niby to z rzeczy poematu Schultza „*Die Weisse Rose*,” ale jużciż myśląc *in petto*, że słowa moje dojdą swego celu. — Owo „*Heilige Christ*,” jest to rzewna legendka o biednej małej sierotce, która w wigilią Bożego Narodzenia błądzi wieczorem po ulicy, wpatrując się w oświecone okna, wspominając rodziców i drzewko, które i oni kiedyś ustawiali dla niój. W jednym domu blask większy niż w innych; a że ludzie wchodzą do niego, więc i ona wchodzi za nimi. Aletu zamiast drzewka spostrzega katarfalk, a na nim dziewczynkę w jój wieku. Żal jój nad

sobą zamienia się w żal nad umarłą, która widać ta była szczęśliwą; a żal ten tak wzrusza matkę, że sierotę przybiera za córkę. Wszystko to opowiedział nie tak prosto i tkliwie, że prawdziwie ze wzruszeniem słuchałem. Wrażenie to zjednało mi podwojoną uprzejmość całej téj zacnej rodziny, i rozstaliśmy się bardzo serdecznie, ja obdarowany trójkolorowym bukietkiem, z róż białych, czerwonych i bratków który „*die schöne Blumerinn*,” nie bez myśli dla mnie związała. Byłbym pozostał dłużej, o co mię proszono, gdybym nie śpieszył na wieczór do Tiecka.

Tieck, od lat wielu stale zamieszkały w Dreźnie zwykle w zimie, dwa razy w tydzień, miewa u siebie literackie wieczory, na których czyta swym gościom i dla własnej swojej zabawy, raz tragedya, drugi raz komedyą, i to w kolej oryginalne niemieckie, lub tłumaczone przez siebie, lub przez innych, z angielskiej i z hiszpańskiego. W lecie to rzadko się zdarza i to chyba wyjątkowym sposobem, gdy chce uraczyć jakich miłych gości. Tym razem zaszczyt ten był nie dla mnie; ja tylko skorzystałem ze szczęśliwego zdarzenia; a winien to byłem zapewne temu, iż przy pierwszym poznaniu cytacyami dowiodłem, że jego „*Ś, Genowefę*” nie tylko czytałem, ale studiowałem. Przedmiotem bowiem rozmowy były właśnie poemata dramatyczne, i Tieck utwierdził mnie stanowczo w przekonaniu, że jest to może najwłaściwsza forma dla przedmiotów historycznych lub legendarnych, jak np. jego „*Genowefa*,” gdzie rzecz idzie nie tylko o los téj lub owéj osobistości, lecz główn

o wydanie idei lub ducha narodu i czasu. Stosowanie się do warunków reprezentacji teatralnej, musi koniecznie ścieśniać imaginacją poety, lub zmusza go, dla efektów scenicznych, do przekształcania prawdy historycznej, jak np. w „*Dziewicy Orleańskiej*” Szyl-lera, lub w „*Egmoncie*” Göthego; a przecież pierwszym zadaniem poezji jest nie przetwarzać, lecz uwydatniać prawdę, tak psychiczną, jak i historyczną. Podług Tiecka, wszystkie prawie najświetniejsze dramata hiszpańskie są właściwie poematami. i tylko żywszej od naszej wyobraźni południowych widzów, winne są powodzenie na scenie.—W rozmowie téj Tieck był bardzo ożywiony i mówny, i przy rozstaniu zaprosił mnie na wczorajszy wieczór. Dany on zaś był na uczczenie jakiejś możnej angielskiej rodziny, złożonej z bardzo poważnego ojca, matki, dwóch córek, ślicznych, jasnych blondynek, i dwóch arcy-nie-zgrabnych młokosów, podobnych z ruchu do bocianów, na cienkich wysokich nogach. Pierwszy to raz widziałem całe stado *dzikich* Anglików, a chociaż przysłuchiwałem się, jak mogąc, świegotaniu ich między sobą, nic a nic zrozumieć nie mogłem. Karol V. trafnie ten język nazwał „językiem dla ptaków,” bo trzeba mieć chyba język, a raczej gardziel ptasi, aby móż naśladować ten świegot. Istna *tyrolka* między językami. Nasz szanowny nauczyciel warszawski gadał przecież po ludzku, chociaż za Anglika uchodził. Teraz więc widzę, że musi być prawda, co mówił o nim jego współzawodnik, że był tylko żydem z Hamburga. Nie wiem czy jego samego *melodya*

Irlandzka posłużyłaby mi lepiej: ale przekonałem się, niestety, z doświadczenia, że ta *hamburska*, którą się w dobrej wierze uczyli, próżno tylko łamała nam język. Na pierwszym zaraz obiedzie w hotelu, siedząc przy dwóch jakichś Anglikach, chciałem spróbować, a może się trochę i popisać z mniemaną umiejętnością moją, i korzystając z przywileju sąsiada, wypaliłem do nich dobrze wprzód w myśli ułożony frazes. Obaj zwrócili się ku mnie, a sąsiad mój z grzecznym uśmiechem zapytał: „*What?*” (Co?) Powtórzyłem. Spójrzeli wzajem po sobie, i widać było, że żaden nie rozumiał. Zarumieniłem się po uszy;—nadewszystko wstyd mi było Rzewuskiego, aby mię nie posądził o samochwalstwo. Dobyłem więc co żywo pugilares i napisałem ołówkiem, co chciałem być powiedzieć. Odpowiedzieli uprzejmie jeden przed drugim, ale i ja ich nie rozumiałem nawzajem. Śmiejąc się więc i mówiąc już dalej po francuzku, wyjaśniłem im to *qui pro quo*, i pokazało się nakoniec, że kiedy oni bacznie nastawili ucha, domyślili się przecież, co im niby po angielsku mówiłem, i nawzajem, gdy do mnie mówili powoli, ja też prawie wszystko pojąłem. Ale na wieczorze u Tiecka byłem już bardzo ostrożny, i trzymając język za zębami, ucha tylko nastawiałem ciekawie. Ale i ucho nie służyło mi lepiej.

Tieck czytał „*Kupca Weneckiego*,” Szekspira, we własnym swoim tłumaczeniu niemieckim. Ale cóż to za mistrzowskie czytanie! Nie dziw, że się z nim popisywać lubi. Siedział przy małym stolczku, na

jednostopniowej estradzie. Szybki ruch tylko palców ręki prawej, wspartej na stole i podnoszącej się często do góry, zdawał się dopomagać modulacji głosu, do wydania wszystkich najdelikatniejszych odcieni uczuć i myśli. A jakież to umiarkowanie w głosie! Samo np. wołanie Jessyki:—czujesz, że woła głośno, a ton się głosu przecież nie podnosi; obudza uwagę i wyobraźnię, chociaż wcale na ucho nie działa. Słyszeć tak czytana poezję, jest to uczyć się poczuć wartość i właściwość każdego wyrazu; harmonię każdego wiersza; ton, kontur i cieniowanie każdej myśli; jednem słowem to wszystko, na czém zewnętrzny urok poezji zależy. To też Tieck czyta tylko same arcydzieła. Żadna reprezentacya na scenie nie mogłaby, jak sądzę, sprawić takiej rozkoszy dla prawdziwego lubownika i znawcy poezji; chyba gdyby każdy z aktorów, wyzuwszy się ze swój osobistości odrębnej, tak rolę i grę swoją złąć umiał z całością, jak je Tieck wszystkie zlewał w czytaniu. Słynny nasz skrzypek Lipiński mówił mi niegdyś, że samo czytanie nut wielkich kompozytów muzycznych, sprawia mu większą przyjemność, niż słuchanie ich grania; bo on czytając, harmonię ich czuje sam w sobie, a nic mu jój zewnątrz nie maści. A na cóż mi psuć oczy patrzeniem na różne figury, kiedy sam głos czytającego lepiej może je nawet wyobraźni mojej przedstawia; głos zawsze jednostajny i pełen naturalności, ale tak nieskończenie w intonacyach odmienny, że już z nich bez wymieniania osób, wiesz od razu która co mówi. To też sam Tieck, w miejscach ważniejszych, zdaje się próbować

słuchaczy, i byстрыm rzutem oka dokoła śledzi w ich twarzach wrażenia, jakie czuje że powinien obudzić. Próba widać wypadła pomyślnie; bo się coraz w czytaniu ożywiał. Niektóre wszakże sceny, ile mogłem przypomnieć, zdawało mi się że skracał, albo nawet całkiem opuszczał. Po każdym akcie następowała przerwa; po drugim podano herbatę. Nalewała ją jedna z córek; druga w ślad za lokajem, niosącym filiżanki, szła z dwóma koszykami ciasta. Obie smukłe i kształtne, ubrane jednostajnie i skromnie, i nawet dosyć przystojne; obok jednak Angielek, z którymi się wyłącznie bawiły, wyglądały mi jakoś prozaicznie—nie tak jak panna Rozawita; może dla tego, że były gładko uczesane; a zaś bujne pukle włosów, wijących się w pierścienie i spadających aż na szyję, dziwnie pięknie obramowywały niejako białe lica „cór Albionu.” Po akcie czwartym roznoszono lody; po skończeniu zaś czytania, co już było około północy, skromna stojąca przekąska na zimno, zastawiona w drugim pokoju, z owocami i winem reńskim, zakończyła biesiadę. Osób było wszystkiego szesnaście. Gospodarz był bardzo uprzejmy i sam wino gościom nalewał. Wdzięcznie przyjął, nie już komplement, ale szczerzy wyraz mojego uwielbienia i wdzięczności, i prosił, abym wracając przez Drezno, domu jego nie mijał. Z damami nie było czasu słowa prawie przemówić. Podczas czytania siedziałem między Falkensteinem i Hummlem, zamieszkałym stale w Wejmarze, a którego już przedtém u damy dworu, panny Salomei Dobrzyckiej spotkałem. Skromniuteńki czło-

wieczek, i nawet prawie nieśmiały, w rodzaju naszego Lipińskiego lub Brodzińskiego. W każdym widać zawodzie, kto prawdziwie wart chwały, ten skromny. Pigmejczyk tylko wspina się na szczudła. Przypomniałem co mi opowiadała pani Szymanowska, że Hummel kiedyś przyjechawszy do Moskwy, udał się naprzód do Fielda, który ma być pyszny i hardy jak Anglik, i nie mówiąc swego nazwiska, prosił go tylko o protekcją, jako przejeżdżający artysta. Łatwo pojąc, patrząc na Hummla, jak Field musiał traktować go z góry; ale trudnoby się było domyślić, że Hummel mógł być takim figlarzem. Kłaniając się bowiem pokornie, prosił tylko o pozwolenie, aby się mógł popisać przed mistrzem. Ale zaledwie grać zaczął, Field zerwał się jak oparzony, wołając: „*Sie sind Hummel, oder der Teufel!*” (Pan jesteś Hummel, albo djabeł).—„Hummel, do usług,” odpowiedział przybyły, i odtąd podobno przyjaźń zawiązała się pomiędzy nimi:—No! Bogu dzięki i za to! Adam u nas i tym sposobem nie zdołał przekonać klasyków—dodać tylko trzeba: warszawskich. Bronikowski dobrze powiedział o nich, że są to klasyki klasy pierwszej, bo deklinują ciągle formę pierwszą—*terra*; do *spiritus* im jeszcze daleko.—Ale masz tobie! Wyjeżdżając z Warszawy cieszyłem się nadzieją, że raz przecie pozbędę ich z myśli; a trzebaż, żeby w pierwszym liście z zagranicy, myśl nie chcąc, na sam koniec znowu na nich nabiegła. Ale stało się! Papier się kończy—bądź więc zdrów!

VIII.

Do Ignacego Chodźki.

Drezno, 5 Sierpnia 1829 r.

Pozdrawiam cię z nad brzegów Elby. Jestem za-
tém u celu najgorętszych życzeń—podróżuję.

„Podróżuję—bom mądrych nauczony radą.
„Bursztyn w ziemi rodzinnej wala się po piasku,
„Lecz nowego w podróżach gdy nabędzie blasku,
„Za powrotem dziewczęta na piersi go kładą.”

Tak mówił kiedyś sławny perski poeta Hafiz, i miła to zaprawdę perspektywa podróży! Co będzie w końcu z mojej, ja nie wiem; ale to już wiem z doświadczenia, że pierwszym jej tu wrażeniem była i jest jeszcze tęsknota. Nie czułem jej wyjeżdżając z Warszawy ani jadąc, ale za pierwszym wyjściem na ulicę obcego miasta, spotkała mię jak dawna znajoma, i przypomniała naprzód pożegnanie z wami. Ale się nie bój! nie będę ciebie nudził analizą sentymentów moich. Czuję tylko potrzebę mówić z wami o tém co widzę, aby je z wami niejako połączyć, i zatrzeć w niem tę cechę obczyzny, z której właśnie wieje tęsknota. Ale tu znowu taki natłok przedmiotów, że nie wiem od czego zacząć. Do Juljana pisałem już o sławnych ludziach, których tu poznałem. Po nich najwięcej zajmuje mię natura kraju i obyczaj narodu

bo co do dzieł i arcydzieł ludzkich, których tu pełno wszędzie, gdzie stąpisz lub spojrzysz, pisać o tém nie stałoby papieru i czasu. Zresztą dla mnie samego jest to jeszcze jak nowe jakieś abecadło, na którym zaczynam uczyć się czytać, ale liter w sylłaby składać jeszcze nie umiem. I tak np.: Galerya obrazów, jest to dla mnie jak jakieś Elyseum, i to raczej cieniów niż duchów; jakby raj chrześcijański i muzulmański zarazem. W pierwszym króluje *Madonna* Rafaela, w drugim *Panae* Van-Dycka.—Zbrojownia, czyli muzeum ryszunków, (*Rüstammer*), to znów jak katakomba przeszłości wieków średnich, w której pamiątki ich i obyczaje stoją wkoło w żywej postaci, jak mumije, we zbrojach, lub z ogromnemi puharami w ręku.—Skarbiec nakoniec, zwany „sklepem zielonym” (*Grüne Gewölbe*)—bo to są trzy najgłówniejsze osobliwości Drezdeńskie—zdaje mi się jak podziemny jakiś kraj Gnomów; i to nie tylko z bogactwa kruszców i drogich kamieni, ale i z wielu zadziwiających robót i wyrobów, niby to artystycznych, a rzeczywiście tylko trudnych i sztucznych, na których wykonanie potrzeba chyba było cierpliwości i wytrwałości Gnomów, nie mających co lepszego robić z nudy pod ziemią. Zastąpili też ich w tém tylko Chińczycy i Niemcy.

Ale i na powierzchni ziemi znać tu wszędzie pracę niemiecką. Kraj całkiem od naszego odmienny. Nie żeby był piękniejszy—broń Boże! Oprócz skał, nie widziałem dotąd nic piękniejszego nad brzegi Niewiazły i Niemna. Ale natura sama nie orze i nie

układa zagonów; nie bieli domów, nie łąta dachów, nie grodzi i nie zamiata dziedzińców; a widać z tego wszystkiego, że tu natura w ludziach nie musi być ta sama co u nas. I nie ma w tém nic dziwnego. Toć np. konik polny i mrówka, choć i jeden i druga—owady, a przecież tak różne od siebie! Skakać tylko i śpiewać, kiedy trzeba pracować, a potem skwierczeć na biedę—ja wiem, że to nie dobrze; a jednak czuję, niestety, że gdybym miał do wyboru, nie chciałbym i nie mógłbym być mrówką; choć Bóg wie, ile to razy, po całych nieraz godzinach, sam nic nie robiąc, admirowałem mrówiska, jak teraz admiruję niemieckie pola, wioski i miasteczka, które widziałem w przejeździe i widzę około Drezna. Ono samo, nie wiem dla czego, ma dla mnie jakieś podobieństwo z Wilnem. Może dla tego, że w niém zewsząd wieś widać; że piękne okolice składają z niém jakby jedną całość; że jest to jakoś jakby *miasto wiejskie*. A i wewnętrzna fizyognomia ulic przypomina coś niby Wilno. Nie widzisz tu wprawdzie tych grupp, w kółko zebranych, stojących i gawędzących spokojnie, jak gdyby po to tylko wyszły na ulicę; ale też nie ma zgoła tego ciężkiego ruchu, jakby w tańcu Św. Wita; tego ustawicznego turkotu powozów; a nade wszystko tych pań, paniątek, z pozoru i z miny, którym musisz co chwila umykać się z drogi, ażeby nie zmiać ich stroju, albo nie być sam przez nich potrąconym w rynsztok—jak to co krok spotykasz gdzieindziej. Wszyscy tu są ubrani i chodzą po powszedniemu, jak w naszym cichém Wilenku; a chociaż widać po każdym,

że idzie dokądś i za czémś, czujesz przecież że widzi drugich przed sobą i że z nim się bezpiecznie rozmieniesz.

Ale najobszerniejsze pole do tego rodzaju obserwacji, miałem tu codziennie na dorocznej zabawie ludowej, na którą właśnie szczęśliwie trafiłem. Jest to tak zwane strzelanie do ptaka, „*Fogelschiessen*.”—A cóż to jest takiego? zapytasz. Otoż masz naprzód wiedzieć, że we wszystkich tutejszych miastach i miasteczkach, a podobno i we wszystkich niemieckich, są towarzystwa strzeleckie, od wieków już istniejące, a bawiące się peryodycznie co roku strzelaniem z rusznic lub z łuków do ptaka, czyli jak u nas niegdyś mówiono: „do kurka”. A nie jest to żaden ptak ani kogut żywy, ale jakiś ptak fantastyczny, zbity z desek, pomalowanych jaskrawo, z rozpuszczonemi skrzydłami, z berłem i jabłkiem w szponach, ze złotą koroną na głowie, i z ogromnym czubem piór na jej wierzchu, przymocowany na wysokiej żerdzi. Tu strzelają do niego z łuków, a raczej z arbaletów, naciąganych za pomocą korby; strzałami, nie cienkimi i ostremi, jak kałmuckie lub Kupidynowe, lecz krótkimi a grubymi jak kije, z również grubym żelaznym okuciem na tępo, przeznaczonem nie do utkwienia, ale do rozbijania ptaka. Każda część jego ma swój numer, i za utracenie każdej wyznaczona jest mniejsza lub większa nagroda. Kto zbiję ostatni szczątek, ten zostaje „królem kurkowym” na cały rok następny, i otrzymuje srebrny puchar i około stu talarów, na wyprawienie uczyty dla członków towarzystwa.

Członkami jego tutaj są, lub być mogą, wszyscy, zaczawszy od króla, książąt i pierwszych dygnitarzy kraju, aż do najuboższego z obywateli miejskich, byleby nieposzlakowaną uczciwością zasłużył na przyjęcie, i wnosił co rok oznaczoną opłatę, z czego się składa fundusz towarzystwa. Strzelanie rozpoczyna zawsze sam król, albo w jego imieniu wydelegowany szambelan.

No! a teraz wyobraź sobie łąkę szerszą i dłuższą niż twoja za młynem, zapełnioną wzdłuż i wszerz, jak miasteczkowy rynek podczas kermasu, budami, szałasami, namiotami i pawilonami, budowanymi tuż przy sobie w ulice, a mieszczącymi we środku: kramy, szynki, garkuchnie, kawiarnie, cukiernie, traktyernie, na koniec salę balową do tańca, i różne a przeróżne zabawy lub widowiska, na które wstęp najdroższy nie kosztuje więcej nad złoty. Szereg zabaw rozpoczynają huśtawki i karuzele, w ciągłym ruchu jak młyny wietrzne, na których setki chłopiąt na koniach, a dziewcząt w krzeselkach, kręcą się wkoło, lub z dołu do góry, krzycząc z radości lub strachu. I tu też to jest właśnie najhałaśliwsza część całej zabawy. Dalej ulice jak nabite ludem; pod wszystkimi dachami wszystkie miejsca zajęte; wszędzie przecież muszą coś gadać; a jednak tak mało wrzawy—gwar tylko jakiś stłumiony, podobny do szelestu pszczół w ulu—te wszędzie góruje nad nim skrzek smażących się kiełbas lub pączków, ulubionych, jak widać, specyałów tutejszych. Przy takim także zgromadzeniu ludzi, nigdzie natłoku, nigdzie zamieszania! Wszędzie taki

ład i porządek, że policja nawet zgoła tu nie wchodzi, i tylko po drodze czuwa nad tém, aby powozy nazbyt prędką jazdą nie wzruszały zanadto kurzawy, albo nie zagrażały idącym. Czujesz, że to nie widowisko dla możnych, ale wspólna zabawa dla wszystkich. Nikt się téż tu nie popisuje przed nikiem, ani się nikt nikogo i niczego nie boi—ani upokorzenia, ani pośmiewiska. Każdy wie, że jak on sam na drugich, tak drudzy na niego nie patrzą; każdy przeto jest śmiało sam sobą, i używa po swojemu, sam w sobie lub dla siebie, co chce, jak chce, i jak może. Nie jest to może właściwie towarzyskość, ale za to jaka towarzyska swoboda! Jest téż to najwybitniejsza cecha całej téj ludowej zabawy; a jak mi powiadają ci, co znają Niemcy, że i ogólna cecha charakteru i sposobu życia ich mieszkańców. Życie to nie jest ani tak publiczne, ani tak społeczne jak u nas, lecz rozwija się więcej w domu i rodzinie, a ma niemniej prześliczne kwiaty, i może większą nawet obfitość owocu. A jednak!... Pięciu nas było, cośmy długo rozmawiali o tém; i każdy w końcu, położywszy rękę na sercu, wyznał: iż nie wiedziałby co począć z sobą przez dzień cały, mając tę pewność z góry, że nikt do niego nie przyjdzie, i że on sam nieproszony pójść do nikogo nie może. Ale czyż i w tém nie ma czegoś dobrego? Pan Bóg stworzył zarówno koniki i mrówki; a że stworzył jedne i drugie, oboje więc zarówno muszą być w stworzeniu potrzebne. I rozmyślając sobie nad tém, dorobiłem zakończenie do bajki Lafontena „o koniku i mrówce,” to jest odpowiedź pierwszego, na

ostatnie słowo ostatniej, którym, jak wiesz, odprawiła go z niczém, głodnego i proszącego o żdźbło pożywienia. Otoż konik odzywa się do niej:

„Bóg ci nie płąć, siostró mrówko,
Za twe ostre, gorzkie słówko!
Cóż ja winien, że co ruszę,
To chcąc nie chcąc skoknąć muszę?
Że co pisnę, to choć kiedy
Chciałbym jęknąć — śpiewam z biedy?
Ot i teraz — czyż mnie miło,
Jak fukałaś, słuchać było?—
A jednakże — choć żal czuję,
Jeszcze Bogu podziękuję,
Że nigdybym ci, jak ty mnie,
Nie dał z głodu mrzeć na zimnie.”

Ale wracam na *Vogelwiese*, jak rzeczywiście regularnie codziennie przed zachodem słońca wracałem, i gdzie na trzeci dzień po otwarciu igrzysk, miał przybyć na nie król, z całą rodziną, z letniego zamku Pilnitz, o milę od Drezna, gdzie dwór zwykle przez lato przebywa.

Król dzisiejszy (Antoni), jak słyszę o nim, ma to być wzór dobroci i bogobożności, którą się zresztą i cała rodzina odznacza. Gdy wyjeżdża lub wraca do zamku, a straż przed nim broń prezentuje i bębnią mu werbel: on wtedy bije się w pierś i odmawia akty pokory, aby te ziemskie zaszczyty od siebie ku Panu Bogu odwrócić. Co sobotę, lub w wigilię świętą, jedzie ze spowiednikiem swoim, Ojcem Gracchi, do ulubionego zamku swego

Wesenstein, położonego w górach, i tam obydwaj razem, przez cały dzień następny, odbywają ślubowaną pielgrzymkę do Ziemi Świętej, obliczoną już w wiekach średnich na godziny i kroki. Trwa ona od lat kilku, i podobno już weszli w granice Judei ¹⁾.

Ale nie same tylko praktyki zewnętrzne oznaczają pobożność króla Antoniego. Wszystkie jego myśli i uczucia zwrócone są ku Królestwu Niebieskiemu, i sprawy saskiego o tyle go tylko zajmują, o ile przez nie na tamto zasłużyć może. To też największą jego jest troską, aby komu, broń Boże, jakiej krzywdy nie zrobić; a największą pociechą, jeśli może łaskę jaką wyświadczyć. Ztąd i cały terażniejszy dwór saski, jak słyszę, podobniejszy jest do skromnego klasztoru, niżli do wspaniałego dworu królewskiego, i pod tym względem stanowi najzupełniejszą sprzeczność z dworem poprzedniego króla, Fryderyka Augusta, który jako potomek najdawniejszej w Europie rodziny monarchicznej, (bo pochodzącej wprost od Witykinda), zachowywał też ściśle i święcie wszystkie zwyczaje i całą

¹⁾ W parę lat potem, za bytności znów mojej w Dreźnie, opowiadano powszechnie, że doszli nakoniec szczęśliwie do Jeruzolimy w Wesensztein, i uczyniwszy krok ostatni, upadli na kolana i zaczęli spiewać *Te Deum*. Lecz że to było na środku salonu, służba zdziwiona tym niespodziewanym odgłosem, wbiegła z przestrachem, czy się co złego nie stało. Król postrzegł i zgadł przyczynę; ale nie przerywając śpiewania, dał tylko znak ręką przybyłym, aby uklękli i śpiewali razem.

średniowieczną etykietę dworu Augustów, poprzedników swoich. I tak między innymi np. codzień na stole królewskim, a raczej na karcie kuchmistrza, musiało być na obiad potraw 50, a na wieczerzę 25. Ma się rozumieć, że większa ich część pozostawała nietkniętą, a kuchmistrz na własną korzyść rozprzedawał je potem na miasto. Teraz tak w tém, jak i we wszystkim innym, zaprowadzono jak największą oszczędność i skromność.

Owoż to wszystko, co słyszałem o królu i o dworze jego, wzbudzało moję ciekawość, aby go widzieć na zabawie ludowej. Jakoż punkt o naznaczonej godzinie—bo od czasu nieboszczyka króla, który mawiał: „że punktualność jest grzecznością królów,” najwyższym mistrzem ceremonii dworu saskiego jest zegar;—ukazał się na drodze od Pilnitz szereg czterokonných powozów, które koleją i zwolna zajeżdżały przed namiot, przygotowany na przyjęcie dostojnych gości, a ustrojony suto w zielone wieńce i kwiaty. Przedniejsi członkowie Towarzystwa, z bukietami u fraków i w ręku, czekali jak drużbowie weselni u wnljścia, a trzykrotne: „*Es lebe hoch!*” którym powitali wysiadającego z powozu króla, trzykrotném także echem rozległo się po łące. Sam król, słodki staruszek, w staroświeckim szerokim fraku i okrągłym kapeluszu na głowie, i brat jego, książę Max (Maksymilian), w takimże fraku, w pudrowanej peruce z harcapem, w trzewikach i długich pończochach, z kapeluszem składanym pod pachą, przypomnieli mi braci Śniadeckich—bo i równie nizkiego wzrostu,

i siwi jak gołąbki, i kochają się z sobą jak oni. W ślad za nimi szła młoda żona księcia Maxa, z domu księżniczka Lukieska, z płomiennymi włoskami oczyma, i księżniczka Augusta, córka nieboszczyka króla, wysoka, majestatyczna i zimna jak Juno. Dalej synowie księcia Maxa, z pierwszego małżeństwa, książęta Fryderyk i Jan z żonami; obie niepospolicie piękne i wysokie, rodzone siostry, królowy bawarskie. Obok nich księżniczka Amelia, rodzona siostra obu książąt, znakomita, jak mówią, poetka i autorka kilku komedyi, z powodzeniem grywanych na teatrze Drezdeńskim. A i książę Jan zajmuje się też literaturą i pracuje podobno nad przekładem Danta. Orszak kończyło kilka dam i urzędników dworskich, a między nimi: pani Bleszyńska (Prozorówna z domu), panna Salomea Dobrzycka, i szambelan Tadeusz Tödwen ¹⁾, nasz ziomek, wszyscy umieszczeni przy dworze za czasów jeszcze nieboszczyka króla. Żołnierza ani jednego nie było; a ci, co swoją drogą byli na zabawie, w furazerkach i z fajkami w rękę, zdjęli je tylko z głowy i z ust wyjęli dopóty, dopóki orszak królewski mimo nich nie przeszedł.

Po chwilowym odpoczynku w namiocie, całe dostojne grono, parami, udało się naprzód do ptaka, a potem na obejrzenie zabawy. Książęta i wszystkie

¹⁾ Wspomniany „w Panu Tadeuszu,” służył przedtém wojskowo w Legionach i odbył kampanię hiszpańską jako oficer półku lekkiej jazdy pod dowództwem hr. Wincentego Krasińskiego.

xiężniczki, jako wpisane także w poczet członków Towarzystwa, po trzy razy z kolei strzelali do pta i xiężniczka Amelia zabiła mu czub pierzasty z korony, co wnet tryumfalne dźwięki muzyki i sołe okrzyki widzów ogłosiły po całej łące. Następnie orszak królewski, wśród rozstępującego się tłumu, szedł ją dookoła, idąc przez główne ulice i wstępując do kilku namiotów, w których się znajdowały cenniejsze widowiska. Szambelan idący z tyłu, skłama opłatę za wejście. Pomiedzy karuzelami, wszystkie dziatki, które się na nich kręciły, stały uszykowana rzędami po obu stronach drogi, z jedną chłopczą z drugą dziewczynką. Król uprzejmie pozdrawia je wszystkie, przemawiając i głaszcząc niektóre; xiężniczka rozdawała cukierki, które już widać w tym czasie miały przygotowane i obwiniete w chustkach. — Potrafię ci wypowiedzieć, ile ten widok miał w sobie coś wzruszającego głęboko, i jak miłe, ale raczej i rzewne, myśli we mnie i uczucia obudzał. Szedł za ślad w ślad za orszakiem, aż do chwili jego zajazdu, upoważniony ku temu przez znajome mi owe dwie damy dworu i szambelana Tödvena, którzy postrzegli mnie w tłumie przy namiocie, i umyślnie przostając nieco, przez całą drogę rozmawiali ze mną.

I tu muszę wam opowiedzieć o pierwszym, a najmilszym stosunku, jaki tutaj zabrałem, a który jest dla serca, czém wszystko, co widziałem, dla mnie i wyobraźni mojej. Jest to prawdziwie nowski i braterski stosunek z matką tej damy dwornej panny Dobrzyckiej, i z nią samą. Rodzina ta i

dawno jeszcze była jedną z możniejszych w W. X. Pozańskiem, ale ostatni jój dziedzic, słynny z nader uprzejmój i hojnej gościnności, znacznie zamożność tę nadwreżył. Starsza córka jego Salomea, w r. 1808 została mianowana frejliną dworu przy królowej saskiej, ówczesnej w. księżnej warszawskiej, a po jój śmierci damą dworu przy córce jój, księżniczce Anguście. Matka jój Ewa, z domu Koszutska, po śmierci męża, stale też przy niej zamieszkała w Dreźnie, gdzie dom jój, od lat już wielu, jest jakby głównym ogniskiem, a ona sama, jakby matroną-opiekunką polskiego towarzystwa, a mianowicie młodzieży, która się bardzo licznie wychowuje w pensyonach tutejszych, męzkich i żeńskich. Co niedziela i w uroczyste święta, całe to grono uczniów i uczennic zbiera się regularnie w jój domu, aby nie zapominać języka i obyczajów rodzinnych; gra w gry, tańczy i bawi się swobodnie, pod jój baczném, macierzyńskim okiem. Wiele późniejszych małżeństw, jak mi powiadano, zawiązało się naprzód na tych dziecinnych zabawach, na których obok czcigodnej gospodyni, przewodniczy też zwykle przyjaciel jój, sędziwy Jenerał Kniaziewicz, a wstęp na nie dla innych, uważany jest za niemały zaszczyt. Bo nie przesadzę wcale, gdy ci powiem, że jest to, moralnie biorąc, prawdziwie typowa postać starodawnych matron polskich: w myślach i sądach rozumna i zimna, w zasadach i ich stosowaniu surowa, a obok tego w sercu wyrozumiała, pobłażliwa i czuła. Pojmując głęboko to wszystko i interesując się żywo tém wszystkiém, co

ludzkości i człowieczeństwa dotycze, na świat i na przemijające jego błyskotki spogląda z najzupełniejszym spokojem, ani ich pragnąc, ani gardząc niemi, a mając za jedyny cel życia, czynić o tyle dobra, ile może, a za najdroższy skarb jego, szacunek i przyjaźń tych ludzi, których sama poważyła i kocha. Wszystko to, stwierdzone praktyką całego jej życia, wyciągnęłam z własnych jej rozmów, które mię aż dziwiły niekiedy trafnością i głębokością poglądów, na duchowe życie wewnętrzne i na towarzyskie stosunki ludzkie, a nawet i na literaturę, którą zna tylko, ale zna gruntownie, w jednym języku ojczystym, gdyż ani po francuzku, ani po niemiecku nie umie. Córka jej, panna Salomea, to znowu typ w swoim rodzaju, ale całkiem od pierwszego odmienny. Przy najwyższym wykształceniu umysłowem i estetycznym, a nawet, jak w muzyce, i artystycznym, odznaczające ją najwybitniej rysy charakteru są: imaginacja poetycka i anielska dobroć, z której też tu słynie powszechnie. Król nieboszczyk, wielki znawca ludzi i doskonale umiejący po polsku, nazywał ją nie inaczej, jak „Dobry”, i ta nazwa została jej dotąd u dworu, nawet pomiędzy Niemcami. W młodości—bo ma już dzisiaj lat około 50—odrzucała kilka świetnych partyi dlatego tylko, że zajęta wyłącznie uwielbieniem geniuszu i powodzeniem cesarza Napoleona, nie miała czasu myśleć o osobistym swym losie, a bez uczucia iść za mąż nie chciała. Obecnie, obok niewyczerpanej dobroci dla wszystkich, głównym przedmiotem jej serca i poświęcenia bez granic, jest matka i rodzina, to jest

młodsza jój siostra, pani kasztelanowa Bielińska, bardzo miła i piękna osoba, oraz dwoje ślicznych jój dziattek, z któremi ona także na czas jakiś przybyła na mieszkanie do Drezna. Do niej to właśnie miałem z Warszawy rekomendacyjny list od jój męża; Adam zaś, poznawszy się tu z niemi, polecił mię téż przed wyjazdem ich uprzejmemu przyjęciu. Nie temu tylko wszakże winien jestem ów bliższy z niemi stosunek; a jest on dla mnie tak miły, a zjednała mi go tak drobna na pozór okoliczność, że nie mogę nie widzieć w tém jakby Opatrznego zrządzenia.

Od piérwszej chwili poznania podobałem serdecznie w towarzystwie ich wszystkich; ale była to tylko miła nowa znajomość, i nic więcéj. Na trzeci dzień dopiéro, idąc na *Vogelweise*, wzięła mię chęć zajść do szanownej staruszki, i właśnie w bramie jój domu spotkałem przekupnia z jabłkami. Kupiłem dwa i schowałem do kieszeni, myśląc je zjeść po wyjściu. Tymczasem zastałem u niej obie córki, i rozmowa tak mię zajęła, że chętnie zgodziłem się na projekt, aby już tam cały wieczór pozostać. Ale równo z tém postanowieniem przyszły mi na myśl owe moje jabłka, a wpływ ich tak jakoś sympatycznie zaczął działać na podniebienie, że aż mnie złość brała na siebie, że tego pokonać nie mogłem. Była to istotna pokusa; a im bardziéj usiłowałem ją zwalczyć, tém ona natarczywiéj wracała. Przeżegnałbym się, gdybym się nie wstydział; ale ten wstyd i gniew wewnętrzny tak mi jakoś mieszały w rozmowie, że aż staruszka zapytała troskliwie: „Co to panu? może

niedobrze?”—Zaczerwieniłem się jak rak; ale nie było rady: trzeba było albo wyjść, albo wyznać prawdę; a że mi się nie chciało wychodzić, zdecydowałem się więc na ostatnie. Wyznanie to, ma się rozumieć, wywołało śmiech—ale nie był to śmiech szyderscy. Staruszka z uprzejmym pośpiechem dobieła ze stolika nożyk do owoców; dama dworu wybiegła sama do kredensu po talerz, i wszystkie panie były tak łaskawe, że raczyły wziąć udział w traktamencie moim. Rozmowa zaś tak się ożywiła i tak stała się w końcu poufną i serdeczną, że aniśmy spostrzegli, jak nadeszła północ. Wtedy staruszka, objąwszy twarz moje rękami i całując mię w czoło, rzekła: „Przyjdź robaczkę jutro na obiad!”—Uścisk ten i to słowo *robaczku*, tak jakoś dziwnie miło odbiło się w mém sercu, jak gdybym głos matki posłyszał. Odtąd już wszystkie wolne chwile przepędzałem u niej, gdzie też codziennie cała rodzina zbierała się razem na obiad. Koniec końców—po pani Becu, (mającój, jak wiesz, także imię Salomea), tój najłaskawszój przyjaciółce, a nawet przewodniczce piérwszój młodości mojej, (a z którą mam się spotkać w Marienbadzie) ¹⁾, nikogo dotąd nie uszanowałem tak głęboko, ani pokochałem tak serdecznie, jak obie te panie, i na niczyjój może życzliwości tak śmiało nie liczę nawzajem. Przed

¹⁾ Wdowa po profesorze uniwersytetu wileńskiego Euzebiuszu Słowackim, matka Juliusza Słowackiego, z domu Januszewska, była w powtórnych związkach małżeńskich z profesorem wydziału lekarskiego w Wilnie, Augustem Becu.

godziną pożegnałem się z niemi, dawszy najuroczystsze słowo im i sobie, że będę powracał na Drezno, ażeby się z niemi zobaczyć. Jutro raniutko wyjeżdżamy— to jest ja z p. Antonim Kraszewskim, bardzo miłym i uczonym człowiekiem, doktorem prawa, z Poznańskiego, i z młodym hr. Bnińskim, którego on jest mentorem, a u których tu od dni czterech już mieszkam. Mamy zwiedzić piechotą Szwajcaryę Saska, a potem razem jechać do Karlsbadu, z kąd miałem dziś list od Adama, abym przybywał co prędzej, uwolnić go, jak pisze, „od udręceń sławy, która mu wody w Karlsbadzie emetykiem zaprawia.” Domyślam się, że musi być znudzony komplementami nowych znajomości, których wiem, że specjalnie niecierpi.—Bądź zdrow! a raczej bądźcie zdrowi wy wszyscy, których mi pamięć towarzyszy wszędzie!—

IX.

Do Juliana Korsaka.

Teczen, 8 Sierpnia 1829 r.

Gdybym miał czas i węgę po temu, w „języku bogów” chyba mógłbym się kusić o zdanie ci sprawy z wrażeń, jakie świeżo jeszcze tchną we mnie, po dwudniowém zwiedzaniu Szwajcaryi Saskiej—istnój oazy skał i dzikiej natury, wśród pól tak po niemiecku uprawnych, że żaden polny kwiatek nie ma gdzie sam dla siebie wyrosnąć. Ale chcieć opisywać to prozą, byłoby prawie to samo, co zasypywać piaskiem malowidło, albo opowiadać muzykę. A czuję w sobie jakby jedno i drugie: malownicze obrazy nagich skał, gór skalistych i lesistych wąwozów; a muzykę szumu drzew, strumieni i kaskad, która te skały i wąwozy ożywia. Ale przeczytaj te parę strof z pierwszej pieśni „Pani Jeziora” Walter-Skotta, w których jego bohater, zajeżdżwszy konia, drapie się pieszo przez jakiś tam wąwóz, nim się spotkał z Nimfą jeziora: a pewnie lepiej wyobrazisz sam sobie to właśnie, co ja widziałem, niż gdybym ci jak najtopograficzniej opisał i nazwał po imieniu wszystkie te *bergi, sztejnny* i *grundy*, których zwiedzenie, widoki i przejścia, stanowią treść podróży po Szwajcaryi Saskiej. Nie ma w niej wprawdzie jezior—a i nimf, niestety, nie było;

ale choćbym i spotkał jaką, to kto wie, czy nawetbym dla niej wzrok i myśl od *nieczułych gładów* oderwał. Ze wszystkich *ziemskich* wrażeń i uczuć, te, które w nas odudza widok piękności natury, bodaj czy nie są najduchowniejsze, a więc — tym samym i wyższe od wszystkich:

Piękność, urok dla oka; muzyka, dla ucha;
Poetyza, dla serca; — natura, dla ducha.
Ona jest tą Madonną, co tuląc do siebie,
Syna wznosi nad siebie, ku Ojcu na niebie.
I kto wie, czy dusz świętych nie w tym dola błoga,
Czuć całą piękność świata, a kochać w niej Boga.

A wiesz ty, że mnie samego ta myśl ostatnia uderza! Bo nie ja też ją wymyśliłem. Przyszła mi sama z gotowyn już wierszem. Ludzie myślą, że wiersze wyłazą tylko zawsze z głowy i z pod pióra, jak robaki z ziemi, z pod kłody; a one często same przylatują Bóg wie z kąd, jak motyle, że je tylko chwytaj na pióro, jak naturalista na szpilkę. Bieda tylko, że i pod piórem nieraz, jak pod szpilką, myśl i motyl zarówno trupieją.

Czechy—bo jestem już w Czechach, (w piątym kraju od kwietnia)—o ile mogłem widzieć z gór Szwajcaryi Saskiej, a potem dopływając Elbą do Teczen, kraj nie tylko równie żyzny i piękny jak Saxonia, ale bodaj nawet czy nie piękniejszy: a przynajmniej tu, w tym punkcie, gdzie cudna dzikość gór i kamieni zlewa się i harmoniuje niejako z niemniej cudną bujnością zielonych nadelbiańskich dolin—jak np. fagoty i bębny ze skrzypcami i fletami w orkiestrze.

Ale na tém tle podobieństwa krajów, tém bardziej występuje różność ich mieszkańców. W twarzy, oczach i ruchach Niemca, widzisz zawsze bierną spokojność, jak stojącą, choć czystą wodę, którą trzeba chyba potrącić, ażeby się ruszyła. U Czecha wszystko przeciwnie. Życie samo bieży jak strumień—przepływ jego widzisz na twarzy; z ruchów ciała znać siłę, a z oczu jakby patrzył Hussyta. Czarny, niski, krągły kapelusz, z szerokimi brzegami, z szeroką, fałdowaną taśmą, i płaszcz krótki z hiszpańska, albo raczej z węgierska, (bo w takich chodzą u nas Węgrzyni z olejkami), bardziej jeszcze to podobieństwo nasuwa. Obserwacye te robiłem tu dziś na targu, dość licznym jak na małe miasteczko, a którego gwar też i hałas przypominał mi nasze kiermasze. Że zaś byłem zwłaszcza ciekawy zajrzeć w oczy płci pięknej, obszedłem przedewszystkiém stragany, gdzie się sprzedają jarzyny i owoce, a między temi sławne jabłka czeskie, i myśląc przytém o tobie i o tym liście do ciebie, ułożyłem do niego rym taki:

Rajskie jabłko raj zgubiło,
Złote bogów poważniło
I zburzyło Troję.
A ja—patrz! w jabłkach bohemskich
Sam pokus rajskich i ziemskich
Szukam—ni się boję.

I nie było się też czego obawiać. Ani jednej ładnej twarzyczki, ani jednej zgrabnej figurki! Uderzył mnie tylko strój kobiet: płaszcz jasnego koloru z galonowym kołnierzem; na głowie jakieś czółko; u każdej

prawie krzyżyk albo szkaplerz na szyi—tak jak nad każdym tu domem obrazek jakiegoś świętego. A domy wszystkie czyste, schludne, białe, tu i ówdzie oplecione zielenią, albo otoczone ogródkiem, i po większej części murowane. Wstępowałem do kilku, niby dla zapalenia cygara, ale aby zobaczyć, co też jest we środku. Sprzęt skromny, ale czystość i porządek wszędzie. Z niewymówném zaś podziwieniem dowiedziałem się, że nie ucząc się, umiem—to jest rozumiem po czesku i oni mię rozumieją nawzajem. Mam więc jakby wynagrodzenie za dekonfiturę z angielszczyzną w Dreźnie. Jutro raniutko wyjeżdżamy do Töplitz, gdzie już chyba list ten dokończę, i ztamtąd go zapewne wyprawię.

Töplitz, 9 Sierpnia—północ.

O świcie wyjechawszy dziś z Teczen i zwiedziwszy w przejeździe pole bitwy pod Kulmem, z wystawionemi na niem pomnikami, ku czci feldmarszałka Colloredo i poległych w tej bitwie, a które—mówiąc z Walter-Skotem:

„Obrosłe zielskiem, w pleśni i kurzawie,
„Uczą przechodnia, co myśleć o sławie:—

o piérwszej po południu stanęliśmy w Töplitz. Są to piérwsze kąpiele, które widziałem; a ujrzałem je naprzód z najpiękniejszej strony. Bo właśnie o tej godzinie odbywa się tu zwykła ogólna przechadzka, w dużym, pięknym parku zamkowym, należącym do

xiąząt Clary; a więc i my wprost z wozu udaliśmy się tamże. Za pierwszym rzutem oka na skład towarzystwa, przyszło mi samo na myśl małżeństwo Wulkana z Wenerą. Bo wyobraź sobie tłum nieruchomych paralityków, w krzesłach lub w wózkach na kołach; tłum chorych wszelkiego rodzaju, o kulach, szcudłach, lub kijach; a między nimi, jak różnobarwna wstęga kwiatów, przewijają się po krętych uliczkach ogrodu, strojne szeregi pań, panien, panienek i panienczek, otoczone rojem młodzieży, a szczebioczące różnemi językami, których twarz, ruchy i śmiechy dowodzą, że dla użycia chyba, nie dla nabycia sił i zdrowia tutaj przybyły. Są to jak złote rybki, albo może jak robaczki na wędkach, pływające po wszystkich kąpielach i wodach mineralnych. A przypatrzyłem się im jeszcze lepiej na balu, to jest publicznym wieczorze, który się tu trzy razy w tygodniu o godzinie 8 zaczyna, a z którego właśnie powracam, aby znów siadać na wóz i jechać noc całą—jeśli po takich drogach jak z Teczen do Töplitz—to bodaj czy nie na złamanie karku. Ale jutro koniecznie muszę być w Karlsbadzie, aby nie nadużywać cierpliwości Adama, który już kurs wód swoich skończył i na mnie tylko tam czeka. Z dam ani jednej znajomej nie spotkałem na balu, ani żadnej też nie poznałem. Patrzałem tylko jak Tantal na wodę. Za toż mężczyzn było aż nadto i znajomych z Warszawy i nowo poznanych, najwięcej z Poznańskiego. Między tymi dwaj akademicy berlińscy opowiadali mi szczegółowo o pobycie i przyjęciu Adama w tém mieście.

Przyjęcie to było bardzo serdeczne ze strony polskiej młodzieży uniwersyteckiej i bawiących tam obywateli z więzta. Adam miał być w doskonałym humorze, i parę razy improwizował. W ogólności wrażenie, które sprawił, było takie, że wszyscy, powitawszy go tylko jako poetę, uczcili i pożegnali z żalem, jako wielkiego człowieka. Pokochałem ich za to serdecznie; i w ogólności wszyscy Poznańczycy, których dotąd poznałem,—zaczynając od towarzyszy podróży mojej z Drezna, Antoniego Kraszewskiego i młodego Bnińskiego, o których w liście do Ignacego pisałem—wszyscy mi jakoś od razu przypadają do serca. Czuć w nich jakby jakąś chropawość, o którą, instykt ci mówi, że i oprzeć się i zahaczyć możesz; nie tak jak te lakierowane słupki, co choć gładko błyszczą z daleka, ale dość chceć który uściśnąć, aby wnet osunąć się na dół.

Na balu przypatrując się tańcom, a skazany na milczenie z damami, miałem czas i obszernie pole do ulubionych moich obserwacji humanitarnych, w zestawianiu obok różnych narodowości; a przypomniawszy z mazurka artykuł Brodzińskiego „o Tańcach”, w mojej *Meliteli*, myślałem i dotąd myślę, że gdyby ci zręczni tancerze byli tacy w duchu, jak w ruchu; do roboty jak do ochoty, a do różańca jak do tańca; czegoby to nie mogli u Pana Boga uprosić, i jakby wysoko nie zaszli! Ale—ale konie już zaprzężone. Zegar, słyszę, bije dwunastą. A więc dobranoc i dzieńdobry razem—i bądź zdrów!

X.

Do tegoż.

Karlsbad, 12 Sierpnia 1829 r. (*Zum Pfeil. Nr, 4*).

Od dwóch dni jestem z Adamem i dotąd jeszcze w Karlsbadzie. O ósmój ledwo wieczorem dowlekliśmy się tutaj onegdaj, dzięki nieporuszonej niczém flegmie furmana Niemca, który ani sekundy nie pojechał prędzej, a trzy razy po trzy prawie godziny popasał. Adam blisko o milę wychodził na spotkanie, i wracając, jak mówił, po raz piérwszy zły był na mnie. Fatalny to byłby prognostyk, gdyby się na mój widok nie udobruchał natychmiast. Ja téż raz piérwszy w życiu miałem przeciez sposobność odwdzięczyć mu *de facto* otrzymaną od niego naukę. Zostałem go strojącego się na tak zwane *Réunion*, to jest wieczorne zebranie kąpielowych gości, które w Töplitz nazywa się balem. Dwie chustki był już odrzucił, których gładko związać nie mógł. Ja więc związałem mu trzecią i to tym samym fontaziem, którego mię w Petersburgu nauczył. Za toż wziąłem dla siebie jedną z dwóch odrzuconych, i o godzinie dziewiątej byliśmy już w sali balowej. Piérwsze osoby, któreśmy—a raczej które nas u wejścia spotkały, były dwie prześliczne panny Łabędzkie: Zofia i Helena, które pewnie kiedyś widziałeś, a więc musisz pamiętać z Warszawy. Adam przedstawił mię im z żartobliwym conceptem, świad-

czącym o przyjacielskim między nimi stosunku, a który i mnie od razu przystęp do niego ułatwił. Żart, ma się rozumieć, był ze mnie; ale że przedstawiał mię tylko jako zdobywcę nie tak dziką i trudną do wzięcia, jakby się zdawało z nazwiska, czułem, że mi to nie wiele zaszkodzi. Jąkoż śmiejące się panny powitały mię zaraz imieniem Don Alonza, mówiąc, że już mię znają z listów swoich kuzynek, to jest panny Heleny i Celiny Szymanowskich. Ja też odpowiedziałem nawzajem, że je znam z miary ich stopek, którą ich admirałowie warszawscy zdejmowali z ich śladów po Ogrodzie Saskim. Tym sposobem od pierwszej chwili byliśmy już dobrze znajomi.

Adam miał wielką racją niecierpliwić się w Karlsbadzie. Od wejścia aż do wyjścia z sali, nie było ani jednej minuty żeby nie miał jakiego interlokutora, a nie widziałem po nim, iżby go który zbyt bawił. Zastawiał się więc mną, jak puklerzem, rekomendując mię na prawo i na lewo. Ale i to nie pomagało. Co jeden zwrócił się do mnie, drugi wnet przystępował ku niemu. Dla mnie już nawet było to za nadto— chociaż może tylko dla tego, że te ustawne nowe znajomości nie dawały mi, jakbym pragnął, korzystać z najpierwszej. Ale wynagrodziłem to sobie wczoraj, asystując im, wraz z Adamem, prawie przez dzień cały: rano u źródeł, w południe na *Alte Wiese*, (miejsce ogólnej przechadzki), a wieczorem we własnym ich domu. Wyszedłszy dopiero ztamtąd, około godziny 10, puściliśmy się sam na sam ku *Post-hof*. Jest to najpiękniejsza tutejsza przechadzka, a była dla

mnie i jedną z najmilszych, jakie sobie przypomnieć mogą. Droga samotna, cisza, noc ciepła, pogodna, miesięczna, przypomniały mi nocne niegdyś przechadzki nasze po dolinie Kowieńskiej. Adam kazał mi opowiadać z największemi szczegółami ostatnią bytność moją w Kownie, w rok po jego wyjeździe, zapytując przytém co chwila o tych i owych znajomych. W każdym prawie tém zapytaniu był już jakby charakterystyczny rys osoby, o którą pytał; niekiedy z lekkim, satyrycznym odcieniem, z przypomnieniem różnych drobnych śmieszności, ale zawsze bez cienia goryczy. Wspomnienia te obudziły w nim szereg innych. Ożywił się i zaczął sam opowiadać—ale same tylko dawne i wesołe zdarzenia. Wilno i Kowno jakby stały przed nami. Nie tylko przyjaciele i bliżsi znajomi, lecz nawet wydatniejsze figury uliczne przychodziły mu kolejną na pamięć. O jednej tylko Marylli, jak dawniej zawsze tak i teraz, ani nawet wzmianki nie było. Pytał mię o stu obcych, którzy dlań całkiem byli obojętni; o niej tylko i o jej rodzinie nie tylko wprost, ale nawet ani ubocznie nie wspomniał. Wiedział przecież w jak blizkich i przyjacielskich byłem z nimi stosunkach. Uderzyło mię to i przypomniało, co słyszałem od pani Kowalskiej, najbliższej jego przyjaciółki w Kownie, że przez lat tyle, będąc codziennym gościem w ich domu i mówiąc najotwarciój o wszystkim, nigdy o tym przedmiocie słowa przed nią nie wyrzekł. I ja tóż niepytany wszczynać go nie śmiałem, chociaż często miałem na myśli. Ale ze czcią prawdziwą podziwia-

łem w nim tę pamięć kochającego serca, która tak wszystkich i wszystko ogarnia, co się łączy z obrazem jego stron rodzinnych, nic zgoła nie odnosząc do siebie. Nie tylko bowiem ludzie, ale nawet zwierzęta miały udział w jego wspomnieniach. Pytał mię co się stało z szalonymi końmi pana Kowalskiego, na których kiedyś, polecając się Panu Bogu, odbywaliśmy przecież konno romantyczne wycieczki do Romań? Co z gadatliwą papugą jój samój? Co z ich ogromnym brytanem, stróżem i ulubieńcem ichi dziatwy? Co z tłustym a złym mopsem panien marszałkówn Siwickich, który tak niecierpiał Adama, że go ciągle z pod krzesła chciał kąsać za nogi, ambarasując tém niepomału swe panie, które się zarówno lękały obrazić faworyta jak gości. Mówiąc ztąd o psach innych, że go zwykle lubiły, opowiedział mi wzruszające zdarzenie z *Krukiem*, wielkim, czarnym psem jego rodziców, z którym w dzieciństwie żył w wielkiej przyjaźni. Raz dano mu na podwieczorek porcyą chleba z masłem. Częstkę jój chciał dać Krukowi, ale Kruk porwał ją całkiem. Malec rozplakał się głośno; czém widać poruszony czworonogi przyjaciel, chleb, który już miał w paszczęce, złożył na jego kolanach— i podzielili się nim po połowie.—W wiele lat potem w Kownie, gdy raz wedle zwyczaju spacerował sam w nocy w dolinie, zjawił się nagle, nie wiedzieć zkąd, pies jakiś, i zaczął się łaścić do niego; ale tak był podobny do Kruka, że go to przeraziło nie żartem. Przyszła mu na myśl scena z Fausta Göthego, w któ-

rój djabeł, w postaci czarnego pudła, przyplątał się na przechadzce do Fausta, nim się w domu nakoniec w Mefistofelesa przemienił. A wrażenie to tak było mocne, że ledwo szybkim krokiem doszedłszy do miasta, i nie oglądając się po za siebie, ochłonął powoli z téj myśli, że bies, nie pies prosty biegł za nim. A i drugi raz także miał spotkanie ze *strachem* w dolinie. Było już około północy, gdy nagle brzęk łańcuchów wyrwał go z zamyślenia. Wzniósł oczy i tuż przed sobą, przy słabém świetle księżyca, ujrzał postać ogromną w bieli. Brzęk łańcuchów znów się ponowił; widmo ruszyło się ku niemu. Nie z odwagi więc, jak sam wyznawał, ale z gorączkowego popędu, on téż prosto rzucił się na nie, i spotkał się oko w oko z białym koniem młynarza, który, spętany pętem żelazném, harcował sobie spokojnie, a zwrócony przodem ku niemu, wydał mu się białym olbrzymem.

Na takich to i tym podobnych wspomnieniach przeszła nam pićrwsza nasza przechadzka *za granicę*, z której dobrze już po północy wróciliśmy do domu. Tu dopięro zapytałem go przecięż o relacyę podróży morskiej i lądowej, z Petersburga do Lubeki i z Lubeki do Berlina; bo o pobycie w Berlinie i Dreźnie wiedziałem już wszystko zkądinąd. Otoż z lądowej, podług własnych słów jego, został mu tylko w pamięci doskonały bifszyk w Hamburgu; a z morskiej—muszę ci opowiedzieć jeden szczegół, który tak doskonale maluje pewną stronę, nie powiem charakteru, ale humoru i usposobienia Adama, że mu zacytowa-

łem, stosując do niego, ów wiersz Krysztalewicza ¹⁾, który on sam pod portretem swoim napisał:

„W całej postaci, wedle przyrodzenia,
Jawnie, oczywiście, wcale, bezwątpienia.”

Otoż opowiadał mi Adam, że pierwszym uczuciem, którego doznał na statku parowym, była niewypowiedziana tęsknota, gdy żegnający go nad brzegiem Newy z przed oczu jego zniknęli. Była ona, jak mówił, całkiem odmienna od téj, którą czuł kiedyś przy wyjeździe z Wilna. Tam się uzbrajał w mężstwo, tu go rzewność całkiem owładła. Ale wypłynąwszy już na pełne morze, chciał przecież zreassumować położenie swoje i użyć chwili stanowczej i uroczystej w swém życiu, w której czuł, że nową jego epokę zaczyna. Ale tu naprzód „przed oczyma duszy,” jak duch Banka na uczcie Makbeta—jak szczur w czyimś tam teleskopie, wymierzonym na słońce—stanął—nie kto, ale co? Zgadnij! Nie zgadniesz, choćbyś cały rok myślał. Stanął ów podróżny tłóмок czarny, któryśmy z Maryanem upakowali w Petersburgu; do którego on sam przy pakowaniu ani razu prawie nie zajrzał—ale który przecież, prędzej później, będzie musiał sam rozpakować i układać na nowo. I ta myśl tak uporczywie zajęła jego wyobraźnię, tak ma-

¹⁾ Krysztalewicz, uliczny niegdyś wierszokleta Wileński, w pół frant, w pół warjat, który się sam mianował „poetą akademickim,” a był w istocie celem żartów figlów studentów, którzy przytém wspierali go hojnie.

ciła wszystkie uczucia, jakich mógł, chciał i spodziewał się w tej chwili doświadczyć: że przywiedziony nakoniec do rozpacznej niecierpliwości, postanowił najmocniej rzucić w morze przygniatający go do tyła ciężar, i byłby może w istocie spełnił ten excentryczny zamiar, gdyby szczęściem kapitan statku, na zasadzie ogólnych prawideł, nie odmówił mu wręcz i szorstko wydania pakunku, przed przybyciem na miejsce przeznaczenia. Uśmiewszy się, ale też i przeląkłszy się zarazem, biorę odtąd całkiem na siebie ładowanie i wyładowywanie owego nieszczęsnego tłómoka, w którym zresztą dość jeszcze jest miejsca, ażeby w nim i moje rupiecie pomieścić.

Jutro raniutko wyjeżdżamy z Karlsbadu. Adam chciał już koniecznie dzisiaj, i ledwie instancje panniek wyjednały mi ten dzień jeszcze, abym przecież Karlsbad obejrzał. Opisywać ci go wszakże nie myślę. Masz pod bokiem kilku sąsiadów, co się tu na boki leczyli, a którym wiem, że jak na czasie tak i na ochocie nie zbywa, ażeby choć najdłużej opowiadać o tém. Niepodobna mi jednak nie wspomnieć o *Spruddu*—o tym, jeśli nie ósmym, to zawsze przecież jednym z cudów świata. Wyobraź sobie strumień, potok, rzekę wrzącej wody, wybuchającą z ziemi jak wulkan, a bijącą do góry i rozpryskującą się w powietrzu, jak najpiękniejsza olbrzymia fontanna, i to jeszcze w obłokach pary, na których się blask słońca w ciągłych tęczach odbija. Kiedy więc stałem przed nią z Czatyrdahowém „A!!!” na ustach, to jest, mówiąc po prostu, z roździawioną gębą: panna Zofia kazała

mi dobrać poetyczne przyrównanie do Sprudla. Przyszędł mi na myśl „Graf Habsburg” Szyllera, gdzie natchnienie jest przyrównane do wytrysku wody z pod ziemi, a patrząc przytém na Adama, przyrównałem go—to jest Sprudel—do geniuszu, który gorąco i wysoko z tajemniczych gdzieś głębi wytryska, a na powierzchni ziemi zadziwia, zachwyca i leczy. Adam zaś dodał, jakby kończąc mój patetyczny frazes: „w którym kucharki oparzają kury, a panienki zanurzają niepotrzebne im samym graty, na pamiętki dla przyjaciółek.”—To ostatnie było widoczną alluzją do pańienek naszych, bo się wnet o to dysputa między nim a niemi zaczęła. Ty zaś musisz, spodziewam się, wiedzieć, że Sprudel między innymi ma jeszcze i tę własność, że zanurzone w nim przedmioty oblewają się jakąś masą kamienną, która się zowie „kamieniem karlsbadzkim.”

O północy.

Przed kwadransem skończyłem pakowanie tłómoka. Adam leżał na łóżku, palił fajkę i milczał. Gdy skończyłem, zapytał wesoło: która to z przyjaciółek moich nauczyła mię tego talentu pakowania? Odpowiedziałem, że miłość dla niego. Zaśmiał się, i opowiedział zaraz anegdotę o plackach i cwejbakach, nauczonych przez miłość, a najsmaczniejszych, jakie kiedy jadł w życiu. Były one roboty jakiejś pani Zaleskiej, która będąc jeszcze panienką, a wiedząc o sąsiada guście do ciastek, tak zawsze, za każdym jego przyjazdem, starała się wymyślać coraz nowe

i coraz smaczniejsze, że nie tylko z nią się ożenił, ale było to jedno z najszczęśliwszych małżeństw. Kończąc to, dodał osobliwszy komplement, że gdyby znalazł podobną do mnie kobietę, (ma się rozumieć nie z wdzięków), gotówby się zaraz ożenić; pod tym jednym wszakże warunkiem, aby nie była tak ochoczą do szukania nowych przyjaciół. „I cóżby ci to szkodziło, rzekłem, bylebyś zawsze był pewnym, że ciebie kocha najwięcej?” Zaśmiał się, powstał, i przystąpiwszy do mnie, zaczął, jak dawniej kiedyś, rozgarniać mi włosy.—Mój Boże! jak ja go kocham! A jak przytém lubię całować! to już pewnie nikogo więcej.

Dziś chciano go tu fetować pożegnalnym obiadem, ale się wymówił stanowczo; bo już od wczoraj był projekt, aby ostatni obiad jeść *à table d'hôte*, z pannikami razem. A było ze dwadzieścia i innych znajomych osób, których potem większa połowa udała się wraz z nami do Posthof, gdzieśmy już resztę wieczoru przepędzili bardzo wesoło. Deklamowałem dużo z Wallenroda: *Alpuharę*, *Pieśń Wajdeloty*, i jeszcze parę wyjątków. Adam chciał protestować, ale musiał słuchać. Z listów jego i rozmów w Petersburgu wiem, że on sam nie tak bardzo lubi Wallenroda a przynajmniej jako całości; ale choć siedział nadęty, były jednakże miejsca, które, widziałem wyraźnie, że czuł równie z nami wszystkimi.—Późno już dosyć, przy świetle księżyca, odprowadziliśmy do domu nasze piękne Sylfidy i pożegnaliśmy je u progu: ja cytacją strofki z pieśni Gellerta „*Gute Nacht*,” za co mi obiecały nawzajem napisać o tém wszystkiém do swoich

kuzynek i przypomnieć mnie ich pamięci. Mężczyźni odprowadzili jeszcze Adama. Mili moi towarzysze podróży z Drezna, i pan Kalixt Morozewicz z Warszawy, który tu był najbliżej z Adamem, rozstali się z nami ostatni. My nawet nie rozbieramy się wcale, tak raniutko mamy wyjechać. *Leb denn wohl, und gute Nacht!*

XI.

Marienbad, 14 Sierpnia 1829 r.

Czerwonym nie czarnym atramentem chciałbym dzisiaj pisać do ciebie—bo dzień to uroczysty w kalendarzu mojego życia. Przyjechałem z Adamem, znalazłem tu panią Becu! Ty wiesz najlepiej, ilem ja jój winien, i jak za to wdzięcznym być umiem. A i teraz—trzy lata niewidzenia, bez przerwy prawie codziennego stosunku! O wszystkiem, co nas w tym czasie spotkało, tak możemy mówić nawzajem, jakbyśmy to razem przeżyli. Ale widziałeś u mnie jój listy, podwa, trzy i więcej półarkuszy; a i moje bywały nie krótsze. Adam, który sam pisać nie lubi, nazywa to z jój strony fenomenem dobroci, a z mojej fenomenem próżniactwa. Niech sobie! Jest w tém może część prawdy, ale nie ze wszystkiem. Nieraz wprawdzie dla listu, co bawi, zdarzy się człowiekowi rzucić książkę lub pracę, co nudzi; ale dla czegoż ja dzisiaj naprzykład, piszę, nie chwając się, do ciebie?

Pani Becu zawsze ta sama: młoda wyobraźnią i sercem, piękna duszą, zachwycająca w rozmowie. Wiek jój znaczny tylko w rozumie. Mój Boże! gdyby to Julek, przy swoim talencie, z poetyczną wyobraźnią swój matki, odziedziczył i kochające jój serce! Byłby pewnie, czém tak być pragnie—i wielkim, i sławnym poetą. „Ale pycha i z Nieba spycha,” jak mówią; a obok niej i ten wiecznie ironiczny sarkazm,

co w nim zda się rośnie z latami, nie wiem czy będzie dobrym przewodnikiem prawdziwego natchnienia z góry. Matka zna go doskonale na wylot; a im go czulój i namiętniej kocha, tém się bardziej jego samego, dla niego samego obawia. Szczęśliwy jestem przynajmniej, że z całą prawdą mogę ją pocieszyć, opowiadając o jego sposobie życia i postępowaniu w Warszawie, na téj nowej arenie życia, na którą po raz pierwszy, z pod matczynój opieki, sam już przez się jak młodzieniec wystąpił. Każdy kto poznał, szacować go musi; a i miałby za co pokochać, gdyby on chciał być kochanym, albo raczej, gdyby sam kochał. Ale bajroniczny jego ideał nie dozwala mu myśleć o tém. Chce mu się być koniecznie Konradem, żeby nań wszyscy z podziwieniem patrzali, a z czcią bojaźni kłaniali się przed nim. Smutny to zaprawdę ideał! Korsarzowi jakiemuś łatwiej może go ziszczyć;— ale poecie! Choćby się nawet puścił na korsarstwo ducha, i tak jeszcze nie dokaże swojego. Wierszem przecież głowy nie zetniesz; a kto jój sam przez uszanowanie nie schyli, strachem go do tego nie zmusić. A co to za kontrast z Adamem! Tenby pewnie okiem nie mrugnął, żeby sobie kogokolwiek zhołdować; — i nic go tak nie nudzi jak hołdy. Ale duch wielki w prostocie i prawdzie, to talizman, co cześć obudza; to magnes, który serca przyciąga. Bo jeśli można lubić i kochać nie wielbiąc, to jak uwielbiając nie kochać? Człowiek, coby miłością pomiatał, uwielbienia nigdy nie zjedna. — Szeroko o tém wszystkiém przegadaliśmy dziś z panią Becu. Ona ma jeszcze na-

dzieję, że Julek zmięknie w sobie, jak się kiedyś zakocha. Ale czy się zakocha? *That is the question!* Żeby się w nim kochano, do tego mu na ochocie nie zbywa—bo i w tém jest tryumf i hołd. Ale żeby się on sam w kim zakochał, to jest dla kogoś zapomniał o sobie—to dotąd tego popędu nie ma w jego Narcyzowej naturze! Trzebaby na to chyba tych samych warunków, w jakich się kochał kiedyś w pannie Ludwice S., to jest, kiedy sam jeszcze był dzieckiem i studentem, a ona już brylowała na świecie, pisała bajroniczne rapsody, i pozowała sama na wzór poetycznych heroin. Wtenczas, chociaż w niej tylko, ale przecież czuł wyższość nad sobą; teraz, jak mi się zdaje, poczuje już ją chyba na starość, gdy się jaką młodziutką pięknoscią zachwyci. Zresztą, mówię to tylko tobie, i obym był fałszywym prorokiem! Bo życzę mu z głębi duszy wszelkiego powodzenia i dobra, choćby już tylko dla pociechy téj najlepszej matki, która tak godna szczęścia, a jednak, sądząc się kiedyś bliską śmierci w Wilnie, polecała mi abym czuwał koniecznie, iżby na jej nagrobku wyryty został napis: „Ona nie była szczęśliwą!” Z tego to właśnie wziąłem potem assumpt do napisania, jak wiiesz, w kształcie nagrobku, powinszowania na dzień jej imienin.

O Marienbadzie nie ma co pisać, chociaż jest to milutkie miasteczko. Domów liczy nie więcej nad 49; zbudowane na wzgórzach w amfiteatr; w środku ogród, a raczej trawnik z klombami; wkoło góry borem porośłe. Oprócz źródeł, dwie tylko ciekawości widzia-

łem: ogromnego jak niedźwiedź buldoga, który chodził za jakimś chudym Anglikiem, i Metternicha, który się tu kapie. Włosy białe, a twarz czerwona.

Ale powiem ci ciekawość o sobie, która dla mnie samego była niespodzianką. Oto, wiedz—jestem wyższy od Adama. W Wilnie kiedyś, pamiętam, miałem się za niższego, ale musiałem urosć przez te lata, bo w Petersburgu czułem się już równym, chociaż nigdy jakoś nie przyszło zwrócić na to szczególniej uwagi. Wczoraj dopiero w drodze z Karlsbadu, (wyjechaliliśmy o 3-ój rano, a stanęliśmy tu o południu), Adam użył w rozmowie wyrażenia: „ty mały!” Oburzyłem się i zaprotestowałem, dopominając się o prawo równości. Adam nie chciał temu uwierzyć, a gdy obstawałem przy swoim— „*Halt, Kutscher!*” zawołał na furmana, i chociaż drobny deszcz prószył, kazał mi wysiadać z powozu, ażeby się natychmiast pomierzyć. Stanęliśmy więc na drodze plecami do siebie, ale że sami siebie nie mogliśmy widzieć, Adam znowu odwołał się do Niemca: „*Wer ist höher, Kutscher?*”—Niemiec śmiejąc się spójrzył, lecz że widzieć trudno mu było z pewnością na oko rozsądzić, zestychnął nas z kozła biczowiskiem po głowach, i ogłosił stanowczy wyrok: „*Der Jüngere ist grösser.*” Ucieszyłem się i tryumfowałem serdecznie. Adam grozi, że będzie mię „gnębić,” aby znowu przycisnąć do ziemi; choć pani Becu, stając w mojej obronie, zapewnia go, jako najlepszy świadek, że nikt pewnie szczerzej i chętniej nademnie wyższości jego nie czuje i nie uznaje. Ztąd znowu była mowa o talencie

Julka, któremu Adam świetną wróży przyszłość, a ze znajomych mu dotąd jego wierszy najwyżej ceni *Hugona*, którego mu z polecenia autora, pod sąd jego do Petersburga przywiozłem ¹⁾). A żeśmy przytém przed nasz areopag powoływali z kolei wszystkich naszych parnasowych kolegów: ku pociesze więc twojej donoszę, że Adam ma ciebie za najlepszego u nas dotąd tłómacza Ód Horacyusza, i w ogólności poetycką dykcją twoją uważa za udoskonalony wpływem innych ton dykcyi Naruszewicza, co do jego jędrności i siły. I na tém *punctum* dzisiejszego listu. Następnego nie zaczę, aż już chyba w Wejmarze, dokąd ztąd prosto wyjeżdżamy jutro. Ciągnie mnie tam, jak Turka do Mekki—nie chęć widzenia tylko mogił i relikwii wielkich nieboszczyków; nie myśl tylko, że zobaczę jeszcze Göthego, jak mamuta

¹⁾ W tomie drugim *Korespondencyi Adama Mickiewicza* umieszczony jest list Juljusza Słowackiego z daty 21 maja 1829 r. pisany z Warszawy do A. E. Odyńca, bawiącego naówczas w Petersburgu, a w którym czytamy: „Panu Mickiewiczowi, którego miałem przynajmniej szczęście widzieć kilka razy, oświadcz moje uszanowanie i oddaj pod sąd moją powieść. Będę mu bardzo wdzięczny jeżeli zechce ją przeczytać. Nieskończenie byłbym obowiązany, gdyby raczył choć kilka słów własnoręcznie o niej napisać. Boję się jednak żeby ta prośba nie była podobną do żądania dowcipnego Łopatty, czynionego ci przy wyjeździe. Rozważ więc sam moją prośbę i nie powtarzaj Mickiewiczowi, jeżeli ją za nadto śmiałą być mniemasz.”—Przytaczając te słowa, sądzimy, że nie będą bez interesu dla świadomych dalszych stosunków Juljusza z Adamem.

zywcem; ale wierz mi, że i nadzieja, że tam, podług umowy, spodziewam się znaleźć listy od ciebie, od Ignacego i od Żegoty, do którego razem z Adamem pisaliśmy z Karlsbadu w dzień jego imienin. Adam i pani Becu pozdrawiają cię najżyczliwiej. Po drodze mam mieć jeszcze wielką przyjemność, to jest obaczyć się w Franzesbrunn z kochanym Adolfem ¹⁾, który w klombie naszych młodych przyjaciół górował zawsze jak lilja: wysoka, piękna i biała bez zmazy. Bądź zdrow i ty mój miły, rumiany i pełny goździku!

¹⁾ Adolf Januskiewicz. Urodzony w Nieświeżu 1803 r., kształcił się w Wiśnicy i w Wilnie, mieszkał długo w Rossyi Wschodniej, i pomiędzy Kirgisami, których opisywał w listach. Umarł w r. 1857, na łonie rodziny w dziedzicznej wsi brata Januarego, *Dziakilnej*, w gubernii Mińskiej.

XII.

Do tegoż.

Wejmar, 18 Sierpnia 1829 r. o południu.

Otożem i w Wejmarze! Ale że nie przeleciałem powietrzem—siadaj więc razem z nami do powozu, i jedźmy tu z Marienbadu. Nie wielką wprawdzie będziesz miał pociechę, a mianowicie ze mnie; bo mi naprzód tak smutno, że aż płakać chce się; a potem śpimy oba, każdy w swoim kącie, po całej bezsenną nocą, którąśmy, aż do chwili wyjazdu, przebyli u pani Becu. Bóg wie, czy się już kiedy na tym świecie zobaczymy? W każdym rozstaniu z tymi, co się kocha, jest jakby cząstka boleści konania;—może więc i śmierć po niém tak duszę, jak sen serce po rozstaniu pokrzepia.

O południu huk kół po bruku obudził nas nakońc z letargu. Mieścisko jakieś smutne, domy stare, wysokie; ulice wąskie, ciemne, puste—to Eger! Same nawet jego osobliwości, które zwabiają ciekawość podróżnych, są to ruiny zamku i wieży, z czarnego kamienia czy z lawy, budowanej jakoby przez Rzymian, i pamiątka popełnionej tu zbrodni historycznej, to jest zamordowania Wallensteina. Cień jój zda się zalega salę, gdzie naprzód wymordowano wśród uczt najwierniejszych jego przyjaciół. Jest to dawna kaplica Templaryuszów, przerobiona następnie na salę

o dwóch piętrach. W wyższym było obserwatorium astrologiczne, z kąd Wallenstein patrząc pewno kiedyś na gwiazdy, nie przewidział jednakże, co się miało stać pod nim na dole; bo—jak powiedział nasz poczciwy Książnin:

„Bo któż kiedy dójrzy okiem,
Co ma być jego wyrokiem?”

Dom, gdzie jego samego zabito, zamieszkany jest dziś przez burmistrza, a sprzęty i urządzenie wewnątrz tak kontrastują z pamiątką tego wypadku, jak wiek nasz z wiekami średnimi. Włócznia, którą go przebił morderca, dotąd rdzą krwawą okryta, pokazuje się za pieniądze w ratuszu, wraz z jego feldmarszałkowskim mieczem. „*Vanitas vanitatum et omnia vanitas!*”—I gdyby nie Wallenstein Szyllera, który nam ciągle stał w myśli, pewnoby samo oglądanie tych rzeczy nie sprawiało nam takiego wrażenia. Nie historia bowiem sama, ale dopiero poezya nadaje wypadkom tę posagową, nieśmiertelną postać, pod którą je widzi potomność. Bóg wie, jak tam było w istocie pod Troją; ale wieki wierzą na ślepo temu, który sam, nawet jako ślepy, okiem ludzkim na to nie patrzył. Gdybyśmy zamiast Iliady, mieli tylko relacje kronikarzy, choćby nawet naocznych świadków Trojańskich i Greckich, pewnoby z nich Alexander Wielki nie zaczerpnął pochopu i siły do zadziwiania i podboju świata. Poeta więc, nie kronikarz, jest prawdziwym kapłanem historii. Historia przez poezyę tylko może być mistrzynią ludzkości. Ale jakż

to być powinna poezya? Zapewne nie sztuka dla sztuki, ale chyba prawda dla prawdy. Ale dójdźże lub dopatrz prawdy samym tylko rozumem! W zachwyceniu ją chyba obaczysz; natchnienie ci ją chyba przyniesie! Bez tego nie odgadniesz przeszłości, tak jak i przyszłości nie zgadniesz. Sami tylko prorocy byli prawdziwymi poetami, w pełném tego słowa znaczeniu. Wszyscy inni są więksi lub mniejsi, w miarę jak się ku nim zbliżają; w miarę więcej lub mniej natchnienia, jakie na nich zstąpiło z góry. Ale jeśli natchnienie ma być darem Bożym, to czyliż Pan Bóg może je dać temu, o kim wie, że niém gotów dla pychy lub dla namiętności frymarczyć? Tacy więc udają tylko natchnienie, naśladowując prawdziwie natchnionych—ale tylko formę ich natchnień: bo nic więcej naśladować nie można. Ztąd powstała poezya-sztuka. Naśladownictwo to form starożytnych, w tak zwanym wieku *odrodzenia*, stało się w istocie *zamarciem* rozwijającej się dotąd w Europie, w prawdzie uczucia wieków średnich, poezyi nowój: chrześcijańskiej i narodowej. Sztuka ta wystarczała dla wieków, w których życie narodów skupiało się w dworach monarszych, albo w społeczeństwach dworaków, których téż uczucia i życie były ciągłym udawaniem i sztuką. Dziś, gdy świat znów prawdy zapragnął, sztuka już nie wystarcza ludzkości, i poezya musi wrócić do prawdy. Jakoż i zaczyna już wracać—ale jeszcze tylko przez sztukę, przez naśladownictwo form nowych, których szuka w poezyi ludowej, gdzie natura góruje nad sztuką. Ale ciasny obręb pojęć ludowych,

sama szczerosc i prostota uczuc, nie wystarczaja jeszcze poezyi wyzszej. Zrodlo zas zywych i najwyzszych jej natchnień—zywa wiara, jako prawda najwyzsza—jest jeszcze dla dzisiejszych poetow, jak tym skarbem zaklętym w bajce, jak tą zapomnianą przez ludzi drugą półkulą świata, którą natchniony chyba geniusz odnajdzie, a natchnione słowo otworzy. Największym poetą z wiary był Dante. Szekspir dojrzał najwięcej prawdy w sercach i dziejach ludzkich. Byron jest już dziś w prawdzie—lecz tylko w prawdzie własnych uczuć swoich. Göthe szuka prawdy rozumem; Szyller czuł ją częściej w natchnieniu. Wpływ Szyllera na życie swego narodu większym jest dla tego, że przez serce działa więcej na młodzież, która to życie wyrabia. Göthe więcej przemawia do tych, co już tylko rozmyślają nad życiem.

Oto masz ekstrakt rozmowy, która zajęła nam całą drogę z Egeru do Franzesbadu. Słowa Adama mają niekiedy dla mnie wpływ i własność wiosennego grzmotu. Myśli po nich wysypują się jak trawa z ziemi—choć i wędną bez użytku jak trawa. Masz więc tu ich garstkę na świeżo; a czy sok z nich jaki wyciśniesz—to już nie moja rzecz.

Franzesbad śliczne, wesołe miasteczko; jeśli można nazwać miasteczkiem osadę, ledwo z czterdziestu domów złożoną. Ale ich *jakość* zastępuje *ilość*. Cały wieczór spędziliśmy z Adolfem, zwiedziwszy z nim wprzód źródła i krater zgasłego wulkanu, który się znajduje w pobliżu. Biedny Adolf cierpi na piersi. Sami jego współobywatele, którzy go jednomyślnie

na zaszczytny urząd wybrali, gwałtem wystali go za granicę—i musiał się rozstać z narzeczoną. Po wodach pojedzie do Włoch, i obiecał odwiedzić nas w Rzymie. Miły, kochany, jak zawsze; a przy bladeści w twarzy, jeszcze bardziej zda się wypiękniał.

Nazajutrz, d. 16, dość późno, bo o 9 ledwo, wyjechaliśmy dalej do Hof, w Bawaryi. Miasto nowe, porządne, największe dotąd po Dreźnie. Popasaliśmy w niem tylko, i wcześniej na nocleg stanęliśmy w Schleiz, stolicy wielkiego państwa, którego drobna moneta nie kursuje już o pół mili od niej. Za pół talara prawie pozostało mi tych numizmatów, z którymi nie wiedząc co zrobić, darowałem je *wspaniałomyślnie* furmanowi. Tu wieczorem wielka narada, kędy dalej jechać z Wejmaru: przez Wiedeń, czy przez Frankfurt nad Menem? Tu i tam możemy odebrać pieniądze za wexlami na dom Rotszylda. Idzie więc tylko o to, kędy prościej i bliżej do Włoch?—Ale gdzież u licha ten Frankfurt? Mappa przy „*Guide du Voyageur*” tak drobna, że nie możemy na niej go znaleźć: ja siedząc przy stoliku nad nią, Adam stojąc schylony nademną. Pokazuje się w końcu, niestety, że nie wiemy dobrze, gdzie szukać; czyli, mówiąc po prostu, że geografii nie umiemy. Adam chwali się wprawdzie, że zna tak doskonale mapę Turcyi Europejskiej, teatru ostatniej wojny, że zamrużywszy oczy, trafi palcem do Warny lub Szumli. Ale Frankfurtu tymczasem jak nie ma, tak nie ma! „Idź precz nieukud woła Adam—ja znajdę.”—Szuka więc, a ja chodzę po izbie. I śmiech, i wstyd nam nieco. Obwiniamy więc

professorów, co nas tak geografii uczyli. Bo w Borunach jak i w Nowogródku metoda była ta sama. Nazwisk uczono się na pamięć; mappa wisiała na tablicy wśród klasy, ze skazówką na sznurku, oklejoną lakiem. Professor z katederki nie widział, jak nią uczeń pokazuje na mappie; uczeń też nią machał, nie patrząc i nie troszcząc się wcale, czy „geografia nie zostanie na lewo.”—Mówimy o tém długo, a Adam tymczasem szuka.— „Jest, jest Frankfurt!” zawołał nakoniec.— „Krzyczysz, rzekłem, jak Kolumb, kiedy świat nowy zobaczył!”— „Dawaj pióra!” woła znów Adam, trzymając Frankfurt pod palcem. Umoczyłem zanadto z pośpiechu, i zamiast podkreślenia, żyd siadł na Frankfurcie. Wyznaję ci, że żyd ten odtąd staje się dla mnie na mappie i w myśli, jakby punktem centralnym, około którego dalsze moje geograficzne pojęcia, których przecież spodziewam się nabyć praktycznie, krążyć będą jak planety około słońca. Taką to bodaj będzie i ich jasność

Śmieszna ta scena wywołała różne wspomnienia Adama o jego pobycie i uczeniu się w szkołach. Dziwna rzecz jak szkolne to życie u nas, zwłaszcza w szkołach utrzymywanych przez księży, było wszędzie do siebie podobne. A więc i ty znasz je dokładnie z własnego doświadczenia w Szczuczynie, a teraz pewność ciekawszy Wejmaru, gdzieśmy stanęli wczoraj o godzinie 7 wieczorem. Z przejazdu wspomnę tylko o drodze i okolicach prześlicznych, przed i po za Jeną. Góry skaliste, koloru piaskowego, od szczytu do połowy nagie, u spodu lasem albo winnicami okryte.

W jedném miejscu droga wykuta w czerwonej skale (Rothenstein). Na tle zielonych dolin, mnóstwo wsi jak stada owiec bieje. Drogi owocowemi drzewami sadzone: rzeka Sala szumi wzdłuż naszej—ale słupów żelaznych nie widać. Sama Jena śród gór. Miasto zdaje się piękne, ale ulice puściutkie. Przejechaliśmy tylko przez nie, mając jeszcze umyślnie przyjechać kiedyś z Wejmaru, dla oglądania pola stawniej bitwy.

Stanąwszy tu w oberży „pod Słoniem,” najlepszej i jedyniej w rynku, pobiegłem natychmiast na pocztę. „Niestety! zamknięta!” A więc do mieszkania pocztmistrza! Szczęściem znalazłem samą tylko żonę, młodą i dość ładną Niemeczkę. Wytkómaczyłem jej moję niecierpliwość otrzymania listów od rodziny, które tu na mnie z pewnością czekają, i tak jakoś trafiłem do serca, że nie tylko posłała po męża, który musiał być blisko, ale wyszła sama na jego spotkanie, i tak widać usposobiła łaskawie, że bez najmniejszego oporu poszedł ze mną do bióra, i z pod litery O. dobył naprzód trzy listy do mnie: od ciebie, od Żegoty i od panny Flory Lascaris, z Warszawy; (Ignacy nie dotrzymał słowa); a potem z pod litery M. ogromny pakiet do Adama, od pani Szymanowskiej, zawierający rekomendacyjne listy do Göthego i do synowej jego, pani Ottilii Göthe. Z temi listami Adam poszedł właśnie do niej, a ja radując się waszemi, zacząłem niniejszy do ciebie, i obiecuję przez wdzięczność pisać ztąd, jeśli nie codzień, to przynajmniej o wszystkim, co mi się zdawać będzie interesującym dla ciebie.

Ojedno tylko prosisz mię daremnie, to jest o opisywanie mych wrażeń. Liryka dobra chyba w listach roman-sowych, i w nich tylko chyba nie nudzi. A i jak wypowiedzieć np. co się we mnie dzieje, gdy myślę, że dzisiaj może jeszcze obaczę Göthego? Poczekam więc, aż nadzieja stanie się faktem;—bo fakt każdy ma już swą postać, którą można i schwycić, i oddać w rysunku.

Adam wrócił w téj chwili, zachwycony panią Ottilią, i z zaproszeniem obu nas na herbatę o godzinie 8-éj wieczorem. Ja więc téż zaraz idę tam z wizytą, aby przecież choć bilet zostawić. Göthe mieszka przez lato za miastem, gdzie ma także dom własny z ogrodem, i z kąd niekiedy tylko przybywa do miasta. Ogrodnictwo jest jego najulubieńszą rozrywką. Pani Ottilia ma dziś mu posłać list pani Szymanowskiej. Obaczymyż na kiedy audyencyą nam wyjedna.

Godzina 2 po południu.

Wracam od pani Ottilii. Rzeczywiście arcy-miła osoba, pełna uprzejmości i wdzięku. Jest nawet wcale przystojna, a musiała być kiedyś i ładną. Może mieć teraz około lat 40. Zastałem u niej jéj siostrę, jakąś bardzo szczero-serdeczną, i jak mi się być zdaje, z gruntu dobrą niewiastę. Wypytywały mię z lekka o Adamie, to jest o jego dziełach i stanowisku literackim. Naszkicowałem więc im obraz jego tak olbrzymio, że w oczach ich czytałem wątpliwość, czy przyjaźń osobista nie kieruje pędzlem. Niechże sam

sobie teraz wypełnia ten kontur!—choć mu o tém nic zgoła nie mówię, bobym pewno burę oberwał. Z kilku słów pani Ottilii odgadłem, że i o mnie coś pani Szymanowska pisać do niej musiała. Obie, a zwłaszcza siostra pożegnały mię przyjacielskiem podaniem ręki, i uprzejmém „*Auf wiedersehen!*” Teraz idziemy zaraz na obiad, a potem na włóczęgę po mieście.

Godzina 7 wieczorem.

Wróciliśmy dopiero przed kwadransem. Znaleźliśmy dwa wizytowe bilety pana Augusta Göthego, (syna), męża pani Ottilii, i za godzinę sami tam idziemy. Obejrzelśmy miasto—nic osobliwego. Obeszliśmy park—duży i piękny; i siedzieliśmy na „siedzeniu Szyllera,” (*Schiller's Sitz*), to jest na ławeczce pod drzewem, z widokiem na wieś po za rzeką, gdzie widać musiał poeta ze szczególném upodobaniem siadywać. Nakoniec poszliśmy na *Vogelschiessen*, bo się tu właśnie teraz ten *Volks-fest* odbywa. Z Drezna dłużej o tém pisałem. Tu mniej więcej wszystko tak samo; z tą tylko różnicą, że strzelają do ptaka nie z łuków, ale z jakichś ogromnych, staroświeckich rusznic. Po między grającymi w kręgle, spostrzegłem znajomego mi już pana pocztmistrza, i przypisałem się zaraz do partyi. Dowiedziawszy się zaś od niego, że żona jego gra w czekino w blizkim namiocie, poszedłem tam, i usiadłszy przy niej, przegrałem razem parę *ausów*. Adam żegnał się z podziwienią, że i tutaj mam już przyjaciół; i siedział sam jak mruk na stronie, pijąc

kawę i pałac cygaro. Ja zaś tymczasem przy kreglach za pośrednictwem p. pocztmistrza, poznałem jeszcze jaśniejszą bardzo poważnego *bürgera*, krawca z profesyi, ale widać przytém i literata; bo mówił ze mną o chwalech Wejmarskich, które tu najbardziej cudzoziemców zwabiają, i dał do zrozumienia, że zna, i nawet posiada ich dzieła. O Szyllerze powiadał, że go dobrze pamięta, bo był terminatorem u majstra, który mu robił odzienie, i raz przyszywał na nim guzik do surduta, który był mu się widać wyrwał na ulicy, bo sam z nim w ręku przyszedł do warsztatu. „*Es war ein süsser Mann*” (był to słodki człowiek), dodał opowiadając, jak mu za to grzecznie dziękował. Na zapytanie zaś moje o Göthem, odpowiedział tylko: „*Herr Geheimrath? O! s'ist ein grosser Herr!* (Pan Radzca Tajny? O! to wielki pan!)

Tytuł ten obok imienia Göthego, dziwnie jakoś zadzwonił mi w uszach. Największy poeta, póki żyje, w oczach tych, co zblizka nań patrzą, jest zawsze tylko w postaci powszedniego, społecznego człowieka, i podług niéj najczęściej jest przez nich ceniony. Po śmierci i dla potomnych dopiéro, wyswabadza się z niéj, jak motyl z poczwarki, i o własnych już tylko siłach lata wyżej lub niżej.

Ale ze wszystkich poetów, jacy kiedy żyli na świecie, kogobys sam dla siebie chciał wziąć za ideał, tak pod względem zewnętrznój, społecznej, jak i wewnętrznej, moralnej postaci? Czy ślepego żebraka Homera? Czy wygnańca i tułacza Danta? Czy więzionego jako warjat Tassa? Czy umierającego w szpi-

tału Kamoensa? Jużciż pewno żadnego z nich. A więc czy dworaka Rasyna, który umiera od złej miny pańskiej? Czy aktora Szekspira lub Moliera, który kona bawiąc widzów na scenie? Czy profesora Szyllera, co się pracą nad książkami zamęczył? Czy wojażera i lorda Byrona, co sam życie swe, jako człowiek, na przekorę ziomkom zmarnował? Czy nakoniec samego Geheimratha von Göthe, który jest bez wątpienia najszczęśliwszym ze wszystkich: bo i uznany ogólnie za wielkiego poetę, i *grosser Herr* w oczach ludzkich, i już lat 80 używa życia i świata? A pomimo to wszystko, ja nawet nad niego samego przekładam los i ideał naszego Jana z Czarnolasu. Swobodny obywatel-ziemianin, szacowany przez królów, poważany i kochany przez ziomków, niechęący przyjąć prebend ni tytułów, i „pan tylko przez przestawanie na swoim!” Zrobił on więcej dla swojego narodu, niż ktobądź z wyższych nawet geniuszem od niego: dał mu język, literaturę i nastrój moralny. Psalmi jego w świątyniach i domach, treny w sercach współziomków, brzmią wraz z jego imieniem przez ciąg całych trzech wieków, i zdaje się, że nie przebrzmia nigdy. Sama śmierć jego, w obec króla i najwyższego sądu, spowodowana wzruszeniem serca, gdy miał podnosić głos w sprawie niezyjącego już przyjaciela, jednoczy zda się w sobie idealne cechy: człowieka, chrześcijanina i obywatela. Obok innych największych poetów świata, jest on jak cudowne nasze obrazy Najświętszej Panny obok najslawniejszych Madonn: Rafaela, Murilla, Holbeina i t. d. Tam sztuka

i ideał piękności kobiecój, tu świętość i Bogarodzica. Tam zachwycasz się malowidłem i admirujesz malarza, tu nie śmiesz spojrzeć na obraz, a modlisz się do żywej na niebie.

Ale á *quel propos* ja ci to piszę? Oto wyznam szczerze, dla tego, żeby nie zapomnieć. Bo „*verba volant, scripta manent;*” a gdy mówiłem to Adamowi, po rozmowie z krawcem, on tak był z tego kontent, że aż na znak zadowolenia, za ucho mię idąc pokręcił.

Teraz idziemy zaraz do pani Ottilii, a za powrótem zacznę nową ćwiartkę. Tymczasem na téj, bądź zdrów!

XIII.

Do tegoż.

19 Sierpnia, godzina 6 rano.

Wróciwszy wczoraj, nie mogłem już pisać; ale za toż dziś wstałem tak rano, aby ci opowiedzieć wczorajsze. A chcę śpieszyć nim Adam wstanie; bo chociaż on do listów moich nie zagląda, ale sam już ruch jego byłby mi przeszkodą, w tém właśnie, co mam napisać. W téj chwili patrzę na niego śpiącego. Jaki on piękny! Na tle ciemnej skórzanej poduszki rysuje się delikatny profil bladéj twarzy. Czarne włosy, spadające na skronie, jeszcze bardziej tę bladłość podnoszą. Za toż w ustach rumieniec paniński! Powinnyby się uśmiechać, jeśli marzy o wczorajszym wieczorze. Bo właśnie chcę ci powiedzieć, że widziałem go wczoraj raz piérwszy w nowéj całkiem dla mnie postaci. Był szarmant nad szarmantami. Przedtém kiedy go widywałem w towarzystwie dam, to albo był z niemi poufale znajomy, albo téż całkiem obojętny i zimny. Ale co wczoraj, to widocznie chciał się podobać;—a i tu biję czołem przed mistrzostwem jego. Wprawdzie sama pani Ottilia, i przyjaciółka jéj panna Pappenheim, praprawnuczka sławnego wodza, którąśmy już u niéj zastali, dopomagały mu dzielnie w téj jakby grze w wolanta; bo każdy przedmiot leciał zaraz w górę, jak wolant, a nikt z nich upaść mu nie dał. Panna Pappenheim tylko, bardzo widać mądra

i czytana, zarywała niekiedy, chociaż bardzo rzadko, na ton jakby nieco pedancki; ale Adam tak zręcznie zaraz, to uczuciowém słówkiem, to wesołym żarciem, umiał zmiękczyć sztywność rozmowy, że przy najpoważniejszych nawet przedmiotach nigdy ani w rozprawę, ani w dysputę nie przeszła. A była mowa i o duszy, i o sercu, i o życiu, i o sztuce, i o tysiącu różnych rzeczy bieżących, które świat w téj chwili zajmują. A że pod tym ostatnim względem mnóstwo ich było dla mnie najzupełniej nowych, słuchałem więc tylko, i nieraz dziwiłem się sam w sobie, że nic dotąd o tém nie słyszał. Przebiegałem więc i rozbierałem w myśli wszystkie nasze Wileńskie i Warszawskie salony, w których się przecież więcej czasu, niestety, niżli nad książkami spędziło. W Wilnie, u pani Becu, u Śniadeckich i u Balińskich, a nawet i gdzie indziej, i między młodzieżą, myśli wszystkich krążyły więcej w Platońskim świecie idei, niż po ziemskim globie za Niemnem. W Warszawie, po świetniejszych salonach, słyszało się jużćić coś więcej o tém, co się dzieje w Europie, a mianowicie w Paryżu. Ale tu znowu przeciwnie, wszystko ściagało się do faktów, do objawów zewnętrznych, nie śledząc co z czego wynika, albo co do czego prowadzi; a właśnie to rzeczywiste życie świata w idei, a przynajmniej względnie do idei, Adam w rozmowie swojej po mistrzowaku rozwijał; i dla dam tych, jak uważałem, nie były to, jak dla mnie, rzeczy obce i nowe. Dla czegoż więc ja o nich nie słyszałem w Warszawie?... I przychodziła mi na myśl przemowa „O krytykach

i recenzentach Warszawskich.”—Ale z kądże sam Adam nauczył się tego wszystkiego? Pytałem go właśnie o to za powrotem do domu. Z początku zbywał żartami, ale potem opowiedział na seryo, jak przez ostatnie dwa lata czytał pilnie celniejsze europejskie dzienniki, a mianowicie paryzką gazetę *Globe*, z której, jak mówi, korzystał najwięcej; a o której ja, wyznając ze wstydem, nie słyszałem nawet w Warszawie.

Ale chodź jeszcze nazad do salonu pani Ottilii, bo chcę jeszcze powiedzieć ci o niej; a mianowicie, że znalazłem ją daleko przyjemniejszą i miłszą, niż mi się wydała z początku. Żeby zaś dać ci przecież jakieś wyobrażenie o niej, powiem, że łączy niejako pomiędzy panią Becu a panią Balińską. Wiiesz, jak cię pierwsza wyobraźnią swoją obwija jak tęczę w rozmowie; jak druga iskrzy uczuciem naksztalt zorzy polarnej. Otoż pani Ottilia zarywa coś na jedną i drugą, chociaż, jak mi się zdaje, intelligencya i reflexya górują w niej nad uczuciem i nad wyobraźnią. A przytém widać, że ma wiele nauki, ale to bez najmniejszego cienia pedantyzmu. Owszem, w rozmowie jój, jak i w niej samój, tchnie jakiś, że tak powiem, urok niewieściości (*Weiblichkeit*), o którym Goethe tak często w pismach swoich mówi. Przysłuchiwałem się więc z rozkoszą temu doskonałemu *trio* prawdziwie wyższej światowej rozmowy, sam rzadko mięszając się do niej. Nie myśl wszakże, żebym przez cały wieczór był już tylko niemym bałwanem. Towarzystwo składało się jeszcze z kilku innych osób, a mianowicie, z siostry pani Ottilii, z męża jój, i dwóch

jakichś poważnych panów, przyjaciół domu, jak ich nazwała sama gospodyni, zapoznając nas z nimi: pp. Eckermann i Peucer. Owoż my między sobą złożyliśmy jakby chór niższy, który czasem łączył się z tamtym, czasem gwarzył sobie oddzielnie, a czasem téż temata tamtego na swój manier przerabiał. Promotorem w tém był pan August, jowialny, jak widać, i realny człowiek; to jest nie bujający po niebie, ale wesoło i jasno patrzący po ziemi. I tak raz między innymi, gdy panna Pappenheim patetycznie mówiła coś o uczuciu, on zaczął mi opowiadać o panienkach Wejmarskich, z których wiele wychodzi za mąż za Anglików, często tutaj przybywających i goszczących; a przyrównawszy ich do bocianów, i udając palcami bocianie ich ruchy, panienki porównywał do żabek, które same podnoszą główki i wołają: „*Nimm mich, nimm mich!*” (weź mnie, weź mnie!). Szwagierka z wielką żywością protestowała przeciw temu, a gdy rzecz doszła do wyższego chóru: „*Fi donc, Auguste!*” rzekła pani Ottilia; „*Incorrigible!*” dodała panna Pappenheim. I z tego, i ze wszystkiego co mówił, pan August wydał mi się dowcipnym i miłym towarzyszem, i jeśli się nie inylę, nawzajem przypadliśmy jakoś do siebie.

W ciągu wieczora służący przyniósł list jakiś; pani Ottilia otworzyła go z wielkim pośpiechem, a przeczytawszy, z rozpromienioną twarzą obróciła się ku nam i rzekła: „*Papa vous recevra demain à midi.*” *Papa*, to znaczy Göthe; — a z tego jój pośpiechu w otworzeniu listu, i z wyraźnej radości potem, Adam wnosi, że nie zbyt była pewną uprzejmości *Papy*.

Bądź co bądź, dzisiaj jeszcze obaczmy Göthego. A zaś dla zaostżenia ciekawości twojej, i na figiel dla ciebie, list ten umyślnie przed południem wyprawię, abyś z tém większém upragnieniem czekał na następny. Ale się nie bój, długo czekać nie będziesz, i śmiało posyłaj do Zdzięcioła w dzień przyjscia następnej poczty. A tymczasem, bądź zdrow!

P. S. *godzina 10 rano.* W téj chwili gdy się już brałem do pieczętowania listu, służący pani Ottilii—*notabene* galonowany—przyniósł nam dwa wizytowe bilety od *Papy*, na których napisano po prostu: „*von Göthe,*” i od niej saméj liścik do Adama, w którym—ponieważ deszcz pada—obiecuje przysłać po nas o południu swój powóz, i prosi nas na obiad na godzinę trzecią, na którym będzie i *Papa*.—Czy mi się kiedy śniło obiadować z Göthem? I przypomina mi się osobliwsze *dictum* Osińskiego. Raz gdy ktoś przy obiedzie u Jenerała Krasieńskiego, mówiąc o Walter-Skocie, nazwał go wielkim człowiekiem; Osiński z oburzeniem ofuknął się na to, mówiąc: „Co mi to za wielki człowiek, z którym mogę razem jeść pieczeń, pojechawszy do Edyburga!”—Chciał on przez to, ma się rozumieć, powiedzieć: „o którym jeszcze potomność nie wydała sądu;” ale to grubo-płaskie wyrażenie odbija doskonale ogólny ton jego conceptów, których jedni się boją, a drudzy tak je admirują w Warszawie. Obaczę, czy się Göthe zmniejszy przy pieczeniu; ale co ja, to chyba z radości podrosnę. Raz jeszcze, *vale!*

XIV.

Do tegoż.

20 Sierpnia 1829. Wejmar.

„Widziałeś? — Widziałem. — Słyszałeś? — Słyszałem.” — Ty mię, wyobrażam, że pytasz, a ja ci odpowiadam z Alfierim. A teraz słuchaj, opowiem jak było.

Wczoraj, punkt o południu, elegancki powozik pani Ottilii zatrzymał się przed naszym hotelem, i w kwadrans potem wysiedliśmy z niego u ogrodowej furtki wiejskiego domu Göthego, gdzie już czekał stary służący, który nas przeprowadził przez ogród, otworzył drzwi do salonu, wpuścił nas i odszedł. Dom niewielki o piętrze; musi być murowany, bo biały i opleciony liściem winogrodu. Salon, gdzieśmy czekali, obszerny, umeblowany skromnie, po wiejsku, z podłogą w deski, nie w tafle, malowaną czerwono. W kominku, umieszczonym czyściutko, jakby w nim nigdy ognia nie było, leżał jakiś papierek rozdarty na dwoje. Podniosłem jedną połowę; Adam poznał pismo Göthego, które widział w sztambuchu pani Szymanowskiej; schowaliśmy je na pamiątkę. Jakiś urywek z czegoś o fizyce. Czekaliśmy blisko kwadransa, rozmawiając półgłosem. Adam pytał, czy miserce nie bije? W istocie było to oczekiwanie jakby jakiego nadprzyrodzonego zjawiska. On sam przypominał, jak zazdrościł niedys pani Szymanowskiej, że widziała i mó-

wiła z Göthem. Wtém usłyszeliśmy stąpanie na górze. Adam zacytował z powagą wiersz Kiszki Zgierskiego: „Słychać chodzenie i górne stąpanie;” a kiedyśmy się śmieli z téj osobliwszój w téj chwili cytaty, otworzyły się drzwi, i wszedł — Jupiter! Gorąco mi się zrobiło. I bez przesady, jest w nim coś Jowiszowego. Wzrost wysoki, kształt kolosalny; twarz poważna, imponująca; a czoło! — w niém to właśnie jest ta Jowiszowość. Bez dyademu świeci majestatem. Włos niezbyt jeszcze biały, mocno rzadziejący nad czołem. Oczy piwne, jasne i żywe, odznaczają się jeszcze jakąś osobliwszą, światło-szarą, jakby emaliowaną obwódką, która obie tęcze źrenic naokoło otacza. Adam przyrównał ją do pierścienia Saturna. Nic podobnego nie widzieliśmy dotąd u nikogo. Ubrany był w surducie, ciemnobronzowego koloru, zapiętym od góry do dołu. Na szyi chustka biała, bez kołnierzyka, złotą szpilką na krzyż zapięta. Jak zabłysk słońca z za chmury, dziwnie miły, uprzejmy uśmiech rozjaśnił surowość téj fizyognomii, gdy ledwo wszedłszy powitał nas ukłonem i podaniem ręki, i w téjże chwili przemówił: „*Pardon, Messieurs, que je vous ai fait attendre. Il m'est très agréable de voir les amis de M-me Szymanowska, qui m'honore aussi de son amitié.*”—Trzeba ci bowiem wiedzieć, że Göthe był kiedyś wielkim adoratorem pani S., i mówiąc dalej o niój powiedział: „*Elle est charmante, comme elle est belle: et gracieuse, comme elle est charmante.*”—Następnie, gdyśmy usiedli, zwracając się do Adama, oświadczył, iż wie, że on jest na czele nowego kierunku, jaki literatura

u nas, jak i w całej Europie, przybiera. „Wiém z doświadczenia—~~•~~ dodał—jak to jest rzecz trudna; jest to jak iść przeciwko wiatru.”—„My téż wiemy z doświadczenia waszój excellencyi, odpowiedział Adam, jak wielkie geniusze w przechodzie wiatr ten zawracają za sobą.”—Göthe skinął lekko czołem, jakby na znak, że rozumie komplement, i mówiąc dalej załował, że bardzo mało wie o literaturze polskiej, i że nie umie żadnego słowiańskiego języka. „*Mais l'homme a tant à faire dans cette vie.*” — Dodał wszakże, że już z dzienników wiedział o Adamie i zna niektóre wyjątki z nowego jego pocinatu (Wallenroda), które mu pani S. raczyła przysłać w tłómaczeniu niemieckim (panny Karoliny Jänisch, przyjaciółki Adama w Moskwie), lub które potem czytał w *Leipziger Jahrbücher*. Ztamąd téż, jak oświadczył zwróciwszy się ku mnie, wiedział o wydanyim przeceninie almanachu (Meliteli), zawierającym utwory wszystkich żyjących poetów polskich, i czytał tamże tłómaczenie mojej „Branki Litwina,” chwając żywość akcji i stylu: „*autant, que je puis en juger par la traduction.*” Zaczerwieniłem się strasznie—czy ze skromności, czy z radości, sam nie wiem, ale dość że z żywego wzruszenia. Adam tymczasem dorzucił słów parę o moich tłómaczeniach z Bürgera. W spójrzeniu Göthego, które wzniosłszy oczy spotkałem, zdawało mi się dostrzedz wyraz uprzejmój dobroci. Kiedy zaś Adam, na żądanie jego, opowiadał mu dziwnie treściwie i jasno cały przebieg literatury polskiej, od najdawniejszych do najnowszych czasów, łącząc ją

i zestawiając z epokami historycznymi: w oczach Göthego, wlepionych w niego, widać było nie tylko głęboką uwagę, ale i ciekawe zajęcie, jakie w nim to opowiadanie wzbudzało. Ruch palców ręki, na kolanie wspartej, zdał się także tego dowodzić. Notabene, zapomniałem powiedzieć, że przy początku tej rozmowy Göthe zaczął był mówić po niemiecku; ale skoro mu Adam także po niemiecku powiedział, że jakkolwiek posiada ten język, nie śmiałby jednak mówić nim w obecności jego: wrócił zaraz do francuzczyzny. W dalszym ciągu rozmowy, Göthe twierdził, że przy coraz wyraźniejszym dążeniu wszędzie do prawdy ogólnej, poezya i literatura w ogólności, stawać się musi i będzie coraz bardziej powszechną; przystał jednak na zdanie Adama, że nigdy cech odrębnych, narodowych nie straci. Ztąd przysła mowa o pieśniach ludowych, i Göthe z żywym interesem rozpytywał się i słuchał, co mu Adam, a w części i ja także, mówiliśmy o różności i różnicy, w charakterze i tonie, prowincjonalnych pieśni naszych; i sam to potem przy obiedzie przed drugimi powtarzał. Na tém był koniec rozmowy literackiej.—Potém, obracając się po kolei to do Adama, to do mnie, pytał nas o projektach dalszej podróży; przyczém czule wspominał o Włoszech i o Rzymie, zazdroszcząc nam, jak mówił, że tam jedziemy, zkąd i on kiedyś za młodu wywiózł najmiłsze wspomnienia. Daléj rozmawiał z Adamem o swoich znajomych w Berlinie, których Adam poznał w przejeździe, a zwłaszcza o profesorze Gansie; potém powrócił znowu do pani Szymanowskiej

i wspomniał o kilku innych znajomych mu niegdyś Polakach, mianowicie o Janie Potockim i o księżnie Lubomirskiej, którym wielkie oddawał pochwały. Gdyśmy zaś już powstali, aby go pożegnać, oświadczył: iż bardzo żałuje, że dla deszczu, który właśnie padał, nie może nam pokazać swojego ogródka, (*son petit jardin*). „*Mais j'aurai le plaisir de jouir encore de votre société à dîner chez ma belle-fille.*” A obracając się z uśmiechem ku mnie, dodał: „*Et nous aurons quelques jolies dames et demoiselles; j'espère que ça vous fera plaisir.*”—Zaśmieliśmy się obydwaj, i on śmiejąc się także obrócił się prędko do Adama, i jakby poufnie zapytał: „*N'est-ce pas?*” .Począł nam znowu z koleji rękę, i gdyśmy już byli na wschodach, uchylił jeszcze drzwi od salonu, i powtórzył „*Au revoir!*”

„Niech go licha, jaki rozumny!” To był pierwszy wykrzyk Adama, gdyśmy już zeszli ze wschodów. A i ja mam dowód na sobie, jak zgaduje co się komu podoba, albo nawet może podobać. Bo czyżby mnie samemu przyjść mogło do głowy, aby w dniu tym, obok Góthego, jakabądź inna gwiazda mogła wejść na horyzont mych myśli? A stary wieszcz jakby przewidział!

W gronie gości, któreśmy już zastali u pani Ottilii, przyszedłszy na kwadrans przed trzecią, byli państwo Vogel;—on sam, hofrath i lejb-medyk xiążęcy; a ona—piękność! w pełném słowa tego znaczeniu. Istną królową kwiatów, której nosi imię—*Rosa*. Oprócz postaci i ruchów Gracyi, trudno jest coś mówić o ry-

sach; o téj „muzyce w twarzy,” jak powiada Lord Byron. Ale przeczytaj opisanie Teressy—(a i ona ma drugie imię Teressa, i ja tak ją nazywam), w poemacie jego „Mazeppa,” a będziesz miał mniej więcej najpodobniejsze wyobrażenie o niéj, a przynajmniej o jéj oczach, które, mówiąc słowami poety:

„Jako dwie gwiazdy w cichém wód przezroczu,
„Zdają się pływać w strumieniu łez jasnych,
„I topnieć we łzy od promieni własnych.

Otoż téj pani naprzód przedstawiła nas pani Ottilia, a pan August zapoznał z jéj mężem, nie starym jeszcze, a nawet wcale przystojnym człowiekiem, ale który, jak mi się z miny przynajmniej wydaje, musi być zimny jak marmur, że nie powiem—jak doktor niemiecki. Były jeszcze dwie inne damy i pаниenka, wnuczka Szyllera, oprócz znajoméj już nam panny Pappenheim i domowych, oraz kilku mężczyzn. W ogóle było u stołu osób 16, licząc w to i dwóch synków pani Ottilii, od 10—12 lat wieku, z których jeden ma imię dziadka (Wolfgang), i jak sama matka mówiła, obiccuje być godnym jego.

Göthe wszedł o saméj trzeciéj, w nowszym zda się surducie, ale tegoż samego koloru, i w chustce bielszéj niż w domu, ale zresztą jednostajnie ubrany, i w pogodnym, jak się zdało, humorze. Wszystkie damy ruszyły się na jego spotkanie, i on wszystkie ścisnął za ręce i z uśmiechem z nimi rozmawiał. Kolej następnie przyszła na nas. Göthe zapytał syna, czy już nas poznał z obecnymi gośćmi? a wska-

zując sam na panienkę rzekł: „*C'est la petite-fille de notre Schiller.*” Nie wiem tylko czy w linii prostej, i nie pamiętam nazwiska; wiem tylko, że się zowie inaczej, a więc musi być wnuczką po córce. Ale w domu Göthego, widzieć wnuczkę Szyllera, przyznaj, że i to przecież coś znaczy!

U stołu Adam siedział między Göthem i panią Ottilią; mnie przypadło miłe sąsiedztwo pani Vogel z jedną, a panny Pappenheim z drugiej strony. Rozmowa szła w najlepsze, ogólna i pojedyncza. Piękna moja sąsiadka powiedziała mi wkrótce, że bardzo lubi Polaków, których kilku poznała u wód. „*Ils ont quelque chose de poétique,*” rzekła; a już z tego samego łatwo się można było domyślić, że tej zalety właśnie nie dostrzega w swych ziomkach. Odpowiedziałem więc na to, że natura, jak we wszystkim tak i wszędzie, jest widać hojniejszą dla dam, bo ja widzę też i znajduję gdzieindziej niemniej urocze, jak są u nas. Masz w tém próbkę tonu dalszej rozmowy, którą, ma się rozumieć, musiałem rad nie rad prowadzić na obie strony, nastawiając przytém jak mogłem ucha na rozmowę Göthego z Adamem. Mimo to, rzadko kiedy mogłem coś dostyszeć, prócz gdy Göthe podnosił głos wyżej, czy to rozmawiając z dalszymi, czy jakby mówiąc do wszystkich, a czego wszyscy wtedy w milczeniu słuchali. I tak opowiadał między innymi o dawnych żołnierzach niemieckich, których widywał za młodu w Strasburgu, jak stojąc na warcie na wałach twierdzy, a położywszy na ziemi karabin, sami robili pończochę. A opowiadał to tak

pociesznie, że niepodobna się było nie zaśmiać. W ogólności zdawał się być w wesołym i żartobliwym humorze, ale były jednakże chwile, że się i poważniej odzywał. I tak odpowiadając panu Vogel na jego twierdzenie, że teoria w każdej nauce powinna i musi poprzedzać praktykę: utrzymywał, że praktyka powinna zawsze iść obok; „bo nie dano jest ludziom tworzyć duszy bez ciała.” Panu Eckermannowi zaś, który siedział naprzeciw niego, powtarzał słowo w słowo prawie to samo, co słyszał od Adama o pieśniach ludowych. Powtarzanie to słów cudzych musi on mieć we zwyczaju, i to zapewne przez grzeczność. Bo gdy po obiedzie, przy kawie, stanąwszy przy mnie, z filiżanką w ręku, zapytał mię wesoło po niemiecku: ośmielony tym tonem, odpowiedziałem skłoniwszy się „*Nun, wie gefallen den Ihnen unsere Damen?*” a ja z uśmiechem: „*Paradiesischer Vogel, Excellenz!*” Göthe zaśmiał się głośno, i wielkim krokiem ruszył wprost ku damom, aby im te słowa powtórzył. Pani Ottilia i inne śmiejąc się spójrzały na mnie. Pani Teresa zarumieniła się jak karmazyn; ale wzrok jej zaspokoił mię prędko, że to pochodziło nie z gniewu. Następnie, gdy nam pan August pokazywał piękny zbiór biustów różnych wielkich ludzi i swój mineralogiczny gabinet, a w nim mianowicie wiele zębów rozmaitych zwierząt, zachowanych doskonale w kamieniach: Adam zrobił uwagę, że żaden przedpotopowy dentysta nie mógł posiadać piękniejszych. Göthemu tak się widać ten żarcik podobał, że zaraz

zwróciwszy się ku damom, z uśmiechem im to samo powtórzył.

Przed szóstą Götthe odszedł do swoich pokojów, które zajmuje na górze, pożegnawszy się znowu „*au revoir*” z nami. Część gości rozeszła się w ślad za nim. Ale że niebo tymczasem roz pogodziło się prześlicznie, pani Ottilia podała projekt, aby przejść się nieco po parku, a pani Vogel, aby ztamtąd zajść do nich na herbatę. Opozycji znikąd nie było. Pan Vogel więc, po rozmowie z żoną, poszedł sobie szczęśliwie do domu, pewnie aby urządzić przyjęcie dla gości; a my dwaj i pan August, pani Ottilia, pani Vogel i panna Pappenheim, ruszyliśmy we trzy pary do parku; obeszlśmy wszystkie piękniejsze punkta, odpoczywaliśmy na ławce Szyllera, i za ledwie dobrze o zmroku przyszliśmy do państwa Vogel. Tu dopiero dowiedziałem się po raz pierwszy, że pani Róża-Teresa jest doskonałą artystką na fortepianie, a śpiewa pewnie nie gorzej, jeśli nawet nie lepiej od pani Millerowej, którąśmy tak podziwiali w Warszawie ¹⁾. P. August doradzał jój różne piosnki salonowe i ludowe niemieckie, które ona albo z pamięci, albo z nut rozłożonych na fortepianie śpiewała. Wkrótce przyszedł też *kammersänger* ziągęcy, p. Moltke, a głos obojga, to w duetach, to *solo*, prawdziwie nas cały wieczór zachwycał. W ogólności dzień cały przeszedł tak

¹⁾ Artystka dramatyczna, rodem z Wilna, ówczesna primadonna opery w Warszawie.

uroczo, że chociażmy przed północą wrócili, marzeniem tylko, nie pisaniem o nim, można go było zakończyć. Za parę dni mamy wyjechać; ale mam jakąś nadzieję, że się jeszcze ten termin przewlecze. W każdym razie napiszę ztąd jeszcze do ciebie; a teraz, aby dotrzymać obietnicy, list ten zaraz niosę na pocztę; poczem tyle już mamy ułożonych projektów na dzisiaj, że wątpię czy na wszystkie czasu nam wystarczy. Bądź więc zdrow!



XV.

Do tegoż.

Wejmar, 24 Sierpnia 1829 r.

Nie darmo jestem w stolicy poezyi; pływam tu w niej jak szczupak w morzu—i to wody słodkiej, nie słonej. Jestem z Adamem; widuję Göthego, (codzień z parku z ławki Szyllera, jak chodzi po swoim ogródku); stąпам po śladach Szyllera, Wielanda, Herdera; czytam ich poezye z panią Teresą; słucham muzyki jej i Hummla, (z którym, jako najdawniej znajomi już z Drezna, odwiedzamy się tu nawzajem); śpiewu jej i kammersängera, pana Moltke, (który u niej codziennym jest gościem); chodzimy codzień razem na *Vogelwiese*, zwiedzamy okolice miasta, a jeśli nie jesteśmy zaproszeni gdzie razem, albo nie idziemy na teatr, to wieczorem, przy dźwiękach muzyki lub śpiewu w salonie, z balkonu otoczonego kwiatami, i oddychając ich wonią, admirujemy gwiazdziste niebo, dziękując mu za prześliczną letnią pogodę, która już trwa od dni kilku, a tak wpływa na humor i myśli, że za każdym ich zwrótem na siebie, z ust i z serca wyrывa mi się gwałtem Szyllerowski wykrzyknik Pozy: „*Das Leben ist doch schön!*—Adam pewnie czuje to samo; bo choć często, w roli Mentora, grozi mi przyspieszonym wyjazdem, widzę, że się sam wcale ku temu nie kwapie; i dla tego też, zamiast oppozycyi, odpowiadam

zwykle najobojetniej: „I owszem! Ruszaj zaraz pożegnać panią Ottilię i za mnie, a ja tymczasem upakuję rzeczy.” Adam spogląda na mnie, kręci głowę, uśmiecha się, i daje pokój. I nie wątpię ani na chwilę, że koniec końców spełni się wola pani Ottilii, (a i moja *in petto*), aby tu zostać jeszcze przynajmniej do 28 b. m., to jest do osiemdziesiątej rocznicy urodzin Göthego, która ma tu być nader świetnie obchodzona, i na którą z różnych stron Niemiec spodziewają się deputacyi: od uniwersytetów, teatrów, i różnych korporacyi uczonych. Tymczasem, przez te dni kilka my byliśmy jedynymi tu gośćmi, co się rzadko zdarza w Wejmarze; i to zapewne musiało się przyczynić niemało do téj uprzejmości ogólnej, która nas tu wszędzie spotyka. Prawda, że i my z naszej strony staramy się jak mogąc zasługiwać na nią, zachynając, ma się rozumieć, od płci pięknej, której sąd pod tym względem jest wszędzie wyrocznią. Wszystkim damom, które poznajem, w ślad zaraz oddajemy wizyty, dbając przytém i pamiętając o tém, aby przecież nie zrobić wstydu głównym tu orędowniczkom naszym, u których lub przez które zabieramy te wszystkie nowe znajomości. A tak są wszędzie dla nas grzeczni i gościnni, że mamy ciągły kłopot wymawiania się od zaprosin na wieczór, chyba że razem wszyscy zaproszeni jesteśmy. Inaczéj, krążymy każdy około swéj gwiazdy; lecz że wieczór u państwa Vogel kończy się higienicznie o godzinie 10, ja więc wychodząc ztamtąd, wstępuję po Adama do państwa Göthych, gdzie już zwykle do północy bawimy. Panna Ul-

ryka (siostra pani Ottilii), i sam pan August, szczególnie są na mnie łaskawi. Ten ostatni, im go bliżej poznaję, nie jest tylko, jak mi się wydał z początku, wesołym i żartobliwym *bon vivant*; jest w nim i poważny rozum, i głębsze uczucie, i zapał; tylko że się to wszystko okazuje w nim jakby przelotem, i jakby wbrew jego woli; bo zaraz potem, albo sam w żart to obraca, albo stara się zatrzeć jakim wesołym konceptem. Dla Adama jest on z wielkim respektem; „*mais je crains votre ami*,” powiada mi otwarcie, i woli sobie ze mną baraszkować swobodnie. To też codziennie prawie zachodzi po mnie rano, aby iść razem na spacer, a po obiedzie zaprasza na cygaro do siebie. I wtedy figuruje zawsze na stole butelka *Rüdesheimeru*, które bodaj lubi za nadto, albo *Lieb-Frauen Milch*; to ostatnie wybrane raz przezeń umyślnie, stosownie do przedmiotu rozmowy. A że jest przytém wielkim admiratorem pani Teressy, więc i to służy nam także za ogniwo miłego stosunku. Onegdaj znalazł u mnie „*Römische Elegien*” swojego ojca, pożyczone mi przez kręgielną znajomości krawca, u którego byłem już razy parę, z wizytą i z interesem. Zobaczywszy, zadziwił się niezmiernie, że ich nie zna; ale przewertowawszy parę kartek, domyślił się łatwo przyczyny, dla czego mu ich ojciec do czytania nie dawał, i śmiejąc się obiecał, że mu to wymówi. Adam radził mu wszakże, żeby tego nie czynił, gdyż byłoby to może ambarasującym dla ojca. Pan August nie podzielał tego przekonania, i owszem opowiadał nam wesoło o nim wiele niedawnych jeszcze

romansowych anegdot, kończąc rzecz tém wyrażeniem: *qu'il est capable de s'amouracher encore aujourd'hui.*" Przypomniałem i zacytowałem wiersz Szyllera, który właśnie w tych dniach czytałem:

Glaubt mir, es ist kein Märchen;—die Quelle der Jugend,
«sie rinnet

Wirklich und immer. Ihr fragt: wo? In der dichtenden
«Kunst".—

a który potem sam dla siebie wytłómaczyłem tak:

Wierz mi, nie w bajce tylko, lecz jest i na świecie
Źródło wiecznej młodości. Spytasz: gdzie? W poecie.

Adam ze swojej strony, śmiejąc się wykazywał różnicę między zakochaniem się zwyczajném, a zakochaniem się poetyckim. Piérwsze, jako dążące do zdobycia przedmiotu, wystawia się na pośmiewisko, jeżeli nie ma siły i warunków po temu; drugie, poprzestające na odzwierciadleniu tylko przedmiotu w sobie, tak jest zawsze pewne swojego, jak morze kiedy gwiazdy odbija. Nakoniec zaś dowodził jemu samemu, że i on pod tym względem widocznie odziedziczyć musiał po ojcu poetyckie usposobienie; czemu wcale pan August nie przeczył. Najczęstszym wszakże przedmiotem rozmowy jego z Adamem jest wspólne im uwielbienie dla pamięci Napoleona, którego wizerunki w różnych formach napełniają gabinet pana Augusta, i co także daje niekiedy powód do dysput z panią Ottilią, jako żarliwą patryotką niemiecką i wielką przyjaciółką Anglików.

Ale zwykły ten dotąd tryb naszego tu życia, a przynajmniej nasza wyłączność, bodaj że się już dziś dla nas skończyły. Za toż przybyła nam bardzo miła i interesująca nowa znajomość. Nim ci jednak powiem z *kim?* muszę wprzód opowiedzieć *jak?* bo to i dość pocieszenie, i oryginalnie.

Dziś po śniadaniu u państwa Vogel, tak jakoś zapomniałem o godzinie obiadu, że gdy wróciłem do hotelu, starszy kellner, wielki nasz przyjaciel, oświadczył mi, spotkawszy w sieni, że *table d'hôte* jest już skończony, lecz że on jednak dla mnie cały obiad zachował. Mimo to usłyszałem w sali jadalnej głośniejszą niż kiedy rozmowę, a raczej jeden głos pojedynczy, który z wielkim widać zapałem perorował coś po francuzku. Jakoż wszedłszy ujrzałem dwóch jakichś nowych panów i Adama siedzącego naprzeciw, pijących kawę przy sprzątniętym już stole. Jeden z nich starszy, lat może około 40, niskiego wzrostu, z bródką krótko z hiszpańska strzyżoną i prawie żółtego koloru; drugi, wysoki brunet, w moim wieku, z dużymi palającymi oczyma i z długimi włosami, spadającymi mu aż na szyję, wyglądał jak bursz niemiecki. Ten to właśnie gadał tak głośno; a pierwsze słowa, które posłyszałem wyraźnie, były: „*Non, non! ce n'est pas le nom! Mik... Mis... Mik... Eh! qui est donc votre grand poète?*” Adam spójrzył na mnie znacząco, i zlekka potrząsnął głową. Zrozumiałem znak żebym milczał, i z odpowiedzi jego dopiero pojąłem, o co rzecz idzie. Francuz, chcąc się widać pochwalić przed Polakiem ze świadomością literatury

polskiej, mówił o świeżem wydaniu w Paryżu, „*par monsieur Szosko*” (Chodźko), dzieł wielkiego polskiego poety, którego nazwiska zapomniał; Adam zaś, na fundamencie epitetu „*wielkiego*,” wmawiał mu, że chce mówić o dziełach Krasickiego, wydanych u Barbezata, i opowiadał przytém starszemu o zasługach i stanowisku tego pisarza w literaturze naszój. Młody bursz niecierpliwił się wyraźnie, i nie tait bynajmniej oburzenia, że Polak nie wie nazwiska swojego „wielkiego” poety. Dusłem się od śmiechu, połykając w milczeniu mój obiad. Adam tymczasem wypił swoją kawę, i pożegnawszy tych panów, odezwał się do mnie po polsku, że będzie mię czekał na górze. „Al to i pan Polak?” przemówił do mnie piérwszy zaperzony Francuz. „Czy i pan nie wiesz także imienia największego swego poety?” — „Pan chcesz mówić zapewne o Adamie Mickiewiczu?” rzekłem. — „*Oui, oui! C'est juste, c'est juste! C'est de lui que je voulais parler!*” wykrzyknął uradowany. — „*Et c'est justement lui même, qui vient de sortir,*” odpowiedziałem spokojnie. Francuz zaczerwienił się cały jak burak i zerwał się jak oparzony, wołając: *Ah! mon Dieu! c'est drôle! c'est bien drôle! Mais c'est ça, c'est ça! J'ai son portrait, dans un manteau — comme ça!*“ i pokazywał rękami, jak jest istotnie na portrecie litografowanym w Paryżu, podług obrazu Walentego ¹⁾,

¹⁾ Wańkowicza. Niepospolity ten malarz, rówiennik Mickiewicza, urodzony 1799 w Mińszczyźnie, kształcił się u Jezuitów w Połocku, a następnie przykładał się do malarstwa pod Rustemem w uniwersytecie wileńskim. Umarł w Paryżu w r. 1842.

w burce „wsparty na Judahu skale.“ Podobał mi się niezmiernie ten zapał Francuza, który przytém biegał prawie po sali. Ale i starszy ożywił się również, i przystąpiwszy ku mnie, zarekomendował się mówiąc: że się zowie David d'Angers; że jest rzeźbiarzem i członkiem Instytutu; że dłuto i pracę swoją poświęca wyłącznie na uczczenie wielkich ludzi swego czasu, i że umyślnie przybył do Wejmaru, dla zrobienia popiersia Götthego. Przypomniałem sobie na szczęście, że czytałem czy słyszałem gdzieś kiedyś, o pomniku dla Jenerała Foy, wykonanym przez niego, a co mi przez to tylko utkwiło w pamięci, że się rzeźbiarz nazywał tak samo jak malarz, który kiedyś Napoleona malował; — nie mówiąc już o Dawidzie psalmiście. David rad był widocznie, że o nim wiedzą i u nas, i z kolei przedstawił mi swego towarzysza, jako poetę i przyjaciela p. Wiktora Hugo. Nazwisko jego jest Wiktor Pavie. Opowiadałem więc im szeroko o Adamie, a gdy skończyłem obiad, prosili mię obadwa, abym ich zaraz zaprowadził do niego. Adam chodził prędko po izbie paląc fajkę, i puszczał dym ogromnemi kłębami, co zawsze jest u niego oznaką zajętej, pracującej myśli. David, w nader-serdeczny i ujmujący sposób, zaczął niby od wymawiania, że ich tak zmistyfikował; pan Wiktor zaś, wstrząsając go za rękę, wybuchał w zwykłych swoich wykrzyknikach. Adam odpowiedział im również wesoło i serdecznie, i między nim a Davidem zawiązała się wkrótce ożywiona rozmowa, w której Adam, jak to mu się często zdarza, z nasepionego i obojętnego

przed chwilą, wzrósł od razu jakby w olbrzyma i sypnął iskrami jak wulkan; a tak ujął i zachwycił Davida, że ten, z nieudaném wzruszeniem, ścisnął go powielekroć za rękę, i nakoniec prosił o pozwolenie, aby mógł zrobić „*son effigie*,” w medalionie. I z tego, i ze słów jego widać, że to jest człowiek pełen gorącego uczucia, a zwłaszcza uwielbienia dla wszystkiego co wzniosłe i piękne. Jest on w ścisłej zażyłości ze wszystkimi literatami i artystami w Paryżu, i nie znać w nim bynajmniej rzemieślniczej zawiści, lecz owszem artystyczne współczucie dla wszystkich. To mi przypomniało nasze miłe młode czasy wileńskie, od których już byłem odwykł w Warszawie. Towarzysz jego, pan Wiktor, deklamator tylko, jak widać, i zapaleniec na zimno, nie bardzo nam przypadł do serca. Jest to coś nakształt naszego Gosławskiego. We wszystkiém jest w nim jakaś przesada, która drażni ducha przekory; iżby się mu, jak *wietrzyk echom*, w rymach Gosławskiego, *przekrzywiad*. Obaż byli już dzisiaj rano z wizytą u Göthego i u pani Ottilii, i właśnie gdy bawili u nas, służący przyniósł od niej liścik do Adama, zapraszający nas oficjalnie na wieczór, na który już oni proszeni, a na którym będzie i *Papa*. Za godzinę więc idziemy tam razem, a ja tymczasem zacząłem ten list do ciebie, aby go opisaniem tego wieczoru zakończyć.

Godzina 11 w nocy.

Otoż już i po wieczorze, a wróciliśmy już od godziny. I dobrze, że nie trwał dłużej. Oczom chyba

tylko winieniem, że nie skamieniałem przez uszy, słysząc wciąż tylko jedno—o kamieniach i ceglach; a to *gwoli* rzeźbiarza Davida, i architekta p. Coudray, dla których był wyłącznie ten wieczór. Göthe, który nie bawił dłużej nad godzinę, stał sam ciągle w środku salonu jak posąg, a mężczyźni w około niego jakby grupa kamienna. Damy także, jak Galateje, siedziały nieruchome zdaleka, z sobą tylko rozmawiając po cichu. I nie straciły nic wcale na téj mądrej rozmowie o głazach, która od biustów, posągów, pomników, sięgała do wież, tumów, obelisków, piramid, a doszła aż do wieży Babel—o której Göthe powiedział: „że gdyby się dała dokończyć, to podług wszelkich praw natury i sztuki, musiałaby się zakończyć spiczasto, to jest jednym najwyższym, kulminacyjnym punktem.” Głównymi jego interlokutorami byli David i Adam; p. Coudray, jakiś cichy i skromny człowieczek, na zapytania tylko odpowiadał. David, żywy i ożywiony, brał często inicjatywę; Adam zaś i tu mię znowu zadziwił ogromem wiadomości swoich w tym przedmiocie. Göthe widać musiał uznać toż samo; bo gdy Adam, mówiąc między innymi o piramidach odkrytych w Ameryce i o ich podobieństwie z Egipskimi, dowodził, że rzeźbiarstwo, jako sztuka najbardziej plastyczna, najwyraźniej téż znamionuje stopień umysłowego rozwoju w narodzie; Göthe słuchał go z wielkiem zajęciem, i tylko zrobił uwagę, że oprócz umysłowego rozwoju, sama także natura materiału, który artyści mają do użycia, musi mieć wpływ konieczny na ogólny charakter ich utworów; jak np.

zbyteczna twardość Egipskiego granitu należy bezwątpienia do przyczyn, że wszystkie z niego wykute posągi mają zawsze ręce przy ciele.

Ale nie chcę cię już mordować dalszemi cytatai tój zimnej, jak ów granit, rozmowy, która dość często dla mnie stawała się sfinxem, i wśród której czułem się w końcu jak kamienowany męczennik, gdy milcząc i tylko wzdychając myśl i oczy ku Aniołom obraca. Wprawdzie i one ku mnie spoglądały litośnie; ale sposobu wyzwolenia nie było. Göthe raz tylko przybliżył się ku nim, i to dla pokazania bliżej Davidowi przy lampie modelu jakiegoś pomnika, z czasów Rzymskich, który po dziś dzień jeszcze trwa gdzieś w Luxemburgu, i raz tylko przez cały ten wieczór przemówił—do mnie właśnie—o czémś inném niż o kamieniach; to jest pytał mię bardzo łaskawie, jak się bawię w Wejmarze, i czy widziałem strzelanie do ptaka (Vogelschiessen)? Przyczém raczył mi opowiadać, że gdzieindziej strzelają z łuków, (co już ja i bez niego wiedziałem), i dodał: „*il faut que je vous fasse voir cela.*” (Ciekawy jestem w jaki sposób; ale pytać o to nie śmiałem). Pan August i pani Ottilia mi mówią, że jest jakoby dosyć łaskaw na mnie; a i mnie się samemu tak zdaje. Bo dziś np. do p. Wiktora Pavie, który jest właśnie w podobnym położeniu ze mną, ani słówka nie przemówił z osobna, a zaś na kilkakrotne odezwanie się jego—prawda, że nic nieznaczące a śmiałe—sucho i jakby od niechcenia tylko odpowiedział.—Ale najlepszy skutek dzisiejszego wieczoru jest ten, że już stanowczo zostajemy tu-

taj na dzień urodzin Göthego, który całkiem od dzisiaj przeniósł się do miasta, dla przyjmowania spodziewanych gości, i co wieczór ma być widzialnym. Jutro zaś mamy znowu biesiadować z nim razem przy obiedzie na cześć Davida. Boję się tylko, abym nakształt strusia, nie musiał znów połykać kamieni.—List ten wszakże, choć i tak już zbyt długi, zatrzymam jeszcze przez jutro, aby dodać może jakie *post-scriptum*.—Bo przecież byłbyś czarny niewdzięcznik, gdybyś nie czuł, albo nie przyznał, że każdym kąskiem Göthego chcę się zaraz z tobą podzielić.

Post scriptum. 25 Sierpnia—wieczorem.

Pyszny indyk z truflami na dzisiejszym obiedzie—to jak symbol rozmowy Göthego u stołu... A i przedmiot był téż po temu. David, nie myśląc może, wszczął, a raczej poruszył kwestyą o sympatyach i antipatyach narodowych, opowiadając, jaki wpływ poezye Byrona, Göthego i Szyllera wywarły na oświeconą klasę we Francyi pod względem jój usposobień dla Anglików i Niemców. Göthe nic wprawdzie nie powiedział takiego, żeby aż krew i oddech zatrzymać—jak to się często przydarza z Adamem; ale we wszystkiém co mówił, czujesz myśl tak głęboką, wytrawną i jasną, że wyraźnie mądrzejiesz słuchając. Wykazywał więc, jak przyrodzone różnice w pojęciach i uczuciach, albo raczej w sposobach pojmowania i czucia, właściwe tak plemionom, jak i pojedynczym ludziom—wyzyskiwane przez interes i pychę, czy to przewrotnych rozumów, czy namiętnych uniesień—zamieniają się z czasem

w umysłach ciemnej gawiedzi w nieprzebyte granice, które tak rozdzielają ludzkość, jak góry albo morza rozgraniczają kraje. Obowiązkiem więc wyższych i lepszych ludzi byćby powinno, tak łagodzić i godzić stosunki narodów, jak ułatwiać żeglugę przez morza, lub torować drogę przez góry. Wolny handel pojęć i uczuć, jak zamiana produktów i wyrobów ziemskich, równie pomnaża bogactwo i ogólny dobrobyt ludzkości. Że się to dotychczas nie dzieje, przyczyna jest nie w czem inném, jak w tém, że dotąd społeczeństwo międzynarodowe nie ma pewnych praw i zasad moralnych, które już w społeczeństwach prywatnych, nieskończone różnice indywidualów łagodzą i zlewają w mniej więcej harmonijną całość. Göthe nie dodał wprawdzie, z kąd wyjść mają te zasady i prawa; ale dla mnie stało się jasnym, że jużżiż znikądinąd jak z wiary: z wiary w Ojca wspólnego na Niebie, i z braterskiej miłości bliźniego na ziemi. Dziwiło mię tylko, że Adam, który sam w tym przedmiocie, więcej pewnie niż ktobądź inny, miałby prawo i mógłby powiedzieć, trzymał się wyraźnie na uboczu i nie brał prawie udziału w całej tej rozmowie. Ja więc, o ile mogłem, starałem się go niejako zastąpić, mówiąc o nim właśnie, ale po cichu, do moich sąsiadek u stołu. A były niemi: pani Ottilia z jednej, a panna Pappenheim z drugiej strony. Göthe siedział w pośrodku między Adamem i Davidem; a już to samo nasuwało uwagę, jak geniusz jednocy i zbliża narodowości. Przytém stał mi ciągle na myśli ów ociemniały wielbiciel Adama, Kozłow, jak mi kiedyś prawie to samo mówił o nim—i płakał.

Z rozmowy tój wywiązała się druga, o terażniejszym położeniu świata, a mianowicie Europy. Göthe sądzi, że wiek nasz dziewiętnasty, nie jest tylko po prostu dalszym ciągiem poprzednich, lecz że zdaje się być przeznaczonym do rozpoczęcia jakiejś nowój ery. Takie bowiem wielkie wypadki, jakie zatrzęsły światem w pierwszych jego latach, nie mogą pozostać bez równie wielkich, odpowiednich im skutków, chociaż te, jak kłosa z zasiewu, powoli dojrzewają i rosną. Göthe wprawdzie nie spodziewa się ich piérwój jak dopiéro w jesieni wieku, to jest w drugiej jego połowie, jeśli nawet nie w ostatniej ćwierci. Twierdził bowiem, opierając się na doświadczeniu przeszłości, że wszystkie wielkie wypadki dziejowe, wszystkie wielkie światowe odkrycia i wynalazki, i nakoniec sami ludzie wielcy, przychodzili zazwyczaj na świat po połowie, albo téż przy końcu stulecia. Göthe urodził się w tym samym roku, i to zaraz w parę miesięcy po wynalezieniu konduktorów. Trudno myśleć, aby to mówiąc, chciał się sam wydać za wielkiego człowieka; prędzej owszem trzeba przypuścić, że właśnie mu to na myśl nie przyszło. Ja wszakże skorzystałem z tego, i szepnąłem do ucha pannie Pappenheim: że rok ten był mędrszy od Prometeusza; bo naprzód rozbroił piorun, a potém dopiéro promień z nieba przyniósł na ziemię. Pannie Pappenheim tak się to podobają, że zawoławszy po dwakroć: „*das ist schön*,” chciała zaraz powtórzyć to głośno. Uprosiłem ją wszakże, aby to odłożyła na potém;—bo potém, to i owszem!... Pan August mi powiada, że mój „*para-*

dieisischer Vogel," cały Wejmar obleciał, i stał się przezwiskiem osoby. Notabene, dowiedziałem się przytém, że „rajski ptak,” po niemiecku, mówi się nie *paradiesischer*, ale *Paradies-Vogel*. Widać jednak że ten gramatykalny usterk nie zaszkodził mojemu *dictum*, tak jak i ono samo nie przyniosło mi szkody. Szkoda tylko, że przy dzisiejszym obiedzie, tak się czuło brak tego ptaszka, jakby przed wieki na rycerskiej biesiadzie, brak pawia w piórach, ze złoconym dziobkiem. To téż zaraz po wyjściu Góthego, poszedłem się dowiedzieć: dla czego? zostawiwszy Adama i resztę towarzystwa, które David głównie zagajał.

Wróciwszy nad wieczorem do hotelu, zastałem go już robiącego sylwetkę Adama; jutro zaś ma rozpocząć modelowanie biustu Góthego. Z pierwszych rysów można już poznać, że będzie bardzo podobna. Materyałem, z którego ją robi, jest kawał jakiegóś czerwonej masy, nalepiony na miedzianęj tabliczce; narzędziem zaś prosta drzazga, oderwana od drewna, złożonego do palenia za piecem. Trafiłem na kontynuacyą obiadowej rozmowy;—bo David nie wymaga w pozującym milczenia, owszem chce i żąda koniecznie, aby on sam o pozowaniu zapomniał. I muszę ci tu powiedzieć, że Adam wydał mi się w niej wyższym niż Góthe. Tam sam rozum; tu i rozum, i zapał, i jakby prorocze widzenie.—Myśli, które wypowiadał Góthe, to jak twarde błyszczące talary, na zimno już w mennicy wybite, które możesz nosić przy sobie; myśli Adama płyną jak roztopiony metal, który

się w tobie samym rozplywa. Teraz dopiero zrozumiałem, dla czego milczał przy obiedzie. Musiał myśleć zapewne to, co teraz mówi; a nie chciał mówić wtedy, żeby nie współzawodniczyć z Göthem. David był w zachwyceniu; zwłaszcza gdy rzecz szła o ducha i powołaniu Francyi; jakkolwiek nie we wszystkiém zgadzał się z Adamem, i nie wszystkim przepowiedniom jego chciał wierzyć. Prosił w końcu Adama, aby mu przeczytał co swego, w pobieżném tłómaczeniu na prozę. Adam wybrał *Farysa*, i tłómaczył dziwnie gładko i płynnie, z pewnym nawet jak gdyby rytmem. David aż podskakiwał na krzesła, a pan Wiktor wykrzykał po swojemu. Gdy skończył, David pytał ciekawie, jakim sposobem utwór ten napisał? Pytanie to podobało się bardzo Adamowi. Uznał w niém, jak sam powiada, głębokie artystyczne poczucie Davida, które, z samój natury utworu, odgaduje intuicyjnie warunki, w jakich mógł i powinien być powstać. Opowiedział więc, że już przedtém czytał był, a nawet tłómaczył, kilka poezyi wschodnich, (*Szansfary*), z przekładu w prozie francuzkiej. Raz zaś, wyszedłszy z proszonego obiadu w Petersburgu, na którym się wesoło zabawił, spostrzegł że burza nadchodzi. Dopadł więc drażek i kazał pośpieszać. „*Zwooszczyk*” pędził co koń mógł wyskoczyć; a ten pęd, turkot, świst wiatru, huk grzmotu, chęć pośpiechu i obawa ulewy, obudziły w nim samym sensacye Farysa, który nagle przyszedł mu na myśl. Przez noc wiersz był już gotów. — David za to opowiadał nawzajem, jak mając polecony

sobie pomnik dla Jenerała Foy, (który ma sam za jedno z najlepszych dzieł swoich), długo się biedził z myślami i nie mógł się zdobyć na pomysł. Pojechał więc na wieś, za Paryż, szukać wiatra w polu, i chodząc w zamyśleniu wpatrywał się machinalnie w obłoki. Jeden z nich nagle zaczął zmieniać kształty. David, jakby przeczuł wskazówkę, zatrzymał się jak skamieniały—i podskoczył wołając: *Eureka!*—Uderzyła mię, w zbiegu tych rzeczy, razem sprzeczność i podobieństwo. Obłok—mgła, para, symbol znikomości, daje wzór do pomnika z kamienia; ale znówu pomnik na grobie, czyż to nie symbol znikomości ludzkiej? David, gdy mu to powiedziałem, uściskał mię i aż pocałował;—a masz w tém tylko dowód wrażliwości i żywości jego.

Przez całe dzisiaj rano, do samego prawie obiadu, włączył nas z sobą po wszystkich placach, gmachach i publicznych zakładach Wejmaru, których my, przy innych zajęciach, nie mieliśmy dotąd czasu obejrzeć. W bibliotece widzieliśmy prześliczny biust Szyllera, przez Tannekera, kolosalnej wielkości, a mówią, że podobny jak dwie krople wody. Spokojność i zamyślenie łagodne, to wybitne cechy téj twarzy. Uderzający kontrast z Göthem, w którym siła i duma przeważa. Biust Göthego, który David ma zrobić, pewnie kiedyś będzie stał przy tym; tak jak i trumna Szyllera czeka w grobie na jego sąsiedztwo; jak ich imiona złączone są razem w chwale i pamięci ludzkiej—ściślej może, niż oni sami za życia.

Tymczasem pan August, który nam towarzyszył dzisiaj, korzystając z nieobecności ojca, oprowadzał

nas po jego ogródku za miastem. Mały, ale bardzo starannie utrzymany; a ogrodnikiem jego jest sam Göthe.—Zakończyliśmy naszą wycieczkę zwiedzeniem miejskiego cmentarza, o którym że byłoby wiele do powiedzenia, tym razem nie powiem nic; bo już czas iść na proszony wieczór do pani Gerstenberg, na którym ma być całe nasze towarzystwo. I nie wezmę już wprzód pióra do ręki, aż się wszystkie fety odbędą, do których się cały Wejmar gotuje. Damy kończą na gwałt różne robótki, na wiązanie dla solenizanta; szkoły i zakłady naukowe sposobią się do wystąpienia z powinszowaniami; teatr do przedstawienia po raz pierwszy na scenie „*Fausta*,” ma się rozumieć w skróceniu. W oberży naszej „pod Ślaniem,” panuje też ruch nadzwyczajny, w oczekiwaniu spodziewanych gości. „*Die Engländer sind schon da*,” zwiastował nam dzisiaj nasz kellner; a to takim zupełnie tonem, jak u nas oznajmują na wiosnę, że już przyleciały bociany. Obaczymy ich pewno na dzisiejszym wieczorze. Ale żeby odjąć sobie pokusę do nowych *post-scriptów*, list ten zapieczętuję przed wyjściem, i oddam idąc w ładne rączki pani Pocztmistrzowej, bo mąż jej pewno siedzi gdzieś przy piwie. Notabene piwo bardzo smaczne w Wejmarze;—a że mi przyszło na myśl i pod pióro, możesz sobie, jeżeli zechcesz, wyciągnąć z tego ten sens:

Jak niebo z ziemią bliżkiem wiązą się ogniwe!
Zacząłem ambrozyą, a kończę list—piwem.

Bądź zdrow!

XVI.

Wejmar, 1829, Sierpnia 27, o północy.

Ani chciałem, ani miałem, ani spodziewałem się pisać już ztąd do ciebie przed upływem jutrzejszej fety; a oto biorę pióro jedynie i właśnie dla tego, aby przed nią koniecznie napisać. Bo mam taką ciekawą rzecz do opowiedzenia, że nie chciałbym obok niej stawić żadnej inniej, coby równy dla ciebie mogła mieć interes. Oto, wiesz, kto jest Adam?—Czarownik!—ni mniej ni więcej; i to nie dla *czarownej lutni*, ale po prostu dla sztuk czarnoxięzkich, z którymi dziś niespodzianie jak Pinetti jaki wystąpił. Cały Wejmar w tej chwili musi gadać o nich; bo choć to już jest po północy, ale że wieczór u pani Ottilii tylko co się zakończył, ręczyć można, że rozbierające się pewnie w tej chwili damy, muszą szeroko rozpowiadać swoim domowym o tém, co je same na tym wieczorze tak mocno zajęło i zadziwiło. Ale poczekaj nieco na tę relacją;—bo ona nie uciecze, a ja lubię porządek.

Dzisiejszy wieczór u pani Ottilii, był to wieczór balowy, *dziewic-wieczór* jutrzejszego festynu. Całe towarzystwo Wejmarskie, i z różnych stron przybyli goście, napełniali rześńście oświecone salony. Nie składano jeszcze formalnych powinszowań, ale czuć je było we wszystkim. Wszystkie damy jasno ubrane; mężczyźni w białych chustkach na szyi; po stolicach ogromne bukiety; wszędzie ustrój i nastrój świąteczny. Göthe, jak słońce i bożyszczę fety, był central-

nym punktem wszystkiego, i ku któremu grawitowało wszystko. Gdzie on, tam tłum; gdzie się zbliżył, ustawała rozmowa, i jego słów tylko czekano. On też zwolna obchodząc salon, wszystkich niemi z uprzejmością obdzielał. Mnie — a raczej nam, bo nie wiedzieć do kogo było wymierzone—dostało się jakieś enigmatyczne, sfinkxowe zapytanie, którego sensu dotąd wytłómaczyć jasno nie umiem. Rozmawialiśmy sobie właśnie z panią Teresą, gdy Göthe przybliżył się ku nam, i uśmiechając się wesoło zapytał: „*Nun, wie geht's im Paradies?*—Zmieszkałem się, bo nie pojąłem, co to miało znaczyć. Czy to była alluzya do owego „rajskiego ptaka?” Czy że mówiłem panu Augustowi, że mi tutaj dobrze jak w raju? Czy stary wieszcz sam to odgadł? Czy nakoniec — jak to ja potem tłómaczyłem mojej sąsiadce—pytał ją o nowiny z *jéj* sfery, w której błękit była ubrana? Dość, że ja na to nie odpowiedziałem nic, a odpowiedzią z *jéj* strony był tylko żywszy niż kiedy rumieniec. Göthe uśmiechnął się jeszcze wyraziściej, i wyciągając ku mnie rękę, dodał: „*Es ist schön, dass Sie uns geblieben.*”—„Dziękujemy Niebu, odpowiedziałem, że nam zdarzyło to szczęście.”—Göthe skinął czołem uprzejmie, i zapytał mojej sąsiadki, jak prosperują *jéj* kwiaty? mówiąc przytém o swoich w ogródku, że je zdać musiał na cudzą opiekę.—Nie miałem czasu śledzić, co mówił z drugimi; wiem tylko od Adama, że dziękował mu bardzo grzecznie, że na ten dzień jeszcze pozostał.

Mimo wszakże tych wdzięcznych słówek i uśmiechów, nie trudno było dójrzeć, patrząc nań z boku, że to

była rola przybrana, którą z musu i dla przyzwoitości tylko odegrywa. Wzruszenia ni ożywienia w posagowej tej twarzy nie było. To téż i jego obecność nie wpływała w sposób ożywczy. Dopóki bawił w salonie, rozmowa w ogólności szła jak gdyby spętana, i dopiero gdy odszedł *incognito* do siebie, (a było to już około 10-éj), gwar zaczął się stopniowo powiększać, aż nakoniec cały salon napełnił. Towarzystwo rozdzieliło się na dwie odrębne połowy. Poważne grono mężczyzn skupiło się w głębi salonu; młodzi pozostali przy damach. Adam był między nimi, i przodkował w rozmowie, jak przewodnik chóru. Obok niego występowali zwłaszcza: nowo-przybyły z Berlina, młody poeta i artysta dramatyczny, Karol Holtei, (który pierwszy wodewille na scenę niemiecką wprowadził), i przyjaciel nasz p. Wiktor Pavie. Holtei, dobrze widać znajomy i poufały ze wszystkimi, przytém żywy i pełen dowcipu, istotnie podtrzymywał i ożywiał wesołość; ale co nasz pan Wiktor, to chociaż perorował najgłośniej i sadył się na górne koncepta, koniec końców nie podobał się nikomu, a zwłaszcza pani Teressie, do której właśnie najczęściej komplementa i oczy obracał. Dziś rano czytał nam u niej wiersze, które do Göthego napisał. Nadęte, pretensjonalne i wykrzyknikujące jak on sam; a przytém *vox, vox, praeterea que nihil*. Po wysłuchaniu, wszyscy tak się czuli skromnymi, że każdy chciał drugiemu ustąpić pierwszeństwa, aby naprzód swoje zdanie wynurzył. Gdy się zaś nikt z tém nie kwapił,

• sam nakoniec gospodarz domu musiał to wziąć przez grzeczność na siebie, i wywiązał się z tego bardzo przyzwoicie. Ja zaś tymczasem dowiedziałem się z ust samej pani, że i Francuzów, i Anglików *nie cierpi* (*kann nicht leiden*). A było téż trzy okazy tych ostatnich na dzisiejszym wieczorze u pani Ottilii, ale którzy tak niefortunnie reprezentowali swoją *Old England*, (starą Anglią), że nawet godło jej herbownej tarczy: „*Honni soit, qui mal y pense!*” nie odstraszyło pewnie nikogo, aby myślą o nich nie zgrzeszył. I nadaremnie sama gospodyni, słynna z zamiłowania i protegowania Anglików, szukała dla nich jakiegokolwiek tarczy, przeciw zręcznym a dość złośliwym pociskom Holteja, które na nich i na całe ich plemię, z różnych stron i bez ustanku wymierzały. Ale bo téż prawdziwie rzecz dziwna, co to są za stworzenia ci młodzi Anglicy! Wszyscy, jeden w drugiego, których dotąd widziałem, z niezgrabności i nieskładności, do bocianów lub do żrebiąt podobni; ale co tych dzisiejszych, to i z fizygnomii i z ruchów, do małp chyba mógłbym przyrównać. Śmiech było patrzeć, jak nie wiedząc co począć ze swoją figurą, przesiadali się z krzesła na krzesło, aby się zbliżyć ku damom, które do nich niekiedy przemawiały same, i to, widać było wyraźnie, że nie tyle z grzeczności lub uprzejmości dla nich, jak raczej żeby ich tylko wyciągnąć na słowo i wyprowadzić w pole na popis, dla zabawy całego towarzystwa. Przeciągało się to dość długo; aż w końcu Adam, choć nie mówił głośno, zwrócił na się wszystkich uwagę. Chwalił się właśnie przed

•

panią Ottilią i siedzącami obok niej damami, że ma sposoby czytać w myślach drugih i odgadywać najskrytsze tajemnice ich serea. Wszystkie, ma się rozumieć, zaprzeczały temu; on więc oświadczył gotowość przekonania o tém *de facto*, i zaproponował próbę następną. Damy miały złożyć na tacy każda swój najulubieńszy pierścionek, który nosi oddawna i ciągle; on zaś miał zgadnąć, nie wiedząc, który do której należy, i co która myśli i czuje. Gwar, żarty i wesołość stały się ogólne: ale gdy on się nie cofał, a przyszło do składania pierścionków, wahanie się dam było widoczne; i choć ciekawość ogarnęła wszystkich, zaledwo namowy pani Ottilii, a więcej może jeszcze obawa posądzenia mężczyzn, że się boją wykrycia tajemnic, skłoniły w końcu niektóre, bo wcale nie wszystkie damy, że się poddały czarnoxięzkiej próbie. Adam siedział na miejscu i milczał; gdy zaś już kilkanaście pierścionków leżało na porcelanowym talerzu, z którym panna Ulryka obeszła dokoła; powstał zwolna z miną poważną, wziął talerz i odszedł na stronę. Rozmowa prawie całkiem zamilkła; starsi mężczyźni zbliżyli się ku damom; i nastąpiła chwila ogólnego oczekiwania, która dla mnie, nie wiem dla czego, była niewypowiedzianie przykrą. Sam sobie nie umiem zdać sprawy, czy to była obawa kompromitacyi Adama; czy rola, w której wystąpił; czy wzięcie przez obecnych na seryo tego, co on żartem pewno tylko przedsięwziął. On tymczasem stał zdaleka od wszystkich, twarzą obrócony ku oknom, i przy lampie przeglądał pierścionki. Trwało to może minut z dziesięć, a mil-

czenie było w końcu powszechne. Nagle Adam odwrócił się prędko, i wielkim krokiem postąpił ku damom. Zimne mrowie przebiegło po mnie, gdy ujrzałem szczególną zmianę w jego twarzy. Kubek w kubek tak samo, jak się niekiedy w Wilnie przy improwizacjach *przemieniał*. Ta sama marmurowa bladeść; ten sam wzrok skupiony w sobie, co zda się widzi wszystko, choć na nic nie patrzy. Wrażenie to odbiło się na wszystkich. Nie słyszałem co mówił damom, które siedziały zdaleka, bo głos jego był przytłumiony, a i on sam pewno go zniżał, aby nie wydawać sekretów. Ale z wyrazu twarzy tych, do których mówił, i ja, i wszyscy obecni widzieli, że w słowach jego musiała być prawda. Pani Ottilia, gdy z kolei zbliżył się ku niej, patrzyła w niego jak w tęczę, nieruchoma, i mieniąc się na twarzy. Uśmiechała się jednak gdy mówił, choć wzruszenie było widoczne.— „*Ach! ich fürchte ihn,*” (Ach! ja się go boję), rzekła do mnie z cicha pani Teressa, widząc już w ręku jego swój pierścionek. Jakoż przystąpił wnet do niej, i milcząc, przez parę sekund, wpatrywał się w nią przenikliwie. Biedaczka zbladła jak papier. W słowach jego, które mogłem dosłyszeć, obok na wpół żartobliwego tonu i bardzo delikatnego, wdzięcznego komplementu, co do świeżości i żywości uczuć, była jakby poważna, przyjacielska przestroga, aby się im nie dać unosić; co wszystko tak ją wzruszyło, że aż łzy w jej oczach zabłyśły.—Koniec końców, czarnoxięzka chwalała Adama zajaśniała w całym swym blasku.— „*Es ist doch wunderbar!*” słyszałem około

siebie; a mnie samemu tak było jakoś miło i rozkosznie, że ci tego wypowiedzieć nie umiem ¹⁾). Rozmowa znów stała się gwarną, ale ton jój i nastrój był już aż do końca poważny. Adam mówił na seryo o tajemniczych potęgach natury i ducha ludzkiego; David zaś, który stał przy nim, potwierdzał to przytoczeniem kilku faktów z życia wielkich ludzi, a zwłaszcza Napoleona, który wierzył w świat tajemniczy.—Sam on téż, gdy wyszliśmy razem, pytał ciekawie Adama, jakim sposobem to zrobił? ale ten bardzo grzecznie i zręcznie, mówiąc ogólnikami, wywinał się od stanowczej odpowiedzi. Gdy zaś ja, zostawszy sam na sam, także go o to z naleganiem pytałem: naprzód zaczął zbywać żartami, następnie chciał zbyć ofuknięciem: „Nudzisz mnie! dajże mi pokój!” i t. d. Ale gdy i to nie pomagało, chciał mię, jak się zdaje, przestraszyć; i zatrzymawszy się nagle przedemną, (bo chodził wkoło z zapaloną fajką), wlepił we mnie wzrok swój badawczy, i odezwał się jakimś grobowym, wyraźnie udanym głosem: „Czy ty myślisz, że ja i ciebie nie przeczytam na wskrós?”—Nie zląkłem się jednakże i odpowiedziałem wesoło: „Czytaj sobie jak zechcesz: wzdłuż, wszerz, wpoprzek i na ukos; będziesz wiedział przynajmniej, jak ja ciebie kocham.” Zaczął śmiać się, i skończyło się na zwyczajném gładzeniu włosów.—Sekretu swego *tandem* nie powiedział; a ja nie wstydzę się ci wyznać, że to mi

¹⁾ Ob. Przypis przy końcu tomu.

wiele daje do myślenia; nie z powodu czarów, ma się rozumieć, ale téj dziwnej jakiejś magnetycznej siły, co mu widać dana z natury, a która w nim tak często, i to tak w rozmaitych kierunkach, do jasnowidzenia dochodzi. Utwierdza mię to tylko w tém dawném, i zkażdą powziętém przekonaniu, że to nie prosty poeta-bard, *sed vates et propheta*, i człowiek przeznaczenia.

Bądź zdrow.

XVII.

Wajmar, 28 Sierpnia 1829 r.

„Otoż i dzień nad wszystkie uroczysty świątki”
Wstawaj, ku czci Götthego lat osiemdziesiątki

Tą parafrazą wiersza Trembeckiego dobudziłem
dzisiaj na dzień dobry Adama, gdy się już sam poruszył
i ocknął. A było to jeszcze przy świetle:

„Gońca złotego słońca, różanej jutrzeńki,”

pogodnie w okna nasze świecącej, a o których jedna
z najlepszych festynowych piosnek dzisiejszych, w ten
sposób z wdzięcznością wspomina:

*„Diese schöne Morgensröthe
Hat einst unsern — ja, unsern Göthe
An des Tages Licht gebracht.”*

Obudziłem się zaś sam tak wcześnie dla tego, że
wczorajsze czarnoxięstwo Adama, enigmatyczne za-
gadnienie Götthego, i różne jeszcze inne reminiscencye
wieczorne, tak się zlały jakby w jeden koszmar, że
trapiiony przezeń noc całą, skoro raz otworzyłem
oczy, już *da capo* skleić ich nie mogłem. Ledwo zaś
przez połowę byliśmy ubrani, wszedł do nas na wpół
także ubrany David, sąsiad nasz przez korytarz, aby
kończyć sylwetkę Adama, i wkrótce po nim z wizytą
Holtei, drugi też sąsiad przez ścianę. Szkoda, że ci nie

mogę powtórzyć długiej, bo przeszło dwugodzinnej rozmowy, która, gdyby ją kto stenografował, złożyłby mogła szeroki historyczny obraz bieżącej literatury, a zwłaszcza poezji europejskiej, i to pod najciekawszym i najżywotniejszym względem, to jest osobistości, charakteru, stosunków, stanowiska i wpływu autorów, którzy ją wszędzie w tej chwili w rękach swoich piastują. David bowiem zna wszystkich najdoskonalej w Paryżu; Holtei wszystkich w całych Niemczech; Adam ma także mnóstwo znajomości podobnych w Petersburgu i Moskwie; a jużż nikt pewno nademnie nie zna lepiej obu przeciwnych obozów, klasyków i romantyków, w Warszawie i w Wilnie, z których się tyłu jednych po bratersku kochało, z tyłu drugimi po szermiersku walczyło. A walka ta na polu literackich idei toczy się dziś również i gdzieindziej; tylko że nie na same słowa i języki, ale także na myśli i pióra. Dość tylko że walka trwa wszędzie. Wszędzie treść dopomina się o pierwszeństwo przed formą; prawda przed sztuką. Ale czy prawda zwycięży w istocie, czy sztuka formę tylko przemieni? to już przyszłość chyba osądzi.

Ale wiesz ty, jakim obrazem cała ta poranna rozmowa odbiła się w wyobraźni mojej? Oto widzę jakby lazurowy sklep nieba, roztoczony nad całą ziemią. Zachód płonący jeszcze żywym ogniem i blaskiem, chociaż zgasłego już słońca—to Byron. Wschód promieniejący jutrzemką—to Adam. Xiężyc w pełni i na zenicie swój drogi—to Göthe. Trójca gwiazd-słońc pierwszej wielkości—to Chateaubriand

1 Walter-Scott nad Europą, a nad Ameryką Cooper. Plejada słonecznych planet—to Manzoni, Moor, Béranger, Lamartine, Tieck, Tegner, i nasz Ursyn. Mglisto-płomienisty kometa—to Wiktor Hugo. Zorza północna—to Puszkina. Reszta to już pomniejszych gwiazdy i gwiazdeczki, co albo się grupują w konstellacye, albo jak meteory, błysną, spadają i gasną.

Żebyś zaś nie łamał głowy, zkąd mi przyszło to astronomiczne porównanie, mnie, co wcale do gwiazd nie sięgam; wiedz tedy, że mi je natchnął ten właśnie, który swém przyjściem przerwał tę rozmowę.—Był nim zaś pan Quetelet, dyrektor obserwatoryum astronomicznego z Bruxelli, który przyjechał umyślnie na obchód urodzin Göthego, i któremu nas wczoraj sam Göthe na wieczorze u siebie przedstawił. Mieszka zaś razem z nami „pod Słoniem.” Czy wczorajsze *hokus pokus* Adama nie było może głównym powodem téj niespodziewanej wizyty, tego z pewnością powiedzieć nie umiem. Bo nie mówiąc już o mnie, który z żadnego względu prawa do niej rościć nie mogę; ale Adam sam był zdziwiony, co mu mogło zjednać ten zaszczyt, gdyż z nim zaledwo słów kilka, i to obojętnych przemówił. A musi to być nielada znakomitość w nauce i w świecie uczonym, sądząc z tego, jak go Göthe z wyraźnym odznaczeniem traktował, i z jaką uprzedzającą grzecznością, pani Ottilia była dla jego żony, która już przez to samo, że była jedynym gościem płci pięknej, trzymała prym w towarzystwie damskim. Nie wiem, a więc i nie mówię z pewnością, czy i ona nie złożyła na talerz swojego pierścionka;

ale jest bardzo podobnym do prawdy, że ona to wysłała męża, aby bliżej czarodzieja zobaczył.—Bądź co bądź, Adam, jak gdyby dla utrzymania swój roli, (choć o tym pewno nie myślał), z powodu dnia urodzin Göthego, potrafił o horoskopy, które Göthe sam, jak pisze, układał kiedyś dla siebie, z położenia i stosunku planet w dniu i w chwili przyjścia swego na świat; ku czemu wertował i badał ówczesne obserwacje astronomiczne. Ztąd wszczęła się rozmowa o astrologii, której treść jest wartą wspomnienia.

Pan Quetelet nazwał astrologię piastunką astronomii, tak jak alchemia, w wiekach średnich, była matką chemii dzisiejszej. Adam więc z tego powodu podniósł i rozwijał precudownie tę myśl: jak wszystkie najważniejsze odkrycia, które przyniosły światu najwięcej materialnych korzyści, uczynione były zwykle jakby przypadkiem, na drodze wyższych poszukiwań i dążeń duchowych. I tak np. astrologia szukała na niebie rozwiązania zagadki przeznaczeń, jak alchemia na ziemi „kamienia mądrości,” którego złoto było tylko symbolem. A oto chemia w wielu względach ziściła to właśnie dla świata, czego jej poprzedniczka nadaremnie szukała; to jest odkryła sekret—wprawdzie nie robienia złota—lecz pomnożenia bogactwa i pomyślności narodów, przez udoskonalenie przemysłu; a ku czemu i astronomia także, ułatwiając żeglugę i handel, wiele ze swój strony pomogła. Kolumb szukał tylko krótszej drogi do Indyj Wschodnich, mając w myśli, za pomocą spodziewanych ztąd bogactw, wykupić naprzód od niewiernych

grób Zbawiciela— a natknął się na niespodziany świat nowy.

Gdy więc tak poezya i gwiazdy były już po kolei na scenie; jakby dla zharmoniwania ich wzajem— wszedł mistrz harmonii, Hummel, prowadząc z sobą jeszcze jednego poetę, pana Riemera, któregośmy też wczoraj poznali. Nie słyszeliśmy dotąd nic o nim, ale mi Holtei powiada, że jest doskonały wersyfikator i nie uchodzi wcale za intruza na Parnasie niemieckim. Może mieć lat około 50, i bardzo jest miły w rozmowie. On i Hummel byli już w drodze do Göthego, który po przyjęciu oficjalnych wizyt i deputacyi rano, miał dopiero pojedynczych swych gości o południu zacząć przyjmować. A że już czas się ten zbliżał, wizyta trwała niedługo, i przypomniała mieszkańcom z „pod Słonia,” że się też trzeba było wybierać. Tymczasem, ponieważ w apartamencie naszym, (to jest izbie z dwóma łózkami), było wszystkiego pięć krzeseł, Adam przeto, przyjmując gości, musiał siedzieć na swoim, a ja z p. Wiktorem na moim łóżku. Ale przyznaj, że i sam Sokrates mógłby być kontent, widząc izdebkę swoją napełnioną podobnie, jeżeli nie koniecznie ścisłymi przyjaciółmi, to przynajmniej takimi ludźmi.

Było już po pół do pierwszej, gdyśmy stanęli u progu Göthego, spotkawszy mnóstwo wracających po drodze, którzy już swoje powinszowania złożyli.— Przez drzwi sieni, otwarte na oścież, blask słońca padał wprost na wyraz *Salte*, wyłożony mozaiką w podłodze. Adam wziął to za dobry prognostyk uprzejmych usposobień gospodarza. Jakoż, skoro

nas ujrzał wchodzących, z pośrodku koła mężczyzn, którym był otoczony, postąpił ku nam, podał rękę, i na króciutkie słowa życzeń, odpowiedział: „*Je vous remercie, Messieurs, je vous remercie sincerement.*” Poczém wmięszaliśmy się w tłum gości płci obojęd, ruszających się i napełniających salon w apartamencie samego Göthego. Na stoliku pod zwierciadłem leżały rozłożone różne roboty damskie i spory stos powinszowań piśmiennych, wierszy i listów, które dziś solenizant odebrał. Ale głównym przedmiotem ciekawości i rozmów był list króla-poety, to jest króla bawarskiego Ludwika, który koleją z rąk do rąk, zwłaszcza damskich, przebiegał, i który mi dopiero pani Teressa łaskawie do przeczytania podała. Zaczyna się od słów: „Panie Ministrze!”; wspomina o pamiętnej dla piszącego chwili, gdy sam przed dwoma laty dom Göthego odwiedził; życzy mu, aby stu lat doczekał, i prosi o przyjęcie na wiązanie załączającej się kopii nowo odkrytego starożytnego posagu, mającego wyobrazać jednego z synów Nioby. Kończy prośbą o wskazanie domu, gdzie Göthe mieszkał kiedyś bawiąc za młodu w Rzymie, dokąd i król się wybiera; „bo wszystkie najdrobniejsze rzeczy, tyżące się ludzi wielkich, są ważne.” Podpis: „*Ihr bewundernder Ludwig*” (podziwiający was Ludwik).

Posąg, o którym mowa, uwieńczony girlandą z kwiatów, umieszczony był na pięknej podstawie w przyległej sali biustów, wprost naprzeciw otwartych drzwi od salonu, aby go ztamtąd wszyscy widzieć mogli. Nikt jednak nie poprzestał na tém, i wszyscy

go kolejną oglądali z blizka. Davida, a i nas przy nim, sam Götthe zaprowadził ku niemu, unosząc się nad harmonijną pięknnością szczegółów i całości. Potém zaś, widziałem z daleka, jak sam znowu przystąpiwszy ku niemu, przypatrywał mu się z uwagą, ruszając przytém ręką i palcami, jakby w myśli z kimsiś rozmawiał. W ogólności dziś w nim więcej bez porównania niż wczoraj widać było ożywienia i uczucia; i kto wie, czy ten martwy posąg, bądź jako dzieło sztuki, bądź jako dar z ręki królewskiej, nie więcej go niżli żywi goście ożywił.

Przed drugą, my z Davidem wyszliśmy prawie ostatni. Damy tylko niektóre zostały; inne poszły się przebrać na obiad. Bo solenizujący dziś *Papa*, z samemi tylko damami obiadował u pani Ottilii, i najpiękniejsze tylko, obok najznakomitszych w Wejmarze, dostąpiły, jak mówią, tego zaszczytu. Wszyscy zaś bez wyjątku mężczyźni, biorący udział w dzisiejszym festynie, zebrałi się przed trzecią na składkowy obiad w oberży „*zum Erbprinzen*.” Cudzoziemcy tylko, jako goście w Niemczech, to jest David, Quetelet, p. Wiktor i my, zostaliśmy zaproszeni *gratis*, na koszt uprzejmych mieszkańców Wejmarskich.

Sala jadalna nie nazbyt obszerna. Stół i ściany ubrane w kwiaty i girlandy z liści laurowych. Osób musiało być przeszło czterdzieści. Ale jak ci opisać to właśnie, co składało główny charakter i niewypowiedziany urok téj biesiady; to połączenie razem wesołości i rozrzewnienia; to przejęcie się wszystkich jedném uczuciem, zjednoczenie się w jednéj myśli,

z zupełném zapomnieniem o sobie. Wszystko pośredniczyło tu zda się między zabawą a uroczystością świąteczną, jakby jaki wesoły religijny obrzęd domowy. Wszystkie inne, wspanialsze nawet i liczniejsze od dzisiejszój uczy, na których kiedykolwiek być mi się zdarzyło, mogłyby tylko posłużyć za dowód, jak często rzeczy najpodobniejsze z pozoru, jak np. obiad i obiad, różnić się mogą w istocie, jak niebo od ziemi, i jak nie samym chlebem, ale raczej słowem i duchem, człowiek się tylko nasycy i żyje prawdziwie. To téż i uczta dzisiejsza zaczęła się naprzód od słowa; a było niém przemówienie kanclerza Müllera, który, jako gospodarz fety, cel jój i znaczenie wymienił. Następnie, po każdój potrawie, szły kolejją: to pieśni, przy towarzyszeniu muzyki, to czytanie adresów lub wierszy, które delegowani z rozmaitych stron Niemiec dziś już rano solenizantowi złożyli. Pomędzy innemi, delegowany od uniwersytetu w Bonn, odczytał wiersz tamecznego profesora, sławnego Wilhelma Schlegla; z piosnek zaś, napisana i odśpiewana przez sąsiada mego u stołu Holteja, wydała nam się najlepszą i najżywsze obudziła współczucie. On sam tak był wzruszony, że ledwo się mógł wstrzymać od łkania; a wzruszenie to było powszechném. Pan August—ku któremu się wszyscy mówcy i śpiewacy, jako ku reprezentantowi ojca zwracali—przyjmował to z rozrzewnieniem prawdziwie synowskiém; i trzeba było nie mieć chyba serca, żeby ogólnego wrażenia nie dzielić. Przy uroczystym toaście, Adam i David, w stopniu cudzoziemców, przemówili każdy słów kilka, po francuzku,

które wdzięcznie przyjęte zostały. Kielichy krążyły obficie, i biesiada, z poważnej i uroczystej z początku, stała się w końcu wesołą i gwarną. Przed zaczęciem zaś jeszcze obiadu, my byliśmy powodem wesołości ogólnej. Pan kanclerz, jako gospodarz, uprzedził mię, że kartka z napisem nazwiska, przywiązana do krzesła, wskazuje każdemu z gości miejsce, które ma zająć u stołu. Aby więc wiedzieć wcześniej przeznaczone dla nas, obszedłem stół raz i drugi, ale z niemalém podziwieniem i ambarasem, nigdzie ani mojego, ani Adama nazwiska nie znalazłem. Adam także był nieco w kłopotcie, gdy mu to powiedziałem. Nie było więc innej rady, jak odwołać się do pana kanclerza. Ten również był tém zdziwiony, i zwrócił się z kolei do kogoś, któremu widać było to powierzóném. Pokazało się wreszcie, że zamiast nazwisk naszych, trudnych zapewne do napisania dla Niemca, były tylko kartki z napisem: *der Pole N. 1*, *der Pole N. 2*; i tak samo stało téż w rejestrze, z którym gospodarz hotelu zasiadł po obiedzie przy wyjściu, aby odbierać zapłatę od gości za wino, które kto sobie oddzielnie podczas obiadu dać kazał. My, jak to już powiedziałem, byliśmy wolni od wszelkiej opłaty; a i do głowy namby nie przyszło, aby sobie wino u stołu można było w ten sposób, extra składki, kupować. Ale ta okoliczność z kartkami dała właśnie ów powód do śmiechu; i na wieczorze potém, znajomsze damy nazywały nas żartem po numerze, pytając naprzód, kto był *Herr Eins*, a kto *Herr Zwey*?

Wieczór ten, a raczej *raut* balowy, z którego właśnie wróciwszy list ten do ciebie zacząłem, był u jednej ze znakomitszych dam Wejmarskich, pani Melos, a na który i piękne biesiadniczki, po obiedzie u solenizanta przybyły. Obiad ten miał być bardzo wesoły, a gospodarz w tak doskonałym humorze, że sam jeden, jako reprezentant płci swojej, wszystkie je dowcipem ubawił, a grzecznością i uprzejmością zachwycił. Wieczór też był bardzo liczny, świetny i ożywiony, ale nic na nim szczególnego nie zaszło. Odczytywano tylko wiersze i pieśni obiadowe, a Holtei, chociaż, jak sam wyznawał, ledwo się mógł utrzymać na nogach, odśpiewał jeszcze, na żądanie dam, piosnkę swoją, i powtórnie otrzymał oklaski. Toast za zdrowie solenizanta, spełniony doskonałym winem reńskim, jako narodowem niemieckim, przyjmowała w zastępstwie jego pani Ottilia, do której każdy przystępował z kielichem.—My znowu jutro obiadujemy u niej, a to jako satelity pana Quetelet, dla którego ma być właśnie ten obiad—*incognito*, jak nam zapowiedziała sama gospodyni: to jest złożony tylko z najbliższych miejscowych przyjaciół domu i cudzoziemców. Dla gości zaś niemieckich, których wszystkich na obiad sprosić niepodobna, a wybierać pomiędzy nimi nie wypada, będzie znów jutro *grande soirée* po Fauście.—I cóż ty na to wszystko, grykosieju?

Czy nam zajrzysz, stękając z pod trosk gospodarskich,
Tych biesiad poetycznych, i tych Muz Wejmarskich,
Co jakby przez Nazońską cud metamorfozy,
Wszystko w nas na *possis* przemieniają z prozy?

... jak niuch tabaki, z téj cię drzéi

XVIII.

Do tegoż.

Wejmar, 29 Sierpnia, 1829 roku.

Znałem jednego Jegomościa, który gdy miał przed sobą jaką pracę, lub nawał pracy, a czuł że to siły jego przechodzi, okręcał głowę chustką i naprzód kładł się spać. Czynił zaś to, jak mówił, dla tego, aby uspokoiwszy myśli, zalęknione ogromem, po szczególności mógł potem do roboty przystąpić. Jeżeli kiedy to dzisiaj, powinienbym, gdybym miał rozum, naśladować dobry ten przykład; nie dla tego że mię sen morzy, i że kogut już, słyszę, śpiewa gdzieś „*pod Słoniem*”; ale że przedmiot, o którym chcę pisać, tak dalece siły moje przewyższa, że tą chyba tylko metodą dotknąć się go mogę ośmielić.—Przedmiotem tym albowiem jest Göthe. Stoi on dziś nademną jak Kolos Rodyjski, jedną nogą na *Prawdzie*, (jak sam w swych Pamiętnikach rzeczywiste swoje życie nazywa), drugą na *Poezyi*, to jest na swych dziełach oparty; a biedne myśli moje, jak wiatrem wzruszone fale, mącą się i wirują u stóp jego, nie mogąc ani go jasno odbić w sobie, ani zmieścić. Tyle dziś bowiem nowego dowiedziałem się o nim rano od Holteja; tyle myśli ciśnie mi się do głowy po dzisiejszém przedstawieniu Fausta; a to wszystko tak się jakoś wiąże i spaja w jedno przez to, co sam dziś także z własnych

ust jego słyszałem;—że czuję, jak od uwielbiania ryczałem, pchnie mię coś gwałtem do analizy. nad nim—choć się sam sobie opieram jak mogę, i sam sobie wyrzucam tę śmiałość. Dotąd patrzałem nań tylko jako na poetę, na arcy-mistrza w sztuce, na potentata w rozumie—i z głębi przekonania wołałem na kolanach: „wielki wielki wielki!” Teraz szukam— w poecie, wieszczu; w mędrca, idei i prawdy; w człowieku, serca i ducha. Szukam tego, co widzę i czuję w Adamie; i—i tak mi się ćmi przed oczyma, taki w głowie zawrót i zamęt, że—broń Boże, nie wyrokując stanowczo—sam sobie tylko zadaję pytanie, dla czego i pod temi względami, czuję, że nie mogę sumiennie powiedzieć o nim tego samego, co dziesięć razy na dzień myślę o Adamie? Czyżby i w nim, jak w owym Rodyjskim Kolosie, w głowie tylko paliło się to światło, co jużciż daje widzieć jego olbrzymią wysokość, ale oczu patrzących nie podnosi wyżej? Czyż to tylko ziemski latarnia, choć najwyżej nad ziemią wzniesiona, ale nie światło zstępujące z góry? Sam sobie jeszcze na to odpowiedzieć stanowczo nie umiem, a więc nic i tobie nie powiem. Nie chcę ciebie częstować kwaśnym fermentem mych myśli, sam jeszcze nie wiedząc z pewnością, co się z niego wyklaruje na końcu. Ale muszę ci opowiedzieć to wszystko, co dziś we mnie pobudziło ten ferment; wrażenie zaś, jakie to sprawi na tobie, i o którym nie zapomnij napisać, doda mi może—drożdży albo chmielu, co tam np. u ciebie w browarze odchód czystego piwa albo spirytusu przyspiesza. Adam bowiem, jakby

na przekór, nic a nic dopomóż mi w tém nie chce; ani potakuje, ani przeczy. A jednak *Faust* i jemu, jak widzę, musiał dać jakiś orzech do zgryzienia. Ledwośmy wyszli z teatru, zapytałem go zaraz: „No, jakże?”—Czy nie słyszał, czy słyszeć nie chciał—dość, że nie odpowiedział ani słowa. Nie mogłem więc wytrzymać, i zacząłem swoje. Przez całą drogę z teatru na wieczór, słuchał, ale sam milczał jak ściana. To mię skonfundowało nieco i ostudziło w ferworze. A jednak, gdy go Göthe zapytał o wrażeniu, jakie odniósł z przedstawienia na scenie Fausta, który dla niej bynajmniej przeznaczonym nie był; on, unosząc się nad pojedynczemi scenami, ani słowa o całości nie wspomniał. I musiało to widać uderzyć Göthego, bo patrzył nań przenikliwie, jak gdyby czegoś jeszcze oczekiwał więcej—i o nic już dalej nie pytał. A i mnie sceny oddzielne porywały i zachwycały niezmiernie. Śmiałem się do rozpuku z zalotów Marty do Mefistofelesa; a scena Fausta z Gretchen w więzieniu, tak mię okropnie wzruszyła, że mimo wstydu i wszelkich usilności, (gdyż byłem wtedy w łoży państwa Vogel), nie mogłem wstrzymać—nie to łez, ale co gorsza, głośnego chlipnięcia, które mi się jak na złość gwałtem z piersi wyrwało. Pani Terresa nie miała nic pilniejszego, jak zaraz na wieczorze powiedzieć o tém Göthemu; co mi zjednało tak wdzięczne jego spójrzenie i uśmiech, i nakoniec rozmowę—(nie o Fauście bynajmniej, lecz o klimacie u nas i we Włoszech; o wrażeniu, jakie ten klimat sprawił kiedyś na nim, i sprawiać musi na każdym,

przybywającym z północy); że ta sama uprzejmość i dobroć, przyczynia się także nie mało do dzisiejszego fermentu mych myśli. Czuję dlań bowiem w sercu osobistą wdzięczność; a jednak, tak zły jestem na Fausta za Gretchen, a za Fausta na niego, że go nie mogę kochać, jakbym pragnął—jak wczoraj nawet jeszcze kochałem.

Ale przechodzę do szczegółowej relacji o dniu dzisiejszym, którą ci już zapowiedziałem wyżej.

Ledwośmy byli ubrani, wszedł znowu naprzód David, aby skończyć ostatecznie sylwetkę, a tuż w ślad za nim jakiś mały człowieczek z ogromną hiszpanką, który wręczył Adamowi bilecik. Adam przeczytał i zaczerwienił się cały. Domyślałem się, że już ciż z radości; bo był to własnoręczny liścik od Göthego, w którym prosi, aby posyłającemu się malarzowi pozwolił zdjąć dla niego swój portret; „gdyż chciałby—słowa są listu—mieć tak interesującego gościa w kolekcji swojej.” Ma zaś ją bardzo liczną, jak powiedział malarz.—David oświadczył, że mogą oba razem robić każdy swoje. Usadowili więc Adama na krześle, jak pannę młodą do trefienia włosów, a sami przy stoliku naprzeciw, jeden go lepił, a drugi rysował. Patrząc na to, przyszedł mi koncept, którego że nie śmiałem wypowiedzieć przy nich głośno po polsku, napisałem go więc na kartce i położyłem przed nim na stoliku. A był to taki czterowiersz, parafraza z wiersza jego do pana Joachima:

Fizys twoja wybiega za Chrobrego szranki,
Między Teutońskie sędzie i bystrzejaze Franki.

A jak się z tego serca uradują bratnie,
Radość moja najpiérwsza świadczy—choć prywatnie.

Przeczytał nie biorąc do ręki, i śmiejąc się położył palec na ustach. Żeby więc nie przeszkadzać artystom, poszedłem do sąsiada Holteja.

Tu rozmowa o panu Augustcie, z którym Holtei, jak mówi, jest w ścisłej przyjaźni. Potwierdził on, co mi się zawsze zdawało, że jest to wcale rozumny i uczony człowiek. Holtei nawet dodaje, że miałby niepospolitą zdolność i ochotę do poezyi, gdyby się nie obawiał jak śmierci, aby go nie stawiono obok i nie mierzono na skalę jego ojca, którego wielkość czuje i uznaje; i dla tego to, przez excentryczność, woli raczej brać na się całkiem odmienne pozory. Lecz nie w tém tylko jedném—jak się wyraził Holtei—stało się nieszczęściem dla niego, że się urodził synem swego ojca. Despotyczny wpływ jego i charakter, w najważniejszych epokach życia, sparaliżowały samoistność syna. W piérwszej młodości pan August kochał się w jakiejś młodej i pięknej Wejmarce, lecz że ta była z mieszczańskiego rodu, ojciec nie pozwolił mu się z nią żenić, a ona, w skutek tego, jak mówią, sama sobie odebrała życie. W r. 1813, podczas wojny z Napoleonem, gdy cała młodzież niemiecka zaciągała się pod chorągwie, pan August chciał toż samo uczynić; ale ojciec, bojąc się o jedynaka, nie dopuścił mu tego, wyjednawszy dlań urząd cywilny i wyraźny w tym względzie rozkaz W. Xięcia, który był przytém jego ojcem chrzestnym. Obie te okoliczności, jak powiada Holtei, wywarły stanowczy

wpływ na excentryczne odąd usposobienie pana Augusta; ostatnia zaś obudziła w nim właśnie to posunięte prawie do przesady uwielbienie dla Napoleona, z którym tak głośno oświadczać się lubi. Mimo to, jest on wszakże najlepszym mężem dla żony, a najprzywiązańszym i najuległym synem dla ojca; i to tak dalece, że codzień zdaje przed nim jakby rachunek sumienia ze wszystkich nie tylko czynów, ale uczuć i myśli swoich. Pani Ottilia, dla której Holtei także jest z wielką czcią i uwielbieniem, pochodzi ze znakomitej szlacheckiej rodziny *Pogwisch*, a po matce jest wnuczką jakiegoś hrabiny, której nazwiska zapomniałem, ale która niedawno jeszcze, aż do śmierci, wiodła rej w towarzystwie Wejmarskiem. Sam pan August nie jest bynajmniej synem jakiegoś kucharki, jak nam to kiedyś powiadano w Warszawie; owszem, matka jego miała się odznaczać nie tylko samą pięknnością, ale też i niepospolitym, chociaż nie naukowo wykształconym rozumem; czego zresztą i to już dowodzi, że Göthe, sławny niegdyś z niestałości w miłościach, dotrwał w wierności dla niej przez lat dwadzieścia kilka, aż nakoniec z nią się ożenił. Miłość jęj i poświęcenie bez granic, z jakim zawsze była dla niego, ściągnęły na nią naprzód nazwę *niewolnicy*, która się potem przekształciła w *kucharkę*. Nazwisko jęj było: Krystyna Vulpius; ojciec jęj był ubogim bakałarzem, a brat jest autorem słynnego romansu: *Rinaldo Rinaldini*, który nas tak w szkołach zachwycał. Ona zaś sama, jak powiadał Holtei, jest właśnie heroiną owych *Elegii Rzymskich*, które

pan August u mnie po raz pierwszy obaczył; i teraz dopiero rozumiem prawdziwą przyczynę, dla czego nie tylko sam ojciec, ale i nikt inny w Wejmarze do czytania dać mu ich nie mógł.—Nie podobało mi się to wszystko; a zestawione obok z miłością Gustawa w *Dziadach*, a bardziej jeszcze z samym ich autorem, szali sądu mojego o ideale poety-człowieka nie przechyliło bynajmniej na stronę kochanka Krystyny i autora *Elegii Rzymskich*.

Wrażenie to czysto-psychiczne, utwierdziło się we mnie i czysto-plastyczném, przy porównaniu skończonój już nareście sylwetki Adama, z kończącym się téż kolosalnym biustem Göthego, który dziś David nam pierwszym, idąc na obiad, pokazał. (Robi go bowiem w pokoju Göthego, od którego klucz ma przy sobie). Podobieństwo uderzające; czerwona zaś i nie dość jeszcze wygładzona massa, tém wyraziściej uwydatnia rysy i ogólny charakter fizygnomii. Dodać tylko orła czy piorun, a będzie to najdoskonalszy wizerunek: Jowisza, Perkuna, Odyna—dość że zawsze jakiegoś pogańskiego bożyszczka; taki majestat w czole, ale téż takie zimno i surowość w twarzy, nie ożywionój ruchem, ani choćby sardonicznym uśmiechem, który ją w żywym oryginale łagodzi przeciwieście nieco i ogrzewa. A wpatrzże się w sylwetkę Adama, która tak téż podobna, jak dwie krople wody! Gdyby David chciał kiedy zrobić Geniusza poezyi nowożytnój—nie Apollina—nie miałby już potrzeby szukać modelu w obłokach. Dość byłoby dać w rękę pochodnię czy lutnię, a i rysy i wyraz twarzy mógłby śmiało kopi-

jować z sylwetki. Wprawdzie i z fizygnomii Szyllera wartoby może było wziąć niektóre wzorki. Tylko że Adam młodszy i piękniejszy; i jeśli brak w nim może téj spokojnej, melancholijnej słodyczy, która jest tłem twarzy Szyllera; to za to jest coś więcej jakby wznioślejszego, coś jakby więcej uduchownionego, co właśnie, i najbardziej pociąga ku niemu. Pochodzi to może ztąd, że w rysach jego, jak i w nim samym, nie widać dotąd śladu tych powszednich trosk ziemskich, z którymi Szyller całe życie walczył, i które się nakoniec w twarzy jego wyryły. A kto wie, czy i inna rasowość, albo wpływ innych uczuć i idei, nie przyczyniają się także ku temu? Bo i pod tym też względem, jak naprzód przy obiedzie, tak potem na Fauście, i teraz, kontynuuję wciąż w myśli moje porównanie Adama z Göthem— i zawsze wypadek ten samy.

U stołu cała rozmowa, którą głównie sam Göthe z p. Quetelet zagajał, toczyła się prawie wyłącznie o naukach przyrodzonych. On sam mówił, że to jest przedmiot najinteressowniejszy dla niego, i byłby nim powinien dla każdego myślącego człowieka: bo go nikt nigdy ani ostatecznie zgłębić, ani całkiem wyczerpnąć nie może: „*La nature a l'attrait et le charme de l'Infini.*”— „Trzeba być tylko konsekwentnym w szukaniu, a natura nie zawiedzie nikogo.”— „Skarby natury, są to skarby zakłete, które nie rydel tylko, ale słowo otwiera.”— „Kiedy myślę o tych wszystkich nowych odkryciach i wynalazkach, które w ciągu życia mego zrobiono, i których się powoli

nauczyłem: lituję się nad młodymi, którzy tego wszystkiego w lat kilka nauczyć się muszą. Prawda, że jest też lepsza i metoda uczenia.”—„Byłem często w sporze z naturą, *mais j'ai fini toujours par lui demander pardon.*”—„Kiedy dysputuję z człowiekiem, nigdy całkiem pewny nie jestem, kto z nas ma rzeczywiście słuszność; *mais en disputant avec la nature, je sais d'avance, que c'est elle qui a raison.*”—Oto masz kilka aforyzmów Göthego, które sobie przypominam na prędce. A jeśli cię w nich uderza to ciągle tylko wspomnianie natury; to cóż powiesz, że było tego najmniej razy dwieście, a słowa *Bóg* ani razu. Jakby sama natura była wszystkiem dla wszystkich; alfa i omega dla siebie; stworzycielką swoją i Bogiem. A więc to jest ów panteizm, o którym, Bogu dzięki, ze słychu dotąd tylko wiedziałem—a i słyszałem z ust takich tylko ludzi, którzy nie obudzali we mnie przekonania, iżby je sami mieli rzeczywiście, albo nawet rozumieli dobrze, co mówią, kiedy ich drudzy zrozumieć nie mogli! Ale dzisiaj to co innego! Wszystko, co Göthe mówił—a nawet czego nie domówił—to jasno. I ta to właśnie jasność, jak zimowa pogoda, tchnęła na mnie tak mroźnym, przeraźliwym chłodem, że nawet promienie spójrzeń pięknej mojej sąsiadki u stołu, zmykały mi się po sercu, jak blask słońca po śniegu, kiedy go roztopić nie może. I spoglądałem ciekawie na Adama, aby odgadnąć z twarzy, co też myśli? Ale on siedział nasepiony i milczał. Ciekawy byłbym bardzo, czy sobie o Oleszkiewiczu nie wspomniał? Tymczasem zaś wi-

ły mi się w pamięci wiersze jego z *Dziadów*, które Gustaw z ironią powiada:

„Więc żadnych nie ma duchów? Świat ten jest bez duszy?
Żyje, lecz żyje tylko jak kościotrup nagi?
Albo jest to coś nakształt wielkiego zegaru,
Który obiega popędem ciężaru? i t. d.”

Ale czyżby taki człowiek jak Göthe, miał lub mógł rzeczywiście nie czuć i nie wierzyć, że musi być gdzieś przecie „*Kto zawiesił wagi?*” Lub czyżby się i do niego dało zastosować:

„Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce,
Nie znasz prawd żywych—nie obaczysz cudu?”

Ja przynajmniej stosuję jak najmocniej do siebie:

„Czucie i Wiara silniej mówią do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.”

Choćby nawet takiego mędrca jak Göthe.—I dla tego też patrząc na niego i na Adama razem, podziękowałem w myśli Panu Bogu, że i pod tym względem wieszcz nasz różni się od niemieckiego Tytana.

A cóż ci teraz jeszcze mam powiedzieć o Fauście?—Boję się nawet ciebie, abyś mię nie posądził o porywanie się z motyką na słońce. Pamiętam, ile to razy rozpływaliśmy się w admiracjach nad nim! Aleśmy zawsze tylko czytali pojedyncze sceny lub miejsca; a ja i teraz powiadam, że poetycznie tylko rzecz biorąc, wszystkie szczegóły są przedoskonałe. Ale jest to coś nakształt dzisiejszej rozmowy u stołu.

We wszystkich pojedynczych myślach i twierdzeniach, zdaje ci się, że czujesz prawdę. Tylko, że jak z całego toku téj rozmowy, tak po raz piérwszy dopiero z przedstawienia na scenie Fausta, pojąłem dobrze i ogarnąłem całość myśli—i to właśnie sprawiło na mnie najprzykrzejsze wrażenie. Bo naprzód pytam sam siebie: Co to jest? Czy satyra? czy ironia? czy uragowisko? I z czego? Czy tylko ze szkolnej mądrości, a światowej burszeryi niemieckiej? czy i z odwiecznych moralnych praw i prawd całej ludzkości; z jéj uczuć i wyobrażeń; z jéj tradycyi i dążeń? Bo Faust, to nie tylko osoba, ale jakby symbol idei. Intencya ta jest widoczna—a więcże tendencya jaka? Szukał mądrości—doszedł do rozpacz; szukał szczęścia—doszedł do zbrodni. Prawda, że w tém djabeł rej wiedzy. Ale gdzie jest—jeśli już nie w samym bohaterze, to choćby w czyjémkolwiek sercu lub sumieniu—gdzie jest choć jedna myśl, choć jedno poczucie, choć jedno słowo o drodze innej, na której ludzie szukający mądrości, znajdowali przecież prawdę i pokój; po której miłość prowadzi do cnoty, a cnota znowu do pokoju i szczęścia? Faust djabłu zapisuje duszę, byle mu zjednał jedną chwilę taką, którejby on przedłużenia zapragnął. A gdzie jest choćby jedna wskazówka, w czémby podobna chwila znalazioną być mogła? coby sercu to zadowolenie przyniosło? Czemu poeta nigdzie nie ostrzeże widza, że Faust idzie drogą fałszywą? Powiesz, że widz to każdy sam przez siebie spostrzega, i że w tém właśnie jest doskonałość dramatu i dramaturga. Zgodzi! Ale

co widz ma myśleć o samym dramaturgu? Co on chce? co myśli i wierzy? Czy że jest przecież jaka inna droga, czy że jój nie ma dla ludzi? Czyż człowiek każdy, jak Faust; czyż ludzkość cała, jak Gretchen; mają być tylko igraszką i ofiarą szatana? Bo kiedy szatan działa tak widomie, czemuż nigdzie ani cienia przelotu, ani powiewu skrzydeł jój Anioła-Stróża? Że ona sama modli się zrozpaczy, to może mieć tylko znaczenie, że hołduje gminnym przesądom, które w dobrej wierze podziela, ale które jój ani sił żadnych, ani żadnej opieki nie dają. To téż w scenie ostatniej, ten głos z góry—niewiadomo czyj?—który na tryumfujący wykrzyk Mefistofelesa: „*Sie ist gerichtet!*” (Ona jest osądzona), odpowiada stanowczo: „*Sie ist gerettet!*” (Ona zbawiona);—głos ten brzmi jakoś dziwnie, jak ton oderwany, nie związany z żadnym poprzednim, i nie wiedzieć z kąd przychodzący. Bo któż ją sądzi? kto ją zbawia? kiedy o żadnym sądzi ani Zbawcy, o żadnym sądzie i życiu po śmierci, ani wzmianki w całej sztuce nie było? Faust zaś w tém swoim *Credo*, które wypowiada przed Gretchen, czyż nie najdobitniej wyraża, że Bóg jest to tylko uczucie, które człowiek ma czerpać z natury; a wszelkie imię—a więc i osobowość—jest tylko *dźwiękiem marnym* i *dymem czarnym*, co mu światło niebios zaciemnia? Cóż więc znaczy właściwie ta scena ostatnia? Czy jest to tylko artystyczny środek, dla artystycznego efektu? czy ostatnie słowo zagadki, którą natenczas będzie cała sztuka? Bo w głosie tym, wołającym z góry, chcąc możnaby dosłyszeć ca-

ły szereg myśli, jak np. „Jest świat drugi, jest sąd, jest nagroda i kara, jest nieśmiertelność i wieczność. Że zapomniawszy i nie myśląc o tém, szukałeś mądrości dla pychy—popadłeś w rozpacz i w moc złego ducha. Że zapomniawszy i nie myśląc o tém, szukałeś szczęścia w upojeniu zmysłów—wpadłeś sam i wciągnąłeś do zbrodni istotę, która w ciebie—jak ty w nikogo—uwierzyła przez miłość. A patrzyła ona jednak zbawiona. A więc cóż ją zbawiło? Jój boleść, jój żal i pokuta!”—Wszystko to można pomieścić i wszystko dosłyszeć w tym głosie. Ale czy sam poeta to myślał? Na to już chyba kiedyś odpowie nam druga część Fausta, nad którą Göthe od lat wielu pracuje, a która—jak tu słyszę—ma być składem i ostatecznym wyrazem jego moralnych i religijnych przekonań. *Qui vivra, verra*. Godzi się wszakże wątpić, czy Mefistofel—z którym Faust znika z więzienia w końcu części pierwszej, a więc z którym zapewne rozpocznie i drugą;—czy mu diabeł da wejść na drogę, którą mu przykład Gretchen wskazuje? albo, czy sam wyznawca natury nie wyjdzie dlań jakich dróg nowych, na którychby i zakład jego z djabłem mógł się rozwiązać, i on sam, podług legendy, nie poszedł przecież całkiem do piekła?—Tymczasem dzieło to, jak jest dzisiaj—aczkolwiek arcydzieło sztuki — smutne i przykre, powtarzam, sprawiło na mnie wrażenie; a to mianowicie dla tego, że z djabła chyba tylko i spraw jego, człowiek chrzczony domyślać się w niem może, że i Pan Bóg być gdzieś musi na świecie;—nie mówiąc

już o drukowanym prologu, w którym sposób wprowadzenia Jego osoby, i ton rozmowy z Mefistofeilesem, omal że nie na bluźnierstwo zakrawa. To też gdyby kto u nas pisał *Twardowskiego*, przysiędźby można z góry, iż byłby go pojął inaczej; lub gdyby Faust był naprzód napisany po polsku, możnaby również wykonać jurament, iżby nam nie przypadł do serca, tak jak go dziś na słowo Niemców, czytając lub nie czytając, wielbimy—od nas samych naprzód zacząwszy. I rzecz to zresztą bardzo naturalna. Inaczej przy mierzamy odzież własną a cudzą. Tu dbamy jak przystaje, i czy nas nie ciśnie; tam obchodzi nas tylko ciekawość, jakim kształtem skrojona i szyta. Idąc do zboru na niemieckie kazanie, nie idziemy jużćić po naukę wiary, ale chyba dla słyszenia wymowy. Otóż i Faust jest dla nas jak owo niemieckie kazanie. Nie stosujemy go do siebie, ale się sami dostrajamy do niego. I czynimy to bardzo słusznie, gdyż dopełniamy właśnie głównego warunku zrozumienia poezji obcej, co sam Göthe tak cudnie wyraził, mówiąc:

„*Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichter's Lande gehen.*”

Kto poetę chce zrozumieć,
Iść w kraj jego musi umieć.

albo:

Kto poetę pojąć rad,
Musi iść z nim w jego świat.

Ale główna korzyść podróży po cudzych, zależy, mówią, na tém, ażeby kraj własny nauczyć się przez

porównanie lepiej znać, cenić i kochać. Nie darmo więc podróżuję, jak widzę, bo już dzisiaj, przez porównanie z Göthem, więcej jeszcze pokochałem Adama.—Bądź zdrow.

Post-Scriptum, 30 Sierpnia, godz. 5 rano.

Całą noc nie zmrzyłem oka. Kusiciel Fausta i Tukaja osiodłał mię widocznie i dręczył jak zmora. Bo gdyśmy się już położyli, rozwiązał się nakoniec język Adama o Fauście. Zrazu cedził słówko po słówku, ale potem popłynęło jak rzeka. Dwa razy wstawałem w pociemku, aby nałożyć mu fajkę i wykrzesać ognia; a to, aby sam wstawszy nie popsuł sobie humoru i rozmowy nie przerwał. W ogólności nieraz już zauważałem, że gmeranie w ujemnych stronach, czy ludzi, czy rzeczy, jest dla niego rzeczą nieznośną. Wybuchnie czasem, zgromi, i daje pokój; albo też nasepia się tylko i milczy. Zaczęło się od moich uwag. Adam nie zbija zarzutów z mego punktu widzenia; ekkuzuje tylko Göthego, że nie ma w nim nigdzie téj napastniczéj, anti-religijnéj dążności, która tchnie w innych pisarzach przeszłego wieku, a jest tylko zobojętnienie religijnego pierwiastku.— (Nie osiemnaście, ale dwadzieścia bez dwóch!)—Ale dajmy już temu pokój! Ja nie jego spowiednik, a on sam za siebie odpowie.

Adam, na zapytanie moje, czemuby nie pomyślał o napisaniu „Twardowskiego?”—odpowiedział śmiejąc się, że wiele razy istotnie przemyślał nad tém, zwłaszcza kiedy był w wesołym humorze. Bo jakby

na sprawdzenie wczorajszej myśli mojej, Twardowski nasz, według jego planu, musiałyby być przez pół jowialnym—jeżeli nie on sam, to przynajmniej poemat o nim. Jowialność ta zaś mianowicie mogłaby być w ustawicznych kłopotach djabła o duszę swojego pupila, która mu się co chwila chce wymknąć; to jest, że ulegając wszelkim pokusom, które mu djabeł podsuwa, i brojąc złe na wszystkie strony, działa on zawsze tylko z fantazyi, z junakieryi i lekkomyślności, ale pomimo wszelkich usiłowań djabła, nigdy się nie da doprowadzić do tego, aby czynił złe ze złej woli, z wiedzą i zamiłowaniem złego, choćby nawet dla dogodzenia sam sobie. Chce on tylko tego jednego: módz wszystko i robić wszystko, co mu się podoba, bez żadnej innej pracy, prócz zachcenia;—i dla tego jedynie zapisuje się djabłu. Tymczasem na każdym kroku spotyka się z kimś, albo z czémś takim, co go ku dobremu pociąga; i djabeł musi wysilać się na sztuki, aby go wnet od tego odwrócić—co mu się też bez trudności udaje. Największy jednak ma kłopot ze szczerą i niezachwianą w nim miłością matki, (choć ją sam wciąż bezwiednie dręczy i zabija), i w ogólności z Polkami. Bo co go pokusi przez którą, to zaraz w każdéj znajduje się jakiś pierwiastek, który go na dobrą drogę nawraca; tak, że djabeł musi nakoniec sprowadzić jakąś Paryżankę na dwór królewski w Krakowie, aby się już z téj strony całkiem zabezpieczyć. Ale i na innych punktach toż samo. Twardowski, póki broi, nie uważa na nic; ale jak tylko skutek swoich brojeń zobaczy, przeraża się i zaczyna żałować.

Bojaźń srogości ojca, który go czeka z kańczukiem, i surowość xiędza Regensa, który go straszy djabłami i za figle wypędza z konwiktu, nasuwa mu pierwszą myśl szukania pomocy u djabła. Przez junakieryą podpisuje cyrograf. Ale się zawsze w gruncie boi Pana Boga, jak ojca; a nie śmiąc Mu, jak ojcu, nawijać się na oczy i sam wprost udawać się do Niego, akkomoduje się skrycie w głębi serca Najświętszej Pannie, jako matce, skarbiąc sobie jój łaskę w potrzebie. A że jest przytém poetą—spotkawszy więc raz, jadąc na łowy, kwestarza, któremu jego charty, z poduszczenia djabła, wydusiły barany: obiecuje mu na przeproszenie napisać Godzinki, i ciągle do nich w myśli powraca, ilekroć lepsze uczucie w sercu jego zaświta. To więc jest drugie udręczenie szatana. Trzecie ma w życiu jego publiczném. Twardowski robi wszystko, co mu djabeł podszeptnie, ale zawsze w tém przekonaniu, że co on chce, to będzie najlepiej. Krzyczy, wicherzy, przeszkadza, i psuje to wszystko, co rozumni dobrego chcą zrobić; ale ledwo złe skutki spostrzeże, gotówby się upamiętać po szkodzie, gdyby go zaraz djabeł nie pokusił na nowo. Ale i djabłu nakoniec brak konceptów i cierpliwości; tém bardziej, iż zaczyna postrzegać, że Twardowski, zamiast brnąć z wiekiem w egoizm i pychę, wytrzeźwia się owszem coraz widoczniej z fantazyi i szału, i tylko względem niego staje się butniejszym. Nie czeka więc już na przyjście złej woli, i postanawia porwać go podstępem, nim się całkiem z płocności wyleczy. Ale i tu przerachował się djabeł. Twardowski uznawszy podstęp,

używa praw słusznój obrony. Porwał dziecko, i zasłania się niewinnością jego. A choć wręście, przez punkt honoru, dla dotrzymania *verbum nobile*, siada na koń, aby jechać z djabłami:—wprzód jednakże kończy Godzinki, które téż pod słowem szlacheckim kwestarzowi napisać obiecał;—i skutkiem tego wszystkiego, nie idzie wprost na potępienie, ale jak chwiał się tylko między złem a dobrem, i ani do złej woli, ani do skruchy nie doszedł; tak zawieszony w powietrzu, pomiędzy życiem a śmiercią, pomiędzy niebem a piekłem, oczekuje na sąd ostateczny.

Oto jest główna osnowa, na tle której, jak Adam powiada, dałyby się łatwo pomieścić wszelkie najrozmaitsze obrazy z obyczajów i życia naszego. I opowiedział mi przytém parę scen sejmikowych, to jest parę figlów szatańskich, tak śmiesznych, że się do łez prawie uśmieiałem. Ale on tego wszystkiego pisać wcale nie myśli; i śmiejąc się, przystał na porównanie siebie z Wallensteinem Szyllera, który dla tego tylko planuje to i owo, nie mając zamiaru wykonać, aby przez to moc swoją poczuwać, jak sam to wyznaje, mówiąc:

„*Es macht mir Freude, meine Macht zu kennen.*”

(Rozkosz mi sprawia, poczuwać moc moję).

Gdy go zaś zapytałem, czemu przynajmniej nie dokończy *Tukaja*?—przyszła mu nagle fantazya, ażebym ja go dokończył, wywdzięczając się za dokończenie przezeń: *Panicza i Dziewczyny*. I tak nakoniec przylgnął do téj myśli, że i ja, po niejakiem oporze skromności panieńskiej, musiałem wziąć ją do serca, i z téj właśnie przyczyny zasnąć już nie mogłem.

Trzy próby: *ciekawości, łakomstwa i trwogi*, któremi Tukaj, w skutek poprzedniego swojego syllogizmu, przyjaciół swoich doświadcza, dał mi on już ułożone w treści; ale zwierszujże je i zharmonijuj z tonem części pierwszych; a gorzej jeszcze, wymyślże ostatnią, o której Adam ani wiedzieć nie chce! Kłębi mi się to w głowie i dusi jak dym, a nie mam nawet czasu, aby się w nim rozpatrzeć; bo punkt o szóstą, to jest za pół godziny, jechać mamy z Davidem i panem Wiktorem do Jeny, dla obejrzenia pola sławnej bitwy. A i miasto też warte widzenia, jako stolica głośnego na cały świat uniwersytetu. Rektorem jego jest historyk Luden, u którego także być mamy. Zabawimy więc pewno dzień cały; za powrotem zaś czeka nas wielki wieczór u państwa Peucer, na którym po raz ostatni obaczymy i pożegnamy—na zawsze, całe miłe towarzystwo Wejmarskie, które nas tak serdecznie przyjęło, i tak się samo nawzajem w sercach naszych odbiło. „*Tout passe, hélas!*” jak wzdycha lamentujący Lamartine.

Ale po co czczy lament?
Życie wiatrem przemija,
Lecz jak w morzu firmament,
Przeszłość w duszy odbija.
Dość więc niech się chwil w życiu
Co gwiazd jasnych rozpali:
Jak po gwiazdach w odbiciu
Płynąć będziem w świat dalej.

I puszczamy się ztąd w tę żeglugę po jutrze.— Ale jeszcze będę pisał do ciebie.— Tymczasem, *Leb'wohl!*

XIX.

Wejmar 1829, Sierpnia 31, rano.

Pamiętasz wykrzyknik Kapki w *Poecie i Od-ludkach* Fredry:

„O! wiersze, wiersze! jaktem przez was dziś zgubiony!”

Ale czyż się mogłem spodziewać, że i ja kiedyś równie będę wiersze wyklinał, i to z tego samego powodu co Kapka, to jest, że jak on, z łaski wierszy, i ja też wczoraj nabrałem się wstydu.

W chwili, gdyśmy już mieli siadać do powozu, przyszła mi raptem pierwsza nuta i pierwszy wiersz Tukaja: poczułem przebieg iskry elektrycznej, i nastawiłem ucha na dalsze. Aż tu jak na złość, pan Wiktor rozpoczyna ze mną gawędę. Odpowiadam cedząc przez zęby; a czuję, że złość mnie bierze, i że odpowiadam bez sensu. Kiedy zaś to widoczne roztargnienie moje dało powód do różnych prześladowań i żartów Davida, którym Adam po swojemu wtórował, zacząłem się wstydzić na dobre. Bo jużciż nie mogłem powiedzieć, co się w głowie mojej przewraca, żeby się więcej jeszcze nie narazić na śmieszność, a wiersze, jak na przekorę, wyrastały wciąż w myśli, jak grzyby. Szczęściem wpadłem na koncept, żeby się wywinąć, i udawszy, że mi niedobrze, i że nie mogę siedzieć plecami do koni, przesiadłem się na kozieł z furmanem. Ale było to z deszczu pod

rynnę. Furman widząc że milczę, a ruszam ustami, wziął mię widocznie za warjata, i z podziwieniem wpatrywał się we mnie. Znów więc wstyd, i znowu kłamstwo. Powiedziałem, że mówię pacierze. Uspokoiło to Niemca, który owszem spójrzył na mnie łaskawie; lecz za to we mnie samym obudziło zgryzołę, że chociaż to była niedziela, ja o pacierzu istotnie całkiem byłem zapomniał. Chciałem się więc jako tako poprawić;—ale i tu ta sama pokusa. Wiersze jak płot wpoprzek pacierza! Prawdziwa sztuka szatańska! tém bardziej, że i rzecz o szatanie. Żegnam się nieznacznie pod płaszczem—ale i to nic nie pomaga. Ja swoje, czart swoje; i nakoniec przy nim wygrana. Bo widząc, że pegaz wziął na kieł, musiałem przyspieszyć do *amen*, i popuściłem mu cugle. Kopnął, jak to mówią, z kopyta, i gdyśmy wjeżdżali do Jeny, on także stanął u mety. Koniec trzeciej części Tukaja—ale nie moich kłopotów z wierszami! Jak tu ich tyle spamiętać?—a zapomnieć już byłoby szkoda. Żebyż choć raz przedeklamować głośno—choć w pół głośno! Ale cóżby to było, gdyby kto posłyszał?—Ledwośmy więc wysiedli w oberży, wymknąłem się sam na ulicę. Miasto obce, ulica pusta—zdaje się więc, że być mogę swobodnym. Gdzie tam! Nie uszedłem stu kroków, aż tu trzech akademików przedemną. Zatrzymali się i spoglądają—rychtyk tak jak furman na koźle. Zrozumiałem, niestety, o co idzie, i radbym się schował pod ziemię. Ale—*bonne mine à mauvais jeu!* i żeby przecież nie ująć za manijaka—przystępuję wprost ku nim; i—, *Verzeihen Sie,*

meine Herren.” zaczynam od oświadczenia, że jestem cudzoziemiec, i proszę o wskazanie, gdzie jest główny punkt miasta. Odpowiadają grzecznie, i widzę, że jakieś tegie chłopaki. Najstarszy zwłaszcza, w moim prawie wieku, bardzo mi się z miny podobał. Związała się zatem rozmowa. Mówię, że przyjeżdżamy z Wejmaru, i brząkam nazwiskiem Davida, „*des berühmten französischen Bildhauer's*” (sławnego francuzkiego rzeźbiarza). Najstarszy wiedział już o nim, i po co do Wejmaru przyjechał. Ale musiał coś także słyszeć o Adamie, bo sam z wielką skwapliwością zapytał: „*Sind Sie nicht der polnische Diabler?*” — „Ja nie, ale mój towarzysz” — odpowiedziałem, dodając, ma się rozumieć, co mi się właściwem być zdało. Koniec końców, pan Baltzar — bo tak się nazywał najstarszy — ofiarował się nam za przewodnika po mieście. Pożegnawszy więc czule jego towarzyszy, wróciłem z nim do oberży, gdzie go zapoznałem z moimi. Adam ze śmiechem ścisnął ramionami, winszując mi połowę nowego przyjaciela; ale i sam wnet go podobał; bo istotnie miły człowieczek. Kończy kurs filologii, i podejrzewam mocno, że musi być poetą, chociaż sam się do tego nie przyznał. Po francuzku mówi z trudnością, ale widać, że dobrze zna język. — Opowiadał nam dużo o uniwersytecie, który liczy w tym roku 619 uczniów. Następnie oprowadził po mieście i po ogrodzie, który wcale nieosobliwy, i zaprowadził w końcu do kościoła, który piękny i wspaniały z wierzchu, w stylu gotyckim, wewnątrz, jak wszystkie protestanckie, wy-

gląda jak koncertowa sala, zastawiona rzędami krzesel. Słowem, wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te nieszczęsne wiersze, które musiałem wciąż zgarniać w pamięci, jak makaron do łyżki, aby się nie rozpełzły jak robaki. Dopiero gdyśmy na śniadanie wrócili, znalazłem przecież sposobność, że je przez piąte dziesiąte, przy biurku gospodarza, spisałem; świerbiał mi tylko język, żeby je Adamowi powiedzieć. I aby tu już o nich zakończyć, muszę ci się przecież pochwalić, że mu się tak podobały, że aż mi wstyd powtórzyć, co mówił; to jest, że koniec lepszy, niż on o nim myślał. Rzecz zatem naturalna, że chcę przesłać go tobie, nim całość w przyszłorocznej Meliteli przeczytasz.—Tukaj doświadczywszy przyjaciół, znalazł przecież jednego, który zasługiwał na ufność. A więc:

Tukaj już się nic nie trwożył,
Odkrył sekret, rzecz wyłożył.
Dał przepisy, dał przestrogi,
Jak ściąć głowę, siekać nogi;
Lecz nadewszystko powtórzył:
Jak pocięte skleić członki,
Jakie zioła i korzonki
Rwać na nowiu, lub pod pełnię;
Po ile brać szczypt i łótów.
To skończywszy, był zupełnie
Do operacy gotów.

Jednak żal mu się zrobiło.
Słońce pięknie zachodziło,
Księżyc wznosił się od wschodu.

Tukaj poszedł do ogrodu.
Kwiaty kwitły na około,

Wonny wietrzyk chłodził czoło,
Słowik śpiewał gdzieś wesoło.
Tukaj stanął po nad strugą,
Patrzył, myślał—długo, długo.
Wtém łąką błysnął wzrok ponury,
Oczy, ręce wznosił do góry:
„Niębol słońce! bądźcie zdrowe!”
Wtém przyjaciel ściał mu głowę.

A więc *requiescat in pace*—nim się kiedyś w czwartej części obudzi, lub go djabeł weźmie do piekła.— Tymczasem, jeśli ochota, to *marsz* z nami na pole bitwy!—choćaż trudno coś o tém ciekawego powiedzieć.

Czytałem gdzieś w objawieniu jednej jasnowidzącej, że miejsca, w których kiedyś krew ludzką przelano, wywierają tajemniczy wpływ na przechodnia, choćby on nic o tém nie wiedział. Cóż więc mówić o polu bitwy, gdzie krew tylu tysięcy płynęła; a zwłaszcza myśląc jeszcze i o tém, na co to się wszystko przydało, i jaki tego wszystkiego był koniec i skutek? To téż na polu bitwy, wszystkie poprzednie o niej dysputy, a nawet rozmowy umilkły. David miał z sobą plan bitwy, ale nikt na niego nie patrzył. Szło tylko głównie o miejsce, na którym stał Napoleon. I co do mnie, postać ta w szarej kapocie, nieruchoma na białym koniu, z lunetą przyłożoną do oka; niezachwiana i niewzruszona jak przeznaczenie, które tu przezeń losem narodów rządziło; postać ta, w myślach moich, tak dalece górowała nad wszystkiem, że zapomniałem dla niej i o krwi ludzkiej rozlewie,

i o zbyt niem zaufaniu we własnej swój sile i gwiazdzie—co go nie prowadziła śladem Wschodnich Mędrców, aż dopiero Ś. Helena dopomogła mu znaleźć i uczcić Krzyż Pański;—zapomniałem o wszystkim, o czém wprzód kiedykolwiek myślałem, i po raz pierwszy może pojąłem sam przez siebie, jak ci, co go tu kiedyś żywego widzieli, mogli dla niego zapominać o sobie i ochoczo biedz na śmierć za niego.

Poświęcenie nie tak jest trudne, kiedy się kocha i widzi przed sobą, dla kogo się warto poświęcić. Ja wcale nie lubię Marsa; ale gdyby Adam był wodzem, to kto wie, czybym nie wołał z biedy naśladować raczej Turenniusza, który drżał, a jednak szedł w ogień, niżeli Horacego, który, jak sam wyznaje, uciekł z pola bitwy. Ale bodajby nie być ani jednym, ani drugim, a *wojskować* chyba z Kochanowskim, który, jak wiesz, musiał z urzędu strzedz i pocieszać w domu żony wojujących!

Adam zaśmiał się szczerze, gdy mu to powiedziałem, i schodząc już z pola bitwy, pożegnałem je patetycznie cytata słów pana Wojskiego:

„Bóg was żegnaj krwawe boje!
„Nie lubią was stróny moje.”

Przez czas zwiedzania pola bitwy, Adam był milczący i zamyślony, i dopiero wracając do miasta rozgadał się z Davidem. Tym razem zgodnie obadwaj łączyli się w uwielbieniu *Starej gwardyi*, o której czynach wspominali; pan Wiktor zaś wiódł gorącą dysputę z Baltzarem, a mając nad nim przewagę

języka, w kozi go róg, jak mówią, zapędził;—choć Baltzar, i jako obywatel, i jako Niemiec, zupełną miał słusność za sobą.—Jak to więc sama pamięć wielkich czynów żywo serca i myśli porusza! I czyż nie to jest właśnie nieśmiertelność na ziemi?

Po obiedzie w oberży, na którym i pan Baltzar był gościem naszym, poszliśmy wszyscy z wizytą do Ludena. Przyjął nas jak można najuprzejmiej, tém bardziej, że go już piérwój pan Baltzar o naszym przybyciu uprzedził, a zaś od kanclerza Müllera, jak mówił, wiedział był o bytności Davida i Adama w Wejmarze. Musi mieć lat około pięćdziesięciu; wzrost średni, tusza dobra, oczy czarne, fiziognomia poczciwa i szczerą; jakby wyszedł z Flamandzkiego obrazu. Adam znał jego „Historję wieków średnich,” co go ucieszyło widocznie. Pytał o Göthem, i mówił dużo o świetnych dawnych czasach Wejmarskich, gdy Göthe, młodzian, elegant, dworak i nieodstępny towarzysz i przyjaciel młodego W. Xięcia (Karola Augusta), dwór i miasto dowcipem i wesołością ożywiał; na balach i balikach do upadłego tańcował; w biały dzień, razem z Xięciem, klaskał z biczą na rynku; o północy, przy świetle pochodni, ślizgał się z damami na łyżwach; sypiał w lesie, kąpał się w Grudniu, polował na niedźwiedzie, i frejlinom głowy zawracał; nie opuszczając przytém pracy naukowej i poważnych urzędowych zatrudnień, a wiersze, właśnie wtedy, sypiąc jak z rękawa. A wiész-że jaka była jego toaleta? Oto kubek w kubek ta sama, w którą ubrał swego Wertera. Frak błękitny z długimi połami, żółte zamszo-

we spodnie, i bóty ze sztryflami; do tego pudrowana peruka z harcapem.

Słuchając o tém wszystkiém opowiadania Ludena, który sam także z opowiadań Wielanda to wiedział, a mając przed oczyma dzisiejszego Göthego, przychodziło mi na myśl to miejsce z „Pieśni Ostatniego Minstrela,” w którym stuletni mnich, patrząc na młodego rycerza:

Wspomniał sam siebie, jak w zbroi promiennój,
Z krzyżem na piersiach, wesoły,
Na morzu z fali urągał bezdennój,
Lub koniem ścigał sokoły.
Wspomniał—i kijem podpierając kroki,
Schylony, drżący, pokorny,
Wiódł gościa, kędy krużganek wysoki
Otaczał ogród klasztorny.

Göthe wprowadzie ani schylony, ani drżący, ani pokorny. Ale mój Boże! co to będzie kiedyś na świecie, kiedy już dzisiaj, gdzie się tylko obrócisz, słyszysz wszędzie z ust starszych jedno i to samo: że dawniej wszędzie było weselój i lepiój! A jakże to pogodzić z postępem, z którego się każdy wiek chwali? Czyż to i nam tak kiedyś będzie się wydawało na starość?— Zakommunikowałem pocichu myśli te Baltzarowi, i dodałem cytate burszowskiej piosnki, która się może urodziła w Jenie:

*Gaudeamus juvenes,
Jvenes dum sumus!*
(Weselmy się koledzy,
Dopókiśmy młodzi).

Zrozumiał, co chciałem powiedzieć, i z uśmiechem dokończył strofki. Ale że każdy *gaudet* po swojemu: dla mnie i to poznanie Ludena—jako sławnego, i jak widać zacnego człowieka—było jedném z owych *gawdyów*, na których użycie życia i młodości zakładam.

Myśl ta o czci i o wrażeniu starych zasług i sławy, jakkolwiek bardzo naturalna i prosta, stała się jednak ziarnem arcy-żarliwej dysputy, którą z panem Wikto-rem, wracając do Wejmaru, stoczyłem. Już to pan Wiktor ma zawsze tę własność, że we mnie duch przekory obudza, i to przez nic innego, jak przez swoje wykrzyknicową, deklamacyjną przesadę. Często więc wyprawiamy te harce, ku wielkiej rozrywce Da-vida, a czasem nawet i Adama, który je przyrównywa do walki kogutów. Tym razem jednak nie z samęj tylko przekory, ale z poczucia i przekonania, stawilem opór teoryom jego, co do praw i przeznaczeń młodości, i to tak w sztuce jak w życiu. Nie on sam pewnie teorye te stworzył; ale jeżeli wynikła z nich szkoła—której koryfeuszem ma być jego przyjaciel i ideał, Wiktor Hugo; jeśli ona odniesie zwycięstwo, to i literatura, i społeczeństwo francuzkie, nie wiem, czy wielką będą miały ztąd pociechę. Jest to istny hufiec Farysów, który wszystko chce spędzić z drogi, a sam pędzi nie wiedząc dokąd. Mnie się zdaje, że rozwalając dom stary, trzeba zaraz budować nowy, żeby nie zmarznąć na dworze; a gdy na to gruzów nie dosyć, trzeba naprzód nowych cegieł nalepić. Oni chcą to zostawić przyszłym pracownikom, niższym od nich odwagą i siłą; ale jeśliż ci, zamiast pracować,

zechcą raczej naśladować ich przykład, to jest bujać i burzyć, jak oni; a zamiast uwierzyć w ich wyższość, sami się owszem mędrszymi i silniejszymi poczują; to i cóż w końcu na ich drodze zostanie?—Adam, który razem z Davidem był wczoraj po mojej stronie, każde nowe pokolenie ludzkości przyrównywał do nowej dywizji wojska, wchodzącej na linię bojową. Żeby zamiast pomocy, nie sprawić nieładu, musi ona słuchać rozkazów wodza, który bitwą od początku kieruje, i do jego się planów stosować. Plan odwieczny, który ludzkość prowadzi, leży w sprawiedliwości i w prawdzie, które ludzkość instynktowo poczuwa. Przekroczenie ich, albo opieranie się im, zarówno jest maroderstwem, w którym każdy na swą rękę rabuje. Pan Wiktor nie przeczy zasadom, lecz je tylko inaczej po swojemu stosuje.—Turkot kół po bruku Wejmarskim, nie skończył, ale zagłuszył dysputę, w której każdy przy swoim pozostał.

Przebrawszy się co żywo „pod Słoniem,” poszliśmy wszyscy razem na wieczór do państwa Peucer. Dla mnie był on zarazem i wesoły, i smutny. Wesoły, póki się nie pomyślało o wyjeździe. Ale jest to osobliwsze uczucie, widzieć około siebie kilkadziesiąt osób, znajomych, miłych, życzliwych, i myśleć, że za godzinę rozstaniesz się z niemi, i już ich nigdy pewno w życiu nie zobaczysz.—To też pożegnaliśmy się ze wszystkimi jak na śmierć. Na dziś zostaje nam tylko pożegnalny obiad u państwa Vogel, i pożegnalny wieczór u Göthych. A teraz muszę jeszcze pisać do Ignacego, od którego list przecież otrzymałem wczoraj.

Adam dziwi się i zartuje z téj mojej listomanii, ale ja mu powiadam, że jestem jak ów Nabob Indyjski, który nabywając tam złoto, a bojąc się go roztrwonić, wkłada je w bilety bankowe i posyła do kraju, w depozyt na ręce przyjaciół, aby go potem kiedyś razem z nimi używać.

Kwestya zatém idzie tylko o to,
Czy co posyłam, jest istotnie złoto?
Lub choćby w treści i był kruszec szczerzy,
Czy go do zera nie zniżą papiery?
Masz zatém prawo sądn i uczyнку:
Chowaj je w tece, lub pal na kominku.
Zawaze je przecież piszę z tą nadzieją,
Że cię oświecą razem i ogrzeją.

Bądź zdrowi

XX.

Do Ignacego Chodźki.

Wejmar, 31 Sierpnia 1829 r. rano.

List twój, który miałem już zastać w Wejmarze za przyjazdem, otrzymuję dopiero na wyjeźdném z Wejmaru. A więc *tarde venientibus ossa!* Pierwsze kwiaty odebranych tu wrażeń, zerwałem już dla Juljana, a badyłami przecież częstować cię nie chcę. Ale że pisząc do niego, kreśliłem same figury, tła więc i krajobrazu brak jeszcze. Sproбую, jeżeli się uda, choćby je tylko naszkicować dla ciebie. Zlepcie to razem, a złoży się całość.

Wejmar, w stosunku odwrotnym, jest tém w Niemczech, czém u nas Smorgonie; —(ciesz się więc, że sąsiadujesz z niemi)! Jak bowiem w całym świecie znaczenie *soli Attyckiej*, tak u nas wie i rozumie każdy, co znaczy *szkoła, nauka*, albo *polityka Smorgońska*; tak w Niemczech wie i rozumie każdy, co znaczy przymiotnik *Wejmarski*, dodany do rzeczowników: *poezya, teatr, towarzystwo* lub *szkoła*. Wejmar bowiem tak *był* stolicą i szkołą wielkich poetów i wielkiej poezyi w Niemczech, jak Smorgonie stolicą i akademią niedźwiedzi u nas. Mówię *in praeterito*, (w czasie przeszłym); bo jak ostatnią chwałą Smorgoń był ów siwy, potężny *Samson*, który kiedyś, skazany już na śmierć, nie wiedząc o tém nieborak, tańczył

jeszcze przed nami ostatniego swego menueta; tak ostatnią dziś chwałą Wejmaru jest Göthe, który przed trzema dniami obchodził osiemdziesiątą rocznicę swoich urodzin. Ale tyle już o nim pisałem do Juljana, że nie mam do powiedzenia nic więcej, coby powtórzeniem nie było. Nie miéj tylko za ubliżenie tego porównania z *Samsonem*. On sam w jednym ze swoich wierszy, (*Menazerya Lili*), także się kiedyś do niedźwiedzia przyrównał; a pod względem gieniuszu i wpływu, a nawet samej postawy, do nikogo nazwa *Samsona* właściwiej zastosować się nie da.

Ale bez konceptów i żartów!—Wejmar wart jest istotnie nazwy *Alen Niemieckich*, którą mu pospolicie nadają; i to nie dla świetności albo ruchu miasta, (bo to jest skromna i cicha miejscina), ale wprost dla umysłowego—a raczej dla estetyczno-poetyckiego wykształcenia mieszkańców, a mianowicie płci pięknej. I jest to rzecz bardzo naturalna. Od pół wieku słynie on już wyłącznie jako ognisko poezyi i siedlisko jéj arcy mistrzów, i tym tytułem jedynie ściągają i ściągają dotąd mnóstwo pielgrzymów i gości, krajowych i zagranicznych. Do płci pięknej należy z prawa robić wszędzie honory domu. Jakże więc byłoby dziwnie, gdyby uprzejme gospodynie Wejmarskie nie znały same i nie umiały oceniać tego, czemu dalecy hołd złożyć przychodzą. To téż znajomość arcydzieł swoich mistrzów stanowi pierwszy rozdział edukacyi panien Wejmarskich, a wpływ jéj, od pierwszój młodości, na wrodzoną ich sentymentalność i tkliwość, pędzi je i rozwija w kwiat poetycznego uczucia.

W tej chwili najpiękniejszym tego rodzaju kwiatem, i zarazem jakby widowym symbolem jego duchowej piękności, jest znajoma ci już zapewne z poprzednich listów moich do Juljana, pani Róża-Teresa Vogel. Urodziła się ona za późno; bo gdyby kwitła jak dzisiaj za czasów młodości *Minnesingerów* tutejszych, pewnoby ten lub ów, (jeśli nie wszyscy razem), podniósł ją był na piedestał Laury czy Beatryczy, i opromienił aureolą chwały, którą piękności poezya tylko nadaje. Ona sama instynktowo to czuje; i choć dziś jeszcze stary olbrzym Göthe szczególnym ją affektem odznacza: więzycowe to światło nie wystarcza do życia kwiatu, i budzi może tylko tęsknotę do wrażeń, do których wyobraźnia nawykła. A że podobne usposobienie zdaje się tu być dosyć powszechne, to kto wie, czy też i ono nie było jedną z przyczyn, dla czego i dawniejsi poeci zbierali się tu jak skowronki na wiosnę. Dość, że jak w oranżeryi wonia kwiatów, tak się tu jakoś wszędzie poezyą oddycha. A czujesz ją nie tylko w rozmowach, ale nawet w ustroju mieszkań, w udrapowaniu firanek, w zieleni bluszczów wijących się po nich, w mnóstwie kwiatów po rogach i w oknach, a w klatkach ptasząt pomiędzy kwiatami. Przepychu elegancyi nigdzie, ale wdzięk elegancyi wszędzie. A to samo stosuje się i do stroju—i to nie tylko dam wyższego świata, lecz w ogólności kobiet tutejszych, które na *Vogelwiese* widywałem, a nawet okolicznych wieśniaczek, które dwa razy w tydzień, we Środę i w Sobotę, przybywają na targ do miasta, i zapełniają czworogranny rynek, wprost przed okna-

mi naszymi, uszykowane w rzędy, każda przy swoim koszu, w różnobarwnych, a najczęściej czerwonych, krótkich a szerokich płaszczach; w jakichś turbanach na głowach, błyszczących galonami u wierzchu, a z tyłu zwisających wstążkami;—co wszystko razem bardzo malowniczo wygląda. A pamiętajże przytém, że i Wejmar liczy się także do *Saxen*, gdzie, jak mówi przysłowie: „*Schöne Mädchen wachsen.*”

Ale wracając do estetycznego nastroju, jako głównej cechy Wejmaru:—przyczynia się do niego w znacznej części i teatr, który nigdzie może na kuli ziemskiej nie spełnia tak sumiennie wysokiego swojego, artystyczno-poetyckiego zadania. Przez lat wiele kierownikami jego byli Szyller i Göthe; ten ostatni z nieograniczoną dyktatorską władzą, nadaną mu przez W. Xięcia, i którą on téż z dyktatorską powagą i surowością wykonywał—i to nie tylko względem aktorów, ale nawet i względem publiczności. Opowiadają tu o nim mnóstwo z tego względu anegdot. I tak np. razu jednego, studenci z Jeny, nieradzi z jakiejś sztuki, którą Göthe grać kazał, sprzysięgli się na jój upadek. Przyszli więc tłumnie z Jeny i zapełnili parter. Zaledwo się zastona podniosła, umówiony zapewne szmer niezadowolenia powitał pierwsze słowa aktora; ale gdy szmer ten wkrótce zamienił się w sykania i świsty, Göthe siedzący zwykle przed orkiestrą, z kądem jak Jowisz z wierzchołka Idy, śledził bacznie wszystkie ruchy aktorów i grą ich spojrzeniem kierował: porwał się nagle z miejsca i głosem Stentora zawołał: „Cicho! bo każę wyprowadzić za

drzwił” Oddział wojska, uszykowany zwykle przed teatrem, gotów był do spełnienia tej groźby. Studentenci zatem, nie czekając jej skutku, sami hurmem opuścili teatr; poczem sztukę kończono spokojnie, jakby nic szczególnego nie zaszło.

Głównym celem obu przyjaciół, t. j. Göthego i Szyllera, było, aby teatr z miejsca chwilowej tylko zabawy, albo z pola zarobku dla kassy, przemienić jakby w świątynię poezyi i sztuki, samą sztukę zaś uczynić nie sługą, ale mistrzynią gustu publiczności. Z tej przyczyny teatr Wejmarski był w zupełnej sprzeczności z innymi teatrami Niemiec, i chociaż stał niżej od innych pod względem materyalnych zasobów i korzyści: ale za to przedstawienie na teatrze Wejmarskim, uważane było przez autorów za cel ambicyi i chwały, a sąd publiczności Wejmarskiej był albo hasłem powodzenia, lub wyrokiem upadku sztuki. Lubo zaś od lat wielu, zaraz po śmierci Szyllera, Göthe zrzekł się dyrekcyi teatru i nigdy w nim odtąd nie bywa: nadany przez niego kierunek tradycyjnie mniej więcej utrzymuje się dotąd, i wpływa niezawodnie, jak już rzekłem wyżej, na gust i estetyczny nastrój ducha publiczności Wejmarskiej.

Drugim niemniej zapewne pomocniczym ku temu środkiem, są częstsze tu niż gdzieindziej, ale i w całym Niemczech praktykujące się—odczyty poezyi. Słynni z deklamacyi literaci lub aktorowie, jak wykonawcy muzyczni, przejeżdżają z miasta do miasta, i za pewną opłatą, zamiast koncertów, dają podobne poetyckie wieczory, na które wykształceńsza pu-

bliczność wszędzie się gromadzi ochoczo. Jest to może najlepszy, jeżeli nie jedyny dziś sposób, przywrócenia poezji dawnego jój znaczenia i wpływu, jaki niegdyś—przy dźwięku arf Bardów, Trubadurów, Minstreli—wywierała na uczujących lub zbrojnych słuchaczy; nie mówiąc już o starożytnych igrzyskach greckich, na których sami poeci utwory swoje ludowi czytali. Jeśli zaś wielkie kompozycje muzyczne, biegłym tylko exekutorom winne są swój światowy rozgłos i wrażenie: to czemużby i wielkim utworom poezji, powieściowej zwłaszcza albo lirycznej, jako niemającym dla siebie innej sceny popisu, biegli deklamatorowie nie mogli oddać téj samej posługi? Odczyty tego rodzaju, gdyby weszły i u nas we zwyczaj, przyniosłyby niewątpliwie niemniejszą przyjemność i korzyść, jak mnożące się nieraz aż do zbytku koncerty, które przecież stanowią wszędzie część główną programu zabaw światowych. Rzecz to nawet godna zastanowienia, dla czego ze wszystkich sztuk pięknych, jedna tylko muzyka ma ten osobliwszy przywilej, że i posiadający jój talent mogą sami, bez narażenia się na śmieszność, popisywać się nim w towarzystwach, i że jój tylko utwory są przedmiotem zabawy publicznej? Czyżby zmysł słuchu u ludzi miał mieć jakie pierwszeństwo przed innymi zmysłami; kiedy same uszy np. są może najpośledniejszym ze wszystkich naszych organów zmysłowych, a długość ich, jak widzimy u zwierząt, nie jest wcale znamieniem ani wielkiego serca, ani bystrego pojęcia?

Jednym z najślawniejszych dziś w Niemczech takich deklamatorów poezyi, jest Holtei, poeta i artysta dramatyczny, któregośmy tu właśnie poznali, i o którym już nieraz do Juliana pisałem. Przeszłej czy też zaprzeszłej zimy, miał on tutaj w Wejmarze długi szereg podobnych odczytów—a ślad ich, między innymi, pozostał i we zwyczaju głośnego czytania, w poufnych kółkach towarzyskich, nowych utworów poezyi i literatury bieżącej. A jest to także jeden z tych obyczajów familijno-towarzyskiego życia w Niemczech, które gdyby się dały przenieść i przyswoić u nas, byłyby zbawienniejsze i pożyteczniejsze sto razy od owych branych tylko i naśladowanych z Paryża, a o których możnaby w ogólności powiedzieć parafrazą słów Krasickiego, że:

Z domu ojców obrazy wyrzucając stare,
Malują w nim *al fresco* Wenery ofiarę.

Gospodarsko-domowe także życie w Niemczech, któremu miałem sposobność przypatrzeć się tu zblizka, byłoby niemniej pożądanym wzorem do naśladowania, i dałoby się pogodzić wybornie z uczuciem gościnności prawdziwej. Ileż to razy zdarzyło mi się słyszeć skargi naszych miejskich gospodyń: że albo muszą, z ujmą potrzeb istotnych, ponosić niepotrzebne i zbytkowe wydatki, aby koniecznie dorównać możniejszym; albo też zerwać z nimi, choćby najmilsze z kądinąd stosunki, dla tego tylko, że im w przyjęciu u siebie nawzajem sprostać nie mogą. A znowu *vice versa*:—ileż to razy, mianowicie w Warszawie, przy-

szło doznać prawdziwej męki Ugolina, po wyjściu zwłaszcza z pseudo-pańskich wieczorów, na których filizaneczka cienkiej herbatki, (prawda że w chińskiej porcelanie i na srebrnej tacy podana), stanowiła cały traktament gości, często zaproszonych wyraźnie, ale którym się przez to czuć daje, że zaszczyt, który ich spotkał, powinien im starczyć za wszystko.—Tu nie ma ani tych zbytków, ani téj upokarzającej niedbałości o gościa. Kawa, albo herbata z ciastem, buttersznity z kieliszkiem wina, i, jak w téj porze, owoce—oto zwykłe wszędzie przyjęcie; z wyjątkiem, ma się rozumieć, większych, proszonych wieczorów, na których figurują już inne, słodsze i wykwintniejsze łakocie.—Ale co jest warte wspomnienia, to, że na wszystkich takich balach, na których byliśmy tutaj, marszałkiem i mistrzem ceremonii był zawsze i wszędzie starszy kellner z oberży „pod Słoniem,” w której my właśnie mieszkamy; a że to jest mój wielki przyjaciel, więc miałem w nim wszędzie bardzo troskliwego opiekuna, który mnie, częściej niż komu, albo jaki przysmak przynosił, albo téż kieliszek nalewał; zawsze przytém zawiązując rozmowę, i komunikując mi różne swoje uwagi—bo jest sprytny i chce być dowcipnym.—W ogólności stosunek tu panów ze sługami, i różnych między sobą warstw społeczeństwa, zdaje mi się być i swobodnym, i życzliwym z obu stron. Przypatrzyłem się zaś temu najwięcej na *Vogelwiese*, gdzie, podobnie jak w Dreźnie, codzień prawie regularnie bywałem; z tą tylko różnicą, że tam błąkałem się jeden śród tłumu, jak nieznanym nikomu przybylcem;

tu zaś byłem zazwyczaj jako gość rodziny państwa Vogel, którzy mię zapoznawali z drugimi. Większa część znajomości zawiązała się w ten sposób, i dla tego mam ich tu więcej niż Adam. A że przytém wziąłem sobie za prawidło, dla dania dobrego wyobrażenia o grzeczności polskiej, składać zaraz na-
zajutrz wizyty damom, którym przedstawiony zosta-
łem: ztąd poszło, że za powtórny z niemi spotka-
niem się na *Vogelwiese*, byłem już i przez nie uwa-
żany za gościa, i nieraz częstowany kawą lub *kuchenami* (ciastkami), to jest, czém się same raczyły. Ton zaś ich wzajemnych powitań i rozmów przy spotkaniu, przypominał mi nieraz nasze kochane parafialne sąsiedztwa, spotykające się na kiermaszu lub na odpuście u X. Proboszcza. A i to także w oczach moich dodawało poetyczności towarzyskiemu życiu i pobytowi w Wejmarze—o ile poetyczność, ma się rozumieć, zależy na prostocie i prawdzie uczucia.

Ale nie sam tylko dramat życia nosi tu poetyczną cechę; epilog jego, to jest cmentarz, wybitniej się nią może, niż co bądź odznacza. Ludzie wprawdzie, od czasów Lutera, nie modlą się tu o spoczynek dusz zmarłych w światłości wiekuistej, ale jakby wierzyli w ich błaganie się po ziemi, po nad grobami ich za to chcą, zda się urządzić dla nich pola Elizejskie. Ta cześć i upiększanie mogił, nawet po wiejskich cmentarzach, które widywałem po drodze, zawsze były dla mnie świadectwem pięknej i rzewnej strony sentymentalności niemieckiej. Ale Wejmar i poetycznością, nawet swojego cmentarza góruje nad całe-

mi Niemcami. I nie mówię tu tylko o nieskończonej mnogości i przepychu kwiatów, które tém bardziej czynią go podobnym do jakiegoś rozkosznego ogrodu, że nie ma tutaj zgoła wysoko sterczących pomników, ale tylko albo płaskie kamienie, albo też niskie krzyżyki, całkiem girlandami pokryte; ale stosuję to zwłaszcza do myśli, która przewodniczyła założeniu tego cmentarza i wyraźnie zeń dotąd przemawia. Prawda, że i myśl ta, jak powiadają, wykwitła naprzód z grobu poety, to jest z grobu Wielanda, który ostatnie lata życia przepędził w pięknej willi, w Osmanstädt, o milę od Wejmaru, i kazał się pogrześć tamże w ogrodzie, który sam założył i uprawiał, obok żony swęj z jedną, a przyjaciółki, Zofii Brentano, z drugiej strony. Notabene, przyjaciółka ta, znana chlubnie w literaturze niemieckiej, była wnuczką pierwszej jego kochanki, La Roche, o której tkliwą pamięć przez całe życie zachował. Po nad temi trzema grobami wznosi się trójgraniasta, marmurowa kolumna, a na niej napis:

*„Lieb' und Freundschaft umschlang die verwandten Seelen im Leben,
Und ihr Sterbliches deckt dieser gemeinsame Stein.*

(Miłość i przyjaźń łączyła pokrewne dusze za życia,
I śmiertelne ich zwłoki pokrywa wspólny ten kamień).

Otoż grób ten, jak nam mówiono, natchnął pierwszą myśl W. Xięciu Karolowi-Augustowi, wychowawcowi tegoż Wielanda, a późniejszemu mecenasowi Niemiec, założenia w Wejmarze nowego cmentarza, gdzie naprzód wśród równiny, na wzgórzu, kazał wy-

murować dla siebie i dla całej swojej rodziny grób rodzinny, z piękną rotundą na wierzchu, i przenieść doń zwłoki wszystkich swych poprzedników, dotąd w sklepach kościelnych złożone.—Nieprawdaż, że sama już ta myśl, aby grób panujących był w pośrodku grobów poddanych, ma wielkie—tak chrześcijańskie, jak i poetyczne znaczenie? Ale nie koniec na tém. W sklepie grobowym pod rotundą, wszystkie trumny związane ustawione są około ściany; na środku zaś wznosi się jakby murowany katafalk, z miejscami na trzy tylko trumny. Na najwyższym, w pośrodku, stoi już od roku przeszłego trumna założyciela, Karola-Augusta, purpurowym axamitem obita. Stopniem niżej, po lewej stronie obok, czarna trumna Szyllera. Prózne miejsce po stronie prawej, czeka na trumnę Götthego. Nie potrafię ci opisać wrażenia, jakie sprawiły na mnie widok i dotknięcie się trumny Szyllera. Adam ukląkł też obok za moim przykładem, a młoda i dość przystojna żona dozorczy cmentarza, która nas za osobnym pozwoleniem W. Marszałka dworu, wprowadziła do tego podziemia, dzieliła widać szczerze rozrzewnienie nasze. Ciekawy byłbym bardzo, czy Götthe schodził tam kiedy; ale nikt nas w tym względzie objaśnić nie umiał, a pytać o to u syna, albo u synowej nie śmiałem. Ale ten Monarcha-Protector, w środku dwóch największych poetów swego narodu, przyjaciół pomiędzy sobą, którzy w części tak może jego opiece, jak on ich gieniuszowi, nieśmiertelną swą chwałę nawzajem są winni:—czyż to nie jest najwymowniejszy i najpoetyczniejszy zarazem grób na kuli

ziemskiej — z wyjątkiem chyba grobu na wyspie
Ś. Heleny?

Z obu zaś, na świat cały,
Jeden głos się przebija:
„Tak się idzie do chwały,”
I „tak chwała przemija.”

To jest, *sic itur ad astra, i sic transit gloria
mundi.* Vale.

XXI.

Do Juljana Korsaka.

Wejmar, 31 Sierpnia 1829 r. o północy.

Czytałem gdzieś— może w bajce— ale dość że czytałem, że dusza nie zaraz po skonaniu wylatuje z ciała, ale choć już zerwała łączące z niem węzły, siedzi w niem jeszcze czas jakiś, czekając nie pamiętam już na co; może jak ptak nawykły do klatki, który, choć mu ją otworzono, nie śmie od razu posunąć się do drzwiczek— a kto wie, może i klatki żałuje. Ile w tém prawdy, dowiemy się kiedyś; tu jest to tylko wierne porównanie z naszym w téj chwili położeniem w Wejmarze. Rozstaliśmy się już ze wszystkimi— na zawsze, i skończyliśmy rachunek z oberżą, jak daj Boże, aby kiedyś przed śmiercią załatwić go podobnie z sumieniem; ale siedzimy w niéj jeszcze do jutra, czekając na dźwięk trąby głosu *piskliwego*, to jest nie archanielskiej, ale pocztowej, konduktora dyliżansu, która ma nas przed ósmą powołać w nowe nieznanome sfery. A i w usposobieniu naszym wewnętrzném, podobieństwo może nie mniejsze z tą grzeszną, a już gotową do odlotu duszyczką. Wiedziała ona dobrze, że nie tu był jéj cel ostateczny, a jednak tak do tego popasu przyłgnęła, że i żal, i tém trudniej wybierać się dalej, że się o tém wprzód myśleć nie chciało. Ale stało się— trzeba— a więc nie ma o tém

co mówić! Nabazgrawszy zaś tyle o pobycie tutaj, czuję że muszę przecież dopisać i *final*, tak przynajmniej, abys go już sam sobie mógł „w myśli swojej dośpiewać.”

Final ten składa się z dwóch części: z pożegnalnego obiadu u państwa Vogel, i z pożegnalnego wieczoru u państwa Göthych, na których jedni i drudzy, (ma się rozumieć bez *Papy*), byli nawzajem u siebie, równie jak wszystkie prawie też same osoby, z które-miśmy się tutaj najbliżej u nich poznali. Bo i obiad, i wieczór był wyłącznie dla nas; a przy obiedzie figurował nawet aż szampan, na toast „*auf glückliche Reise!*”—

Nie wiem czy ty czytałeś komedyjkę studencką pana Tomasza, p. t. „*Pierozki gryczane?*”— bo nie było cię jeszcze w Wilnie, gdyśmy ją kiedyś grali w dzień imienin autora. Otoż przedający w niej owe *pierozki* Niemiec, opowiada zebranym w około niego studentom piérwszy swój wyjazd do szkoły. Wierszy nie pamiętam, ale treść taka: Ojciec płacze—on nic; matka płacze—on nic; siostry płaczą—on nic; i już siada na kałamaszkę. Aż wtém pasące się na dzie-dzińcu ciele, jak nie beknie żałośnie: „*Bar-to-lo-mee!*” (to imię jego);—pękł hart odwagi, czy głupoty malca. i musiał powrócić do izby, aby się przy matce wy-płakać. Otoż dziś omal i ze mną nie stało się jak z Bartłomiejkiem, gdybym mógł przy kim, jak on się utulić. Ten i ta mówi o rozstaniu—ja nic; ten i ta patrzy się smutnie—ja nic; aż nareszcie, przed samém już wyjściem z obiadu, poszedłem po-

złagać papugę. Masz zaś wiedzieć, że od pierwszych dni poznania, chciałem i zacząłem ją uczyć kilku frazesów po polsku, które bardzo wyraźnie po niemiecku wymawia. *Tempus et laborem perdidit*, jak tam ktoś kiedyś ze szpakiem; ale za to sama jej pani, dopomagając mi w tej pedagogice, nauczyła się ich doskonale i wymawia przesłicznie; papuga zaś, którą karmiłem przytęm owocami i cukrem, tak dalece oswoiła się ze mną, że mię za każdym widzeniem z wyraźnym ukontentowaniem witała. Tym razem, jakby przeczuwając rozstanie, na apostrofe moję: „*Leb' wohl Papagei!*” tak się zaczęła wdzięczyć, przechylając głowę, i tak recytować z kolei wszystkie swoje najczulsze frazesa: iż myśl, że je po raz ostatni już słyszę, tak mię jakoś niespodzianie schwyciła, że aż musiałem wyjść śpiesznie do drugiego pokoju, aby z tego wrażenia ochłonać.

Na wieczorze u pani Ottilii, *Papa* Göthe przyszedł po ósmej i bawił około dwóch godzin. Przez cały ten czas rozmawiał najwięcej z Adamem, ale i ja miałem także mój udział, i to zawsze w tym samym tonie, t. j. bardzo łaskawym i na wpół żartobliwym jak zwykle. Raczył nawet zaręczyć za mnie, mówiąc przy mnie do pani Teressy, że nie tak łatwo zapomnę Wejmaru, (*Er wird nicht so leicht uns vergessen*). Skorzystałem z tej sposobności, ażeby patetycznie wypowiedzieć toż samo, stosując, ma się rozumieć, do niego; a ośmielony łagodnym jego spójrzeniem, odważyłem się przełożyć mu sam prośbę, którą już przedtęm Adam poruczył był pośrednictwu

pani Ottilii, to jest prosić go o własnoręczny podpis jego imienia i o dwa zużyte pióra. Uśmiechnął się i skinął czołem; a stojący tuż obok Adam dodał: iż będzie to najdroższą dla nas pamiątką na całe życie. Nowy uśmiech i nowe przyzwalające skinienie; poczem zaraz o czém inném zagadał. Kiedy zaś, już przy pożegnaniu, raz ostatni podał mi rękę, ująłem ją ze szczerem wzruszeniem, i pocałowawszy niżej łokcia, prosiłem go o błogosławieństwo. Nie musiało go to obrazić; bo ujął mię za oba ramiona i nawzajem pocałował w czoło, i tymże samym sposobem pożegnał następnie Adama, który go także pocałował w ramię. Pani Ottilia powiada, że to jest osobliwszy dowód łaski, i nie pamięta, aby ją komu z obcych kiedykolwiek okazał. Odchodząc wziął świecę ze stołu, i stanąwszy już we drzwiach, odwrócił się raz jeszcze, i jakby od ust ręką ku nam skinął. Drzwi się zamknęły—i pewno już go nigdy nie ujrzymy więcej.—W dziesięć minut, wnuk jego starszy przyniósł nam dwie złotobrzeżne kartki, jak do sztambucha, z napisanym już dawniej, jak widać, czterowierszem na każdej, charakterem niemieckim, z podpisem: *Gothe*, na których data tylko dzisiejsza świeżo dopisana była; oraz dwa pióra, odarte z pierza, i starannie, w kształcie iglicy, cieńszym końcem w rozszczepiony środek włożone. Czterowiersz na kartce mojej jest taki:

*Diese Richtung ist gewiss,
Immer schreite, schreite!
Finsterniss und Hinderniss
Bleiben dir bey Seite.*

a co przez przybliżenie, naprędcę, takby się może dało naśladować po polsku:

„Chcesz dojść celu?—jedna rada:
Zawsze naprzód, idź a idź!
Z drogi pierzchnie ci zawada,
Ciemność cię nie zdąży śmić.”

Przeczytawszy, prosiłem pani Teresy, aby raczyła powiedzieć Göthemu, że słowa te: „*immer schreite, schreite!*” biorę odtąd za moją dewizę, i uważam je za magiczne słowo mistrza, o którym lepiej będę się starał pamiętać, niżli jego *Zauberlehrling* (uczeń czarnoksiężki) w balladzie. Pani Teressa obiecała mi to uczynić, gdyż pewna względów starego czciciela piękności, jest z nim śmielszą i poufalszą od innych, z wyjątkiem, ma się rozumieć, pani Ottilii, która właśnie przez swoją słodycz i uległość, sama rzeczywiście, jak mówią, kieruje *Papą*. Tak to wszędzie i zawsze sprawdzają się te słowa naszego poetyckiego biskupa, który sam je podobno z doświadczenia napisał, że:

Mimo tak wielkie płci naszój zalety,
(Króla, rycerza, mędrca, czy poety),
My rządym światem—a nami kobiety.

Cóż więc za dziw, że z niemi i żegnać się najtrudniej? To téż pożegnaliśmy się ze łzami; obiecawszy solennie panu Augustowi, który nas po bratersku wycałował, że będziemy pisali do niego z Rzymu, dokąd i on się także na rok przyszły wybiera.

O jedenastej byliśmy już w domu; ale tu znowu nastąpiła scena, którą ci też muszę opisać. Wracając i powróciwszy, nie gadaliśmy wcale do siebie, i pożegnawszy Davida, który dziś ciągle był z nami, a jutro ma nas odprowadzić na pocztę, Adam milcząc zapalił fajkę, a ja też milcząc wziąłem się do roboty, to jest do pakowania tłómoka. Dotąd rzecz to była nie trudna; ale tutaj przybyło kilka sztuk odzienia, i kiedy przyszło do zamknięcia, pokazało się, niestety, że wieko żadną żywą miarą nie daje się przycisnąć, aby klamka doszła do zamku.—Trzeba więc było naprzód zaciągnąć rzemienie; ale co zaciągnąłem jeden, to druga strona wieka tak się przez to podniosła, że aby z nią dójść do ładu, musiałem go znowu odpuszczać. Trwało to może z kwadrans. Widziałem wprawdzie sposób, który mógł wszystkiemu zaradzić; było to jednoczesne zaciągnięcie obu razem rzemieni; ale przez punkt honoru nie chciałem wzywać pomocy Adama, który leżąc i paląc najspokojniej fajkę, sam się tego nie zdawał domyślać. Złość mię nawet brała, wyznaję; ale tém bardziej zaciąłem się w uporze—i męczyłbym się może nie wiedzieć jak długo, gdyby go w końcu nie ruszyło sumienie. Zerwał się nagle z łóżka, i odstawwszy fajkę, zawołał nie zbyt ujmującym tonem: „Poczekaj! ja ci pomogę.”—Jakoż zaczął rzeczywiście pomagać; ale że i do zaciągnięcia obu razem rzemieni nie dość było siły w stojących, musieliśmy się oba na ziemi, i wpierając się jedną nogą w tłómok, tak dopiero, i to z trudnością, dowiedzieliśmy przecież swo-

jego. Operacya ta tak mię bawiła, że gdybym się nie lękał poruszyć jego *spleenu*, i żeby jej w połowie nie rzucił, parsknąłbym niezawodnie od śmiechu: mając zwłaszcza w pamięci tę chwilę, kiedy on, w przewidywaniu podobnych do obecnego kłopotów, cały tłóмок chciał wrzucić do morza. Dopiero gdy obie już sprzączki dosięgły wręście do ostatnich dziurek, a on z wyraźnym gniewem, porwawszy się z ziemi, zaczął znowu rozpalać fajkę, która szczęściem jeszcze była nie zgasła:—puściłem wodze wesołości mojej; a że przytém, nacisnąwszy kolanem wieko, zamknąłem szczęśliwie i zamęk—przez co kłopot był już całkiem skończony—i on téż udobruchał się nakoniec, i śmiejąc się opowiedział mi podobne nieco do dzisiejszego zdarzenie, jak podczas podróży po Krymie, oba razem z Henrykiem Rzewuskim, przyszywali sami, nie umiejąc, sprzączkę do mantelzaka, która się przy pakowaniu urwała.—Teraz on już śpi, a ja kończę ten ostatni list mój z Wejmaru.

Lecz czyż pakunkiem tłómków
Kończyć twój opis, Wejmarze!

O! miasto wieszczych uroków!
Gdzież nam na świata obszarze,
Błyszczą tak jednym obrazem
Geniusz i piękność razem?—

A jeśli jeszcze, tém nie tém,
Lecz może nęcić po Göthem,
Czy Montblanc—król gór i lodów,
Czy Rzym—patryarcha grodów,
Pomniki i ideały,
Jak on, wielkości i chwały:—

To gdzieś się sercu i oku
Równego spodział uroku?

Bo cóż, że w podziw zachwyca
Alp ponadziemska Dziewica,
Gdy wieczna zima — jój lica,
A serce w piersiach — to skała?

Bo czém żywe czucie wzruszy
Bogini Medycussy,
Tak żywa sztuka — bez duszy,
Jak piękna kształtem — bez ciała? —

O! córo Niebios, Piękności!
Jeśli pociechą ludzkości,
A wiezców masz być natchnieniem:
Samój ci naprzód potrzeba,
Duszę ogrzać światłem z Nieba,
Serce współczucia promieniem.

Wtenczas na całym tym globie
Tak będą stawić ołtarze
Obok poezyi — tobie,
Jak — jak pielgrzymi w Wejmarze.

XXII.

Do tegoż.

Frankfurt nad Menem, 3 Września 1829 r.

Wejmar—Frankfurt; Göthe—Rotschild; poezya—pieniądze; — dwa przeciwne bieguny. Myślisz więc pewnie, że pociągnięci przez jeden, nic już z drugim do czynienia nie mamy. Mylisz się—godzimy je w sobie. Dla Rotszylda to właśnie jesteśmy od wczoraj i do jutra bawimy we Frankfurcie, stolicy tego króla finansów. Nie widzieliśmy jego samego, aleśmy doświadczyli na sobie wpływu téj nowo-Midasowej potęgi, która wszystko w złoto przemienia. Przyszliśmy do jego kantoru z dwóma arkuszami papieru, a wyszliśmy—a raczej wyszedłem ja, obładowany tyłą złota, ile go razem nigdy nie widziałem w życiu. W jednej kieszeni cały skarb mój, w drugiej Adama. Oddał mi go, a ja wziąłem w depozyt, nie dla tego tylko, abym go dźwigał za niego, ale że obadwaj sądzimy, że mu bezpieczniej być przy mnie, niż przy nim. Za toż *vice versa*, złoto to w ręku naszym przemienia się—a przynajmniej nabiera odblasku poezyi; albowiem jest to czysty jój produkt: u Adama—jego własnej, u mnie—wszystkich naszych poetów, którzy za przyjacielskie tylko „Bóg zapłać,” złożyli się na bukiet dla mojej Bogini kwiatów, (*Meliteli*), a który przez nią dla mnie stał się jakby snopkiem Cerery.

Wróciwszy więc do hotelu „*zum Weidenbusch*,” i zamknąwszy drzwi na oba spusty, wysypałem dla zabawki wszystko to złoto na stół, i przywoławszy Adama, który w drugim pokoju czyścił sam sobie i nakładał fajkę: „Patrz!—rzekłem patetycznie, chcąc go rozweselić—niechżeby teraz twój szanowny Prefekt Kowieński śmiał mówić, że poezya wiatr tylko zasiewa i zbiera; albo niechże kto twierdzi, że wiek nasz jest mniej poetyczny od dawnych, kiedy w nich przecie poeci umierali z głodu w szpitalach, a dziś mogą wojażować za wiersze.” — Byłem pewny, że się zaśmieje;—ale on patrzył nachmurzony i milczał, „dymy tylko ciągnąc z cybucha.”—„Cóż to jest? czy się gniewasz?” zapytałem zdziwiony.—„Za cóżbym się miał gniewać?”—odpowiedział łagodnie. Ale wiesz ty co ja myślałem? Pamiętasz tę scenę w *Orlando Furioso*, kiedy on obaczywszy pierwszy raz broń palną, wywozi ją na morze i topi, przewidując z niej upadek odwagi i siły osobistój? Otoż i ja myślę, że jak skoro poezya zacznie przynosić złoto, to się sama powoli w bałwochwalstwo złota zamieni, i upadnie, jak wiara w każdym bałwochwalstwie. Póki poeci pisali tylko dla chwały, musieli myśleć nad tém, jakby na nią zasłużyć; a i złoto niekiedy było im *przydane*. Jak zaczną pisać dla złota, skończą na tém, że ani chwały, ani złota warci nie będą. Protektorat królów i panów sto razy był mniej niebezpiecznym dla poezyi od protektoratu xięgarzy i dziennikarzy. Król czy pan, kiedy protegował poetów, to musiał przecież lubić poezyą i mniej więcej znać się sam na niej. Żeby

więc zyskać względy Mecenasa, trzeba było coś dobrego napisać. Księgarzowi nie idzie o wartość, ale tylko o odbył książki; dziennikarz pragnie tylko pomnożyć prenumeratorów. Płacą tylko to, co popłaca; to jest, co trafia do gustu—nie znawców, których nie wielu; nie massy prostaczków, która książek nie czyta, choć możeby uczuciem najtrafniej mogła wyrokować o nich; ale właśnie do gustu istotnego gminu we frakach: do półmędrków albo próżniaków, którzy mogą i gotowi są kupić książkę, ale tylko dla tego, aby ją sądzić i rozprawiać o niej, albo żeby ich ona rozbaawiła w nudzie. Sąd ich nie daje chwały, ale daje popularność i odbył. Poeci, gdy to poczują, kto wie, czy nad chwałę po śmierci nie przeniosą popularności za życia? Żaden z wielkich poetów nie był od razu popularnym dla tego, że trzeba było czasu, aby współczesna publiczność do pojęcia jego podrosła. Podrastała prędzej lub później, w miarę stopnia światła i ciepła, jakie przezeń spływały na nią, albo też według punktu wysokości poety. Promień słońca w ośm minut dochodzi ledwo do ziemi; od gwiazd stałych idzie przez lata; meteor w okamgnieniu zalsni wszystkich oczy. Ubiegający się za popularnością, dbać tylko będą o sąd — nie wyższości, ale większości; a większość ludzi — to mierność. Mierność w poezji, to jak obojętność w religii. Gorsza ona od bezbożności. Z wielkich grzeszników bywają wielcy pokutnicy; obojętność ani do cnoty, ani do skruchy nie budzi. Poezja w ubóstwie, była jak chrześcijaństwo w kata-

kumbach. Honorarya xięgarskie dla poezyi, staną się może tém, czém bogate prebendy dla wiary.”

A mówił to, i tam dalej, z taką miną i takim tonem, że brakło tylko rymów i średniówek, aby to za improwizacyą poczytać.

— „Ale nie desperujże tak bardzo! rzekłem. Wiele wody w Niemnie upłynie, nim pokusa ta dójdzie do nas, a bodaj że i nigdy nie przyjdzie.”—I przypomniałem jak mnie samemu, szanowny nasz pan Józef ¹⁾ polegając na zdaniu Szydłowskiego, po przejrzeniu z nim razem w rękopiśmnie pierwszego tomu ballad i Grażyny, które mu w tym celu przyniosłem, nie chciał dać stu dukatów w gotówce, ani 500 exemplarzy w naturze, za oba te tomy na wieczność.— „A oto złoto, co teraz tu leży—dodałem—i co ci przyszło za drugie już ich wydanie, jest tylko przydatkiem do chwały i owocem ogólnego współczucia, jakie same przez się wzbudziły.”

Tu Adam zaczął śmiać się na dobre, i opowiedział, jak raz z Daszkiewiczem ²⁾ w Moskwie, przeglądając dla zabawy listy prenumeratorów, umieszczone, jak wiesz, na czele pierwszych tomów poezyi jego i moich ramot, wydanych w Wilnie, pomiędzy tysiącem ich przeszło, nie mogli naliczyć stu takich, o którychby z sumienną pewnością można było rozu-

¹⁾ Zawadzki, założyciel znanój po dziś dzień firmy xięgarskiej i drukarskiej w Wilnie.

²⁾ Cypryan Daszkiewicz, uczeń uniwersytetu wileńskiego między rokiem 1820—1823, a później towarzysz pobytu Mickiewicza w Moskwie.

mieć, że owe dziesięć złotych na prenumeratę ze współczucia dla samych tylko wierszy złożyli. A i ci jeszcze składali się w znacznej części z przyjaciół i kolegów uniwersyteckich, którzy oprócz osobistych stosunków, będąc sami głównymi kolektorami, musieli naprzód, dla dobrego przykładu, zapisać się w rejestr prenumeratorów. Po nich było najwięcej papieniek, którym kolektorowie ci, ma się rozumieć, naprzód pewno ofiarowali bilety, a których one, ma się także rozumieć, żenowały się i wstydziły się nie wziąć. Dalej szli już tylko sami dygnitarze i dygnitarki, ze szczegółowem wymieniem posiadanych tytułów, z których można wnioskować na pewno, że żaden z nich wierszy nie czyta, a bilet wziął tylko dla tego, aby się od napaści odkupić, albo téż być wydrukowanym w liście prenumeratorów. Jedyni więc, których rzeczywiste współczucie nie mogło ulegać wątpliwości, byli chyba studenci szkół powiatowych; bo im nikt pewno biletów gwałtem nie wtykał, a dla każdego z nich złotych dziesięć było już rzeczywistą ofiarą.

Zaprzeczyłem tym jego satyrycznym domysłem, powołując się na rychłe wyczerpanie reszty edycji piérwszój i na szybkie rozchodzenie się drugiej, choć już w niej listy prenumeratorów nie było; w Warszawie zaś, gdzie cała sprzedaż dzieł jego przechodziła przez ręce Waleryana ¹⁾ i moje, nikt ich przecież ani

¹⁾ Krasieńskiego, o którym była już mowa w poprzednich listach.

przez przymus, ani dla osobistych stosunków nie kupował. Ale on znalazł replikę i na to, przypisując to zwłaszcza walce klasyków z romantykami, która tyle narobiła hałasu, że każdy był ciekawy widzieć sam przez siebie, czy rzeczywiście jest tak „*ciemno wszędzie i głupio wszędzie*,” jak to Osiński, parafrazując *Dziady*, o wszystkich jego poezjach zawyrokował.—Koniec końców, pomimo wszelkiej elokwencji mojej, nie mogłem wymódz na nim przekonania, a raczej może tylko zmusić go do przyznania, że to złoto, które tymczasem znowu zawijałem w rulony, było dowodem uznania wartości i współczucia dla poezji jego. Uparł się i został przy swoim, że powodzenie ich winien był głównie: w Wilnie—przyjaźni kolegów, a w Warszawie — nieprzyjaźni klasyków.

Piszę ci to wszystko dla tego, abyś sam sobie wyciągnął ztąd wnioski, jak on poezją w ogólności, a jak sam swoje autorstwo traktuje. A przypomnijże sobie np. Gosławskiego, jak on mówiąc o swoich wierszach, a cóż dopiero czytając, zaraz jak gdyby ornat i infułę przywdziewał, a wszystko, co raz napisał, za sakramentalne już słowa uważał! To też: „taki owoc, jaki krzew; jaki śpiewak, taki śpiew!”—Spodziewam się zaś, że sama ta dygressya będzie cię interesowała więcej, niż jednolity ciąg dyaryuszu, który z samej natury rzeczy tak byćby musiał jednostajny i nudny, jak podróż w dylizansie—w którym, od czasu podróży z tobą do Puław, pierwszy raz teraz z Wejmaru jechałem.

Bojaźń więc aby się na czas nie spóźnić, a którą i Adam podzielał, sprawiła, że pomimo perswazyi przyjaciela mojego kellnera, który chciał nas koniecznie napić jeszcze kawą „pod Słoniem:” godziną przed dylizanssem, który przyjsć miał z Lipska, byliśmy już na stacyi pocztowej, w towarzystwie pocztowego Davida, którego nawet deszcz ulewny, jak z wiadra, nie odstraszył od przeprowadzenia Adama. Pana Wiktora pożegnaliśmy w łóżku, i ja mu mianowicie wyperswadowałem, aby będąc zakatarzonym nie narażał się na wilgoć. A miałem w tém i własny interes, aby go na poczcie nie bawić. List do ciebie, pisany w nocy, mogłem albo wrzucić do skrzynki, albo oddać w teź same rączki, którym zwykle powierzałem poprzednie—ma się rozumieć, dla więkšej pewności. Miało to zależeć od czasu. A że po wypiciu kawy na poczcie, miałem go jeszcze przeszło pół godziny: ulewa nie była przeszkodą, ażebym nie miał przebiez jakich pięćset kroków do mieszkania pana pocztmistrza. Exkuza tak rannój wizyty nie była trudną. Chciałem na samym ostatku pożegnać i podziękować tym, od których na samym początku pierwszój w Wejmarze uprzejmości doznałem. Milutka gospodyni przyjęła to wdzięcznie; chciała zaraz częstować kawą—ale ja wolałem jój obecność. Głos trąbki dylizansowej położył koniec rozmowie; i pomimo zapewnień, że to dopiero jest hasło przyjazdu, i że trzy razy potém trąbi się na odjazd, musiałem, dla ułatwienia się z rzeczami, pożegnać śpiesznie najpięrszą tu znajomość moję, która obiecała mi *herzlich*

nie zapomnieć mojego nazwiska, i listy, jeżeliby jakie przyszły, odesłać *poste restante* do Rzymu.

Przed pocztą, jak korab Noego, stało już ogromne karcisko, *Eilwagen*, mające nas ochraniać w podróży od prawdziwie potopowego deszczu. W izbie gościnnéj bawił mię ruch i pośpiech, z jakim nowoprzybyli posilali się kawą lub *Frühstückem*, a jakiś tłusty jegomość pluskał się umywając jak szpak, w ogromnéj farfuruwéj misce, których kilka nalanych wodą, w tym celu widać czekało na gości. Adam zaczął mię indagować gdzie byłem; a że nie miałem ochoty do opowiadania, sam się rzeczywiście domyślił, i opowiedziawszy to po swojemu Davidowi, polecił mu z wielką *emfazą*, aby powtórzył to znajomym naszym damom. Odbiłem wszakże ten zamach nadzieją: *que celui, qui fait parler le marbre, saura aussi se faire comme lui*; na co David, jak nieraz, uściskał mię, śmiejąc się serdecznie, i oświadczywszy: *que mon bon-mot eut sa discretion*, zachować mi ją obiecał. Na tém był koniec naszej miłej znajomości z Davidem; bo w téj chwili zabrzmiała trąbka, i wszyscy hurmem rzucili się do drzwi, spiesząc każdy na swoje miejsce.

Eilwagen jest na 12 osób; dziewięć we środku, trzy w kabryolecie. Z Lipska przybyło ich jedenaście, nas sześciu nowych czekało na poczcie. Ale że dwaj jacyś Anglicy pozostali w Wejmarze, nas więc trzech, jako wcześniéj zapisanych, wpuszczono do środka arki, (w której żadnéj, niestety, gołąbki nie było); dla reszty zaś zaprzężono *Beywagen*, to jest kryty po-

rządny parokonnny powóz, nakształt dorożek warszawskich, tylko że z wygodniejszym siedzeniem na przedzie, który się nazywa *Kutsche*, (bo nie wart nazywać się *koczem*), i w jakim właśnie jechaliśmy ciągle najętym furmanem z Karlsbadu. A tak tu jest urządzona komunikacya pocztowa, że dla jednego nawet passażera, który się nie pomieści w karecie, zaprzęga się osobny *Beywagen*, bez żadnej za to szczególniejszej opłaty.

Trzecim naszym kolegą podróży, był też brat w Apollinie, i to nawet nie lada poeta niemiecki, Karol *Töpfer*, z Göttyngi, dramaturg i powieścio-pisarz, którego wiele komedyi używa wielkiego powodzenia na wszystkich teatrach w Niemczech. Tytuł jednej wiem że jest: *Der beste Ton*. Widzieliśmy go z daleka na obiedzie w dzień urodzin Göthego, a potem, spotkaliśmy i poznaliśmy na ostatnim wieczorze u państwa Peucer. Przepraszał, że nie był u nas z wizytą ekkuzując się chorobą, która dwa dni po tym obiedzie trzymała go w domu i w łóżku. O stanowisku jego literackim opowiadał nam gospodarz domu. Musi mieć lat najmniej czterdzieści, i bardzo jest uprzejmy i grzeczny. Ucieszyliśmy się więc nawzajem, że mamy podróżować razem aż do Gothy. Ale nie jemu to wszakże winniśmy pryncypalną przyjemność téj podróży; przyjemność taką, że pomimo ciągłego deszczu, zamknięcia i całonocnej jazdy, stacye mijały niepostrzeżenie, i żal było chwili zdrzemaniam, która jedynie przerywała rozmowę. Tym tak uroczym interlokutorem, był baron Alexander Meyen-

dorff, z Kurlandyi, urzędnik z ministerstwem finansów, podróżujący po Europie w interesach banku, a mieszkający najczęściej w Paryżu. Słyszając go na-przód mówiącego z Anglikami, z którymi przyjechał z Lipska, wziąłem go był za rodowitego Anglika, bo nic a nic nie rozumiałem. Ale gdy się odezwał do Niemców, byłem znowu pewny, że Niemiec. Nakoniec, gdy wpatrzywszy się w Davida, zbliżył się i przypomniał, że był mu przedstawiony na wieczorze u p. Villemain'a, przysiągłbym, słysząc jego harkawą wymowę, że być musi Paryżanin *rasowy*. „Jezus Marya! rzekłem do Adama, a to jakiś stujęczyczny Briarey!” — Uśmiechnął się, i grzecznym ku mnie ukłonem, dał nam jakby do zrozumienia, że i ten język rozumie. *Obstupui*. On zaś tymczasem, dowiedziawszy się od Davida o nazwisku Adama, zarekomendował mu się sam pierwszy, mieniąc się przyjacielem albo dobrym znajomym wszystkich znajomych jemu poetów i literatów w Petersburgu i w Moskwie, od których i przez których, jak mówił, nauczył się znać go i cenić. Zawiązana tym sposobem na stacyi znajomość, rosła i dojrzewała szybko w Eilwagienie; ku czemu sama jego fizyognomia, dziwnie miła i ujmująca, (oczy zwłaszcza osobliwszej jasności), nie mało się też przyczyniała. Ale gdybym ci choć w setnej części mógł powtórzyć jego rozmowę „o wszystkich rzeczach i o wielu innych,” a mianowicie o najznakomitszych ludziach, towarzystwach i okolicznościach społecznych, których i które zna najdoskonalej: miałbyś z tego, jak i ja miałem, większą sto razy

korzyść i przyjemność, niż gdybym ci opisał najszczegółowiej to wszystko, co po drodze tu i ówdzie widziałem; a raczej, cobym mógł widzieć choć przez okno karety, albo podczas krótkich przystanków, gdyby mgła i deszcz ciągły nie zasłaniał Bożego światła. Bo cóżby w tém np. być mogło ciekawego dla ciebie: że wyjechawszy przed dziewiątą z Wejmaru, obiadowaliśmy w Erfurcie, (mieście forteczném)? że piliśmy kawę w Gotha (stolicy księstwa), gdzieśmy się rozstali z Töpferem, miłe sobie nawzajem ślubowawszy wspomnienie? że przejeżdżając przez Eisenach, widziałem zdala piękny kościół gotycki, a przed miastem piérwszy raz w życiu szubienicę, na której szczęściem nikt się wtedy nie huśtał? że po całonocnej podróży z Eisenach, o wschodzie słońca stanęliśmy w Fuldzie, a ztamtąd, przejechawszy przez Hanau, (sławne zdradą Bawarów podczas rejterady z pod Lipska), o piątój po południu już byliśmy we Frankfurcie—z niemniejszą może radością wysiadając z zadusznój karety, jak niegdyś owi Grecy z drewnianego konia, w którym przez rogatki Trojańskie nieproszeni i niespodziewani wjechali? Jakbądź zaś oni mogli być spragnieni krwi wrogów, to my przecież, wilgocią przesiękli do kości, goręcej pewnie pragnęliśmy szklanki ponczu, o którym samo marzenie i rozmowa w podróży, dodawały nam siły do znoszenia chłodu, wbrew niejako wątpliwości Szekspira, który pyta:

„Czyż dojmujące stępić ostrze głodu
Samém marzeniem obfitój biesiady?

Lub brnąć rozkosznie po grudniowym śniegu,
Marząc o letniem cieple południowém?"

Pierwszą téż przeto czynnością naszą we Frankfurcie, było zrealizować to rozkoszne marzenie. Ale *o! horror!*—w jednej cukierni: „*kein Punsch;*” w drugiej, *kein;* w trzeciej i czwartej, toż samo. „*Aber um Gotteswillen!*—zawołał zniecierpliwiony Adam—*„haben Sie doch kein warmes Wasser und keinen Tropfen Rom's?"*—*„Ah! also Sie wollen Grog haben?"*—Dowiedzieliśmy się więc tedy na wstępie, że to, co my zowiemy *ponczem*, nosi tutaj nazwisko *grogu*, a poncz jest produktem angielskim, którego we Frankfurcie nie dostać. Adam wyciągnął z tego osobliwszy wniosek, że tu widać „mądrzy ludzie” mieszkają; bo najsmutniejszym, podług niego symptomatem moralnego i umysłowego usposobienia mieszkańców jakiego miasta, jest prosperujący w niem stan handlu wykwinnych zamorskich delikatesów, w czém się razem i materialny sybarytyzm i płochę marnotrawstwo objawia. W ślad za tém nastąpiła apologia Wilna, która za lada powodem zawsze mu na usta powraca, a mianowicie, że w niem nigdy nie tylko żadnego morskiego straszzydła, ale nawet ani ostrzygi nie widział; co zaś do łap niedźwiedzich, które jadał w Szczorsach, (a o których ja napomknąłem), toć przecie jest specyał miejscowy, który się łączy raczej z tryumfem i trofejami myśliwstwa, a nie smakowi tylko lub próżności dogadza.

Dano nam tedy *grogu*, a z nim razem przyszły na pamięć i Szyllera piosnki o ponczu, który widać

musiał go lubić nie lada, kiedy aż dwie o nim napisał. Ale nie darmo zowie go *sokiem ognistym* (Feuersaft), „*der gibt Leben dem Leben*.”

„*Und erfreuet alle Sinnen,
Und in jede bange Brust,
Giesst er ein balsamisch Hoffen,
Und des Lebens neue Lust.*“

A do czego ja z doświadczenia dodaję:

I pomimo w Eilwagenie
Niedospaną, dżdżystą noc,
Sen precz z oczu, chłód z krwi żenie,
Nową w członki wlewa moc.

I skutkiem tego, zamiast pójść spać—poszliśmy jeszcze o godzinie siódmej na teatr. Grano operę Beethovena, *Fidelio*. Teatr mniejszy od Warszawskiego i wcale się nie odznacza świetnością. Nim się kurtyna podniosła, z ciekawością przeglądałem publiczność. Po łóżach same damy, dość strojne, ale ładnych nie wiele. W krzesłach same poważne *Bürger*y, z miny i z tuszy najpodobniej kupcy,—bo właśnie jest tu teraz sławny doroczny jarmark. Z powierzchni ich ekonomista mógłby śmiało wyciągnąć wniosek, że handel kwitnie i prosperuje w Niemczech. Rząd zwłaszcza krzesel po za nami wyglądał jak grządka piwonii;—i wiesz, że przyszło mi na myśl, czy *piwonie* nie wzięły czasem swego nazwiska od okrągłych, pełnych i czerwonych twarzy *piwo-szów*?—Adam unosił się nad uwerturą; mnie zaś mu-

zyka w ciągu drugiego aktu zachwyciła w kraj tak cudny, tak uroczy, tak pełny harmonii i blasku, że mi dziś jeszcze żal pomyśleć o nim; i trzeba było takiego okrutnika jak Adam, aby klapnąwszy mnie nagle po ramieniu, wrzasnąć—jak mi się zdawało—nad uchem: „Ty śpisz!” Ocknąłem się więc przestraszony, i aż mi się gorąco zrobiło ze wstydu. Ale zastanowiwszy się bliżej, pomyślałem, i teraz myślę, że to był właśnie największy tryumf i efekt muzyki, kiedy do takich marzeń nastroiła duszę. Powodem zaś ich przerwy, niestety, było—że już podobno zaczynałem chrapać. Mimo to, i na jawie jeszcze goniłem myślą rozwiane obrazy, przy których i dalsze chóry, i Primadonny na scenie pobladyły, a które mi dziś znowu przypomniała widomie prześliczna Aryadna, wsparta na lwie, z białego karraryjskiego marmuru, dłóta sławnego Dannekera, znajdująca się w jednym z tutejszych ogrodów (Bettmana). Bo takie to właśnie postacie, tylko że nie z kamienia, tańczyły mi przed oczyma w śnie owym. Skoro zaś o nich dotąd z przyjemnością pamiętam, to zapytuję sam siebie: jaka jest dla mnie różnica pomiędzy realnością tych marzeń i tego posągu? Jedno i drugie widziałem; jednego i drugiego nie zobaczę więcéj; a skoro ich obraz zarówno w pamięci i wyobraźni mojej pozostał, to czyż one zarówno nie istniały dla mnie? To téż nie jestem wcale daleki od myśli, że to nie był tylko po prostu sen, ale raczéj *jasno-zajrzenie* w Platoński świat ideału, do którego mię jedna *piękna* sztuka, czy raczéj Muza, wprowadziła; druga popi-

sywała się w nim ze swoim baletem; trzecia go przypomniała i wyrzeźbiła w pamięci; czwarta zaś i piąta, to jest malarstwo i poezya, ani piękniejszego nie stworzyć, ani uczucia i wyobraźni żywiejby poruszyć nie mogły. I dla tego to piszę o tém tak długo, a nie żebym się miał ekuzować, że po dwóch prawie bezsennych nocach, w wygodném krześle, w ciepłe i po ponczu, dałem się usnąć Syrenie—to jest operze Beethovena.

Ale cóżby to tobie jeszcze o realnym Frankfurcie powiedzieć? Widziałem go wprawdzie u stóp moich, z wierzchołka wieży katedralnego kościoła, na którą tyle wschodów, co dni w roku, prowadzi; ale nie mając obok „*kulawego djabła*,” coby umiał zdejmować dachy, (n. b. nie czerwone z dachówek, ale szare z łupkowego kamienia), tyle tylko mogę powiedzieć, że miasto zbudowane jest ciasno, otoczone bulwarami i ogrodami, i że dwie tylko inne wieże, prócz téj, z której patrzałem, wysterkają wyraźniej nad wysokie domy. Okolice nic szczególnego; na zieloném tle winnic, mnóstwo małych wioszczyn bieleje. Men mniej szeroki niż Wisła; ale że to rzeka niemiecka, nie wzbiera, nie wysycha i dna coraz nie zmienia, widać więc zeglujące i parujące po niej statki różnej wielkości. A i my jutro tąż drogą poparujem ztąd do Moguncyi. Kościół katedralny, gdzie się Cesarze Niemieccy do ostatnich czasów koronowali, zbudowany jest w kształcie krzyża, w imię którego panowali światu. Bursa, w której dziś Rotszyld, w imię złota i wexlu, zamiast *Złotój Bulli*, króluje, nie od-

powiada z pozoru swojej nowotnej w naszych czasach potężna. Ogromne i stare domisko, z podłużnym dziedzińcem we środku, na którym tłok prawdziwie jarmarczny. A i coż za drzwi: wszak to Forum dzisiejsze. Półki dawne kwitnęły w Romie, bazyliki kielkowały w katakumbach. Kiedy one rosły pod niebo, alchemicy i bankierowie siedzieli po lochach. Teraz kolej wzrostu na giełdy—a ta stara Rotszyldowsko-Frankfurcka, wygląda na ich *Alma Mater*.—Główna ulica *Zeil*, szeroka i piękna. Mnóstwo żebraków różnego kalibru: chłomi, ślepi, starzy i mali, dudlą, brzęczą, rzempolą na różnych instrumentach, albo pozytywkami wtórują sobie do śpiewu. Od Wilna nigdzie tylu nie widziałem żebraków. Adam mówi, że to dowód bogactwa mieszkańców, jak u nas tłum i świergot wróbli po wioskach, świadczy o urodzajności ich gruntów. I nie słyszałem nigdy takiej apologii żebractwa. Żebracy w chrześcijaństwie, zdaniem jego, są potężną pomocą zakonów, podnoszących i uświęcających ubóstwo, dla obudzenia przez nie między ludźmi praktycznej miłości bliźniego i całego szeregu cnót chrześcijańskich, jakimi są: litość, miłosierdzie, pokora i duch poświęcenia. Zimny tylko protestancki rozum i rejestrowa na papierze gospodarność kupiecka, mogły podać myśl, aby usuwając ubogich z przed oczu szczęśliwców tego świata, opiekę Opatrzności nad nimi zastąpić przez dozór policji, a dobrowolną ofiarę miłosierdzia, zamienić w podatek dla nich. Ale będzie może kiedy i z nimi, co już było z wróblami w Prusiech.

Wytępiono je wszędzie, że wyjadały zboże; a oto tyle w ślad za tém namnożyło się rozmaitych owadów, które wróble widać niszczyły, że je musiano z za morza okrętami znowu sprowadzać. Bo i ktoś potrafi obliczyć, ile uczuć i myśli chrześcijańskich może na dzień obudzić w przechodniach widok ubogich na ulicach miasta, lub ile przez to samo myśli i uczuć przeciwnych, może być wyrugowanych z ich duszy?

Ale *à propos* bogactwa i ubóstwa:—mam ochotę, na zakończenie tego listu z Frankfurtu, opowiedzieć ci jeszcze o tutejszym Rotszyldzie, co nam opowiadał pan Meyendorff, a sam słyszał od księcia Pückler-Muskau, słynnego podróżnika, który jest przyjacielem bankiera. Raz po świetnym obiedzie u niego, książę zostawszy z nim sam na sam i rozmawiając w ogólności o szczęściu, wyraził mu swoje przekonanie, że się on czuć musi szczęśliwym. Rotszyld odpowiedział z uśmiechem: „Tak jest, czuję się rzeczywiście szczęśliwym, o ile nim człowiek być może; ale wcale nie z powodu bogactwa, jak to pan może rozumiesz. Mam dobrą żonę, pocziwe dzieci, pokój domowy i życzliwość ludzką. Ależ to wszystko i bez bogactwa mieć można. Uważałeś pan może przy obiedzie, że nie tknąłem ani jednej z tych potraw, które podawano dla gości. Stan zdrowia mego jest taki, że wymaga najściślejszej dyety. Jadam zazwyczaj dwie tylko potrawy,—które dla mnie osobno stara moja kucharka przyrządza. Nie piję nic prócz wody i kieliszka wina. Chwaliłeś pan, jako znawca, moje konie na stajni; ale te służą tylko dla moich dzieci.

Ja mam dla siebie dwa stare, któremi jeżdżę, i których się nie boję. Mieszczę się, jak pan widzisz, w dwóch tylko pokojach, bo obszernych salonów nie lubię, i one są tylko dla gości. Sądz więc pan sam, czybym ja tego wszystkiego nie mógł mieć i bez mojego bogactwa? Raz kiedyś rozumiałem istotnie, że mi ono może dopomódz do szczęścia; ale właśnie stało się przeciwnie. Będąc młodym, kochałem młodą osobę, pełną zalet, ale ubogą. Chciałem odwdziżyć jój miłość, podzielałem z nią pomyślności światowej. Ojciec mój wzbronił mi tego. Wyszło mi to może na dobre, bo powtarzam, że mam zacną i cnotliwą żonę;—ale wtedy czułem się bardzo, bardzo nieszczęśliwym, i przypisywałem to właśnie bogactwu.”—Słowa te z ust Rotszylda są dla mnie nieocenionój wartości; warte złota, co dziś z jego kantoru wyniosłem;—bo utwierdzają mnie w dawno powziętym przekonaniu własném, a uwalniają od porównania z owym lisem w bajce:

„Który skacząc napróżno przed dojrzałym gronem,
Nie dostawszy, rzekł: „kwaśne!“—i machnął ogonem.“

Bo co do mnie—o ile dotąd czuję się szczęśliwym na świecie, (a szczęśliwszego nie spotkałem jeszcze), przypisuję to między innymi i temu, że na mnie trzos Plutusa nie ciąży. Gdybym np., broń Boże, miał być jak ty dziedzicem dostatecznej fortuny: czyżbym nie musiał jak ty siedzieć w domu i dopomagać ojcu w utrzymywaniu gospodarskich rejestrów i rachunków, których nie cierpię: zamiast kiedy szukając

pracy dla chleba, mogę wynaleźć sobie taką, którą lubię, a która mię nie tylko chlebem, ale może i duchem pożywić? A cóż dopiero mówić o tej straszliwej fatalności bogatego panicza, który albo musi być w obec piękności niemy ciągle jak syn Krezusa, aby go nie podchwycono za słowo; (kto wie, czy i on nawet nie z tego oniemiał?)—albo uciekać od nich, jak Endymion od bogiń, aby mu która sama nie narzuciła się gwałtem; i na dobitkę jeszcze nigdy nie być pewnym, czemu która, patrząc na niego, rumieni się, uśmiecha się, lub wzdycha. A nie ma dla mnie doskonalszej definicyi światowego szczęścia, jak w tej piosence:

„Patrzcie, bogacze świata,
Jak mało człeku trzeba!
Kochanie w młode lata,
Na starość kawał chleba.“

Ani téż trafniejszego orzeczenia bogactwa, jak dał Jan Kochanowski, mówiąc:

To pan zdaniem mojem.
Kto przestał na swojem.

Bądź zdrów.

Post-scriptum.

Moguncya, 4 Września 1829 r. w nocy.

Pożegnanie z p. Meyendorffem, który z Frankfur-
tu pojechał do Baden, zostawiwszy nam list reko-
mendacyjny do przyjaciela swojego, Wilhelma Schlegla, w Bonn, i miłe towarzystwo dwóch spotka-
nych młodych ziomek: hrabiego Henryka Poto-

ckiego i pana Alexandra Ostrowskiego, z którymi razem zwiedzaliśmy miasto: tak nam zajęły dzisiaj cały czas we Frankfurcie, że mi go już nie stało na odniesienie tego listu na pocztę, przed odejściem parowego statku, na którym o godzinie drugiej z południa, odpłynęliśmy Menem do Moguncyi, zkad za to masz to *post-scriptum*.

Dzień był jasno-pogodny, ale wiatr tak silny, tak szarpał i szeleścił płaszczami, jak czerwoną banderą na statku, z białym napisem: *Stadt Frankfurt*, że niepodobna było ustać na pokładzie, i mimo ciekawości widzenia okolic, musieliśmy zejść do kajuty: szczęściem że jasnej, obszernej i otoczonej sofami, na których można było rozsiąść się wygodnie, i chcąc, drzemać jakby w kolebce kołysanej falami. Adam mówił, że ile razy gdzie płynął, czy to okrętem, czy czółnem, zawsze miał wiatr przeciwny wprost w oczy. „Al zmiłujże się, nie chwal się z tém, rzekłem, bo cię Niemcy gotowi jeszcze gwałtem wysadzić na brzeg, jak kiedyś może pławiliby jak czarownika.” — A nie miła też to perspektywa i dla towarzysza podróży! Jest to jak siadać grać w *kixa* z partnerem, który zawsze przegrywa. Ale że mnie za to przeciwnie wszystko dotąd idzie jak z płatka, ciekawy tedy jestem, czyj wpływ nakoniec w podróży naszej przeważy?—Z tego przyszło mi na myśl, że dla jakiegoś Pigault-Lebruna byłby to niezły wcale przedmiot do powieści, wystawić dwóch takich ludzi, podróżujących razem, i jak te same przygody i okoliczności, jednemu zawsze na dobre, drugiemu na złe wycho-

dzą. Adam pochwycił ten pomysł, i zaczął zaraz po swojemu wymyślać sceny, jak coraz nowi przyjaciele i przyjaciółki szczęśliwca, których on na każdym kroku spotyka, nudzą i wprowadzają w kłopot jego towarzysza. Zaczepiony w ten sposób, musiałem stanąć ku odsiecz, i zdobyłem się wzajemnie na parę scen, w których *namormoszony* humor i niemota od-ludka, narażają go na ciągłe zajścia z furmanem, z oberżystą, (jak w komedyi Fredry), i nakoniec z ładną panienką, które potem biedny towarzysz musi jakoś łagodzić i godzić. A że wzorki były wzięte z natury, a przy ostatnim zwłaszcza stał mi w żywej pamięci obraz pięknej panny Celiny, z łaski jego niegdyś płaczącej: odciąłem się więc jako tako, tak, że Adam śmiejąc się i kręcąc głową, oświadczył, że z wielkiem podziwieniem swoim, zaczyna upatrywać we mnie żyłkę dramatyczną. To mię, wyznaję, połechtało po sercu; ale przedewszystkiem poczułem, jaka to być musi przyjemność, w dobrym humorze i w dobrej komitywie z przyjaciółmi, układać wspólnie jakąś komedję czy powieść, jak to zwykli czynić Francuzi. Zaproponowałem więc próbkę w tym rodzaju. Adam zgodził się i podał tytuł: „*Podróż Imć panów Kaspra i Baltazara;*” formą zaś miał być dyaryusz, który każdy z nich co wieczór pisze osobno dla siebie. Wiem ja dobrze, że w końcu nic z tego nie będzie; ale tymczasem ubawiliśmy się serdecznie, planując ów zamek na lodzie.

Marzenia przerwał okrzyk: *Hochheim, meine Herrn! Hochheim! Wer wünscht Hochheimern*

kosten?” Był to kellner w szlafmocy i w białym fartuchu, wnoszący kilkanaście półbutelek wina, z zielonemi kieliszkami na tacy. Dowiedziałem się od sąsiada, że przepływamy właśnie około sławnych winnic Hochheimu. Sama wioszczyzna czy miasteczko niewielkie, ale winnice, jak okiem zajrzeć, rozciągają się szeroko na prawym brzegu rzeki. Wino kwaśne, jak wszystkie reńskie; Adam—nie ja—znajduje, że smaczne. Ale jeżeli każda sławniejsza winnica ma być witana podobną libacją, to odbywający podróż po Renie, muszą ją chyba kończyć w objęciach Morfeusza.

„*Rhein! Rhein!*” ozwały się znów głosy w kajucie, i siedzący zaczęli się poruszać, jedni zaglądając do okien, drudzy tłumnie wychodząc na pokład. Wyszliśmy więc i my za innymi—i dziwnej wspaniałości widok roztoczył się przed oczyma naszemi. Szeroki jak dziesięć Niemnów, jak zwierciadło nieba błękitny, a jak ogniem gorejący od słońca—w lewo i w prawo, na tle nieprzejrzanéj równiny, rozwijał się, jak w pełni i w blasku swéj chwały, poważny król rzek europejskich—cicho, spokojnie, a majestatycznie.

Pierwsze wrażenie, którego doznałem, przypomniało mi pierwsze obaczenie Göthego. Adam mówił, że widzi Druidów i Rzymskie legiony Cezara. W istocie zaś widzieliśmy wprost przed sobą, na lewym już brzegu Renu, bielejące wśród drzew zieleni, a rozsypane szeroko, większe i mniejsze domy ogromnéj wsi *Weisenau*, a na prawo, skupione w czarną masę wysokie mury i twierdze Moguncyi,

których blask słońca, bijący nam w oczy wprost z za nich, nie dawał po szczególe rozeznąć. Prąd Renu, z podwójną szybkością, porwał ku nim nasz statek— i w godzinę potem niespełna, staliśmy już na szczycie katedralnej wieży, admirując z jednej strony jaskrawy zachód jesiennego słońca, z drugiej ozłoconą jego odblaskiem, we mgle błękitnawej niknącą, szmaragdowej zieloności równinę: mnóstwem wsi i miasteczek, jak białymi perłami usianą, a zachwycającą równie żywnością, jak i malowniczością widoków, tam zwłaszcza gdzie Men wpada do Renu.

Ale sen nie może zmienić się prędkiej, jak się zmienił rodzaj wrażenia, gdy prosto z wierzchołka wieży weszliśmy do środka katedry, pysznej, olbrzymiej, gotyckiej budowy—największej jaką dotąd widziałem—i przy gasnącym już w niej świetle dziennym, oglądaliśmy zwłaszcza grobowce Arcybiskupów i dawnych rycerzy, różnych kształtów i z różnokolorowych marmurów; tudzież mnóstwo posągów Świętych, zdobiących chór przed wielkim ołtarzem, z czerwonego, jak on, drzewa rzeźbionych; gdyż z powodu jakiejś fabryki w kościele, wszystkie obrazy w ołtarzach były zawieszane płótnami. W środku chóru, na przeciw drzwi i wielkiego ołtarza, tron dawnych Arcybiskupów-Elektorów, sklepiony w kształcie katedry, a nad nim Ś-ty Marcin, patron Moguncyi, na koniu, unosi się jakby w powietrzu, podając chustkę jakiemuś choremu. Pomniki te i grobowce przeszłości i chwały ludzkiej, obok świeżych obrazów wiecznie żywej i wiecznie odmładzającej się natury, dzi-

wnie jakos przemawiały do duszy; a zmrok coraz wyraźniej zalegający kościół, i ją zda się również ogarniał.

Adam patrzył pilnie na wszystko i milczał; ja patrzyłam na wszystko, i na niego;—ale nie przewidziałem bynajmniej efektu, jaki na nim widoki te sprawić miały. Jak Correggio kiedyś, nie umiejąc jeszcze rysować, poczuł się nagle malarzem, oglądając galerię obrazów: tak i w nim widać raptem obudził się zmysł malowniczy, który w jego poezjach czujemy. Ledwośmy bowiem, po herbacie w cukierni, pod „Złotego Karpia” wrócili, zaczął naprzód prawić szeroko o właściwościach i potędze malarstwa: jak od razu, nakształt zwierciadła, przedmiot i wrażenia odbija; a potem, gdy ja mówiąc też o tém, przyrównałam, pod względem wyrazistości, malarstwo do spójrzania, a poezją do słowa: on chcąc, jak mówił, wynagrodzić mię za to, oświadczył, że chce zaraz rysować mój portret. Rozumiałem, że mówi żartując, i podziękowałam uprzejmie za ten zaszczyt, mówiąc: że dopóki zdrow jestem i żyję, spodziewam się, że ani anatomii, ani chirurgii, ani takiemu malarstwu za przedmiot do studyów służyć nie będę.—„Nie chcesz? a będziesz żałował!” odpowiedział; i gdy ja siadłam właśnie aby pisać do ciebie, on zapalił sobie dwie świece, i postawiwszy je przed zwierciadłem na stole, od godziny już przeszło rysuje sam siebie, a to z takim oddaniem się i zajęciem, jak gdyby rzeczywiście umiał i rysował.—„Caca, Adalku, caca! ale pora już luli!” wołałam po razy

kilka; ale on ani chce słuchać o spaniu, póki nie skończy swego arcydzieła, nad którym sam się unosi i mnie ciągle do admiracyi przyzywa. Jakoż i admiruję z głębi duszy tę prawdziwie staro-rodzimą, wiejską, bo nie powiem *dziecinną* prostotę, która go w potoczném życiu cechuje. Jeden tylko pan Tomasz ¹⁾ ma coś podobnego. Po światowemu i po chrześcijańsku rzecz biorąc, geniuszem, rozumem i rzeczywistością pokorą, jest on równie wyższy od wszystkich. Nie śmiałybym powiedzieć mu tego; myślę tylko i korzę się sam w sobie, czując z doświadczenia własnego, że:

Nié ma większej rozkoszy na ziemi i w Niebie,
Jak znać, czuć, czić i kochać wyższego nad siebie.

Bądź zdrów!

¹⁾ Zan.

XXIII.

Do tegoż.

Koblentz, 5 Września 1829 r.

Witaj mi, Renie! Tyś jak ślubna wstęga
Dwóch cudów świata: gór i mórz, któremi
Natura wzajem ziemię z niebem sprzęga:
Gór wysokością go sięga,
Mórz je zwierciadłem rozlewa na ziemi!

Witam cię, patryarcho rzekł ty, który
Słyszysz od wieków—to Druidów chóry;
To dźwięk arf *Minny* ¹⁾; to bardów-pielgrzymów
Z cudzych, dalekich ziem; co tu dziś jeszcze
Niosą ci ze czcią hołd pieśni i rymów,
Hołd swój wdzięczności—za natchnienia wieszczę,
Niewyczerpane, jak twa głąb; kwitnące,
Jak brzegi twoje; rozweselające,
Jak wino twoje; co u stóp ponurych,
Dzikich skał twoich rośnie; a na których,
Dzikszej przeszłości jeszcze—bo morderczej,
Bo bratobójczej—ślad do dziś dnia sterczy
W ruinach zamków, tych gniazd—nie sokołów,
Nie orłów, ale sępów; co na połów
Z gór tych czatując, ómiły, nakształt chmury,
Prawa ludzkości i wdzięki natury,

¹⁾ *Minne*, w staro-niemieckim języku znaczy *miłość*; ztąd bardowie niemieccy w wiekach średnich, noszą nazwę *Minnesingerów*, (śpiewaków miłości).

A krew swych ofiar i łzy, jak strumienie
W nurt twój zlewając, plamiły cię, Renie!
Toć i potęgi ich gruz—nie żalobą,
Lecz stał się raczej twych brzegów ozdobą,
Godłem tryumfu ery nowych czasów:
Które po wiekach burz, klęsk i zapasów
Sprawiedliwości z gwałtem, jasną zorzą
Wschodzą nad światem, i pokój mu wróżą.
Pokój!—jeżeli jak ty po równinie,
Od gór duch Boży przez ludzkość popłynie,
A uszanują bieg jego i chwałę
Skaliste rafa i wichry zuchwałę!

Nasamprzód tedy masz rym, świeżo ułowiony dziś w Renie, (rak czy ryba? sam osądz), podczas żeglugi z Moguncyi do Koblentz, a więc właśnie wzdłuż i w pośród tych brzegów, które stanowią główny cel i główny wdzięk podróży Reńskiej, a o których tylekroć marzyliśmy razem, czytając *Childe-Harolda* Byrona. Układałem go leżąc na pokładzie, wsparty głową na kolanach Adama, która mu za to nawzajem służyła za punkt podpory do rysowania ciągle widoków gór i ruin, któreśmy po kolei mijali. Zapal ten do rysunku od wczoraj przeszedł w nim jak gorączka w malignę. Do południa zabazgrał cały swój pugilares; i gdyby nie stanowczy mój opór, na który się zdobyć musiałem, byłoby to i z moim dzienniczkiem. Z początku to mię bawiło; ale potem zaczęło nudzić, a nakoniec już prawie gniewało; tém bardziej, że byłem w niemałym ambarasie, co odpowiedzieć dwóm jakimś bardzo porządnym młodym Niemcom, z którymi się na statku poznałem, a którzy,

widząc go rysującego wciąż z takim zajęciem, brali go za jakiegoś pejzażystę-malarza, zdejmującego na seryo szkice do przyszłych swoich obrazów. Przekładałem więc, że się wstydzę za niego, i że on sam więcej jeszcze powinien się wstydzić, że zamiast tej studenckiej—nie zabawy już nawet, ale po prostu psoty papieru i czasu, nie woli raczej pomyśleć choć o jednym jakim sonecie, któryby obok *Krymskich*, przypomniał kiedyś ludziom, że autor ich pływał też i po Renie, i jak tam patrząc na *Czatyrdak*, wołał: *Ah!*, tak tu, mając przepływać przez *Bingerloch*, wołał czy nie wołał: *Och!*—Ale to wszystko był na ścianę groch. Mówił owszem, że i w Krymie podobnie zrysował wszystkie góry i ruiny zamków. Domyśliłem się więc czego mu tu braknie: to jest żywej, jak tam była, Muzy, coby mu pióro zamiast ołówka ciepłą raczką do ręki wcisnęła. Śmiejąc się pogroził palcem; co zwykle towarzyszy każdemu przypomnieniu albo cytacyi sonetów (nie Krymskich); ja zaś chcąc w nim obudzić poetycką wenę, zacząłem czytać mu głośno niektóre legendy o różnych nadreńskich zamkach, których mi użyczili ci dwaj moi nowi znajomi. Ale gdy i to, zamiast spodziewanego efektu, obudziło w nim tylko ochotę do kreślenia historycznych obrazów: (na co jeszcze musiałem gwałtem wydrzeć i dać mu dwie kartki z mego dzienniczka); zostawiłem go całkiem na pastwę temu demonowi bazgractwa, który choć na tym punkcie znalazł przecież do niego przystęp; i usiadłszy sam na przodzie statku, patrzałem, patrzałem, i patrzałem;—aż nakoniec, do-

brze już po południu, brak zupełny czystego papieru i jego też w spektatora tylko przemienił.

Aleś ty pewnie ciekawszy spektaklu, i chciałbyś może, ażeby w tym liście kusił się tak o jego oddanie, jak Adam w swoich rysunkach? Nic z tego, mój dobrodzieju! Gdybym czuł talent i siłę po temu, toćbym już wolał zamiast prywatnego listu, który ledwo kilku przeczyta, pisać od razu wprost do potomności, choćby do przyszłorocznej *Meliteli* mojej. A jednak z drugiej strony, Bóg widzi, że chciałbym z duszy z serca dać ci przecież jakie takie wyobrażenie o tém, com widział; uprzedzam tylko, abyś nie szukał w tém żadnej literackiej wartości, i nie posądzał mię o pretensyą do tego. Bo choć to pięknie brzmi na pozór w piosnce:

„Mierz siłę na zamiary,
„Nie zamiar podług sił!”

ale co w życiu i w prozie, a nawet choćby i w pisanu wierszy, to zdrowy nasz gospodarski rozsądek wprost przeciwną maxymę dyktuje. I co do mnie, wierzę najmocniej, że sam geniusz nawet bezkarnie jęj przestąpićby nie mógł. Tylko że geniusz w wielu razach podobny jest do owego olbrzyma w bajce, który wdziawszy zakłete bóty, stąpa od razu siedmiomilowemi krokami. Patrzącym jużciż zdaleka, zdawać się musi koniecznie, że to czyni nad siłę — nad siłę ich, nie nad swoją; — bo on zna dobrze siłę swoich bótów. Inaczéj, krok każdy nad siłę musi tylko sprowadzać upadek. I w tém to właśnie jest

źródła śnieżności, która tak czysta w jeziorze i w jeziorach, pyszałków i zarumianków spotyka.

Ps tej przedmowie, śmieję już jakas przystępuję do rzeczy—i naprzód, zaczynając od ona, wypisuję ci z „*Guide du voyageur*.” Je Ren, na przestrzeni 150 mil, którą przepływa (wypływający z podnóża Alp Gryzofskich), licze w siebie 2,300 rzek, rzeczek i strumieni rozmaitej wielkości i nosi aż cztery tytuły: „*górną, ryżczy, średni i niższy*.” Owaś ów *średni*, pomiędzy Moguncją a Bonn; a zwłaszcza ta część jego, pomiędzy Moguncją a Koblenz, którąśmy dziś właśnie przebyli; a zwłaszcza ta część tej części, która się nazywa *Rheingau*; ma właśnie owe najpiękniejsze brzegi, i owe najsmaczniejsze—choć zawsze kwaśne—wina, które go wstawiają u świata. Tu bowiem Ren przerzyna w poprzek pasma gór *Schwarzwald* i *Taunus*, zalegające kilkadziesiąt mil kraju wzdłuż i wszerz. Autor *Legend Nad-Renijskich* nazywa kraj ten *apteka*, z powodu mnóstwa mineralnych źródeł, do których należą i Emskie. A więc można go nazwać i *piwnicą*, z powodu win, i *galeryą obrazów*, z powodu malowniczych widoków. A ja jeszcze i to dodaję: że chcąc, można w nim widzieć, jakby w symboliczném streszczeniu, całą dziejową przeszłość, nie tylko jego samego, ale i całej środkowej Europy. I tak np. twierdze Mogunckie—to zabytek dawnych twierdz Rzymskich, gdzie—mówiąc słowy Walter-Scotta:

„Odzie Rzym swe niegdyś orły światowładę
Zatrzymał w locie—i chciwym napaści,
Raz pierwszy kazał: swój tylko strzedz właści;

nie troszcząc się bynajmniej o to, jaką drogą do własności tej przyszedł, i czy ta własność z jego władzy kontenta.—Pierwszą winną latorośl zaszczerpił tu Karol W., który, jako już mocarz chrześcijański, dbał przecież i o dobro swych ludów.—Winnice, stanowiące dziś główne bogactwo i przedmiot krajowego handlu, zakładane i uprawiane były najpierw przez zakonników, którzy pracując duchem w *Winnicy Pańskiej*, za trud ziemski dla dobra braci, zapłaty tylko od Ojca Niebieskiego czekali; i dając przez to przykład pracy *produkcyjnej*, uczyli też zarazem przykładem, w jakim duchu pełnić ją trzeba, aby wiekom pożytek przyniosła.—Klasztory ich, gęsto wśród gór tych rozrzucone—to znowu symbol, jeżeli nie samej miłości, która jest szczytem, to przynajmniej bojaźni Bożej, która jest początkiem mądrości. Większa ich bowiem część, jak świadczą podania, wzniesiona jest przez główniejszych bohaterów *Faustrechtu*, (prawa pięści), którzy, jeśli w bujaniu młodości i pychy, nie zawsze mogli poskromić wybuch namiętności lub gniewu: to przynajmniej chociaż na starość, lub pod wpływem zgryzoty sumienia, kajali się skruchą, w swych grzechach, i sami nieraz w fundowanych przez siebie klasztorach pokutniczy żywot kończyli.—Gruzy warownych ich zamków, dotąd po nad brzegami przepaści, lub po szczytach gór niedostępnych sterczące, czyż to znowu nie symboliczne obrazy ich wewnętrzного i społecznego życia? Zawsze w dzikiem odosobnieniu; zawsze w przewidywaniu napaści; zawsze w niebezpieczeństwie upadku! Gdzie takie ostrożności,

tam już pewno nienawiść; gdzie nie ma miłości społecznej, tam już chyba w tryumfie pychy lub w zdobytych łupach pociechał. To też wszystkie te zamki Grafów i Baronów, były zarazem jak jaskinie zbójców. Oprócz wojen orężnych z podobnymi sobie, nie wstydzono się łupić podróżnych i kupców, zwłaszcza żeglujących po Renie: zrzucaniem z gór ogromnych kamieni druzgocąc ładowne ich statki, które śmiały nie złożyć wymaganéj opłaty.— Cóż to więc za różnica ze starymi zamkami u nas! U nas zamek, to razem i pałac;—pałac owszem więcej, niż twierdza. Wały były zwłaszcza dla tego, żeby było z kąd strzelać na wiat; w budowie więcej o gościach, niżli o załodze myślano; o przyjaciołach więcej, niż o nieprzyjaciołach; bo z tymi niesnaski sąsiedzkie, winem się raczej niż krwią zalewały. Jeżeli dziś stoją ruina, to najczęściej tylko dla tego, że zbyt hojna gościnność jednego lub kilku pokoleń, wyczerpała z góry zasoby, na dalsze ich utrzymanie potrzebne. Ale za to przechodzień, który przeszłość pamięta, jeżeli patrząc dziś na nie, nie zmówi *Aniól Pański* za ich dawnych dziedziców, to przynajmniej na pewno pomyśli w sercu: Szkoda! Tu przeciwnie, większa część tych feudalnych zamków zburzoną została umyślnie, i to nieraz połączonemi siłami Cesarzów i miast okolicznych, chcących przez to krajowi i sobie pokój i bezpieczeństwo zapewnić; a każdy co wie o tém, patrząc na ich gruzy, jeśli się wstrzyma od „*terstuchte Kerle*,” to pewno pomyśli: „*Gottlob!*” że już ich nie ma.

Kończąc zaś tę historyczno-moralną symbolikę kraju, dodam jeszcze, że wpośród wszystkich tych ruin, tych stolic i twierdz *Prawa pięści*, które niegdyś światem rządziło: jeden dziś tylko zamek, a raczej dawny klasztor, *Johannisberg*, nie tylko podniósł się z gruzów, w których leżał czas jakiś jak inne, lecz owszem świeci w całym blasku przepychu i architektury nowoczesnej. A *Johannisberg*—to własność i letnia rezydencya xięcia Metternicha, Arcy-Kancelerza Cesarstwa Rzymskiego, Arcy-Mistrza dyplomacyi Europejskiej, która dziś po Faustrechcie panuje nad światem!—A i wino tegoż imienia, uprawiane na górze zamkowej, ma też może nie mniejsze symboliczne znaczenie. Jest ono najszlachetniejsze i najlepsze ze wszystkich win reńskich; lecz go żaden prosty śmiertelnik i lud Boży nigdy nie pije. Właściciel, oprócz użytku własnego, rozsyła je tylko w prezencie monarchom albo swoim współ-kolegom ministrom; to zaś, co w handlu i na stołach pańskich figuruje pod pseudonimem *Johannisbergu*, w najlepszym nawet razie, rośnie chyba tylko w tych miejscach, z kąd można choć z daleka widzieć *Johannisberg*.

Aleś tu znów pewnie ciekawy, co zacz są, to jest jak wyglądają, te prawdziwe na seryo winnice? Bo już ciż nie możesz przypuszczać, aby były podobne do tych, które widzisz w Zdzieciole, jak nietoperz rozpięte na murze. Jeśli jednak koniecznie chciałbyś podobieństwa, to masz je w naszych chmielnikach. Tylko że chmielniki—to lasy, a winnice—to młode galki. Zdaleka piękne to dla oka: na równinach ja-

ko zieloność; a po górach, jako girlandy, albo wstęgi rzędami naszyte. Adam jednakże utrzymuje, że nawet nasze karłowate jałowce piękniejby jeszcze wyglądały; a cóż dopiero mówić o naszych nad-Niemieńskich dębach, o naszych brzozech w bieli, albo jarzębinie w koralach?—Ale hola! mój domatorze! Nie myśl, że patrząc na to wszystko z okna, masz już coś piękniejszego nad to, po cośmy my tak daleko jechali. Wszystko tu razem wzięte jest cudne, piękne, śliczne, wspaniałe, zachwycające! i patrząc, myśl wtóruje piosence poety:

*Wem es beschieden ist,
Bleib an des Rheins's Strand!
Nirgend hienieden ist
Doch ein so feines Land!*

Ktoś raz miał przed oczyma
Wspaniały, piękny Ren,
Wyznaj, że świat ten nie ma
Wspanialszych, miłszych scen.

Żeby się więc im lepiej przypatrzeć, płynęliśmy już nie statkiem parowym, który dziś nawet w tę stronę nie idzie, ale tak zwanym pocztowym, o żaglach. A że przytém wiatr był pomyślny, zrobiłem uwagę Adamowi, że nie on jest widać bohaterem dzisiejszej naszej żeglugi, i że nie o nim jednym myśli tylko Eol. Zaśmiał się kręcąc głową, ale nic nie odpowiedział.—Ja pierwszy raz płynąłem pod żaglami. Wzdymają się i dyszą jak piersi łabędzie, a nie jak te smocze wyziewy kłębow dymu i pary, któremi syczą i świszczą parochód.

Do około Moguncyi—równiny; góry tylko błękitnieją w oddali. Brzegi i wyspy na Renie walczą o bujność i świeżość zieleni. Od prawej strony góry zaczynają się zbliżać ku rzece, i wnet stają tuż po nad brzegiem. Tu właśnie zaczyna się *Rheingau*. Widoki coraz piękniejsze. Wsie i miasteczka wśród winnic, łączą się jedne z drugimi. Z lewej strony jeszcze równina. Ale wnet dopływa się do miejsca, które, podług mnie, jest jakby reprezentacyjnym zebraniem wszystkich razem piękności i osobliwości Reńskich. To *Bingen*. Tu najświetniejsza po *Johannisbergu* winnice *Rüdesheimu*; tu najpiękniejsza wieś tegoż imienia, tuż obok miasta czy miasteczka *Bingen*. Tu razem Rzymskie i średniowieczne ruiny. Tu Ren nakoniec, w największej szerokości swojej (2,000 stóp), wchodzi nagle jak w bramę gór, i rozlewa się naksztalt jeziora wśród olbrzymich skał okolicznych. Tu „pochwyca w gwałtowne ramiona” jak *Niemen*, dążącą doń z lewej strony rzekę *Nahe*, niemniej, jeśli nie więcej od *Wili* szeroką, i „tuląc ją do zimnego łona,” zakręca się jak w tańcu z podwojoną szybkością, i szumiąc wpada—jak w grotę, jak w wąwóz, jak w ulicę—wpada między dwie ściany stromych, z obu stron tuż nad brzegiem wznoszących się skał; nagich u szczytu, zielonych u spodu; z pośród których niebo u góry wydaje się już tylko jak wstęga, jak druga napowietrzna rzeka, téjże samej co Ren szerokości. A końca téj drogi nie widać! bo się przedłuża na mile; a próg do niej stanowi sławna rafa *Bingerloch*—Charybda Renu! nie dość bezpie-

czna dziś jeszcze, a przed wieki tak niebezpieczna, że trzeba było takiego bohatera jak Karol W., aby ją, podług podania, pierwszy odważył się przepłynąć.

Jest to skała, a raczej łańcuch skał podwodnych, przelegający w poprzek całą rzekę, których trzy tylko ostrza wysterkają nieco nad wodę, a wśród których Ren, dotąd spokojny i cichy, zakręcając pieniste wiry, „i wre, i szumi, i huczy, i pryska,” jak głąb morza w *Nurku* Szyllera. Ale cały ten poetyczny epizod Renu, ma już podobno na rok przyszedł do reszty na powietrze wylecieć; bo główne jego *porohy* przedtém już rozsadzono minami. Tymczasem starzy żeglarze Reńscy, katolicy i protestanci zarówno, mając przebywać Bingerloch, zdejmują pokornie czapki przed obrazem Ś-go Mikołaja, patrona szczęśliwej żeglugi, umieszczonym tu we framudze wykutój w skale, lub go nawet wieńczą kwiatami. „Kiedy trwoga, to do Boga!” I przysła mi na myśl bajeczka Krasickiego o filozofie, zapewne niemieckim, co to wiész, *zaufany w zdaniach*, pod biretem swym lub szlafmycą poczętych:

 Nie wierzył w Pana Boga, śmiał się z wszystkich Świętych.
 Przyszła trwoga;—aż mędrzec, co firmament mierzył,
 Nie tylko w Pana Boga—i w upiory wierzył.

Adam stosuje to do wszystkich tak zwanych filozofów dzisiejszych, z których żaden nie dałby się umęczyć za prawdę swoich idei. Jedna tylko prawda na ziemi w ten sposób potwierdzoną została; i w tém znak właśnie, że zstąpiła z Nieba.

Ale nie tylko z powodu téj bajeczki przypomniał się nam w tych miejscach autor *Myszeidy*. Tuż przed samym *Bingerloch*em, na wyspie w pośrodku rzeki, czerni się stara ruina sławnej w legendach *Myszéj Wieży*, (*Maüsethurm*), gdzie myszy zjadły niegdyś Arcy-biskupa-Elektora Mogunckiego, Hattona. Srogi ten i okrutny władzca, gdy lud zgłodniały domagał się chleba, kazał rokoszan zamknąć w pustym spichrzu, otoczyć słomą i spalić; słysząc zaś jęki ginących w płomieniach, odezwał się szyderczo do dworzan: „Słyszycie, jak myszy piszczą?”—Ale od téjże chwili ten pisk i obraz myszy zaczął prześladować go wszędzie: we dnie i w nocy, w domu i w kościele. A czy to były zgryzoty w postaciach myszy, czy myszy w zastępstwie zgryzot: dość, że Hatton nie mogąc ująć od nich na lądzie, zbudował sobie tę wieżę na wyspie, i schronił się do niej ze swym dworem. Ale zgryzoty i myszy przepłynęły za nim przez rzekę, obległy go w téj nowéj warowni, i czy to literalnie, czy figurycznie, dość, że go w niej w końcu zagryzły, jak naszego Popiela w Kruszwicy.

A tymczasem nasz statek, pełnemi żaglami, szybuje, jak rybołów lub mewa, w tém olbrzymim, podłużnym, dziwnego rodzaju *aquarium*, którego boki ze skały, a spód i wierzch jakby z kryształu, z błękitów nieba i wody. Szczegóły obrazu wciąż inne, ale tło i koloryt te same. Wsie i miasteczka, które pomijamy, kryją się po wąwozach, jak dziewczęta przed swatami w zapieckach, kilku ledwo oknami wyglądając na rzekę.

Wtém nowi moi przyjaciele Niemcy, otwierają z pośpiechem swoje *Reisesaki*, i dobywają z nich—co? pistolety. *Ach! Herr Jesus!* cóż to będzie? pojedynek czy rozbój?—Nie bój się! Dopływamy do olbrzymiej skały. Profil ma podobieństwo rysów twarzy ludzkiej, które jedni drugim na statku ukazują palcami. Ale nie z tego tylko słynie skała *Lurley*, albo *Loreley-fels*. Sława jój, to jakby symbol wszelkiej sławy ludzkiej—to echo. Każdy Niemiec wie o niém z przysłowia. „*Lurley-echo*,” to plotkarz; to każda wieść głośna, która się rozlega szeroko. A jest to, podług legendy, pokutniczy głos ducha pięknej Lory, córki kasztelana zamku, która kiedyś w tych miejscach odegrywała rolę Syreny; to jest, tak była piękna i tak uroczo śpiewała, siadując na skale przed zamkiem, że zapatrzeni i zasłuchani żeglarze rozbijali się o podnożne rafy na rzece, i stawali się łupem jój ojca. Za to więc, że tak wszystkich głosem swoim kusiła, musi teraz głos każdy powtarzać, i to tak po wielekroć, jak sama po wielekroć grzeszyła.—Miły Boże! a cóż to będzie z poetami? np. z jakimś Bérangerem, który tak cudnymi piosnkami tyle dusz i serc niewinnych na pokusy i rafy prowadzi?

Strzał z pistoletu, jak trzask piorunowy, łamie się tu i powtarza kilkanaście razy. Tu się skończył, tam się zaczyna; w różnych stronach, i coraz dalej. Niemcy moi tak grzeczni, że wystrzeliwszy sami, nabijają i dla nas pistolety. „Na czyj wiwat mam strzelać?” zapytuje Adama.—„Pustych głów! będzie najgłośniej” —była grzeczna odpowiedź.—„A więc na

czuć twego dowcipu!” — I pistolet zagrział jak piorun.

Adama strzał był ostatni. Po gromowych łoskotach — melodia. Jakiś majtek „*stiesst ins Horn*,” to jest, zagrał na trąbce. Efekt prawdziwie czarowny! W górach jakby orkiestra trąbek. *Silber-groschen* spadając do czapki trębacza, wzmagają w nim siłę i zapal. Coraz żywsze i dłuższe wygrywa *fanfary*; coraz dłużej i coraz dalej powtarza je chór napowietrzny ¹⁾.

Nagle Ren, skrzętem węża, obwija się wokół skały Lurley; opływamy ją, i echo pozostaje za nami. Podług zegarków, słońce jeszcze nie zaszło, a zmierzch już nas wkoło otacza. Prawda, że i mgliste obłoki skupiły się i kłębią u góry; tak, że chociaż po za wsią *Boppard* wypływamy z paszczy wąwozu — to jest skały po stronie lewej coraz dalej odstępują od brzegu — zmrok raczej się powiększa niż zmniejsza. Niemcy z obawy deszczu pochowali się do kajuty, jak raki lub miętuzy do nory; my dwaj tylko, prócz majtków, nie schodzimy z pokładu, i choć deszcz drobny rzeczywiście prószy, okrywszy się jednym płaszczem jak kołdrą, leżymy sobie wygodnie pod masztem, patrząc na góry i chmury. Adam przytém w doskonałym humorze; a omijając śliczną ruinę zamku *Markenburgera*, na wierzchołku lesistej góry, rysującą się na

¹⁾ Trąbienie Wojskiego w *Panu Tadeuszu*, pisané było niewątpliwie z reminiscencyi Lurlejskiego echa. (P. A.)

tle obłoków: z kształtów jój, jak Gall z czaszki, chce, jak mówi, dzieje jego przeszłości odgadnąć; i w pół na seryo, w pół żartem, fantazyjuje różne sceny rycerskie i miłosne, do których wprowadzony giermek, nie jest bez konceptowych alluzji do mnie. Admiruję wszakże inwencją, i słucham z ciekawością jak bajki.—Tyczasem ściemniało na prawdę. Na statku zapalono latarnie, i po brzegach migają światełka. Majtek jakiś przechodzący koło nas, wskazał ręką na błyszczące gromadnie przed nami, mówiąc: „*Schon Coblenz!*” Powstałiśmy, aby lepiej mózdz widzieć. Wiatr zaczął rozpędzać obłoki, i można się było domyślać, że księżyc jest gdzieś za niemi. Po nad rzędami tych świateł, gęstych i mrugających jak gwiazdy, czarna jakaś, olbrzymia massa, wydaje się sama jak chmura. To *Ehrenbreitstein*, góra panująca nad miastem, ze sławną, niezdobytą fortecą na wierzchu. W miarę jakeśmy się zbliżali, cień od niej padający na rzekę, a reflexem świateł nadbrzeżnych porznięty jak gdyby w kolumny, tworzył dziwnie uroczy obraz, jakby jakiejś nadziemskiej, fantastycznej budowy, w czarnoxięzkiem zwierciadle odbitej. Iluzya była kompletna. Piękniejszej *Faty-Morgany* niepodobna nawet pożądać. Wtém — kiedy się tak zatapiamy w admiracyi—raptem stuk i wstrząśnienie statkul... ale wstrząśnienie tak silne, że się ledwo utrzymał na nogach. Oj źle!—bo czy to mielizna, czy skała, zawsze perspektywa fatalna! Gorąco razem i zimno przebiegło mię jakoś po żyłach. Majtkowie czwałem zbiegli się do dzioba; podróżni hurmem wyskoczyli

z kajuty. *Was ist? was ist geschehen?* wołano na wszystkie strony.—*„Nichts! nichts! Seyn Sie doch ruhig!”* odpowiadał na w pół ze złością, sam widać nie dość spokojny kapitan: bo zbiegał sam i ciągle posyłał do składów, patrzeć pewnie czy się woda nie wciska.—*„Können Sie schwimmen?”* (umiész pan pływać?) zapytuje mię jeden z moich Niemców. Nie potrafię ci wypowiedzieć, jak przykrą to zapytanie sprawiło na mnie sensacyą. Nie wiem czy Adam to spostrzegł; ale w téj saméj chwili ujął mnie mocno za ramię, mówiąc: „Nie bój się, ja cię wyratuję!” (chwalił się bowiem nieraz, że jest doskonałym pływaczem). Nie zdołałem mu odpowiedzieć, kiedy znowu Kapitan, ale już tryumfującym głosem, zawołał na całe gardło: *„Seyn Sie ganz ruhig, meine Herrn! Kein Unglück ist geschehen!”* (Bądźcie całkiem spokojni, panowie!—nic się złego nie stało). Każdy pewnie odetchnął swobodniej; a ja, może goręcej niż kiedy, z radości na wszystkie strony wycałowałem Adama.—W kwadrans najdłużej potem byliśmy już na lądzie, i w Koblantz—gdzie to piszę, w oberży „zum Riesen” (pod olbrzymem), ale w izdebce tak ciasnej i niskiej, jakby była przeznaczona dla karłów. Że innéj wszakże nie było, musieliśmy poprzestać i na téj, choć za nią tyleż co i za lepszą płacimy.—Adam idąc z przystani, w piérwszym zaraz sklepie kupił sobie papieru. Przysiagłbym, że na dalsze rysunki; choć na pytania nic nie odpowiada. Ale że i mój arkusz się kończy—zatém na dzisiaj
Dobranoc!

Post scriptum.

Jeszcze Koblenz, 6 Września 1829 r. o południu.

Nadspodziewanie bawimy tu jeszcze. Statek nasz tak sobie wczoraj nadtłukł nosa o skałę, że już dzisiaj iść dalej nie może, i musi się plastrować w przystani. Kapitan ma być odpowiedzialnym, że nie uniknął rafy, oznaczonej na mappie. Dla nas to wyszło na lepsze; bo czekając na statek parowy z Moguncyi, który ma przyjść dopiero po pierwszej, mieliśmy czas obejrzeć miasto i być na solennem nabożeństwie w katedrze—katolickiej, jak większość mieszkańców. Ja po wyjeździe z Warszawy, raz tylko byłem na śpiewanej mszy w Dreźnie, w dzień N. P. Maryi Anielskiej; ale pomimo sławnej muzyki tamecznej, wrażenia ani porównać z dzisiejszém.—A cóż to za okropna rzecz ta powszedniość, a raczej *spowszednienie* rzeczy! To mgła, to rdza, to piasek! Słońce zaćmi, stal zgryzie, piramidę zasypie. Nie darmo mówią przysłowia: że nie ma bohatera dla sługi, który go codzień ubiera i rozbiera, i że nikt nie jest prorokiem w swoim kraju, gdzie go codziennie każdy widzieć może. Kasper Hauser, wychowany, jak wiiesz zapewne, w ciemnościach podziemnego lochu, kiedy raz pierwszy ujrzał niebo i gwiazdy, nie mógł utulić się w płaczu, z podziwienia i z radości zarazem. My, że codzień patrzymy na nie, docho-

dzimy w końcu do tego, że nas ich widok nie odrywa od ziemi. Będąc, lub mogąc być codzien w kościele i na mszy, tracimy z myśli wielkość ich znaczenia. Aż mnie wstyd przed sobą samym, że dziś może raz pierwszy, i to dopiero przez porównanie poczułem, co jest przybytek i ofiara Boga żywego, a co dom tylko nauki i modlitwy ludzkiej. Rozumem tylko chcieć obcować z Bogiem, bez udziału wyobraźni i serca, jest to najwyższy wyskok pychy ludzkiej; bo jest to chcieć Go zrozumieć, nie zaś czuć tylko, uwielbiać i kochać.

Syn człowieczy, choćby ojca nie kochał, może przecież—bo musi go słuchać, mając go widomie nad sobą. Ale Pana Boga nie widać; rozumem nikt Go nie pojął; a jakże Go pokochać nie czując? A co się tycze posłuszeństwa: toć autentyczność nawet *Testamentów* ludzkich widzimy nieraz podawaną w wątpliwość, i to nawet przez pierwszych dziedziców, skoro nie chcą spełniać warunków, do legatów ich przywiązanych. Cóż więc za dziw, że pokolenie drugie, jakim jest Filozofia względem Protestantyzmu w Niemczech, nie tylko już pochodzenia *Testamentu*, ale i samej exystencji Testatora zaprzecza; i Pan Bóg dla niej jest już tylko jak *Fata-Morgana* rozumu, które on sam—to jest rozum—tworzy i rozprasza: tworzy dopóty, dopóki jego promienie łamią się o jakieś granice; rozprasza zaś, gdy w pełnym blasku *absolutu*, zabłyśnie z pod biretu jakiegoś tam *Spinozy, Hegla, et Compagnie*.

Adam serdecznie nienawidzi ich wszystkich, i, jak mówi, gardzi nimi głęboko, jako trucicielami ludzkości; a to z zupełną świadomością ich dzieł, idei i celów. Bo co do mnie, wiem o nich tyle tylko, co o strachach—ze słychu, i poznawać bliżej nie pragnę; tak jak codzien przed zaśnięciem żegnam się na tę intencją, aby stracha nigdy nie widzieć. Za to byłem niezmiernie ciekawy, jak się Adam modli w kościele; ale właśnie za tę ciekawość zadałem sam sobie pokutę, i ani razu nie spójrzałem na niego. W Kownie kiedyś przed laty bywałem z nim na mszy studenckiej, i wtedy zauważyłem tylko, że nigdy nie siadał w ławkach, ale albo stał przy nich, albo w pewnych chwilach przykłękał. Teraz jeszcze o tym przedmiocie ani razu mowy nie było; i ja przypominając tylko co mówił Oleszkiewicz, czułem w sobie tę grzeszną ciekawość, której się przecież zwyciężyć nie dałem.

Miasto Koblenz, na prawym brzegu Renu, zbudowane jest i ścieśnione między nim a Mozellą, która się łączy z nim tutaj na prześlicznej równinie, jakby na axamitnym zielonym kobiercu. I jeśli Ren, jak Padyszach, inne rzeki, jak Odaliski tylko, przyjmuje w swoje objęcia: to Mozella, tak z szerokości jak z piękności swojej, ma wszelkie prawo do tytułu sułtanki; tak, jak nadbrzeżna jej twierdza *Ehrenbreitstein*, na stromiej, zewsząd przepaścistej skale, nie darmo nosi chlubną swoją nazwę: *szerokiej skały honoru*.

Bo ztąd zwycięstwo, zawsze pewne siebie,
Może spokojnie, jak Jowisz na niebie,

Lub śmiać się, słysząc huk Tytańskich gromów,
Lub patrzeć z wzdardą na podkopy Gnomów,
Aż prędzej później szturmujące wrogi
Zrobią, (jak wierszten), *fiasco*—drapną w nogi.

Tymczasem my dziś rano z jej wałów używaliśmy, w pełnym tego słowa znaczeniu, naprzód wspinałego wschodu słońca, a potem niemniej wspaniałych widoków, zwłaszcza gór i skał ponad-Reńskich, które blask jego po kolei odsłaniał, rozdzierając zasłony mgły nocnej. Opisywać ci ich wszakże nie myślę; bo choćbym nawet miał ten rzadki talent, „ująć krajobraz w złote ramy słowa:” nie mógłbym dla nasycenia wyobraźni twojej, zapomnieć o pokrzepieniu sił własnych; co znaczy, że zamiast suszyć głowę nad temi deskrypcjami, musimy przed wyjazdem pójść gdzieś przecież na obiad; témbardziej, żeśmy go wczoraj na statku nie jedli, poprzestając na kawie i na *butterszmitach*.—*Also, zum wieder-schreiben in Bonn!*

XXIV.

Do tegoż.

Bonn, 7 Września, 1829 r.

Koblentz a Bonn, to wasze Słonimskie sąsiedztwo; tyle co od was do Wiązowca ¹⁾: to jest tyle godzin, nie mil. Bo to wielka różnica lecieć wiatrem, parą i prądem po Renie, a wlec się ciężką waszą poczwórną landarą, i waszemi poważnemi końmi, po piasku, który sam chyba z głębokości swojej może mieć jakie takie podobieństwo do rzeki.

Jesteśmy więc tedy w Bonn, gdzie wczoraj wyładowaliśmy przed szóstą. Brzegi Renu i tu jeszcze dość piękne, choć się nie mogą równać z poprzedniami. Góry i skały nie ciągną się już jedną połącią lub ścianą, lecz tu i ówdzie skupiają się w grupy, pozwalając pomiędzy sobą dolinom i smugom wic się i igrać w malownicze zakręty. Ztąd idzie, że mniej też ruin, a więcej wsi i miasteczek. Tych ostatnich, jeśliś ciekawy, możesz sobie poszukać na mappie; z gór zaś i ruin wymienię ci tylko po jednej, na których Muza położyła swą plombę.

Ostatnią przed Bonn grupę gór, po prawej stronie, składa sławna plejada siedmiu, *Siebengebirge*. Najwyższa z nich i najpiękniejsza, *Drachenfels*, (*Smocza skala*—od smoka, którego zabił tu Siegfried,

¹⁾ Wieś o 3 mile od miasteczka Zdzięcioła.

bohater Niebelungów), stroma i przepaścista, uwieńczona ruiną zamku, *mroczy się*, jak mówi Byron, tuż po nad *krętym i szerokim* Renem:

*The castled crag of Drachenfels
Frowns o'er the wide and winding Rhine;*

a jak musi być piękną, to sądz sam ze słów tych następnych, które śpiewa o niej Childe-Harold:

Tu myśl najchciwsza, najbardziej skrzydlata,
Ma dość—by skrzydła zwinąć u téj góry.
Bo gdzież ma szukać na przestrzeniach świata
Więcej piękności i skarbów natury?

A jednak sam on wyznaje na końcu, że wszystkie te piękności i skarby miałyby dlań podwójny urok i wartość, gdyby z nim razem na nie czyjeś *drogie oczki* patrzyły.

*. All I should see
With double joy, wert thou with me;
Could thy dear eyes, in following mine,
Still sweeten more these banks of Rhine.*

Oj! bieda z temi oczkami, mój drogi Juljanku!

Kto z nas ich nie klnie, i kto nie dba o nie?
Iskierki zda się—a świat od nich plonie.
Próżne gazowe i parowe jazdy!
Wszędzie za tobą ścigają jak gwiazdy.
Niechbyż przynajmniej, jak gwiazdy na niebie,
Port, lub choć przystań wróżyły dla ciebie!
Gdzie tam!—wiesz dobrze, że tylko ci wróżą
Wieczne zapasy z falami i burzą.
A jednak, jednak!—wbrew burzy i fali,
Ludzie wpływ dla nich Bosfor przepływali;

A niechże zgasną, lub tęsknisz za niemi—
Wszystko ci kirem zamierzchnie na ziemi.

I mówię to nie sam z siebie, ale powtarzam tylko, co do mnie, i do wszystkich pływających po Renie, mówią tu swoją legendą: naprzód góra i zamek *Rolandseck*, na lewym jego brzegu, a potem klasztor na wyspie *Nonnenwerth*; wprost naprzeciw zamku leżącej. Tu bowiem kiedyś odegrał się dramat, który Szyller tak wdzięcznie i rzewnie opowiedział w swoim *Toggenburgu*; chociaż, nie wiedzieć dla czego, i imię bohatera przechrcił, i scenę z ponad Renu przeniósł między Alpy.

Mężny i sławny młody rycerz Roland, pokochał i zaręczył się z piękną Hildegundą, dziedziczką tego zamku na skale, który musiał się wtedy nazywać inaczej. Grożący chrześcijaństwu napad Saracenów powołał go pod chorągiew krzyża. W bitwie, w której jego waleczność przechyliła szalę zwycięstwa, on sam, okryty ranami, padł zemdłony—i wieść się rozbiegła, że zginął. W skutek tej wieści, zrozpaczona kochanka przywdziała suknię zakonną, i w tym klasztorze na wyspie zamknęła się na resztę dni swoich. Tymczasem Roland, odzyskawszy siły, przybywa do zamku jej ojca po nagrodę swych zwycięstw i chwały;—ale zamiast powitania kochanki, słyszy tylko piorunne słowa:

„Nie obaczysz już twój lubéj!
Za zakonny próg,
Wieczystemi wczoraj śluby
Powołał ją Bóg.”

Roland zatem kruszy swój oręż, zrzuca zbroję, i odziany w strój pustelnika, zbudował sobie szałas na urwisku téj skały, wprost naprzeciw okien klasztor-nych, i pędząc w nim dni i lata, jak mówi Szyller:

Ani płakał, ni narzekał,
Tłumiąc łzy i jęk,
Tylko patrzył, tylko czekał
Na okienka brzęk.

Aż jak gwiazdka, jak jutrzienka,
Aż jak anioł z chmur,
Wychyliła się z okienka,
Patrząc w stronę gór.

I czy to w końcu, jak mówi Szyller, znaleziono go w téj postaci nieżywym, z okiem w okna klasztorne wlepioném; czy, jak powiada legenda, on sam pierwój z wierzchu swój skały patrzeć musiał na pogrzeb kochanki, kiedy ją na cmentarzu kościelnym grzebiono; dość, że oboje pomarli z miłości: on przekazawszy nazwisko swe skale, a ona pamięć swoją wszystkim czułym sercom, które do dziś dnia jeszcze, omijając tę wyspę, białemi chusteczkami zakrywają oczy, albo oparte o poręcz parostatku, pozwalają łzom-perłom staczać się do Renu.

Ale przyznaj, czy ta średniowieczna legenda nie warta stać obok greckiej o Leandrze i Heronie z Abydos? Jedna i druga malują najwybitniej — tamta zmysłowo-pogański, ta chrześcijańsko-duchowy charakter miłości. Leander, w nadziei rozkoszy, walczył ciałem z siłami natury: z ciemnością, wichrem i mierzem, aby na blask lampy kochanki, codzien do niej

przez Hellespont przepłynąć. Roland, zadając gwałt sercu i boleść na milczenie skazawszy, przez Ren nawet nie pragnie zbliżyć się do swojej; ma ją i kocha w swą duszę; i jak na gwiazdę tylko spoglądając zdaleka, żyje w myśli nadzieją chwili, gdy się z nią w krajach ducha na wiek wieków połączy.—Mówiłem to Adamowi, przeczytawszy mu naprzód legendę; ale on zasępił się tylko i milczał. Przyszedł mi na myśl wiersz sonetu:

„*Mary ja* dotąd w pośród pamiątek kościoła....“

Chociaż, bodaj, że w nawach pobocznych przesuwiają się niekiedy i inne postacie! Ale to wszystko zatrzymałem przy sobie; bo to jego *sezam* zaklęty, który się nie otwiera przed nikim.

Płynęliśmy wspaniale i szybko na ogromnym parostatku „*Friedrich Wilhelm der Dritte*,” nie tylko o sile, ale nawet możnaby dodać o rzeniu i parskanii nie wiem ilu koni; które to parskanie i rzenie zastępowały, ma się rozumieć, świst i pryskanie pary, a niekiedy i wody z pod kół obrótowych. Na pokładzie, jakby na rynku, tłum ludu, stosy pak, i dwa rzędy powozów, z dyszlami do góry. Chciałem zatem, za przykładem moich przyjaciół Niemców, wziąć bilety na miejsce trzecie; ale *gentleman* Adam nie zgodził się na to. Zapłaciliśmy więc darmo haracz próżności—nie wiem tylko, czy poetyckiej, czy polskiej; bo na tém drugiem miejscu taka była cizba, i tak wszystkie siedzenia zajęte, że niepodobna było ani stać, ani się ruszyć, bez *pardonu*; to jest, żeby albo nie być szturchniętym, albo co chwila nie po-

szturchnąć kogoś; zaczęłam wnet, jak każe obyczaj, musiało następować sakramentalne: *pardon!* Kiedy zaś chciałaś spojrzeć na widoki, to obok najwyższych wierzchołków gór, miałaś zawsze na pierwszym planie czarne lub białe kapelusze męzkie.

A gdy wzrok chciał się dobrać do błękitów Reńskich,
Tyle wprzód spotkał wzroków żeńskich i panięńskich,
Że lub dla nich zapomniał spoglądać na rzekę,
Lub żeby ich nie widzieć, zamrużał powiekę.

Jednym słowem, tak nam źle było na tém *dru-gim* miejscu, że w końcu jak niepyszni zrejterowaliśmy się dobrowolnie na trzecie, za którebyśmy od razu po talarze mniej zapłacili. I co do mnie, doznałem sam na sobie prawdy tego wiersza Boala:

„*Tel brille au second rang, qui s'eclipse au premier.*“

Tu bowiem nagle i niespodziewanie, bez żadnej pretensyi i myśli, stałem się na czas jakiś pryncypalną figurą, oratorem, a raczej *narratorem*, którego wszyscy, jak Eneasza na dworze Dydony, z rozdziwioną gębą słuchali:

„*Conticere omnes, intentique ora tenebant.*“

A oto jak się rzecz miała:

Dwaj wczorajsi przyjaciele moi, radzi bardzo że do nich przyszedłem, wszczełi ze mną rozmowę o Wilnie i o kraju, o którym coś ledwo tylko jak o wilku żelaznym słyszeli, a i to zwłaszcza z powodu

wilków żywych, któremi widać straszły ich niańki, mówiąc, że duszą u nas ludzi jak barany. Prostując więc te wyobrażenia, zacząłem im opowiadać różne sposoby polowania na wilki; przyczem polowanie *mit dem Ferkel*, (z prosięciem), tak ich mianowicie zajęło, że widoczna na ich twarzach ciekawość, musiała zaciekawić też drugich; dość, że ujrzałem się powoli otoczony gromem słuchaczy, w surdutach i w bluzach, którzy wkrag na mnie wytrzeszczali oczy. A że mi to pochlebiało, wyznaję, podnosząc więc głos stopniowo, zacząłem coraz jaskrawiej ubarwiać obrazami narracją moją: częścią z rzeczywistych przypomnień, o czem kiedyś tu i ówdzie słyszałem, częścią na mocy przywileju myśliwców. W braku często wyrazów niemieckich, sztukowałem się francuzkami, które dwaj przyjaciele moi, albo tuż sami tłumaczyli drugim, albo mi poddawali frazesa niemieckie. Musiałem jednak być nielada w *werwie*, kiedy Adam, który też słuchał, klapnął mię w końcu po ramieniu mówiąc: „*brawo!*” Nie wiem czy który aktor ucieszył się kiedy tak z brawa.—Ale mój miły Boże! co to jest ta próżność w człowieku! Nieraz myślusz, żeś ją pokonał; a ona siedzi tylko, jak ślimak w skorupie; i dość czyjegoś pochwalnego słówka, jak owego studenckiego zaklęcia: „*Ślimak, ślimak, wystaw rogi!*” i t. d., aby zaraz łebek wytknęła i różki rzeczywście podniosła.—Reflexya ta nad sobą samym, dopomogła mi dzisiaj do praktyki jednej z cnót chrześcijańskich: wyrozumiałości i pobłażania, podczas wizyty u sławnego Wilhelma Szlegla. Ale nim powiem

ci o tém, nie mogę pominąć piérwój charakterystycznego, jak mi się zdaje, szczegółu, o owych dwóch przyjaciółach moich.

Obaj są podróżującymi kommissantami (*commissoyageurs*) dwóch domów handlowych w Lipsku, i płyną do Rotterdamu. Jeden zowie się *Rabstein*, drugi *Müller*. Umieją po francuzku i po angielsku; obeznani są z belletrystyczną literaturą ojczystą; jedném słowem, ludzie wykształceni; a że przytém jednego ze mną wieku, byliśmy więc *bruder a bruder*, i polubiliśmy się nawzajem.

Dopływając już do Bonn, gdzieśmy się mieli rozstać, to jest my wysiąść, a oni płynąć dalej, chcieli zapisać sobie nasze nazwiska. Zamiast więc dyktowania litera po literze, dałem im nasze paszporta, które mam zawsze w kieszeń, a na których, oprócz oryginalnego tekstu, jest zaraz na drugiej stronie tłumaczenie jego niemieckie. Ledwo spojrzeli, dostrzegłem w nich jakieś wrażenie. „*Also Sie sind von?*” — rzekł jeden, wpatrując się we mnie z osobliwszym jakimś wyrazem twarzy. *Nun, was denn?* — zapytałem zdziwiony. — „*Nein, nichts!*” — odpowiedzieli niby obojętnie; ale poczułem wyraźnie, że w nich zaszła jakaś odmiana; i czy to był *respekt* czy *despekt*, dość, że to nieszczęśliwe *von* drasnęło ich jakby ćwiekiem. Zdziwiło mię to niezmiernie; ale nie dając im tego poznać, podwoiłem tylko nieznacznie dozę serdeczności w rozmowie, opowiadając im przytém wpół żartem, jak u nas tysiące *Fonów* same sobie orzą i sieją, ale za to nie dbają o Grafów i Duków, którzy owszem ich

względy kaptują. Nie umiem ci powiedzieć jak to skutkowało; bo właśnie w téjże chwili zaczął dzwonić dzwonek, dając sygnał zatrzymania się statku i wysiadania podróżnych, którzy mieli pozostać w Bonn. Rozstaliśmy się wszakże bardzo kordyalnie, dziękując sobie nawzajem za dwudniowe uprzyjemnienie podróży.—Okoliczność ta dała mi wiele do myślenia, i gdy ją opowiedziałem Adamowi, wywiązała się ztąd długa rozmowa, w której on wiele cudnych rzeczy powiedział. Między innymi: jak obyczajowa tradycja przeszłości wsiąka niewidomie w pojęcia i wpływa na uczucia najdalszych pokoleń; a także, jak w krajach rolniczych najprędzej, a w fabrycznych i handlowych najpóźniej, wyrabia się poczucie równości. Rolnik bowiem zawsze jest pewny, że zboże jego każdy kupić musi; a czy to będzie gráf, czy żyd, czy cygan, zawsze mu jednostajnie za korzec zapłaci. Sklep zaś albo fabryka przeciwnie: im są większe i doskonalsze, tém więcej mają takich towarów czy wyrobów, które tylko bogatsi kupują. Konsekwencya zatem naturalna, że kupiec albo fabrykant dbać musi i starać się więcej o względy bogatszych, którzy to czując, traktują go z góry, a on ich za to nie lubi. Gdyby większa część światłych Niemców pilnowała *zagonów*, mniejby dbała o *fonów* i *baronów*, tak jak ludzie gdzieindziej *na zagrodzie* siedzący. Na poparcie tego twierdzenia, zacytowałem mu naszą Oszmiańską piosnkę sejmikową, która tak mu się podobała, że kazawszy mi ją powtórzyć, sam się jój nauczył na pamięć.

Chociażby graf,
Przez jaki traf,
Przybył tu do nas we złocie:
Chce z nami żyć?
To musi pić,
I życie pędzić w ochocie.

Bo co nam pan,
Póki swój łan,
I swój pług daje nam chleb?
Kto brat a zuch,
To dla nas druh!
A kto być nie chce... to co?—

Przebrawszy się co prędzej w hotelu, poszliśmy do Augusta Wilhelma Szlegla. Dziwne to jest jakieś uczucie, mieć za chwilę obaczyć człowieka, o którym się tyle słyszało, tyle razy ze czcią myślało. Jest w tém razem i jakaś radość i jakaś obawa; zdaje się, że masz spójrzyć na cudowny obraz. Sława w tym razie działa tak jak piękność: pociąga i hamuje zarazem. Czujesz jak gdyby bożkość w człowieczeństwie; tak jak się ją czuje w naturze, przy pięknych lub wielkich widokach. Adam idąc rekapitulował głośno jego dzieła i zasługi w literaturze. Pociągnąłem za sznurek od dzwonka, ale widać bardzo nieśmiało, bo przez chwilę nikt nam nie otwierał. Za drugim i mocniejszym dopiero pociągnięciem, usłyszeliśmy czyjeś kroki, i gdy się drzwi otworzyły, ujrzeliśmy przed sobą człowieka w podeszłym już wieku, ale bynajmniej jeszcze nie staruszka, średniego wzrostu, silnej budowy, twarzy dość pospolitej na pozór, ale z jakimś pocziwym

wyrazem; włosy blond, oczy błękitne. Domyśliliśmy się od razu, że to jest sam gospodarz; Adam jednak dla ceremonii zapytał: czy „*Herr Professor von Schlegel ist zu Hause?*“ — „*Ich bin's; was steht zu Diensten?*“ odpowiedział z grzecznym ukłonem. Adam więc zaczął po francuzku: że jesteśmy Polacy, że przybywamy z Wejmaru, że.... Nie dał dokończyć komplementu, i zawołał z żywością: „*Ah! Sie sind polnische Dichter!*“— Pokazało się bowiem, że wiedział już o Adamie od delegowanego z Bonn, który był na obchodzie urodzin Göthego. Adam odpowiedział z uśmiechem po francuzku: „*Qui oserait prendre un tel titre, devant un pareil juge?*“— Szlegel uśmiechnął się także, i mówiąc: „*Seyn Sie willkommen!*“ podał nam z wielką uprzejmością rękę. Ten jego ton i uśmiech ujęły mię od razu za serce. Adam oddał mu listy Meyendorffa i kanclerza Müllera z Wejmaru, ale on ich ani otworzył, a wprowadziwszy nas do swego gabinetu, który był razem i biblioteką, sam obudwóm chciał podać krzesła. Słowem rad był widocznie, jak nie można więcej. Ale zaledwieśmy usiedli, po krótkim rozpytywaniu się o Göthem, i o tych dwóch przyjaciołach swoich, zapytał wręcz bez ogródki, jak się nam podobały własne jego wiersze, które delegowany z Bonn, jak ci kiedyś pewno pisałem, na owym uroczystym obiedzie odczytał? Pytanie to zdało mi się dość dziwném; Adam zaś, chcąc obok pochwały wierszy z lepszym jeszcze komplementem wystąpić, dodał: że jeżeli na polu poezji ma wielkich współzawodników przed sobą, to za to na polu krytyki on

sam niepodzielnie króluje. Nie w smak to być jednak musiało naszemu gospodarzowi, bo ani się uśmiechnął, ani nawet głową nie kiwnął; owszem wiadać było wyraźnie, że nie rad był z tych *współzawodników przed sobą*. Jakoż wnet, nie zbyt obwijając w bawełnę, zaczął jak gdyby przekonywać, że i na polu poezyi nie mniejsze od nich położył zasługi; mówiąc zaś zwłaszcza o tłumaczeniach swoich Szekspira i Kalderona, powiedział między innymi: że przekłady arcydzieł obcych tém są dla literatury krajowej, czém dla handlu przekopanie kanału, który rzekę z morzem łączy. Dalej mówił o wpływie dziennika „*Horen*” (Godziny), który razem z Szyllerem wydawali w Jenie, i nakoniec o osobistych swoich stosunkach ze współczesnymi poetami, a raczej o osobistym wpływie, jaki na każdego wywierał. Wszystko to było bardzo interesujące; ależ przytém kochany *ślimaczek* tak widocznie wystawiał swe różki, żeśmy nieraz ukradkiem spojrzeli po sobie, i dopiero nam się wyjaśniło, co już nam zlekka p. Meyendorff jako o jego excentryczności nadmieniał, oddając przytém wielkie pochwały jego dobroci i dobroduszości (*bonhomie*), cośmy zresztą i sami widzieli. Że zaś przy tém wliczaniu przyjaciół, o Bürgerze, jako o najbliższym wspominał; Adam wskazał mię jako tłumacza kilku jego celniejszych ballad, a ja wziąłem ztąd assumpt do zapytania go o osobie autora. Dowiedziałem się więc, że był to dobry, szlachetny i uczony człowiek, ale jako poeta w życiu, nie miał dość praktyczności światowej; był zaś zwłaszcza nieszczęśliwym przez

miłość, a raczej przez zbyteczną *kochliwość*. I tak: idąc już na kobierzec z pierwszą swoją żoną, zakochał się raptem w jej siostrze, która zdaleka na ślub jej przybyła. Miłość ta wprawiała go w rozpacz; aż wreszcie sama jego heroiczna żona stała się jej powiernicą i pocieszycielką. Po śmierci jej dopiero poślubił ukochaną *Molly*; ale gdy i ta w rok potem umarła, wyrzekł się urzędu i świata, ażeby w samotności oddać się żalowi. Wkrótce jednak otrzymał list wierszem od jakiejś nieznajomej Elizy Hahn, ze Sztutgartu, która, jako admiratorka jego poezyi, ofiarowała mu serce i rękę, byle boleść jego osłodzić. Z początku o tém ani słuchać nie chciał; ale po niejakiem czasie, przez ciekawość, pojechał nakoniec do Sztutgartu; a że Eliza była młoda i piękna, więc się zakochał znowu i ożenił. Związek ten wszakże tak był nieszczęśliwym, że po dwóch latach gorzkiego pożycia, wolał się wyrzec znacznego majątku, który mu żona w posagu przyniosła, byle się od niej samą odczepić. Rozwiódł się więc i wrócił do Gettyngi, gdzie naówczas przebywał Szlegel, i tam, utrzymując się jedynie z lekcyi prywatnych, umarł w ubóstwie, na ręku przyjaciela, licząc zaledwie 46 lat wieku. Szlegel gorzko obwinia Szyllera, że surową, a w gruncie niesprawiedliwą krytyką dzieł jego, przyczynił się do zatrucia goryczą ostatnich lat życia i tak już nieszczęśliwego towarzysza lutni, i przypisuje to zwłaszcza poduszczeniom Göthego, dla którego, jak się zdaje, Szlegel zbytkiem affektu nie grzeszy. Za toż o pani *de Stael* mówił prawdziwie z uniesieniem kochanka:

o genialnej potędze jej umysłu; o bystrości, z jaką od razu przenikała i ogarniała wszystko; i nakoniec o tym niewysłowionym wdzięku i uroku w rozmowie, w której (jak się wyraził) rosę nawet przemieniała w perły. Opowiadał dosyć szeroko o wspólnej z nią podróży do Szwecyi i Rossyi, w roku 1805 odbytej; ale cóż, kiedy większą część tych opowiadań zajmowały opisy wspaniałości festyn, jakie dla nich wyprawiano w Sztokholmie; albo jak na wszystkich pocztowych stacyach w Rossyi, spotykali ich, z rozkazu Ministra, urzędnicy miejscowi, „*en plein uniforme de gala, chapeau bas, et l'épée au côté!*” I to go tak dalece, jak widać, w przypomnieniu nawet jeszcze cieszyło, że mówiąc powstawał z miejsca i pokazywał gestami, jak ich salutowali, wysadzali z powozu i pod rękę wprowadzali do izby. Zastanawialiśmy się potem z Adamem, czy nam chciał przez to imponować, czy tylko się pochwalić przed nami? Zgodziliśmy się na to ostatecznie; bo ta dziwnie w nim jakoś dobroduszna próżność nie zdaje się mieć ani cienia wyniosłości lub pychy, przez którąby chciał lub myślał upokorzyć drugich. Czuć w niej owszem jakby chęć podobania się, chęć ujęcia i zasłużenia przez to na pochwałę słuchaczy. I przypomniał mi się jakby z portretu, tylko że w mniej jaskrawych kolorach niż oryginał, X. Infułat Aloizy Osiński, owa uosobiona *vanitas vanitatum*, który śród gwałtownego nawet bólu zębów, chwalił się jeszcze przed odwiedzającymi, że pan Porcyanko ¹⁾, który go le-

¹⁾ Konstanty Porcyanko, professor uniwersytetu wileńskiego, a następnie akademii medyko-chirurgicznej, w których

czył, u żadnego ze swoich pacjentów nie widział nigdy „tak doskonale rozwiniętej fluxyi”.

Ale porównanie to zwłaszcza dało mi się we znaki, kiedy na zapytanie Adama: nad czém teraz pracuje? Szlegel wpadł na przedmiot *sanskrytu*, który go, jak powiadał, zajmuje dziś wyłącznie, i który właśnie z katedry w uniwersytecie wykłada. Jak bowiem kiedyś X. Infulat o mało mię nie zmroził w nieopalanej swój bibliotece, sam będąc w baranym kozuszk, a pokazując mi stopy swoich rękopismów, które pewnie nigdy świata nie ujrzą, a o których ważności bez końca rozprawił: tak dziś musiałem ciągle szczypać sam siebie, aby nie popaść w letargiczne uśpienie, kiedy nasz uprzejmy gospodarz zaczął przynosić i pokazywać nam jedne po drugich, to rękopisma, to druki sanskryckie, których wydawnictwem się trudni. A były tam i *Ramayana*, i *Mahābhārata*, i *Bhagavad-gīta*, i wiele jeszcze innych równie mile brzmiących tytułów, które pierwszy raz w życiu słyszałem, patrząc na wszystko jak kowień na wodę. Ale Adam i tu mię zadziwił. Oprócz albowiem treści tych głównych poematów, o których każdy mniej więcej mógł słyszeć; okazał taką masę gramatycznych i etymologicznych wiadomości w tym przedmiocie, że to tém bardziej jeszcze pobudzało Szlegla do popisywania się ze swojemi skarbami—ku największemu udręczeniu

wykładał chirurgię. Był nader trafny i wziętym lekarzem. Ogłosił znaczną liczbę prac specjalnych. Umarł w Wilnie 1841 roku.

mojemu. To też w pół żywy z nudy wyszedłem nako-
niec z miejsca, gdzie wchodziłem z nadzieją zaczer-
pnięcia nowych sił i światła. I mogłoby tak być rze-
czywiście, gdyby nie te nieszczęsne parady Sztokholm-
skie, nie te salutacye na pocztach, i wreszcie nie te
nudne hieroglify sanskryckie. Ale czyż to nie istna
męka Tantala, być z człowiekiem, od którego tyleby
się mogło i chciało skorzystać, a słyszeć tylko same
banialuki? Nie dziw, że pomiędzy Göthem a Szle-
głem nigdy być nie mogło stosunku. To są dwa
wręcz przeciwne bieguny magnesu. Tam Jowiszowa
pewność siebie i obojętność kamiennego bożyszcza; tu
ciągnęła chęć zajęcia sobą i prawie zalecanie się drugim,
aby mu palili kadzidła.—A jak to człowiek rośnie lub
maleje przez porównanie z drugimi! Jak Adam urósł
w przekonaniu mojem, stojąc obok z jednym i z dru-
gim! Wszakże i w nim jest pewność siebie; ależ przy-
tém jakie zapomnienie o sobie, i jakie serce dla dru-
gich, skoro mu przypadną do serca! Bo nie ma w nim
ani cienia kokieteryjnej próżności; ale za to jakaż
prostota i otwartość z każdym, kto się do niego z pro-
stotą i z otwartością przybliży! Pretensyjność tylko
lub komplementa, to są dla niego jak żelazne sztyfty,
przed którymi się cofa i zasklepia w sobie. Słowem,
z kądkolwiek spojrzysz, zawsze to *Ecce Homo*, et *Ecce
Poeta!*—Bądź zdrów!

XXV.

Do tegoż.

Na Renie. 7 Września 1829 r. po południu.

Otoż i rozstaliśmy się z Adamem— Ale się nie bójl nie źle, i nie na długo. Tylko „*ja płynę dalej, on poszedł do domu*”; to jest z przystani do hotelu w Bonn, gdzie dano nam wczoraj na wieczerzę tak doskonale smażone kartofle, które prześliczna *Stubmädchen, Julchen*, przyniosła: że Adam, jak sam powiada, woli te ziemne specyały, (to jest kartofle), nad eter wody kolońskiej, i dla tego nie jedzie już ze mną, jak był projekt, do Kolonii, ale w Bonn czekać będzie na powrót mój z Akwisgranu. A mniej tam po co?—zapytasz zapewne. Jużciż nie dla pamiątek tylko Karola Wielkiego; nie dla pielgrzymki tylko do relikwii ŚŚ. Trzech Króli; ale téż gwoli wymaganiom żywego i własnego serca, to jest dla dopełnienia tego, co ono za powinność uważa. Jadę widzieć się z państwem Ordynatowstwem Zamoyskimi, którzy tam bawią u wód, a których za powrotem z Petersburga już nie zastałem w Warszawie. Jadę podziękować im szczerze i serdecznie, nie tylko „za chleb i za sól”, jak to mówią; nie tylko za to, że przez lat trzy „*z ich łaski*, (jak mówi wiadomy ci epigramat), *patrzałem w ogród Saski*”; ale że przez cały ten przeciąg czasu tyle od nich obojga dobroci

i uprzejmości doznałem, że nie miałbym spokojności sumienia, gdybym im nie powiedział teraz właśnie, gdy z pod ich opieki wyszedłem, czego wprzód przyzwyczajenie mówić zabraniała: to jest, o ile tę ich dobroć czuć, oceniać i wdzięcznym za nią być umiem. A kto wie nawet czybym umiał, gdyby nie reminiscencya całkiem przeciwnego rodzaju, która głęboko kiedyś utkwiała we mnie, i stała się jak miarą porównania w duszy.

Na ostatnim publicznym examinie w Borunach, kiedy właśnie kończyłem już szkoły, wysadzono mnie przed innymi na popis przed JW. Wizytatorem, który go swoją obecnością zaszczycił. A był nim JX. Prałat Jan Kąnty Chodani, sławny—jak naówczas myślałem—poeta, tłumacz *Henryady* Woltera—i wizytator! Słowem największa figura, jaką sobie na świecie wyobrazić mogłem. Słowa, które do mnie przemówił, wręczając mi nagrodę i patent, a przytém pochwała wierszy, które drząc przed nim jak w febrze czytałem, zachwyciły mię do siódmego nieba. To też gdy w parę miesięcy potem szedłem do niego, jako do dziekana uniwersytetu, aby wedle woli ojcowskiej zapisać się na oddział prawny: stąpałem jak po powietrzu, myśląc, jak mię pozna i powita uprzejmie. Ale Prałat mię przyjął jak Basza turecki; a gdy cały zmieszany i nie wiedząc co począć, chciałem wyjąkać dawne przypomnienie: słuchać nawet tego nie raczył. Wyszedłem więc zawstydzony, ale zaraz za progiem ślubowałem sam sobie w duszy, że jeśli i ja kiedyś będę może *starszym*, nigdy względem

młodszego nie być i nie okazać się takim. Z panem Ordynatem przeciwnie. Przy każdym z nim bliższym zetknięciu, stawał mi w pamięci Chodani, i powtarzałem nieraz: „daj Boże być takim!” I z tego to jedynie powodu dedykowałem mu przed miesiącami dwóma moje *Izore*, a dziś płynę do Akwisgranu.

Ale *à propos* epigramatu, o którym wspomniałem wyżej, a który, jak pamiętasz, tak był kiedyś głośny w Warszawie: czy ty wiesz, kto go istotnie napisał?— bo pan Franciszek-Salez, na którego obrażony mój sąsiad ciskał pioruny i gromy, a przynajmniej epigramata wzajemne, jest w tém jak baranek niewinny. Ja miałem dobre przeczucie, że nie upatrywałem w tém nigdy żadnej złej intencji autora; bo autorem tym jest nie kto inny, jak nasz kochany Bohdan, o którego uczuciach wzajemnych tak wiem dobrze, jak o moich dla niego. Stało się zaś to w ten sposób. Przybywszy na dni parę z Sochaczewa, przyszedł do mnie z Witwickim pod okno w ogrodzie, abym im, jak zwyczajnie, zrzucił klucz od furtki; ale że mnie w domu nie było, klaskając więc i wołając napróżno pod oknem, któryś z nich zwrócił uwagę na szczególne podobieństwo nazwisk dwóch tak blizkich sąsiadów, jakimi byliśmy ja i pan Jan-Kazimierz. A że znowu nazwisko jego assimilowało z tytułem właściciela domu: myśl wesoła ustawiła to w *ordynek* wiersza, i powstał *impromptu* epigramat:

Odynec i Ordynec, z Ordynata łaski,
Ordynkiem osadzeni, patrzą w ogród Saski.

Z razu radzi sami z konceptu, chcieli napisać go ołówkiem na kartce, i obwinawszy nią kamień, wrzucić mi go w okno otwarte; ale że kamienia nie było, odłożyli to do osobistego spotkania. Tymczasem tuż w ogrodzie powtórzyli go komuś ze znajomych, i nim ja się z nimi spotkałem, już mój sąsiad dowiedział się o nim, a przypisując go Dmochowskiemu, rozsierdził się siarczyście i głośno. Bohdan więc, myśląc może że i ja ten sentyment podzielam, a zmuszony wyjechać nie widząc się ze mną, zobowiązał Witwickiego, aby do jego powtórnego przyjazdu, nic mi o tém jego autorstwie nie mówił. Że zaś ja wkrótce potem wyjechałem na resztę lata do domu, rzecz cała poszła w zapomnienie, i dopiero w sam już dzień mego wyjazdu, na pożegnalném śniadaniu u Waleryana, Witwicki przy okoliczności przypomniał i opowiedział mi o tém. Prosiłem go więc aby natychmiast napisał do Bohdana, że nie tylko teraz, ale i nigdy przedtém nie widziałem w tym epigramacie nic obraźliwego, tak, że go nie wiem dla ilu pańienek, sam własnoręcznie na żądanie ich przepisałem. Stary Koźmian dopiero, parafrazując go inaczej, dosypał nieco—nie tak soli, jak pieprzu: lecz i to wcale nie na konto nasze. Nie wiem czy znasz tę parafrazę?

„Z *extraordinaryjnej* Ordynata łaski,
Ordyniec i Odyniec patrzą w ogród Saski.”

Tymczasem, i w tym przytyku *extraordinaryjności*, nie ma zgoła istotnej prawdy. Bo naprzód—nie mówiąc już o drugich, ale tylko o sobie:—miejsce

moje przedemną zajmował przez lat parę Józef Korzeniowski, dzisiejszy autor „Anieli”, a którego, ile wiem, pan Ordynat, równie jak i mnie, bez żadnej instancyi, sam pierwszy na nie powołał; a powtóre, samo to miejsce jest już najlepszym dowodem szlachetnych intencji pana Ordynata, w celu pożytku kształcącój się młodzieży. Idzie bowiem o wybór z pism zagranicznych i o przygotowanie artykułów do dziennika, który jego kosztem i na wpół darmo ma być wydawany, a przeznaczony będzie wyłącznie dla tych młodych ludzi, którzy po ukończeniu szkół, nie mają sposobności odbyć nauk wyższych. A nadto jeszcze i to dodać trzeba, że jak nad p. Korzeniowskim, tak i nademną, nikt zgoła żadnej nie rozciągał kontroli, a owszem sam p. Ordynat, widząc mię niekiedy cierpiącym, nieraz mi wyraźnie powtarzał, abym się nazbyt pracą nie umęczał, (czém ja, Bogiem a prawdą, nie grzeszyłem nigdy); abym nie zaniedbywał kształcenia się własnego, i nakoniec sam mi przypominał co wiosny, abym jechał odwiedzić ojca i odetchnąć wiejskiem powietrzem. Otoż chcę mu teraz powiedzieć, że wszystkie te drobne na pozór wspomnienia są głęboko i na zawsze zapisane w sercu mojem:—i w tymto jedynie celu, powtarzam, żegluję dziś do Akwisgranu.

Mówię *żegluję*, bo płynę znów na tym samym statku pocztowym, który nas omal nie potopił pod Koblentz, a dziś już załatany buja znowu wszystkimi skrzydłami.—Ren od Bonn przestał być *bezaubernd* (zachwycający). Jest on tu już tylko jak bo-

gacz, używający wczasu i fortuny; jak bohater albo poeta, odpoczywający na laurach. Tysiąc rzek w sobie zagarnął; przebił góry i skały; najpiękniejsze obrazy odbił w wód swych zwierciadle;—a teraz pełny, spokojny i jednostajny, wyciąga się już tylko w swém łożu na szerokiej zielonej płaszczyźnie, i mrużąc zcicha jakby „pacierz staruszka”, zbliża się sobie poważnie do bram wieczności rzek wszystkich—do morza.

Ale że do widzenia nic już nie ma po bokach, oczy więc moje wypatrzyły sobie cel inny, dla którego z pokładu zszedłem do kajuty; żeby zaś w niej nie siedzieć jak ów Roland na skale, z okiem w jeden przedmiot wlepioném, założyłem kancelaryą na stole, i pisząc tę epistołę, na wziętym z sobą papierze, który postanowiłem koniecznie w ciągu téj podróży zabazgrać, kiedy niekiedy spoglądam z pod oka na prześliczną wysmukłą blondynkę, siedzącą tuż naprzeciw przy boku swój matki, ale tak ujmującej postaci i twarzy, że mi gwałtem przypomina Zulejkę;—choć ta, jako Turczynka, była może raczej brunetką.

Piękna, jak pićwsza ze stworzonych w raju,
Gdy z podziwieniem, z weselem dziewiczym,
Śmiała się patrząc w zakazanym gaju
Jak ją wąż okiem urzekał zwodniczym,
I blask swych spójrzeń zaszczeniał w jój wzroku—
Źródło obłudy jój płci—i uroku.

Ona się wprawdzie nie śmieje, i obłudy w niej zgoła nie widać; ale ilekroć jój oczy spotkają się

z mojemu, (co się wcale nierzadko przytrafia), zaraz tak wdzięcznym oblewa się rumieńcem, że mi znowu pędzi do myśli dalsze wiersze z *Bride of Abydos*.

Któż nie doświadczył, jak trudno słów dźwiękiem
Malować piękność, z jój blaskiem i wdziękiem?
Kto nie czuł patrząc—nim niesyte oczy
Mgła upojenia, albo łza zamroczy—
Jak wzbudzający cześć i jak zwycięzki
Jest niewinności urok czarnozięzki?

I dla tego téż to, pomimo najszczerzej ochoty, nie miałem jakoś dotąd odwagi zbliżyć się i zagaic rozmowy, bez jakiegoś poprzedniego assumptu.—Ale widzę właśnie że matka szepnęła jój coś do ucha, a ona sięga ręką po szal przy niej leżący; pewnie aby się okryć, a więc może i wyjść z kajuty. Bądź więc zdrow! Muszę wyjść pierwszy, ażeby nie mieć miny że się włóczę jak cień za nimi; a wcale nie mam ochoty dusić się dłużej w kajucie sam jeden.

Na pokładzie statku.

Ach! co za precudny widok przedemną! — Nie blondynki — ale Kolonii! Tło—najczystszy błękit bez chmury; koloryt—odblask zachodniego słońca. Na tém tle i w tym odblasku, iglaste szczyty wież i olbrzymie massy kościołów, rysują się, błyszczą i czernią się nad miastem, które długim szerokim pasem rozciąga się w półkole nad rzeką. Most na łyżwach łączy je z białem miasteczkiem na brzegu przeciw-

nym (*Deutz*), które obok starożytniej *Kolonii Agrippiny*, wygląda jak mała dziewczynka w bieli, prowadzona za rękę przez sędziwą, poważną matronę. Widok taki prześliczny, powtarzam, że piszę to na kolanach ołówkiem, aby sobie i tobie chwilę tę zaznaczyć.

Kolonia, na poczcie, godz. 8 wieczorem.

Xiężyc w pełni wschodził na niebo, kiedy nasz statek do przystani zawijał. A że wcale nie miałem tłómków, wyskoczyłem jak konik polny, i wczwał przebiegłem kilka wskazanych mi ulic, wązkich, krętych i ciemnych, które xiężyc tylko przedemną jak srebrzystą makatą zaściętał, aby w czas zdążyć na pocztę, dla zapisania się na dylizans, który ztąd dzisiaj jeszcze, i to zaraz, do Akwisgranu odchodzi. *Eilwagen* już całkiem zajęty; ale to nic nie szkodzi, bo nam dają *Beywagen*. Mówię *nam*, bo jest jakiś i drugi towarzysz. W drodze zboczyłem nieco, aby choć spojrzeć na sławną katedrę. Olbrzymia!—ale cóż kiedy nieskończona, i na pierwszy rzut oka na ruinę jakos wygląda. Dotąd ze wszystkich architektonicznych widoków, to jest zewnątrz nie wewnątrz budowli, największe na mnie wrażenie, którym się nigdy dosyć nasycić nie mogłem, sprawiała facyata kościoła Śto-Jańskiego w Wilnie, przy blasku pełni xiężyca. A ileż to promiennych oczek patrzyło na nią w różnych czasach wraz ze mną! Przypomnij to,

i mnie samego, pięknym twoim sąsiadkom z Nahorodowicz.

A *propos*—Ondyna Renu ma imię Julja. Tak na nią zawołała matka wychodząc z kajuty, a której ja, przypadkiem niby znajdując się przy wschodach, rękę do wyjścia podałem. Podziękowała uprzejmie, i przemówiliśmy słów parę o stromych i niewygodnych wschodach, do drabiny raczej podobnych;—i na tém się znajomość skończyła. Panience ukloniłem się tylko, bo mię właśnie w téj chwili widok Kolonii zachwycił i zajął. Ale przypominając sobie *Julchen* z kartoflami, wnoszę, że *Julje* w tym kraju są może jak u nas *Zosie*, to jest jedna ładniejsza od drugiej. A chociaż powiesz mi może, że już dziś jedna z nich dla mnie powinna stanąć za wszystkie: to przecież nie przeszkadza bynajmniej, aby przy sposobności spojrzeć i na drugie.

Wszakciż patrzeć nie zabrania
Dziesięcioro Przykazania,

jak powiada wesoły nasz Józik Massalski. Im więcej kwiatów w ogrodzie, tém piękniej; im więcej świec w salonie, albo lamp w kościele, tém jaśniej; im więcej w myśli oczek i twarzyczek anielskich, tém bezpieczniej od pokus, i tém święciej w duszy. Bądź zdrow!—Pryskam na ciebie z Kolonii dowcipem, jak kroplami wody kolońskiej, której sobie flaszeczkę kupiłem, aby mieć się czém rzeźwić w całonocnej podróży. Ty tego nie potrzebujesz—i co może parabiasz w téj chwili?

Czy na xiężycu, jakby na patelni,
Smażysz niebieskie migdały?
Czy okienice zamknąwszy tém szczelniej,
Głowę zatapiasz w puch biały?

Czy siedząc w ganku, z gwiazd okiem w półsenném
Czytasz twych marzeń horoskop?
Czy z chmur i z wiatru rokujesz z gumienym
Pszenicznych w polu twych los kop?

Tak czy tak, zawsze na téjże poduszce,
Gdzie zaśniesz w wieczór, zbudzisz się poranu.
Ja w Kolonii zdrzemnąwszy w doróźce,
Ocknąć się mogę u bram Akwisgranu.

Komuż z tém lepiej? w podróży czy doma?
Sądzę najpewniej, że temu,
Kto umie lepiej użyć tego, co ma,
A nie zazdrości drugiemu.

Akwisgran, 8 Wrześniu, godz. 5 rano.

Ledwom żyw. Jak kwiat pod piaskiem, gnę się
i mdleję pod makiem, który na mnie sypie Morfeusz.
Ale odkrapiam go wódką kolońską, jak pokusę wodą
święconą; bo czuję, że teraz lub nigdy będę mógł
chyba godnie opowiedzieć ci podróż dzisiejszą.

Nim może powiew z grobu Wielkiego Karola
Zgasi we mnie wrażenie, co jak aureola
Bładowego xiężyca, albo barwnój tęczy,
Myśl i serce w téj chwili oblewa i wieńczy.

Bo wiesz z kim tę podróż odbyłem? Naturalnie,
że nie wiesz, póki ci nie powiem; więc słuchaj!—

Trzeci już raz trąbił konduktor, i *Beywagen* miał ruszać w ślad za *Eilwagenem*, gdy go wstrzymało wołanie pocztmistrza: „*Halt! noch zwey Damen*” — i dwie śpieszące damy stanęły u drzwiczek. Spójrzę, aliści —

Sen to czy jawa? Struchlałem cały,
Jak posąg z głazu wykuty.
Szał oranżowy! kapelusz biały!...
Ach! to blondynka z kajuty!

Niechże który romansopisarz lepiej *piérwszy rozdział* wymyśli!... Sąsiad mój, pełny i pyzaty jak miesiąc, poruszył się, aby tém głębiej zasunąć się w swój kąć pod Nr. 1, dając znak wymowny tym ruchem, że miejsca swego ustąpić nie myśli. One widać nie miały ani pretensyi do tego, szanując piérwszeństwo numerów; ale mnie złość wzięła na Niemca. Oświadczywszy więc głośno, że w Polsce nigdy damy nie siedzą w powozie na przedzie, ustąpiłem mój Nr. 2 matce, a sam z *biedy* musiałem zająć miejsce obok panny Julii, osłonięte wprawdzie z góry *vordekiem*, ale otwarte po bokach, i wcale nie bardzo wygodne. Wynagrodziła mi téż to matka tysiącem podziękowań, tém bardziej, że i *Reisesack*, który słabe rączki panienki same dźwigać musiały, odebrałem od niej prawie gwałtem i wzięłem na moje kolana. Ledwo więc tedy zjechaliśmy z bruku, zawiązała się przyjacielska rozmowa. Powiedziawszy kto i zkąd jestem, dowiedziałem się nawzajem, że mąż i ojciec moich towarzyszek jest urzędnikiem w Jülich, dokąd właśnie wracają z Bonn, z gościny

u siostry i ciotki. „A jakże to daleko do Jülich?” zapytałem z wielką obawą, żeby bardzo blisko nie było. Ale *zehn Stunden*, to przecież coś znaczy; choć to, niestety, był lik na piechotę, a *Eilwagen* szedł prawdziwie *in Eile*. Noc była pogodna i cicha; „słońce bezsennych” świeciło prześlicznie, zaglądając niekiedy, przy zakrętach drogi, w twarz i w oczki mojej sąsiadki; choć i sen w nich też swoją drogą niemniej prawa swoje rozciągał. Rozmowa z matką, treści geograficznej, nie nader mię zajmowała; miałem się więc w niej biernie, i powoli, powoli, całkiem jój ustać pozwoliłem, mając przytém tajemną nadzieję, że ją sam wkrótce znowu, ale już z innego tonu zawiążę.

A tymczasem i moja sąsiadka, wraz z matką, zaczęła chwiać się i przechylać na strony, nakształt onych palm wschodnich u Moora, co to, jak wiiesz:

„wieczną zielenią wiosenne,

Chyląc z tchem wiatru swe kształty powabne,

Chwieją się zlekka, jak dziewice senne,

Gdy idą spocząć na łoża jedwabne.“

Wprawdzie siedzenie w *Beywagenie* na przedzie nie było zgoła tak miękkie, a co gorsza nie dosyć bezpieczne. Ztąd też ja jeden, przez miłość bliźniego, ani na chwilę oka zmrużyć nie mogłem, czując się w obowiązku czuwania nad senną sąsiadką, podtrzymując ją wpół, aby broń Boże nie wypadła z powozu, i otulając zlekka szalem, ażeby nie przeiębiła się we śnie. I nie czułem nawet potrzeby rzeźwienia się sam wódką kolońską. Zastąpiło mi ją wspomnienie téj tak uroczo opisanéj sceny w pamiętnikach Góthego,

kiedy pierwszy cel jego piętnastoletnich affektów, *Gretchen*, śród rozmowy w salonie przy oknie, i także przy świetle księżyca, na ramieniu jego usnęła; i chociaż to nie było zbyt pochlebném świadectwem zabawnej z jego strony rozmowy: wspomnienie jednakże téj chwili na zawsze mu miłym zostało.

Otoż to moje dumanie trwało najmniéj z godzinę, i północ właśnie była na zegarku, kiedy się moja pupilka ocknęła.—Zmieszła się strasznie nieboga, widząc się tak pod moją opieką; ale jednak podziękowała uprzejmie, i żeby nie przerywać snu mamy, pocichutku rozmawialiśmy dalej. Północ i światło księżyca nasunęły rozmowę o duchach; a że zna *Lenore* Bürgera, zacytowałem parafrazę wierszy:

*Der Mond, der scheint so helle,
Die Pferde laufen so schnelle,
Graut, Liebchen, auch dir nicht?*

Nie odpowiedziała mi na to, ale widziałem przy świetle księżyca, że uśmiezek przemknął po ustkach. Powtórzyłem więc wiersz ostatni, akcentując wyraźniej znak zapytania.— „*O! nein!*” — odpowiedziała naiwnie i łagodnie; i rozmowa przybrała nastrój poetyczny, którą niestety zbyt prędko przerwał głos trąbki konduktora, zwiastujący przybycie do *Bergheim*. Śpiący się obudzili, i *wageny* stanęły przed pocztą, w rynku bardzo porządnego miasteczka. Wbiegłem prędko do izby, gdzie był razem i bufet, i sam dwie szklanki herbaty moim towarzyszkom przyniosłem. Sama pani chciała mi zwrócić pieniądze, ale zosta-

witem to do późniejszego rozrachunku, a tymczasem widziałem z pociechą, że traktament mój był na dobie: bo chłód nocny czuć jednak było, i sam ja z przyjemnością kufel *grogu* wypilem. Ależ to kraj błogosławiony te prowincye nad-Reńskie! Hebe, która mi nalewała ten nektar, tak mi się wydała nadobną, że aż jej zapytałem, czy nie ma imienia Julja?—„*Und warum fragen Sie das?*”—zadziwiona spytała nawzajem. „Bo wszystkie, które widziałem w tym kraju, „*schöne wie die Lilien, heissen immer Julien*”—rzekłem.—„*O! ich bin keine Lilie!*—zawołała z figlarnym uśmiechem.—*Ich heisse Klara.*”—„*Klara, Klärchen!*—odpowiedziałem—I to piękne imię! i godzi się doskonale, jak widzę, *mit der Klarheit der schönen Augen.*—I jasne, czarne oczęta spójrzały na mnie wesoło, jakby za komplement dziękując. Nie bawiłem jednakże dłużej nad czas do rozpiąty potrzebny, bo wiedziałem, niestety, że z Bergheim jest już niedaleko do Jülich. Jakoż stanęliśmy tam o 2-giej z północy, i jakiś wcale poważny Jegomość czekał już tam na poczcie na żonę i córkę, a powitawszy je czule, mnie też bardzo uprzejmie za usługi dla nich dziękował.—„*O! goldene Zeit der Reise!*” rzekłem zicha przy pożegnaniu, cytując słowa Maxa z Szyllera.—„*Ich wünsche dass sie Ihnen immer glücklich seye!*”—To były ostatnie słowa, które z różanych ust Lilii słyszałem;—i dalszy ciąg tęsknej podróży odbyłem już tylko ze śpiącym obok i chrapiącym Niemcem, którego za każdym razem, co się ku mnie pochylił, budziłem umyślném szturchnięciem, aby ukarać go przez to za niegrzeczność i samolub-

stwo.—Od godziny jestem już tutaj—i nim będzie czas do kościoła, (boć to dziś przecie Narodzenie N. M. P.), spróbuję czy choć w marzeniu nie zobaczę *jéj* jeszcze.

A ty, co może w téj chwili
Wstajesz do pracy codziennéj,
Sam przyznaj, czy mi nie miléj
Zszedł czas téj nocy bezsennéj?

Godzina 6 wieczorem.

Ależ i dnia pełniejszego jak dzisiaj trudnobym mógł nawet pożądać. Po wotywie w katedrze o godzinie 9-éj, zakrystyan, za cwancygera, jak Charon za obola do kraju umarłych, wprowadził mię do grobu Karola W. Wiész może—ale ja nie wiedziałem—że był on pochowany siedzący w krześle, a raczéj na tronie, w koronacyjnym płaszczu, z berłem w ręku, z Ewangelią na kolanach, i z torbą pielgrzymką przez ramię:— iście, jak mówi Kochanowski:

Złote berło i złote jabłko w ręku mając,
A Zakon Najwyższego na łonie trzymając.

Znaleziono go w téj postaci po otworzeniu grobu w lat 300, w obecności Cesarza Ottona III, i dopiero położono do trumny na spoczynek wieczny. Walter-Skott musiał pamiętać o tém, kreśląc ten tak precudny obraz otwarcia grobu czarnoxięznika, w „*Pieśni ostatniego Minstrela*.” Kto wie czy kiedy i na

Św. Helenie nie odkopią tak Napoleona? U Adama jest to artykuł wiary. Grób znajduje się w kaplicy środkowej, z kopułą; nad nim napis: *Carolo Magno*. Tron czy krzesło, na którym siedział, jest z białego marmuru, ze stopniami. Obite potem blachami złotymi, służyło od wieku XII-go za tron koronacyjny dla Cesarzów Niemieckich. Trzydziestu sześciu Cesarzów i jedenaście Cesarzowych koronowało się na niem. Dziś te blachy złożone są w skarbcu kościelnym, a samo krzesło umieszczone na galeryi.

Tu, i w sali koronacyjnej w ratuszu, przerobionym z pałacu Karola W., i gdzie się zwykle festyn koronacyjny odbywał, powtarzałem sam sobie z prawdziwem wzruszeniem, tę pyszną strofę z „*Grafa Habsburga*“ Szyllera:

W Akwisgranie, w zamkowych komnatach,
Namaszczalna cesarska biesiada.

Cesarz Rudolf, w obrzędnych swych szatach,
Tron wzniesiony u stołu zasiada.

Falcgraf Reński na złocie mu kraje,

Puhar z winem Król Czeski podaje.

Wszyscy siedmiu wyborcy Cesarza,

Jak wkrąg słońca chór planet niebieskich,

W złotych mitrach, w purpurach królewskich,

Stoją kołem przy tronie mocarza.

I widziałem ich zda się „przed oczyma duszy”; choć przed oczyma ciała wisały tylko na ścianach portrety ministrów, którzy tu w r. 1748 pamiętny traktat zawarli.

Ale nie miałem wyobrażenia, aby człowiek, chociażby największy, ale li tylko *człowiek*, mógł w dzie sięć wieków po śmierci tak żywo jakie miejsce zapeł niać, jak Karol W. zapełnia Akwisgran. Gmachy, pomniki, dzieła sztuki, wszystko go tu przypomina lub wielbi. Znać, że epoka jego kwitnie jeszcze do tąd na ziemi. Epoką tą jest Chrześcijaństwo. Epo ka Macedończyka, Grecka, żyje już tylko w poezyi, w muzeach, w ułamkach i w torsach z marmuru; epo ka Cezara, Rzymska, tylko w historii i w ruinach ol brzymich budowli, które Roma rozsiewała po świecie. Ale że każda z tych epok miała tylko po jednym ta kim *Wielkoludzie*: — ciekawa rzecz, czy Chrześcijań stwo będzie miało dwóch? lub czy też może Napoleon I-szy drugą w niem jakąś epokę po Karolu W. zaczy na? *Qui vivra, verra*. Dotąd Bogu to tylko wia domo.

Ja tymczasem oddawszy hołd Przeszłości, o godz. 1-éj z południa poszedłem do mojego dzisiejszego ce lu, to jest do mieszkania państwa Zamoyskich. Za stałem tylko samą panią. Pan Ordynat pojechał na kilka dni do Hollandyi, dla obejrzenia różnych fabryk tamecznych. Zatrzymany uprzejmie na obiad, mia łem czas wypowiedzieć to wszystko, co mi leżało na sercu. Nie wiem czy ty widziałeś kiedy panią Ordy natową Zofią Zamoyską, której piękność kiedyś za młodu, jak Tulczyńskiej Zofii Trembecki, Książnin w odach swoich wysławiał? Ale i dzisiaj jeszcze mo żnaby do niej zastosować słowo w słowo, co Göthe o pani Szymanowskiej powiedział: „*Elle est charman-*

te, comme elle est belle, et gracieuse, comme elle est charmante; tylko że zamiast *charmante*, właściwiej byłoby powiedzieć: *majestueuse*. W istocie jest w niej taki majestat powagi i rozumu, że gdyby nie wdzięk Gracyi, i nie wyraz ujmującej dobroci w twarzy: rzeźbiarz mógłby z niej wprost modelować Palladę albo Junonę. Ale w nikim tak, jak w niej, przez wielką damę nie przegląda zacna, polska niewiasta—bo na matronę jeszcze jest za piękna.

Przy obiedzie też, jakby na wety, miałem miłą a niespodzianą przyjemność, to jest spotkałem jedną z owych dwunastu *najpiękniejszych* z Instytutu panny Tańskiej, które kiedyś przed dwóma laty, w roli i w stroju Rusałek i Wajdelotek, pod przewodnictwem mojem, jako Wajdeloty, figurowały na kostiumowym wieczorze w dzień imienin pani Julii Grabowskiej, żony ministra oświecenia, składając orszak dwóch rzecznych bogiń: *Wili* i *Niewiaży*, (panny Natalii B. i panny Melanii G. siostrzenicy i córki gospodarza domu), niosących życzenia i dary solenizantce. Dzisiaj młodziutka panna Natalia *Zeitheim*, po skończeniu niedawno Instytutu, jest nauczycielką przy dorastającej pannie Elizie Zamoyskiej, a wspólne z nią przypomnienia owego uroczego wieczoru, dodały także niemało do poetyczności dnia dzisiejszego dla mnie, tak, że śmiało zaliczam go do takich, jakich sam niegdyś właśnie jednej z tych dwóch bogiń życzyłem, wpisując do jój albumu:

Niech każda chwila w sercu jak kwiat ci rozkwita,
Niech każdym dniem przeżytym dusza jaśniej świta.

Za parę godzin wyjeżdżam z powrotem do Kolonii *Eilwagem*, na który zapisałem się w chwili przyjazdu. Tymczasem biegnę jeszcze obejrzeć wskok miasto, chociaż z tego, co już widziałem, nie ma w niemi nic osobliwego, prócz kościołów, ratusza i wodotrysku przed ratuszem, co wszystko zwiedziłem już rano. W kościele Franciszkanów sławny obraz Rubensa „Zdjęcie z krzyża“, w katedrze „Narodzenie Chrystusa“ tegoż autora, i „Chrystus umarły“ Vandycka. Wszystko to bardzo piękne; ale nie mając wiele czasu wolałem patrzeć dłużej na same budowy, z których każda, a mianowicie katedra, jest sama w sobie najpiękniejszym obrazem. Kształt ośmiokątny; ściany presbyteryum całe w oknach dużych gotyckich; miasto opasują spacery. Tuż za miastem zamek *Frankenburg*, ulubiona rezydencya Karola W. Tam właśnie chcę poskoczyć, żeby się dobrze zmordować przed drogą, a potem spać w *Eilwagie*, marząc chyba, nie myśląc, o podróży wczorajszej. Ach! bo „*nessun maggior dolore*“ etc. A że Akwisgran słynie fabrykacją szpilek, więc możnaby to samo wyrazić w ten sposób.

Ach! bo najostrzejsze z szpilek,
Któremi los kole nas,
Są wspomnienia mitych chwilek,
Gdy już nam je zabrał Czas.

d. 9 Września, przed południem, na Renie.

Nie wysiadłszy, ani nawet westchnąwszy w Jülich;
nie pijąc nawet grogu ani spojrzawszy w *klare-Augen*

w Bergheim; o 4-tój rano dzisiaj ocknąłem się w Kolonii, a o 5-tój już byłem w katedrze, admirując i samą budowę, i efekt światła wschodzącego słońca przez różnobarwne malowidła szyb, w olbrzymich gotyckich oknach. Tu znów miałem sposobność podziwiać prawdę poetycznych obrazów Walter-Skotta, w opisie opactwa Melrozu, w *Pieśni Ostatniego Minstrela*, w tém arcy-cacku, jeśli nie arcy-dziele, poezyi obrazowej romantycznej, tak, jak ktoś kościółek Św. Anny w Wilnie nazwał trafnie arcy-cackiem struktury gotyckiej. A bo téż to w tym poemaciku, tak błahej na pozór treści, skupione są jak w miniaturze, (a rzeczy także można jak w winném gronie jagody), wszystkie główne rysy życia, uczuć i obyczajów wieków średnich, tak, jak się one, najwydatniej może, odbijają w ich architekturze. I tak np. bazyliki, to są jak symbole ich cnót. Wszystko tam *grandioso*, wysoko, tajemniczo, wspaniale. Zamki znowu feudalne, to jak symbole ich wad: dzikie, ostre, ponure, zbójcekie. Ale zamki, to tylko własność i dzieła jednostek, czy rodzin; katedry budowały narody i wieki. Niewiadomo nawet kto był pierwszym twórcą planu katedry Kolońskiej. Legenda przypisuje go djabłu, któremu za to architekt duszę swoją cyrografem zapisał. Wprawdzie musiał on mieć nadzieję *in petto*, że budując dom chwały Bożej, a przytém wiodąc żywot świątobliwy, wymknie mu się w końcu ze szponów. I rzeczywiście *in articulo mortis* nie dano go porwać do piekła; ale że zgrzeszył żądzą chwały własnej, dzieło jego zostało nieskończone, a imię poszło w niepamięć. I przyznać

trzeba, że dopóki się w czyścucu nie oczyścił z pychy, pokuta to być musiała nie lada: słyszeć ciągle wielbiących swe dzieło, z zupełném zapomnieniem o nim samym, jako o jego autorze. A co się tyczy dokończenia:—wiele razy słyszałem w Wejmarze, że projekt ten więcej niż kiedy zajmuje dzisiejsze Niemcy, które w tém dokończeniu wspólnym kosztem katedry Kolońskiej, fundowanej najpierw przez Karola W. (fundatora monarchii Niemieckiej), chcą upatrywać symbol wspólnego swego kiedyś zjednoczenia w przyszłości. Że zaś to protestantyzm właściwie przerwał tę wiekową budowę: być może, że gdy się kiedyś dokończy, będzie znów jeden pasterz i jedna owczarnia. Pierwsza nawet myśl téj kontynuacji wyszła podobno od Fryderyka Schlegla, (brata Wilhelma), który sam z filozofa i protestanta został arcy-gorliwym katolikiem. Głównym zaś dzisiaj promotorem tego przedsięwzięcia jest król-poeta, to jest król Ludwik Bawarski. Ale bo téż to prawdziwa epopeja architektury! Szczegółu żadnego ani dotknę, bo zginąłbym w nich jak ta biedna jaskółka, co rozbijając się tam dzisiaj o kolumny i posągi, swiergotała tak żałościwie, że aż mnie nawet żal się jój zrobiło.

Do najślawniejszych osobliwości tego kościoła należą relikwie ŚŚ. Trzech Króli, zabrane w Medyolanie i darowane Kolonii przez Fryderyka *Barbarussa*, w wieku XII-tym, do których tłumne odbywają się dotąd pielgrzymki. A i ja także z intencją pielgrzyma obiegłem wczwał dwa inne kościoły: *Sw. Urszuli*, zbudowany nad grobem jój i jedenastu tysięcy panien,

wymordowanych tu z nią razem przez pogańskich Gotów, i *Św. Gereona*, gdzie pogrzebione są kości całej „Legii Tebańskiej”, złożonej z Chrześcijan, która pod wodzą Cezara Maxymina odniósłszy zwycięstwo nad Gallami, za to, że nie chciała składać dziękczynnych ofiar Marsowi, sama z rozkazu wodza w pień wyciętą została. Cóż za dziw, że bazyliki rosły tak wysoko, kiedy grunt pod nie tyle i takiej krwi polewało! Zająrzałem też na chwilę do kościoła *Św. Piotra*, aby choć rzucić okiem na sławny obraz Rubensa. „Ukrzyżowanie Św. Piotra“, który jest tam w wielkim ołtarzu; ale tyle mi tylko o nim zostało wyobrażenia, co o książce z obejrzenia jój tytułu, kształtu i rejestru. A dziwna to rzecz, jak sztuka działa inaczej niż rzeczywistość; jak powolniej wnika do duszy! Gdybym podobną scenę np. na ulicy kiedy zobaczył: od razu i na zawsze utkwiałaby mi pewnie w pamięci; nie mówiąc już o wzruszeniu chwilowém. Na najpiękniejsze twarze, które widziałem w galerii Drezdeńskiej, długo naprzód patrzeć potrzeba, nim się złączą rzeczywiście podobać; a zaś ową blondynkę z kajuty dość było raz obaczyć w przechodzie, aby się nią raptem zachwycić. Wniosek z tego, że tylko życie działa wprost na życie; a obraz malowany, albo posąg kamienny, życiem i wyobraźnią własną ogrzać wprzód i ożywić potrzeba, nim z niego żywe wrażenia wydobywać się, i na nas reagować złączą. Piorun błyska i bije zarazem; maszynę elektryczną długo kręcić musisz, nim z niej wydobędziesz iskierkę. I brońże

Boże gdyby nie tak było! Toć w każdej galeryi obrazów, serceby ci pękło od żalu, albobyś oszalał z zachwytu, patrząc na tyle razem męczeństw i piękności. Słowo jednakże widać działa silniej, niżeli pędzel czy dłото. Mógłbym się skąpać we łzach, które wylałem czytając poezye i romanse; żaden zaś obraz ani posąg dotychczas ani jednej mi łzy nie wycisnął.

Masz tu jakby szkic myśli, które mi się roiły i brzęczały w głowie jak pszczoły, gdy sam jak szmermel zwijałem się galopem po mieście, aby i obaczyć co można, i nie spóźnić się do przystani na statek. Kupiłem tylko jeszcze dwie fiaszeczki wody tutejszej, jedną za guldena dla Adama, drugą za pół guldena dla *Julchen*;—bo mam to już sobie za narodowy punkt honoru, ażeby wszędzie u płci pięknej dobre wyobrażenie o grzeczności polskiej zostawić.

Płynę już od dwóch godzin tak zwanym *dyliżansem wodnym* do Bonn, większym od pocztowego statku, ale także z żaglami, a który chociaż pod wodę, idzie z wiatrem dość prędko. O 1-szej po południu mamy stanąć w Bonn; a że właśnie spełniłem zadanie, to jest zabazgrałem do końca wzięty z sobą papier listowy: — więc bądź zdrów! — idę sobie na pokład odpoczywać i marzyć.

Post scriptum. *Wieczorem, o godz. 8, w Bonn.*

Stanęliśmy rzeczywiście o 1-szej. Adam czekał w przystani. Poznałem go zdaleka; ale wiesz po

czém? — po pozie malarza. Stał i rysował w pugilaresie nasz statek. „Jezus Maryja! — rzekłem — czyż ci jeszcze ta manija nie przeszła? Rozumiałem przynajmniej, że już te dni portretami się tylko zajmujesz“.— „I owszem — odpowiedział seryo — zjąłem już wczoraj wszystkie okoliczne widoki. Ale dotrzymałem ci téż słowa i napisałem dziennik podróży po Niemczech“.— Ucieszyłem się niewypowiedzianie, i układałem już w głowie, jak ci będę wypisywał treść jego, a może i niektóre wyciągi. Aż tu cały ów mniemany dziennik składa się tylko z tych słów w pugilaresie: „Hamburg — bifsztyk; Wejmar — Göthe; Bonn — kartofle“ — i koniec. Mszcząc się więc za tę dekonfiturę, dobrałem się do pugilaresu, gdy wyszedł, i po kartoflach dopisałem ołówkiem: *Julchen*. On tego jeszcze nie widział; ale tymczasem, przyznać muszę, że okazał się grzeczniejszym odemnie: bo oddał jej buteleczkę większą, a dla siebie mniejszą zatrzymał.— W Bonn, prócz kartofli, nic mu się nie podoba. Mówi, że *Saßanniki* ¹⁾ w Wilnie porządniejsze od ulic tutejszych. Jużci téż jest to tylko retoryczna figura; ale Bonn w rzeczy saméj, jako miasto, nie ma w sobie nic powabnego. Oprócz dwóch niby-placów i jednéj z ulic, wysadzanéj kasztanami, wszystkie inne ciasne i brzydkie. Renu z miasta wcale nie widać. Kościoły katolickie, jeden zwłaszcza, dość duże, ale gdzie im do Kolońskich lub

¹⁾ Jedna z najładniejszych w Wilnie uliczek nad brzegiem Wilenki.

Akwisgrańskich! Gmach uniwersytecki obszerniejszy i porządniejszy od innych. Studentów na ulicy mnóstwo. Miny gęste, burszowskie; czapeczki na bakier. Za parę godzin, to jest o 10-tój wyjeżdżamy *Schnell-pocztą* do Koblencz; a wprzód list ten rzucę na pocztę. Bądź zdrow!

XXVI.

Do tegoż.

Moguncya, 11 Września, 1829 r.

Czuję że pisanie do ciebie stało się dla mnie potrzebą, jak korepetycyja dla studenta. Wraża mi ono w pamięć i porządkuje w myśli to wszystko, co spada pod oczy. Tym razem jednak nie dla tego piszę: bo jadąc z Bonn do Koblentz w nocy, nic nie widziałem; podróż zaś tą samą drogą z Koblentz do Moguncyi, jakkolwiek dla nas samych była jak drugie czytanie *wielkiej* poezyi, to jest i miłsza i głębiej przejmująca niż pierwsza: w opisie jednak byłaby tylko jak powtórzona bajka, (do której Szekspir życie ludzkie przyrównał), i dla tego nudzić cię nim nie będę. Powiem tylko, że wyjechawszy z Bonn po 10-ém wieczorem, o 5-ém rano wczoraj stanęliśmy w Koblentz; a wypłynąwszy z Koblentz o 6-ém rano, na parostatku *Fryderyk Xiążę Pruski*, o 8-ém w wieczór wylądowaliśmy znowu w Moguncyi, i że nam przez cały czas téj żeglugi i wiatr i pogoda sprzyjały. List ten piszę dla tego tylko, aby nim zamknąć cykl podróży Reńskiej, to jest przesłać ci w nim pożegnanie Renu, ułożone wczoraj w tych samych prawie miejscach, w których przed kilku dniami powitanie pisałem. Próbowałem umyślnie Spencerowskiej strofy, której Byron w *Childe-Haroldzie* używa, i zdaje mi się, że w poezyi opisowej równie dobrze dałaby się

przyswoić u nas, jak włoska oktawa w powieściowój. Zresztą sam to najlepiej osądzisz. My ztąd za parę godzin, to jest o południu, wyjeżdżamy do Darmstadt, furmanem, którego z wielką biedą ledwo dziś rano, i to nie w samój Moguncyi, ale aż w *Castell*, za Renem nająłem. Żegnam cię więc na dzisiaj wraz z Renem!

POŻEGNANIE RENU.

Żegnaj mi, Renie! choć czuję, że we mnie
Obraz twój równie zostanie na wieki,
Jak me wspomnienia i myśli wzajemnie
Wracać tu będą nad brzeg twojój rzeki!
Bo jak z cudownych miejsc pielgrzym daleki,
Nie ich pamiątki tylko z sobą bierze,
Lecz w nich i zakład Niebieskiej Opieki,
Co go przez wiarę utwierdzając w wierze,
Serce krzepi otuchą, że go Sama strzeże:

Tak i ja czuję, że com na twym brzegu
Widział, i widząc poczuł w duszy mojej,
Odbijać będzie w dalszym życia biegu,
Jak tve wybrzeża w łonie fali twojój.
Piękność i plenność, co tve pola stroi,
Ruiny zamków po skał twoich szczycie,
Wino, co serca raduje lub koi,
Wszystko to uczy myśleć przez odbicie:
W czém czczość i mara świata—w czém prawda i życie.

Pycha, namiętność, potęga i chwała,
Co tu swe twierdze na szczyt gór dźwignęła,
Co krwi, łez tyle w tve z nich nurty złała,
Gdzież jest?—Z twą falą w niepamięć spłynęła.
Gruz i ruina—treść i ślad ich dzieła!
A ziemia kwitnie; jak kwitła; a praca,

Co ją tu po nich w dziedzictwo objęła,
Cicha i skromna—wslawia ją, z bogaca.
Niebo jój błogosławi, i świat ją opłaca.

Czyż i w dziedzinie duche nie tak samo?
Darmo nad poziom wznieść dzieła olbrzymie,
Gdy cień ich tylko ma być niebios plamą;
Gdy z wyżyn tylko, jak lodozwał w zimie,
Spaść ma—co tory przeszłości pielgrzymie
Zagrzeblszy, ludzkość znów pchnie na bezdroże!—
Szczęśliwszy stokroć! co choćby swe imię
Zagrzebł w poziomej pracy, gdy z niej może
Wykwitnąć dobro braci i Królestwo Boże!

XXVII.

Do tegoż.

Darmsztad, 11 Września, 1829 r. w nocy.

Massę rzeczy ciekawych mam ci dziś do powiedzenia; to jest ciekawych o tyle, że były takimi dla mnie, i zapewne będą dla ciebie. Bo idzie nie o Niemcy lub Niemców, ale wprost o Adama;—a jeśli nas tak zajmowały wspomnienia Medwina o Byronie, toć przecie rzecz naturalna, że dla nas ciekawsze są o nim. Słyszę zda się że mruknałeś pod nosem: co u ciebie, jak u niedźwiedzia, zawsze symptom ukontentowania oznacza; i gotów może będziesz nałożyć nową fajkę przed dalszém czytaniem—jak się to przy czytaniu nowój poezyi dzieć zwykło. A bo i znajdziesz tutaj poezją nie lada; ba, nawet powiem śmiało, poezją poezyi, i historją jój razem.

Widzę cię, jak to czytając,
Uszy nadstawiasz jak zając.

No! więcze słuchaj! bo ja bez żartu mam ciekawe rzeczy do opowiedzenia, i nie dla tego tylko ciekawe, że (jak król Ludwik pisał do Göthego) każdy szczegół o wielkich ludziach przestaje być drobiazgiem sam przez się, a staje się atomem, w skład ich wielkości wchodzącym; ale że to, co mi dziś Adam opowiadał o sobie, należy rzeczywiście do historyi

poezyi naszój, bo jest historią początku i rozwijania się w nim samym tego nowego kierunku, w którym on potem, jak rudlem, poezją naszą zawrócił. A jest w tém—jak mi się zdaje, nie zrządzenie ślepego przypadku, ale raczój widomy kierunek Opatrzności, która wszystko i zawsze jednym torem prowadzi, to jest wszystko co dobre, wyprowadza z miłości. *No-tabene*, mówię tu nie o tój tylko pospolicie tak zwanej *miłości*, co błękitném lub czarném oczkiem mru-ga i miga jak gwiazdka czy ognik, ale o tój, co *ogniem słońca*,

„Ludzkości całe ogromy
Przenika z końca do końca.”

To jest, kocha to wszystko, co warte kochania: zaczynając i kończąc na Tym, co jest Alfą i Omegą wszystkiego. Adam mówił niedawno, że czytał gdzieś w *Globie* faktami udowodnione twierdzenie, że Ś. Franciszek z Assyżu, ów cud serafickiej miłości, który nie tylko we wszystkich ludziach, ale nawet we wszystkich żyjących stworzeniach widział braci swoich i siostry, jak je sam zazwyczaj nazywał; że ten ideał pokory i ubóstwa, jest właśnie owém żywém tajemniczym źródłem, z którego, w następstwie wieków, wypłynęły prostém korytem ducha: poezya, malarstwo, rzeźba i architektura Włoska, które znowu przez Dantego, Rafaela i Michała Anioła, wpływ swój na świat cały wywarły. Otóż i nowa^o poezya nasza wyrodziła się naprzód, nie z estetycznych teoryi, nie z książek, nie z naśladowania Niemców albo Angli-

ków, ale wprost z życia, z prawdy, z miłości; jednym słowem z natchnienia łaski Bożej, które z serca jednego, jakby z ołtarza Znicza, rozpromieniło się wkoło na drugich. A tym *jednym* był nie sam Adam. Adam był tylko jak ów Memnon, syn słońca, który pierwszy wschód jego harmonią powitał i ogłosił. A wszystko to wynikło tak prosto i naturalnie, że najlepiej zdaje się zrobić, kiedy też równie po prostu powtórzę ci całą naszą dzisiejszą rozmowę, z której właśnie wyciągnąłem te wnioski, z wiernym nawet zachowaniem jój toku.

Z Moguncyi do Darmsztadu jest tylko trzy mile i pół, ale droga taka szkaradna, takie piaski i błota, że woleliśmy częściej iść piechotą, niż wlec się noga za nogą. Ekwipaż nasz był *einspännig*, to jest jednym koniem; tylko że nie tak przyczepionym z jednej strony do dyszla, jak ów mój zaprząg z Wrocławia do Drezna, ale zaprzężonym porządnie, do bardzo porządnego, na dwie osoby, powoziku z pudłem. Porządek ten uprzęży i sam ubiór furmana, choć prosty, ale ani dziurawy, ani łatany, przekonywały nas dostatecznie, że nie jesteśmy u siebie; ale za to kraj w ogólności tak był do naszego podobny, że co krok przypominał nam jakąś znajomą okolicę i obudzał przywiązane do niej wspomnienia, któreśmy sobie opowiadali nawzajem. To wprawiło Adama w najdoskonalszy humor; a to podobieństwo krajobrazu sprawiało mu, jak sam mówił, sto razy większą przyjemność, niż najpiękniejsze widoki nad-Reńskie, choć je z takim zapałem rysował.—„Oho, żeby to posły-

szano w Warszawie! rzekłem. Klassycy mieliby gotowy pistolet na zabicie cię raz na zawsze w opinii wielkiego świata.” — I opowiedziałem, jak raz na wielkim obiedzie u Jenerała Krasieńskiego, król *dandyśów* warszawskich, wielki wojażer, pan hr. Gustaw M., rozśmieszył i zgorszył całe towarzystwo opowiadaniem, jak jeden z jego znajomych ziomków, stojąc z nim na „*Moście Westchnień*” w Wenecyi, westchnął wspomniawszy sobie, że w tym dniu właśnie zaczyna się jarmark w Łowiczu. Poczytano to za dowód takiej głupoty, na którą nie ma wyrazu; i dopiero gdy Waleryan piérwszy, a ja po nim, odważyliśmy się stanąć w obronie *cenzurowanego*: zdania zachwiały się nieco, i w końcu podzieliły się na dwoje. Wojskowi zwłaszcza wzięli stronę naszą, przeciwko frakowym pankom, dla których zagranica, to Eden— dopóki w nim na rajskie jabłuszka fortuny i zdrowia nie stracą:

A potem wygnani z raj, .
Wróć pokutować w kraju. .
O! i żebyż pokutować,
A nie jak wąż deklamować,
I do podobnychże losów
Pokuszać drugich młokosów!

Gdy zaś dotknięty tém widać pan hrabia zapytał mnie po chwili z przekąsem: „Czy prawda, że bachury z pejsami w jarmułkach służą do stołu w traktyerach w Wilnie?”—wypaliłem mu na to taką filippikę, że podobnej zapewne w życiu swoim nie słyszał. Nie mógł wszakże obrazić się jawnie, bo nie wprost do

niego samego, ale tylko w ogólności mówiłem; musiał wszakże wściekać się *in petto*, tém bardziej, że się więk-
szość w tym razie oświadczyła za mną.—Opowiadanie
to wywołało w Adamie jeden z tych improwizacyjnych
wybuchów, które tém mocniej wstrząsają słuchacza, że
on w nich wcale o efekcie nie myśli, a tylko jak huragan
jego Farysa: *to go wznosi, to ciska o ziemię, pałąc ognistym oddechem* swych uczuć, a porywając
na skrzydła swych myśli. Mówił o dziwném tém
zasłепieniu, a raczej omamieniu, które Bóg często za
karę, jak na pojedynczych ludzi, tak i na całe społeczeństwa
dopuszcza: że w zapatrzeniu tylko na dalekie złudne *miraze*, w istocie nic ani w sobie, ani
wkoło siebie nie widzą, i goniąc niby za wodą, gotowi są
odbiedz od rzeki, aby zginąć w piaskach pustyni; gotowi się
wstydzic cnót własnych, aby w cudzych grzechach zagręznąć.
Jak zaś są miejscowości, gdzie się owe fizyczne *Fata-Morgany*
pojawiają częściej niż gdzieindziej, tak i podobny fenomen
moralny często od przyczyn miejscowych zależy. Klimat i
natura kraju wpływać muszą koniecznie na temperament i
charakter mieszkańców. Płaskie, piaszczyste równiny,
miałkie koryta rzek, inne już od dzieciństwa czynią
wrażenie na ludziach, niż góry, skały, kwieciste łąki
lub dębowe lasy, które ani na takich płaszczyznach,
ani nad brzegiem takich rzek nie rosną. Imaginacja jak
oko, nie mając o co się oprzeć, aby mózgi skupić się w
sobie, staje się w końcu jak ów strażnik telegrafu,
który wzrok tylko na dalekość wyteżga, i machinalnie
ruchy innych tele-

grałów powtarza. Ztąd pochop do naśladownictwa, które znowu, z natury swojej, musi w końcu wpadać w przesadę. Poezya też w takich warunkach, łatwiej może niżeli gdzieindziej staje się naśladowniczą i sztuczną. Poezya prawdziwa, wszędzie i zawsze wykwita tylko z poczucia i zamikowania rzeczy własnych; bo takie tylko dla poety są istotnie prawdziwe; bo takie on tylko sam przez siebie widzieć, poznać i poczuć może. Przedmioty i uczucia poetyczne brane z książek, będą to zawsze tylko albo zasuszone, albo sztucznie robione kwiaty; ciekawe może dla botanika, dobre dla sztucznych włosów lub barwionych twarzy, ale których żadna wiejska dziewczyna, za nic na świecie, ani do głowy, ani do serca przypiąłaby sobie nie chciała. Poezye tego rodzaju mogą podobać i podziwiać pewne światowe i literackie koterye, ale ogół nigdy ich ani przyjmie, ani uzna za swoje.—„A ty przecież zkaż jeśli nie z książek nauczyłeś się naprzód i pojmować i pisać poezye?” rzekłem.—„Pisać wiersze, nie poezye—odpowiedział; bo to dwie rzeczy różne jak niebo od ziemi. Książki przekonały mnie tylko, że wszyscy wielcy poeci, ilu ich było na świecie, od Homera do Göthego, wszyscy z tego samego źródła czerpali.”—„A jakież to jest źródło? Poezya ludowa?” zapytałem.—„Poezya ludowa nie jest źródłem, ale tylko, jak wiejska dziewczyna, czerpa wprost dłonią i pije ze źródła, nim je potem wodociągami do miasta na fontanny i na herbatę sprowadzą.”—A więc cóż jest tém źródłem?”—„Rzeczywistość i Prawda. Dla gminnego oka to skała;—ale toż właśnie ze ska-

ły na Parnasie greckim wytryskało źródło Kastalskie. Imaginacya jest tylko jak Hebe, co z tego źródła nalewa; albo jak ta dziewczyna w Karlsbadzie, co *Szprudel* kubkami rozdaje.”—

I oto masz w jaki sposób zaczęła się rozmowa, o której dziś głównie chcę pisać, a to, aby ci donieść wiele nowych rzeczy, o których sam raz pierwszy z niej się dowiedziałem ¹⁾.

Fizyolog jakiś dowodzi, (są to własne słowa Adama), że mózg dziecka w pierwotnym kształtowaniu się swoim, podobny jest kolejną do mózgu ryby, ptaka, zwierzęcia, nim się wreszcie na mózg ludzki wykształci. Otoż i w kształceniu się moralnym i artystycznym, człowiek przez podobne fazy przechodzi. W obu razach, jeżeli się na którym z tych pośrednich szczebli zatrzyma, rodzą się monstra, półgłówki, i poeci bazgracze.—W pierwszych latach pobytu w uniwersytecie, był on, (jak sam powiada), co do poezyi, w stanie zwierzęcia; to jest pisał takie wiersze, i miał takie wyobrażenie o sztuce, jak tego wymagali ówczesni recenzenci Warszawscy. W szkołach zaś, w No-

¹⁾ Dla wielu czytelników dziś to już może nie będzie nowością. Przed kilkunastu bowiem laty, opowiadanie moje o tém samym, przyjaciel mój ś. p. Ignacy Chodźko, autor *Obrazów Litewskich*, pomieścił w swoich „*Dwóch Konwersacyach*,” wymieniając wyraźnie że je ma odemnie. Następnie zaś p. Julian Bartoszewicz, w swojej *Historji Literatury*, powtórzył je całkowicie ztamtąd, bez wymienienia wszakże źródła z kąd bierze. (*Przypisek autora, w Kronice Rodzinnej, z r. 1869*).

wogródku, czuje, że był w stanie ryby; kiedy na wzór drukowanego jakiegoś poety Świderskiego ¹⁾, zaczął był przekładać wierszem *Numę Pompiliusza Floryana*, i to z prozy polskiej Staszica. I oto jest parę wierszy, które sobie przypominał.

W mieście Kuryi, w kraju Sabińczyków,
W pośród rozkosznych cyprysu gaików, i t. d.

To sam początek. A potem z pojedynku Leona z Numą:

Jak na dnie studni dwa zjadliwe węże,
Na wierzchu skały dwaj waleczni męże, i t. d.

Uśmieliśmy się serdecznie z tych wspańiałych rymów, które autor deklamował z emfazą. A ja też przypominałem sobie moje z *Gonzalwa z Korduby*, tegoż Floryana, z którego także w szkołach, i także z prozy polskiej, kilka miejsc zwierszowałem. Między innymi pojedynek Almanzora z Larą tak się zaczynał:

Almanzor jeszcze słaby z odniesionej rany,
Lecz cnotą i miłością ojczyzny zagrzany,
Skoro tylko na niebie dzień się ukazał,
Do osobnej się walki z Gonzalwem gotował. i t. d.

Deklamacye te dały powód do przypominania najpiérwszych poetycznych wrażeń, jakich każdy

¹⁾ Jędrzej Świdorski, mierny autor kilku obszernych poematów, jak np. *Józefada*, w pięciu, a *Syn marnotrawny*, w dwudziestu dwóch pieśniach.

w dzieciństwie doznawał; i pokazało się, że oprócz tych samych bajek, opowiadanych przez niańki, inne też źródła były prawie te same; a były niemi zwłaszcza tłumaczenia różnych powieści z francuzkiego: z Floryana, z pani de Genlis, i t. d. które widać na ówczas krążyły powszechnie. Adam aż mnie pogłodził śmiejąc się, gdy mu opowiadałem, jak przy czytaniu *Numy Pompiliusza*, z oburzenia na Rzymian za porwanie Sabineek, tak mocno machnąłem ręką, że uderzywszy wierzchem dłoni o chropawą korę starej lipy w Giejstunach, zdarłem zeń sobie skórę aż do kości, tak, że przez parę tygodni rękę na temlaku nosiłem; albo jak potem już w szkołach, galopując na własnych nogach z kolegami, w roli rycerzy, na odsiecz pięknej Zoraidy, upadłem na kołek od wrót i zwichnąłem też samą rękę. On też opowiadał nawzajem, jak w Nowogrodku urządzał z kolegami zabawy, mające wyobrażać różne sceny z poematów albo romansów, które wspólnie czytali; a o czém też i w *Dziadach* wspomina. A było to kubek w kubek tak samo, jak u nas w Borunach, jak zapewne i u was w Szczuczynie; bo jakimś dziwnym tajemniczym węzłem, wszystkie szkoły w małych miasteczkach łączyły się w jeden obyczaj. Adam z tego powodu mówił, że nikt większych zasług nie położył w literaturze naszój, jak Dmochowski i Piotr Kochanowski: piérwszy przekładem *Iliady* i *Eneidy*, drugi *Jerozolimy Wyzwolonój* Tassa; bo przez te dopiero przekłady, wielka prawdziwie poezya doszła u nas do wiadomości ogółu; podczas, kiedy późniejsi tłóma-

cze samych tylko poetów francuzkich, pojęcia o niej, zamiast rozszerzać, ścieśniali owszem i ćmili.

W uniwersytecie to jednak dopiero nauczył się czuć i oceniać, jak mówił, te nieprzebrane piękności i skarby językowe, zawarte w owym przekładzie Tassa przez Kochanowskiego, a zwłaszcza w poezjach Trembeckiego, których sam potem, jak pamiętasz, kazał nam wszystkim uczyć się na pamięć. Wi-nien to zaś był naprzód naszemu czcigodnemu panu Leonowi Borowskiemu, który rychtyk tak samo mu-sztrował z początku Adama, jak potem nas po kolei; i po dwóch pierwszych jego ćwiczeniach, które pochwalił publicznie, zawezwał go tak samo, jak nas potem, do siebie, a widząc że jeszcze tak młody, (kończył rok siedemnasty), zajął się nim z tą samą prawdziwie ojcowską, ale razem i pedantyczno-mistrzowską troskliwością, którą i jego, jak nas potem nieraz, prawie do płaczu i do rozpaczy przywodził. A przecież Adam w tym pierwszym roku pobytu w uniwersytecie, jako stypendyat i kandydat do stanu nauczycielskiego, uczęszczając z obowiązku na wydział fizyczny, nie był nawet jeszcze właściwie uczniem Borowskiego, i tylko jako amator na lekcye jego przychodził. Nie przeszkadzało to jednak gorliwemu profesorowi, mimo ciągłych prac i zajęć własnych, poświęcać często po kilka godzin czasu dla obcego mu całkiem młodzieńca, skoro w nim, okiem mistrza i znawcy, odkrył zaród prawdziwego talentu. To téż Adam, podobnie jak i my wszyscy późniejsi, zachowuje zawsze dla niego wdzięczność

i przywiązanie synowskie. I rzecz dziwna, że i on także, przez długie lata, jak mówił, przy każdym pisaniu wierszy, czuł zda się obok siebie zimną i sztywną jak posąg twarz i postać pana Leona, gdy bez żadnej litości dla rymu lub dla harmonii wiersza, z nieubłaganą surowością Minosa, ścigał każdą myśl nie logiczną, każde niejasne wyrażenie, każdy wyraz niewłaściwie użyty. I przypominaliśmy oba z rozrzewnieniem, owe istne czyscowe próby, w gabinecie jego pod kluczem: gdy przyniesiony rękopism, wycackany i wychuchany jak można, a miany za *monumentum aere perennius* — wynosił się pokrzyżowany jak cmentarz, który i górne o sobie mniemanie autora, i nadzieję chwały z niego pogrzebał.— O! gdyby to i surowość klasyków Warszawskich z podobnego wypływała źródła! Czyżby nie miło było mieć te same uczucia i dla nich, jakie do dzisiaj dla pana Leona zostały? Tém bardziej, że już z ich sławy lub z czytania ich własnych utworów, jak np. ód Koźmiana, albo tłumaczeń Osińskiego, tak się ich od dzieciństwa kochało i czcilo. Ale Warszawa pod tym względem, to inny świat, którego my, Bogu dzięki, pojąć nawet i zrozumieć nie możemy. Bo jakże to naprzykład, kochając niby literaturę i sztukę, nie ucieszyć się i nie powitać z miłością, i nie podać braterskiej lub ojcowskiej ręki nowym młodszym współpracownikom, którzy do téj samej winnicy, na wspólną robotę przychodzą? Jak pojąć, aby tak zacny i poważny człowiek i dygnitarz, jak Koźmian, dójść mógł do tak nieprzyzwoitych nawet wybuchów

niechęci i gniewu, z jakim się potylekroć publicznie o Adamie odzywał? Aby tak świątły i tak wysoko w hierarchii społecznej stojący, jak Jenerał Morawski, mógł, i to przez ciąg lat wielu, poniżyć i prawie ograniczać swój talent do ciągłych żartów i przedrwiwań z Jaxy ¹⁾, lub do tak obraźliwych obelg, nie już satyr, z jakimi kiedyś przeciw Goreckiemu wystąpił? I za co? Za to chyba, że *Diady* i ballady Adama, jak przedtém bajki i dumki Goreckiego, podobały się powszechnie wszystkim, prócz klasycznego Sanhendrynu w Warszawie? Jak więc pojąć i czém wytłómaczyć, że te i tym podobne rzeczy, w opinii najpiérwszych towarzystw, zamiast wzbudzać oburzenie i niesmak, echo owszem i poklask znajdują? Wytłómaczyć to chyba można przewagą ducha koteryjnego nad ogólnym; albo, że jak koryfeuszem koteryi, tak i pochodnią opinii salonów, które tamtęj przez modę hołdują, jest taki *expert* i deklamator jak Osiński, który sam istny okaz *Warszawskiego srebra*, pod połysk blaszki naklejonej z wierzchu, nikomu w głębię zajrzeć nie daje, a zaś dewizę koteryi swojej, wciąż, jak drzemiącej papudze, wkłada do uszu opinii salonowej: „Nie będziesz miała bogów cudzych przed nami!”—A wręście, jest to już może jakaś miejscowa *malaria*, nakształt Rzymskiej, która epidemicznie z pokolenia na pokolenie przechodzi. Dość wspomnieć na owe sławne czwartkowe obiady u króla, na których

¹⁾ Kajetan Jaxa Marcinkowski, rozgłośny w swoim czasie wierszopis, zmarły w r. 1830.

ludzie najpoważniejsi stanem i wiekiem, czytali głośno jedni przed drugimi takiego rodzaju wiersze, iż żaden dziś przyzwoity młodzieniec, przed kolegami nawet powtórzyćby ich nie śmiał; albo owe rymowe kłótnie i żarty z Bielawskiego, które dzisiaj Morawski naśladuje z Jaxą; albo nakoniec owe *smolące*, jak je nazwał Trembecki, paszkwile Węgierskiego, któremi pyszny dowcipem swym młokos, nie tylko najdostojniejsze osoby płci obojęd, ale nawet swych własnych dobroczyńców obrzucał. Że zaś podobne literackie paszkwile nie lada musiały być w modzie, świadczy o tém wiersz Trembeckiego, p. t. *Antidotum przeciw zbyt rozmnożonym w Warszawie paszkwilom*, który pewno musisz pamiętać:

„Co za brudne postrzegam i nieznane chmury?
Jak grad lecą paszkwile, zwłoszały Mazury.
Z czasem ci pisarkowie do téj dójdą mety,
Iżby w plecach braterskich topili sztyłety” i t. d.

Karpiński i Książnin, przybyłcy z innych okolic, nie mogli widać harmonizować z tym nastrojem miejscowych lutni, i tak nie należeli do ówczesnej kotery lutnistów, jak nie należą do dzisiejszej: Brodziński, Witwicki i Bohdan, chociaż ich między sobą braterska przyjaźń jednoczy. A i sam Ursyn, choć od tak dawna zamieszkały w Warszawie, czyż go nawet sama ta koterya dzisiejsza za członka swojego uważa? Czy on jój sądy i niechęci podziela? Czyż i jego także pan Ludwik nie szarpie gdzie może za oczy?— Alboż Alexander Fredro naprzykład—którego wszy-

stkim sztukom na scenie z takim zapałem przykła-
skuje publiczność; jakże on był przyjęty i traktowa-
ny z początku przez ten pseudo-klassyczny areopag
recenzentów Warszawskich, który sam *jure caduco*
chce sobie gwałtem przywłaszczyć przywilej wyda-
wania patentów na sławę? — Ciekawa rzecz, co to
będzie za jakie drugie lat pięćdziesiąt, kiedy może
romantyzm stanie się tam modą, jak się na to zdaje
zanosić; albo jeśli i u nas przyjdzie kiedy do tego, że
zięgarze i dziennikarze zaczną płacić za prozę i wiersze,
jak się to już praktykuje gdzieindziej. Toż to będzie
dopiero monopol, gorszy niż dzisiaj na tabakę, ażeby
nikt broń Boże, *outré nous et nos amis* do konku-
rencyi nie stanął! A kto wie czy i romantyzm na
tym samym gruncie nie wybuja jak dzisiejszy klas-
sycyzm, i nie rozpasa może hippogryfa, jak dziś ten
pegaza okiełznał? Próbkę już tego dzisiaj można
widzieć w Gosławskim;—choć co w tém, to już nie wina
Warszawy, bo to wicher od stepu w nim kręci. Ale
niechby mu kto, jak nam pan Leon, chciał mówić
o logice, o sensie, o jasności myśli i wyrażeni!—tożby
miał co do słuchania nawzajem: o pedantyzmie, em-
piryzmie, o profanacyi natchnienia, o grzechu prze-
ciw Duchowi Świętemu!—Adam mówi, że to jest nieu-
nikniona kolej wszelkiej nowej reformy; że każda
musi, jak wahadło w zegarze, dojść do swojego *czyk*,
to jest do ostateczności w swoim kierunku, nim do
umiarkowania nawróci. Ztąd téż przepowiada, że
jeśli kto z nowatorów dzisiejszych do onych lat pięć-
dziesięciu dożyje, to albo pójdzie w kął pomiędzy

stare graty, albo tak będą krzyczeń na *zacofońca* lub *retrogradystę*, jak dziś krzyczą na *turbatora chóru*. Brodziński o tém przecudownie powiedział:

Kiedym był młody, wołali starzy:
„Czemu nam w drogę zachodzi,
„I o czémsiś nowém marzy?”
Kiedym postarzał, wołają młodzi:
„Czemu nam z drogi nie schodzi,
„I o czémsiś dawném gwarzy?”—

Jedném słowem, dogódźże tu ludziom na świecie! i Naruszewicz nie darmo mówi w ogólności do nich:

Wasz to obyczaj, cierniem w życia ciągu,
Laurem po śmierci wieńczyć na posągu.

Adam zaś dodaje nadto, że niedość nawet jest umrzeć, ale potrzeba jeszcze najmniej pół wieku czasu, aby się sąd potomny o poecie ustalił; i że ten co zbyt goni za chwałą współczesną, najczęściej się rozminie z potomną.

Ale wybaczone, mój drogi, ten tak sążnisty epizod! Możesz go wziąć naprzód za dowód, że nie mam czasu pisać krótko, jak to tam jakaś Francuzka czy Francuz powiedział. A powtóre, gdybym się miał ekuzować przed panem Leonem, który epizodów nie lubi, to powiedziałbym, że w niniejszym jest jakby odbicie sposobu i toku rozmowy, która szła sobie jak dziewczyna w lesie, zbierająca jagody lub grzyby. —A więc wracam *ad rem et ad hominem*.

Borowskiemu Adam, jak mówił, zawdzięcza przede wszystkim wyrobienie formy i języka; bo co do

treści i kierunku, on mu nowej drogi nie wskazał. W ciągu dwóch pierwszych lat w uniwersytecie, z drobnych rzeczy pisał najwięcej bajek, naśladowując w nich styl Trembeckiego; na seryo zaś myślał ciągle o poemacie heroi-komicznym p. t. *Kartofla*. (W Warszawie mówi się *kartofel*. Sam więc tytuł dla recenzentów tamecznych jużby do potępienia całego poematu wystarczył; chociaż sam chyba X. Jundziłł mógłby zdecydować stanowczo, do jakiego rodzaju należy raczej ten owoc: bieluchny, okrągłuchny, a z tak bujnym zielonym warkoczem? Czerwone więc chyba i długie, jak nosy pijaków, a dobre tylko dla gorzelnii, mogłyby w nim płec brzydką oznaczać.) Znaczne wyjątki z tego poematu czytał mi już przed laty w Wilnie. Część heroiczną stanowić w nim miało odkrycie Ameryki, gdzie też naprzód odkryto kartofle; część zaś drugą, uprawa i użycie ich u nas; czyli raczej, pod tą niby żartobliwą formą, obraz wiejskiego życia i obyczajów naszych.—Część pierwsza była prawie skończona. Rozpoczął ją obraz wyprawy Kolumba, miotanej burzą na przestrzeni wód nieznanomych, a przywiedzionej do rozpaczki i zwątpienia o skutku, oprócz tylko jego samego. Burzę tę i zwątpienie osady wywołał nie kto inny jak szatan, przewidujący rozszerzenie Chrześcijaństwa i dalsze dobre skutki z odkrycia. Wiara i natchnienie niebieskie były światłem i siłą Kolumba, w owęj walce z szatanem, z burzą, i ze współtowarzyszami swoimi. Tymczasem, w chwili stanowczej, w Niebie odbywa się na rada: dopuścić, czy jeszcze odroczyć odkrycie no-

wego świata? Archanioł Michał jest za dopuszczeniem, archanioł Gabriel przeciw. Pierwszy sposobem i stylem Miltonowym, przedstawia w dłuższej mowie wszystkie pożytki, jakie ztąd dla ludzkości i dla wiary wynikną; drugi wszystkie zbrodnie Hiszpanów a prześladowania krajowców, mające być zarówno skazą ludzkości i wiary. Szala wyroków się chwieje—i nakoniec staje w równowadze. Wtedy archanioł Michał, jako ostatni argument, rzuca na nią *kartoflę*. Korzyść z niej dla ludzkości zwycięża nawet opór Gabriela. Odkrycie zdecydowane. Protektor jego śpieszy ku wyprawie. Szatan pierzcha, burza ustaje, Ameryka odkryta! Obraz natury kraju i jego mieszkańców, na wzór opisanego raj w Miltonie, i nakoniec poznanie kartofli zamykały część heroiczną. Z drugiej były tylko wyjątki. Jeden z nich, ile pamiętam, dałem ci kiedyś jako autograf Adama, zaczynający się od słów:

O! ziemio Nowogródzka! kraju mój rodzimy!
O! Trembeckiemii godzien uwielbienia rymy! i t. d. .

Adam *à propos* tego swego poematu, studyując różne epepeje, napisał też rozbiór *Jagiellonidy*, Dyżmy Bończy Tomaszewskiego, ogłoszony w *Pamiętniku Warszawskim*. Zaniechał zaś kontynuacji dla tego, że właśnie w tymże czasie poetycka komórka w jego mózgu, nowe kształty, jak mówił, przybierać zaczęła.

Pierwszym, chociaż bezwiednym motorem tego, był pan Tomasz. Znasz go, a więc znasz i to serafickie usposobienie serca, które kocha wszystko i wszystkich, we wszystkiem i we wszystkich szuka tylko

i widzi dobro, a każdym miłym wrażeniem i uczuciem radeby się ze wszystkimi podzielić. Owoż za narzędzie właśnie ku temu służyły mu wiersze—bo o ich drukowaniu nigdy ani myślał. Pisał zaś ich co niemiara: naprzód do rozmaitych panienek i panieneczek, którym na wszystkich pensjach rozmaite przedmioty wykładał, a w każdej z nich, zaczynając od *Feli* i *Weli*, (królowej jego myśli i jej przyjaciółki: Felicji Micewiczówny i Eweliny Zborowskiej), w każdej jakiś wyłączny *promionek* doskonałości upatrywał i kochał; potem zaś, opisując dzień po dniu swoje przygody albo wrażenia, które zwykle wieczorem przyjaciółom swym odczytywał. A przyjaciółmi tymi byli: nasamprzód Adam, potem p. Franciszek Malewski, potem Jeżowski, Czczot, Kowalewski, nasz kochany Żegota ¹⁾, i nakoniec, nieco już później, wesoly i rozweselający wszystkich Antoni Frejend, starszy mój szkolny kolega w Borunach i najpierwszy przyjaciel-poeta, który mię też potem w Wilnie najpierw z p. Tomaszem, i ze wszystkimi, prócz Adama, braćmi w Apollinie zapoznał. Adam, p. Franciszek i Tomasz mieszkali tuż obok siebie na jednym korytarzu w murach Śto-Jańskich: p. Franciszek u ojca swego, rektora; Adam u krewnego i opiekuna, dziekana i profesora, X. Mickiewicza, a p. Tomasz u Kazimierza Kontryma, jako korrepetytor przy jego synowcu Dalsi bywali tylko ich codziennymi gośćmi: Frejend często z butelką mleka i własnymi bułkami w kie-

¹⁾ Domejko.

szeni. Na tych to zebraniach, obok dysput o algebrze, chemii, Pandektach, Homerze i Horacyuszu, p. Tomasz na zakończenie czytywał zwykle owe swoje wiersze, a Frejend jowialne *jamby*. Adam z początku nie wiele do nich przywiązywał wagi, nie widząc w nich ani sztuki, ani wypracowania; aż nakonieczu jednego p. Tomasz napisał elegię na odjazd jednej ze swoich pięknych przyjaciółek i uczennic, z którą przez cały rok, w niedzielę i święta, spotykał się na obiadach w domu wspólnych przyjaciół, gdzie już zazwyczaj razem resztę dnia przepędzali. Treścią téj elegii było zwłaszcza wspomnienie wspólnych gier i zabaw towarzyskich, w tonie raczej wesołym niż tklwym, ale jednak tak delikatnie wyrażającym rzewne i głębsze uczucie, że Adam, który, jak sam powiada, nie sądził, „aby w potocznych szczegółach rzeczywistego życia mogło być tyle skarbów poezyi,” raz piérwszy zwrócił myśl i uwagę nie tylko już na szukanie „prawdy w poezyi, ale i poezyi w prawdzie.” A że właśnie natenczas, chodząc już na wydział filologiczny, uczył się i zaczynał czytać po grecku i po niemiecku: więc i we wszystkich arcydziełach w obu tych językach, zaczął szukać i dopatrywać tego pierwiastku; aż nakoniec doszedł do przekonania, że jemu to one właśnie i wielkość swą i nieśmiertelność są winne. Homer i Göthe mianowicie stali się ulubionymi jego pod tym względem mistrzami; elegię zaś pana Tomasza tak ciągle nosił przy sobie, że mu się aż zszargała w kieszeni. Następnie, razem z Czeczotem, gorliwym zbieraczem

i naśladowcą piosnek gminnych, zaczęli szukać w nich śladów uczuć, pojęć i obyczajów własnych, które naśladownicza nasza poezya uczona całkiem prawie w sobie zatarła. Najpiérwszą pracą Adama w tym kierunku była ballada *Lilie*; najpiérwszym zaś który zaczął pisać ballady, był także p. Tomasz.

A wiészcie w jaki sposób przyszły do nich raz piérwszy i forma i tytuł ballady? Oto na tymże samym co oni korytarzu, mieszkał professor literatury rossyjskiéj, Czerniawski. Syn jego, żywy i wesoły chłopak, i którego oni wszyscy lubili, należał téż niekiedy do ich zebrań i pogadanek wieczornych. Razu jednego wpadł cały zaperzony i z rozpromienionemi oczyma. Był to skutek świeżego wrażenia po przeczytaniu nowo wyszłej w języku rossyjskim ballady Żukowskiego p. t. *Ludmila*, będącéj tłómaczeniem, a raczéj mistrzowskiém naśladowaniem sławnéj *Lenory* Bürgera, którój dotąd żaden z nich nie znał. Czerniawski wydeklamował im ją z zapalem, i wszyscy podzielili uniesienie jego. P. Tomasz zaraz nazajutrz napisał na wzór tego balladę *Nerys* albo *Neryna*, (dawna nazwa rzeki Wilii); a w parę dni potém drugą, p. t. *Świtez*. Jest to ten sam Switez, jezioro, które dziś Adam tak głośno rozstawił, a nad brzegami którego nowe uczucie, miało wkrótce otworzyć mu nowe pole, do wcielenia nowych jego poetyckich pojęć i wyobrażeń. A i tu znowu, dziwnym zbiegiem okoliczności, p. Tomasz miał być téż piérwszym, lubo także bezwiednym, a przynajmniej mi-mowlolnym motorem.

Było to w roku 1818. Poprzednie wakacje p. Tomasz przepędził u przyjaciela swego, p. Michała Wereszczaki, w Płużynach ¹⁾, gdzie go właśnie zachwycało to piękne jezioro, a więcej jeszcze siostra gospodarza, Marya, którą on po swojemu przezwiał Maryllą, i mnóstwo wierszy do niej i o niej napisał, a jako o arcy-poetyckiej istocie, cuda o niej przyjaciółom swym opowiadał. Jadąc więc tamże na wakacje następne, namówił z sobą na dni kilka Adama, który znał także i był przyjacielem pana Michała. Przyjechali nad wieczór w sobotę, a więc w dzień Maryi. Gospodarzy w domu nie było; wyszli byli na przechadzkę około zboża. P. Tomasz więc tymczasem chciał pokazać nowemu gościowi dom i swój dawny pokoik, w którym mieszkał za pierwszą bytnością. Ale tu ich uderzył widok niespodziany. Na poręczach dwóch krzesel, ustawionych w pośrodku, leżała deska do prasowania; na niej stos kołnierzyków i chusteczek damskich, i prasująca się właśnie szeroka różowa szarfa; wyprasowana zaś już i wyświeżona na niedzielę biała sukienka wisiła u drzwi na zawiasie. W pokoiku nie było nikogo, bo właśnie prasująca dziewczyna poszła była po nową duszę do żelazka. Łatwo pojąć jakie wrażenie ten widok sprawić musiał na młodych poetach; i p. Tomasz, który mi to opowiadał, utrzymuje

¹⁾ Wieś w powiecie Nowogródzkim, na południe od Nowogródka, z jeziorem *Świtez* i dworem *Tuhanowicze*.

nie zartem, że Adam nim obaczył Maryllę, którą wracając z przechadzki na pół drogi wkrótce spotkali, już się naprzód w jej sukience zakochał.

Ale i pierwsze poznanie się Adama z Tomaszem warte jest téż opowiedzenia. Opowiadał mi to kiedyś p. Tomasz, a dziś Adam prawie słowo w słowo powtórzył. Narracya więc moja jest summą ich obu.

Wiész może, że Adam pojechał do uniwersytetu na wezwanie krewnego swojego ojca, X. kanonika Józefa Mickiewicza, profesora fizyki i dziekana matematycznego wydziału. Inaczéj byłby się aplikował w Nowogródzkiej palestrze, jak starszy brat jego Franciszek ¹⁾. Owoż X. Dziekan chciał go pomieścić od razu na koscie uniwersyteckim, jako kandydata do stanu nauczycielskiego, ale że jeden tylko był wakans w tym roku, a p. Kazimierz Kontrym, bibliotekarz i sekretarz uniwersytetu, protegował nań kogo innego: examin więc miał dopiero rozstrzygnąć, czyj kandydat otrzyma pierwszeństwo. Tym *kim innym*, był nie kto inny, jak p. Tomasz, świeżo ze szkół Mołodeczańskich przybyły, a zalecony przez kogoś Kontrymowi. W kancelaryi więc przed salą examinacyjną zeszli się i ujrzeni po raz pierwszy obaj współzawodnicy, i jak szermierze przed wejściem do szranków powitali się wzajemnym ukłonem, ale ani słówka nie przemówili do siebie. Chwilę tę doskonale pamiętają oba, i nawet strój jeden drugiego. Adam był

¹⁾ Zmarł w r. 1862 w Poznańskim, gdzie ostatnich lat kilkadziesiąt przepędził.

w czarnym fraku, w kamizelce i dalszém ubraniu nankinowém żółtém, a kołnierzyk tak miał wysoki, że mu aż uszy podrzynał. Pan Tomasz przypominając przytém jego drobną rumianą twarzyczkę, powiadał, że wyglądał jak różyczka w lilii. Tymczasem egzaminatorowie się zeszli i obudwóch wezwano razem. Stali obok siebie przed stołem, przy którym profesorowie siedzieli. Examin obu poszedł jak najlepiej, i kazano im znowu oczekiwać w kancelaryi na wyrok. Ale i podczas tego jeszcze oczekiwania, żaden z nich nie przerwał milczenia: nie w skutek jakiejś niechęci, ale że żaden nie wiedział, jak i od czego ma zacząć. Nakoniec wyszedł z sali p. Kontrym i ogłosił, że pan Adam Mickiewicz na ten już rok został przyjęty, ale że i pan Tomasz otrzymał *accessit*, z którego na rok przyszedł będzie miał prawo korzystać; tymczasem zaś sam p. Kontrym ofiarował mu stół i mieszkanie u siebie. Adam powiada, że go ten tryumf nie tylko nie ucieszył, ale owszem zawstydził i upokorzył wewnętrznie; przypisywał go bowiem tylko protekcji i wpływowi X. Dziekana. P. Tomasz sądził przeciwnie, i uznając w tém najzupełniejszą słuszność, zbliżył się pierwszy do Adama i powinszował mu tak serdecznie i szczerze, że go do reszty zmięszał tém i rozrzewnił. Skończyło się na tém, że dwaj współzawodnicy, po krótkiej piérwszej rozmowie, rzucili się nawzajem w objęcia, a łzy i pocałowania gorące uświęciły ten piérwszy węzeł stosunku, który odtąd nie tylko ich serca, ale nawet ich losy, w najważniej-

szrych wypadkach życia, nierozdzielną wspólnością połączył.

Ale ponieważ jestem w wenie narracyi, muszę ci jeszcze dodać jedną scenę, to jest pierwszą podróż Adama z Nowogródka do uniwersytetu, którą on tak pociesznie i dramatycznie opowiadał, że mi się jeszcze śmiać chce myśląc o tém. Jechał zwyczajnym u nas ekwipażem, t. j. kupiecką bryką żydowską, razem z trzema żydami. Stary *Scene-morejna*, kupiec z Mira, z poważną białą brodą, siedział obok z nim w tyle; dwaj młodzi na tłómkach na przedzie.— Adam mając od matki jedenaście dukatów w złocie, (jeden święcony z wizerunkiem N. Panny), a przytém głowę nabitą bajkami o zbójcach, widząc się w tak podejrzaném towarzystwie, wydobył stary pistolet, który sam przed wyjazdem oczyścił i nabił szrótem, i położył go sobie na kolanach. Broń palna w ręku studenta zaniepokoiła sąsiada; zaczął więc perswadować, żeby ją schował. Ale ta perswazyja właśnie wzmogła podejrzenie Adama. Zrozumiał to żyd mądry, i wręcz go zapytał: „Nu, wieleż panicz masz pieniędzy?”—Adam struchlał, jak sam powiada, będąc już najpewniejszym, że ma do czynienia ze zbójcą. Wtedy pan Jankiel, (bo tak się nazywał), wyciągnął z pod oponicy ogromną *kozicę* (sakwę skórzaną z frendzlami), pełną srebra, assygnat i złota, i pokazując to wszystko Adamowi rzekł: „Nu, widzisz panicz, że ja mam więcej. A gdybym ja panicza chciał zarznąć, toby mnie to wszystko zabrano, i jabym sam poszedł na Sybir.”—Argument ten tak

przekonał i zawstydził Adama, że nie tylko schował pistolet, ale nawet proch zdmuchnął z panewki. Ujęty tém nawzajem starzec, w całym ciągu dalszej podróży otaczał go szczególną pieczołowitością, częstował kawą i jajami, i nakoniec, wdając się z nim w rozmowę, udzielił mu, jak sam Adam powiada, kilka tak mądrych rad i ostrzeżeń, co do praktycznego życia z ludźmi i szanowania zdrowia za młodu, że mu one dotychczas pozostają w pamięci, i nieraz sam na sobie dobrego ich skutku doświadczył.

Stanąwszy w Wilnie, w piątek przed wieczorem, ubrał się zaraz i poszedł do X. Dziekana. Przechożąc przez Ostrą Bramę trafił właśnie na nieszpory i na litanię z muzyką. Matka zaleciła mu przed wyjazdem, aby naprzód tam poszedł i dał na mszę świętą. Ukląkł więc pod filarami i zaczął się modlić, a przypomnienie matki i wrażenie obcego miasta tak go mocno wzruszyły, że się łzami rzewnymi rozpłakał. Ale właśnie te łzy i modlitwa taką go w końcu napełniły pociechą, jak gdyby w samym sobie posłyszał zapewnienie, że go Najświętsza Matka przyjmuje w opiekę.

Na takich to i tym podobnych opowiadaniach przeszła nam cała podróż z Moguncyi do Darmsztadu.— Stanęliśmy tu o pół do szóstej; a wyczytawszy z afiszu, że dziś w teatrze grają *Braul von Messina* Szyllera, poszliśmy tam o godzinie siódmej. Teatr był jak nabity. Był to bowiem pożegnalny benefis sławnej aktorki z Wiednia, pani *Schröder*, która występowała w roli Izabelli. Ale gdzie jój do naszej Le-

dołchowskiéj! I deklamacya, i gesta, i ruchy, wszystko nienaturalne, sztuczne, przesadzone. A i drudzy aktorowie nie lepsi; ani się umyli do Wejmarskich! Być może że i sztuki w tém wina. Szyller chciał w niéj wyraźnie naśladować starożytną formę grecką, *mais c'était du grec pour nous autres*. Dykcya poetyczna, co mię kiedyś, pamiętam, zachwycała w czytaniu, nie daje się uczuć na scenie: ginie w ustach aktorów, albo przechodzi w przesadę. Sama treść nie obudza współczucia; wprowadzone zaś chóry na wzór greckich, deklamujące razem i naprzemian, mają w sobie coś nawet śmiesznego. Przypomniały nam nasze różańce, odprawiane przez dziadów i baby kościelne, w oddzielnych ławkach siedzące. Adam tak był znudzony, że wyszedł nie doczekawszy połowy; ja, za mojego guldena, chciałem użyć i dosiedziałem do końca. Ale i cała publiczność nie sympatyzowała widocznie ze sztuką, chociaż biła brawo aktorom, a zwłaszcza solenizantce, której w końcu bukiety i wieńce rzucano. Z tego powodu Adam mówił znowu o poezyi, a mianowicie o różnicy, nie tylko między poczyą braną z życia a naśladowaną z książek, ale nawet między naśladowaniem a naśladowaniem. Podług niego, jedni tylko poeci francuzcy z czasów Ludwika XIV mieli ten takt i rozum, że naśladowując formy cudze, umieli je zastosować do pojęć i wymagań gustu społecznych, i wcielić w nie ideje i uczucia téj przynajmniej części narodu, wśród której żyli i dla której pisali. Skutkiem tego to było, że nawet sam jeszcze Napoleon, w czytaniu tragedyi Kornela, nie tyl-

ko upodobanie, ale siłę i natchnienie znajdował; kiedy przeciwnie, samo filologiczne naśladowanie poetów greckich, jak np. w tej sztuce Szyllera, może się chyba samym professorom, albo uczniom filologii podobać. W innych swoich tragediach Szyller był także mniej więcej naśladowcą form Szekspirowskich, ale jako sam wielki poeta, naśladował go już mianowicie w tém, że i przedmioty i farby obrazów swoich brał, jak on, z natury i z prawdy. Wszelkie inne naśladownictwo, czy to formy czy metody, będzie zawsze tylko szkolném i martwém. O takich naśladownikach Szekspira w Niemczech, p. Eckermann w Weimarze cytował nam dowcipne powiedzenie Göthego: „Szekspir ma tyle złotych, Hesperyjskich jabłek, że je niekiedy z pośpiechu na glinianych talerzach podaje. Ci panowie, chcąc, niby naśladować Szekspira, chwycili jego gliniane talerze, i częstują nas na nich—kartoflami.”

Ale bodaj czy nie gorszym jeszcze traktamentem ja ciebie uraczam w tym liście, bo to jest, widzę, istny jakiś bigos, groch z kapustą. Nie nazwiesz go wszakże *hullajskim*, bo kto po całodziennéj podróży, całą noc na pisanie do przyjaciela poświęca: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam tobie, leniwczel żeś nie wart takiego korespondenta.”—Bądź zdrow!

XXVIII.

D o · t e g o ż.

Heidelberg, 12 Września 1829 roku, wieczorem.

List ten w méj myśli zaczyna się sprzeczką.
Z kim? — z samym sobą; a o co? — o ciebie.
Hm! wstęp ciekawy! — Mówię sam do siebie:
„Byćby mi chyba *Heidelberską beczką*,
By codziem tyle wrażeń w siebie wsięgnąć,
Chcieć wszystkie zawrzeć w sobie — i nie pęknąć.
Ależ znów pióro wciąż biorąc za pjawkę,
Można w suchoty wpaść przez tę zabawkę,
Jak pióro zacznie mózg codziem wysysać!“—
A więc—czy pisać ten list, czy nie pisać?

Bo czuję, że jeżeli dzisiaj nie napiszę, to treść jutrzejsza zasypie dzisiejszą; a zaś dziś mam jój tyle, że gdybym chciał wypisać wszystko, musiałbym chyba nie spać znowu noc całą; co po całodziennój znowu podróży, ani się *cum sano mente*, ani *cum corpore* nie zgadza.

A wiesz, że *corpus cum mente*,
Jest to stadło nierozjęte,
I w myśli nie tryska wena,
Gdy mózg świdruje migrena.

A więc kiedy nie można wszystkiego, muszę wybrać przynajmniej choć cząstkę — i to wcale nie najlepszą, niestety! bo faktyczną, a nie duchową. Co

dzienne zaś moje wrażenia płyną właśnie z obu tych źródeł: z tego, co widzę, i z tego, co słyszę; a dzisiaj oba były tak obfite, że się czuję jak ryż pod zalewem.

Naprzód albowiem rano wstawszy, nimeśny się wybrali na obejrzenie Darmsztadu, Adam, z powodu wczorajszej *Braut von Messina*, i moich pytań o improwizowaną niegdyś przez niego w Petersburgu tragedyi „*Samuel Zborowski*“, mówił tak przecudnie o dramatyczności historyi naszej, że pierwszy raz może w życiu poczułem i zrozumiałem dwie rzeczy: *1mo*, że najwyższym rodzajem dramatyczności jest właśnie dramatyczność psychiczna, w której, zdaniem jego, historia nasza nie tylko nie ustępuje żadnej innej, lecz może je owszem przewyższa; bo się obraca w sferach wyższych nad sam ziemski rozum i nad sam ziemski interes lub namiętność, i ma to podobieństwo z poetycką Helladą, że wszystkie sprawy tego świata, przez uczucie i wiarę, ze światem nadprzyrodzonym jednoczy, a podług praw jego i natchnień sama się w swych działaniach kieruje. *2do*, (to jest poczułem i zrozumiałem *secundo*), co to jest geniusz w człowieku? — Jedna myśl, jedno słowo, a zda się błyskawica oblała cię światłem; widzisz o czém ci się wprzód ani śniło; a przysiągłbyś, że to wszystko musiało być tak, a nie inaczej, i że być inaczej nie mogło. Ale czemuż to tego nikt wprzód nie zobaczył; tak jak nikt nie domyślił się przed Kolumbem, że musi być gdzieś jeszcze część świata, o której świat stary nie wiedział, choć ją Pan Bóg stworzył z nim razem? Otoż ten wzrok, ten pomysł w czło-

wieku—to jest to, co się nazywa geniuszem. Ież to czasu zdarzyło mi się słyszeć pana Joachima, mówiącego o tych samych ludziach i rzeczach. *Przez* więc on, co tak doskonale zna i widzi tok i gmatwanie spraw ziemskich, nie pokaże ani da poczuć tych wyższych tajemniczych źródeł, z kąd popęd albo natchnienie tych lub owych faktów wynikło? Czemu nasz kochany Brodziński, co tak głęboko pojmuje, a tak delikatnie cieniuje wszystkie serdeczne uczucia i wpływ ich na ogólne życie narodu: czemu nie sięga wyżej i nie bada, z kąd same te uczucia pochodzą? Ja przynajmniej od ich obudwóch nie słyszałem nigdy nic z tego, czém dzisiaj mię Adam zachwycił i aż do dna duszy poruszył. Rozum, to może doskonały anatom; serce, domyślny fizyolog; ale geniusz tylko, to kapłan i wieszcz historii, który jeden i jój ducha wywołać, i kształty nawet jego odgadywać umie.

O! gdybym ci mógł powtórzyć te kilka wielkich obrazów przeszłości, które on, jak jaki czarodziej, przed oczyma mojemi roztoczył — ażeby ich wysoko i głęboką dramatyczność wykazać! Wspomnę tylko o jednym Samuelu. Gdzież w historii albo w dramaturgii całego świata znajdzie się taka scena naprzykład, w której sędzia, skazawszy na śmierć winowajcę, sam w przeddzień egzekucyi przychodzi do jego więzienia, aby jego przebaczenie wyjednać? A winowajca ten, to bohater z serca i z ducha; tylko że wielki pan z buty, a typ warchołów naszych z fantazyi. A ten sędzia, to nie wróg jego, nie zawistnik, nie mściciel. To przyjaciel jego młodości, towarzysz zabaw

Mierz siły na zamiary,
Nie zamiar podług sił;

i żałuję, że nie jest aktorem; jak Szekspir; bo przy-
patrzywszy się bliżej widzę, że mu koniecznie do pi-
sania potrzeba jakiegoś żywego bodźca: czy uczucia,
czy obowiązku. Może chyba gdyby tak pisał wiersze
jak rysuje, miałyby do nich tyle ochoty, co dzisiaj do
swoich rysunków. Śmiał się gdy mu to powiadałem,
i nawzajem radzi mnie i każdemu, aby nic nigdy nie
pisał, czego wprzód szczerze i mocno nie poczuje; bo
pisać wiersze z teoryi dla sławy, jest to chcieć — jak
ów rabin w *Lejbie i Sorze* Ursyna — syna sobie wy-
smażyć w tygielku.

Ale te jego dzisiaj mówione obrazy, tak dalece za-
jechały mi głowę, że patrząc nawet na malowane
w galerji Darmsztadzkiej, którąśmy nasamprzód
ziedzili, tamte mi ciągle stały przed oczyma. A jest
wszakże między temi malowanemi, wiele i pięknych
i sławnych; (jak przynajmniej o tém podróźnych dru-
kowany katalog zapewnia); a przed wszystkiemi inne-
mi pejzaże *Schöbergera*.— Pejzaż samego Darmszta-
du i okolic, któryśmy z wieży kościelnej widzieli, nic
nie ma osobliwego. Wkrąg miasta widać bory — ale
gdzie im do naszych!—zresztą płaszczynna i winnice.
Zdaleka przełyska Ren. Miasto samo leży nad rzeką
Darms, i ma 30,000 mieszkańców. Część zwana *no-
wa*, ma ulice szerokie, domy nie wielkie, ale dziwnie
czyste i ładne. Najpiękniejszy *Luisen-Platz* jest zbie-
gowiskiem kilku ulic. Pałac W. Xięcia widać tylko
zdaleka, w końcu długiej, drzewami sadzonej alei,

przez którą się z Moguncyi przyjeżdża. Park zamkowy piękny i duży. Kościół katolicki na wzgórzu. Śliczna rotunda. Sklepienie składa kopuła, wsparta na 28 ogromnych kolumnach. We środku jeden tylko ołtarz. Główny rys téj budowy: kształtność i prostota. Wszystko to. zwiedziliśmy przelotem, i zmówiwszy pacierz w kościele, wprost ztamtąd puściliśmy się w dalszą drogę do Heidelberga, w parokonnę już *Lohn-Kutsche*, mając za towarzysza jakiegoś niepoczesnego na pozór, ale bardzo dorzeczy człowieka, mówiącego dobrze po francuzku, i który, świadomy okolic, wiele nam o nich ciekawych rzeczy opowiadał. Nazywa się *Hoffmann*, a jest *privat-docentem* przy uniwersytecie Heidelberskim.

O milę za Darmsztadem zaczyna się sławna droga *Bergstrasse*, która już aż do Heidelberga prowadzi.— Po lewéj stronie pasmo gór *Odenwaldu*, (śród których figuruje *Melibocus*), okryte lasem albo winogradem, i piastujące gdzieniegdzie malownicze ruiny zamków; po prawéj zaś same równiny, wkrąg, jakby jednym gajem, drzewami owocowemi zarosłe. Jedném słowem kraj cały jak ogród—i to park i sad razem. Ale epizod najmilszy dzisiejszój podróży, było to niespodziane spotkanie się z Davidem.

Dojeżdżając na popas, widzę stojącą przed oberżą taką samą *Kutsche* jak nasza, którój konie jedzą obrok w korytku, i jakąś ruchliwą figurkę, która się koło nich uwija. Patrząc, przecieram oczy, i sam sobie nie wierzę. Ale zdaje mi się, że David. Mówię to Adamowi; ale on, który tak daleko nie widzi, poczytuje to

za przywidzenie. Tymczasem dojeżdżamy do mety—
aż tu i bajroniczna postać pana Wiktora ukazuje się
we drzwiach oberży. Dałem skok przez zamknięte
drzwiczki, a radośne wykrzykniki zdziwionego Davi-
da wtórowały serdecznym moim uściskom, w których
mię wnet Adam zastąpił. Mnie zaś pan Wiktor zdał
się nawet bardzo miłym, jakby swój, jak już dawno
znajomy. On także był kontent widocznie i wstrzą-
sając moją rękę powtarzał: „*Mais, mon Dieu! mais*
c'est vous? mais c'est drole!“ etc. Na wstępie też po-
częstował nas zaraz ukłonami od Wiktora Hugo, do
którego przy nas jeszcze pisał o nas z Wejmaru, ale
dopiero po wyjeździe już naszym odpowiedź od niego
odebrał. Więcej nas ucieszyło atoli, że i w Wejma-
rze, jak David powiada, dotąd jeszcze nie zapomniano
o nas. Göthe mówił mu o Adamie: „*On voit, que*
c'est un homme de genie“; a ja wiem od pana Wikto-
ra, (choć to mówił na wpół z przekąsem), że papuga
tęskniła po mnie.

Nim koniom swoim nasz furman obrok do korytka
zasypał, furman Francuzów już był gotów do drogi.
Ale ja, na żądanie Davida, wdałem się z nim w przyja-
cielskie traktaty, i za pół *Reichs-Talara* wyjednałem
zgodzenie się jego, że na koniec naszego popasu zache-
kał. Jechaliśmy więc dalej razem, chociaż każdy
w swoim powozie; bo u nich z powodu tłumoków,
a u nas z powodu Hoffmana, miejsca już dla gościa nie
było. Na przystankach więc tylko spotykaliśmy się
znowu i szliśmy zwykle kawał drogi piechotą, nim nas
napędzili furmani. Ale jutro ztąd aż do Strasburga

jedziemy już w jednym powozie, który właśnie umówiłem przed chwilą; a teraz czekamy tylko na wschód słońca, aby zwiedzić przy jego świetle sławną tutaj ruinę zamkową. A więc koniec listu na dzisiaj...
Schlaf wohl!

Heidelberg, 13 Września, Niedziela, g. 10 rano.

„Kto chcesz przeszłości oglądać ruiny,
Idź, gdy je nocy mrok ogarnął siny.
Wesoła jasność dziennego promienia,
Złocąc je, zda się urągać z zniszczenia.
Lecz gdy z za chmury wyrzy słońce białe,
A wzniosłe łuki i mroczne arkady,
Młm jego światłem bielejąc po wierzchu,
Czernią się spodem, jak otchłanie zmierzchu:
Gdy każda ściana, w cieniu lub jasności,
Zda się z hebanu, lub z słoniowej kości:
A wkoło wieków wpół zatarte rysy,
Obrazy przodków, grobowe napisy,
Mówią z przeszłości: a szum drzew lub fali,
Albo huk sowy słysząc tylko w dali; —
Wtedy, wędrowcze, idź! — a gdy czuć umiesz,
Tam głos i urok przeszłości zrozumiesz“.

Tak radzi Walter-Skott, w „*Pieśni Ostatniego Minstrela*“, chcącym zwiedzać ruiny gmachu Św. Dawida, (klasztora w Melroz); a myśmy doznali dobrego na sobie skutku téj rady, zwiedzając wczoraj z żywym i świeckim Davidem, najpiękniejszą, jak mówią, z ruin średniowiecznych, jak *Colosseum* w Rzymie najpiękniejszą jest ze starożytnych. W istocie wzięcby ją można za olbrzymi grobowy pomnik tych rycerskich, poetyckich czasów; wieża zwłaszcza, to jakby

tarcza na posagu martwego rycerza.—Zamek leży na górze (Geisberg); niegdyś mieszkanie Elektorów i Palatynów Reńskich, których Heidelberg był stolicą; zburzony przez Francuzów w roku 1689. Francuzi, naród przewodniczący cywilizacji nowoczesnej, (przynajmniej jak się sami mają za taki), przeznaczeni są zda się do burzenia po świecie romantycznych resztek wieków średnich, jak niegdyś ich barbarzyńscy przodkowie, resztki klasycznej rzymskiej cywilizacji burzyli. David temu nie przeczy, ale tylko dodaje, że to burzenie nie jest prostym niszczeniem, ale uprzątnieniem gruzów feudalnej przeszłości, na miejsce nowej społecznej budowy. „A jakaż to ma być ta budowa? zapytałem. Czy tak się będzie miała do bazylik i zamków rycerskich, jak frak dzisiejszy do mantyi i zbroi, które nastąpiły po tunikach i togach?”— Pan Wiktor patetycznie wystąpił z apologią fraka, jako symbolu równości towarzyskiej; ale ja znowu zapytałem Davida, czy którykolwiek swój posąg zrobił już lub myśli zrobić we fraku? i czy frak do postaci lub pozy bohaterskiej przypada? Adam rozstrzygnął długą o tym dysputą, mówiąc: „że strój nawet Napoleona jest symbolem wieku: wojskowy mundur, pod szarą kapotą”.—Masz w tém mały *specimen* rozmów, których echo wśród ciszy nocnej — bo były zarliwe i głośne — odbijało o gruzy murów, gdzie niegdyś prócz szczęku broni, miały brzmieć nie lada hałasy, kiedy sławna *Heidelberska beczka*, do dziś dnia zachowana w piwnicach zamkowych, a mieszcząca w sobie około trzechkroć sto tysięcy butelek wina, (zawsze tyl-

ko reńskiego), rok rocznie wypróżniała się do dna na dworskich ucztach Palatynów Reńskich. Beczki téj widzieć nie mogliśmy w nocy; ale mówią, że w niej może par wiele kontradansa albo walca tańcować. A że musi być z klepek dębowych, jest więc jakby w powinowactwie z *Baublisem*.—Przyszedł mi na myśl sonet *Bakczysaraj* i tłómaczyłem go z pamięci Davidowi, w czym mi i sam autor pomagał. Druga szczególnie strofa, gdzie, jak wiesz, *powoju roślinna*,

Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia,
I pisze Baltazara głoskami: *Ruina*;

strofa ta tak się podobała obu moim francuzkim słuchaczom, że David aż tupał nogami, a potem uściskał Adama; ja zaś musiałem dać słowo panu Wiktorowi że mu cały ten sonet w oryginale, wraz z tłómaczeniem, na pamiątkę przepiszę. Za to deklamował nam także śliczny wiersz Wiktora Hugo. — Tymczasem xiężyc świecił prześlicznie, noc była ciepła jak w lecie, i bawiliśmy do samej północy—naprawdę jednak wywołując ducha, strażnika czy pokutnika tych ruin, aby nam jaką sztukę pokazał. Ja znowu z tego powodu mówiłem moim Francuzom o *Dziadach* Adama; a on sam o różnych naszych obrzędach ludowych, na wierze w duchy opartych, i w ogólności o samej téj wierze.—Francuzi nie dzielą jój wcale, a jednak z namiętną uwagą słuchali, jak im Adam w drodze do miasta, parę tego rodzaju historyi opowiadał.

O pierwszej piliśmy jeszcze herbatę w hotelu, a o szóstej już dzisiaj byliśmy znowu na nogach, aby miasto choć z wierzchu obejrzeć. Leży wzdłuż brzegów rzeki (*Nekaru*), między górami, które od strony zamku całkiem nad niém panują. Most na rzece, kamienny, ma przeszło 800 stóp długości. Widok ze wzgórza *Kaiserstuhl* prześliczny. Kościół przedzielony we środku na dwie połowy: jedna jest katolicka, druga protestancka. Prawdziwa świątynia Janusa— a i tolerancya wzajem nie lada! Prawda, że i *filozofia* pod bokiem. Uniwersytet tutejszy jest jednym z naj-sławniejszych w Niemczech. Podług statystyki w *Guide du voyageur*, miasto liczy przeszło 13,000 mieszkańców stałych. Co do niestałych, liczba ich za pięć minut zmniejszy się dzisiaj o pięciu, licząc w to i naszego furmana, który już siedzi na koźle, a brzęk okrągłych dzwonek przy chomątach dowodzi, że i konie jego stać nie chcą i muszą się niecierpliwieć jak on. Towarzysze też moi, pijąc kawę wołają, że moja porcja ostygnie, i żartują z moich gryzmołów. Patrz więc, co znoszę dla ciebie— i bądź zdrow! List ten już chyba w Karlsruhe dokończę.

Karlsruhe, 13 Września, w nocy.

Wyimaginować nawetbym nie mógł przyjemniejszej podróży, jak dzisiaj. Nasamprzód takie towarzysztwo i rozmowa wciąż ożywiona; powtóre, kraj cały jak ogród; dzień słoneczny, cichy i ciepły. Po trzecie zaś i nakoniec, co wieś albo miasteczko, to jak po-

wy Flamandzki obraz — obraz niemieckiej niedzieli. Wszędzie wszyscy w stroju świątecznym; rano widać byli w kościele; po południu świętują w domach, we wsiach zwłaszcza, siedząc pod ścianami na ławkach, albo stojąc we wrotach na ulicy. Ubiór mężczyzn jakby uniform. Kapelusz z szerokim brzegiem, rychtyk jak u nas żydowski, na trzy rogi w górę podpięty. Frak staroświecki, krojem dawnych markizów w komedjach, najczęściej granatowy, z dużymi świecącymi guzikami. Kamizelka czerwona lub żółta; spodnie krótkie, zamszowe; pończochy długie, błękitne lub białe; trzewiki z ogromnemi klamrami na wierzchu; a w ustach u każdego, (NB. już po południu), wysoka porcelanowa fajka, na króciutkim cybuszku. Strój kobiet do wejmarskiego podobny, w różnych jaskrawych kolorach. Szkoda tylko że same niepodobne do kwiatów; albo że kwiaty, jeżeli są jakie, muszą siedzieć zamknięte w inspektach; bo jak z inspektów, przez szyby u okien, mnóstwo mniejszych i większych twarzyczek wygląda na ulicę, na brzęk naszych dzwonek. Nam w przejeździe trudno im się przypatrzeć. To też na popasie w *Langebrücken*, pod pretextem zapalenia cygara, wszedłem umyślnie do jednego domku, gdzie jakieś liczko rumiane zaświeciło mi przez okienko. Gospodarz z żoną i z jakimś widać gościem, siedzieli przy podłużnym stole, okrytym białym obrusem, na którym stał dzban cynowy z pokrywą.— „*Gelobt sey Jesus Christus!*“ rzekłem wchodząc; — bo słyszałem w oberży pozdrawiających tak przy wejściu.— „*Auf ewig!*“ odpowiedzieli oboje, ale

nikt się z miejsca nie ruszył. Przeprosiłem, że śmiem prosić o ogień. Gospodarz nic nie mówiąc, podał mi swoją fajkę, strząsłszy z niej naprzód popiół, abym w niej cygaro zapalił. Płacąc więc grzecznością za grzeczność, ofiarowałem jemu i gościowi cygaro. Przyjęli z podziękowaniem, a sam gospodarz, słysząc, że jestem cudzoziemiec, popasający przejazdem, prosił mnie abym usiadł i *eine Weile* odpoczął.— „*Bring Glas, Lottchen!*“ odezwała się gospodyni, do stojącej jeszcze u okna, siedemnastoletniej może blondyneczki, smukłej, kształtnej i wcale przystojnej, którą już przedtem z ulicy widziałem. Spójrzeliśmy więc sobie oko w oko, a ona zarumieniwszy się jak róża, podała matce z półki szeroki zielony kieliszek, rychtyk tegoż koloru i kształtu, jakich u nas do reńskich win używają. Wniosek więc, że i te kieliszki wraz z winem przyszły do nas modą z nad Renu. Gospodyni, przy której usiadłem, nalała mi wina ze dzbana. Kwaśne i dosyć cierpkie—ale „z własnej winnicy”, jak oświadczył gospodarz. Wzniosłem więc toast za zdrowie ich obojga i za pomyślność ich winnicy i kwiatków: „*die so schön blühen, wie ich sehe!*“ A stosowałem to nie tylko do rumieniającej się ciągle Lottchen, ale i do dwóch młodszych dziewczeczek, które przy ścianie na ławeczce siedziały. Matka podziękowała uśmiechem, a gospodarz trącając kieliszki, skinął czołem i odpowiedział: „*Auf glückliche Reise!*“—Skorzystałem z okoliczności, i ponieważ nie tknąłem jeszcze mojego kieliszka, prosiłem, aby i *Fräulein Lottchen* kropelkę wprzód skosztować raczyła. Zmięszała się strasznie nieboga,

i nie wiedziała co począć.—*„Trink denn ein Tropfen!”* rzekła matka. Z widocznym drzeniem wzięła i oddała mi napowrót kieliszek, który ja duszkiem do dna, patrząc na nią, wypilem. Gospodyni nalała mi drugi, który już piłem powoli, rozmawiając o gospodarstwie u nich i u nas.—*„Schweres Brod!”* (ciężki chleb), rzekł machnąwszy ręką gospodarz; a ja z westchnieniem pomyślałem w duchu: „Boże daj, aby kiedy i u nas doszedł do takiej gatunkowej ciężkości!”—Bawiłem więc kwadrans. Przy pożegnaniu powstali wszyscy; a ja nie tylko podane mi ręce, i drobna rączkę Lottchen, ale i obie jej małe siostrzyczki uściśnąłem *herzlich*. Nie wiem czy kiedy widzieli, albo czy zobaczą Polaka; niechaj więc myślą dobrze o grzeczności polskiej.

Pocziwy David, zachwycony świątecznym pozorem wsi i miasteczek, tonie w idyllicznych extazach. Mamy w nim doskonały exemplarz francuzkiego filantropa-demokraty, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ubóstwia artyzm i sztukę; a piorunuje na cywilizacją, że fizygnomią ludów zaciera. Mówi, że chciałby tylko żyć z ludem; a co okoliczność powtarza, jak mu nadzwyczaj tęskno do Paryża. Ale wszystko, co mówi, to i serdecznie i szczerze.—Pan Wiktor, to znów co innego; druga strona tegoż medalu. Ten już drapuje się w togę trybuna; chciałby tylko lud uszczęśliwiać. Deklamacye jego ciekawe, bo się w nich duch szkoły odbija. Opiekują się tak czule niższymi, żeby samym wśród nich górować. Istny lis w bajce Książnina, co po rogach prostodusznego barana czy kozła, sam chce tylko wyskoczyć ze studni, której wody

przed nim zachwala. A jakże to znów wszystko kontrastuje z Adamem! Ten sentymentów swych nie deklamuje, nigdy siebie z przedmiotem nie mięsza. Wieś dla niego, to jak kochanka. Wprost o niej patetycznie nie gada, i nie wzdycha, żeby drudzy słyszeli. Ale co chwila czujesz, że o niej pamięta; że ona tłem jego myśli. A co w nim także admiruję jeszcze, to zupełny brak ducha przekory, który we mnie siedzi jak chochlik, i jakby pieprz sypał na język, często mię aż do niedorzeczności pobudza. Przed *aniołami* tylko nie śmie się odzywać;—i ztąd to może lubię tak aniołów, że wśród nich człek się czuje bezpieczniejszym od grzechu.

W miasteczku *Bruzall* spotkaliśmy processyą nie-sporną; *anioly* większe w bieli, niosły dwa ołtarzyki: mniejsze, kwiaty rzucały po drodze. Garstka wierznych dość liczna; a wszyscy śpiewali. Nie mogłem się dopytać, czy to zwykła processya niedzielna, czy dziś szczególna jaka uroczystość. Ale sama processya podobna do tych, jakie u nas we dni krzyżowe, albo w dzień Św. Marka, po ulicach obchodzą. Wysiedliśmy z powozu i staliśmy wszyscy bez czapek. Adam, który od Wilna processyi na ulicy nie widział, zdawał się być głąkoko wzruszony, a w dalszej drodze wymównie przekonywał Davida, o potrzebie uroczystych obchodów publicznych, ażeby ducha w ludziach obudzić, skupiać, i podnosić wyżej.

Przejechawszy miasteczko *Durlach*, o siódmej stanęliśmy w *Karlsruhe*, i wprost z wozu pobiegliśmy na teatr. Trafiliśmy na akt drugi *Freyschützla*. Teatr

niewielki, ale ładny; wystawa i dekoracje gorsze daleko niż w Warszawie. Panna *Heinisch* (Agata), miły głosik i sama milutka. Pan *Heisinger* (Max), ma być sławny, ale nam nie przypadł do serca. Głos jak głos, ale sam on jak bałwan drewniany. W łóżach, pełnych i strojnych, dwie tylko jakieś piękne twarzyczki. Po teatrze poszliśmy na wieczerzę do tak zwanego *Muzeum*, które jest rzeczywiście *resursą*. Na ścianach cztery tylko obrazy, i to sztychowane. Okragły stół w środku sali cały zarzucony gazetami. Obaj nasi Gallowie skwapliwie rzucili się na paryzkie, i widać było, że zapach świeżego druku ściął ich więcej niż bifszyk z kartoflami; gdyż trzeba było wołać ich razy kilka, ażeby nie ostygł. Adam mówi, że i bifszyk nie taki jak w Hamburgu, i kartofle nie takie jak w Bonn; a ja wnoszę, że może dla tego, że je jakiś niezgrabny garson, a nie śliczna *Julchen* przyniosła. Imieniem tém, jak złotą klamerką, zamykam szereg miłych wspomnień dzisiejszych, i koniec listu odkładam na jutro. *Gute Nacht!*...

Karlsruhe, 14 Września, rano.

Otoż i ostatni dzień w Niemczech, a więc i ostatni list z Niemiec:—koniec pierwszego rozdziału podróży. Pożegnałem je właśnie z wierzchu wieży zamkowej, ogarniając przytém pamięcią całą przestrzeń od Odry do Renu, i latusując w myśli cały szereg zdarzeń i wrażeń, których rejestr masz w listach moich. Głównie zaś zapytuję sam siebie: jaki ztąd we mnie samym skutek i pożytek, aby czas i pieniądze zmarno-

wane nie były? Otoż największy, jeżeli nie jedyny, jak mi się zdaje, jest ten: że mózg mój, jakby ciasto, które już było *zasiadło* w Warszawie, znowu się jakoś ruszać i fermentować zaczyna. Ale czy wśród gór szwajcarskich, patrząc na nie, sam choć w grzybek podrośnie? Czy go w tym kształcie słońce włoskie dopiecze, czy tylko w płaskość mazurka zasuszy?— tego z góry sam zgadnąć nie umiem, a i ty, wątpię bardzo, czy z dalszych listów moich odgadniesz. Bo naprzód, przewidując tyle do widzenia, postanawiam ograniczyć pisanie; a przeczuwając nieudolność moję do pisania o rzeczach zbyt dla mnie nowych i wielkich, postanawiam powtórę, najmniej o nich pisać. Kup więc sobie u Zawadzkiego jaką podróż po Szwajcaryi i Włoszech, a gdy list odemnie odbierzesz, czytaj w niej opisanie tych miejsc, z których piszę. Tym sposobem i ty poznasz je lepiej, niżbyś mógł z listu mojego; i ja spuszczając się na to, będę miał więcej papieru i czasu do donoszenia ci o tém, o czém się z kąd inąd nie dowiesz—to jest, o mojej personie; mając przytém tę słodką nadzieję, że cię to przecież może żywić obchodzić, niż opis jakiejś skały albo pogańskiego *balwana*.

Tymczasem na waletę przed wyjazdem z Niemiec, muszę ci przecież rzec słowo o Karlsruhe, gdzie ten list zaraz oddaję na pocztę. Jest to, jak wiiesz zapewne, stolica W. Xięstwa Badeńskiego. Miasto niewielkie, ale najładniejsze, jakie w Niemczech widziałem. A jest też jednym z najnowszych w Europie, bo założone dopiero w roku 1715. Liczy dziś tysiąc domów i 17,000 mieszkańców. Założyciel musiał szcze-

gólniej lubić spokojność; bo nie tylko nazwał je *Ruhe*, ale jakby dla ubłagania Eola, aby téj jego spokojności nie mącił, plan miasta nakręślił w ten sposób. Od zamku, który miał być w samym środku, miały iść 32 ulice, w kierunku 32 wiatrów, (nie wiedziałem że jest ich aż tyle), aby zamek od nich zasłaniać. Dotąd zabudowano tylko 9 ulic, i to od strony Akwilonu; resztę przestrzeni wkrąg zamku zajmuje park. Wszystkie te ulice, szerokie i proste, przytykają do okrągłego placu przed zamkiem, do którego każdy ostatni dom na ulicy frontem jest obrócony. Miasto widziane z góry ma kształt rozpuszczonego wachlarza, a ulice poprzeczne, w kształcie pół obřeczy, są jakby wstążki spinające ten wachlarz. Ostatni promień słońca pogodnego świecił nam gdyśmy byli na wieży, i zagaśł w dżdżystej chmurze nim zesłiśmy na dół. Teraz deszcz leje jak z wiadra, a mimo to trzeba wyjeźdźać. *Lebt wohl, Deutschland und Du!...*

KONIEC TOMU PIĘRSZEGO.



Przypisek do Listu XVI, str. 186.

Po wydrukowaniu tego listu w *Kronice Rodzinnéj*, jeden z korespondentów tego pisma przysłał do Redakcyi, w dosłownym przekładzie z niemieckiego, następujący wyciąg z pamiętników Karola Holteja, wysłanych w Lipsku w r. 1862, pod tytułem: *Vierzig Jahre* (Czterdzieści lat); dla zestawienia obok siebie opisu tych samych faktów, przez dwóch różnych naocznych świadków. *Kronika* umieściła ten wyciąg w Numerze 6, z dnia 15 grudnia 1868 r., i my go tu ztamtąd powtarzamy.

Wyjątek z pamiętników Karola Holteja.

„Dnia 27 Sierpnia 1829 r. jako w wigilię osmdziesięcioletniej rocznicy urodzin Göthego, przybyłem nad wieczór do Wejmaru, z przyjacielem moim, Hermanem Frankiem. Zajechaliśmy pod starego, kochanego „Słonia.” Podczas, gdyśmy się przebierali, przyszedł powitać mnie August Göthe, udający się do dworu, po galowemu ubrany, i zaprosił w imieniu ojca na wie-

czór do siebie, gdzie się już dzisiaj wszyscy cudzoziemcy i goście z dalekich krain i stron zebrać mieli, ku uczczeniu uroczystości jutrzejszej. Tłumny gwar spotkał nas u wejścia. *Stary* (der Alte) powitał mię swoim odwiecznym, zwyczajnym: „*Nun, das ist ja schön!*“ (No, to pięknie); i mój kochany Herman nie tylko że go obaczył, ale zawiązał z nim nawet długą rozmowę o morfologii, od której ja usunąłem się, skorom mógł z przyzwoitością, ażeby się przyłączyć do damskiego świata (*Damen-Welt*). Świat ten, dziwnym zrządzeniem wyroków, wolny tym razem od angielskich zastępów (*Heerschaaren*), zaprowadził był u siebie *nabożeństwo polskie* (*polnischen Cultus*), do którego ja, jako dawny przyjaciel Polaków, chętnie się przyłączyłem. Przybyli dwaj młodzi poeci polscy: *Odieniec* (Odyniec), o którym w dalszym czasie nic już nie słyszałem, i drugi, *Mickiewicz*, który potem jako mistyk w Paryżu nabył szczególniejszego rozgłosu, (*wunderliche Celebrität*), ale wtedy ukazywał się tylko jako blady, pociągający i interesujący marzyciel (*Schwärmer*), a u płci pięknej w Wejmarze takie znalazł uznanie i współczucie, jak gdyby z Anglii lub ze Szkocyi pochodził. Na tym wieczorze, 27 Sierpnia, dał on już próbkę swego mistycznego kierunku, która—jakkolwiek jój powodzenie zda wało mi się być skutkiem ułożonego wprzód skrycie towarzyskiego żartu—wyznaję jednak, że mię nie pomału zdziwiła. Podano damom talerz, na którym każda z nich, według upodobania, mogła złożyć swój pierścionek, ale taki tylko, który od wielu już lat, nie

zdejmując nosiła na palcu. Gdy się już wiele pierścionków, rzuconych bezładnie jedne na drugie, na talerzu zebrało, Mickiewicz odszedł z nim na stronę, oglądał z wielką uwagą pierścionki, i nakoniec oddał je po kolei każdy swój właścicielce, które mu wcale przedtém nie były wiadome, zgadując zarazem imię, (i jak mi się nawet zdaje), wiek każdej. Przytém był on blady jak śmierć, i bujne krople potu wystąpiły mu były na czoło. Z początku, jak już rzekłem, miałem to za umówiony żarcik; ale się przekonałem następnie, że on brał tę rzecz na seryo;—i ile razy potém czytałem w pismach francuzkich imię jego, złączone z najniepodobniejszymi do wiary baśniami, zawsze mi stawał w oczach ów blady Wejmarski czarodziej pierścionków.

„Nazajutrz, gdy ośmdziesięcioletni *nowo-narodzony*, dwanaście pięknych pań i panien zaprosił na uroczysty obiad do siebie, my mężczyźni, krajowi i zagraniczni goście, zebraliśmy się w hotelu „*zum Erbprinzen*,” aby go tam po swojemu fetować. Że nie zbywało na pieśniach, to się samo przez się rozumie. Ja też stanąłem w rzędzie obrzędowych śpiewaków, i nie pozostałem w tyle od innych. Wesołość i rozrzewnienie panowały koleją u stołu. Mnie ostatecznie zwłaszcza owładło. Każdy ton z ust śpiewaków poruszał mię do łez. Aby więc wyjść z tego nastroju, przymuszałem się do wina, i pierwszy i ostatni raz w życiu, doszedłem aż do półtrzeciej butelki czerwonego francuzkiego. Nie pojmuję sam, jak po takim nadzwyczajnym wyskoku, mogłem nie tylko być je-

szcze tegoż dnia na wielkim wieczorze, ale i odśpiewać na nim, na żądanie dam, moją piosenkę. Wprawdzie częściowo tylko ten wieczór pamiętam. Wiem tylko, że zaraz po odśpiewaniu musiałem wyjść do drugiego pokoju i rzucić się na jakieś tam łóżko. Ale tu już mi braknie kilku godzin mojego życia. Przyjaciel mój, Herman, obudził mię dopiero o północy, gdy się już towarzystwo rozchodzić zaczynało. I nie pamiętam jak się u siebie położyłem do łóżka, z niewypowiedzianą obawą, że nie dam spać memu towarzyszowi, lub że się sam nazajutrz jak słony zajac obudzę. Tymczasem ani jednego ani drugiego nie było. Szatan, który mię kusił wyraźnie, ażebym został pijakiem, dał mi się obudzić bez najmniejszej nieprzyjemności. Nie dopiął jednakże swojego, i z *tęj strony* żadnego odtąd wpływu nie miał nigdy nademną.

„Przyjaciel mój Herman musiał wcześniej nazajutrz opuścić Wejmar; ja zostałem, a należące do obrzędowych uroczystości przedstawienie *Fausta*, zatrzymało też wielu gości. Między nimi odznaczał się sławny rzeźbiarz Paryzki David, który przyjechał do Wejmaru dla zrobienia olbrzymiego popiersia Göthego. Widywałem się z nim często. Łączyło nas najbardziej wspólne uwielbienie dla Berangera, i gdy David obaczył, jak moje było głębokie i szczere, obiecał przysłać mi dzieło mistrzowskiej swęj ręki, biust tego śpiewaka miłości, chwały i ludzkości. Że to obiecał w domu Göthego, przy wesołej zabawie, to jeszcze nie wiele znaczy; ale że w rok potem, kiedy już ja są-

dziłem że o mnie zapomniał, on jednak obietnicy dotrzymał,—to już świadczy o dobrej pamięci Davida; mnie zaś samemu dowodzi, że mnie był rzeczywiście polubił, i to przekonanie sprawia mi wiele pociechy.

„Co do przedstawienia Fausta—odbyło się ono w ośmiu odsłonach, i w dziwnie ułożonym porządku. Wiele z tego, co ja w mojem przerobieniu jego na scenę, (które zostało odrzucone), opuścić za konieczne uważałem i śmiałem, zostało utrzymane—i jak przewidywałem, nie sprawiło na scenie *żadnego*, albo złe tylko wrażenie. Przeciwnie, wiele miejsc, które mi się być zdały koniecznymi, zostało wyrzuconych. Jednym słowem, nic nie było przerobionego, a tylko wiele opuszczono. Miałem odwagę powiedzieć to wręcz w oczy Jego Excellencyi, nie tając przytém: że przerobienie moje uważam za daleko dramatyczniejsze, bardziej skoncentrowane, słowem za stosowniejsze i za lepsze. Göthe odpowiedział mi na to z przekąsem, ale bez gniewu: „Wy młodzi (*Ihr junges Volk*) rozumiecie wszystko daleko lepiej.” Poczém nastąpiło wnet powiedziane z uśmiechem: „*Nun, nun, das ist ja schön*” (no, no! dobrze, dobrze)!—

W dalszym ciągu ówczesnych wspomnień swoich Wejmarskich, odnoszących się wprost do jego osoby, Holtei opowiada, że ułożył z panią Ottilią Göthe pierwszy projekt wydawania, wychodzącego później rzeczywiście przez czas jakiś w Wejmarze, towarzysko-zartobliwego pismka, które, dla mających tylko w niem udział, w niewielkiej liczbie egzemplarzy prywatnie drukowane być miało, a do którego każdy,

ktoby chciał, i w jakimkolwiek bądź języku, mógł podawać artykuły swoje bezimiennie, lub pod pseudonimem. Sam Göthe, w późniejszym czasie, nieraz też w ten sposób słówko swoje do niego dorzucił. Otoż do tego pisemka, pod tytułem: „*Chaos*,” Holtei napisał wierszowany prolog, który w pamiętnikach swoich przytacza. W prologu tym mówi sam *Chaos*, a raczej sam Wejmar pod imieniem Chaosu. Między innymi, znajduje się w nim wiersz taki:

„*Ich seh' mich kreisend zwischen beiden Polen.*”

(Widzę się krążącym pomiędzy dwoma biegunami).

Do tego zaś wiersza dodany jest następujący przypisek: „*Zwischen beiden Polen.*” Słowa te zawierają żartobliwą dwuznaczność. (Wyraz *Pole* znaczy razem *biegun* i *Polak*). Odyniec i Mickiewicz, wspomnieni wyżej poeci polscy, byli naturalnie na ucztce w dzień urodzin Göthe'go. Gdy goście wychodzili z sali, gospodarz hotelu zasiadł u wyjścia przy małym stoliku, aby odbierać zapłatę za wino. Przed nim leżała lista, na której, przy każdym imieniu, była oznaczona ilość należności, i gdy mu wychodzący powiadali swoje nazwisko, on mówił, ile który ma płacić. Ale polskie nazwiska nie szły mu widać pod pióro. Było więc tylko napisano na liście „*Pole I, Pole II.*” Odtąd Odyniec i Mickiewicz nazywali się przez skrócenie: „*Pole eins, Pole zwei*,” a żeśmy podejrzewali niektóre damy, że interes ich krążył między *jednym* a *drugim* (*zwischen eins und zwei*); wyrażenie więc: *zwischen beiden Polen*, miało swoje znaczenie dla czytelników Wejmarskich.”

SPIS RZECZY

w tomie pierwszym zawartyoh.

	strona
Słóvko przedwstępne	1
List do Redaktorki <i>Kroniki Rodzinnej</i>	35
Listy z podróży:	
I. Do Juljana Korsaka, z Brześcia Litewskiego	39
II. „ „ „ z St. Petersburga.	41
III. „ „ „ „	53
IV. „ „ „ „	62
V. „ „ „ z Wilna	69
VI. „ Ignacego Chodźki, z Giejstun	75
VII. „ Juljana Korsaka, z Drezna	84
VIII. „ Ignacego Chodźki, z Drezna	98
IX. „ Juljana Korsaka, z Teczen i Töplitz	114
X. „ „ „ z Karlsbadu	120
XI. „ „ „ z Marienbadu	130
XII. „ „ „ z Wejmaru	136
XIII. „ „ „ „	148
XIV. „ „ „ „	153
XV. „ „ „ „	163
XVI. „ „ „ „	180

6-1940/19/33 2 120-65

— II —

	strona.
XVII. Do Juljana Korsaka, z Wejmaru.	188
XVIII. " " " "	199
XIX. " " " "	218
XX. " Ignacego Chodźki "	229
XXI. " Juljana Korsaka "	241
XXII. " " " z Frankfurtu n. M. i Mo- [guncyi	249
XXIII. " " " z Koblentz	274
XXIV. " " " z Bonn	294
XXV. " " " z Kolonii i Akwisgranu	310
XXVI. " " " z Moguncyi	335
XXVII. " " " z Darmsztadu.	338
XXVIII. " " " z Heidelberga i Karls- [ruhe	365
Przypisek do Listu XVI	385

TI 65-



LISTY Z PODRÓŻY.

130704 12 1780

0 17 00

130704 12 1780

LISTY Z PODRÓŻY

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

~~~~~  
(Z RZYMU).

—————  
TOM III.

~~~~~  
WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—
1876.
—————



Дозволено Цензурою
Варшава 28 Апрелья 1876 года.

DRUK J. BERGERA,
Warszawa, ul. Elektoralna Nr. 14.

LISTY Z PODRÓŻY

(SERYA DRUGA).

— — — — —

1.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 25 listopada 1829 r.

Przysiągłbym, że drżącą ręką, otworzyłeś ten list ze stemplem: *Roma*, i radujesz się z góry na opisy cudów, które tu widzę, i wrażeń, których doznaję. Raduj się! nic to nie szkodzi; ale racz najprzód przeczytać anegdotę — nie bajkę, która ma znaczenie przedmowy.

Żył był kiedyś w Wilnie pan Wodźbun — z nazwiska dziki Litwin jak *Budrys*, ale w rzeczy udatny i rozumny kawaler, ulubieniec dam i salonów. Przyjaciel jego, obywatel z Infant, zaprosił go na lato w gościnę do siebie, a chlubny sam z takiego gościa, zapowiedział go szumnie w całej okolicy. Czekano go jak fenixa, i gospodarz nie miał nic pilniejszego,

Listy Odyńca. Tom III.

1

jak powiedzieć mu o tém za jego przybyciem. Gość zmarszczył się, ale zmilczał; zapytał tylko nawiasem która z sąsiadek w parafii rej wiedzie? Była nią pani Chorążyna powiatu, matka trzech pięknych córek na wydaniu. Tam więc najprzód pojechali z wizytą. Gospodyni spotkała gości w pół salonu, panienki z robótkami oczekiwały w głębi. Przyjaciel z tryumfującą miną zaczął już rekomendacyjny frazes, gdy nagle obejrawszy się postrzegł, że pan W. zatrzymał się u progu i obracając kapeluszem w rękę, stał jak słup ze spuszczonei oczyma. Przyjaciel oniemiał z podziwu; gospodyni nie wiedziała co począć. Nagle pan W. obcesem przysunął się do niej, chwycił za rękę, pocałował głośno, i stanął znowu jak wryty. Gospodyni prosiła siedzieć. Usiadł na różku krzeselka i tak z pode łba, milcząc, na panienki spoglądał, że te nie mogąc wstrzymać się od śmiechu, jedna po drugiej uciekły z salonu. Matka tóż pod jakimś pretextem musiała wkrótce uczynić toż samo; a skonfundowany przyjaciel, nieświadom słowa zagadki, ulegając machinalnie woli swego gościa, odjechał z nim bez pożegnania.

W kilka dni potém miał być odpust w parafialnym kościele, a całe liczne sąsiedztwo na obiedzie w domu proboszcza. Pan Wodźbun z przyjacielem przyjechał ostatni, kiedy już pani Chorążyna i panny miały czas opowiedzieć wszystkim po kolci sąsiadkom, kto był w istocie ów gość nowoprzybyły, którym jego mniemany przyjaciel chciał widocznie zmistyfikować sąsiedztwo. Wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom.

Otwarły się—i wszedł pan Wodźbun w naturalnej swojej postaci. Z uszanowaniem powitał proboszcza, prosił o przedstawienie siebie towarzystwu, i ujął wszystkich obejściem i słowy. Chorążyna i chorążanki płonęły jak w ogniu na stosie, widząc zwracające się ku nim pytające oczy sąsiadek. Tu pan Wodźbun zbliżył się ku nim, i uginając kolano przed matką, rzekł: „Pani! przebacź! Przyjaciel mój tak mię zachwalił, że choćbym nawet mógł być wart tych pochwał, oczekiwaniu pewno odpowiedziećbym nie mógł. Wolałem więc od razu spaść sam niżej zera, ufny, że pobłażliwa dobroć państwa raczy mię przecież podnieść choćby do znaczenia ułamku.“

Jak rzekł, tak się ziściło,
I dobrze mu z tém było.

A co? rozumiesz sens tej anegdoty? Oczekiwania twoje—to zapowiednia o panu Wodźbunie. Mowa o nim na początku w tym liście—to on sam w domu pani Chorążyniej. Mamże cię również przeproszać za ten żarcik, którym chciałem okupić z góry prawo mówienia dalej, nie co ty chcesz, ale co ja mogę? Inaczej, przy czytaniu moich listów o Rzymie, mogłoby ci się przydarzyć coś nakształt tego, co nam się przydarzyło przed wejściem do Rzymu. Dochodziliśmy, jak wiiesz, piechotę; aż tu nagle z za pagórka przed nami, ukazują się jakby ostrza dzid. Adam woła: „Legia idzie!“—a szło to rzeczywiście stado osłów, których uszy tak naprzód wystykały z za góry. Otóż gdybym ja nieuk, ja profan, chciał albo śmiał się

wdawać w opisy, czyto pamiątek starożytniej, czyto arcydzieł sztuki nowożytniej Romy: wszelkie ostrza mojego dowcipu mogłyby ci się okazać przy końcu, czém się nam okazały owe mniemane dzidy. Prócz tego, wyczytuję z pociechą w twym liście, że masz i czytasz właśnie opisanie Rzymu przez Chateaubrianda, a u pani Sołtanowej w Zdzięciole jest pyszne album ruin, gmachów i widoków rzymskich. Otóż gdy ja wspomnę o którym, jedź do Zdzięcioła i przypatruj mu się w rysunku, z listów moich dodając to tylko, co ci w nich będę mówił o sobie albo o tych, z którymi tu oryginałowi przypatrywać się będziemy. Na tém koniec przedmowy.

Tydzień już cały jak jesteśmy w Rzymie; a opowiedzieć ci najprzód o pierwszej dobie pobytu.

Już to bodaj, że każdy ideał w zetknięciu się z rzeczywistością, jest jak żarzysty węgiel wrzucony do wody: przestaje błyszczeć, a syczy i dymi. Ideał we mnie, za przybyciem do Rzymu, był rychtyk jak ten Włoch jakiś, rad z czegoś, cośmy go zaraz na wstępie na placu *del Popolo* widzieli: podskakiwał zda się z radości i klaskał w ręce wołając: „*Romac sum!*“ (jestem w Rzymie!) i o niczém więcej nie myślał. Ale wnet rzeczywistość poszepnęła swoje: że nie dość jest *być*, trzeba przecież *gdzieś mieszkać*, a więc najprzód starać się o mieszkanie. I to najprzód zaszepotał Ideał. Przez dwie godziny bowiem, ślad w ślad za weturą, włóczyliśmy się po ulicach od jednej oberży do drugiej, aż nakoniec zaledwie w czwartej znaleźliśmy przytułek, w *Albergo di Europa*, na *Corso*. Dwa

pokoiki czyste, eleganckie, zieloném suknem wystlane, i *notabene* nie drogie—pięć *paolów* tylko na dobę! Ideał odetchnął swobodnie. Alic zaledwie zrzuciliśny płaszcze, *zimna* ręka Rzeczywistości porwała nas obu za plecy. Chłód i wilgoć, jak u nas w lodowni; oddech z ust, jak dym od cygara. Oglądamy się—pieca niema; ale jest marmurowy kominek. Prosimy zatém o drzewo; ale nim je przynieśli, termometr krwi spadł niżej zera. Chcemy się rozgrzać kawą—ale w czterech kawiarniach na *Corso* kawy ze śmietanką już niema. Bywa tylko rano, jak mówią. Czarny ten nektar dobry po obiedzie; a myśmy jeszcze obiadu nie jedli. Ideał mdleje z głodu i dzwoni zębami. Wracamy więc do oberży, ślepi na świetność *Corso*, głuśi na gwar i turkot powozów. Zasiadamy w sali jadalnej, i wybieramy z karty: *cotelette à la Milanese*. Ideał ożywił się nagle—ale nie samą ich wonią lub smakiem; nie materyalnym tylko pierwiastkiem. Nie, wcale! Za pierwszym bowiem kęsem i ja i Adam zawołaliśmy w jedno słowo: „Ach! to kotlety Foka z Pohulanki!”—jakich ani on, ani ja odtąd nie spotkaliśmy nigdy i nigdzie. Ideał zapomniał o Rzymie, skoczył w przeszłość, wstecz o lat siedem, i zaczął po kolei przypominać tych wszystkich, z kimeśmy na ten przysmak chodzili, a nakoniec i siebie samych, jakimiśmy byli naówczas. I wpływ tych wspomnień, więcej niż chróst na kominku, ogrzewał nas przez cały wieczór—pierwszy wieczór pobytu w Rzymie, cośmy go cały wyłącznie na rozmowach o Wilnie spędzili. Dopiero przy ostatniém *dobranoc*, Ide-

ał znów, jak kapral szyldwachom na hasło dnia jutrzejszego, szepnął myślom: „*Kapitol! Watykan!*” — i tą razą przynajmniej nie *twarda* Rzeczywistość pozwoliła nam usnąć marząc o Ideale.

Nazajutrz walna rada, co najprzód iść widzieć w Rzymie? Adam wybrał Kapitol — i przed otwarciem pocztowego biura, jesteśmy już na Kapitolu, z Allanem. (Patrz album)! Mówimy najprzód pacierz w kościele, który widzisz przy placu. Nosi on nazwę *Ara Coeli*, i stoi na miejscu najpierwszej niegdyś w Rzymie świątyni Jowisza, której niema już dziś ani śladu. Z wierzchu skały Tarpejskiej, z której dziś bez złamania karku śmiało zeskoczyłby można, patrzmy na leżące w dole przed nami sławne *Forum Romanum*; gdzie niegdyś *Ojciec Ojczyzny* o losach świata radził; gdzie potem beczwały tylko barany i cielęta, bo tu był rynek na bydło, i nazywał się *Campo Vaccino*, a gdzie dziś, odgrzebane z pod ziemi i gruzów, sterczą ostatnie szczątki najwspanialszych niegdyś świątyń, bazylik i łuków tryumfalnych. Widzimy dalej poza niemi największą i najwspanialszą ze wszystkich starożytnych ruin, *Colosscum*; zaglądamy w głąb strasznych *Mamertyńskich* lochów, gdzie zdrajców i więźniów duszono; i nakoniec odchodząc, składamy hołd nasz Przeszłości przed brązowym posagiem Marka Aureliusza. Musi on być pewno i w album na placu Kapitolińskim, a więc widzisz, że jedzie konno. Jestto jedyny starożytny posąg, jaki dotychczas zachował się cało, bez najmniejszego w niczem uszkodzenia. Rzeczy można, że istny symbol nieska-

zitelnej chwały tego najcnotliwszego z pomiędzy wszystkich Cezarów Rzymskich, jacy przed nim i po nim po koronę na Kapitol wchodzili. Adam z postaci jego i wyrazu twarzy odgaduje myśl i uczucie, jakie rzeźbiarz chciał w nim przedstawić. Uczuciem tém jest miłość, którą okazuje ludowi, i spokój przekonania że ją wzajem u niego posiada. Jestto jedyny mocarz i filozof pogański, w którym pycha nie zabiła człowieka, i w którym człowiek przeczuł obowiązki chrześcijańskiego monarchy i mędrca.

Allan słucha ciekawie, co Adam mówi o jeźdźcu, ale sam, jako artysta, admiruje najwięcej i uczy nas admirować—konia. Dwa te inne olbrzymie posągi, które pewno i w album sterczą nad wschodami, prowadzącymi na Kapitol, sąto Kastor i Pollux, godła miłości braterskiej; a więc nie wiem po co oni tu stoją, i co znaczą? Żadna rada na Kapitolu, od czasu bratobójcy Romulusa, nie kierowała się nigdy jej prawem; to téż dzisiaj, w moc tego prawa, rządzi światem nie Kapitol, ale Watykan—dokąd wprost właśnie idziemy.

Z Kapitolu do Watykanu!!!—przyznaj, że kurs nie lada. A przecież jeden i drugi nikną dla nas na chwilę przed punktem środkowym, którym jest: biuro pocztowe. Z biciem serca tłoczę się do okienka, drżącym głosem pytam o listy—Bogu dzięki! nie próżno. Mam je z domu, z Dziewiętni; od ciebie, i od Żegoty; od Witwickiego, i od panny Flory z Warszawy. Adam ma z Petersburga i od pani Göthe z Wejmaru. Allan także odebrał swoje. Przebiegamy je okiem na ulicy, a czytamy z końca w koniec w ka-

wiarni. Wiadomości zewsząd pomyślnie—idziemy więc podziękować za to w Watykanie: to jest my tylko we dwóch, bo Allan śpieszy, aby zastać w domu czekających tu na niego przyjaciół.

Plac Ś. Piotra—(Patrz album)! Wyobraź, że już stoimy w środku, obok obelisku, pod brylantową rosą tych cudnych wodotrysków, w których mgłę srebrnej blask słońca gra w tysiączne barwy tęczowe. A widzisz te przepyszne, olbrzymie krużganki, obejmujące plac z obu stron w półkole, jakby ramiona wychodzące z kościoła. Można by więc powiedzieć o samym tym kościele, co w Wallenrodzie mówi się o krzyżu:

Czoło kryje w niebie,
Tklicze ku światu wyciągnął ramiona.
Jak gdyby wszystkie ziemie i *plemiona*
Chciał objąć, garnać i *tulić* do siebie.

A jednak rzecz dziwna, jak wszelka prawdziwa wielkość, i w budowie snać jak w człowieku, nie od razu rzuca się w oczy; nie dziwi, nie przeraża, nie przywala, a tylko coraz i coraz rozszerza się i rośnie, przed oczyma i w duszy, jak horyzont przed wchodzącym na górę. Przyczyna tego być musi w doskonałej harmonii wszystkich szczegółów olbrzymiej całości. jak np. w doskonałej orkiestrze, sto instrumentów zdają się jak jeden.

A i wewnątrz to samo, co zewnątrz. Zresztą ani tu, ani tam jeszcze nie patrzyliśmy na nic okiem wojazera. Dość było czuć i myśleć, że się jest w Watykanie, jak pielgrzym w cudownym miejscu. Pokłę-

czeliśmy téż czas jakiś ponad grobem Ś-go Piotra; popatrzyliśmy w kopułę wznoszącą się nad nim u góry, i nie oglądając po szczególe nic więcej, obeszlśmy tylko wkrąg cały kościół, i jak na Kapitolu przed Markiem Aureliuszem, tak tu na pożegnanie przed posągiem Ś-go Apostoła złożyliśmy cześć zwykłą pielgrzymów, od których ust, w ciągu wieków, jedna stopa posągu, z lanego bronzu, do połowy już prawie jest starta. Posąg jest w postawie siedzącej, na tronie pod baldachimem, na piedestale z alabastru. Ma on być przetopieniem statui Jowisza Kapitolińskiego. A i to, czyż nie symbol przelewania się przeszłości w przyszłość? Bronz ten sam zawsze, ale postać inna.

Przeszedłszy za powrotem most Ś-go Anioła, (patrz album)! rozstaliśmy się z Adamem. On poszedł szukać mieszkania więzny Wołkońskiej (Zeneidy), które jest w tych okolicach, a ja wróciłem do oberży, mając tam czekać na niego. Ale tu się zaczęła tortura. W izbie niepodobna było dosiedzieć, zimno przenikało do kości. Sensacyi podobnej nie pamiętam, jak żyję. Musiałem dla rozgrzania się wybiegać co kwadrans na dziedziniec, a w pokoju gestykulować rękami, jak u nas furmani na mrozie. Nakoniec myślałem już że przyjdzie zmarznąć na dobre nim się doczekam Adama, gdy przecież usłyszałem zapukanie do drzwi. Otwieram, aż tu zamiast Adama, wchodzi jakiś nieznajomy młodzieńczyk, z bladawą, szczupłą, panięską twarzą, i rekomenduje się po francuzku—*Szewirew*. Wiedziałem

już od Adama, że to jest uczony literat i poeta rosyjski, dobry jego znajomy z Moskwy, i który się opiekuje wychowaniem młodego księcia Wołkońskiego. Przyjechał po mnie powozem i z polecenia księżny, aby mię zabrać na obiad, na który zatrzymano Adama. Missya zatem i znajomość miła. Szewirew zna doskonale i ciągle studjuje starożytne zabytki Rzymu, po którym obiecuje być naszym *cicerone*; nawzajem ja mu przyrzekam dopomagać w uczeniu się po polsku;—i nimeśmy wysiedli z karety, sojusz był już zawarty i przybity podaniem ręki. A było jakby prolog uprzejmości, która mię oczekiwała w salonie. Spodziewałem się jużciż zawsze, że ją znajdę, ale myślałem, że będzie salonowa i z *pańska*; tymczasem spotkała mię taka, jaka tylko w szlacheckich naszych dworach litewskich witać zwykła pożądanego gościa. Ledwom wszedł, księżna podbiegła na moje spotkanie, przepraszając „*qu'elle a osé m'inviter*,” i ekukując się przystawem: „*que les amis de nos amis, sont nos amis*.” Ledwom się zdobył na podziękowanie, przedstawiła mię siostrze swojej, pani *Własow*. Ale tu Adam, który siedział na kanapie przy niej, wziął na siebie rolę rekomendatora, i zrozumiałem od razu, że żartując wrzekomo ze mnie, żartował téż zarazem i ze swojej sąsiadki, z którą być musi w najlepszej przyjaźni.

Żarty te bowiem tyczyły się głównie górnio-idealizno-poetyckiej sentymentalności, której widać ta pani hołduje. Przerzywała mu bowiem ciągle śmiejąc się i protestując, kiedy przedstawiał jój we mnie

jakby jakiegoś dziwoląga, na wzór adoratora Dulcynei, i z tego wyciągał wniosek, że na jęj łaskę i względy zasłużył. Rekomendacya ta miała przedewszystkiēm ten skutek, że pani W. podając mi rękę, wezwała mię od razu do odpornego przymierza przeciw wspólnemu, jak widzi, prześladowcy naszemu. Znajomy ci z Warszawy hrabia *Ricci* dopełniał towarzystwa, jakie zastałem w salonie; a że ten przy piērwszēm zaraz powitaniu, zaczął wynurzać mi wdzięczność za gościnnie przyjęcie w Warszawie i za pamiętne mu miłe znajomości, które tam za pośrednictwem mojęm i Walerjana Krasieńskiego poczynił:— pojdziesz łatwo, że ani jednęj chwili nie czułem się obcym, ale owszem od razu przylgnałem do grona, do którego mię tak łaskawie przyjęto.

Ale muszę zaraz na wstępie sprostować jedno mylne wyobrazenie, które wiem, że i ty dotąd podzielałeś wraz ze mną, w skutek wiersza „*Na Pokój Grecki.*“ Myśleliśmy, że „*piękna Nimfa przewodniczka,*“ złożywszy „*groźną łaskę Merkurego*“, przyzwoliła na obudzenie bożka, który przy wejściu jęj z gościem,

„Drzēmał, ssąc rubinowe piersi winogrona.“

Otóż teraz powiadam tobie stanowczo, że tak nie jest. „*Swawolny zbieg Afrodyty*“ nic tutaj nie ma do czynienia. Jestto tylko prawdziwa i wzajemna przyjaźń, oparta z jednęj strony na gorącēm uwielbieniu dla poety i genialnego człowieka, z drugięj na uznaniu pięknęj, szlachetnęj, poetyckięj duszy; a przytęm zaprawiona poetyckim urokiem, towarzyszącym zwy-

kle stosunkom przyjaciół z przyjaciółkami, i ożywiona wdzięcznością za wzajemne życzliwe uczucia, na których obie strony polegają z ufnością. Ale bo też niepodobna jest wyobrazić téj delikatności i wdzięku, z jakim księżna Zeneida zdaje się zgadywać i uprzedzać myśli przyjaciela, który téż, przyznać to muszę, z niemniejszą może gracyą prostoty i swobody, przyjmuje to, jak rzecz zwyczajną, ale przecież daje odgadnąć, że umie czuć i oceniać wartość doznawanej dobroci. Biedni ludzie, którzy tego rodzaju stosunku ani czuć, ani zrozumieć, a tém samém i uwierzyć w niego nie mogą! Toć i zwykł on być tylko udziałem poetów albo Świętych; a jak poeci tak i Święci nawet zarówno czerpią w nim popęd i siłę do postępu, każdy na swojej drodze. Ś. Hieronim nie waha się wyznać, że przyjaźni ze świętą Paulą w znacznej części uświętobliwienie swe winien. A któryż z wielkich, a nawet i mniejszych poetów, nie miał swojej szczególniejszej patronki?

Ale wracając do księżny Zeneidy. Nie jest ona, i nawet, jak mi się zdaje, nigdy nie musiała być piękną, we właściwém tego słowa znaczeniu. W wyrazie wszakże jéj twarzy, równie jak w całym układzie, w ruchach, uśmiechu, spójrzeniu, jest jakiś niewysto- wiony powab, który pociąga i ujmuje za serce. A jest to niewątpliwie skutek wielkiej dobroci, a przytém dziwnej żywości i szczeroci myśli i uczuć, które stanowią treść jéj charakteru. Znać w niéj wprawdzie i wielką damę, ale tylko w wyższym nastroju i takcie towarzyskiego obejścia. Dumy albo salonowej przesady

niema w niej ani cienia. Siostra jej, pani Własow, młodsza od niej, i może nawet kiedyś przystojniejsza, nie mniej widać jest dobrą i otwartą; ale co do powierzchowności i ogólnego tonu, to podobniejsza jest ona raczej do naszej grzecznej, gościnniej, powiatowej szlachcianki, niż do córki wielkiego xiążęcego domu. Przytém i ona także ma podobno pociąg do pióra, wynikły może z naśladownictwa siostry, ale który, jak mówi Adam, nie przeradza się w niej zgoła w pretensyą, i jest tylko przedmiotem rozrywki.—A jestto już, jak widać, moja dola i rola, w każdym kółku stosunków Adama, stać z kimś jak w drugiej parze, albo składać chór niższy. Tak było w Kownie i Wilnie, w domu pani Kowalskiej, z *Berterką*; tak w domu pani Szymanowskiej z panienkami; tak w Wejmarze z panną Ulryką, siostrą pani Ottilii Göthe, i tak bodaj, że będzie tutaj z panią Własow. Bo widzę ze wszystkiego, że dom xiężny Zeneidy będzie tu dla nas głównym punktem oparcia; a ten pierwszy obiad i wieczór, (bośmy cały wieczór bawili), zarysował wyraźnie stanowisko moje i podział tego domowego gronka na dwa chóry. Wyższy składają: pani domu, Adam i p. Ricci; niższy, jej siostra, dwaj młodzi synowie, jej i xiężny, pan Szewirew i ja. Dom xiężny jest podobno ogniskiem nie tylko jej rodaków i światłych cudzoziemców, ale téż miejscowych artystów i wyższej arystokracji rzymskiej, która niełatwo, jak mówią, udzielać się zwykła cudzoziemcom, ale z xiężną Zeneidą wiąże ją dawna zażyłość, a zapewne téż i jej tytuł, nie mówiąc już o przyjemności jej domu i towarzy-

stwa jęj samęj. Na zakończenie wieczoru pan Ricci odśpiewał na prośbę naszą ową precudną aryę z Don Żuana: „*Non più andrai farfallone*“, którą tak wszystkim głowy zawrócił w Warszawie; pani Własow zaś parę piosnek ukraińskich, które w miłym jęj głosie więcj jeszcze wdzięku nabrały. Xiężna sama, która jakoby śpiewa bardzo pięknie, nie czuła się przy głosie, i nie śpiewała. I oto masz, jak nam przeszedł piérwszy dzień pobytu w Rzymie. O dalszych nie spodziewaj się, a raczję może nie bój się, abym miał równie szczególowo pisać. Do dzisiejszego zaś dodam jeszcze, że zaraz po obiedzie nie wrócićiliśmy do salonu, ale przeszliśmy do sypialnego pokoju xiężny, gdzie tylko bliżsi przyjaciele domu wstęp mają, ale gdzie jest piec z białych kafli, sprowadzonych umyślnie morzem z Petersburga, a zbudowany pod dyrekcją pana Ricci, który się z tą mechaniką piecową podczas pobytu swego w Rossyi obeznał. Słońce nie może być milsze, jak dla nas był ten piec biały; tchnienie wiosny nie rozkoszniejsze, jak ta atmosfera opalonego pokoju. Zato, sama myśl o powrócie do oberży, przy piecu nawet przejmowała nas dreszczem. A cóż dopięro, gdyśmy rzeczywiście wrócili! Było już po jedenastęj i deszcz padać zaczął. Szewirew odwiózł nas sam do domu powozem xiężny, a odetchnąwszy aurą naszych podwojów, ofiarował się z własnej litości szukać dla nas nowego mieszkania, inniej podobnego przynajmniej do latarni z wielości okien, a do katakumby z chłodu i wilgoci. Adam, położywszy się do łóżka, przypomniał wyrażenie Dan-

ta o skazanych na wieczne marznięcie potępieńcach, że „jak bociany klekocą zębami;“ i cała ta noc pod tym względem była dla nas *iście* piekielna.

Zatoż nazajutrz raniutko zerwaliśmy się i ubrali piorunem, a ogrzawszy się warem czarnej kawy, odprowadziliśmy najprzód kochanego naszego Allana do nowego jego mieszkania, na które się przeniósł do przyjaciół, a potem puściliśmy się wcał do Koloseum. Jestto trzeci kardynalny punkt Romy, który Adam chciał zwiedzić najpierw. Xiężna proponowała wczoraj, że sama nas tam zawiezie; ale Adam oświadczył otwarcie, że są miejsca, które chciałby raz pierwszy oglądać sam jeden. Obecność moja nie zmieniała tezy. Ze mną jak z cieniem, może *sobie* być *sobą* jak zechce, dumać, albo milczeć jak ściana. Tą razą jednak był owszem rozmówny, i opowiedział mi legendę o krzyżu, który stoi na środku areny, a został postawiony na pamiątkę świętego zakonnika, który poświęciwszy się sam dobrowolnie na pożarcie dzikich bestyj, położył rzeczywiście koniec dzikim tego rodzaju widowiskom. Na samo Koloseum patrz w album! a tylko możesz sobie wyobrażać, że się czepiamy po gzemsach i piętrach, i na najwyższym punkcie czernimy się jak kawki. W szczególności żadne wdawać się nie myślę; chociaż oglądaliśmy wszystko tak pilnie, najprzód tutaj, a potem na *Forum*, że aniśmy spostrzegli jak upłynął ranek. A na południe trzeba już było być w domu, bo xiężna Zeneida obiecała zajechać po nas, i zawieźć nas do posła, xięcia Gagaryna, z którym jest w blizkiej przy-

jaźni, i który pragnął poznać Adama. Jakoż przyjął go jak można najuprzejmiej, a reflex téj uprzejmości odbił się naturalnie i na mnie. Xiążę między innemi oświadczył, że się uważa właściwie za posła Króla Polskiego, bo gdyby nie interesa katolików polskich, nie miałby co do robienia w Rzymie. Pozwolił nam korzystać z bogatėj i pięknie urządzonej biblioteki swojej, po którój nas sam oprowadzał. (Adam wziął Liwiusza po łacinie, a ja Gibbona téż w oryginale.) Nakoniec przy pożegnaniu zaprosił nas na dzisiaj na obiad, na który się właśnie wybieramy, a na przyszłą sobotę (d. 28) na bal, które tu zagraniczni posłowie często po kolei wydają. Mamy więc w perspektywie nie tylko stare gruzy i malowane lub kamienne figury, ale i żywe źródła nowych wrażeń, w paradach tego świata i twarzyczkach anielskich, których jest tu podobno chórami. A i towarzystwo polskie, jak słyszę, ma być licznie i świetnie reprezentowane w Rzymie téj zimy. Są już dwaj bracia hrabiowie Potoccy, Artur i Alfred, z Krakowa, z żonami; jest, znajoma już nam z Florencyi, piękna młoda para xiążąt Sanguszków, i nakoniec z Galicyi familia hr. Ankwiczów, którzy prowadzą tu dom otwarty i mają podobno przy sobie dwie młodziutkie, śliczniutkie panielki, córkę i siostrzenicę samęj. Wiem to wszystko od p. Dernałowicza, którego niespodzianie spotkałem na ulicy, a który znudzwszy się w Pizie, przyjechał téż na zimę do Rzymu. Nie miałem jeszcze czasu odwiedzić choręj jego żony, a to samo może cię już przekonać, jak musiałem być ciągle zajęty, a przy-

najmniej, że ani jednej godziny do wolnego rozporządzenia nie miałem. Pochłaniało je najprzód szukanie mieszkania, a potem niewyczerpana uprzejmość ciężny Zeneidy, która chce sama koniecznie być pierwszą przewodniczką Adama po Rzymie. W tym celu zajeżdża codzień po nas o południu i obwozi po mieście i po blizkich willach, a nakoniec zabiera na obiad do siebie, gdzie już zwykle cały wieczór bawimy. Wczoraj między innymi byliśmy z nią w pracowni Thorwaldsena, z którym także jest w przyjacielskich stosunkach. Jego samego nie było, ale jakiś grzeczny młodzieniec, zapewne jeden z uczniów, robił nam honory domu, pokazując i objaśniając po szczególe wszystko. Pierwsza to jest pracownia artysty, którą widziałem—a i jakiegóż jeszcze artysty! Thorwaldsen po śmierci Kanowy jest dziś najpierwszym rzeźbiarzem na świecie. To też i jego pracownia, to istna świątynia sztuki! Galerye i muzea, w porównaniu z pracownią żyjącego mistrza, wyglądają coś na cmentarze albo katakumby. Posągi w nich i obrazy, to istne pomniki albo nagrobne tablice, uwieczniające pamięć i chwałę swoich twórców. Tu widać jak ta chwała rodzi się, rośnie i wychodzi na świat. Rzekłbyś, że jakaś fabryka Prometeuszowska; tylu tu uczniów po kątach, kopijując mistrza, lepi różnych *człowieczków* z gliny. Tyle ludzkich postaci wyrasta mniej więcej z marmuru, pod dłótem ociosujących go robotników, jakby tylko co przeszli tędy Deukalion z Pyrrą. Patrząc zaś na tłum odlewów z gipsu, będących wizerunkami dzieł mistrza, po całej kuli ziemskiej

rozsianych, możesz się znów wyobrazać w zaklętym gmachu jakiegoś czarodzieja z bajki, który gości swych w kamień zamienia. Przewodnik nasz pokazywał nam co najcenniejsze, sam gorąco unosząc się nad niemi. Jest tam i nasz Kopernik, mający wkrótce zasiąść przed kościołem Ś-go Krzyża w Warszawie; jest i ów rzymski jeździec na koniu, cośmy go już tam oglądali w modelu, a o którym mała Marynia Zaleska najtrafniejszy może sąd wyraziła, mówiąc: „Jaki on xiążę, kiedy goły?” — *Gołych xiążąt* zaprawdę nie trudnoby znaleźć; ale co w tym, to rzeczywiście żaden *wiarus swego Xięcia* nie pozna, i dość byłoby zmienić napis na podstawie, aby się zmienił w pomnik jakiegoś rzymskiego Cezara, lub którego ze świętych rycerzy. Adam zgadza się ze zdaniem Maryni, i z tego powodu skruszył kopią z naszym *Cicerone*, dowodząc, że ślepe naśladownictwo starożytnych, jest właśnie najzupetniejszym sfalszowaniem ich pojęć o sztuce, której oni wzór i ideał w prawdzie tylko zawsze widzieli. Stosuje się to także i do nagrobnego pomnika Włodzimierza Potockiego, którego oryginał znajduje się w Krakowie, a który się nam bardzo jako posąg podobał. W ogólności jednakże, ze wszystkich posągów Thorwaldsena, a mianowicie kobięcych, przez porównanie ich z dziełami Kanowy, jakie dotąd widziałem, powstała we mnie myśl, nie wiem czy trafna, że Thorwaldsen względem Kanowy w rzeźbie, jest jak Fenimore Cooper względem Waltera Skotta w powieściopisarstwie.— Ale nie śmieję się, proszę, ze mnie, że się wdaję w takie uwagi. Toć nie sądzę stanowczo i zdania mego nie

narzucam nikomu, a tylko mówię tobie *incognito* co myślę.

Od dwóch dni już jesteśmy na nowém mieszkaniu, które przecież ledwie niedługo z pomocą Szewirewa znalazłem. Jest ono na *Via del Orso*, Nr 35, niedaleko od mostu Ś-go Anioła i od pałacu *Feruzzi*, który więźna Zencida zajmuje. Składa się z dwóch izb obszernych, na drugim piętrze, (po wileńsku na trzecim), pierwszej o jednym, i drugiej o dwóch oknach, z dosyć porządnymi meblami, i z posadzką ceglana. W pierwszej na środku, jak tu wszędzie, stoją obok dwa ogromnej szerokości łóżka, na których śpimy, i w kącie komoda na rzeczy. W drugiej, naprzeciw drzwi i tuż przy nich będącego kominika, stoi stół przed kanapą, zielonym dywanikiem okryty, a na nim mosiężna lampa o trzech ramionach, naksztalt żydowskiego świecznika. Zwierciadło między oknami, stolik pod niemi, i osiem krzeseł stanowią resztę umeblowania. Kominiek byłby częścią najważniejszą, ale cóż, kiedy ciepło od palącego się w nim rano i w wieczór chróstu, nie dosięga, niestety, kanapy, a chłód od okien i cegieł posadzki ogarnia nas z góry i z dołu. A trzebaż jeszcze biedy, że okna obrócone na północ, a więc nie widzujemy się ze słońcem. Uprzejma tylko dobroć więźny ogrzewa nas zamiast niego. Wnosząc się bowiem zastaliśmy już na środku żarzącą się *karbonellę*, a przed kanapą dwa ogromne wory z-wojłoku. A wieszże co to jest *karbonella*? Jest to blacha żelazna na nóżkach, z wygiętemi do góry brzegami, na której rozpalają się węgle,

jak u nas w samowarach, a ciepło od nich zastępuje miejsce pieca. A oweż worki wołokowe na co? zapytasz może. Wkładają się one na nogi i sznurują się wyżej kolan. Adam swojego nie używa, bo nauczył się w Krymie siadać po turecku i siedzi tak na kanapie. Ja tego zrobić nie umiem, i siedzę przez połowę zawiązany w worku. Ależ i ręce niekiedy tak krzepną, że trzeba kłaść rękawiczki, albo okrywać je płaszczem, z którym tak nigdy nie możemy się rozstać dobrowolnie, jak Herkules mimo woli nie mógł z kaftanem Dejaniry. Ot naprzykład i w ciągu pisania tego listu, musiałem ze sto razy przerywać, ażeby rozgrzać palce chuchaniem i tarcie. Boguż dzięki, że na dziś koniec, i chyba może powróciwszy z obiadu od ambassadora, na który już zaraz idziemy, dodam jeszcze jakie *post scriptum*, w kształcie gościńca z wetów obiadowych.

Godzina 11 wieczorem.

Wracam dopiero w tej chwili z obiadu, ale tak cały owiany i przenikniony nawskróś duchową atmosferą Rzymską, różną wcale od mroźcjej fizycznej, że chcę koniecznie, abyś wiedział przynajmniej, co to jest i z czego pochodzi. Jużciż ma się rozumieć, że z wrażeń obiadowych;—a więc masz słówko o nich.

Było nas osób 12 u stołu, a oprócz gospodarza i dwóch domowych urzędników ambassady, byli: panowie *Nibby* i *Lanzi*, professorowie tutejszego uniwersytetu, i najpiérwsi dziś archeologowie Rzymscy; pan *Alexander Turgeniew*, wojażer po całym świecie.

cie i badacz etnograficzny krajów, które zwiedził; pan *Brulow*, najślawniejszy dziś, jak musisz wiedzieć, malarz rosyjski, i obiecujący pójść w jego ślady młody pan *Bruni*, doskonalący się obecnie w Rzymie na profesora Petersburskiej Akademii sztuk pięknych. Wśród tych panów, Adam był jakby punktem centralnym, bo ze wszystkiego widać było, że dla niego to właśnie gospodarz tak złożone towarzystwo zaprosił. To też trzeba było go słyszeć, jak jednocześnie prawie, to jest jak syntetycznie, z archeologami o duchu starój i nowój Romy; z etnografem, o wpływie jednej i drugiej na wszystkie ludy świata; z malarzami, o pogańskiej i chrześcijańskiej sztuce rozmawiał. Na wszystkich jego interlokutorach widać było żywe zajęcie, i nawet jakby jakiś rodzaj podziwu. Bo choć sam w niczem nie brał inicjatywy, ale wszystko, co od nich usłyszał, tak zaraz wzajem na nich w nowym świetle odbijał, że rzeczywiście było się nad czem zadziwić. Ciągłe mi się nawijał na myśl wiersz jego do pana Joachima, w którym tak zwięźle i jasno skupia się i wyraża treść dziejów całego świata. Treść zaś tego, co mówił dzisiaj, dałaby się może niejako skupić mniej więcej w tém: że starożytni Rzymianie, toporami swoich liktorów, trzebili nowe drogi po świecie; włóczyniami swoich legij odpychali barbarzyńców, którzy im chcieli przeszkadzać; i rękami swoich niewolników budowali dla nichże samych—jak gdyby wodociągi, po których woda, lustralna i ożywcza, z nowój dopiero Romy rozplynać się miała;—choć i to

dotąd jeszcze jest tylko chrzest z wody—nim da Bóg, że i duchowe namaszczenie nastąpi.

Sztuka mająca tylko za ideał człowieka, nad ziemię ani sama się podnieść, ani ludzi podnosić nie mogła; a co gorsza, że przez samą swą doskonałość zewnętrzną, odegrała względem sztuki nowój tę samą prawie rolę, co Febus, czyli słońce, względem Ikara; t. j. słonecznym blaskiem swoim, w tak zwanym wieku Odrodzenia, stopiła nity przyprawionych skrzydeł, któremi duch chrześcijańskich artystów zaczął już być ulatać po nad labirynt scholastycznych pojęć, i strąciła go w morze naśladownictwa, z którego już inaczej wydobyć się nie może, aż chyba znów z niego samego anielskie mu skrzydła wyrosną.—Streszczam rzecz figurycznie, bo i Adam w swój mowie figur tych używał, tylko że nie tak razem, a przytém z taką naturalną prostotą, że ani cienia przesady albo pedantyzmu nie miały. Na twarzy gospodarza widać było radość, jakby chlubę z takiego gościa. A cóż dopiero mówić o słuchaczach, na których, chociaż sami nie mieszały się do rozmowy, reflex jednak powodzenia Adama, jako ziomka, lub jako przyjaciela odbijał. Słuchaczów takich było trzech: Szewirew, ja i książę Stanisław Parczewski, dobry mój znajomy z Wilna, kolega i serdeczny przyjaciel Ludwika Spitznagla, wnuk po siostrze metropolity Siostrzencewicza, kosztem jego niedawno przystany do Rzymu, aby tu kończył studia teologiczne, i przez to samo zapewne utarował sobie może drogę do przyszłych kościelnych dostojęństw. Jest on mój jednolatek, i wiedziałem

już w Wilnie, że ma pociąg do pióra. Jakoż przyznał mi się dzisiaj, że pisze historyczną powieść pod tytułem: „*Władysław Biały*,” którą ma nam tu kiedyś przeczytać. Adama znał już zdaleka w Petersburgu, i jest z gorącym uwielbieniem dla niego. Szewirew zaś tak był dzisiaj rozentuzymowany Adamem, że gdyśmy wracając z obiadu wstąpili na herbatę do xiężny, nie mógł się dość naopowiadać przed nią o jego dzisiejszym tryumfie; i pomimo żartów Adama, któremi chciał studzić ten zapał, obie siostry radowały się z tego — jak siostry. I niechże mi teraz kto mówi, że prawdziwa wartość w człowieku nie znajduje uznania u ludzi! Nie znajdzie go ona chyba u tak zwanych literatów i gazetarskich krytyków warszawskich, których zawiść lub uprzedzenie zaślepia, albo którzy nie wiedzą, co czynią. Ale ten, co się wciąż skarży, że go cały świat pojąć i ocenić nie umie, jestto tylko głupi pyszałek — i kwita. Bądź zdrow!

II.

Do tegoż.

Rzym, 5 grudnia 1529 r.

Jestem w humorze i usposobieniu:

Jak ptaszek, gdy na świat szerszy
Wyrzy przez drzwiczki swój klatki.
Jak motyl, gdy po raz pierwszy
Po zimie obaczy kwiatki;
Jak kwiat, gdy nań blask jutrzeński
Błyśnie z pod chmur parasolki—
Mam aż dwie nowe panienki,
Dwie przyjaciółki—i Polki!
I jak ów ptak, motyl, kwiatek.
Chciałbym śpiewać, bujam, kwitnę —
Lecz choć treści mam dostatek,
Choć mię nęcą rymy szczytne,

Daję wszakże im krzyżyk na dzisiaj, i wolę prostszą drogą prozy doprowadzić cię krok za krokiem do progów i do poznania tych moich *Wróżek*, których urok nie mnie tylko jednego ogarnia.

Z ostatniego listu mojego wiesz, że w przeszłą sobotę, to jest 28 listopada, miał być bal u xięcia Gargaryna, i żeśmy nań byli proszeni. Bal był, i my na nim. Bal był świetny—salony pyszne, oświetlenie słoneczne, zgromadzenie gwiazdziste, to jest orderowe, brylantowane, i promiennie-oczne. W uprzej-

mym „Kawalerze ambassady“ (*chevalier de l'ambassade*), panu *Kriwcowie*, mieliśmy doskonałego *cicerone*, który nam wszystkie *glorye* i piękności wskazywał. Z ostatnich powiem ci tylko o jednej, na którą, gdybyś był na tym balu, patrzyłbyś pewno nie mniej ciekawie jak ja, a nawet jak Adam. Była to hrabina *Teressa Guccioli Gamba*, wcielenie Muzy *Byrona*, (nie wiem które z rzędu, ale ostatnie we *Włoszech*), która natchnęła mu „*Proroctwo Danta*,” poświęcone téż jój przez poetę. I choć to już dziesięć lat temu, gdy „*in the pride of Beauty and of Youth*“ (w chwale piękności i młodości), „dość jój było rzecz słowo, aby mieć posłusznych;“ chwała ta jednak świeci i dziś jeszcze. Widać, że łzy po stracie natchnionego kochanka nie musiały być ani tak gorące ani tak obfite, aby zwarzyć świeżość jój wdzięków, albo przygasić wesołość; bo wygląda rumiana jak róża, a śmieje się lub uśmiecha się ciągle, kręcąc się i rozmawiając na prawo i na lewo. Sam téż jój ubiór zgodny z tym humorem. Wygorsowana jak kielich lilii, na szyi miała kanak brylantowy i takąż przepaskę we włosach. Przyszły mi na myśl słowa *Childe-Harolda*:

„Kochanki, żony płacz mię nie wzruszy,
Bo wiem, nim błysnie poranek,
Z błękitnych oczu te łzy osuszy
Nowy mąż, nowy kochanek.“

Ale może to na pamiątkę *Milorda* nosi loki na wzór *Angielek*; tém bardziej, że i jasny kolor jój wło-

sów czyi ją do nich podobną, i dość dziwnie odhija od potulimowej żywości palających jej oczu. Wzrost mierny. Kłosa kształtna. Ciekawy byłoby bardzo posłyszec zblizaa ten głosik, który tak zachwycał Byrona:

„So sweet a language, from so fair a mouth.“

Ale chociaż zrzeczny pan Kriwcow chciał mię jęj przedstawić, nie śmiałem z tego korzystać, nie mając nic takiego napręde. z czembym się mógł stosownie odezwać. Obserwowałem ją tylko jak mogłem z najbliżej, mając przytém ciągle w pamięci: „*Heureuse la beauté que le poëte adore.*“ ale przytém i pokutniczą *Duchesse de la Vallière*, i porównywałem je w myśli—wcale nie na korzyść obecnej.

„Tu zaazła zmiana w scenach mojego widzenia.“

Xiąże Gagaryn zbliżył się do mnie z jakimś panem, i wskazując na niego oświadczył: *que le prince Radziwill desire faire ma connaissance*. Był to książę Wilhelm Radziwiłł, syn namiestnika Wielkiego Xięstwa Poznańskiego i królowy Pruskiej. Zaszczyt téj znajomości winieniem *Meliteli*, o której książę zagaił rozmowę po polsku, oświadczając przy pierwszych zaraz słowach, że mu to z trudnością przychodzi, ale że właśnie pracuje usilnie, aby nabyć wprawy i pozbyć się niemieckiego akcentu. Że zaś ma to za wadę swego wychowania, dzieci więc swoje, jak mówił, każe uczyć najprzód po polsku. Po takim wstępie z jego strony, dalsza rozmowa zawiązała się łatwo; a z niej zaraz odgadłem rzeczywisty powód, jaki miał do poznania się ze mną. Chodziło mu o wiadomość

o stanie włościan litewskich, bo ma w Litwie ordynacyą Nieświeską, w której dotychczas nie był, ale się tam wkrótce wybiera. Weszliśmy więc we framugę przy oknie, i ja wśród balu w Rzymie, z łona marzeń o kochankach poetów i królów, musiałem przenieść się myślą do chat włościan Giejstuńskich, ażeby, biorąc z nich wzorki, móżdż przeciw odpowiedzieć jako tako na zapytania, które mi mój interlokutor, z wielką znajomością gospodarskich rzeczy, zadawał, i odpowiada na nie z interessem słuchał. Trwało to najmniej dobre pół godziny, i strasznie już zaczynało mię nudzić, kiedy szczęściem jakiś jegomość odciągnął ku sobie xięcia, a ja odzyskałem swobodę przypatrywania się dalej balowi.

Z ciekawych znamienitości widziałem, ale tylko zdaleka: Thorwaldseua, Horacego Vernet, i Cammuciniego, najslawniejszego z żyjących dziś malarzy włoskich. Piérwszy, miernego wzrostu, szczupły, ruchliwy staruszek; a choć włos całkiem biały, jak u Niemcewicza, twarz jednak niemniej czerstwo i rumiano, jak u twojego cioska Ursyna, wygląda. Znać, że nie z samej tylko „sztuki poezyi“ (*dichtenden Kunst*), wytryska, jak mówi Szyller „źródło wiecznej młodości.“ Tkwić ono musi nie w téj lub owéj sztuce, ale raczej w początku i celu sztuk wszystkich, to jest w Piękności, której zarówno poeci, jak i uczniowie Pigmaliona hołdują. Horacy Vernet, w sile wieku, wysoki i krzepki, z postaci przyponina naszego kochanego „pana Lorenza“ (Puttkamera), tylko że włos nad czołem czerni się jak heban. W twarzy znać siłę, która

macha ręką, gdy z niej, jak z dłoni Zeusa, wyskakują konie. Cammucini, wysoki, poważny, przyprószony siwizną, ma minę więcej Niemca niż Włocha. To też jego obrazy, jak mówią, odznaczają się niemiecką dokładnością rysunku, oraz ściśłym stosowaniem się do prawdy historycznej, tak w ogólnym układzie kompozycji, jak i w akcesoryach. Treść ich czerpie on zwykle z dawniej historii rzymskiej. Arcydzieło jego, jak mówią, *Odjazd Regulusa*, (gdy wierny słowu, na śmierć pewną do Kartagi wyjeżdża), nabyła nasza kompatryotka, pani hrabina Ostrowska, wraz z wielu innymi obrazami tegoż autora, którego ma być szczególną wielbicielką. On sam, pomimo siwizny, nie zdaje się mieć więcej nad lat czterdzieści kilka. A widziałem też po raz pierwszy aż dwóch żywych kardynałów razem. Pierwszy, kardynał *Pacca*, jest jednym z najznakomitszych i najpobożniejszych członków Ś. Kollegium, zastępujący zwykle Papieża, kiedy jest niezdrów, przy wszystkich obrzędach publicznych. To też i tu na balu widziałem, jak był celem ogólnej czci i uszanowania. Drugi, kardynał *Vigoni*, ma być, jak powiadają, sławny na całe miasto gastronom, o czem i sama jego objętość zaświadcza. A widzę, że też i szarmanant nie lada; bo ciągle tylko rozmawiał z damami, które albo się same przybliżyły do niego, albo on do nich podchodził i coraz przy innej zasiadał. Przy siadaniu tém zwłaszcza zwracało uwagę, z jak dziwną troskliwością drappował swoją purpurową togę, rychtyk jakby jaka dama robrony, i jak potem usiadłszy wyciągał obie nogi przed siebie, jak

gdyby się lubował w swoich czerwonych pończochach. Patrząc na dwóch tych ludzi tego samego dostojęstwa i stanu, a tak całkiem różnych od siebie, zrozumiałem, jak jest trudno i jak niesprawiedliwie chcieć ze szczegółów o ogóle wnioskować, a cóż dopiero sąd o nim wydawać. Bo sąd ten musi zależeć od trafu, z jakim szczegółem najprzód sądzącemu spotkać się zdarzyło. Niema światła bez cienia; ale czyż cień ubliża światłu? To, co twój przyjaciel Horacy mówi o dziełach pisanych, może się również stosować i do żywych społeczeństw ludzkich.

„*Ubi plura nitent, paucis non ego offendar maculis.*“
(Gdzie wiele błyszczą, plamki mię nie rażą.)

Wszakże i Gwebry zapewne widzieli plamy na słońcu, a przecież nie byli tak głupi, żeby w niem nie czcić i nie błagać Oromaza, aby ich bronił od ciemności wiecznych, w któreby świat zagarnął Aryman, gdyby słońca nie było na niebie.

Ale wracając do balu:—największą jego przyjemnością, a raczej nabytkiem dla nas, była znajomość z panem hr. Ankwiczem, ojcem i opiekunem tych dwóch naszych wrózek, od których list ten zacząłem, i którego bohaterkami mają być właśnie one. Nie tylko bowiem od p. Dernałowicza i kilku innych ziomeków, cośmy już tutaj poznali, ale i w domu więznych Zeneidy słyszeliśmy o nich tyle pochwał, że nadzieja ich znajomości błyskała mi jak gwiazda w marzeniach. Ucieszyłem się więc *in petto*, gdy tenże pan Dernałowicz, gdyśmy stali obok z Adamem, przystą-

pił do nas z jakimś jegomościem, i na żądanie jego zapoznał go z nami. Był to właśnie pan hr. Ankwicz, człowiek półwłeczny, poważnej postaci i twarzy, i bardzo ujmujący w obejściu. Po wstępnych komplementach i półgodzinnéj rozmowie, zaprosił nas nazajutrz na wieczór do siebie. Mieliśmy być niezawodnie, ale niestety, przy obiedzie u księżny Wołkońskiej, (na którym, *inter parenthesim*, była żona i córka Horacego Verneta), ból zębów tak schwycił Adama, że uśmierzywszy je nieco przy białym piecu w gabinecie księżny, za pomocą woreczka z runiankiem, który dla niego pani Własow uszyła i sama go nim obwiązała, nie śmiał już narażać się na zimno, i mnie jednę na ten wieczór wyprawił.

Przyszedłem jeden z pierwszych, ale już z oświecenia przedpokojem odgadłem, że czekano na więcej gości. Z bijącym sercem ująłem za klamkę— ale pierwsze wrażenie w salonie nie było zbyt dla mnie przyjemne. Jakkolwiek bowiem gospodarz spotkał mnie bardzo uprzejmie; jakkolwiek pani domu powitała również, a panienki, którym mię z kolei przedstawił, spójrzały na mnie, jak ja na nie, ciekawie: na wszystkich jednak twarzach dostrzegłem cień gorzkiego zawodu, gdy nasamprzód, ma się rozumieć, zacząłem od wytłómaczenia Adama, dla czego razem przyjść nie mógł. Zmieszało to mię i ubodło potroszę, ale wnet...

Czy ty widziałeś kiedy zblizka jak łowią ryby niewodem, i jak niekiedy małą jakąś płótkę napowrót odrzucają do wody? Nieboraczka z początku stoi w niej jak wryta, aż powoli, powoli, poczuwszy przyrodzony

clement, strzepnie się nagle, i dalejże hulać! Otóż myśl moja była jak ta płotka. Z razu czułem się jak nie swój; ale wpatrzywszy się w panienki—ha! pomyślałem sobie: *bonne mine à mauvais jeu!*—i po pięciu minutach zapomniałem całkiem o sobie. Sama rozmowa po polsku była już dla mnie jak woda dla ryby: dawała językowi swobodę, a głosik z ustek różanych, zachęcał go jak muzyka do tańca. Dość, że po upływie kwadransa byliśmy już jak dobrze znajomi, i przeto jako takiego przedstawiano mię po kolei nowo przybywającym gościom. Był to bowiem wieczór proszony, i sama gospodyni domu, z charakteryzującą ją otwartością, inicjowała mię niejako do familijnych tajemnic, mówiąc, że był to dzień urodzin *Henrysi*, która dziś rok osiemnasty zaczyna. Sole-nizantka była ubrana różowo, ale jój drobna twarzyczka przypominała ów wiersz ze Świtezianki: „*Biała jak róży bladój zawoje, skropione jutrzeńki lezką.*“ Bó dla zdrowia to jój rodzice od siedmiu lat bawią we Włoszech, i chociaż klimat zbawił ją od śmierci, organizm jednak delikatny i wątły odbija się i w wyrazie jój twarzy. Nie jest ona właściwie piękną co do rysów, ale za to tém bardziej może poetyczna i interesująca. A podług mnie, powab, to piękność. Co zaś mnie uderzyło szczególnie, to podobieństwo jój do Marylli, nie z pojedynczych rysów, ale z ogółu i wraza albo raczej z wrażenia całej fizygnomii. Towarzyszka jój, siostra cioteczna, panna Marcellina Zemptcka, to już istna różyczka wykwitająca z pączka, taka świeża, rumiana, i *notabene* ubrana zielono. Może

być starsza o lat parę od siostry i daleko silniejszą budowy, ale obie smukłe i kształtne. Wrażliwe je sobie w pamięć wyobraźni, bo przewiduję, że często będziesz miewał relacje o nich. A teraz słówko jeszcze i o pani domu. Lat przeszło czterdzieści; ni piękna, ni brzydka; odczytana i wykształcona, jak wszystkie nasze damy tego stopnia, a co do układu i obejścia, to typ naszych wiejskich obywaterek, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Naturalna, wesoła, uprzejma—a co szczerłość, to już może posuwa do zbytku. Co się jej na myśl nawinie, to już pewno nie zatrzyma się w ustach, jak woda w przetaku. Zauważyłem to zaraz przy pierwszym poznaniu, a piszę po całotygodniowej już znajomości. Dla mnie jest to najmilszy rodzaj charakteru, a że ona widać to czuje, więc i ja zda się nie mylę, że mnie łaską swoją zaszczyca.

Wieczór, o którym mowa, był liczny i świetny. Osób było przeszło trzydzieści, a prócz dwóch czy trzech Włochów, sami Polacy. Słońcem zaś i królową jego była księżna Iza Sanguszkowa, o której ci już z Florencji pisałem. Dziś nawet zbliżka zdała mi się piękniejszą niż tam na balu u księcia Bacciocchi. W ciemno-karmazynowej axamitnej sukni, z różą tegoż koloru w lśniących kruczonych włosach, z okiem promieniejącem gwiazdzisto, zdawała się ośniewać jakąś tajemniczą światłością. Co to jednakże za potęga ta piękność! Jakkolwiek, do gruntu rzecz biorąc, dla samych jej posiadaczek jest z niej więcej kłopotu niżeli pociechy. Jest to coś nakształt właścielstwa brylantu, gdy się nim frymarzyć nie myśli.

Właściciel musi czuwać nad nim jak Argus, aby go ustrzedz od złodzieja lub zguby, a skoro go włoży na siebie, drudzy go tylko widzą i lubują się jego blaskiem. Dobrzeż, że w tym razie przynajmniej piękność posłużyła miłości, a nie rachubie lub dumie światowej. Mąż xiężny Izy jest jój blizkim krewnym po matce, i musieli z tego powodu walczyć długo z oporem rodziny, nim się nakoniec pobraли w tym roku. Do Rzymu przyjechali dla odwiedzenia wspólnej swj babki, xiężny Stolnikowej Litewskiej Czartoryskiej, która przez długie lata prowadziła tu świetny i otwarty dom, a teraz usunęła się całkiem od świata i mieszka na dewocyi w klasztorze Urszulek, budując wszystkich swoją pobożnością, jak dawniej zachwycała uprzejmością i wdziękiem. Xiężna Iza jest także poetką. W albumie panny Henryetty czytałem bardzo udatny jój wierszyk po polsku, napisany przed dwoma laty w Ischl, gdzie razem u wód bawiły, a w którym odjeżdżającej do Włoch przyjaciółce, życzy i spodziewa się w nich dla niój odzyskania zdrowia. Ma także śpiewać jakoby jak anioł. Słowem, jest to jedna z najbardziej uroczych, nie tylko kobiet, ale nawet Polek. A i tego nie mogę pominąć, że przesłicznie mówi po polsku. Ona i obie panienki tworzyły konstellacyą salonu, około której kupili się wszyscy. Ja prócz nich, pana Dernałowicza, i poznanego wczoraj xięcia Wilhelma Radziwiłła, nie miałem znajomego nikogo, ale się zapoznałem z wszystkimi. Nazwisk ich litaniować nie myślę; dla dwóch tylko robię wyjątek. Jeden, Antoni Strzelecki, nauczyciel

i mentor młodziutkiego księcia Alexandra Czartoryskiego, z Galicyi, z którym podróżuje po Włoszech i na zimę zamieszkał w Rzymie; drugi, Wojciech Sztattler, malarz, jak mówią, wielkiego talentu, z Krakowa, doskonali się tu w swojej sztuce dla zajęcia katedry malarstwa w uniwersytecie Jagiellońskim. Obaj ludzie mili i światli, namiętnie rozmówczeni w Rzymie, tylko że pierwszy więcej w gruzach przeszłości, drugi w galeryach i muzeach. Zawiedzeni w nadziei spotkania się z Adamem, przyszli nazajutrz sami aby się z nim poznać, i podobali się sobie nawzajem.

Że zaś dziękujesz mi w swym liście za szkice karykatur albo oryginałów, które mi się spotykać nadarza, więc miejże sobie i tutaj parę tego rodzaju sylwetek.

Za wejściem do salonu zastałem już w nim kilka osób. Na kanapie, obok pani domu, siedziała jakaś dama, już w wieku podeszłym, ale z pełną życia, rozumną i wyrazistą twarzą, a w głębi fotelu przy stole jakiś biały jak gołąb i zgrzybiały staruszek, ale tak elegancko i wytwornie, chociaż ze staroświecka ubrania, że przy nieruchomości oczu jego i twarzy, patrzącemu nań przez stół z drugiego końca, wydawał się jak malowany portret, tylko co zdjęty ze sztalugi i postawiony na krześle. Koronkowa też chustka na szyi, żaboty i mankiety od koszuli, były tak sfalutowane, tak wyrurkowane, że wyglądały raczej na dzieło pendzla, niż żelazka. Na piersiach iskrzył od światła wielki krzyż brylantowy maltański. Byłto bowiem

ostatni już może na świecie rzeczywisty kawaler i komandor tego zakonu dla prowincyi polskiej, dziewięćdziesięcioletni hrabia Dunin. Za młodu, jako oficer gwardyi Ludwika XVI-go, trzymał straż na weselu tego króla z Maryą-Antonią, o czém podobno najlepiej opowiadać lubi; po rozwiązaniu zaś swego zakonu, osiadł i mieszka w Rzymie od lat przeszło czterdziestu. Wierny ślubom zakonnym, nie wszedł w śluby małżeńskie, ale jako prawdziwy *Kawaler*, zachował dla płci pięknej cześć i uwielbienie rycerskie. Niedowidzi już, niedosłyszany, i suwa nogami, jest jednak chętnym gościem na wszystkich liczniejszych zebraniach, gdzie są damy, i to w nim podtrzymuje gasnącą iskierkę życia. Jakoż z początku siedział jak wpółseny, ale za wejściem xiężny Izy, ożywił się i powstał z miejsca, czekając aż się zbliży ku niemu. Gdy zaś ona, stojąc tuż przy nim, wieszowała solenizantce, że zdrowo i hożo wygląda: on téż, z przymilającym się uśmiechem, wskazując na nią i na jej kuzynkę w zieleni, dodał: „*Rose et bouton!*“ (róża i pączek). Przedtém téż z niemi tylko rozmawiał, a że mówiono o tegorocznym wybuchu Wezuwiusza, który one właśnie widziały, zapytał ich arcy-naiwnie, czy znajdują że był większy lub mniejszy od tego, który w roku 1794 zniszczył wiele blizkich miasteczek i samemu Neapolowi zagrażał? Należy to bowiem do głównych rysów jego charakterystyki, że tak widać stracił w pamięci wszelką perspektywę przeszłości, iż nie umie już odróżnić wczorajszej, od upłynionej przed wieloma laty. Nie lubi jednak, gdy go w tém kto

przestrzeże, i gdy siedząca na kanapie dama zrobiła mu uwagę, że tych pań wtedy jeszcze nie było na świecie, zamormoszył się widocznie i zamilkł.

Ta zaś dama, przy której ja właśnie siedziałem, jest to pani hrabina Moszyńska, wdowa po jakimś dygnitarzu dworu saskiego, z czasów W. X. Warszawskiego. Córka jej z pierwszego małżeństwa, panna Teressa Łopuska, cud doskonałości, jak mówią, pod względem rozumu i serca, tak umiała pozyskać przyjaźń dwóch równiejących sobie księżniczek (córek księcia Maxa), że gdy te wyszły za mąż za dwóch braci W. Książąt Toskańskich, ściągnęły ją na dwór swój do Florencyi, jako przyjaciółkę. Z nią razem przybyła i matka. Ale gdy córka jej wkrótce wyszła za mąż, za barona *de Bock*, Infantczyka, i wraz z nim zamieszkała w Szwajcaryi, pani M. nie chcąc, jak mówiła, stawać się zależną od zięcia, osiadła sama w Rzymie, i stała się nie tylko zależną, ale prawie niewolnicą — czyją? oto psa faworyta, obrzydliwego kudłatego szpica, który mię najokropniej przestraszył. Za ledwo bowiem usiadłem koło niej, czuję że mię coś dotyka do nogi. Spójrzę — i omal nie krzyknąłem z przestachu, myśląc że sowa siedzi mi na nodze. A był to łeb tego potworu, który się z pod nóg swojej pani wysunął i pysk oparł na nodze mojej. Panienki się roześmiały, ja się zawstydzilem, a reparując się jako tako, napomknąłem zlekka o sowie, którą, jako godło mądrości, sadzą zwykle u stóp Minerwy. Pani hrabina przyjęła to wdzięcznie — chociaż komplement nie mógł być fałszywszy. *Telasko* wprowadzie (tak się zowie

ten potwór), ma być mędrce^m psiego rodzaju, ale co mądrość jego pani—to pozał się Boże! Pomieściłby ją chyba obok pobożności owej dewotki, o której biskup Krasicki w swojej bajce powiada:

„Uchowaj Panie Boże takięj pobożności!”

A przecież rozumu jęj nie brak. Oczytana, bystra, dowcipna, posiada wszystkie warunki miłej towarzyskiej rozmowy; ale że się Telasko bez nięj w domu nudzi, więc się ona, przez wzgląd na niego; towarzysztwa ludzkiego wyrzekła, i bywa tylko u państwa Ankwiczków, bo mieszka w tymże samym domu na górze, i Telasko jest zawsze z nią razem. I trzebaż, że ta właśnie jego obecność pozbawiła nas przyjemności słyszenia śpiewu xiężny Izy. Xiążę Radziwiłł w imieniu towarzystwa już miał prosić ją o to, gdy panna Henryetta z przestachem uprzedziła go, aby tego nie czynił; Telasko bowiem tak niecierpi i nie znosi muzyki, że niezawodnie zacząłby szczeakać i wyć pod kanapą. To też i pani jego, znakomita jakoby muzyczka, całkiem dla niego zaniechała swego talentu. Sądź więc z tego o jęj mądrości—a może i o dziwactwach serca ludzkiego.

Wieczór zresztą istotnie mógł się nazwać polskim: był ożywiony, wesoły i gwarny, aż go dopiero przy końcu zamąciła dość szczególna okoliczność, o której ci wspomnę dla tego, abyś z nięj poznał lepiej gospodynię domu. Od dni kilku cierpiała ona na ból w uchu, i operując je sama szpilką, szpilkę tę upuściła gdzieś z ręki. Było to tego dnia z rana, i wcale

wtedy na to nie zwróciła uwagi. Ale nagle, przy końcu wieczora, zapewne skutkiem gorąca, ból tak dalece się powiększył, że pacjentka uroiła gwałtem, iż to ta ranna szpilka musiała jęj wpaść w głąb' ucha, i niezawodnie o śmierć ją przyprawi. Daremne były perswazyje wszystkich. Rzewne trzy jęj świadczyły, że ból być musiał gwałtowny; ale przytęm to urojenie, a nadewszystko dobroduszną naiwność, z którą jakby peraz ostatni tęgnęła się ze wszystkimi, miały swojej stronę zahawną. Skończyło się, że mąż sam, pomimo spóźnionej pory, pojechał po najstawniejszego chirurga, a goście rozeszli się powarzeni. Co do mnie jednak, wyznaję, że mię właśnie ta scena mianowicie dla nięj ujęła; gdyż musi to być jakaś dobra, szczerą, naiwna natura, a wnoszę i zkąd inąd, że jest tak, a nie inaczej.

Nazajutrz, ma się rozumieć, przyszedłem rano dowiedzieć się o zdrowiu; a że się dowiedziałem, że doktor i ciepłe okłady zmniejszyły ból i uleczyły wyobraźnię, więc i Adam na drugi dzień wybrał się także z wizytą, i tą razą przynajmniej raczył mi przyznać za powrótę: „że nie przesadziłem w pochwałę panienek“. Bo już to ja wiecznie na tym punkcie doświadczam losu Kassandry; nie dla tego, iżbym wistocie przesadzał, ale tylko, że jak nie ma soboty, podług mniemania ludu, w którejby słońce choć na chwilę nie błysło, tak dla mnie nie ma młodej panienki, byle nie pysznej, nie złośliwej, i nie paplającej wciąż pó francuzku, któraby w oczach moich właściwej sobie piękności i wdzięku nie miała. Że zaś sam na to

przedewszystkiém patrzę i o tém tylko rad mówię, ztąd niewiara w moje pochwały i obwinianie mię o przesadę. Adamowi wszakże najwięcej podobiała się tą razą sama pani, a to w skutek własnego jój opowiadania o sobie, o owój nieszczęsnej szpilce i o gotowaniu się na śmierć. Sam pan Ankwicz nazajutrz oddał nam wizytę i zaprosił na czwartek, to jest na wczoraj, na „skromny polski obiadek“. Byliśmy — i na relacyi o tym obiadku zakończę mój list niniejszy, mający jedynie na celu wprowadzić cię i zapoznać z domem tych państwa, który, wraz z domem xiężny Zeneidy, dziś już nawet stanowi dla nas jakby drugi biegun, wśród których krążyć tu mamy. Obiad zaś ten jest najdoskonalszym kontrastem obiadu u xięcia Gargaryna, pod względem stanowiska i roli, jakie na nich zajmował i odegrał Adam.

Gośćmi oprócz nas byli: p. Moszyńska, Strzelecki, ze swoim elewem, i x. Zajączkowski, missyonarz z Warszawy (wysoki, barczysty, rubaszny). Widziałem go już u państwa Dernałowiczów, ale z Adamem tu się poznał dopiero. Z razu szło wszystko dobrze, rozmowa i harmonia; ale gdy się panienki unosiły nad Rzymem, Adam swoim zwyczajem zaczął się im przekomarzać u stołu, zestawiając bardzo dowcipnie Rzym nowy ze starym, i porównywając go do parweniusza, któryby z gruzów magnackiego zamku zbudował sobie sklep lub kamienicę, a zajęty w niej spekulacją czy handlem, chciał naśladować wspaniałość i powagę dawnych panów zamku. Xiądz Zajączkowski nie podobał tego; ale wszakże bardzo spokojnie przeciwne zdanie swoje objawił.

Dopiero gdy pani domu, chcąc podnieść znaczenie Rzymu, wszczyła rzecz o świetności religijnych obrzędów, a Adam upatrywał w tém więcej teatralnej wystawy niż istotnego ducha pobożności, i wpływ raczej na wyobraźnię niż uczucie i moralność ludu: podrażniona tém żarliwość xiędza Zajączkowskiego, wybuchła z wulkanicznym zapalem. Mówił o płochych i zachwałych sądach młodzieży; o półmędrkach i niedowiarkach: a mówił to takim tonem, jakby widział przed sobą reprezentanta wszystkich tych kategorii, i jakby ten stał przed amboną, albo nawet u konfesyonału. Gospodarze byli skonsternowani; ja także obawiałem się w duchu, aby tego rodzaju filippika nie wywołała repliki w tymże tonie. Ale tu Adam zadziwił mnie, a może i wszystkich, dziwnym taktem i panowaniem nad sobą. Xenofont w sławnej swojej rejteradzie nie mógł manewrować rozumniej, aby i nie okazać się porażonym, i napastnika oporem nie drażnić. Odpowiadał spokojnie i krótko, i to tylko *rykoszetami*, zwracając mowę do pańienek, tonem współzartobliwym, ale bez cienia goryczy lub ironii, zostawując przeciwnikowi wolne pole do rozwijania kaznodziejskiej wymowy. A i to dodać trzeba, że xiądz Zajączkowski mówił istotnie bardzo dobre rzeczy, tylko że je niesłusznie do Adama stosował. Z tego też punktu widzenia przyszła mu najprzód w pomoc pani Moszyńska, tłómacząc i wykazując rzeczywistą myśl i znaczenie słów jego, które były początkiem dysputy. Nie pomogło to z razu stanowczo; tylko że xiądz Zajączkowski, nie ustając w zapale, obrócił front atta-

ku ku damom, które przez względy światowe, lub aby ujść za rozumne, potakują fałszywym teoryom rozumu, zwłaszcza gdy te są w modzie lub wyznawane przez ludzi znaczących i sławnych. Ale tu znowu Strzelecki przerzucił rzecz na pole czysto naukowe, dowodząc stanowczo i z mocą, dogmatycznie i historycznie, że same zewnętrzne obrzędy, oprócz głównych i zasadniczych, nie były i nie są wcale uważane przez Kościół za integralną część wiary; że są wprost ustawą ludzką, wynikiem okoliczności czasowych, i stosowane zawsze mniej więcej do charakteru i obyczajów narodu, wśród którego najprzód powstały. Brać je przeto za jedno z wiary, jest to grzeszyć przeciwko duchowi saméjże wiary i przekrzywiać intencje Kościoła. Napadniony w ten sposób znieacka, xiądz Zajączkowski złagodniał; Adam zaś, wzięwszy assumpt ze słów Strzeleckiego, skreślił tak śliczny i poetyczny obraz prostoty i powagi religijnych obrzędów kościelnych i domowych zwyczajów u nas, że sam jego antagonistą zmuszony był pod tym względem przyznać im wyższość nad włoskimi, a więc nie mógł i temu zaprzeczyć; że są odpowiedniejsze świętości swojego celu.

Tym sposobem tęcza przymierza zabłysła na burzliwej chmurze dysputy. A jak po burzy ptaszęta, tak i głosy panienek ozwały się znowu w rozmowie, która też przy końcu obiadu stała się znów słodka jak deser; nektarowe zaś „*Lachrymae Christi*,” w zastępstwie szampańskiego, posłużyło gospodarzowi za temat do wzniesienia polskiego toastu: „kochajmy się!” — który ostatnie ślady chwilowego nieporozumienia za-

gładził. Adam owszem, po wyjściu już xiędza Zajęzkowskiego, wziął stanowczo jego obronę przeciwko pani domu i pani Moszyńskiej, mówiąc, że dobry żołnierz na pikiecie, powinien dobyć szabli lub strzelić z pistoletu, choćby mu się tylko zdawało, że nieprzyjaciela dostrzeże. — Deszcz ulewny nie dozwolił nam odejść, jakby może etykieta kazała; zostaliśmy więc na herbacie. A że i pani Moszyńska z nieprzyjacielem muzyki, faworytem swoim, odeszła: córka domu, na prośbę Adama, usiadła do fortepianu. Gra jak artystka, biele i z uczuciem. Przez lat kilka była mównicą Moschelesa i innych znakomitych mistrzów. Adam zaraz po pierwszej sztuce wstał z miejsca i stanął przy grającej. Muzyka trwała długo, a w przerwach, ożywiona rozmowa z obu stron. Kiedy zaś po herbacie sama pani domu odegrała kilka melodyj starych piosnek, o których właśnie toczyła się mowa, a między innymi *Filona*; z twarzy Adama widziałem, że byłby w tej chwili improwizował z pewnością, gdyby go kto śmiał o to poprosić. Zatoż wyszedłszy był bardzo rozmówny i zachwycony całym tym domem, muzyką, a bodaj że i samą muzyczką, którą znajduje „miłą i rozumną“. A ja powiadam tobie toż samo o pannie Marcellinie, z którą towarzystwo, jak dzisiaj, tak bodaj że i nadal na mój dział zwłaszcza przypadnie. Obie widać dużo czytały, a mianowicie są biegłe w archeologii Rzymu, której formalne lekcye brały u sławnego archeologa *Pietro Visconti*. Obiecują też być przewodniczkami naszymi; chociaż wielka kwestya, czy nam przy nich zechce się patrzeć na stare

gruzy i kamienie. Zaproszeni jesteŃmy tak szczerze i serdecznie, abyŃmy częŃto bywali, że pewno temu uczynimy zadoŃć. Tymczasem, koniec na tém; bo nie chcę nawet ani zahaczać myŃlą o to, coŃmy w Rzymie przez te dni widzieli; gdyż w zbytniém moŃe rozmarzeniu, takby ję trudno było dójŃć w tym liŃcie do *Vale*, jak ta mała senna dziewczynka, w *Rozrywkach* panny TaŃskiej, nie mogła trafić w paciorku do *Amen*. Na dziś zatém *Vale*, i *Amen*.

opowiadacz gaduła (np. twój Kaczanowski), który im od rana do nocy prawi wciąż rzeczy tak ciekawe i piękne, ale zarazem tak stare, że chociaż oni sami słuchając zapominają dla nich o dzisiejszych, powtórzyć ich jednakże nie mogą nikomu: bo każdy wie o nich i bez tego, a opowiadać tak, jak ten staruszek, tego nikt z młodszych nie potrafi na świecie. Pozostaję więc przy moim programie pisania wam tylko o sobie. Żeby zaś nie powtarzać nic z tego, coście już może dotąd w listach do Juljana czytali, opowiem wam o nowej całkiem znajomości, która i dla was, jak sądzę, obojętną nie będzie, a co szanowny i kochany pan Krzysztof, to jestem najpewniejszy, że i jako kawaler Legii Honorowej i jako, niestety, heretyk, przyjmie ją daleko ciekawiej, niżby nawet wiadomość o samym Papieżu. — Zgadłeś może, że mówię o Napoleonidach.

Jak niegdyś Sztuartowie, Wazowie, Sobiescy, których tu groby po kościołach widuję, osiadali na dewocyi w Romie, aby na gruzach tronu tej „królowej świata“, medytując o znikomościach jego, łatwiej mogli o stracie własnych koron zapomnieć: tak dziś matka i krewni byłego Cesarza, Rzym też sobie za przytułek obrali. W liczbie tych ostatnich jest były król Westfalski, Hieronim, i była królowa Hollenderska, Hortensya Beauharnais, córka Józefiny, a żona Ludwika Bonapartego, wraz z dwoma swoimi synami: Napoleonem - Ludwikiem i Ludwikiem - Napoleonem. O synach tych powiem najpierw, bo i sam codziennie prawie ich widzę, i aż mi uszy więdną, tak codziennie

... w...
...
... wozu...
... takich leputatow z c
... w...
... irutzy śmieja
... podzien ga

... sławy
... pozoru
... tryczno
... w...
... tam z
... zmysl
... na
... ude
... naipr
... osow
...
... Wte

mrod, na przepysznym arabskim koniu. I żebyżjechał przynajmniej na polowanie! ale gdzie tam! Jedzie, ażeby przeprowadzać psów swoich na spacer, który jest im do zdrowia potrzebny. Jeden z dzokiejów poprzedza ten orszak; dwóch, z harapami w rękę, strzeże go po bokach; czwarty jedzie z tyłu za panem. I trwa ten spacer około dwóch godzin, tak, że zawsze około szóstej mnóstwo ludzi stoi znowu na placu, aby się powrótowi tego grona przypatrzeć. Pomimo wielkiej mojej ciekawości, nie mogłem dotąd dowiedzieć się z pewnością, kto jest ten: czy *gentleman*, czy *esquire*, czy *milord*, i co on tu właściwie z temi swemi psami porabia? Ale jest on, jak powiedziałem, pod względem excentrycznej śmieszności, drugim tomem młodych Bonapartych; o których resztą powiadają, że wiodą rej pomiędzy liberalną młodzieżą rzymską i mają wziętość u ludu, z powodu swojej hojności, a może i téj nawet oryginalności, która do włoskiej wyobraźni przemawia. Obaj są ładne chłopcy i nie zdają się mieć więcej jak po dwadzieścia kilka lat wieku. Matka, jak widać, nie musi mieć dość władzy nad nimi, aby ich od tych studentkich wybryków powstrzymać; sama albowiem, równie jak pani Letycya, używa tu powszechnéj czci i uszanowania. Xiężna Zeneida, która jest z nią w dobrych stosunkach, powiedziała jéj o Adamie; ona życzyła go poznać, i skutkiem tego ja także, jako *satelles*, dostałem zaszczytu być jéj przedstawionym z nim razem.

W przeszłą tedy sobotę, 12 grudnia (30 listopada u was), o godzinie pierwszej z południa, wyruszyliśmy na tę wizytę, pod patronatem księżny Zeneidy. Ex-królowa, czy raczej księżna Saint-Leu, (bo to jest oficjalny jej tytuł), czekała już widać na nas; bo wpuszczono nas bez meldowania, i tylko kamerdyner francuz przeprowadził nas przez salon do drzwi gabinetu, w którym nas *incognito* przyjęła. Musi mieć lat przeszło czterdzieści. Postać kształtna i pełna godności. W twarzy wprawdzie nie widać już tych wdzięków, któremi niegdyś słynęła, ale jest wyraz uprzejmej dobroci, a przytém wielkiej powagi i spokoju. Ubrana była czarno, w sukni zapiętej pod szyję. Za wejściem księżny Zeneidy podniosła się i postąpiła ku niej parę kroków, a gdy ją obok siebie sadzała na kanapie, my też zbliżyliśmy się do stolika, aby jej pokłon nasz złożyć. Stolik ten stał przed kanapą, na rozestanym szeroko dywanie, a wkrąg niego kilka krzesełek, plecionych ze słomy ryżowej, delikatnych i lekkich jak piórko. I trzebaż, że o jedno z nich właśnie zawadziłem w przechodzie. Krzeselko się przewróciło, a ja—a ja, niestety, czułem jak cała krew zbiegła mi do twarzy, gdy się musiałem schylić, ażeby je podnieść. Nie wyszło to mi jednak na złe; owszem, *la mine pitoyable*, jaką musiałem mieć w tej chwili, wzbudziła widać litość w gospodyni domu; gdyż do mnie najprzód obróciła mowę; chociaż słowa grzecznego komplementu, w liczbie mnogiej mówione, stosowały się właściwie do Adama, i dla niego zapewne były przeznaczone. Odpowiedziałem

więc tylko milczącym pokłonem; Adam zaś w krótkich słowach tak zręcznie, ale razem z takim uczuciem wyraził cześć dla pamięci Cesarza i jego rodziny, że Królowa z widocznym zadowoleniem wyciągnęła ku niemu rękę, i gdy usiadł na krzeselku tuż przy niej, zaczęła od ubolewania, że nie będzie nas mogła przedstawić pani Letycyi, która w tych dniach uległa smutnemu przypadkowi, to jest, powstając z krzesła we własnym pokoju, zaplątała się w suknię, upadła i złamała nogę. Przez dni parę była obawa o jej życie; ale teraz już niebezpieczeństwo minęło, i musi tylko czas zwykły nieruchomie w łóżku przeleżeć. Po kilku minutach rozmowa stała się tak swobodną, a przytém tak ożywioną, że i ja, zapomniawszy o swojej niezgrabności, mogłem do niej po razy kilka swoje trzy grosze dorzucić, odpowiadając zwłaszcza na pytania o Warszawie i o Królestwie Polskiem. Adam bardzo delikatnie i zlekka, ale dał jednak poznać głębokie swoje przekonanie, że gwiazda w którą Napoleon wierzył, nie zagasła na zawsze; na co była Królowa odpowiedziała tylko niemym schyleniem głowy. Mówi zaś żywo i prędko; z poruszenia rąk nawet widać, że radaby gestykulować, gdyby się nie miała na straży. W ogólności wszystko w niej zdradza Francuzkę, a może nawet i kreolkę po matce: tyle życia i energii w ruchach, spójrzeniu i głosie. Przytém dźwięk głosu miły, a sposób tłumaczenia się dziwnie naturalny i prosty. Mówiąc np. o Napoleonie, (którego zawsze tylko nazywa *L'Empereur*), w donowém jego pozyciu, rzekła: „*Il est difficile de s'imaginer comme il était*

bon enfant“. Na zapytanie xiężny Zeneidy o pani de Stael, odpowiedziała: że była to w gruncie serca dobra kobiéta, tylko tak zazdrośna o sławę, że nienawidziła Cesarza za to, że o nim więcej niż o niej świat mówił. Cesarz téż nie miał ku niej żadnej rzeczywistej niechęci, ale go drażniła jéj próżność, „*et il ne voulait pas lui permettre de se pavaner trop à ses dépens*“. Po półgodzinném moze trwaniu wizyty, xiężna Zencida już się była podniosła, aby odejść, ale ją pani domu zatrzymała, mówiąc: „*Qu'y a-t-il de si pressé?*“ A było to właśnie w téj chwili, kiedy Adam, jak powiedziałem, o swych proroczych nadziejach napomknął. Zabawiliśmy więc pewno około trzech kwadransów, a kiedyśmy nakoniec ostatecznie powstali, oświadczyła nam bardzo uprzejmie, że przyjmuje wieczorem w soboty i wtorki, i „*qu'elle sera toujours charmée de nous voir*“. Nie dość na tém, przeprowadzając xiężnę do drzwi gabinetu, obróciła się ku nam i dodała: „*qu'elle veut nous faire voir ses souvenirs posthumes*“. I wprowadziła nas do ośmiokątnego salonu, wyłożonego białym marmurem, na którego ośmiu ścianach wisało osiem ogromnych obrazów, nie malowanych, lecz gobelinowych, ale tak doskonale naśladowujących malowidło, że sam byłbym się tego pewno nie domyślił. A były to portrety w całej postaci: Napoleona i Józefiny, w stroju koronacyjnym; Ludwika i samej Hortensyi, w mantyach królewskich; dwóch małych jéj synów, także w purpurze i gronostajach; xięcia Eugeniusza Beauharnais, w mundurze Gidów, na koniu, i nakoniec, nad kominkiem,

portret konny Napoleona, w historycznym szarym surducie, podług obrazu malarza *Le Gros*, jeśli dobrze dosłyszałem nazwisko. Oglądaliśmy wszystko w milczeniu; gospodyni zaś, z powodu portretu brata, wspomniała, że jednemu z Polaków, generałowi Klickiemu, (wymawiała *Klicki*), winien on był ocalenie życia wśród bitwy, i ztąd bardzo życzliwie wyrażała się o Polakach w ogólności, dając przytém delikatnie do zrozumienia, że z tego to zwłaszcza tytułu mieliśmy zaszczyt oglądania tych „pogrobowych pamiątek“, których, jak wyraziła się sama, „nie zwykła pokazywać *każdemu* (*à tout le monde*)“. Przy pożegnaniu nakoniec przypomniała nam łaskawie raz jeszcze wtorki i soboty, i dziękowała xiężnie za miłą znajomość. Wyszliśmy zachwyceni tém wszystkiém, unosząc bardzo miłe i wdzięczne wspomnienie.

Wczoraj zatem, to jest w najpiérwszy wtorek po owój wizycie, aby okazać skwapliwość w korzystaniu z tak uprzejmój dobroci, z Szewirewem i młodym xięciem Wołkońskim wybraliśmy się na ten wieczór o godzinie dziesiątej, paradując w powozie xiężny. Trzy obszerne salony oświecone były rżęsićcie. W średnim siedziała sama pani domu, w gronie kilkunastu dam, bardzo strojnych. Powitała nas grzecznie, podnosząc się nieco, ale tylko zwyczajnym frazesem „*Charmée*“ etc.; młodego zaś Wołkońskiego zapytała o zdrowie matki. My przestaliśmy na milczącym pokłonie, i wmieszaliśmy się w tłum nieznanomych, gdzie ja wkrótce spotkałem pana Władysława Zamojskiego, który świeżo przybył do Rzymu, i zapoznałem go

z Adamem. Przedtém zaś, kiedyśmy jeszcze stali w pobliżu dam, zaanonsowano: „*le Duc et la Duchesse de Rovigo!*“ Historyczne to imię dziwnie jakoś zabrzmiało mi w uszach. I weszła para w poważnym już wieku. On sam sporego wzrostu, siwy, łysy, rumianej i wesołej twarzy, na której, zwłaszcza w ściśnionych ustach, wyraz ironii przebija. Toaleta jęj samej wcale nie balowa, kontrastowała dziwnie z toaletą dam innych. Królowa poszła ku nim parę kroków; położyła rękę xięciu, a ja samę sadzając przy sobie, dziękowała jęj głośnie, (może dla wyekukowania jęj stroju, że będąc już w podróży przyszła ją jeszcze odwiedzić. Ale wszystkie dalsze szczegóły tego wieczoru, czyli *rautu*, zgąsły dla mnie przy mojęj własnej przygodzie, o której wam zaraz opowiem. Stałem sobie w ostatnim salonie rozmawiając coś z Szewirewem, kiedy widzę, że młody xiążę Wołkoński, rozpatrując się wprzód nokoło, idzie wprost i pospiesznie ku nam, prowadząc obok jakiegoś pana w czarnym fraku, z dwiema gwiazdami i z długim rzędem miniaturowych orderów, zawieszonych na sprzączce w pętlicy. Zbliżywszy się, usunął się z uszanowaniem na stronę, wskazując na mnie i mówiąc do tego pana: „*voilà un des polonais!*“. Ukłoniliśmy się sobie nawzajem, a ten pan zapytał mię grzecznie, z jakich stron Polski przybywam? Na odpowiedź, że z Warszawy, dodał: „*Ne pourriez vous pas me donner quelques renseignements sur mes anciennes connaissances?*“ Milcząc skłoniłem się powtórę, na znak, że czekam na pytania. Jakoż za-

czął mię rozpytywać o różnych generałach, a mianowicie o Izydorze i Wincentym Krasińskich, o Stanisławie Potockim, i o kilku innych. Na to wszystko mogłem mu odpowiedzieć zadowalniająco, bo albo znałem osobiście, albo dobrze wiedziałem o każdym. Trwało to może z kwadrans; potem podziękował mi pięknie i odszedł. Byłem pewien, że to jest jakiś francuzki generał, który chce wiedzieć o dawnych kolegach, i przeto nie mówiłem do niego inaczej, jak: *Monsieur*. Ale nagle odszedł — Adam, który tymczasem zbliżył się i stał przy mnie podczas tej rozmowy, porywa mię za rękę i mówi: „Wiesz-że ty z kim gadałeś?” — „No, pewno jakiś generał.” — „A czyż ty ślepy, że nie widziałeś podobieństwa?” — „Jakiego?” — „Toż jest Hieronim Bonaparte, podobnieś do Cesarza, jak dwie krople wody.” — „Aż mi się parę zrobiło; nadewszystko pożałowałem, że go nie nazwałem *Sire* i *Votre Majesté*, co on podobno, jak powiedziałem, lubi, i jak go grzeczni nazywają w rozmowie.” Adam zaś, widocznie wzruszony, opowiedział powód wzruszenia, który tu wam w treści powtórzę.

W roku 1812, kiedy armia króla Węgalskiego szła pod Słonim przez Nowogródek, do rodziców Adama, jako najlepszy w miasteczku, przeznaczono na kwaterę królewską. Mieszkańców, nie się rozumieć, wypędzono; ale Adam, czternastoletni wówczas, zakradł się do własnego ogrodu przed domem, i położywszy się na ziemi, przez sztachety okrył się powojem i chmielem, które go zakrywały, przypatrywał się przybyciu królewskiego gościa. Wszystkie szcze-

góły, jak powiadał, stanęły mu dziś tak żywo w pamięci, jak kiedy je naówczas przed oczyma oglądał. Ruch nadzwyczajny w całym domu, w chwilach oczekiwania, ustał nagle, gdy jakiś oficer przyleciał w galop na koniu i zapewne o zbliżaniu się króla oznajmił. Oddział straży w dziedzińcu i na ulicy, z bronią w ręku i ze sztandarem, uszykował się w szpaler od bramy do ganku. Adam mówi, że mógłby narysować, tak je widzi wyraźnie, ogorzałe, wąsate twarze grenadyerów, w ogromnych czarnych bermycach, z tornistranami i blaszankami na plecach. Odgłos trąb, bębnow, piszczałek, i okrzyk ludu na ulicy zwiastowały przybycie króla. Adam nie mógł obaczyć, jak zsiadał z konia przed bramą, ale widział jak szedł przez szpaler, salutując na obie strony prezentujących broń przed nim żołnierzy. Tłumny orszak lśniących od złota, w kaszkietach i kapeluszach z piórami, szedł za nim, i zatrzymał się przed gankiem, z którego król ich pożegnał. Adam mówi, że gdyby Anioł zstąpił z nieba w promieniach, nie mógłby go być przejąć większą czcią i podziwieniem. „A dziś—powiadał dalej—widzieć tego samego człowieka we fraku; być z nim w tym samym salonie; słyszeć jak mówi z tobą, i jak ty go nazywasz: *Monsieur!!!*”

Ten *Monsieur* zatem tém bardziej wiercił mi jak gwóźdź w sercu, i postanowiłem *coûte que coûte* naprawić to mimowolne uchybienie. Ale musiałem manewrować długo, nie myśląc już więcej o niczym, nim upatrzyłem stosowną sposobność. Widząc, że ma przechodzić z jednego salonu do drugiego, stanąłem we

drzwiach, i gdy przechodził koło mnie, ukloniłem się bardzo pokornie, i rzeczywiście z wielką nieśmiałością wyjąkałem ułożony już wprzód w myśli frazes: „*Sire! je demande pardon à Votre Majesté de n'avoir pas su auparavant, à qui j'ai eu l'honneur de parler.*”—Zatrzymał się i spójrzył na mnie bystro, ale znać bez obrazy; bo owszem skinął głową uprzejmie i odezwał się tonem łagodnym: „*Au contraire, vous m'avez fait grand plaisir en me parlant de mes connaissances, à qui j'ai eu l'honneur de commander autrefois.*”— Pokłoniłem się jeszcze niżej i rozumiałem, że już sobie pójdzie—ale on stał jeszcze i dodał: „*Et dites moi encore, est-ce que les dames de Varsovie sont toujours aussi belles, comme autrefois?*”— Ośmielony tą niespodziewaną dobrocią, odpowiedziałem swobodnie: „*Pardon, Sire! mais les dames d'aujourd'hui me paraissent plus belles, que celles d'autrefois.*”— Widać, że mu się to podobało, bo zaśmiał się i podał mi rękę, której ja, ma się rozumieć, zlekka tylko i z uszanowaniem dotknąłem. Na tém koniec stosunku mego z *Królem*, chyba, że go kiedy znów jeszcze w salonie *Królowej* obaczę.—

A co? moja królowo myśli! nieubłagana nieraz panno Anielo dobrodziko! Czy będziesz mię tak zawsze mustrować i sztrofować byle za co, widząc jak ja tu z realnemi majestatami obcuje? Jeśli mię w tém nadzieja nie zwiedzie, nie będę mógł o sobie powtórzyć z Karpińskim, co on o swoim widzeniu się z królem powiada:

„Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem.“

Adam nie mógł się wydziwić mojej śmiałości, kiedy mu powiedziałem o tej nowej rozmowie; gdyż przewidując opozycją z góry, nic mu wprzód o projekcie moim nie mówiłem.— Wyjechaliśmy zaraz po północy, ale że jeszcze światło było w oknach salonu xiężny, wstąpiliśmy więc na minut parę, a zabawiliśmy z parę godzin, zastawszy w nim kilku gości i pijąc herbatę z przekąską; co mi bardzo było na rękę, gdyż na wieczorze, czatując na króla, nie tylko ciasta z winem, które roznoszono, ale nawet ani lodów nie tknąłem.

A teraz skończywszy to opowiadanie, czuję, że podług wszelkich prawideł estetyki, powinienbym i list na tém zakończyć; bo słabszy koniec osłabia początek, a gdzie znaleźć treść równą jemu? *Quis ut rex?* Ależ znówu prawidła ekonomii mówią, że mogąc za jedném *porto* posłać cały łót listu, szkoda na połowie poprzestać. A więc *computandis computandum*, biorę treść jakby z nad świata, i ciąg dalszy, jakby list nowy, zwracam całkiem do czcigodnego waszego proboszcza, którego najprzód z czcią należną pozdrawiam. Nie mogę ja wprawdzie zapomnieć, jak był niegdyś niesprawiedliwym dla mnie, zowiąc mię wilkiem na swoje „*owieczki*“, kiedy ja chciałem tylko sam być jego barankiem. W dowód wszakże trwania téj chęci i usposobienia baranka, wolę pamiętać tylko na mą obietnicę, że mu coś o kościołach tutejszych i obrzędach kościelnych doniosę. Wiem ja, że lepijéj może i właściwijéj byłoby wstrzymać się z tém przynajmniej do chwili, aż samego Papieża i celebry jego obaczę. Ale panujący dziś Pius VIII tak jest ciągle

cierpiący i słaby, że nie można przewidzieć kiedy to nastąpi; a powtóre, wrażenie ówczesne tak może być sprzeczne z dzisiejszém, że je całkiem potłumi i zatrze; ja zaś dla samego historycznego ciągu moich wrażeń chcę i o niém wzmiankę zostawić.

Rzym nie na darmo jest stolicą Państwa Kościelnego; tylu co w nim i takich kościołów, nie ma w żadném mieście na świecie. One same złożyłyby miasto. O ich ogromie, wspaniałości, architekturze; o artystycznych ich skarbach i historycznych pomnikach, tomy już popisano i pisać się będzie. A wszakże co do głównego celu wszelkich świątyń, do obudzania w nich i przez nie uczuć żywej, serdecznej, duchowej pobożności.... Nie posądzaj mię, Ojczy, o pochlebstwo, ani obwiniaj o bluźnierstwo, gdy powiem: że pod tymto właśnie względem, twój malutki, skromniutki, drewniany kościółek w Wojstomiu, może się mierzyć śmiało nawet z Watykanem. Mówiąc to, jużciż biorę miarę z siebie; a Bóg niech nie raczy pamiętać, jeśli nie same tylko niewidzialne lub malowane anioły, tak zbawienie wpływały w nim na mnie. Ale gdy sobie przypomnę rozmaite uroczystości, jakich bywałem w nim świadkiem; gdy widzę, zda się, ten lud bogobojny za legający krzyżem podłogę kościoła, a klęczący wkrąg na cmentarzu; gdy słyszę, zda się, jak tłocząc się za tobą w processyi na Boże Ciało, powtarza serdecznym chórem:

„Idzie, idzie Bóg prawdziwy,
Idzie Sędzia sprawiedliwy.“

tak, że człowiek ani spostrzeżesz, jak masz rękę na piersiach i myślisz: „Nie sądź mnie, Panie, w surowości Twojej!” — Otóż gdy to wszystko przypomnę sobie i wyobrażę, znajdując się w kościołach rzymskich, mimowolnie przychodzą mi na myśl słowa Zbawiciela o *wielkich* i *maluczkich*, czém są na ziemi i w Królestwie Bożém. Sama ilość i wielkość tutejszych kościołów to sprawia, że wszystkie prawie wydają się puste, a zaś sama ich piękność i ciekawość przedmiotów sprawia to, że trzy czwarte obecnych przychodzą tylko aby je oglądać, a nie żeby się w nich modlić. I patrząc na te pary lub grona turystów, snujące się po bokach z lornetami w rękę, gdy się w środku nabożeństwo odprawia; słysząc głośnie ich gwary lub śmiechy, które wtenczas chyba zamilkną, gdy się muzyka z chóru, albo śpiew artystyczny odezwie; nie dziw, że nie jeden z gorliwszych chrześcian poczuję się do herezyi Ikonoklastów, i radby wygnać z kościołów wszystkie sztuki piękne, byleby razem z nimi i tych ich amatorów wypędzić. A gorzej jeszcze, że nie tylko ze strony gości, ale i samych gospodarzy, można w nich spotkać wiele takich rzeczy, które nam, nienawykłym do nich, zdają się być obrażą czci i świętości miejsca. Na usprawiedliwienie tego co tu mówię, opowiem wam parę faktów, których byłem naocznym świadkiem.

Raz w niedzielę, przechodząc koło jakiegoś kościoła, słyszę w nim jakieś osobliwsze krzyki. Wchodzę więc, aby widzieć co znaczą, i trafiam na tak zwaną „naukę religii“, odbywającą się po nieszpórach.

We wszystkich trzech nawach kościelnych stoją kółka większych i mniejszych dzieci, samych chłopców, i słuchają stojącego w pośrodku młodego kleryka w komży. Słucham i ja wszystkich trzech po kolei, i zarówno jestem zgorzony oschłością i niedbałością wykładu nauczyciela, jak i nieprzyzwoitým zachowaniem się uczniów. Śmieją się, szturchają się, kłóca, a nauczyciel, jakby tego nie widział, ciągnie dalej, z widocznym pośpiechem, samo suche wyliczanie formułek katechizimowych, które każe powtarzać słuchaczom, bez dodania żadnych objaśnień lub nauk, bez namaszczenia, bez serca, bez ducha. Ale to wszystko nic jeszcze w porównaniu z przyczyną tych krzyków, które mię do kościoła ściągnęły. Przed najbliższym od wejścia ołtarzem, stoją naprzeciw siebie dwie wysokie ławki, a na tych ławkach po czterech wyrostków, od 12 — 14 lat wieku; a za nimi szeregiem inni, którzy ich po kolei zastępują na ławkach. Jest to tak zwana: *Disputa Christiana*. Jakiś jegomość w czerni, zapewne zakrystyan, stoi między ławkami z grubą książką w ręku i czyta z niej temat dysputy, to jest po prostu pytania z katechizmu, które stojący na ławkach mają sobie zadawać nawzajem. Odpowiedzi już do nich samych należą. Rzecz z siebie mogłaby być i dobra; ależ sposób jój wykonania! Pytający wrzeszczy tak strasznie, że choć uszy zatyka; odpowiadający trzepie tak prędko, że słowa zrozumieć nie można. Wymawiając zaś ostatnie wyrazy, głos formalnie podnosi do krzyku, i zaraz sam takimże tonem zadaje następujące pytanie stojącemu naprzeciw siebie

koledze. Przymtem znać po nich wszystkich, że uważają to raczej za jakąś grę lub zabawę, a nie za poważną naukę, a tém bardziej nie za święty obrządek. Nie mogąc pohamować mego oburzenia, zapytałem stojącego tuż przy mnie, dla czego oni tak wrzeszczą? „Taki zwyczaj!”—odpowiedział ścisnąwszy ramionami. Taki zwyczaj!!! A od czegoż jest zwierzchność i władza, jeśli nie ma prostować złych, a rozkrzewiać dobrych zwyczajów? Nasz biskup niezawodnie usunąłby proboszcza, coby raz w swoim kościele podobną komedią wyprawił. Ale i kaznodzieja u nas wyszedłby nie lepiej, gdyby go wzięła ochota naśladować kaznodziejów rzymskich—możeby wypadło raczej powiedzieć w ogólności *włoskich*, tylko że ja w północnych i środkowych Włoszech nie widziałem nic podobnego jak w Rzymie. Co niedziela albowiem uczęszczam regularnie na kazania, i to coraz w innym kościele, aby się i z językiem osłuchać i powziąć wyobrażenie o mówcach. Otoż to wyobrażenie dotychczas spada coraz niżej pod zero, w porównaniu z kazaniem naszymi: z duchowem namaszczeniem żarliwego zapału x. Jakóba Falkowskiego, albo z pełną godności i powagi dykcją x. Ignacego Borowskiego. Tu treść sama zazwyczaj sucha i deklamacyjna, a brak istotnego zapału zastępuje się gorączkową jakąś mimiką gestów i niemniej rażącą a ciągłą modulacją głosu, od szepotu aż do wykrzyku. Do jakiego zaś stopnia ta metoda dochodzi niekiedy, opowiem wam pokrótce treść jednego kazania, które sam na własne uszy słyszałem. Było to w jednym z większych kościołów w środ-

ku miasta, niedaleko placu *Navone*. Przed kaplicą poboczną, oddzieloną od kościoła kratą żelazną, stał uszykowany półkolem we dwa rzędy oddział żołnierzy, do których z kaplicy przez kratę przemawiał kaznodzieja stojący na ziemi, i który się w ciągu mówienia z końca w koniec wzdłuż kraty przechadzał. Nie było to bowiem właściwe kazanie, ale rodzaj rekolekcyjnej nauki; zawsze jednak możecie ją uważać za próbkę kaznodziejskiej wymowy tutejszej. Mówca z góry zapowiedział słuchaczom, że opowie im jedno zdarzenie, z którego pożytek dla siebie każdy z nich wyciągnąć powinien.— „*Era un soldato*“, to jest, był żołnierz, śmiały i waleczny na wojnie „*ma un birbante*“ etc., to jest, łotr, pijak, gbur, zawadyaka, nieposłuszny, krnąbrny, zuchwały. (To się mówi głosem grubym, podniesionym, z podnoszeniem rąk i zaciskaniem pięści). „A miał żonę pocziwą, bogobojną, pobożną, łagodniutką, cichutką, milutką“. (To się mówi głosem cichym, słodziutkim, ze składaniem rąk i kiwaniem głową.) W dalszym ciągu powieści, mówca przedstawia obrazowo, zmieniając ton i gesta, kilka scen domowego pożycia, w których *questo birbante* (ten łotr), poniewiera dobrocią *di qucsta pia donna* (tęj pobożnej niewiasty), która wszystko znosi cierpliwie i modli się za nawrócenie grzesznika. Jakóż razu jednego ów żołnierz, przechodząc mimo kościoła, widzi że jest otwarty i wchodzi, ażeby się pomodlić. Przy wszystkich bowiem swoich niecotach, miał on wszakże tę jedną zaletę, że był nabożnym do N. Panny. Nad ołtarzem ujrzał Jój obraz z dzieciąt-

kiem Jezusem na rękę; ukląkł więc i zaczął się modlić. Nagle słyszy głosy nad sobą. Podniósł wzrok... *e che vede?* (i co widzi?) Dziecina (*il bambino*) trzepoce się na rękę matki i woła, (głosem podniesionym i gniewnym): „Nie, nie, najmilsza matko! dłużej czekać nie mogę. Grzechy tego człowieka dopełniły swój miary. Jestem Bogiem sprawiedliwości; nie proś mię za nim więcej, sprawiedliwość musi być domierzona“. — „Synu najmilszy!—odpowiada matka (głosem słodkim i błagającym): „pomnij żeś jest zarazem Bogiem miłosierdzia, i że miłosierdzie twoje bez granic. Nie chcesz śmierci grzesznika, ale aby się nawrócił i żył.“—„Ależ, najmilsza matko!—odpowiada Pan Jezus,—ten człowiek o nawróceniu się nie myśli. Niema w nim ani skruchy, ani żalu.“—„Prawda, niestety, niema, ale ja ci ręczę, że będzie, jeśli mu czas do pokuty zostawisz.“—Pan Jezus wzbrania się jeszcze; ale się daje ubłagać nakoniec i mówi: „Matko najmilsza! wiesz, że tobie nic odmówić nie mogę. Ale mi przyrzecz nawzajem, że jeśli on i teraz jeszcze się nie poprawi, nigdy już za nim wstawiać się nie będziesz.“—N. Panna przyrzeka, Pan Jezus się uspokaja, obraz znowu jest tylko obrazem.—„*Ma questo infelice?*“ (ale ten nieszczęśliwy?), zapytuje patetycznie kaznodzieja, i odpowiada cichym, przytłumionym głosem: „Struchlał, skamieniał, oczu nie śmie podnieść do góry, ale przypadł do ziemi i zaprzysięga poprawę“. Jakoż wrócił do żony, przeprosił ją, przejednał, poprawił się, i żyli już dalej szczęśliwie. Amen.

Nie wiem jakie wrażenie sprawiła na słuchaczach ta arcy poetyczna legenda. Ale co do mnie!!!.. Wprawdzie mówił mi jeden bardzo rozumny człowiek, że przez tego rodzaju nauki, sławny jakiś kaznodzieja w Neapolu wpłynął bardzo skutecznie na umoralnienie tamecznych lazzaronów. Winszuję. Ale co do mnie — spodziewam się, że nie jest grzechem, kiedy chcąc zmówić pacierz, albo słuchając mszy św., zamykam nieraz oczy, nawet w Watykanie, i marzę o kościółku w Wojstomiu.

Bo on to moich wspomnień bazyliką,
On świętych miejsc ideałem; •
W nim się to z panną Zofią i Ludwiką
Przy bierzmowaniu poznałem.
I gdy żeglując po życia odmęcie,
Z masztów Nadziei wierzchołku,
Marzę o jakim drugim Sakramencie,
To zawsze w tymże kościółku.

A propos zaś tych wspomnień i marzeń, a razem i téj improwizacyi, przepiszę wam tu jeszcze ostatni mój wiersz na urząd, pisany z myślą o was i dla was, a do którego przedmowa jest taka:

Przed kilkunastu dniami, korzystając z pogody, poszliśmy z Adamem za miasto, za *Porta Pia*, gdzie kraj pusty, pagórkowaty, nieuprawny, przypomina okolice nasze, i gdzie zwłaszcza znaleźliśmy drogę, podobniuteńką do wiejskich dróg naszych, to jest z dwiema głębokimi kolejami, ze ścieżką wydeptaną środkiem przez konia, i z dwoma zielonemi pasami murawy. Adamowi ta droga tak się podobała, że nie

tylko nie mógł się nią dosyć nacieszyć tą razą, ale już dwa razy potem proponował mi spacer w tę stronę, mówiąc: „Chodź pójdziem na drogę litewską!” — Otóż chodząc po niej onegdaj, skleciłem właśnie ten wierszyk, który mam tu zaraz przepisać, połączony z najprzód prozą, to jest ciebie, drogi Ignacy, serdecznym braterskim uściskiem, a czcigodnego świątka Proboszcza i damy, (licząc w to i małą twą Staśkę), ucałowaniem ręki, rączek i rączątek. *Vale.*

Dumanie za Porta Pia.

Dziwnie to ptaszę, to serce nasze!
Raz mu nie dosyć nieba przestrzeni,
To znów po chwili, tęskni i kwili
Do najcichszego gniazdka wśród cieni.

Dawnoż me myśli, istne jaskółki,
Gdy już im u nas brak tchu i słońca,
Jak one w lotne wiążąc się półki,
Rwały się tylko w kraj-świat bez końca.

A otom dzisiaj, jak ptak w przelocie,
Gość w grodzie Romy, w świata stolicy,
Idę znów szukać ulgi w tęsknocie,
Gdzie?—w najsmutniejszej tu okolicy.

Którą najpięrszą dla mnie ozdobą
Pustynna dzikość, samotność cicha,
Tam się znów jakoś czuję sam sobą,
Tam znów przeszłością dusza oddycha.

Dalekich dzwonów dźwięk mię dolata,
Kraj przypomina obrazy Litwy:



— 65 —

Wspominam moje dziecinne lata,
Mówię dziecinne moje modlitwy.

I tę myśl najprzód, ku swój nauce,
Czerpię z pobytu między obcymi,
Ze gdy do swoich da Bóg że wrócę,
Chcę już żyć tylko i umrzeć z nimi.

IV.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 23 grudnia 1829 r.

Jeśli się może gniewasz, że nie pisałem tak dawno, to radzę ci, daj temu pokój! bo ja nie tylko nie myślę przeproszać, ale owszem, jak Sozio w Amfitryonie Zabłockiego. który dziwił się sam mężtwu swemu mówiąc:

„Prawda, że się boję,
Lecz kto inny ze strachu zdechłby—a ja żyję.“

tak i ja mógłbym w tej chwili dziwić się raczej pracowitości własnej, mówiąc także *à la Sozio*:

„Prawda, że próżnuję.
Lecz kto inny z znużenia spałby—a ja piszę.“

A więc zkąd to znużenie? zapytasz. Zkąd? A czy młyn, gdyby nie był z drzewa i kamienia, nie byłby w końcu znużony, mieląc wciąż to to, to owo, choćby nawet sam wiatr lub plewy? Czy kołowrotek, gdyby miał głos i gardziel, nie musiałby ochrypnąć, fruczając bez ustanku? Czy wół lub osieł po zejściu z deptaku nie kładzie się wnet aby odpocząć? Otóż głowa moja, to młyn, (dajmy nawet że wietrzny!); język mój, to kołowrotek, (ma się rozumieć pod ręką i u stóp pści pięknej); a stopy moje przez dzień cały udepcą pewno

więcej, niż ten wół lub osieł. A przyczyna tego wszystkiego? Sława!!! I gdybyż przynajmniej własna— ale cudza! W pamiętnikach Byrona czytałem, że bawiąc całą jedną zimę w Londynie, po powrocie z Grecyi i po wydaniu dwóch pierwszych pieśni *Childe-Harolda*, nic innego nie robił, jak wybierał się, ubierał się, i przebierał się tylko, na wizyty, obiady i bale, i chyba zasypiając lub budząc się niekiedy, miał czas sklecić jaki komplement lub deklaracją damom, które go tak rozrywały. Towarzyszący mu wtedy nieodstępnie autor *Lalla-Rooki*, odegrywałby kubek w kubek dzisiejszą rolę moję tutaj, gdyby téż sam przez siebie nie miał praw równych do tychże samych owacyj i względów tego świata. Mnie brak tych praw zastępuje brak pretensyi do nich; i przeto śmiało i bez skrupułu ruszam wszędzie z Adamem na obiady, wieczory i rauty, (bo balów w adwencie tu nie ma), na któreby mnie może nie proszono bez niego. Przykro mi tylko niekiedy, że idąc tu lub ówdzie, gdzie nas oficjalnie zaproszą, nie ma czasu pójść tam bez prośzenia, gdzie serce ciągnie a za przyjście zawsze dziękują. Adam niecierpliwi się tém jeszcze bardziej, i to z tego samutkiego powodu. Bo obu nas jedna i ta sama *droga łaski* (*Via Mercède*) prowadzi do tego samego punktu, gdzie ja przynajmniej czuję się jak w raju.

Bo na niczém tam nie braknie,
Czego myśl i serce łaknie.
Drzwi ci na oścież otwiera,
Gościnność uprzejma, szczerą.

W progu wzrusz cię spólna
Życzliwość miła i słodka;
Wypil bodaj, dając przemiła
Komu wa albo mięła.
A jak od bliska jutrzniak,
Od kic i oczu psianek,
Chętny się nawet znawca,
Honor wnet barwi różowa.
I czepił wzięty potrzeba
Do raju—nie mówię nieba?

Tém bardziej że jest w nim i Adam i Ewa, (drugi imię panny Henryetty), a nawet bodaj, bodaj...
Czy ty wiesz tę zagadkę:

Trzy kaczki w jednej klatce,
Czwarta po nich z kropką idzie, i t. d.

a w której przed końcem *wije się wąż misterny*, a na końcu *świeci miesiąc nie-uzupełny*? Otóż bodaj, bodaj, czy dla uzupełnienia podobieństwa raju, nie wśliznie się do niego i ów gość *misterny*, ze słowem właśnie téj zagadki, jak z jabłkiem! A że nie na mnie pewno będzie ostrzył zęby, więc téż i nie o siebie się boję. Dotąd wszakże jestto tylko mój domysł, i dla tego mówię ci o nim zagadkowo tylko, i pod sekretem. Ale nie uwierzysz jak Adam od niejakiego czasu jest słodki, miły, rozpromieniony, poetyczny!! a jak łaskaw i czuły dla mnie! jak mię często całuje i gładzi—nie wiem za co! Wyraźne wezbranie serca! Albo może chyba dla tego, że widzi, jak sama pani domu jest na mnie łaskawa, albo jak z panienkami jestem w harmonii braterskiej. Bo on sam, choć z niemi

zwykle wesoło i żartobliwie rozmawia, do poufałości się jednak nie zbliża. To też obie panienki mówią mi, że się go boją; a nawet sama pani domu, pomimo całej swojej szczególnej otwartości, nie jest z nim tak jak z drugimi, i tylko za pośrednictwem mojem zrzuca czasem z serca sekreta, które jęj ciężą widocznie, a których przed nim samym wprost wyjawić nie śmie. I tak np. wiem od nięj, że panna Henryetta, spodziewając się poznać Adama, wyobrażała go sobie podobnym do Mojżesza, (posągu Michała-Anioła), a chodzącym w długim surducie, jak jaki pastor albo lord angielski. Teraz zaś upatruje w nim podobieństwo do profilu Antinousa. Wiem także, że obie panienki, w skutek zapewne dysput i przekomarzań się Adama, przedsięwzięły nowennę na intencyą nawrócenia jego i odmawiają ją codzień rano i wieczorem. Ostatnia ta wiadomość została mi udzieloną pod największym sekretem, i nawet pod słowem honoru, że się z nią przed panienkami nie zdradzę. O Adamie mowy nie było. On zaś, gdy mu to powiedziałem, przyjął ten dowód życzliwości wcale nie tak, jak je niekiedy przyjmuje od innych, to jest, kiedy się częściej niemi niecierpliwi niż wzrusza. I tak np. niedawno, na niedzielém zebraniu u więzny Zeneidy, był on nieco zakatarzony i ochrypł. Natychmiast wszystkie damy—a było ich kilkanaście—zaczęły jedna przed drugą doradzać mu różne lekarstwa. Widziałem, że go to już nudziło okropnie. Ale gdy w końcu przy herbacie sama pani Własow przyniosła mu całą szklankę ubitych przez siebie żółtek, zaczął

formalnie kapryścić jak rozpieszczone dziecko, które nie chce przyjąć lekarstwa, twierdząc, że go znieść nie może. Ja więc tedy, wychodząc w roli *grzeczniejszego braciszka*, żeby się praca dobrej pani Własow nie zmarnowała przecież napróżno, domieszałem do tego romu, i przyrządziłem sobie pyszny *hogel-mogel*. Nazajutrz zaś, jeszcześmy spali, słyszę pukanie do drzwi. Otwieram, aż to lokaj od xiężny Dietrichstein, oddaje mi bilecik i jakiś kosz zakryty. Bilecik był do Adama, a w koszu cztery słoje — nie słoiki — konfitur. Ledwie ten odszedł — stuk, stuk znowu; i wchodzi drugi lokaj od xiężny Galicyn, także z dwóma słoikami konfitur i z tyłuż butelkami malinowego soku, który ma być bardzo pomocny na chrypkę, jak to wyraża zaperfumowany bilecik do pacjenta. Nie upłynęło godziny, aż jak trzeci Budrys z synową, zjawia się trzeci posłaniec od pani Klustin, z pudłem cukierków i paczką *skórki paniczkiej*, a także z bilecikiem od panny Anastazyi (o której niżej), a która w nim, z ujmującym dowcipem i wdziękiem, igra jak Leda z łabędziem — przyrównywając do niego poetę i grożąc mu pieśnią ostatnią, którą kraj i przyjaciół zasmuci, jeśli sam głosu swego szanować i leczyć nie będzie. Na żaden z tych bilecików Adam nie tylko nic nie odpisał, ale owszem, za całą wdzięczność, zły był tylko, że będzie musiał iść z podziękowaniem. Ja zaś śmiałem się w duchu, że nie mając potrzeby dziękować, najwięcej wszakże z tych łakoci skorzystam; bo on, jak komplementowych *duserów*, tak i cukierków i konfitur nie lubi. Ale coto jednak za

szczęście ta życzliwość ludzka! To dopiero prawdziwy kwiat sławy—ma się rozumieć poetyckiej; bo dziękuję za bohaterską, którą głoszą gazety i wasale, a płęć piękna najczęściej płacze tylko na nią! A proszę tej płci pięknej nie kochać, kiedy ona razem tak dobra! I nie czekałem ja wcale na te konfitury i cukry, aby to zdanie sformułować w sobie. Kilka dni temu, rozprawiając szeroko z panną Anastazyą o miłości ogólnej ludzkości, skleciłem sobie potem następujący *jamb*, który, co się mnie tyczy, jest istotną prawdą:

Kiedym wchodził w świat,
Kto żyw, był mi brat;
I dla wszystkich ogółem,
Braterską miłość czułem.
Lecz skutkiem różnych zmian,
Zmienił się ten mój stan.
Wprawdzie czuję, jakem czuł,
Tenże sam jęj zasób:
Tylko że dla braci w pół,
Dla sióstr—we dwójnasób...

Otóż do grona tych miłych i najmiłszych siostrzyczek, przybyła nam niedawno nowa, właśnie owa wspomniana wyżej panna Anastazyja Klustin, o której trzeba i warto powiedzieć nieco obszerniej. Wystąpiła tu ona na naszą scenę rychtyk jak Achilles w Iliadzie, który choć długo nie wychodzi z namiotu, jest w niej ciągle, przez samą swoją nieobecność, obecny. Tak było i z panną Anastazyją, w kółku, w którym tu zwykle żyjemy. Była ona cierpiącą, kiedyśmy przyjechali; ale zaraz pierwszego dnia razy z dziesięć sły-

szeliśmy z ust xiętny Zenekdy i jęj siostry: „*Quel dommage, qu' Anastasie n'est pas avec nous!*” i nie może poznać zaraz Adama. Przy pięrwanej tęt wizycie u państwa Ankwiczów, i sama pani i panićki pytały mię i dziwiły się, że dotąd jeszcze nie znamy panny Klustin. Szewirew mówi o nięj z entuzjazmem, jako o znawczyni poezyi; Strzelecki z podziwieniem, o jęj archeologicznych wiadomościach; pan Ricci unosi się nad jęj muzyką; Brułow zasięga jęj rady co do planów przyszłych swoich obrazów; o starym zaś Thorwaldsenie powiadają, że jest w nięj formalnie zakochany, równie jak jakiś osiemdziesięcioletni filozof genewski, *Bonstetten*, który unyślnie dla nięj przyjechał do Rzymu. O tęt wszystkim słyszeliśmy ciągle. A więc któż jest ta wróżka? ta Muza, dziewięć razy jedna? ta jakaś nowa Safo czy Korynna? — której własnii ziomkowie nadają własnii to imię „Korynny z nad Donu“ (*Corinne du Tanaïs*), gdyż jest obywatelką gubernii Tambowskięj. Jestto córka możnej rodziny, z matką wdową, od lat kilku podróżująca po całej Europie, a tak rozmiłowana w naukach i sztukach pięknych, a nadewszystko w mistrzach ich, ludziach sławnych, że ci nawzajem, jak Thorwaldsen w Rzymie albo Bonstetten w Genewie, kochają się w nięj lub admirują ją tak dalece, że nie ma prawie na lądzie Europy sławnego poety, uczonego, albo artysty, któryby nie był jęj korrespondentem. Otóż ta panna Anastazyja, jak nam powiadano, pałała gorączkową chęcią poznania Adama, o którym już tyle słyszała. Co do mnie, możesz być pewny, że

pomimo tych wszystkich jej uczonych zalet, nie zanie-
 dbałem zapytać: czy ładna? A kiedy mię i o tém je-
 szcze zapewniono, nie dziw się, że mi serce zapukało
 mocniej, gdy nakoniec przed kilku dniami wyczyta-
 łem w bileciku xiężny do Adama: „*Venez diner
 aujourd'hui chez moi: Anastasic sera des notres*“.
 Adam udawał obojętność; zauważyłem jednak, że
 ubierając się zawiązywał chustkę przed lustrem i mu-
 sztrował po wielekroć kołnierzyk, aby równo wystawał
 z obu stron. Ja nie mogłem się pozbyć obawy, że
 „pończoszczka błękitna“ (*bas bleu*) musi u niej z pod
 koturna wyglądać. Tymczasem wcale przeciwnie.
 Tak jest pełna naturalności i wdzięku, jakby zgoła,
 (jak niegdyś wielcy rycerze), nie miała do czynienia
 z książkami. To też prawda, że o samych książkach
 albo obrazach nigdy prawie nie mówi, a idzie jej prze-
 dewszystkiém o źródło wszystkich sztuk i książek—
 o myśl i ducha ludzkiego. To jest główny przedmiot
 jej rozmów, a ten już tak się widać z naturą jej umy-
 słu zespolił, że nie psuje bynajmniej uroku prostoty
 i naturalności panięńskiej. Sława zaś, jak mi się zda-
 je, musi działać na nią podobnie, jak na mnie np. pię-
 kność. Każdy nowy sławny przyjaciel, tak musi ją
 podnosić i uszczęśliwiać w oczach własnych, jak ele-
 gantkę nowy strój lub klejuot, albo jak mnie znowu
 np. nowa ładna przyjaciółeczka. Szkoda tylko, że ja do
 takich przyjaciółeczek nie mam smac tyle szczęścia,
 co ona do sławnych przyjaciół; chociaż i ona, jak wi-
 dzę, nie jest w wyborze wybrydniejszą odemnie. Nie
 szuka samych tylko róż albo lilij, ale i fiołkiem nie

gardzi. Ledwośmy bowiem weszli do salonu i gdy się pierwsze przedstawienie odbyło, z nieśmiałością, zalekła powitawszy Adama, zaraz do mnie odczuwała się uprzejmie, że już mnie zna przez panią Własow. A wiedzieć trzeba, że — nie chwając się — mam szczęście być w łaskach u téj pani, tak, że jak wiem pod sekretem od xiętny, zaczęła pisać nową powieść, której bohater nie tylko ma moje imię, ale nawet z opisu ma być do mnie podobny. Okazuję więc moje wdzięczność autorce, nie mówiąc za co; a to powiedzenie panny Anastazyi obowiązuje mię jeszcze do nowéj, bo się stało pierwszym ogniwem miłej od razu i ożywionej rozmowy, która też, o ile wnosić mogą, stanowi pierwszy zasiew życzliwości wzajemnej. Lecz i to w większej części trzeba odnieść na *conto* Adama, z którym sama z początku, i przez cały czas siedzenia obok niego u stołu, była bardzo nieśmiała i jakby zmieszana, on zaś niezmiernie poważny i zimny. Ale czarowny wpływ białego pieca, przy którym po obiedzie podawano kawę i cygara, tak wkrótce obie strony rozciepliła: że nim przyszła kolej herbaty, (bośmy cały wieczór bawili), panna Anastazyja była już w uniesieniu extazy, a Adam w pełni dobrego humoru. I gdybyśmy nie pierwsi poznali pannę Henryette; i gdybyśmy nie pierwsi jej muzykę słyszeli: to Bóg wie, co by być mogło. Dość, że Adam, pomimo uzbrojenia się swego *à priori*, jest także pod urokiem téj nowéj Armidy; ku czemu przyczyniło się nie mało, że mu nie powiedziała ani pół słówka komplementu, o poezyi ani wspomniwała; a tylko *dans toute sa manière d'être*

dawała odgadnąć wrażenie, jakie na nią jego znajomość i rozmowa czyniły. Jeżeli to jest sztuka—to arcydzieło; jeżeli zaś, jak sądzę, istotny objaw nastroju jej duszy: to w tym jest i rozwiązanie zagadki, przez co ona umie tak pociągnąć i ująć. Sztuka sama, nawet przy pomocy piękności, nie długo starczyłaby na to. A piękność u niej jest na drugim planie. Nie jest to piękność rysów, ale tylko ogólnego wyrazu twarzy, podobnie jak u panny Henryetty. A wyraz ten, rozumny i myślący, jest razem dziwnie naiwnym, zwłaszcza kiedy słucha mówiących. Jest w tym coś nakształt ciekawości dziecka. A przytém owal twarzy kształtny; płeć delikatna i biała: chociaż jak u „Pani Jeziora“, *slightly tinged with brown*, to jest smagła-wa; czoło otwarte, a oczy, chociaż pałające i czarne, mają wszakże ten przymiot błękitnych, że zamiast wbijać się w drugich i przenikać jak ćwieki, łagodnym tylko blaskiem wabią same ku sobie. Największym zaś jej powabem i wdziękiem jest postać, wysoka, lekka, powiewna, i o tyle podobna do palmy, o ile palmy, podług słów Tomasza Moora, podobne są do kształtnych dziewic:

*„when sleep descending,
Warns them to their silken beds.“*

(gdy snem rozmarzone,
Chwiejąc się, idą na łoża jedwabne).

Ale zmiłuj się, nie myśl żem zakochany w pannie Anastazyi, że tak długo piszę ci o niej. Chcę tylko abyś mógł ją sobie wyobrazić, gdy o niej znów kiedy wspomnę, co się często zapewne przydarzy. Bo od

awę pierwszego poznania — i tak. Co jest jej imię? — jest jej imię z gwiazd punkto-w naszego tu świata tak nie w tym momencie i serdecznie przy-
jęty. Zaczęła nazywać się tam na obiedzie, z całym gronem kępną Zenelę, a muzyka i śpiewy zatrzymały nas aż do połnocy. Hanna Anastazya gra tak artystka. Te sonaty Beethovena na pamięć. Adam stał ciągle przy grającym — dzięki Bogu, powta-
rzam. Zeszły wprzód panie Henryette poznali. Sama pani, królewna Tototy z domu, skromna i cicha, ży-
je dla córki tylko i przez córkę; choć i jej samej nie brak wcale nauki i niepospółego rozumu, który się w sądzie o rzeczach objawia; tylko że się z nim popi-
sywać nie lubi; i co w niej najwydatniej uderza, to wjmująca dobroć i słaby charakter. W ogólności nie masz wyobrażenia, jak i to i tam nie miałem jak te córki Potnety, z wysokich startować wyskoki, kto-
reśny u xiężny Zenelę poznali są także wykształco-
ne wysoko; i to nie tylko umysłowo i uczulowo, ale i religijnie duchowo. Prawda, że wszystkie prawie są już takby przez poł. jeśli nie całkiem Rzymianka-
mi, to jest, albo obdawną przebywają w Rzymie, albo w nim na zawsze osiadły. Pomiędzy tami ostatnimi pierwsze miejsce zajmuje xiężna Dietrichstein, z domu xiężniczka Szuwałów, o której już wyżej wspominałem. Jest to już bardzo sędziwa matrona, ale pełna reszco życia i wdzięku w rozmowie, a całkiem pobożności i miłosiernym uczynkom oddana. Ma np. przy sobie bardzo znakomitego lekarza, pana *Pisypolini*, któ-
rego drogo opłaca, ale którego obowiązkiem nie jest

a zaś w żyjącym między ludźmi, w twarz, wzrok, głos, ton, ruch, jedném słowem w całego zewnętrznego człowieka, przez którego wewnętrzny objawia się i działa na drugich. Niedawno czytałem w Piśmie św. księgi Danielowe, które ogromne na mnie zrobiły wrażenie. Gdybym się czuł wielkim poetą, napisałbym z nich poemat czy dramat; a gdyby kto rzeczywiście zrobił to, a dobrze, oddałby wielką przysługę nie tylko literaturze, ale i całej społeczności naszej. Szeroko o tém mówiliśmy z Adamem. Każdy człowiek, a może i naród, jak ma w sobie ducha Bożego, tak ma téż i tajemnicze źródło jego siły, której żadna moc ludzka ani bramy piekielne nie przemogą, chyba że wprzód w nim samym źródło się to zamąci lub wyschnie. Otóż bięda, że nie we wszystkich jest ono w jedném i tém samym: ten je ma w sercu, ten w głowie, ten w ręku; Samson miał np. we włosach. Druga zaś i największa bięda jest w tém, że ludzie, a może i narody, nie znając zwykle *se ipsos* (samyh siebie), źródła tego sami w sobie nie widzą, a zapatrując się na drugich, szukają go i myślą znaleźć w tém raczej, przez co ci drudzy mają wyższość nad nimi, nie zaś w tém, przez coby sami osiągnąć ją mogli. Człowiek, znający w sobie to prawdziwe źródło siły ducha Bożego, to mędrzec; człowiek znający je w swoim narodzie, to prorok. Izrael nie był mędrcelem w ogólności; wybujał w pychę, i oślepl do reszty jak Samson; a proroków, którzy mu kataraktę zdjąć chcieli, kamienował albo piłował. Popadł więc w biędę, na którą zasłużył; i trzeba było też wielu pokoleń, nim to bielmo ócz jego przegryzły. Daniel przeje-

której nie przybiera ze swymi. A nie jest ona i tutaj przybrana; tylko że sama przez siebie, z rozumnego poczucia stanowiska swego wynika. Nie usuwa to wszakże zupełnie chwilowych czasem nadymań się lub fochów zepsutego dziecka; ale to tylko wtedy, kiedy mu zbytnią grzecznością lub troskliwością dokuczają. Jest więc widać w ludziach jakaś tajemnicza potęga, której ani okiem nie dojrzysz, ani rozumem ściśle nie określisz, ale którą czujesz wyraźnie, i albo się jej z miłością poddajesz, albo uciekasz od niej z obawą lub wstrętem. Co to jest? Bóg wie jeden; a może chyba magnetyzm lepiej to kiedyś rozjaśni. A możnaby to, jak mi się zdaje, zastosować także mniej więcej i do rzeczy pisanych. Czytasz np. czyjś list albo książkę (a cóż dopiero wiersze), bardzo dobrze i gładko napisane, a przyjmujesz je tylko jak papier litery. Czytasz drugie, mniej zgrabne, a od razu ci idą do serca. W kim np. najmędrszy traktat religijno-moralny, obudzi taką żarliwość lub skruchę, jak czasem jeden rozdział Tomasza à Kempis? A czemu to tak? Nie wiem coby odpowiedział filozof; ale ja „mały żaczek, jako robaczek“, tłómaczę to sobie przez ową piosnkę o koniu Kiejstuta, która, jak wiesz, powiada:

„Bo moc, co ramię na cięcie wytęży,
„Przechodzi i do oręży;
„Bo serce jeźdźca na wojenném błoniu,
„Po połowie bije w koniu.“

A więc czyżby nie można powiedzieć, że:

Uczucie, którém myśl i serce gorą,
W piszącym przechodzi w pióro, ..

a zaś w żyjącym między ludźmi, w twarz, wzrok, głos, ton, ruch, jedném słowem w całego zewnętrznego człowieka, przez którego wewnętrzny objawia się i działa na drugich. Niedawno czytałem w Piśmie św. księgi Danielowe, które ogromne na mnie zrobiły wrażenie. Gdybym się czuł wielkim poetą, napisałbym z nich poemat czy dramat; a gdyby kto rzeczywiście zrobił to, a dobrze, oddałby wielką przysługę nie tylko literaturze, ale i całej społeczności naszej. Szeroko o tém mówiliśmy z Adamem. Każdy człowiek, a może i naród, jak ma w sobie ducha Bożego, tak ma téż i tajemnicze źródło jego siły, której żadna moc ludzka ani bramy piekielne nie przemogą, chyba że wprzód w nim samym źródło się to zamąci lub wyschnie. Otóż bięda, że nie we wszystkich jest ono w jedném i tém samym: ten je ma w sercu, ten w głowie, ten w ręku; Samson miał np. we włosach. Druga zaś i największa bięda jest w tém, że ludzie, a może i narody, nie znając zwykle *se ipsos* (samyh siebie), źródła tego sami w sobie nie widzą, a zapatrując się na drugich, szukają go i myślą znaleźć w tém raczej, przez co ci drudzy mają wyższość nad nimi, nie zaś w tém, przez coby sami osiągnąć ją mogli. Człowiek, znający w sobie to prawdziwe źródło siły ducha Bożego, to mędrzec; człowiek znający je w swoim narodzie, to prorok. Izrael nie był mędrcelem w ogólności; wybujał w pychę, i oślepił do reszty jak Samson; a proroków, którzy mu kataraktę zdjąć chcieli, kamienował albo piłował. Popadł więc w biędę, na którą zasłużył; i trzeba było łez wielu pokoleń, nim to bielmo ócz jego przegryzły. Daniel przeje-

rzał najjaśniej. Nie nienawdził on Chaldejczyków, ale miłował tylko Pana Boga swego, ze wszystkich sił serca i duszy swojej. Wzór w nim tej miłości i wiary, owych jedynych źródeł wszelkich dawnych cnót i sił Izraela, zatarł niejako pamięć płochości i pychy, owych źródeł wszystkich win i grzechów jego plemienia, a wzbudziwszy ku prorokowi cześć i miłość w sercu Cyrusa, uczynił go dla całego Izraela narzędziem miłosierdzia Bożego, jak poprzednicy jego byli narzędziami kary Bożej. To byłaby treść duchowa tego poematu czy dramatu o Danielu, do napisania którego chciałem nakłonić Adama. Ale myśl jego w tych czasach zajęta jest innym przedmiotem. Jest zaś nim ni mniej ni więcej jak tragedia: *Prometeusz*. Adam myślał już nad nim, jak mówi, oddawna; ale przy dzisiejszym nastroju i poetycznym usposobieniu swoim, o którym wzmiankowałem już wyżej, wziął to znowu żywiej do serca, a oto z jakiego powodu. Ja pożyczyłem dla siebie od Szewirewa dzieło Brumoy „O teatrze greckim“, które i Adam od niechcienia przeglądał, zajęty ciągle jeszcze czytaniem Liwiusza. To jednak przypomniało mu widać Prometeusza; bo kupił sobie Eschylesa po grecku; i gdy raz powróciłem z teatru, na który on iść nie chciał, zastałem go siedzącego z podkurczonymi nogami na kanapie i kiwającego się jak rabin nad tą książeczką, rozłożoną na stole, której właściwie nie czytał, ale snąc tylko medytował nad nią, i ustawicznie do niej zaglądał. Wyraz jego twarzy przypomniiał mi ową pamiętną chwilę w Wilnie,

o której ci tyle razy mówiłem, a od której się nasz bliższy stosunek zaczyna: kiedy przyszedłszy raz w wieczór, znalazłem go siedzącego z fajką przed piecem, a blask z pieca padając mu na twarz, nadawał jej jakiś urok nadziemski. Pisał on wtedy właśnie, jak wiesz, czwartą część *Dziadów*, o której dowiedziałem się wtenczas po raz pierwszy. Otóż przypomniałem mu ową chwilę, a on mi zaczął mówić o Prometeuszu, i na koniec tłumaczyć, a raczej deklamować z zapalem, *à livre ouvert* z greckiego, scenę jego z Merkuryuszem, przysłanym doń przez Zeusa, który już go był przykuł do skały, ażeby wymódcz na nim wyznanie tajemnicy, od której miało zależeć utrwalenie potęgi Zeusa, albo wyzucie go z niej przez jednego z potomków, jak on sam wyzuł ojca swojego Kronosa, czyli Saturna. A cóż to za przecudowna scena! co za moc! co za prostota! co za prawda! Groźby Merkuryusza grzmiały jak gromy Zeusa; ale w słowach skutego Tytana, tchnie pycha wyższa nad potęgę bogów. Gotów on jest uczynić zadość ich woli; lecz niech Zeus pierwiej rozkuje go z kajdan. Inaczéj, on sam wyzywa dalszą jego zemstę; on sam krési obrazy dalszych swoich męczarni; ale urąga z nich i z potęgi wroga; bo wie, czuje i woła na koniec: „Zabić nie zdoła on mnie!”—Chór, który z razu namawia go do uległości, wzruszony tą jego odwagą, sam staje przy nim i trwa aż do końca: chociaż już całe niebo grzmi i góre ogniem piorunów; choć cała ziemia wstrząsa się i pęka, i on sam, wraz ze swą skałą, zapada się w przepaść. Nie znam żadnej sceny w Szekspirze, a cóż

dopiero w innym jakim tragiku nowszym, coby z tą najdawniejszą porównać się mogła. Adam tak był wzruszony, że twarz i usta mu drgały, a łzy świeciły się w oczach, gdy nie już siedząc, ale zerwawszy się z kanapy i fajkę na stół rzuciwszy, kończył czytanie przy lampie, której światło padało na niego. Skończywszy, zaczął mi opowiadać główny zarys swojego planu. Nie będzie to ani tłómaczenie, ani nawet proste naśladownictwo poety greckiego; ale tylko daleka parafraza jego idei, zastosowana do chrześcijańskich pojęć duchowych. W treści zaś, jestto odwieczna historia ducha ludzkiego, nie bez dobrej woli w gruncie, ale obłąkanego przez pychę, w zapasach z potęgami wyższymi, a raczej silniejszymi tylko od niego, których on ani uznać, ani im uleść nie chce, i nie może. To też zbawcą i oswobodzicielem Prometeusza jest u Adama nie kto inny, jak Chrystus, syn Boga prawdziwego, który sam jest Duchem — najwyższym, najpotężniejszym, ale zarazem i najlepszym; źródłem Prawdy i Miłości, w których tylko jest pokój, swoboda i szczęście, o które Prometeusz walczył z fałszywymi bogami, ale które z rąk prawdziwego ze czcią i wdzięcznością przyjmuje ¹⁾.

Taka ma być główna treść tego dramatu; daj Boże tylko, aby go autor mógł rzeczywiście przeprowa-

¹⁾ Przekonany jestem najmocniej, że scena *Improwizacyi* jest zabytkiem i odbiciem głównej treści tego dramatu, który głęboko tkwił w duszy autora, ale nigdy napisanym nie został. (P. A.)

dzieć do skutku, to jest, aby ten wir dwóch światów: staro i nowo-rzymskiego, który go tutaj w kolój porywa i kręci, zostawił mu dość czasu do przelania myśli na słowa, jak szkła na paciórki, i do ponizania ich w wiersze. Bo chociaż widzisz z tego, że — jak powiada Göthe w jednej ze swoich elegij rzymskich:

*Es wird doch nicht immer geküsst, es wird auch vernünftig ge-
[sprochen;*

to jest, że nie tylko się ciągle bawimy, ale się też przecież coś czyta, i nie myśli się tylko o panienkach; zawsze jednak jestto zbyt wielka pokusa, aby się jęj oprzeć na długo. A tymczasem dzień za dniem upływa; i kiedy człowiek codziem przed zaśnięciem przypomni sobie co wczoraj zamierzał na dzisiaj, a co dziś znowu odkłada na jutro, to czasem aż rozpacz ogarnia. Ale darmo! są pewne okoliczności i względy towarzyskie, które zmniejszają winę tego literackiego *farniente*, przez to, że same pochłaniają czas cały. Dam ci tu np. dla ciekawości dziennik, a raczej godzinnik, trzech dni poprzednich, i program trzech następujących, a z tego sądz sam, czy nasza wina, że na właściwą robotę chwili jednej nie było, i prawdopodobnie nie będzie. *Dnia 20, Niedziela.* Dobrze, że rano poszedłem do kościoła; bo ledwo powróciłem około 11, mając właśnie pisać do ciebie, kiedy wszedł nasz kochany, pocziwy Allan, który nas zawsze parę razy w tydzień odwiedza. Tuż za nim x. Parczewski, wracający z kościoła; tuż za nim xiążę Radziwiłł; tuż za nim p. Władysław Zanojski; tuż za nim Strzelecki

z elewem; tuż za nimi pp. Rembowski i Olszewski, (znajomości z domu państwa Ankwiczów), nakoniec zacny i szanowny przyjaciel nasz Stattler, i kolega mój i sąsiad wiejski, Julian Karczewski, malarz; — słowem *raut!* A tu trzeba już na godzinę pierwszą być ubranym i iść na śniadanie do księcia Gagaryna. Szczęściem, że książę R. i p. Wł. Z., byli także proszeni, a więc wczas dali hasło do wyjścia. Śniadanie to, a właściwie obiad (*déjeuner dinatoire*), było ku czci i ugoszczeniu nowego francuzkiego gościa, hrabiego *de la Ferronnaye*, który tu od niedawna miejsce Chateaubrianda zastąpił. Ma to być święty człowiek z pobożności i cnót chrześcijańskich. To też oprócz kolegów-posłów: austriackiego, hr. Lutzow, hiszpańskiego, hr. Gomeza Labrador, i innych, których nie pamiętam, były aż trzy *Eminencye*, kardynałowie: *Pacca*, *Albani* i *Odescalchi*. Ten ostatni jest tu także *en odcur de sainteté* w opinii publicznej, i przepowiadają powszechnie, że kiedyś dostąpi tyary. On sam wszakże nie tylko że do tego nie wzdycha, ale owszem, jak powiadają, chce się wyrzec kardynalskiej purpury, a przywdziać prosty habit zakonnego mnicha. W istocie, z jego twarzy tchnie taka pokora i skromność, że Adam patrząc na niego, przypomniał o św. Stanisławie Kostce, tém bardziej, że książę Odescalchi, chociaż starszy wiekiem od niego, jest przecież najmłodszym ze wszystkich tegoczesnych kardynałów. Że zaś hr. de la Ferronnaye był przedtém posłem w Petersburgu, a kiedyś, jako emigrant, przez długi czas mieszkał w Polsce, w Tulczynie: reszta

przeto towarzystwa składała się z samych Rossyan i Polaków, między którymi był hrabia Alfred Potocki, i słyszałem, jak p. de la Ferronnaye wynurzał przed nim wdzięczność swoją dla rodziny Potockich. Inni też goście byli mu przedstawiani przez gospodarza domu. ale się to pospolicie na niemych ukłonach kończyło. Kiedy jednak książę Gagaryn, przedstawiając z kolei Adama, wymówił z wyraźnym naciskiem: *célèbre poète polonais*, jubilat odezwał się do niego, że znał dawnych sławnych poetów polskich: Trembeckiego, i—i... Nie mógł przypomnieć nazwiska. Adam poddał mu imię Bończy Tomaszewskiego, i on to z grzecznym ukłonem potwierdził. — Śniadanie trwało do godziny piątej; a że trzeba było koniecznie być dziś jeszcze na wieczorze u księżny Zeneidy, a przedtém niemniej koniecznie chciało się choć zajrzeć na *Via Mercède*: wyszliśmy więc jedni z najpierwszych, chociaż z powodu ulewnego deszczu, musieliśmy stać na dole jakie z pół godziny, nim szczęściem nadjechał dorożkarz, który nas zawiózł do celu. Deszcz ten ciągły służył nam za ekskuzę, żeśmy się już do księżny na herbatę spóźnili; za toż ledwo o drugiej wróciliśmy do domu.— Tak przeszła niedziela; a teraz masz *Poniedziałek*. Zaledwo zdążyliśmy się ubrać, zajechali po nas, wedle umowy, państwo Ankwiczowie z panienkami, i pojechaliśmy razem do Watykanu. Karetę mają tak obszerną, (spacerowe *lando*), że sześć osób mieści się wygodnie. Oglądaliśmy najprzód muzeum, a potem *Loże* i *Izby* (*loggie e stanze*) Rafaela. Ale żeśmy to wszystko nie pierwszy raz już widzieli, a z panienka-

mi byliśmy tam raz pierwszy: więc nie dziw, że *té* panienki brały przedewszystkiém pierwszeństwo. A wreszcie, mój kochany! co ty chcesz, żebym ja tobie mówił o Watykanie? który sam jest jakby stolicą, królowej wszystkich stolic tego świata—Romy; który oprócz najpiękniejszych i najświetniejszych w świecie muzeów, galeryj, biblioteki, i tylu a tylu różnych arcy-dziwów sztuki, mieści w sobie ni mniej ni więcej jak 13,000 sal i pokojów, rozmaitej wielkości; 20 dziedzińców, 208 wschodów; a co do krużganków, ganeków, kurytarzy!!! Aj, mój kochany! Na samę myśl, żebym kiedyś musiał pisać o tém, w głowie mi się jak w garnku przewraca! Dziś zaś właściwie to ci chcę tylko powiedzieć, że bawiliśmy tam aż do obiadu; że na obiad pojechaliliśmy razem do państwa Ankwiczów, i że wnet po obiedzie musieliśmy wracać do domu, ażeby się przebrać na wieczór do księżstwa Sanguszków. Towarzystwo świetne i miłe; osób ze 30, sami Polacy; a między nimi i nasze panienki, ma się rozumieć z rodzicami, którzy nas, także około godziny drugiej, w powozie swoim do domu nakoniec odwieźli.

Wtorek, 22 grudnia. Raniutko liścik od księżny Zeneidy, że korzystając z pogody chce nas zawieźć do *Villa Pamphili*, a potem do galeryi *Borghèse*, a potem na obiad do siebie, po którym razem mamy jechać na herbatę do księżny Dietrichstein, na którą nas zaprosiła w niedzielę. Stało się wszystko podług tego programu, i znowu wróciliśmy po pierwszój. Zważ więc, czy nie mieliśmy prawa spać dzisiaj prawie do południa. A oto za godzinę, o piątój, musimy iść na

obiad do xięcia Radziwiłła w hotelu, a ztamtąd do Strzeleckiego na herbatę, i na *faraona* lub *kixa*;— bo się bawimy także niekiedy i w tę szlachetną rozrywkę, poniterując po bajoku do banku, w którym jest parę skudów rozmnienionych na drobne. Adam wszakże lubi najlepiej *kixa*, który mu przypomina nasze niegdyś partye wileńskie, z *berterką* i ze starą panią Kowalską (matką), która się z nim do upadłego kłóciła, że kręcił, choć graliśmy tylko na boby. Tu gramy niby na bajoki, (na krédkę), i zwykle tak wesoło, że się wszyscy naśmiejemy do woli, najczęściej z kosterskich figłów Adama, który ma w nich szczególne upodobanie.

Masz więc tedy przeszłość i terażniejszość; a teraz spójrzyj na trzydniową przyszłość, którą składają święta Bożego Narodzenia. Jutro, jako w dzień imienin Adama, solenizant powiada, że chce rano uciekać z domu od powinszowań i wizyt, i że jest zaproszony na kawę do xiężny. Pójdę więc i ja w *podwódcę* — ma się rozumieć najprzód do kościoła. Potém grzeczność i zwyczaj każą pójść przeciw łamać opłatek ze swoimi, i podziękować między innemi państwu Potockim za inwitacyą na wigilią jutrzejszą, z której nie możemy korzystać dla tego, żeśmy już przedtém zamówieni na *Via Mercède*, gdzie także jest vice-solenizantka, drugo-imienna Fwunia. A mamy téż i pierwszorzędną w osobie pani Eweliny Dernałowiczowej, którą ja zwłaszcza, najczęściej jak mogę odwiedzam. A dzieje się to nie tylko ze względów światowych, ale téż w części, nie

chwaląc się, *et per charitatem*. Zdrowie jój coraz gorsze; tęsknota coraz większa; a mąż nudząc się z chorą, rad szuka pociech w salonach przy weselszych i zdrowszych. Ja więc, jako dawny znajomy, który jój przypomina szczęśliwe chwile warszawskie, czując się zawsze pożądanym, mam też za obowiązek być jój częstym gościem. Zdarza się wprawdzie czasem, że mi się iść nie chce; ale nigdy nie pożałowałem zem przyszedł. Wigilia zaś u państwa Ankwiczków ma być zwłaszcza ku uczczeniu Adama, jako solenizanta, i ma być całkiem podług rytuału polskiego. O północy mamy pojechać razem na *Pasterkę*, do *Santa Maria Maggiore*, gdzie się ona najuroczyściej odprawia. Na pierwszy dzień solenne nabożeństwo w kościele św. Piotra, gdzie może przecież obaczymy Papieża, jeśli mu zdrowie celebrować dozwoli. Na obiad zaproszeni jesteśmy do księstwa Sanguszków, a wieczorem wszyscy Polacy mają być u państwa Ankwiczków. Drugiego dnia obiad u pani Klustin, jako w oktawę dnia urodzin księżny Zeneidy, a wieczorem *grand bal* u państwa Potockich, na którym ma być cała *Signoria* rzymska, i mają śpiewać najślawniejsi śpiewacy tutejsi. Boję się, czy sił nam starczy na te wszystkie fety. A cóż dopiero będzie w karnawale? który ma być świetniejszym niż kiedy, dla wynagrodzenia za przeszłoroczny, którego wcale nie było, z powodu śmierci Papieża, Leona XII-go. Wszyscy posłowie mają dawać bale; a że każdy poseł ma zwykle po kilkanaście biletów do rozdania ich komu zechce, choć-

by ci goście wcale gospodarzy nie znali; a zwłaszcza, że panna Henryetta ma właśnie odbywać na nich pierwsze swoje *entrée dans le monde*; rzecz zatem naturalna, że będziemy woleli assistować jej na te bale, niż się męczyć z Prometeuszem przy skale. *Sat sapienti—i Vale.*

V.

Do tegoż.

Rzym, 28 grudnia, 1829 r.

Obowiązku, ni potrzeby
Ani mam, ni czuję, żeby
 Pisać znów do ciebie dziś.
A że jednak chcę i będę,
Przyjm to więc wprost za kolędę,
 A nawzajem pomnij, byś
Przy *kucy* i opłatku,
Pomyślał też o mnie, bratku,
 I napisał zaraz list.
Z ciekawemi nowinami,
Jako sztrucel z rodzenkami,
 Jak kielbasa—nie jak glist.

To znaczy: długi, a nie cikliwy. Bo ten mój, jak się spodziewam, dojdzie cię jeszcze przed świętami waszemi, a widzisz żeń, jak ja tu Święta Rzymskie i zacząłem i kończę, sztyftując epistoły do ciebie. Program świąt, zawarty w ostatniej z nich, ziścił się co do joty. Ale każdy program ludzki na przyszłość, jest bodaj zawsze mniej więcej jak ów zasiew w przypowieści ewangelicznej, do którego w nocy, gdy człowiek sam zaśnie, los, jak anioł lub djabeł, dosiewa mimo niego, albo nasiona kwiatów, które kiedyś uwieńczę, żniwo, albo kąkol i blekot, które ludzki zasiew

zagłuszą, albo samemu siewcy zawrót głowy sprawią. Najfatalniejsza rzecz jednak, że z kielka, a nawet z runi, natury ziółka nie poznać; a tu czasem ni ztąd ni z owąd spada na człowieka powinność, aby je pielęgnować w zarodku — i to nie tylko dla siebie samego, ale nawet, co gorsza, dla drugich. Otóż jestem w kłopotcie tego ogrodniczka, i ten kłopot jest właśnie przyczyną, że nie mogąc tu z nikim o nim na otwarte pomówić, uciekam się do korespondencyi z tobą, abym przez to może sam w sobie natłok różnych a sprzecznych myśli rozwikłał jakoś i uporządkował. Z poprzedniego już listu mojego — „*if thou art wise and guessest well*” (jeżeliś mądry i umiesz zgadywać), — powinienbyś już, a przynajmniej mógłbyś się domyśleć o co idzie. *Wąż misterny* wśliznął się już istotnie i wije się po rajcu naszym; i mnie, który go nie chcąc dostrzegłem, rajski dotychczas pokój i swobodę myśli zamącił. Opowiem ci wszystko jak było. — W przeszły czwartek, t. j. w dzień imienin Adama, odbywszy wszystkie wizyty, zamierzone na rano, o piątą stanęliśmy jak w porcie na *Via Mercède*. Solenizant, przy łamaniu opłatka, odbierał podwójne życzenia, i sam podobnie składał pannie Ewie. Ja przystępując z kolei tuż po nim, wpół *seryo*, wpół żartem, ale zawsze bez żadnej stanowczej myśli, powiedziałem — powiedziałem jój, ot tak sobie: „Pani zapewne nie wątpisz, że nikt na kuli ziemskiej nie życzy pani szczerzej ode mnie spełnienia Jój życzeń w tej chwili.” — Zarumieniła się cała jak róża, i po chwili, podnosząc oczy, spójrzała na mnie — ale jak!!! Gdy-

bym sto lat żył jeszcze, to tego wzroku nie zapomnę nigdy. Blask meteoru jest niczem w porównaniu z t^ęm światłem, które mię nagle oświeciło wewnątrz. Odgadłem i zrozumiałem wszystko—i przeraziłem się jak błyskawicą. Dusza przemówiła spójrzeniem. Była w niem i nieśmiała konfidencya siostry, i jak gdyby błagalne odezwanie się do brata: „dopomóż!“ — **Miły Boże!** gdybymże mógł, jak pragnę! Ale ten obowiązek spadł na mnie jak kamień. Nie żebym się chciał od niego usuwać, ale cóż ja pocznę, niestety? Biję się z myślami jak z falą, p^ó której pływać nie umiem. Widzę szczęście tak blizkie, i na pozór tak łatwe! Aniołowie je zda się wskazują. Ale świat! ale ludzie!... A najprzód ten sam pierwszy, o którego rzecz idzie! Jego samego boję się najwięcej, dla niego samego;— może dla tego, że go znam najlepiej, a o drugich marzę tylko sobie jak zechcę. I gdybymże mógł z nim choć pomówić! Ale gdzie tam! Nie wiem nawet co myśli w istocie; bo że myśl jest zajęta, to widzę. Porównywając go z sobą, cieszę się z mojej małości, jak owa rybka w bajce Krasickiego. Mogę sobie patrzeć na *wszystkie* jak mi się podoba, i nie bać się, by która z mojego powodu spójrzała tak na kogo, jak dziś *ona* na mnie! Bo jeżeliż *on* tylko patrzy *po mojemu*, to cóż ja *j^ę*, niestety, na to *j^ę* spójrzenie odpowiem? A jeżeliż się w nim Gustaw obudzi na nowo: — to czyż tylko ma przybyć nowa jaka część *Diad^{ów}*? — Ach, mój ty drogi! teraz dopiero poznaję z doświadczenia całą psychiczną głębokość owej mitologicznej bajki o balwierzu króla Midasa: co to za straszny ciężar

tajemnica cudza, o której z nikim pomówić nie można! Ten mój list, jest to ów dół w ziemi, w który *tamten* wyszeptał swoje, aby mu, jak zamknięta para, nie rozsadziła serca. Bo chciéj wejść tylko w położenie moje, a sam uznasz, jak ono jest trudne i fałszywe. Nigdy własnego szczęścia nie pragnąłem tyle, jakbym pragnął aby tych „*ludzi dwojć*“ szczęśliwemi być mogło; a cóż, gdybym się jeszcze i ja mógł ku temu przyczynić! A właśnie myśląc o tém, i z tego jedynie powodu, widzę się niejako zmuszonym odegrywać tu między nimi rolę jakiegoś dyplomaty-intryganta, który z nikim na otwarte nie mówi, (bo nie może i nie śmie), jakby chciał ich wszystkich oszukać. I trzebaż żeby ten ciężar spadł na mnie!—i to wszystko z racji tego głupiego frazesu, kiedy mię лихо pociągnęło za język, i który to jój spójrzenie wywołał! Ale darmo! Słowo, jak mówią, wylatuje ptakiem, ale go nazad i wołami nie wciągnąć. Dla tego téż, pierwszy raz może w życiu, tak jestem od tych dni kilku ostróžny w słowach, że mi to odejmuje całą swobodę i wesołość humoru, bez których jestem „jako ptak bez skrzydeł“. A także, z drugiej stróžny, wbrew zwyczajowi i naturze mojej, zaczynam tu i ówdzie *sonder le terrain*, jak inżynier przed fortecą; i nie wiem czy mi się zdaje, czy téż może i w rzeczy samej grunt ten nie obiecuje być tak twardym,

Iżby zgoła nie było nadziei,
Przekopać w nim jakiej transzei.

Sądź sam o tém, jak i ja sądę, z różnych drobnych szczegółków i słówek, które ja, jak zwinna ja-

skółka, chwytam w lot na powietrzu jak muszki, i—otwórz dziobek w gniazdeczku! — będę niemi podzielał się z tobą.

Otóż wigilia była bardzo wesółą—dla wszystkich, prócz dla mnie: chociaż nadrabiałem humorem, jak mogłem, bo mię zewsząd o powód zamyślenia pytano. Ona jedna musiała go odgadywać, bo i nie łączyła się z pytającymi, i sama jakoś była żenowaną. Widocznie połączeni jesteśmy węzłem tajemnicy, o której wiemy, że myślimy oboje, a czujemy, że uńwić z sobą nie możemy. Ale masz tobie, co znaczy jedno czasem niewczesne słowo, albo może mimowolne spójnienie!

Uczta była całkiem po polsku. Stół był nakryty na sianie, nad nim w środku kręciła się gwiazdka z opłatków. Od dwóch zup: grzybowej i migdałowej, aż do śliżyków, grochu i pszenicy z sytą, żadnej z potraw obrzędowych nie brakło. Adam jadł wszystkie i unosił się nad niemi, jak drudzy goście nad morskimi rybami. Osób było jak raz dwanaście. Oprócz gospodarzy i nas: pani Moszyńska, Strzelecki z elewem, Sztattler, xiądz Zajączkowski i x. Parczewski, którego ja zapoznałem z tym domem. X. Zajączkowski i Adam, *comme les deux preux chevaliers*, którzy kiedyś skruszyli kopije, w szrankach, współubiegać się zdali w grzeczności, aby pamięć tego starcia zagładzić. Po toaście na cześć solenizanta, wzniesionym przez gospodarzy, i toaście na cześć solenizantki, wzniesionym przez gości; xiądz Zajączkowski wznosił trzeci wspólny: „Adama i Ewy!“ który też

oboje rodzice śprzejmie i wesoło spełnili. Pierwsze *bonum signum*. Pocziwy Strzelecki, jak gdyby nastrojony przeze mnie, a w rzeczy samėj, jak sędzę, sam przez się w téjże myśli działając, przy rozmowie o arystokracyi, wystąpił z tak gorącą apoteozą pierwszych twórców i protoplastów rodowej chwały imienia, w jakimkolwiek bądź zawodzie, że wszyscy przystali zgodnie na jego ostateczne *dictum*: że Napoleon musiał mieć bardzo niskie wyobrażenie o rozumie ludzi w ogólności, jeśli istotnie żałował, jak mówią, że nie był wnukiem lub prawnukiem siebie samego. Sam pan hrabia szczególnie podniósł tę uwagę i dodał do niój kilka historycznych komentarzy, wykazujących głupotę wnuków, pyszniących się wprost zasługami dziadów. Że zaś przed kilku dniami, z ust samėj pani hrabiny słyshałem takie zdanie o bogactwie: że ono o tyle tylko przyczynić się może do szczęścia kobiety, o ile sercu swobodę wyboru zapewnia; — zestawiając więc w jedną konstellacyą wszystkie te trzy okoliczności, nic dziwnego, że dobry z nich wyciągnąłem horoskop, który przed końcem obiadu i mój także humor rozchmurzył. O ile bowiem słowa są obrazem myśli, to czyżby z tych słów obójgu nie można było wyprowadzić wniosku: że dwa na pozór najtrudniejsze szafce, nie są wcale *do niezdobycia*, i że ich wzięcie od sposobu wzięcia się ku temu najwięcej może zależeć. Ztąd ta obawa we mnie, o której wspomniałem najpierw, a która mię dziś trapi najbardziej. Ale co począć z naturą dębu, gdzie trzeba raczej giętkości topoli? Cała nadzieja w przeznaczeniu Bożém, a do-

bra wróżba w humorze Adama, który w dniu tym szczególnie był godzien solenizanta. Sam mówił, że się czuje odmłodzonym o lat sześć, to jest o całą przeszłość po wyjeździe z Wilna. Po obiedzie, sama pani, na prośbę jego, grała ciągle najmniej przez kwadrans melodyą pieśni: „Anioł pasterzom mówił”, której że żadna z pańien nie umiała, Adam tak je z tego względu zawstydział, że obie przyrzekły poprawę. Ztąd wywiązała się nader miła i ożywiona rozmowa o różnych przypomnieniach, przygodach i anegdotach, odnoszących się do dnia wigilii u nas, a w której solenizant prym trzymał. Aniśmy się spotrzegli, jak nadszedł czas iść na *pasterkę*. Deszcz ciągły i chłód na dworze zmieniły program wspólnej z damami wyprawy; sam pan hrabia także pozostał. Młodszy więc tylko ruszyliśmy piechotą, brnąć literalnie po wodzie i błocie.

Kościół *Santa Maria Maggiore* jest jedną z największych i najwspanialszych siedmiu bazylik rzymskich (patrz *Album*); pierwszeństwo zaś przed innymi, co do uroczystości *Mszy pasterskiej*, zawdzięcza znajdującą się w nim relikwii, którą jest *Żłobek* (*presepio*) z Betleemskiej stajenki, w którym Dzieciątko Jezus było najprzód złożone, i gdzie mu pastuszkowie pierwszy hołd oddali. Są to cztery szczątki spróchniałego już, jak widać, drewna, zamknięte w kryształowém pokryciu, i złożone w zagłębieniu wspaniałej bocznej kaplicy, zwanéj przeto kaplicą *Żłobku*, albo N. Sakramentu, i gdzie się znajdują grobowce dwóch wielkich i świętych papieży: Syxtusa V-go i Piusa V.

Relikwią tę po mszy Pasterskiej obnoszą w uroczystej processyi, wśród szpaleru szwajcarów papieżkich, i stawiają na ołtarzu w innej bocznej kaplicy, kratą od kościoła zamkniętej, gdzie przez cały czas świąt Bożego Narodzenia zostaje. To właśnie ściągają tłumy pobożnych i ciekawych, i musiało czynić ten kościół polem popisu modnych strojów i wdzięków, kiedy edykt, w tym roku wydany, zabronił pod karą stu skudów balowego strojenia się damom, a głośnych rozmów i śmiechów mężczyznom, czego, jak nam mówiono, Anglicy się zwłaszcza dopuszczali. Ale gdyby też samą karę nałożono na śpiących, skarb publiczny miałby dochód nie lada! Kiedyśmy przyszli, kościół był jeszcze słabo oświecony, a pomiędzy zapełniającymi ławki, połowa przynajmniej strojnych główek, nie z samej tylko pstrocizny kapeluszków podobną była do kwitnących makówek, ugiętych pod ciężarem plonu Morfeusza. Oburzało mię to z początku; ale mądrze mówi przysłowie:

„Nie urągaj cudzej biedzie,
Bo twoja za tobą jedzie.“

Ledwo bowiem, obszedłszy kościół, usiadłem pod jakimś pomnikiem, skupienie ducha było tak zupełne, że zapomniałem nawet sam o sobie; i dopiero dźwięk trąb, huk bębnow, połączony z brzmieniem organu, wyrwał mię z tego błogiego zachwytu. Cały kościół gorzał już ogniem, a nabożeństwo, wraz z processją żłobka, trwało prawie do pół do drugiej. Tymczasem upusty niebieskie tak ciągle stały otworem, że wole-

musimy zapłacić sześć paolów fiakrowi, niż wbród, albo i wpław gdzie może, dostawać się do domu.

Grom armat z zamku św. Anioła, wesoły odgłos dzwonów, i najniespodziewańszy pogodny blask słońca, zwiastowały nam ranek „tego dnia wesołego”, w którym, na solennem nabożeństwie w kościele św. Piotra, mieliśmy niewątpliwą nadzieję obaczyć nakoniec Papieża. Nadzieja wszakże i tą razą zawiodła. Pius VIII był słaby, jak zwykle; zastępował go kardynał *Pacca*. Wszystko jednak odbywało się tak samo, jak kiedy celebrował sam papież. Wiész może, że wielki ołtarz tak jest tu urządzony, że odprawujący przy nim mszę św. twarzą jest obrócony do ludu, to jest, że wchodzi nań od strony presbyterium i do niego się we mszy odwraca. Ściany tej części kościoła, okryte na ten dzień czerwonym adamaszkiem, połączone były z sobą takiemże czasowem przepierzeniem, w środku którego, naprzeciw ołtarza, wznosił się tron papieżki—próżny. Wzdłuż obu tych ścian bocznych, nie w miękkich i złoconych *stallach*, jak u nas prałaci w katedrze, ale na prostych drewnianych ławach, siedzieli Xiążęta Kościoła: po prawej stronie od ołtarza, kardynałowie-kapłani, po lewej, kardynałowie-dyakoni, w liczbie sześciu. Takież ławy, u stopni papieżkiego tronu z obu stron, zajmowali dalsi dygnitarze Kościoła: Patriarchowie, Arcybiskupi, Biskupi, i nadworni papieżcy Prałaci w fioletach. Celebrant, aż do Ofiarowania, siedział ciągle na krześle przed ołtarzem, jak u nas Biskupi *in partibus*, kiedy tron dyecezyalny wakuje. Wszystkie téż dalsze szczegóły mszy św. nie różniły

się niczém od naszych przy celebrze biskupiej. Majestatyczniejszego zgromadzenia nie ma pewnie na kuli ziemskiej; sam nawet dawny senat światowładnej Romy nie mógłby się z niém mierzyć, jeżeli nie w zewnętrznej powadze, to przynajmniej w godności znaczenia. Roma ruszała tylko ciałem tego świata; Kościół ożywia i kieruje go duchem. I trzebaż, że właśnie w chwili Podniesienia, słońce snąc nagle wyszedłszy z za chmury, pełnym blaskiem padło na ołtarz, i odbiło się w podniesionym kielichu. Wierz mi, że nie byłoby to tylko retoryczną figurą, gdybym dodał: że odblask ten powtórzył się w chrześcijańskich sercach tych wszystkich, co go wraz ze mną w téj chwili widzieli. Ale mimo tego wrażenia i całej świetności obrzędu, to niezajęte miejsce Papieża psuło jakoś harmonią całości, jak niezamalowany środek w obrazie, albo jak brak szczytu w budowie. Adam, gdy była o tém mowa na wieczorze u państwa Ankwiczów, przyrównał to wrażenie do protestantyzmu: bez spójni środkowej wewnątrz, i bez szczytu na zewnątrz.—

O! bo co na nim samym, pod względem ortodoxyi, to już chyba nowenna panienek wyraźnie skutkować zaczyna! Język przynajmniej trzyma jak za krawędź, którym kiedyś przy lada sposobności, tak im zwykle przekomarzać się lubił. — Na drugi dzień świąt, jako w dzień św. Stefana, państwo Ankwiczowie, podług wczorajszej umowy, zajechali po nas i zawieźli na nabożeństwo do *San Stefano Rotondo*, na *Monte Celio*, (patrz *Album*). Ma to być pierwszy typ kościołów okrągłych, z epoki Konstantyńskiej, przerobiony z ja-

kiéjs dawnéj świątyni, a odznaczający się jedynie freskami na ścianach, cennemi może z pendzla, ale tak obrzydliwemi dla oka a wstrętnemi dla wyobraźni, że strach iżby się czasem kiedy nie przyśniły. Są to obrazy rozmaitych męczeństw, wzięte całkiem ze strony fizycznój. Gdybym pisał co kiedy o męczennikach, samo wspomnienie tych fresków byłoby mi już zbawienną przestrogą. A i nie zawadziłoby wielu naszym romantycznym kolegom, aby je choć w rysunku widzieli; to jest, jeżeli obrzydliwa potworność nie wyda się im raczéj siłą i nie zachęci do naśladownictwa, jak się i to niekiedy przydarza. Po nabożeństwie, sama pani zaproponowała pojechać do *Ara coeli*, na Kapitolu, dla obaczenia sławnych w tym kościele jasełek. Ale tu panna Henryetta wystąpiła z tak żywą opozycyą, że nawet moja mozgownica pojęła, iż nie chce ich narażać na krytykę profanów. Adam tedy na przekór uparł się koniecznie aby jechać, i opponentka nakoniec musiała uleść większości. Była jednak nie w swoim humorze; i dopiero kiedy się oględziny w milczeniu, ze wszelką czcią i powagą odbyły, widać było że odetchnęła swobodniéj. Spektakl ten stanowi grupa, a grupę składają: najprzód Dzieciątko Jezus, we żłobie i w pieluszkach, naszywanych perłami i klejnotami, a potém pięć figur naturalnéj wielkości: N. Panny, św. Józefa i trzech pasterzy. W oddali poza niemi daje się widzieć zwierzątko, którego nawet imienia wymieniać tu jakoś nie wypada. Samo Dzieciątko, przywiezione tu niegdyś z Jerozolimy, wyrzeźbione jest, jak mówią, z drzewa z Góry Oliwnéj, i po-

malowane jakoby przez samego św. Łukasza. Inne figury są z wosku, i ubrane jak w gabinecie figur woskowych: N. Panna w bogatej materyalnej sukni, z pierścionkami na palcach i z dużemi brylantowemi kolczykami w uszach. O wszystkiém tém, w innym czasie, wieleby może dało się powiedzieć; ale tą razą nikt z nas nic nie mówił. Kiedy zaś już w powozie sam p. Ankwicz opowiadał nam, że to Dzieciątko, uważane za cudowne, wożone bywa niekiedy do chorych, a mianowicie do kobiet, i uczynił przytém uwagę, że to nieco na bałwochwalstwo zakrawa: Adam owszem wziął w obronę ten zwyczaj, jako środek wzbudzenia wiary, która sama sprawuje cuda. Panna Henryetta spójrzała z pod czoła z wdzięcznością, a panna Marcellina uśmiechnęła się znacząco; za co wnet przypląciła rumieńcem, kiedy ją zapytałem znieuważnie: dla czego tak się uśmiecha? — Wszyscy my tu bowiem, jak widzę, rozumiemy się między sobą na wylot, i odgadujemy nawzajem, w jakiej myśli co kto mówi lub czyni; chociaż każdy z największą skrupulatnością strzeże w sobie „*sekretu komedyi*“, która Bóg wie jak się zakończy, ale której ty jeden dotąd jesteś—jeśli nie spektatorem, to przynajmniej zakulisowym konfidentem. Że zaś w tém to jest właśnie główny powód i cel tego listu, a nic już więcej o tém do dodania nie mam: mógłbym go więc i skończyć na tém, gdyby nie chęć powiedzenia ci jeszcze słów kilku o nowej znajomości *ślawnego* człowieka, i o wieczorze u państwa Potockich, na którym cały *wielki* świat Rzymski widziałem.

Człowiekiem tym jest pan Karol Bonstetten z Genewy, znakomity, jak mówią, filozof, psycholog, archeolog, i pisarz we francuzkim i niemieckim języku, a najrzeźwiejszy i najmilszy staruszek, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Ma już lat 84, ale w ruchach i w rozmowie—młodzieniec. A co za szarmant i galant! najmłodszego w kąty zapędził. I w tém téż to podobno jest źródło téj jego wiecznej młodości. Wspominałem ci już o nim, pamiętam, jako o adoratorze panny Anastazyi, który dla niéj przyjechał do Rzymu; a oto ona właśnie oskarża go o niewierność, mówiąc: że wszystkie młode panienki kochają się w nim w Genewie, a on dla żadnej niewzajemnym nie jest. Staruszek śmieje się do łez, i za całe usprawiedliwienie całuje po ojcowsku swoją oskarżycielkę, niekiedy tylko zowiąc ją: niewdzięczną. — Trzeba ci bowiem wiedzieć gdzieśmy go poznali. Oto u pani Klustin, na obiedzie w drugie święto i w oktawę dnia urodzin xiężny Wołkońskiej. Przy toaście więc za jéj zdrowie, gdy i Bonstetten z kolei życzył jéj okrągłych lat stu, xiężna odpowiedziała z uśmiechem, że życzenie to wtedy dopiéro miałoby rzeczywistą wartość, gdyby życzący nauczył ją zarazem swego sekretu, jak tak młodość umysłu i serca zachować? — „Damom w tém nic radzić nie śmiem, odpowiedział, bo one same lepiej to umieją. Ale gdyby mię pytał mężczyzna, powtórzyłbym bez wahania słowa Apostoła: *kochajcie się, kochajcie, kochajcie!* a tyłkobym dodał od siebie: *i umiejcie kochać!*“—Ja zatém pozwoliłem sobie zapytać: na czém właściwie ta umiejętność zależy?

„*Aimez toujours ce qui est beau et immortel, et vous vaincrez le corps et le temps.* Serce nasze, jak całe ciało, jest z gliny; ale póki w niém miłość kwitnie, jak kwiat w wazonie, kwiat ten zakrywa szczyby, które czas w niém czyni“ — To były słowa i treść odpowiedzi. Kiedy zaś po obiedzie, po raz może dziesiąty całował w czoło pannę Anastazją, a ja na to uśmiechnąłem się z boku; postrzegł to, i śmiejąc się także, zawołał: „*Ah! ah! Messieurs les jeunes gens! vous croyez que l'amour est le monopole de votre age!* Otóż ja wam powiadam przeciwnie: że miłość dopiero na starość dosięga najwyższego szczytu doskonałości: jest całkiem wynikiem duszy i wolna od wszelkiego ziemskiego egoizmu. *C'est l'avant goût des amours des anges.*“ — Przypomniał mi się Oleszkiewicz, który mówił prawie to samo; tylko że mówiąc po religijnemu, cudowny ten wpływ miłości, do duszy zwłaszcza i do przyszłego jój życia stosował. W każdym razie, recept ten Bonstetтена na szczęśliwą starość, choćby jój człowiek nie dożył, dobry jest jak winogronowa kuracja; mniejsza o skutek, kiedy ona sama tak miła! Bo już-cież myślę, że słodkie *winne i niewinne* jagódki, nigdy się człowiekowi nie sprzykrzą.

Ale zmiłuj się, proszę, niech te słowa moje nie rzucą w twoim umyśle ani cienia jakiegokolwiek śmieszności na szanowną postać tego najmilszego staruszka, jakby on tylko w żarcikach i o miłości tylko rozmawiał. Nie! Jestto tylko jak kwiatek przy poważnej delii mędrca i dostojnego męza stanu, przypadający do niej nie jak *do kożu-*

cha. Bo że był jednym i drugim, w dziełach swoich i życiu publiczném, na ważnych urzędach w ojczyźnie, to i słyszę od drugich, i sam widzę i czuję w obejściu się jego i w słowach. Adam zna i wysoko ceni najnowsze dzieło jego: *L'Homme du Nord et l'homme du Midi*, a panna Anastazyja ma nam dać do przeczytania: *Voyage sur la scène du dernier livre de l'Enéide*, gdzie ma być ciekawe opisanie ówczesnych okolic Rzymu. Słyszałem jak rozmawiał w tym przedmiocie z Adamem, i obydwaj byli z siebie kontenci. Ale najkontentniejszą, jak widziałem, była sama panna Anastazyja, że mogła tak na obie strony przyjaćciółmi się swoimi pochlubić. Oprócz albowiem Bonstetтена, byli jeszcze na tym obiedzie dwaj inni uczeni z Genewy: p. *dę Luc* i p. *Douby*, starszy pastor, rodzaj kalwińskiego biskupa. Obaj bardzo poważni, grzeczni i uprzejmi; ale ja oczy i uszy miałem tylko dla mojego ukochanego staruszka, który jest odąd moim ideałem na starość, jeśli Bóg da dożyć starości. Wiele zdań jego i myśli zanotowałem sobie w dzienniczku, jako prawdy kardynalne, które po raz pierwszy słyszałem. I tak np. mówił między innymi: „że największe dobrodziejstwo, jakie człowiek może wyświadczyć drugiemu, chociażby nawet mimowolnie, jest to: jeżeli go pobudzi lub zniewoli do kochania siebie, nie dla upatrywanój w tém tylko przyjemności albo korzyści, ale przez poczucie i uczczenie w nim ogólnej ludzkiej zacności lub piękności moralnej. Człowiek bowiem, który raz tym sposobem drugiego szczerze pokochał, nigdy już ani całkiem złym, ani

całkiem nieszczęśliwym nie będzie.“— Przypomina to nieco ów wiersz Trembeckiego:

„Ktokolwiek czuć jest zdolny prawdziwe kochanie,
Albo już jest cnotliwym, albo się nim stanie.“

Kwestya tylko, na czém ta *prawdziwość* zależy? Walter-Scott powiada w swoim *Ostatnim Minstrelu*, że *duchy ziemskie* nie umieją tego oznaczyć:

„*But earthly spirit could not tell
The heart of them, that loved so well.*“

I sam przeto określa ją w tych słowach, które kiedyś przetłómaczyłem do jakiegoś sztambucha:

„Nie jestto płochy ognik wyobraźni,
Co póty gore, dopóki się draźni;
Nie z ziemskiej żądzny swój mocy nabiera,
Nie przez nią żyje, i nie z nią umiera.
Lecz jestto związek ducha z duchem, który
Spaja się tajném ogniwem natury,
I łączy węzłem niezrywnój jedności,
Dwa serca w życiu, dwie dusze w wieczności.“

Bonstetten zaś wypowiedział to swoje zdanie w bardzo poważnej rozmowie przy obiedzie, zestawiając i porównywając między sobą dwa najbardziej może wrażliwe i wpływowe genjusze swojego czasu: Woltera i Byrona, których obu znał osobiście; pierwszego, gdy mieszkał w Ferney, za czasów młodości Bonstetena, a drugiego, podczas jego podróży po Szwajcaryi i pobytu w Genewie. „Byron chciał, ale nie umiał kochać. Kochał to tylko, co mu robiło przyjemność,

zużył swe siły, że mu już ich nie stało na miłość prawdziwą, kiedy ją czuć zaczął przy końcu. Wolter ani chciał, ani umiał kochać nic i nikogo, prócz siebie. Nasylenie próżności było dlań jedyną rozkoszą. Obaj nienawidzili ludzi; ale Byron zwłaszcza dla tego, że w oczach jego nie byli warci kochania; Wolter tylko dla tego, że albo go nie dość wielbili, albo przeciw niemu stawali. Byron nie poniewierał nigdy świętością i cnotą w idei, tylko, że jak jój sam w sobie nie ufał, tak w szczerłość jój w drugich nie wierzył. Objawy jój brał za hypokryzją, której mianowicie niecierpiał, a wojując z nią słowy i czynem, sam, przez ducha przekory, przesadzał w pozorach złego, które umyślnie i z ostentacją przybierał, aby urągać przez to przeciwnikom swoim. Wolter, wróg jawny świętości w wierze, nie mógł być przyjacielem cnot z niej wypływających; a jeśli je niekiedy udawał, to chyba aby pokazać, że się cnota może obejść bez wiary. U obydwóch nienawiść była głównym pierwiastkiem i bodźcem natchnienia, któremu jeden i drugi zawdzięczają najwymowniejsze karty dzieł swoich. Źródło tylko téj nienawiści było w obu odmiennie. Byron mścił się, zda się, na ludziach, za skazony ideał ludzkości; Wolter mścił się tylko za siebie, a ideał w śmieszność obracał. Geniusz u Byrona, był jak orzeł Jowisza, który ciska pioruny z góry; u Woltera, jak wąż Laokoona, który z dołu wspina się i dusi. Obaj, prócz upojenia rozkoszy lub pychy, nigdy nie byli szczęśliwymi w sobie. W Byronie znać to było po wybuchach gniewu, w Wolterze po swarliwéj

zgrzyźliwości humoru, który poważnił go nawet z królewskim jego przyjacielem, Fryderykiem Prusskim. Obu im brakło wewnętrznego pokoju, który jest pierwszym warunkiem do szczęścia, ale który miłość tylko dać może.“

Słuchając tych słów Bonstetтена, brała mię wielka ochota zapytać, czy on sam, który tak hołduje miłości, był przez nią tak istotnie szczęśliwym w całym ciągu życia, jak widzę, że jest nim na starość, lub jak wiem z doświadczenia, że w młodości być można? Ale mi na to zapytanie w myśli, odpowiadał stanowczo sam wyraz jego fizyognomii, tak spokojnej, tak pogodnej, tak słodkiej, jak gdyby po niej żadna nigdy burza, żadna gorzka boleść nie przeszła. I gdy jeszcze dodałem do tego, co o nim panna Anastazyja mówiła, że go wszystkie panienki kochają: widziałem w nim jakby obraz tych błogosławionych, o których mówią legendy, że się ich leśne ptaszątka nie bały, i siadając im na ramionach, wtórowały w śpiewaniu psalmów.

Pod wpływem tego uczucia, prosiłem przy końcu obiadu, aby mi wolno było wznieść jeszcze na cześć jego, jako Patryarchy miłości, rodzimy nasz toast: „Kochajmy się!“ którego, ma się rozumieć, objaśniłem mu najprzód znaczenie. Spełniono go ruszając się od stołu, i wszyscy kołem otoczyli staruszkę; panna Anastazyja zaś, z kieliszkiem w ręku, przyklękła przed nim na jedno kolano; — i tu się zaczął ów szereg ojcowsko-poetycznych całusów, o których wspominałem już wyżej.

ństwa Potockich był co się zowie świetny, pyszny, wspaniały. Obaj bracia zajmują razem ogromny pałac *Gregorio*, i przyjęcie to było wspólne. Osób musiało być ze dwieście. Nie tańczono, ale chodzono. Balowe stroje dam roily się i migały po salach, jak kolibry w świetle słoneczném. Rozmowy były ożywione i gwarne. Przewywała je muzyka lub śpiewy. Najsławniejsi śpiewacy z różnych tutejszych teatrów, występowali kolejną, w solach, duetach, tercetach; chóru tylko ani razu nie było. Z głosu i wdzieków pani *Testa* była najpiérwszą: słowik i róža w jednéjże osobie, której same oczy i rysy natrącają tę myśl o Wschodzie. Po niéj szły panie: *Camporesi*, *Boccabadati*, *Marini*. Z mężczyzn śpiewali najpiéj pp. *Ronconi*, *Cortoni*, *Angiolini*, i t. d. Niejaki *Trentanove* śpiewał dziwnie soprano (jakieś *solo buffo*), nie piersiami ale gardłem, naksztalt tyrolki. Koncert ten musiał ogromnie kosztować gospodarzy, ale to wszystko i w teatrze można posłyszeć. Zatoż takiego zgromadzenia razem tylu znakomitości miejscowych i zagranicznych, nie wiem czyby gdzieindziej dało się zobaczyć. Ale co nas cieszyło najwięcéj, i co nawet zostało jako główne wrażenie tego wieczoru, to, że wśród tego tak liczne go grona piękności i wielkich dam z całego świata, Polki nasze trzymały piérwszeństwo, i to pod każdym względem i we wszystkich kategoriach wieku. Osiemdziesięcioletnia już może xiężna stolnikowa Czartoryska, siwiuteńka jak gołębek staruszka, była jakby idealnym obrazem tych świętych starodawnych matron naszych, z których chyba

opisów życia można sobie wymarzyć taką postać, jakąśmy tu na jawie widzieli: tak pełną razem wdzięku i powagi wieku; słodyczy i mocy charakteru; skromności i prawie pokory, a zarazem takiej godności, jak się to wszystko w wyrazie jój twarzy i w całym jój obejściu maluje. Ona to właśnie była tym środkowym punktem, około którego zebrało się tak ochoczo i licznie grono najpiérwszój arystokracji tutejszój, która, jak powiadają, nie rada udzielać się cudzoziemcom, i nie łatwo ich do siebie przypuszcza. Ale xiężna stolnikowa przez lat wiele prowadziła tu niegdys dom świetny i otwarty; a chociaż na resztę życia zamknęła się teraz w klasztorze, pamięć dawnój jój uprzejmości i wspaniałości światowój, połączone ze czcią dla jój wieku i cnót chrześciańskich, czyni ją dotąd celem ogólnego szacunku i uszanowania, jakiém ją na tym wieczorze wielki świat Rzymski widocznie otaczał. Córka jój, pani Alfredowa Potocka, wespół z bratową swoją, panią Arturową, czyniąc wspólnie honory domu, odznaczały się obie zarówno taką jakąś królewską powagą i wdziękiem, (w czém i wspaniała postać ich obu niepoślednią odegrywała rolę), że się w istocie czuło jakby chlubę, że się jest ziomkiem w tym domu, który na obcych gościach tak imponujące sprawiał wrażenie. A cóż mówić o xiężnie Izie, o tój, jakby reprezentantce trzeciego pokolenia?— bo jest wnuczką rodzoną xiężny stolnikowój, a siostrzenicą pani Alfredowój Potockiej. Była ona najpiękniejszą na tym raucie, jak niegdys we Florencyi, na balu u xięcia Bacciochi. Ale tyle już razy pisa-

tem ci o niej, że nic nowego do dodania nie mam. Wprawdzie piękność ma to podobieństwo ze słońcem, że choć codzień widziana, nie powszednieje nigdy, a zawsze rozwesela i ożywia nanowo. A ma także i to podobieństwo z księżycem, że choć sama świeci najjaśniej, żadnej z gwiazdek niebieskich nie gasi. Otóż temi gwiazdkami dla nas, które nam bodaj najmiliej świeciły, były na tym wieczorze obie nasze panieneczki z *Via Mercède*, godne przedstawicielki wdzięku dziewcząt naszych. Był to pierwszy ich występ na horyzont wielkiego świata, a już jedna z nich, choćby nawet przed słońcem, mogłaby się ze swego *satellisa* pochłubić. Ale oba nie odstępowaliśmy ich prawie, bo pychę z serca złożywszy, same nas o to prosiły, przyznając się do nieśmiałości w tém tak licznym a obcém dla nich zgromadzeniu. Ubrane były balowo, błękitnie, i wyglądały prześlicznie w lokach, które im pierścieniami spadały na szyję. Adam ujrzawszy pannę Henryettę, powiedział: „Jabym pani dzisiaj nie poznał: taka pani strojna, światowa!” — Ona biédaczka zmieszała się na to; ale ja dobrze widziałem, że go ten strój i światowość nie razi. — A poznaliśmy także jeszcze jedną Polkę, któraby może we wrażeniach moich zajęła miejsce blisko księżny Izy, gdyby sama samo chcąc nie zepsuła uroku, który jój uroda sprawiała. Jest to pani Gr... z Podola, P...ska z domu, piękna istotnie z twarzy i z postaci, ale strojna aż do przesady, a i jój pierwsze odezwanie się, niestety, przypomniało mi bajkę o pawiu. Nie żeby głos był niemiły — gdzie tam! Głosik jest godny ko-

ralowych ustek; ale to też tém większa szkoda, że z nim chętką do rozmowy nie bierze. Bo gdy mąż jój, poznawszy się z nami, przedstawiał jój najprzód Adama, ona przybierając widocznie pozę „*wielkiej damy*,” i zapewne chcąc ujsć przed nim za taką, przemówiła do niego najprzód — po francuzku. Nie umiém ci wypowiedzieć, jak na te proste słów kilka, termometr piérwszego wrażenia spadł raptownie do zera. To też Adam nie odpowiedział jój ani słowa na powitalny komplement, a i ja, zaprezentowany z kolei, poprzestałem na zimnym ukłonie. Zawód, jak sędzę, był z obu stron równy. Ma prawo nas posądzać o brak grzeczności, albo francuzczyzny, jeżeli braku taktu nie poczuje w sobie. Ale ciekawy byłbym miny jakiego francuzkiego poety, dajmy np. Lamartina, gdyby mu jaka paryżanka, na cześć jego *Medytacyj*, wypaliła komplement po hollendersku, i chciała się przed nim popisać, albo zaimponować mu przez to, że przemawia obcym językiem. To też bodaj że nigdzie, oprócz u nas, niestety, śmieszności téj nie ma w zwyczaju.

Ale przebóg! czyżbym tym ciemnym rysem skończyć miał obraz idealności niewieściój w rodaczkach, który sam czuję tak jasno, i chciałem go tu odbić na ciebie? Otóż szczęściem mam jeszcze do wspomnienia dziewczeczkę, dziecko jeszcze, ale tak miłe i mądre, jak ten Rafaelowski aniołek, co to u stóp Syxtyńskiej Madonny zamyślił się i patrzy ku górze. Jest to mała Alexandryna Potocka, rodzona siostrzenica pani Arturowej i blizka kuzynka samego, która się przy nich

wychowuje. Nie była ona jeszcze na tym raucie w salonie; ale musiała nieraz ze swojego pokoiku wyglądać. Nie przeto jednak tylko, że jest jedyném dzieckiem polskiém w Rzymie, mógłbym ją téż wziąć śmiało za typ tych naszych dziewczątek, z których, za czasem i za łaską Bożą, rosną takie dziewice, młode niewiasty, damy i matrony, których nasz świat może i powinien zazdrościć, a my za nie Panu Bogu dziękować. Bądź zdrów!

VI.

Do Ignacego Ohodźki.

Rzym, 31 grudnia 1829 r.

Bankiery, kassery, kontrolery, sknery,
Liczą dziś pewno złoto, srebro i papiery,
By do budżetów roczne dopisać latusy.
A więc i ja podobnie jak ziemskie Plutusy,
Kończąc dzisiaj młodości pierwszy lat dziesiątek,
Obliczam w sercu skarby uczuć i pamiątek;
Co doń, jak do kościelnój u progu szkatułki,
Wrzucili przyjaciele albo przyjaciółki,
Bym szcząc się, nie wstydząc, tój serc ich jałmużny,
Wiedział najprzód, co komu i ilem jest dłużny,
A potem dług ten w duszy, sumiennie i święcie,
Ulokował na wiecznój wdzięczności procencie.

A wiész-że co wypadło z tego obrachunku? Oto, że jesteś jednym z głównych—ba! nawet najgłówniejszych — wierzycieli, czy dobrodziejów moich; bo sam nie wiem jak was mam nazwać, was, od których, albo za pośrednictwem których, najwięcej mi tych drogich uczuć i pamiątek przybyło. Owóż, kiedy najgłówniejszemu, to jest Adamowi, sam dziś dźwięczną monetą słowa, ów należny mu procent wypłacam: tobie, jako assygnatę czy wexel, chcę postać przynajmniej ten mój list, ażebyś sam zeń może, ku podziwieniu własnemu, dowiedział się po raz pierwszy, ile twojego jest w tój

skarbonce serca, którą ja dzisiaj, jak zakrytyan przed plebanem w sobotę, otworzyłem przed Adamem i liczę.

Otóż tedy wiedz najprzód, że przez ostatnie lata szkolnego mego dzieciństwa w Borunach, byłeś dla mnie, jak ów indyjski Wisnu, pierwszym wcieleniem poetycko-literackiego ideału, o czym ty naturalnie ani wiedziałeś, ani wiedzieć nie mogłeś, tak jak np. młode i piękne sąsiadki Boruńskie, modląc się w ławkach w niedzielę, nie wiedziały ile strzelistych westchnień i affektów wznosiło się ku nim ze studenckich ordynków. Żeby zaś to nie miało bliźtra komplementa, wytłómaczę ci wszystko jak było. *Primo*: X. Martynian Komar, mój i twój niegdyś professor wymowy, który i mnie jak ciebie uczył też prócz tego po francuzku, prześwidrował mi najprzód uszy twojém imieniem, stawiając mi cię zawsze za przykład, jako wzorowego swojego ucznia, a dziś sławnego literata, przynoszącego zaszczyt Borunom, Bazylianom, i jemu. *Secundo*: Wuj mój pan Onufry, czynny aktor amatorskich teatrów, urządzanych przez stryja twojego, lubił, opowiadając o sobie, opowiadać też cuda o twoim talencie na scenie, a zwłaszcza za kulisami, gdzie grał zawsze role kochanków. *Tertio*: Gdziekolwiek była mowa o „*Wiadomościach Brukowych*,” imię twoje obijało mi się o uszy, jako jednego z najpięrszych *Szubrawców*, których koncepta, chociaż bezimiennie, poznawano po treści i sposobie pisania. Potrzebaż było więcéj, aby cię w wyobraźni studenta, wdychającego *in petto* do autorskiéj sławy, jak na

szczyt kolumny postawić? Nakonięc uderzyła mię raz, pamiętam, i zastanowiła szczególnie tajemnicza jakaś mina jednej twojej sąsiadki, krewniej naszej. która do nas przyjechała w gościnę, i gdy była mowa o tobie, chwając cię z rozumu i przyjemności w towarzystwie, ciągle przytęm spuszczała oczy i wzdychała głęboko. Zapytałem więc co to ma znaczyć? i dowiedziałem się, żeś — *Farmazon*. Nie wiedziałem ja wtedy, jak podobno i nikt jeszcze nie wiedział, co to było za głupstwo w grancie, ta cała wasza masonerya litewska, która tyle lat i tyle młodzieży zmarnowała na próżniactwie i fanfaronadzie: aż pan Tomasz dopiero kres temu położył. Ale co wtedy, to sama nawet ta mniemana herezyja twoja, jeszcze ci więcej w oczach moich blasku i interessu przydała, łącząc do sławy literackiej znaczenie obywatelskie, które natenczas jeszcze tytuł *Masona* nadawał. To też nie dziw, że pierwsza chwila poznania cię osobiście, jak mi dotąd tkwi żywo w pamięci, jak gdyby to było wczoraj. — A ty? „*T'en souviens-tu?*” Pewno nie. Otóż ja ci przypomnę: nie dla ciebie, ale dla siebie samego; a jeśli chcesz, to może i dla tych, co razem z tobą list ten czytać będą:

I może też na przeszłość myśl zwróciwszy baczną,
Marząc o mnie rok stary skończą, nowy zaczną.

Było to tedy w roku Pańskim 1817, dnia 14 sierpnia, t. j. w wigilię N. P. Maryi Zielnej, i bierzmowania w kościele Wojstomskim, przez xiędza biskupa Kundzicza, na które mię matka moja umyślnie przy-

wioła do Horkol, gdzie w dniu tym, na cześć Jego Excellencyi, dany był świetny wieczór dla całej parafii, na którym i ty być miałeś. Czekałem cię jak kania deszczu. A gdy jeszcze i wszystkie panienki, a między niemi i śliczna moja kuzyneczka Horsa, szeptały wciąż między sobą i wyglądały przez okno: czy Chodźko z Dziewiętni nie jedzie?—znaczenie twoje w mojej wyobraźni stało się na wierzchołku zenitu. I gdyś sam wszedł nakoniec, ubrany balowo, w białej chustce i białych rękawiczkach, zarumieniłem się niemniej może jak Horsa; chociaż w tej nawet chwili, ten jej nagły rumieniec, coś jak zazdrość we mnie obudził. Mimo to wszakże patrzałem na ciebie jak w tęczę, i prawdziwie z bijącym sercem, dałem się zaprowadzić i zaprezentować tobie przez jej ojca, a wspólnego krewnego naszego, który też z tego tytułu wziął tę rekomendację na siebie. Bóg ci zapłać, za uprzejme słowo zachęty, którym mię raczyłeś powitać, gdy ci on mnie jako wierszopisa przedstawił; a gdy potem, w zastępstwie matki, zasiadłem razem z tobą do partyi *ćwika*, czułem się ciągle w takim podniesieniu, jakbym znalazł cztery tuzy w *azarzie*.

I gdy przed dwiema godzinami to samo prawie co tu piszę opowiadałem o tym wieczorze Adamowi, on sam zgodził się na to, że możnaby go uważać niejako za emblematyczny obrazek ówczesnego stanu naszego wiejsko-szlacheckiego społeczeństwa. Biskup obok z Proboszczem, obaj z białemi włosami, na pierwszym miejscu u wieczerzy. Przy nich, po obu stronach, dwaj siedemdziesięcioletni bracia, Polonusowie w kon-

tuszach; nie licząc trzeciego, starszego jeszcze od nich wiekiem gospodarza, który sam do stołu nie siadał. A wszystko to ludzie światli, obywatele i urzędnicy poważni; a przecież podochoceni przy końcu wieczery, chórem we trzech, dla zabawy biskupa, „*Kurdesza nad Kurdeszami*“ śpiewali.— Czyż nie byli oni jakby obrazem téj już znikającej naówczas przeszłości, w której dobroduszna uprzejmość i towarzyska wesołość zapominały tak łatwo o światowej swojej powadze, a serdeczna, ojcowska życzliwość, pociągała ku sobie młodzież, nie dając jéj zapomnieć o powadze wieku?— A i żony téż ich wszystkich, każda w swoim guście, czyż nie wyobrażały w sobie jakby głównych typów ówczesnych naszych wiejskich obywaterek-szlachcianek: od gospodarnéj wesołéj kumoszki, jaką była moja ciotunia, do cichéj i skromnéj dewotki, i nieco sztywnéj sensatki i literatki, za jakie w całym Zawilejskim powiecie, nie tylko w waszéj parafii Wojstomskiej, uchodziły obie bratowe: z Dobótówek i Wyholeniąt? — A znowuż szanowny pan Krzysztof: kapitan Napoleoński, kawaler Legii Honorowéj, świeżo obrany Prezydentem Grodzkim! z młodziutką swoją małżonką, wnuczką i siostrzenicą xięcia, wychowaną z francuzka po pańsku! i ty—ty drukowany autor i poeta! ty *Szubrawiec* i *Mason!* a przytém młody dziedzic majątku; a przytém *szarmant* i *galant*, przedmiot westchnień i rumieńców panieńskich!... Czyż nie koncentrowaliście w sobie niejako wszystkich dodatnich rysów nowego pokolenia, które już rej wiodło w powiatach, i przed którym starsi usuwali się z respektem,

choć może nie bez żalu; a młodszy, jak ja z szarego kęńca u stołu, wlepiali w was wielkie oczy, i brali z was wzorki dla siebie?— Ale czyż ja mogłem wtedy przeczuwać, że jestem już jakby ździebelkiem tego nowego posiewu, który już musiał bezwiednie kiełkować wtedy po szkołach, kiedy się w kilka lat potem, tak bujnie i tak od razu, w uniwersytecie naszym rozwinął? Czyż ja mogłem wtedy pomyśleć, że gdy z tego ździebelka wywiąże się ziarnko: z ziarnka tego wykwitnie najprzód względem ciebie—literacki antagonista? Względem ciebie! który od tej pamiętnej gościny w Horkolach, stałeś się dla mnie stanowczo, na całą resztę szkolnego w Borunach pobytu, idealnym *kawalerem* wszystkich moich literacko-światowych myśli i marzeń: żeby tak kiedyś o mnie, jak o tobie gadano; żeby mię tak panienki wyglądały przez okno, i tak się rumieniły na spotkanie moje, jak się Horsia zarumieniła na twoje!...

Ale patrz, jak Opatrzność łaskawa! Jeszcze mi się ani o romantyzmie, ani o antagonizmie z tobą ani śniło, kiedy już, nie mniej bezwiednie, błysły mi przed oczyma nazajutrz, jakby pierwsze promyki nowój, dalszej epoki życia, w której ty znowu miałeś stać się dla mnie — nie już koniecznym ideałem, ale serdecznym, szczerym przyjacielem, dla którego wzajemność i wdzięczność stały się integralną częścią mego serca. I niechże mi tu jaki filozof dowiedzie, że się Opatrzność do spraw naszych nie miesza! że wyższe przeznaczenie nie kieruje nami!—Któż to zrządził, że gdy nazajutrz, w roli gościa, stałem na pierwszym miejscu

w rzędzie chłopców, czekających na *akkoladę* biskupa; tuż przeciw mnie, na czele dziewczątek, stały dwie jakieś panienczki w bieli, z błękitnymi szarfami i takimiż wstążeczkami w warkoczach? Po sto razy spuszczałem oczy, żeby na nie nie patrzeć: bo mi to przeszkadzało w pacierzu; a przecież jakaś nieprzeparta siła przeciwiała się wciąż woli mojej. Ale mógłbym wtedy przewidzieć, że biorąc z rąk kapłańskich bierzmo religijne, mam już i widzę przed sobą tę przyszłość, która mię z woli Bożej w życiu rzeczywiście, z wyrostka na młodzieńca, a z młodzieńca na człowieka *passować* kiedyś miała?. Że te dwa małe aniołeczki w bieli, staną kiedyś pomiędzy mną a tobą (ówczesnym ideałem moim), aby nas, jak pośrednie ogniwa, węzłem przyjaźni i braterstwa połączyć?

A i w dalszym naszym stosunku, ileż to chwil nie mniej może charakterystycznych i nie mniej providencyjonalnych! bo wszystkie tak logicznie wyływały jedna z drugiej, a wszystkie tak do jednego dążyły!— Nie mówię tu już o tych żarliwych, gwarliwych, a przecież nie swarliwych dysputach, które za każdym twoim przyjazdem do Wilna, staczaliśmy jak w szrankach, na wieczorach u pana Tomasza, o klasycyzmie i romantycyzmie, o balladach i odach, lub, jak się ty wyrażałeś: o Febie i Belzebubie. Dysputy te rzeczywiście były pewnym rodzajem turnieju, w którym, aspirujący do złotej ostrogi giermkowie, jak np. ja i Oleś, uprawiali się i zaprawiali do walki, krusząc kopije lub goniąc na ostre z *passowanymi* rycerzami, jakimi byłeś np. ty i Rosołowski. Ale zatoż po stro-



nie naszej był cały prawie zastęp publiki spektator-
skiej, który nam siły i odwagi dodawał; a wy we
dwóch, pomimo stentorowego głosu pana Stanisława
i ostrza twoich konceptów; pomimo nawet niekiedy
pomocy pana Tomasza albo Czeczotta, którzy jako
bezsronni sędziowie turnieju, „wiatr i słońce“ po ró-
wno obu stronom dzielili i zbyteczny zapal nasz hamo-
wali; wy, mówię, coraz widoczniej traciliście grunt
pod nogami, tém bardziej, że i wasze literackie su-
mienie nieraz pewno *in petto* przemawiało za nami.
A przecież, ile sobie przypominam, te spory, które mię
najprzód względem ciebie na pewny stopień równości
podniosły, a pomimo całej pozornej szorstkości lub
gwałtowności w słowach, serca nigdy nie zajątrzyły:
same owszem te spory były jakby dalszym szeregiem
ogniów, z których się stosunek nasz splotał, i które
nas—mnie przynajmniej w myślach z tobą łączyły.
Kiedy zaś je porównam z Warszawskimi, które tam
potém z miejscowymi klasykami staczałem, mój Bo-
że! cóż to za różnica! Z nas każdy do upadłego bro-
nił swojej tezy, ale że przytém nie myślał o sobie:
w przeciwniku téż widział nie nieprzyjaciela, który
chce plon jego podeptać, ale tylko współpracownika,
który chce wspólną niwę po swojemu uprawiać, ale
zawsze zarówno dla jęj dobra pracuje. Ztąd téż i ta ró-
żnica stosunku między dysputantami, i nakoniec skut-
ku tych dysput. Nasze dałyby się przyrównać do stu-
denckiej gry w śnieżki, w której guz od lodówki choć
bolał, ale nie gniewał, i w której porażony nawet,
był zawsze w końcu jak ów kolega Karpińskiego,

o którym on we wspomnieniach swoich szkolnych powiada:

„I od nas zdrapany cały
Całował nas Tomcio śmiały.“

U nich, to jest w Warszawie, rzecz inna! Tam wszystko nastrojone na ton salonowy. Osobistość, a nie rzecz sama, stoi zawsze na pierwszym planie. Otwarta sprzeczność zdania, poczytuje się za niegrzeczność, i jako taka, sprawia zwykły swój skutek— obrażę. To téż u nich rozdział obu obozów jest dziś daleko większy, niż był na początku; niezgodność wyobrażeń przerodziła się w osobistą niechęć. U nas przeciwnie, osobista przychylność wpłynęła nawet na zmniejszenie różnicy w zdaniach, jeśli nie na ich całkowitą przemianę. Ty np. chociaż zawsze Belzebuba i ballad nie lubisz, dla autora wszakże *Grażyny*, *Dziadów* i *Wallenroda*, wspólne nasze uwielbienie podzielasz, i po naszymu kochasz jego samego. Szydłowski zaś i Rosołowski, jak słyszę, tłómaczą już coś podobno z Byrona, chociaż tylko z prozy francuzkiej. Kiedy tymczasem w Warszawie, w opinii np. Koźmiana i Osińskiego, Adam stoi zawsze niżej od Jaxy, a Byron kwalifikuje się do czubków!

Ale dosyć tych wspomnień o dysputach! Inną sceną stoi mi w oczach. — Względem początku naszego stosunku, jest to odwrótne strona medalu; względem przyszłego — początek; i którą ja przeto za punkt środkowy, a ze względu na siebie samego, za najbar-dziej providencyonalną, uważam. „*T'en souviens-tu?*“

pytam więc znowu, gdy przyjechawszy do Wilna na kontrakta w r. 1823, wprost z bryczki, jako synowiec p. Jana, wpadłeś na scenę amatorskiego teatru, właśnie podczas ostatniej próby żywych ruchomych obrazów z „Jerozolimy Wyzwolonej“ Tassa?— Pomimo wszystkich twoich cnót, zalet, przymiotów i zasług, byłeś w tej chwili nic więcej, jak kontraktowy Zawilejski szlachcic. A ja! — ja w roli i w kostiumie Torquatta! ja pomiędzy Armidą a Kloryndą! w pośród grona rycerzy we zbrojach! ja byłem jakby punktem środkowym—bo słów moich wszyscy słuchali, ażeby do nich, jak do muzyki w tańcu, swoje pozy i ruchy stosować! Mów co chcesz, mój dobrodzieju! ale byłem — a przynajmniej powinienbym był być w oczach twoich w tej chwili, czém ty niegdyś dla mnie w Horkolach!—I gdy w dniu samej reprezentacyi nazajutrz, Rústem moich słuchaczy poustawiał w ramach, a ja *solo* na przodzie sceny, z piórem w ręku, jako Tasso *zasiadłszy*, słowy Piotra Kochanowskiego tłómaczyłem uszom szanownej publiczności to, na co poza mną jej oczy patrzyły; i kiedy grzmoty oklasków jak huragan przelatowały przeze mnie; azaż nie miałem prawa czuć radości i chluby, choćby tego dziada-dzwonnika, który dzwonił na piękne kazanie?— Gdy więc pomimo tej miłej, i nawet arcy miłej sensacyi, ja sam, z własnego natchnienia, zaproponowałem ci pierwszy, ażebyś mnie na drugiej reprezentacyi zastąpił; zastanawiając się dziś nad tym faktem, nie umiem go przypisać czemu innemu, jak chyba podszeptowi dobrego mojego Anioła, który mnie, we mnie samym, do zwycięstwa

przyjaźni nad próżnością dopomógł. Bo kto wie, czy ty bez tego zapraszałbyś mię tak uprzejmie, abym ciebie podczas wakacyi odwiedził? Bo gdyby nie ta, i nie taka inwitacya twoja, nie byłbym pewnie gościem twoim w Dziewiętni, a więc i współgospodarzem owego pamiętnego podwieczorku na nowym twym *Helikoniku*, dla pięknych sąsiadek z Ruskiego Siola, które z tych moich niegdyś współbierzmowanek wyrosły! ¹⁾ A gdybyż słońce i księżyc dnia tego nie świeciły były nad nami, to kto wie, czybyś ty dotąd nie siedział sam jak puszczek w pustym swoim domu, lub jak Symeon Słupnik na swoim Helikoniku? a mnie — aż strach pomyśleć, jakby mogło być ciemno i zimno na świecie, kiedy Adam wkrótce odjechał, a i ja także znalazłem się wśród obcych! — Otóż tobie ja to właśnie winienem, że dom twój, przez lat siedem Jakóbowej służby, był dla moich myśli i marzeń jak słońcem, koło którego one jak planety krążyły, a ja sam, jak ziemia do słońca, zbliżając się raz na rok do niego, rozkwitałem jak oha po zimie, i brałem zeń nowy zapas ciepła i siły na zimę. — A gdybyż nie ostatnia bytność moja u was! gdyby nie przyjacielskie pośrednictwo twoje! czyż mógłbym tak swobodnie i spokojnie, jak teraz, używać chwil obecnych w podróży, nie wiedząc co mię spotka za powrotem do was, i czy mię powitacie i przyjmiecie jak swego? — Wiem ja wprawdzie, co są ludzkie nadzieje; ale śmielęj się

¹⁾ Obacz. „*Dwie Konwersacye z Przeszłości*“, przez Ignacego Chodźkę. Wilno. 1857 r.

jakoś ufa Opatrzności, mając zabezpieczenie i pewność od ludzi.—Otóż tedy, drogi mój benefaktorze! latusując dziś długi wdzięczności i chcąc ci od twojego uczciwy procent wypłacić, nie dziw się, a może i nie gniewaj, że tém całkiem i jedynie zajęty, nic ci nawet w tym liście nie wspominam o Rzymie; chociaż w istocie, sama ta myśl, że w nim rok i nowy lat dziesiątek zaczynam, tak mię często elektrycznie przebiega i wstrząsa, że tylko w myśli o was mogła znaleźć rywalkę, która nad nią górę wzięła w téj chwili.

A teraz co mam życzyć?—Obyśmy! obyście!
Z wszystkiego byli radzi — i przestali na tém!
A ja w tym nowym roku mógł cię nazwać iście,
Jako dziś kończę stary, pisząc się twym bratem.

VII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 1 Stycznia 1830 r.

Nowy Rok bieży,
W Rzymie śnieg leży,
Tyber się wzdyma,
We Włoszech zima!
Przyjechał sanna
Il Capo d'Anno.

Wszyscy tu go dziś sobie winszują i życzą, aby był *buono* (dobrym), choć wszyscy są przerażeni tą jego niezwykłą, trupią, tę jest białą i zimną fizyogno-
nią. Starzy kardynałowie, bogacze i elegantki, leżą, jak słycać, w łózkach, aby *szlachetnego zdrowia* i wdzięków nie narażać na oddech zimy, która dla nich jest białem widmem: Bo zima jest tu formalna, jakiej od niepamiętnych lat nie pamiętają. Po słotach przed świętami i po świętach, Tyber najprzód tak wezbrał i rozlał, że na naszej *Via del Orso*, niedaleko od mostu św. Anioła, powozy brnęły w wodzie po kłódki, a dla pieszych kładziono kładki zamiast trotoarów po bokach. Z mostu zwłaszcza był widok ciekawy i piękny. Fale *plowego* Tybru, żółto-szarego koloru, pieniać się, szumiąc, rycząc koło arkad mostu, tryskały jak fontanny-do góry, albo wrę i wi-

rując jak Scylle i Charybdy, wzbierały i wylewały na brzegi. Wprawdzie mniej więcej to samo można widzieć i u nas z *Zielonego Mostu*, kiedy „naszych strumieni rodzica”, wyrwa się z pęt zimy, jak z pod straż groźnej mistrzyni, aby biedz na spotkanie „Niemasa oblubieńca.” Ależ to Tyber, Mości Dobrodzieju! i możemy teraz powtórzyć z twoim przyjacielem Horacym:

„*Vidimus fluvium Tiberim rotantis violentis undis*”, i t. d.

Ale tymczasem po tych słotach nastąpiły przymrózki od 5—6 stopni, i na ulicy naszej chłopcy ślizgali się po rynsztokach, jak my niegdyś z xiątką pod pachą, by się rozgrzać idąc do szkoły. Na placach, a zwłaszcza na Hiszpańskim (*Piazza di Spagna*), śmiech brał słysząc kwakanie przerażonych kaczek, które chodząc piechotą po miednicach fontann, przysiadły co chwila na przejrzystym lodzie, i zrywały się z krzykiem, czując chłód i twardość pod sobą. Aż tu nakoniec i śnieg padać zaczął. Pan Potocki Artur na wieczorne u siebie mówił do kilku Signorów Rzymskich, że kazał już robić sanki, w których chce odbyć szlichtadę po Rzymie, i jak w tryumfie wjechawszy na Kapitol, tam je jako trofeum na pamiątkę zostawić. Wprawdzie jeden z tych panów zrobił mu uwagę, że będzie musiał chyba, jak niegdyś Ossoliński, dosypywać do śniegu miątko tłuczonego cukru, aby polskiej fantazy dogodzić; ale gdyby on miał istotnie ten zamiar, a sanki były już na dzisiaj gotowe, toby się i bez tego expensu obeszło. Śnieg na ulicy naszej jest głęboki po kostki. Nas nie tylko to nie przeraża,

ale owszem rozwesela prawie i bawi. Bonstetten opowiadał, że będąc w Kopenhadze, gdzie wiatr zwłaszcza był dla niego nieznośny, spotkał jakiegoś Lapończyka, który się właśnie na brak wiatru uskarżał. My wprawdzie nie wzdychamy tak bardzo do zimy, ale jakoś nam rzeźwiój i cieplej, (przynajmniej na ulicy), przy sześćsto-stopniowym mroziku, niż przy tej, do szpiku kości przenikającej wilgoci, której dzisiaj Włosi załują, i nie mniej może życzą sami sobie pozbyć się co najprędzej tej śniegowej białości, jak białych Austryackich mundurów.— Ale najgorszym horoskopem na ten rok nowo-zaczęty jest przepowiednia śmierci panującego Papieża, w którą wszyscy tu wierzą jak w pewnik, a i sam Pius VIII, jak mówią, wiarę tę podziela. Jest to prosta, ale dowolna kombinacja liczbowa, złożona z roku śmierci i tytułowych numerów dwóch jego poprzedników, na których już się ziściła, a do trzeciego tylko ma się jeszcze stosować. Oto jest ona: Pius VII nastąpił po Piusie VI: $7+6=13$; dodać do tego (niewiadomo dla czego?) 10, będzie 23. Pius VII umarł w r. 1823. Po Piusie VII, nastąpił Leon XII: $7+12=19$, a *plus* 10=29. Leon XII umarł w r. 1829. Ze zaś panujący dziś Pius, ma numer VIII, a $8+12=20$, a $+10=30$, więc Pius VIII *musi* umrzeć, jak mówią, w roku dzisiaj zaczęty, 1830. Obaczymy, jeśli sami dożyjem, czy umrze? ¹⁾ Tymczasem zaś jestem bardzo ciekawy, ale się u niego dopytać nie mogę, kiedy ta przepowiednia na-

¹⁾ Umarł istotnie w Listopadzie 1830 roku.

stała, i czy o niej dzisiejszy Papież wiedział już pierwiej, czy też dowiedział się dopiero po przybraniu już nazwy Piusa VIII? Skoro albowiem wybór tytułowego numeru zależał wprost od jego woli, to któżby mu zabronił przybrać np. imię Jana, który już byłby podobno XXIII czy XXIV-tym z rzędu, a więc na mocy tej prorocznej rachuby, mógłby przynajmniej połowę lat Piotrowych spokojnie na stolicy jego przesiedzieć. Wprawdzie ma on być tak bogobojujny i święty, że go myśl bliższej śmierci wcale nie przeraża; Rzymianie zaś najbardziej lękają się o to, aby znów nie przypadła na czas karnawału, jak w roku zeszłym śmierć Leona XII, która ich pozbawiła tej najmilszej im dorocznej fety. Dla nas byłaby to podwójna fatalność: być w Rzymie, a nie widzieć Papieża, i karnawału!— Ale źle może nawet że piszę ci o tém na początku noworocznego listu! Szczęście tylko, że nie z tą myślą brałem się do pióra, i tylko odbłask śniegu z sąsiedniego dachu, przypomniał mi żakowską noworoczną piosenkę u nas, którą wzięłem za motto listu.

Bo ty wiesz, że ja wierzę we wróżby i przepowiednie, i to nie tylko *in verba magistri* (np. samego Adama), ale i z doświadczenia własnego. I tak np. nie szukając dalej: Rok przeszły ja sam zacząłem w roli czarodzieja, i sam nań sobie wywróżyłem horoskop, w którym, jak dziś uważam, jest coś nakszałt prawdy. Było to w Warszawie, na balu u pani hr. Potockiej, wdowy po byłym ministrze oświecenia, koryfeuszu niegdyś klasyków warszawskich. Była na nim cała Warszawa; a ja w osobnym gabinecie, wśród

dwudziestu może panienek, pod patronatem pięknej pani Katarzyny Lewockiej, topiłem dla nich nad fajerką cynę, którą każda z nich po kolei, rączką własną, wylewała z żelaznej łyżki do srebrnej miednicy z wodą, na wróżbę dla samej siebie. Było pełno gwaru i śmiechu, ale może i cichych westchnień, jeśli wróżba nie po myśli wypadła. Bo choć to oficjalnie miał być tylko żart i zabawa, nie obeszło się pewnie i bez 'skrytej wiary w rzecz samę! Dowód tego mam sam na sobie. Bo gdy w końcu stopiłem i wylałem cynę dla siebie, utworzyła się z niej jakaś bryłka podłużna, w której najprzód wesoła panna Rozalia Biszpink upatrzyła istotnie podobieństwo do kształtu trumny. Nie obeszło to mnie bynajmniej; ale gdy już w godzinę może po północy, po uroczystém wesołym spotkaniu Nowego Roku, spójrzałem na mój zegarek: oba indexy stały nieruchomie jeden nad drugim, na samym czarnym punkciku godziny 12-tój, i jakby tylko czekały na spójrzenie moje, poruszyły się same i poszły dalej, bo zegarek był nakrecony i one nie zaczepione o siebie ¹⁾). To już, w połączeniu z ową bryłką cyny, wyznaję, że mi dało nieco do myślenia, i nieraz potem, w ciągu zwłaszcza pierwszego kwartału, lada mocniejszy ból głowy zdawał mi się początkiem ziszczenia się wróżby. Następnie wszakże zapomniałem o niej zupełnie, ale przypomniawszy

¹⁾ Okoliczność tę, z mojego opowiadania, Mickiewicz przytoczył potem w ostatniej części *Dziadów*, stosując ją do kogo innego.

I dziś w nocy, wiesz, że nie uważam Jój za cał-
kiem fałszywą; tylko, że jak zazwyczaj każda przepo-
wiednia, miała sens dwuznaczny — duchowy. Nie
umarłem wprawdzie, bo kto umarł, ten, jak mówi
Fredro:

I już więcej nie żyje,
I już więcej nie chodzi, już nie jada, nie pije;“

a zaś w krainie duchów, jak te baby u nas pod kościo-
łami śpiewają:

„Ani na pocztę listów oddają,
Ani też piszą, jak tam mają.“

Ja zaś chodzę, jém, i piszę do ciebie i donoszę,
że się, Bogu dzięki, ma porzucić. Ale żart na bok!—
kiedy wspomnę sam siebie, jakim byłem przed ro-
kiem, i porównam go z sobą, jakim jestem i czuję się
dzisiaj: istotnie miałbym prawo powiedzieć, że ten da-
wny ja umarł we mnie, a inny jakiś przywdział moje
postać, jak np. Merkury Sozyi w Amfitryonie. Nie
myślę porównywać obu tych ichmościów, ani żadnego
z nich ganić lub chwalić: bo i ta metamorfoza, o któ-
rój mówię, odbyła się całkiem bez ich łaski, to jest
bez woli lub pracy ich samych, a tylko wprost ze
zrządzenia i łaski Opatrzności, za które Jój też tylko
dziękuję. Człowiek moralny, równie jak fizyczny,
sam nie wie i nie czuje jak rośnie. Z dawnych tylko
swych wyobrażeń i poczuć, może chyba, jak ze stariej
odzieży, poznać sam ile urósł, albo czy zmizerniał lub
utył. Otóż cała moja garderoba warszawska, która
tam była dość modną, wydaje mi się dzisiaj tak czer-

kieską i kusą, że się wstyd w niej ludziom pokazać;— a tymczasem nowa, niestety! zaledwie się fastrygować zaczyna.

Pomimo jednak tylu zmian ciągłych i wrażeń, od pierwszego mojego listu z podróży, to jest z Brześcia, do ciebie, ostatni tydzień wczorajszego roku, kto wie czy nie najwięcej może przyczynił się do ich skupienia i samopoznania, jeśli nawet nie do postępu naprzód. Część przyczyn wiesz już z mego poprzedniego listu; ale i ostatnie trzy dni tego tygodnia przeszły mi w tak szerokim i górnym nastroju myśli i serca, że możnaby je nazwać latusem, czy koroną całego roku. *Finis coronat opus.*

Panna Henryetta zrobiła projekt, aby dni te poświęcić wyłącznie obejrzeniu samych tylko najgłówniejszych pamiątek *starój*, i samych tylko arcydzieł *nowej* Romy, tych zwłaszcza, które na kimkolwiek z nas, przy pierwszym ich widzeniu, największe sprawiły wrażenie; a to, ażeby w ten sposób wrażenia te ożywić i zsumować w pamięci. Projekt ten znalazł żywe poparcie w Adamie, i skutkiem tego, w ciągu tych trzech dni ostatnich, zwiedziliśmy razem: najprzód, wszystkie większe stare ruiny, zaczynając od *Forum* i od *Colosseum*; potem, wszystkie bazyliki i najpiękniejsze kościoły, zaczynając od św. Piotra, i nakoniec wszystkie prawie galerye i muzea, zaczawszy od Watykańskiego. W tych ostatnich, postanowioném było, zatrzymywać się i patrzeć na to tylko, co było objęte programem, ułożonym z góry przez Tryumwirat: w którym, pod prezydencją twórczyni

projektu, zasiadali Strzelecki i Adam. My drudzy byliśmy tylko jak klienci owych dawnych Tryumwirów Rzymskich, zanoszący instancje za tym lub owym obrazem albo posągiem, aby nań można było popatrzyć, jak tamci za tym lub owym przyjacielem czy nieprzyjacielem swoim, aby ocalić lub ściąć jego głowę. Gdybym więc zdał ci sprawę z tych naszych wycieczek, miałbyś całą *ekwintessencją* Rzymu;—co wszakże, jak wiesz dobrze, w program listów moich nie wchodzi. Powiem ci więc chyba przelotem, np. *à propos* Apollina Belwederskiego: że nie widząc go, nie miałem pojęcia, ażeby piękność mężka była rzeczywiście tak piękną; i ztąd przyszedł mi pomysł, czy koncept, że towarzyszka pierwszego człowieka, przez nic innego jak przez zazdrość, (ma się rozumieć po wygnaniu z raju), zaczęła się tak wdzięczyć sztucznie i stroić, aż przywłaszczyła nakoniec płci swojej wyłączną nazwę *pięknej*, i zaszczepiła w niej gust do elegancyi i strojów, które jęj samęj do zwycięstwa pomogły. Nie pisałem ani słówka o drugim, silniejszym jeszcze w tęg walce orężu, t. j. o kokieteryi, chociaż o nięj istotnie myślałem; a mimo to obie panienki sfukały mię okrutnie za to moje *dictum*, i panna Henryetta zagroziła nadto, że za każdym wspomnieniem o Apollinie, przypomni tęg i o tęg mojem „dubeltowem“ bluźnierstwie.—„Byle razem i o mnie samym,“ odpowiedziałem; i groźba nie zdała mi się tak straszną. Zatoż przy oglądaniu Mojżesza, posągu Michała Anioła, w kościele św. Piotra w okowach, (*S. Pietro in vincoli*), całe grono z łaskawym uśmie-

chem przyjęło moję uwagę: że jeżeli jest prawda, co mówią, że Napoleon brał lekcyę chodzenia od Talmy, aby i przez to jeszcze imponować światu; to mocarze wszystkich krajów i wieków, powinny się uczyć od tego, chociaż bez-ocznego posagu, jak mają spoglądać na ludzi, aby ci się im oprzeć nie śmieli. — Przytaczam ci tę parę żartów dla tego, aby ci dać wyobrażenie, w jakim zwykle nastroju humoru i myśli odbywał się ten przegląd arcydzieł. Ani pedantycznych rozpraw, ani deklamatorskich wykrzykników nie było; chociaż nieraz ogólne milczenie było wyrazem głębszego, ogólnego wrażenia.— Przed sławnym *Glad-yatorem*, w muzeum Kapitolińskim, panna Henryetta przedeklamowała z pamięci, precudne o nim strofy z *Childe-Harolda* Byrona, a Adam, na wezwanie Strzeleckiego, aby coś podobnego napisał o Rzymie, odpowiedział: że Byron, jak Horacyusz Kokles, stanąwszy na moście, wszystkim przyszłym poetom drogę do opisów Rzymu zagroził.

A więc *quod non licet Jovi,*
Miałoby *licere bovi?*

To jest, jaż miałbym dalej pisać tu o Rzymie? Nic z tego. Miej dość na tém, co już napisane; tém bardziej, że nie samo to oglądanie Romy stanowiło ów urok i górność dni, o których mowa. Po nasyce-niu się rano duchowie, architekturą, rzeźbą, malarstwem; na posiłek cielesny, przez wszystkie te dni byliśmy zaproszeni z góry na *Via Mercède*, gdzie zaraz po obiedzie, o szarzej godzinie, przychodziła na wety

muzyka. Panna Henryetta siadała do fortepiana, Adam przy niej na krześle, a ja na małej sofce z panną Marcelliną w kąciku, pozwalając sobie niekiedy półsłownych i półgłosnych rozmówek, aby i harmonia nie mącić, i samemu przy niej nie usnąć. Wniesienie światła było zwykle hasłem odejścia, i albośmy wstąpili na godzinkę do więzny Zeneidy, albo wprost powracali do domu, ażeby też przecie odpocząć. I ten to odpoczynek właśnie był najbardziej korzystnym i najmiłym dla mnie. Adam był ciągle w doskonałym humorze, i możnaby powiedzieć, w natchnieniu. Reassumowaliśmy wspomnienia kończącego się lat dziesiątka, który i osobiście dla nas, i dla wszystkich naszych przyjaciół, i dla literatury naszej był tak obfity w wypadki i zmiany. Adam, prócz Gustawowych i sonetowych wspomnień, których zgoła nie tykał, — rozповідаł szeroko o sobie, o wrażeniach i wpływach, po wyjeździe z Wilna, i o swoich wewnętrznych w skutek tego przemianach; co też i myśl moją na siebie pod tym względem zwróciło. Ale on nie przestając na tém, a ogarniając myślą świat cały, a przynajmniej Europę, tak przytém jasno i treściwie obecny stan jój moralny i umysłowy malował, i takie zeń wyciągał horoskopy na przyszłość: że to myśl i wyobrażenia moje rozciągało jak zsuniętą lornetkę, tak, żeń tysiąc rzeczy albo wyraźniej i jaśniej, albo nawet po raz piérwszy obaczył. Do tych należy mnień więcej i ta moja metamorfoza własna, którą sam w sobie postrzegłem. — Ale mamże potrzebę dodawać, że mówiąc o przyjaciółach i o wpływie przyjaźni, nie

mogłem zapominać o tobie, i sam, opowiadając Adamowi, odnowiłem z rozkoszą w duszy całe pasmo naszego stosunku: od owój pamiętnój mi wiecznie chwili w Wilnie, gdyś ty, w pośród najszkaradniejszej, ciemnej, dżdżystej, burzliwej nocy, wpakował mi się gwałtem do ciasnej furmańskiej budki, aby mię przeprowadzić o całe siedem mil do Oszmiany, gdy ja, wezwany do chorego ojca, do jutra nawet, dla wzięcia pocztowej *podorożnej*, wyjazdu zwłóczyć nie mogłem. Odtąd to, mój drogi Juljankul stałeś się dla mnie tém, czém jesteś dotąd: przyjacielem, o którym przekonany jestem, że mię nikt szczerzej na tym świecie nie kocha, i któremu ja równaż wzajemnością odpłacam. A że mię zaś, jak mówisz, uważasz za człowieka przeznaczenia dla siebie: to niechże i ten mój list noworoczny

Kończą życzenia—i Bóg daj wróżba,
Bym twój przyjaciół i brat od serca,
Mógł cię też kiedyś, jak swat lub družba,
Z piękną a miłą wieść do kobierca. Amen.

VIII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 25 Stycznia 1830 r.

Rozpieściłem cię i zepsułem, jak widzę, kiedy śmieasz stroić fałszy, że przez jakieś dni kilkanaście nie pisałem do ciebie; chociaż w tym właśnie czasie wyexpedyowałem list do Ignacego, który, podług umowy, miał też dojść i do rąk twoich. Nie aby jednak cię skarcić i od napierania się oduczyć, tą razą dwa razy dłużej nie wziętem pióra do ręki. Ale dość niech ci napiszę summaryusz dni tych ubiegłych, a obaczysz czy był czas kiedy odszypuntować kałamarz.

Otóż najprzód, byliśmy o włos od śmierci. Potém, byłem — czy raczej miałem być wyzwany na pojedynek. Potém, zacząłem uczyć się na seryo po włosku, a na wpół żartem uczyć pannę Anastazją po polsku, i sam nawzajem uczyć się od niéj — czego? Nie bój się, myśląc może o lekcyach Alfa z Aldoną! — chociaż dla odegrania to właśnie roli jéj kochanka, którą mi sama narzuciła gwałtem, musi mię teraz uczyć lepszej pronuncyacyi francuzkiéj: *je, de, que* i t. d., z którą mam się popisywać niezadługo na przyjacielsko-amatorskim teatrze u więzny Zeneidy. A cóż dopiéro mówić o innych niemniej ważnych zatrudnieniach: o bieganjach, patrzaniach, i wizytach dziennych; o balach,

rautach i spektaklach wieczornych; po których gdy się wróci do domu, to tak już oczy się mrużą, że do niczego nie służą. Ranki zaś są wyłącznie poświęcone czytaniu, albo *solo* Gibbona, którego już przecie domęczam; albo razem z Adamem, Aryosta. To jest, ja czytam głośno, kiedy on pali fajkę przy kawie; on mi tłumaczy czego nie rozumiem; a czego nie rozumiemy obydwaj, to już ja muszę wertować dykcyonarz, aż sens wyjdzie jak szydło z worka. I tym sposobem przeczytaliśmy już całe pięć pieśni. A pisało się też i swoje wierszydła. — Słowem, czasu na list nie było. Codzień tylko notuję tytuły treści, o czém kiedyś potem mam pisać. Ale tego rodzaju notatki, to są tylko jak kądziel u kołowrotka:

Który wprzód musisz kręcić jak wiewiórka,
Nim za pomocą piórka,
Jak wrzeczona i wiórka,
Uda ci się wyprząść nić,
I na kłębek listu zwić.

A i dziś pewno jeszcze nie zabrałbym się do tego, gdyby nie deszcz jak z wiadra i nie ból zębów Adama, dla których przez dzień cały nie ruszamy się z domu.

A więc dla porządku wątku,
Czytam z notat od początku.

O włos od śmierci. Na trzeci dzień po Nowym Roku takie było szkaradne zimno, że gdy ani worek na nogach, ani rękawiczki na rękach nie broniły ich od zmarznięcia: przypomniałem o *karbonelli*—(pisa-

łem ci już kiedyś, co to jest karbonella); i wkrótce blacha napełniona żarem, stanęła na środku pokoju. Widać, że i nos także był zdrętwiał od zimna, żeśmy swędu węgla nie czuli. Ja owszem przez oszczędność ciepłika, zamknąłem drzwi od drugiego pokoju. Rozkoszna aura otoczyła nas; i pogadawszy ze czią o naszych piecach, a złorzecząc klimatowi włoskiemu, zatopiliśmy się: ja w zbrodniach, Adam w cnotach Romy; to jest, ja w czytaniu Gibbona, a on—Liwiusza. Po jakimś czasie dopiero poczułem jakąś szczególniejszą senność; ale że mi się to często nad poważną książką przydarza: nie zwróciłem na to uwagi, i tylko usiłowałem przemódz Morfeusza. Z Adamem było toż samo. Aż gdy wreszcie wszelkie usiłowania okazały się daremne, zaczęliśmy obaj drzémać w najlepsze. Nie wiem jak długo trwała ta drzémka; ale bodaj iżbyśmy się już z niej chyba aż na tamtym świecie ocknęli, gdyby szczęściem nie przyszedł do nas xiądz Parczewski. Na kilkakrotne pukanie, jak mówił, nie odbierając żadnej odpowiedzi, otworzył drzwi, i krzyknął z przerażenia, poczuwszy gaz zabójczy napełniający powietrze. Głos ten obudził nas przecie; ale ja, gdy chcąc powstać, chciałem najprzód rozwiązać worek, który mi nogi krępował: poczułem że mi ręce nie służą; Adam zaś, siedzący po turecku, gdy się podniósł z kanapy, zatoczył się, jakby mu nogi pocięły. Obaj byliśmy zupełnie jak pijani. X. Parczewski otworzył wnet oba okna; a widząc, że się nie możemy poruszać, zawołał gospodyni, i z jej pomocą wyprowadził nas za drzwi na wschody. — Nie

będę opisywał symptomatów dalszych; ale były one tego rodzaju, że przestraszona gospodyni sprowadziła jakiegoś felczera, który mieszkał na naszej ulicy, a ten kazał nam zlewać głowę zimną wodą z octem, pić rumianek, i położyć się do łóżka; co zresztą i bez niego musielibyśmy uczynić, bo sił do chodzenia nie było.— Poczciwy Parczewski siedział przy nas aż do wieczora, i nie wprzód odszedł, ażeśmy zasnęli. Ale gdyby był przyszedł o godzinę później, to kto wie, czyby już nas nie znalazł uśpionych snem wiecznym. I ludzie jeszcze gotowi byliby myśleć, żeśmy się dobrowolnie *zaasfiksowali*. — A coby to był za przedmiot do ballad dla przyszłych romantyków! jak np. nasz p. Bogdaszewski, który i tak już — niech mu Bóg nie pamiętał — straszną o mnie balladę napisał, gdy, jak wiesz, przed czterema laty rozeszła się była pogłoska, (może nawet zmyślona przez niego), o zabiciu mnie jakoby przez zbrojców.

W balladzie téj, jeśli pamiętasz, figuruję jak jakiś zdradziecki Don Juan, którego duch mściwej kochanki, w postaci ptaka, na zasadzkę zbrojecką wprowadza. Ztąd téż i tytuł ballady: „*Ptak złej wróźby*.”—Ale jakiby to być mógł z tego wyborny wodewil, a przynajmniej farsa romantyczna, pod tytułem np. *Ballada*, gdyby dodać do tego tę arcy tragiczno-komiczną scenę, jaką z rzeczy téjże pogłoski miałem z Muzą romantyczności naszej: Maryllą, i jój mężem. Mniejsza, że ci to może opowiadałem już kiedy! Teraz plan wodewilu snuje mi się w głowie. Słuchaj więc, i gwizdź albo klaskaj!—*Scena I. Karczma w Bolciennikach.*

Ja—(w wodewilu poeta)—jadąc wprost z Giejstun, zajężdżam, aby się przebrać z podróży, i poetyczniej od razu we dworze zaprezentować się oczom Marylli. (W wodewilu, ma się rozumieć, Marylla byłaby nie cudzą żoną, nie gospodynią, ale córką domu; zawsze jednak żarliwą, zwolenniczką romantyczności i ballad, i celem westchnień — nie jednego tylko, ale aż dwóch na raz romantyków i balladyistów, z których jeden jest w Wilnie, a drugi to wszystko w karczmie wypowiada poetycznie w monologu). *Scena II.* Wchodzi jakiś nieznajomy staruszek — (w rzeczywistości, poczciwy pan komornik (geometra) Sadowski; w wodewilu zaś mógłby to być jakiś intrygant, przyjaciel owego drugiego poety w Wilnie). Nowy ten gość przybywa wprost z Wilna, i rta zapytanie: Co tam słyhać? opowiada pytającemu całą długą, tragiczną historią o własnej jego jakoby śmierci. (W wodewilu, narrator mógłby odczytać i ową balladę—której *geneza* musiałaby być taka: Autor jój, ucieszony z pozbycia się rywala, ale bojąc się jeszcze żalu po nim, napisał ją właśnie w tym celu, aby i pamięć jego w oczach wspólnej bogdanki ohydzić, i przesyła jój tę swoją ramotę przez swego powiernika, który, przez romantyczne zrządzenie wyroków, odczytuje ją najprzód żywemu jój bohaterowi). Ale i w wodewilu nawet nie trzeba byłoby nic dodawać ani zmieniać w dyalogu, jaki miał rzeczywiście miejsce między mną a szanownym panem komornikiem: gdy ja—po wysłuchaniu powieści i ubolewań jego—dziękuję mu za to współczucie i rekomenduję się kto jestem, a on z największym oburzeniem porywa

się z miejsca wołając: „Mój panie! nie na to doczekałem białych włosów, żeby ze mnie lada młokos żartował!“ — i porwawszy za czapkę, zatrzasnął drzwiami i wyszedł. *Scena III.* W wodewilu—poeta przed wyjazdem z karczmy układa najprzód satyryczną replikę na balladę rywala i arcy-sentymentalny sonet do bogdanki.— W rzeczywistości zaś—ja wprost siadam na bryczkę, i w drodze do dworu duszę się od śmiechu, myśląc, jak tę przygodę gospodarzom opowiem.—Aż tu widzę, że już przed gankiem stoi bryczka pana komornika; wewnątrz zaś domu tymczasem odegrywa się *Scena IV* — tragiczna, (w wodewilu i w rzeczywistości też sama), to jest, gość nowo-przybyły opowiada gospodarzom śmierć moją. A wtém—*Scena V*—ja wchodzę.— Marylla, cała drżąca z wrażenia powieści, postrzegłszy mnie wchodzącego, podbiega ku mnie z dziwnym jakimś wykrzykiem radości czy strachu, i łzy, na które już się było zebrało, wypłakuje ze łkaniem, jak na ramieniu brata; pan Lorens zaś, przerażony i blady gdy wszedłem—powraca raptem do zwykłej swojej miłej wesołości, i wita mnie jak upiora. (W wodewilu, to wejście bohatera powinniśmy może nastąpić w środku czytania ballady, a wywołane przez nią wrażenie, odkryłoby właśnie wchodzącemu uczucia, o których sam dotąd z pewnością nie wiedział, a których mu jego rywal zazdrościł. Tym sposobem *Ptak złej wróżby*, stałby się owszem pierwszym zwiastunem *dobrej*; i w tém to właśnie byłby główny sens i dramatyczny węzeł akcji wodewilu). Na zakończenie — konfuzya pana komornika

w rzeczywistości, mogłaby posłużyć za model aktorowi, któryby w wodewilu grał rolę czytelnika ballady. Gdyż chociaż niby się cieszył, winszując mi rezurekcyi mojej: znać było jednak po nim, że mu szkoda tak ciekawej powieści, której już z dobrą wiarą nie będzie mógł opowiadać przed nikim.—A co? czy plan wodewilu nie dobry?— A cóżby się w nim nie dało pomieścić poetyczno-romantycznych sentymentów—i śmieszności! — Doprawdy, nie żał mi wcale, że przerwaawsy pisanie listu, z godzinę przeszło przemarzyłem o tém: jeśli czytanie rezultatu tych marzeń, sprawi ci choć dziesiątą część téj przyjemności, jaką mi one same sprawiły. — Adam tymczasem śpi sobie spokojnie, i może da Bóg, że prześpi ból zębów. Ja zaś wracam do kontynuacyi treści moich notat.

Pojedynek. Do nowych tu znajomości naszych przybył niedawno młody Alexander Wodzicki, z Krakowa, synowiec tamecznego Prezesa Senatu, o niewiele starszy ode mnie, wesoły, żywy, miły chłopak—ale troszeczkę przy tém junak i latawiec. Był już przedtém lat parę w Grecyi i służył tam w wojsku powstańców, z kąd go ojciec nakoniec odwołał. Teraz przyjechał do Rzymu jako podróżujący po Włoszech. Poznaliśmy się z nim przez Strzeleckiego, który go zna od dziecka i lubi, ale jako dawny znajomy i starszy, traktuje bez ceremonii, swobodnie, co się może i na nas odbiło. Ja byłem z nim w najlepszej zawsze komitywie, nastrojonój zazwyczaj na ton żartobliwy, i przeważałem go *Macedończykiem*, jako Alexandra i Gręka. Owóż d. 9 t. m. w Sobotę, byliśmy wszyscy razem

wieczorem u Strzeleckiego. Adam z xięciem Olesiem grał w szachy, a pan Władysław Zamojski założył nam bank w faraona. Była to gra wprost dla zabawy. Poniterowaliśmy po *bajoku*, a wyższej nad *paola* (nasz złoty) stawki być nie mogło. Mnie karta szła jak rzadko kiedy; Wodzickiemu przeciwnie. Ja przeto byłem wesół, a on widać zły wewnątrz, choć to, ma się rozumieć, pokrywał. *Ze* zaś stawił upornie na damy i króle, to mi dało *assumpt* do żartów: stosując damy do dam, a brodate króle do Turków. Śmiech słuchaczyw dodawał mi *weny*, a i on sam nie zdawał się gniewać. Rozstaliśmy się jak zwykle, t. j. jak mi się zdało, serdecznie. Ale nazajutrz, gdy wróciłem do domu z kościoła, Adam spotkał mię z jakąś dziwną miną i z pytaniem: co zaśzło wczoraj między mną a Wodzickim? Widząc zaś moje zdziwienie, oddał mi list od niego, który sam był już przeczytał. Nie pamiętam go już teraz dosłownie, ale sens był taki: że ponieważ podobało mi się żartować wczoraj z niego, on przeto *ma honor* zapytać, jaki był powód tych żartów? aby wiedział, jak ma dalej postąpić. — Śmiech i złość wzięły mię razem; chciałem być nic nie odpowiedzieć; ale Adam zrobił uwagę, że właśnie takie milczenie byłoby rzeczywistą obrazą; — przyczém sypnął mi miarkę duchowego obroku: że nie można być zawsze studentem i chcieć wszystkich po koleżeńsku traktować. — Poszedłem więc po rozum do głowy, i załączwszy list Wodzickiego, napisałem sam do Strzeleckiego wierszem:

Macedończyk, jak widzę, nie zna się na farnie,
Snać bez soli Attyckiej jadł czerwionę w Sparcie,
I tak się rozlakomił na krew, jak ów Drakon,
Co rylicem w krwi maczanym pisał tam swój zakon.
Ty więc go upamiętaj, kochany Antoni!
A jeśli ma świerzbiczną bohaterskiej dłoni,
To niech sobie znów jedzie klóć i rąbać Turka.
Lub wraca do Krakowa, strzelać tam do kurka.
Bo ja mu na te hece nie dam się wywabić.
Wiem, że grzech jest zabijać; głupstwo, dać się rabić,
Kiedy człek nie wie za co?—A więc, niech się dowiem
O tem chyba z ust twoich—wprzód niż mu odpowiem.

List ten miał taki skutek, że rozgniewany Strzelecki wsiadł z góry na Macedończyka i okiełznał go jak Bucefała. Że zaś to w gruncie dobry i poczciwy chłopiec: więc dał się Strzeleckiemu przyprowadzić do nas nazajutrz rano, a na stwierdzenie szczerzej zobopólnej zgody, obu nas, i całe grono faraonowych graczów, na obiad we Wtorek zaprosił. Tak tedy co się zdało zaczynać groźnie pod znakiem *Lwa* czy *Tygrysa*, skończyło się wesoło—*pod Zającem*.

Zajac ten nie jest tu żadną alluzją do mojej rycerskiej odwagi, albo skórki zajęczej; ale jest to po prostu nazwa sławniej na cały Rzym restauracji, (*Trattoria del Lepre*), w której cała średnia klasa miejscowa, oszczędniejsi wojażerowie, a zwłaszcza wszyscy literaci i artyści jadają. I my też należymy zwykle do ich grona, kiedy nas kto nie zaprosi na obiad.—Jest tam kilkanaście pokojów, zastawionych stołami i stolikami, jak u nas. Obyczaj też restauracyjny nie różni się od naszego; chyba, że usługują chłopcy, nie dziew-

częta. — O kuchni włoskiej pisałem ci już, zdaje się, kiedyś, że jest wielce podobna do naszej, to jest, że nasza za królowej Bony wiele od niej nie tylko potraw, ale nawet ich nazwisk przejęła; np. sztufada (*stuffata*), miszkulancya (*mescolanza*) i t. p. — Tuż naprzeciw *Zająca*, jest kawiarnia *Caffé del Greco*, którą można uważać za zbiorowy punkt wszystkich artystów. Nie zauważyłem jednakże, aby im miała służyć za punkt zjednoczenia; bo albo siedzą poosobno i milczą, albo sąsiad z sąsiadem pocichu tylko rozmawia. Rozmowy głośnej, ogólnej, ja przynajmniej nigdy świadkiem nie byłem; ale zatoż napatrzałem się mnóstwa zakazanych figur tych panów, (szczególniej Niemców), z hiszpańskimi bródkami *à la Vandyc*, z włosami *à la Raphael*, a mianowicie z burzowską miną i zarozumiałością w wyrazie twarzy. — Malarze nasi pod tym względem stanowią, Bogu dzięki, wyjątek. Wprawdzie jest ich dwóch tylko: Karzewski i Stattler. Pierwszy robi dobre pejzaże i udatne rodzajowe obrazki; ale co drugi, to już mistrz: malarz-poeta, nie artysta tylko i technik. To też i jego wyobrażenia o sztuce wybiegają daleko poza zakres techniki sztuki. Widzę to z jego rozmów z Adamem, który go ceni wysoko. *Sztuka dla sztuki*; ten koncept estetyków niemieckich, jest dla niego takim samym *absurdum*, jak dla nas. Wié on, że celem sztuk wszystkich jest wpływ ich na ducha ludzkiego; inaczej będą to tylko czcze cacka, z tą chyba jedynie różnicą, że się w nie starsi a nie dzieci bawią. Dwa jego wielkie obrazy: *Mojżesz*, już wykończony,

i *Machabeusze*, nad którym właśnie pracuje, dają dowodne świadectwo, że teorią swoją praktykować umie. Oba nie tylko są wielkie rozmiarem, ale i kompozycją i stylem. Mojżesz na górze Synaj przyjmuje sam tablice przykazań, na które lud zebrany czeka u stóp góry. Trzej bracia Machabeusze, otoczeni rodziną, słuchają poselstwa Antyocho, który się od nich hołdu i posłuszeństwa domaga. Taka jest treść tych obrazów. Allan, który je oglądał razem z nami, wielkie ich autorowi oddawał pochwały. Adam zachwyca się także portretem pięknej jego narzeczonej, Włoszki, z którą się wkrótce ma żenić, i nas z nią obiecuje zapoznać. Bo jest on szczerym przyjacielem naszym i domu państwa Ankwiczów, gdzie się z nim spotykamy najczęściej. Towarzyszy nam także przy zwiedzaniu różnych galeryj, i ja przynajmniej wiele z uwag jego korzystam.—Z pomiędzy terażniejszych malarzy w Rzymie, ceni on mianowicie *Overbecka*, Niemca, który się, zdaniem jego, w pojęciu sztuki i w metodzie malowania najwięcej do Rafaela przybliża. Wypędzono go nawet z akademii wiedeńskiej za to, że do pojęć i metody jej koryfeuszów, jako uczeń stosować się nie chciał. Dał więc krzyżyk Germanii, i na zawsze zamieszkał w Rzymie. Byliśmy u niego ze Stattlerem. Musi mieć lat około 40. Chudy, bladej fizyognomii przyjemnej; z rysów zaś twarzy, ze sposobu noszenia włosów i axamitnej czapeczki, zdaje się nawet nieco do portretów Rafaela podobny. Był dla nas niezmiernie uprzejmy, a gdyśmy mu powiedzieli o Allanie, oświadczył, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby on go

chciał także odwiedzić. Zdaje się, że być musi łagodny i skromny, o co tu między artystami nie łatwo. Portrety, obrazy i kartony jego roboty, które nam pokazywał, odznaczają się dziwną dokładnością rysunku, wyrazistością w twarzach, a prostotą i wdziękiem w układzie.

A byliśmy też z paniami Klustin, z panem Douby i Bonstettenem w pracowni Cammuciniego, najślawniejszego dziś w Rzymie malarza, o którym ci już przedtém kiedyś wspominałem. To już nie skromna pracownia Overbecka, ale raczej formalna galerya, składająca się z czterech izb większych i dwóch mniejszych. W jednej z nich jest właściwa pracownia mistrza. Widzieliśmy tam ze dwadzieścia kartonów lub małych kopij rozmaitych wielkich jego obrazów, które się w różnych krajach obecnie znajdują. Największe są: *Odjazd Regulusa*, kupiony przez hr. Ostrowską za 2,000 skudów; *Śmierć Wirginii*, *Śmierć Cezara*, *Horacyusz Kokles broniący mostu*, *Wesele Psychy w Olimpie*, *Chrystus umarły*, i w. i. Właściwy obraz olejny był tylko jeden: *Św. Franciszek z Assyżu*, wskrzeszający, czy tylko uzdrawiający chorego; a na staludze jeszcze, nawpół wykończona Madonna, mająca podobieństwo do młodziutkiej pięknej jego córeczki; której przesliczny portret wisi obok na ścianie. Widzieliśmy też sztychy różnych jego obrazów, za które Papież, jak nam powiadano, zapłacił 30,000 skudów. Nie dziw więc, że tu malarze mają, albo mieć mogą, nie tylko malowane pałace, tak, jak je też sobie sławni śpiewacy i śpiewaczki tu-

WYJAZD. SAMYLA SWYJE GŁOSEM. NA WZÓR AMFONA. budo-
wa. — SAN CARLUCCI, powatny i zimny z pozoru,
iła panny ANASTAZY. byt pefen galanteryi i affektu,
a wogóle jej przyznał z wyraznym oznaczeniem tra-
kował. Rozmawiał długo z Bonstettenem i Adamem,
o ich i ich dawnej historyi. Rzeczywiście, i o ile ten dziś je-
szcze w rzeczywistości i w sztuce się przejawia. Mówią,
że jest zaręczym patryotą włoskim, ale się z tem nie-
rad wyrażał. I nawet stronił od tych, którzy jawnie
za takich uchodził. I nie rzadko z tego powodu bywa-
ją wyjeżdżał z Rzymu; co się zwłaszcza kilku ułolym
piewcom za Leona XII zdarzyło. Do właściwości jego
jako malarza, ma jakoby należeć, że studjuje nie ży-
wą wprost naturę, ale już uidealizowaną w antykach;
w czem się różni wręcz z Overbeckiem. W koryta-
rach, też między innymi znajdują się odlewy z gipsu
na stawy, są to posągi greckich.

Wyruszył Cammuccinero, udaliśmy się do pracowni
drugiego malarza, pana Ferdynanda Cuccinetti,
słynącego zwłaszcza z portretów. Portret terażniej-
szego Papieża, naturalnej wielkości, w postaci klęczą-
cej, jest rzeczywiście prześliczny, a ma być jakoby
podobny jak dwie krople wody. Inne portrety są
mniejszych rozmiarów, ale wszystkie prawie w całej
postaci, i wyglądają jak żywe. Pracuje nadzwyczaj
prędko, tak, że od połowy Listopada, jak sam mówi,
zrobił już 32 portrety, za które bierze sowito. Za
obraz przedstawiający Chór Kapucynów, a będący nie
kopią, ale tylko naśladowaniem sławnego „Chóru
Kapucynów” Graneta, generał Pac zapłacił mu przed

kilku laty tysiąc dukatów. Sam artysta nie zdaje się mieć więcej nad lat trzydzieści kilka, i zrobiłby na mnie dobre wrażenie, gdyby nie fatalna historia, którą wprzód już o nim słyszałem. O ile prawdziwa — nie wiem, bo potwarz z muchy umie zrobić wielbłąda; ale *relata refero*. Jest on rodem z Turynu i na koszcie rządu piemonckiego odbywał studia w Rzymie. Kolega jego i ziomek, niejaki *Biscari*, starszy wiekiem i wyższy talentem, powziął ku niemu szczególniejszy affekt i wiele mu w nauce pomagał. Tymczasem rząd piemoncki nakazał pensyonaryuszom swoim wymalować obrazy na konkurs, który miał o dalszej dla nich protekcyi rządu stanowić. Obydwaj przyjaciele wspólnie ułożyli karton; ale gdy obraz *Biscari*'ego był lepszy, *Cavalleri* tak dalece dał się opętać zawiści *Kaima*, że posunął się aż do jego zbrodni, i chciał poprostu zabić przyjaciela. Szczęściem cios, który mu zadał, nie był śmiertelny; *Biscari* zaś tak dalece posunął wspaniałomyślność czy słabość względem ulubieńca, że mu zbrodnicze uniesienie przebaczył i całą rzecz puścił w niepamięć. Czy to prawda? — powtarzam raz jeszcze, że nie wiem. Ale rzecz dziwna, jak między artystami plastyki zawiść i niechęć wielką grają rolę. O poetach mówią zazwyczaj, że są *irritable genus*; a przecież w różnych czasach i krajach było mnóstwo przyjaciół-poetów, których nawet imiona sława łączy w pary, jak *Oresta* z *Pyladem*: np. *Boileau* i *Racine*, *Schiller* i *Goëthe*, *Zabłocki* i *Kniaźnin*, i t. p. Tymczasem pomiędzy malarzami i rzeźbiarzami, nie tylko że o podobnych parach nie

słysząc, ale owszem o każdym prawie ze sławniejszych wiadomo, że miał zawsze kogoś ze współczesnych, z którym współzawodnictwo przeradzało się w nieprzyjaźń albo w nienawiść. Czyżby więc ciało, będące głównie przedmiotem ich sztuki, pobudzać miało raczej krewkość serca, niż miłość duchową? Ja tego rozstrzygnąć nie umiem. Ale słyszę tu mnóstwo anegdot o tej artystycznej zawiści, która się objawiała niekiedy przez dowcipne satyry i epigrammy, wyrażone nie piórem, ale pędzlem lub dłotem. I tak np.: na placu *Navonne* jest kościół św. Agnieszki, zbudowany przez architekta *Borominiego*, którego rzeźbiarz *Bernini* niecierpiał. Mając więc powierzone sobie zbudowanie na tymże placu fontamy, (która jest jedną z najpiękniejszych w Rzymie), posadził po jej rogach cztery olbrzymie figury, mające wyobrażać cztery największe rzeki świata: Nil, Ganges, Laplatę i Dunaj; ale wszystkie z takim gestem i w takiej postawie, jak gdyby się lękały upadku kościoła;—dając przez to do zrozumienia, że był źle zbudowany. Kościół wszakże dotąd nie runął, ale myśl *Berniniego* w tradycji została.—*Michał-Aniół* częściej może niżeli kto inny, używał też tego rodzaju kamiennych pocisków, i sięgał niemi zuchwałej poza zakres artystów i sztuki. Papież *Pius IV*, z familii *Medyceuszów*, polecił mu budowę bramy, która dotąd nosi nazwę *Bramy Piusa* (*Porta Pia*), i kazał aby na wierzchu umieszczony był herb jego rodu. Herb ten składa się z siedmiu gałek. Otóż *Buonarotti*, mając wprzód za coś anse do Papieża, zrobił te gałki

w kształcie mydlanych baniek. Sens zaś tego konceptu jest ten, że sam Pius IV, czy też ktoś z jego przodków, miał być jakoby balwierzem.—Papież zrozumiał przytyk; odjął artyście korzystne przedsięwzięcie—ale, przez dumę czy skromność, herbu zmienić nie kazał.

Ale wracając do siebie — widzę w notatkach, że następuje z kolei nauka języków i bale. Nie bój się wszakże, nie będę ci mówił o grammatyce. Powiem tylko, co do włoskiego, ciekawé, jak mi się zdaje, doświadczenie własne. Czytam z moim nauczycielem „*Promessi Sposi*“ Manzonię, gdzie jest mnóstwo scen i dyalogów ludowych. Otóż nie umiem ci wypowiedzieć, jak to czytanie, niezależnie od treści, robi na mnie szczególniejsze wrażenie. Wiiesz, że wjeżdżając do Włoch nie umiałem ani słowa po włosku. Teraz już umiem tyle, że się mogę rozmówić. A nauczyłem się tego wprost z praktyki; bo poezye, które z Ciampim czytałem, na nic mi się w potocznej mowie nie przydają.—Czytając więc te sceny ludowe, spotykam mnóstwo wyrazów i wyrażeń, które już znam ze słyszenia: a każde z nich, jak ton muzyki, przypomina mi razem mimowolnie, i niejako stawia przed oczy, okoliczności i miejsca, w których je po raz pierwszy słyszałem. Tym sposobem, samo brzmienie wyrazów budzi we mnie całe szeregi obrazów, a wraz z nimi wspomnień i uczuć, żadnego z ich znaczeniem związku niemających. Sprawia to osobliwszą jakąś sensacją, jakiej dotychczas nigdy nie doznałem. — Wyciągąam zaś z tego ten wniosek: że tajemniczy ów urok, jaki czujemy nieraz w samych słowach mowy ojczy-

stój, pochodzić musi nie z kąd inąd, jak z owych, chociażby zapomnianych, ale zawsze gdzieś w duszy żyjących uczuć albo wrażeń, jakie na nas kiedyś w dzieciństwie słowa te po raz pierwszy sprawiły. Ztąd też to tłumaczenia poezyj obcych, jeśli są dobre, (to jest, jeżeli tłumacz nie jest zdrajcą autora, jak mówią Włosi: *traduttore—tradittore*), miłsze są dla krajowców od oryginałów; bo czują oni w nich urok wyrazów, kiedy tymczasem czytając choćby najlepiej rozumiane oryginały, mogą czuć tylko urok myśli, obrazów lub stylu.—Kommunikowałem te moje myśli Adamowi, który ich za bezzasadne całkiem nie uważa. Na próbę zaś wrażenia przekładu i oryginału, odczytywaliśmy wiele strof *Jerosolimy Wyzwolonéj*, porównując je z tłumaczeniem Piotra Kochanowskiego, które ja, albo on, umiemy na pamięć; i niektóre z nich, chociaż nie wszystkie, wytrzymały rzeczywiście tę próbę na korzyść mojego twierdzenia.— Ale spróbujże czytać w oryginale *Amfitryona* Moliéra, po tłumaczeniu Zabłockiego, albo *L'enfant prodigue* Woltera, po *Synu Marnotrawnym* Trembeckiego; a obaczysz, jak wiersz francuzki błednieje i mdleje przy polskim. Samo nawet *Pożegnanie Childe-Harolda* z Byrona, czyż nie miłéj brzmi dla nas w przekładzie Adama?— On sam na to zgodzić się nie chce, ale ja obstaję przy swoim, i spodziewam się, że znajdę wkrótce popieczniczkę w pannie Anastazyi, z którą właśnie wiersz ten czytamy; jeżeli nie z powodu języka, to *à conto* samego tłumacza. Bo dla niego to właściwie, nie dla polonizmu, miewam teraz parę razy w tydzień przyjemność

siedzieć obok po całych godzinach z piękną moją uczenniczką, nachyleni razem nad jego tomikiem—którego małeńki format najbardziej wtedy oceniam i lubię.

Początkiem zaś tych lekcyj był bal u xięcia Gagaryna d. 6 t. m., to jest w dzień Trzech Króli tutejszych, a świąt Bożego Narodzenia u was. Był to bal pod tytułem *dziecinnego*, bo było z kopę *bambinów*, różnego wzrostu i wieku, a dla nich były drzewka z cäckami i profuzya słodkich łakoci. Dzieci téż rozpoczęły tańce; ale gdy jedne z nich wkrótce wyniesiono, a drugie po kątach posnęły: zaczął się bal prawdziwy dla starszych, których było osób sto najmniej. Ale co dla mnie, to był on rzeczywiście we trzech tylko osobach — tak przy nich nie zważałem na inne. Panienki nasze z *Via Mercède* i panna Anastazyja składały owo *trio*. Znały się już one i lubiły nawzajem od czasu wspólnych kursów archeologii rzymskiej u Viscontego; ale po naszym przyjeździe do Rzymu, na tym balu dopiero spotkały się raz pierwszy. Przybyło zaś in nowe, (wcale nie martwe i nie zimne jak marmur), ogniwo stosunku — żywy *bard*, jak między sobą nazywają Adama. On sam także często był przy nich; i ja wtedy byłem sobie jak piąte koło u wozu. Ale za toż skoro on odszedł—ja występowałem w rozmowie jak xiężyc po zachodzie słońca: mając pole, przed trzema razem, mówić o nim obszerniej i więcej, niżby może było właściwém, mówiąc pojedynczo przed każdą. Bo on to był wyłącznym przedmiotem rozmowy. A kiedy panna Henryetta, z wielkim prawdziwie wdziękiem i talentem, opowiadała treść *Dziadów*;

a panna Anastazyja słuchając, ubolewała, że sama tego czytać, choćby bardzo chciała, nie może; ja chwytając w lot sposobność przysługi, oświadczyłem się— i zostałem przyjęty—jako instruktor czytania po polsku.— Co zaś do wzajemnego uczenia mię przez nią lepszej nieco pronuncyacji francuzkiej, to się także odnosi niejako do drugiego balu u tegoż xięcia Gagaryna, który się odbył dnia 13 t. m., to jest w dzień Nowego Roku ruskiego. Był to już bal dyplomatyczny; bo byli wszyscy Posłowie, Sekretarz Stanu, Kardynał Albani, i cały wielki świat rzymski. Mówiono mi, że było zaproszonych 400 osób, i zapewne musiały przyjść wszystkie, bo tłok był jak na kermaszu. Tańce poprzedził teatr amatorski. Urządzenie sali i dekoracye prześliczne. Dwie sztuczki francuzkie: „*Manie des proverbes*“ i „*Les deux cousins*“, udały się przewybornie. Trupę aktorów składała sama *grandezza*, rzymska i cudzoziemska. Między innemi występowała xiężna Iza, wraz z mężem, który grał rolę kochanka, i hr. Alfred Potocki, w roli opiekuna. Ściany drżały od grzmotu oklasków, ilekroć xiężna Iza ukazała się na scenie. Świat bowiem tutejszy, jak Parys, jój przysądził jabłko i berło piękności podczas terażniejszego karnawału. A podobieństwo do sądu Parysa tém większe, że współzawodniczkami jój były dwie Angielki: Lady Seymour i Lady Gladstone, piękne, majestatyczne, jak Juno i Pallas, ale też dumne i sztywne jak one.— A xiężna Iza!!! Jest i tu majestat godności; ale ten gaśnie przed urokiem wdzięku. Jest to owa królewskość, która daje swobodę. W osobistości

tchnie tu jeszcze zarazem jakby duch jój rodowej tradycyjnej przeszłości!—Dobrze, że mąż jój nie dał nikomu innemu grać roli jój kochanka na scenie: bo cóżby ten nieborak począł z sobą po zapuszczeniu kurtyny?

Owóż to powodzenie amatorskiego teatru na tym balu, podało myśl xiężnie Zeneidzie: urządzić coś podobnego u siebie, choćby tylko na miniaturową skalę; a to tém bardziej, że już przez trzy niedziele z rzędu, odegrywała się u niój *de facto*: *Manie des charades en action*, w których zazwyczaj i ja figuruję. Pan Ricci powiada, że aby się taka szarada udała, potrzeba albo wiele osób, albo wiele dowcipu. Otóż cała nasza szaradowa truppa składa się najwięcej z dziecięciu osób, a cały expens dowcipu w pomysłach, ponosi zwykle albo sama xiężna, albo panna Anastazyja. Dla mnie najmilszą jest rola automata, zwłaszcza w garderobie, gdzie z nas—to jest z nas mężczyzn—jak z niezgrabnych kloców, piękne nasze współ-artystki, (odwrotną metodą Cyrce), wytwarzają rycerzy lub bożków, (zły język mógłby powiedzieć: *batwanów*), kostiumując nas same, i nadając nam posągowe pozy. A to wszystko nie obywa się bez śmiechów, żartów, sporów, lub karcenia nas za zbytnią wdzięczność. A jest komu ją okazywać! Bo oprócz panny Anastazyji, do grona szaradowej truppy należą zwykle dwie ładne panny Siemionow, i młodziutka, śliczniutka, milutka Francuzeczka, panna Luiza Vernet, córka Horacego, o której bodaj, że ci kiedyś wspomniałem. Ale było to chyba wtedy, kiedy za piérwszém widzeniem jój na obiedzie u xiężny, nie sprawiła na mnie

tego wrażenia, pod jakim teraz zostaję. — Ale bo z pannienkami, to jak z poezją lub z muzyką! Niekiedy jakaś sztuczka nie podoba ci się od razu, a potem jak się wpatrzysz albo wsłuchasz lepiej, ani spostrzeżesz jak wpadnie do serca. Przyczém i sama nieraz toaleta odegrywa rolę deklamacyi lub exekucyi muzycznej. — Dość, że dziś pannę Luizę mógłbym porównać do najwdzięczniejszej piosnki Beranżera, śpiewanej z całą żywością i naiwną wesołością francuską. Obok panny Anastazyi, jest ona jak Amorek przy Muzie; i jak gdzieś widziałem w obrazie, że Amorek u stóp Muzy rysuje, tak ona wykonywa na nas pomysły panny Anastazyi, układając i fastrygując draperye, albo komenderując jak kto ma stanąć, poruszyć się, czy klęknąć—co zresztą i bez komendy często przed nią wykonywamy sami: t. j. młody książę Wołkoński, Szewirew i ja. — Ale byłbym bardzo niewdzięczny, gdybym ci przy tym opisie nie wspomniał nic o najlepszej pani Własow. Jest ona westyarką naszą, to jest, wyciąga z szaf, szuflad i pudeł rozmaite mantylle, pióra, festony, a niekiedy i kapelusze, które nam służą za królewskie płaszcze lub za kryzy i hełmy rycerskie. Ale że jak zawsze i wszędzie, najogólniejszym objawem niewdzięczności ludzkiej, jest lekceważenie dobroci, która się gniewać i mścić się nie umie: tak i tu, sama gorliwość, z jaką ona chce usłużyć każdemu, wystawia często na próbę jój niewyczerpaną łagodność; bo się wszyscy albo kapryszą, lub się jój przekomarzają umyślnie. Ja jeden stanowię wyjątek. Ztąd też po każdym prawie widowisku, szerzy skargi przed sio-

strą i przed publicznością na wszystkich, i mnie tylko jednemu oddaje pochwały; co znowu z drugiej strony ściąga na nią nowe prześladowania i żarty, za które się także nie gniewa, i dobrodusznie śmieje się z nich sama.

Chciałbym, żebyś z tego opisu powziąć mógł mniej więcej wyobrażenie o tych prawdziwie poetycznych, niedzielnych naszych wieczorkach u xiężny, które, oprócz tych szarad, urozmaica jeszcze muzyka i śpiewy, wykonywane zwykle przez xiężną i przez pana Ricci—nad którego nie ma śpiewaka!—Dla Adama jest to największy powab tych wieczorów; bo co nasze szarady, to mają w nim nie tylko ciągłego recenzenta, ale nawet prawdziwego zoila; przyczem ja zwykle służyć muszę za pierwszy cel pocisków, dla rykoszetu ich na pauienki, które z nim o to się kłóca. To też gdy powstał projekt przemiany szarad na teatr, a moje współ-artystki zmuszały mię przyjąć w nim udział: ja nie tylko przez niepewność talentu, a pewność pronuncyacyi litewskiej, ale i przez obawę sarkazmów Adama, broniłem się dopóki mogłem. Ale gdy wreszcie panna Anastazyja wybrała mię na swego *milego* na scenie, i ofiarowała się sama pronuncyacją jakoś podstroić, a instancyonowany przez nią Adam — chociaż umył ręce jak Piłat — lecz przecież wyraźnego *veto* nie położył: ujrzałem się zmuszonym zrobić ofiarę z mojej miłości własnej, dla uciechy towarzystwa, w którym sam tyle przyjemności znajduję. Tak więc tedy w dzień 3 tutejszego Lutego, (22 Stycznia u was), w Niedzielę, mam debiutować



w komedyjce p. t. „*J'ai fait mes farces*,“ i bodaj, że ten mój *debiut* będzie *une farce de plus*. Ale mniejsza o to! Tyle już sam pod tym względem nagadałem złego o sobie, że nikt drugi nic gorszego nie powie.— A tymczasem lekcye pronuncyacyi przechodzą mi bardzo przyjemnie. Adam zaś, przez wzgląd na siebie, (jak mówi), to jest, żeby się za mnie nie wstydzić—musztruje deklamacyą i pozy, gdy głośno przed zwierciadłem rolę moję powtarzam.

Ale teraz jeszcze o jednym balu—który zasługuje na wzmiankę, z powodu komicznych i tragicznego wypadku, które się na nim zdarzyły. Był to bal u sławnego tutejszego bankiera, xięcia Torlonia, który jest xięciem dla tego, że kupił od xiążąt Odescalchi, za 10 milionów franków, dobra i zamek *Bratiano*, do których tytuł xiążęcy jest przywiązany ¹⁾. Jest to zatem najwyższy model, (nie profanuję wyrazu *ideal*), i zarazem niejako symbol wzrostu arystokracji pieneznej, na ruinie i gruzach rodowej. Bo sam Rotszyld jest tylko dotąd *baronem*; a zaś ta mitra xiążęca spadła na głowę bankiera dla tego, że już w rodzinie dawnych jój posiadaczy nie było widać komu i na czém jój nosić. Kłaniajże się więc teraz przed mitrą, którą można kupić za pieniądź! Chcesz w nią uczcić pamiątkę dawnych zasług i chwały, a nie wiiesz, że się kłaniasz *cielcowi złotemu*! — I niechby u nas wolno było podobnie tytułami i ma-

¹⁾ X. Livio Odescalchi, ożeniony z Zofią z hr. Branickich, zamek i dobra *Bratiano* odkupił w r. 1840.

jątkami frymarczyć! to kto wie, czyby połowa dyplomatów hrabiowskich, na wagę złota niegdyś kupowanych od Niemców, nie przeszła może w końcu do naszych lichwiarzy, lub arendarzy gorzelni i karczem, aby tam figurować obok *dziesięciora!*—Bal wszakże był prawdziwie xiążęcy.

„Bo że nie tylko sam naród prostaczy,
Lecz i starszyzna za łakocią goni“
Więc się na bale bankiera Torlonii,
Zbiera tłum Dułów, Grafów, i bogaczy.

Mimo to jednak, są to bale demokratyczniejsze od innych: bo każdy cudzoziemiec, mający wexel, czy kredytywę do bankiera, jest już *de jure*, jeśli zechce, gościem na balu u xięcia, z czego najwięcej korzystają Anglicy. Myśmy byli za biletami, które nam dał xiążę Gagaryn; a że przyjechaliśmy sami i nie mieliśmy nikogo, coby nas gospodarzowi przedstawił; więc się jakoś i bez tego obeszło. Błąkaliśmy się zatem jak w lesie wśród tysiąca nieznajomych osób, krążąc ciągle około wejścia, aby spotkać zaraz na wstępie nasze panie z *Via Mercède*, o których wiedzieliśmy że będą. Jakoż zabłyły nam wkrótce, jak dwie gwiazdki we mgle błękitu, którym obie były owiane. Odtąd już nie odstąpiliśmy od nich. Panna Henryetta dla zdrowia, a panna Marcellina z pobożności, jak sądzę, nie mogą i nie lubią tańcować. Płasaliśmy więc sobie we dwie pary myślami tylko i sercem: ja z panną Marcelliną taktem poloneza, a pierwsza para bodaj czy nie walca, który głowy tancerzom zawraca.

Otóż komicznym wypadkiem na tym balu było: że się Anglicy pobili formalnie, tłocząc się do sali wieczery, gdzie były stoły na kilkaset osób, i że niektóre Angielki, bez żadnej ceremonii, całe talerzyki cukierków zgarniały do ogromnych worków, które widać umyślnie na ten cel przyniosły, i wydzierały sobie wzajem ów łup pożądany. To samo mówi już dosyć, z jakiego piętra hierarchii towarzyskiej musiały być te damy; i powiadano, że sam gospodarz domu był tém wielce zgorzony i zawstydzony.— A ujrzeliliśmy tét na tym balu naszego znajomego bohatera z podróży, pana Izaaka *Mocatta*, który wszakże nie musiał być rad z tego spotkania; bo gdy poznawszy przywitałem go pierwszy: on mi zaledwo odpowiedział słów parę, i zaraz zniknął gdzieś w tłumie.—Tragiczny zaś wypadek był taki. Znany i szanowany powszechnie prałat, Monsig. *Testa*, przybywszy na bal w najlepszym zdrowiu i humorze, zaśląbł nagle przed samą wieczera, i zaledwo wyprowadzony do sypialnych pokojów xięstwa, tamże zaraz żyć przestał. Tajono to, ma się rozumieć, przed gośćmi; i kiedy przyjaciele i krewni zmarłego płakali lub modlili się nad nim: tuż obok muzyka brzmiała w najlepsze, i taniec szedł coraz raźniej, ożywiony nadzieją wieczery. Powoli jednak wieść o tém zaczęła się rozbiegać po sali, a ten i ów, co ją posłyszał, wątpię, aby nie stracił nieco apetytu, albo ochoty do tańca. Bal jednak trwał aż do dnia; ale co nas, to zaraz po wieczery, państwo **Ankwiczowie** zabrali i łaskawie odwieźli do domu.

Aleś ty pewnie ciekawszy dalszych losów pary, o której możnaby powiedzieć z Walter-Skotttem:

„A pary siebie godniejszej wzajemnie,
Na świecie szukać byłoby daremnie.“

Otóż nic jeszcze nowego do powiedzenia nie mam; a co kiedy być może—nie wiem. Najbliżsi krewni nie mogliby być dla nas życzliwsi, jak się zdają być państwo Ankwiczowie. Humor panny Henryetty w tych czasach kwitnie i świeci różowo, jak jutrzienka dnia pogodnego. Czyżby więc było jakie porozumienie między nią a rodzicami, a przynajmniej pewność tego z jej strony?—Złote pasmo tych moich marzeń i nadziei, płacze mi tylko i miesza zimna—nie powiem obojętność—ale jakby pewna surowość panny Marcelliny, z jaką ona widocznie na to wszystko spogląda. Bo o jej życzliwości dla ich obojga, nie wątpię; w rozum jej wierzę; i dla tego też właśnie boję się jej przewidyń czy przeczuć. Jestto bowiem pod każdym względem i ze wszech miar niepospolita osoba. Adam nazywa ją *świętą*, i rzeczywiście jest w niej coś legendowego. Sam wyraz jej twarzy i postać są tego rodzaju, że dodać tylko aureolę i palmę, a możnaby je żywcem przenieść na obrazek. Jest w tém jak gdyby odbłask charakteru i stanu jej duszy, który też chyba tylko w ten sposób przez nią się samę objawia. Jak bowiem tysiące innych siłą się okazać, tak ona właśnie usiłuje ukryć przed ludźmi, jak pobożność tak i uczoność swoją—którą rzeczywiście posiada. Bo modlitwa i nauka—to całe jej życie. Wiem pod

sekretem od samej pani Ankwiczowej, że ostatecznym jej celem jest zostać zakonnica, siostrą miłosierdzia; ale że się chce pierwiej uiszcic z obowiazkow wzgledem spoleczenstwa i kraju, przez wychowanie w nim za powrotem kilku mlodych panienek, przeto ciagle sie uczy i pracuje sama nad soba.— Ale moj miły Boże! jak to ziarna cnót w duszach ludzkich, w różnych kształtach wychodzą na jaw! Czyż to nie istna roz-
maitosc kwiatów? Porównać ją np. z panną Anastazyą. Co za kontrast! A przecież ani jedna, ani druga, nic na tém porównaniu nie tracą. Są to jak gdyby równo-cenne: brylant i perła. Co za różnica blasku i migotania na zewnątrz! a przecież wartosc wewnętrzna ta sama.— Co zaś do mojej przyjazni i stosunku z panną Marcelliną, ten jest taki. Mam dla niej taki respekt, że kiedy mówię z nią sama, wstyd mi każdego pustego słowa; a tém mniej śmiem ją częstować liczmanami, które bez skrupułu gdzie indziej wydają za dobre dukaty. Że zaś tych prawdziwych dukatów jest we mnie, niestety, zbyt mało; poczuwszy się więc przez nią do braku, nieraz biorę ztąd pochop do nauki i pracy. Ale za toż przy ludziach, pozwalam sobie często jak student przy rodzicach, gdy ośmielony ich obecnością, chce z lekka, tém lub owém, swemu panu guwernerowi dokuczyć. Przekomarzam się więc jej umyślnie, i mam w tém zawsze pomoc samej pani domu; zkad wnoszę, że i ona, gdy jest z nią sam na sam, musi podobnego nieco jak ja wpływu doznawać.— Niedawno z niemi tylko dwiema jechałem do kościoła na nieszpór. **Ja siedziałem,**

ma się rozumieć, na przedzie, i zaczęliśmy z samą panią prześladować naszą towarzyszkę, z powodu jej surowej powagi, którą ja nazwałem *kardynalską*. Tu pani Ankwiczowa przesiadła się nagle obok mnie na przednie siedzenie, i panna Marcellina pozostała sama w głębi karety, tak, jak zwykle jeżdżą kardynałowie, mając naprzeciw siebie dwóch swoich asystentów. Odtąd wzięta początek nazwa *kardynała*, którą ja i pani hrabina tytułujemy zwykle paunę Marcellinę, ilekroć ją chcemy podrażnić.— Otóż przed kilku dniami ciotka ofiarowała jej śliczny nowy sztabuch, do którego ja miałem wstępny wiersz napisać. Właścicielka, w przeczuciu mojej przekory, prosiła bardzo poważnie i zastrzegła z góry, żeby w nim wzmianki o *kardynalstwie* nie było. Owocem tych zastrzeżeń jest właśnie wiersz, który ci chcę tutaj przepisać. To zaś co już napisałem, uważaj za przedmowę, abys właściwy sens jego zrozumiał — bądź zdrów.

MÓJ KARDYNAŁ.

Każdy człowiek musi przecie
Mieć cel dumy na tym świecie.
Otóż moja duma cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć patronem Kardynała!—

Wicież kto jest mój Kardynał?—
Ni Watykan, ni Kwirynał
Nie ozdobił go sygnetem,
Nie przyodział fioletem.

pasął paluszem,
wieńczył kapeluszem.
Lec Ten, który róży wdzięki,
Lec Ten, który twarz jutrzeńki,
Lec Ten, który w głębi fali
Umarował pierś koralu:
Tego dłoń w szkarłat odziała.
Lica

Choć Błogosławieństw, ni
Nie rozdziela na wsze rony:
Kto go zna—błogo
Sam jego wzro
Wypędzają z
I choć na nóżce,
Nie lśni trzewicze
W każdym wiernym żądza pała
Klęknąć u stóp Kardynała.

**Mój Kardynał miejsc nie bierze
W Kapitułe, ni w Kameronie,
Ni wśród Watykańskich chorów
Nie śpiewa mszy, ni niesporów.
Kapitułę jego składa
Jasných Serafów gromada.
W ich on chórze nieustanne
Nucił hymny i hozannę...
Nim go Święty Ojciec świata
Posłał do nas za Legata,
By na ziemi mój Kardynał
Ludziom Niebo przypominał.**

**O! gdybyż on chciał, jak może,
Umieścić mię na swym dworze—
W jakimkolwiek bądź honorze,**

Byle niedaleko siebie—
Byłbym już jak gdyby w Niebie!

Bo choć on, jak życzę, będzie
Sto lat bawił na urzędzie;
Ja zaś wkrótce, jak snąć muszę,
Kuryerem w podróż ruszę:
Ale nim się przez komorę
Z pakiem grzechów mych przebiorę;
Nim odbędę przepisany
Czas czyscowej kwarantanny;
Może da Bóg, że u bramy
Rajskiej, w sam czas się spotkamy.

Wtenczas—choć tam tłok niezmierny,
Choćby surowy odźwierny,
Święty Piotr, czy Święty Michał,
Po sto razy mię odpychał:
Pójdę naprzód z sercem śmiałym,
Tuż za moim Kardynałem.
Raj mię pewno nie ominie!—
O! widziałem ja w Syxtynie,
Nikt tym wejścia nie zagroził,
Kto za Kardynałem wchodził.—

Ztąd więc moja duma cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć patronem Kardynała!

IX.

Do tegoż.

Rzym, 8 lutego, 1830 r.

Jak aerolit z powietrza spadła na mnie wiadomość, żeś jest w Petersburgu. Wiedziałem, że siostra twoja zaraz po ślubie miała tam jechać z mężem, dla jakiegoś interessu czy sprawy: ale ani mi w myśli powstało, abyś ty się mógł do nich wybrać w odwiedziny! Cieszy mię to jednakże, i to z wielu względów. *Primo*: że mąż twojej siostry musiał widać zaskarbić względy twego ojca, kiedy taki drogi klejnot, jak ciebie, opiece jego powierza. Dotąd był to mój tylko wyłączny przywilej. Bez zazdrości go wszakże ustępuję drugiemu, byleś ty tylko przez to więcej świata obaczył. Bo jużciż ufam przecie, że *niezaradny Julius* powróci tak bez szwanku z nad Newy, jak z pod skrzydeł mojej opieki po dwakroć z nad Wisły powracał. *Secundo*: raduje mię wielce, że choć nie razem, to przecież jednocześnie wojażujemy oba: to jest, ty zbijasz bruki Petersburskie, jak ja tu po Rzymie gawronię; i że jesteś tam razem z Olesiem, jak ja tutaj z Adamem; a więc, że przeto tém częściej musicie wspominać o nas, jak my nawzajem wspominamy o was. Obok atoli tych pociech, jest na *Tertio* i *ale*, a to *ale* ściąga się mianowicie do dalszej mojej korres-

pondencyi z tobą. — Chcesz czy nie chcesz, skoroś wziął pióro do ręki, nie możesz nie pomyśleć kto cię czytać będzie; i ta myśl warunkuje mniej więcej manierę, jeśli nawet nie samę treść listu. Inaczej byłbyś chyba jak owo galicyjskie grafiatko, o którym ci w tym liście opowiem, a które rzeczywiście jest jak ciele w bajce: papla, jak gdyby zamrużywszy oczy, co mu ślina do ust przyniesie, bez względu przed kim i do kogo; do Polaków nieraz po włosku, a do cudzoziemców po polsku.

Otóż ja pisząc dotąd do ciebie, mogłem prawie policzyć na palcach, kto z tobą lub z Ignacym list mój czytać będzie, i często owszem do tych lub owych czytelników — a bardziej jeszcze czytelniczek — stosowałem ton i przedmiot pisania: aby jedną z nich zaciekawić, drugą zabawić, z trzecią się troszkę podrażnić, a wszystkim, ma się rozumieć, podobać się wedle możliwości. Ale cóż ja wiem komu ty w Petersburgu list mój możesz pokazać, i czy ten ktoś, znajdując w nim ten sam ton i manierę, nie pomyśli, choć może nie powie: „A cóżto być musi za młokos, czy półgłówek! Jest w Rzymie! jest z Mickiewiczem! A tu ani opisów Romy! ani sądu o rzeczach! ani odbłasku natchnień geniusza! Plecie tylko o sobie, o drobiazgach, o głupstwach! i t. d.“ I kto wie, czy ten jegomość, ze swego punktu widzenia, nie miałby nawet racyi tak mówić? Skoro bowiem jest czytelnikiem, ma prawo być sędzią; a nie znając osoby i stosunków autora, musi sądzić o rzeczy z niej samej.

Ale cóżbyście wy pomyśleli o mnie, znajdując raptem w listach, czegoście nigdy nie słyszeli z ust moich: patetyczne np. frazesy, albo uczone rozprawy? Czyżbyście nie mogli posądzić, że przyczepiłem sobie wojażerski kolczyk do ucha, i chcę wam imponować jak fanfaron lub pedant, albo że jak papuga cudze tylko słowa powtarzam? — Wybierając więc z dwojga złego, wolę, niech mię już obcy mają sobie za głupca; bo wy przecież nie możecie przypuszczać, ażebym widząc tyle rzeczy sławnych, słuchając tylu ludzi mądrych, i nakoniec będąc ciągle z Adamem, nie poczuł też i nie pomyślał czasem czegoś na seryo o tém, co widzę lub słyszę; a jeżeli z tém zaraz nie popisuję się przed wami, to dla tego: że albo nie chcę zrywać niedojrzałych gruszek; albo nie chcę się zmieniać w wyobraźni waszej — aż da Bóg może kiedyś, w nowej na pozór postaci, zjawię się sam oczom waszym, i najprzód was o niezmienności serca ku wam przekonam. Zawsze jednak, dopóki będziesz w Petersburgu, nie mogę spuszczać całkiem z uwagi tych osób, o których wiem z pewnością, że list mój pokazany im będzie, i wzgląd ten nie zostanie pewnie bez wpływu, choćby tylko na wybór przedmiotu. I tak np. Wiész od czego mam zacząć właściwie ten list terazniejszy? Oto od przepisania ci niektórych wyjątków z listu onegdaj odebranego z Uffy. Myśl dzika na pozór! nie prawdaż? Ale oto jój wytłómaczenie. Jestto list od Czeczotta, mojego najukochańszego Mentora, z daty czerwcowej, który pisząc go jeszcze nie wiedział o mojej podróży z Adamem, a sądząc, że jak co rok, przez lato waka-

cyuję w domu, adressował go do mego ojca, który mi go teraz dopiero wraz ze swoim odesłał. Jestto odpowiedź na ostatni mój list do niego z Warszawy, dziękujący mu za kolebę, którą mi przysłał na początku roku. A był to cały arkusz maxym, wybranych i wypisanych przezeń umyślnie dla mnie z Xiąg Mądrości, Przypowieści i Ekkleziasty, z Pisma Ś-go. Odtąd arkusz ten mam zawsze przy sobie i umiem go już prawie na pamięć. List zaś ten onegdajszy, tak nam obu żywo przypomniął i samą postać najmilszego naszego gderacza, i szczęśliwe nasze czasy wileńskie: że pod wpływem miłych tych wspomnień, tak nam przeszedł rozkosznie cały dzień wczorajszy, iż gwoli szanownego p. Franciszka, *kudrawego* Maryana, i kochanego Olesia, z którymi pewnie codziennie nierozdzielnie obcuje, przysłała mi myśl przesłania ci z tego listu wyjątków, aby przez to myśli i serca wasze choć chwilowo na wczorajszy ton naszych nastroić. Adam nie ma nic przeciw temu, i mówi: że jak sam Mentor, tak i listy jego, są może najwybitniejszym wyrazem naszych niegdyś koleżeńskich i przyjacielskich stosunków; i że samo przeczytanie jednego z takich listów, lepiej może komuś obcemu da poznać nastrój ducha owej naszej epoki, niż długie historyczne wywody i określenia. Masz więc tedy owe wyjątki.

„Edwardzie! Nie mogę cię nazwać *kochanym*, bo nic jeszcze nie zrobiłeś *kochanego*; nawet nie pisałeś tak długo do mnie *kochanego*; a jak słuchy dochodzą, historii, prawa, łaciny nie umiesz, nie uczysz się, i całą romantycznością romantyczną odurzony, klasyków.

nie znasz, a przeciw klasycyzmowi powstajesz; piszesz wierszyki niepomyślane, niewyważone, i niemi kolumny dzienników wypełniasz. A zatem jeszcze Edward nie *kochany*, póki historyi, prawa i łaciny nie umi, póki czego *kochanego* nie zrobi, a skromniejszym się jeszcze nie stanie.

„Ach, Telemaku! czy tylko piszesz, czy i sądzisz? Jeżeli ty p..., to jeszcze pół biedy; bo źle napiszesz, to cność kon... i czas darmo zabijesz, ale wolniejszy jesteś na si... niu; ale jeżeli źle osądzisz, to choćbyś za swém... ciągnął zdaniem, nie jesteś wolny od grzechu... iego ciężki jest urząd! Długo się trzeba spos... eł znać, wiele umieć; mieć zdanie zdrowe, czyste, wy... kie; mieć rozum wielki i siły olbrzymie. Wszyscy sądzą, to prawda; ale też przeto prawda mało na tém wygrywa. Nie sądz więc bardzo drugiego; nie sądz więc bardzo ogółu; sądz najprzód siebie samego; a jak się siebie nauczysz, to będziesz może mógł coś prawdziwszego wyrzec i o podobnym sobie. Jeżeli więc krzyczysz za romantycznością, to nie wiem czy masz pewne zasady, i czy ją dobrze pojąłeś? i czy wszystkie przeciwne stroony rozumiałeś? Nie eryluj się nigdy na sędziogo! Bóg zda się ani ciebie, ani twego Mentora na to nie przeznaczył. Skromny im pracy jest wydział; może wątpliwa jój wartość; ale o tém niech inni sądzą! Oni, chociaż jak drudzy sądzić mogą w kącie: publicznie powinni tylko występować z pracą, a nie z sądami.

„A i ciężka to bardzo dla *publicum* praca! Przyznam ci się, że ja dla niego pracować nie śmiem, czyli

raczej, nie mogę; bo prawie chciałbym zawsze pracować nad siły, tak mię drażnią i gorszą hultaje. I dla tego wolałbym być zawsze skrybentem niż autorem. Dość mi nie być dla społeczności ciężarem; lecz żeby ją memi sądami i księgami oświecać—to na moje siły za wiele! — Telemak śnielój coś marzy; Telemak więcój coś pisze; niechże więc będzie autorem, ale autorem bez braku. Jedna nicch będzie książeczka, ale dobra; jedno zdanie, ale zdrowe! Lepsze jedno ziarnko pożywne, od korca plew nieużytecznych! Poczciwych ludzi zadaniem być powinno: uczyć się i myśleć co najwięcej, a mówić i pisać jak najmniej. Szczęśliwy geniusz, który co powie, to prawdziwe; co piórem potrząśnie, to myśli i zdania wysypią się złote! Ale takich ludzi nie wiele; a być pomiędzy pisarków motłochem, jestto być w jakiejś szynkowni, gdzie pełno gwaru i swaru, a nic prócz dymu i czadu! Jestto haniebnie oszukiwać współziomków, którzy druk radzi kupują, a dosyć pono ubodzy, żeby tak drogo za puśty papier płacili, albo, co gorsza, złą myślą lub złém słowem dusze swe zarazali! Ciężkie więc twoje, panie autorze! panie dziennikarzu! panie wydawco almanachów! rzemiosło! Paniętaj, że ciężkie są nauczycielów narodu grzechy! a kto na się bierze za wiele, nie wiem jak wszystko wykona.

Pszczółka miód tylko robi, a kadziło mrówka;
Nad jedném więc a dobrém niech pracuje główka.

„Otóż masz i wiersze, których tak bardzo żądałeś.
Powiedzieć ci jednak muszę, że wierszy teraz nie pi-

szę, bo nie mam żadnego natchnienia. Zbyt moja lechana Muza daleko, a może zapomniała o mnie zupełnie. Wierszy dziś nawet nie tak bardzo lubię; co one dla mnie za poziome: — prawda, że poziomie piszecie. Czytałem „Nowy Rok” Adama, w *Bibliotece*, i trochę za serce uszczypnął; choć i ten ma coś zły w sobie dzikiego. Czytałem potem i wiele innych, ale ach! nie ma w nich tego, czego duch i serce potąd! A i ty twojemi piosnkami nie wielką mi czynisz przysługę. Zmiłujcie się, wznagajcie chwałę narodową! ale niechaj nic gwałtem nie kwitnie; a jeśli laury przekwitły, umiejmy przynajmniej kosztować słodyczy, w tych, jakie z nich mamy, owocach. Bo pisać tylko wiersze dla tego, żeby je potem drukować, dalipan, czyby nie lepiej pójść glinę wozic taczkami.

„A więc, Telemaku szanowny! nie kończ i nie sztukuj swych kusych do mnie listów wierszami; bo ja chcę listów, a nie żurnalów. A listów jeśli można chcę częstszych. Boję się, żeby się nie rozpuścił Telemak, a ja, nie stracił tytułu i władzy Mentora. Oddawnaśmy już na różnych kołatani morzach; a skały i Kalipsy są wszędzie! — Spodziewam się jednakże, że ten list zastanie cię w domu; musiałeś już, podług twój obietnicy, przyjechać do ojca. Ciesz się więc za siebie i za mnie, a ja ci będę prawić choć cudze morały; bo nie chcę, żebyś się tylko jedynie z drogiemi dziewczcami naszymi bawił, ale chcę byś też pomyślił czasami, co czynić z sobą potrzeba, aby być lepszym na świecie.

„Un jeune homme qui aime à se parer vainement comme une femme, est indigne de la sagesse et de la gloire.“

„A wiele przywozłeś z sobą krawatów i kamizelek z Warszawy? Proszę mi zdać o tém rapport, a obaczymy, czy ten *homme* jest godny *de la sagesse et de la gloire*.

„Quand tu seras le maître des autres hommes, souviens-toi que tu as été faible, pauvre et souffrant comme eux; prends plaisir à les soulager, aime ton peuple, et déteste la flatterie.“

„Czy byłeś przyjechawszy do domu w chacie choć jednego swojego wieśniaka? Czy masz dzieci i starców znajomych? (bo nie mówię o dziewczętach, z którymi owszem znajomość masz mieć daleką;) i czy przywozłeś im lub kupiłeś w Oszmianie gościńca, albo obwarzanków w Smorgoniach? Donieś mi o tém wszystkim, a zaraz poznamy, jak to ty lubisz ludzi, twoich bliźnich braci?

„Quiconque est capable de mentir, est indigne d'être compté au nombre des hommes; et quiconque ne sait pas se taire, est indigne de porter ce nom.“

„Trzeba więc zawsze i we wszystkim prawdę mi mówić, a z dziewczętami twój wioski nie wiele gadać. Nawet gościńce i obwarzaneczki lepiej ich matkom lub babkom do podziału między nie oddawać.

„Quand est-ce, o! Telemaque! que vous serez assez sage, pour ne parler jamais par vanité?“

„Powiedz mi, kiedy? — to jest, kiedy przestaniesz pisać wiersze dla tego tylko, żeby pisać i drukować,

a nie dla tego, żeby prawdziwie cel jakiś pożyteczny miały? Bo że damom, a czasem i Mentorowi komplementa prawisz, w tém jest więcej pochlebstwa raczej niż próżności. Ale i tego nie trzeba.

„Personne ne souhaitera plus que moi, que vous goutez des plaisirs, mais des plaisirs qui ne vous passionnent, ni ne vous amolissent. La sagesse n'a rien d'austère ni d'affecté. La sagesse n'a point de honte de paraître enjouée, quand il le faut.“

„Baw się więc wesoło i przyzwóicie, czy to w Warszawie, czy w Wilnie; ale strzeż tego, co tu powyżej powiedziano, *pilnie*. Otóż masz i wiersze tak żądane, prozone i oczekiwane.

„Vous ne m'aurez pas toujours. Il faut que ce soit la sagesse et la vertu, plutôt que la présence de Mentor, qui vous inspirent ce que vous devez faire.“

„Nie ma tam już i dzisiaj przy tobie pana Mentora! A co to będzie, jeśli Telemak rad jego i przestroż zapomni?

„Zmiłuj się więc, bądź skromny w odzieniu, mówieniu, czynieniu, pisanu, dziennikowaniu, recenzowaniu, sądzeniu! Lepiej słuchaj, a myśl; a potem będziesz sądził romantyczne i klassyczne narody. Bądź zdrów!“—

A co? czy list ten nie wart trudu przepisania? nie mówiąc już o obroku duchownym, który i ty i Oleś, możecie zeń wyciągnąć dla siebie.

A teraz zwracam się myślą do pani Szymanowskiej, i do panien Heleny i Celiny, z którymi już być

musisz znajomy. Z kusych listów Adama, które pisze do nich niekiedy, ale zawsze jakby z napaści, nie wiele bardzo muszą wiedzieć o nim. Ty więc, który wiesz wszystko, masz pole opowiadać przed niemi— pamiętaj tylko że nie wszystko. Damy w ogólności nie lubią, kiedy ten, kogo one lubią, lubi też drugie, choćby do nich podobne; a zwłaszcza, gdy im o tém ktoś trzeci powiada. Mów więc lepiej, co jest najświętszą prawdą, że Adam o nich zawsze jak najczuliej wspomina, i uważa samą panią za jedną z najlepszych swoich przyjaciółek, które jak opiekuńcze duchy stoją wzdłuż drogi jego życia, i na każdym jój nowym zakręcie przekazują go jedna drugiej. Dzieje się to zaprawdę z całym ludzkim rodzajem. Daj tylko Boże, żeby z naszym *Adamem* mogło stać się całkiem na opak! Ród ludzki zgubiła Ewa, a pocieszyła Marya. Jemu młodość goryczą zaprawiła Marylla, obyż pociechą stała się Ewunia! Ale ty o tém nie paplaj! Za toż możesz dodać najsumienniej, że choć Adam i tutaj pływa jak delfin w potokach melodyi: cała gamma fortepianów tutejszych nie zastępuje mu jednego pani Szymanowskiej, ma się rozumieć z akompaniamentem śpiewu dwóch stojących tuż obok, jak na obrazku św. Cecylii, aniołków. Bo muzyka dla niego, to już jest widać tajemniczy łańcuch, który go łączy zawsze z płcią piękną. Mówiłem mu nawet kiedyś, że i ta jego ochota pokręcania za ucho, kiedy mu kto coś o tém napomknie, nie z kąd inąd musi pochodzić, jak że jego samego Amor najczęściej za ucho pociąga. Dla mnie ucho jest niczém; dla oczu tylko oczki i ustka, to grunt!

Tych mówę i bez ucha rozumiem; a harmonia głosu miłej brzmi z za perłowych ząbków, niżli z pod kościanych klawiszów. Ale i to co mówię, możesz przed panienkami za swojemi zębami zatrzymać. Powiedz im owszem, że na operach często bywamy, i że ja, jako prawdziwy znawca, słucham tylko najlepszych aryj albo passażów — to jest, kiedy mię oklaski obudza. Objaśnienie to jest *tibi soli*; a zaś exkuza moja w tém, że się tu teatr dopióro o godzinie 10 zaczyna, a opery prawie zawsze te same. Nie tak téż bardzo ochoczo wybieramy się na nie sami, ale nas zwykle państwo Ankwiczowie zapraszają z sobą do łoży, i tam się jakoś budzimy wzajemnie. Mówię *wzajemnie*, bo raz wyszedłszy na pół godziny do łoży pani Klustin (gdzie Adam na dłużej pozostał), za powrotem wśród aktu, ujrzałem główki obu pańienek schylone jak kwiaty pod rosą, a widząc że i oczki zamknięte, szepnąłem z cicha między niemi: „budzę panie!“ Obudziły się protestując, że nie śpią; ale gdyby tak było, toczyby przecie mogły zapytać: „w jakim kolorze?“ Że zaś przytém na twarz ich obu kolor wstydu wystąpił: więc ja trwam przy mojem twierdzeniu, i bronię się tém jak puklerzem przeciw ustawnym ze mnie z tego względu żartom.—W istocie wszakże, za własny miły grosz wolę chodzić niekiedy na komedye do teatru „*Metastasio*“, bo je Włosi grają przedziwnie.

Teatrów publicznych jest tu cztery. Największy i najpiérwszy jest tak zwany „*Teatr Apollina*“ albo „*Tordenone*“, od ulicy przy której stoi. Ma 6 pięter łoż, w każdym po 29. Bilet do krzesła kosztuje 6

paolów, na parter połowę tego. Łoża 2-go i 3-go piętra, na cały sezon skudów 120. Dają tu same tylko opery i balety: przez cały sezon dwie i dwa te same. Opery tegoroczne są: *Eroina del Messico*, Riccego, i *Romeo e Giulietta*, Vaccai, którąśmy już w Bolonii słyszeli. Prima-donną jest pani *Favelli*, w wielkich łaskach u publiczności. W istocie śpiewa prześlicznie, a i sama także jest śliczna. A mimo to, taż sama publiczność umie trzymać na wodzy, i nawet skarcić swoją faworytkę. Obok niej, w roli *Romea*, występuje pani *Ek-Kerlin*, którą pani *Favelli*, przez zazdrość, chciała zaraz na wstępie jakoś skompromitować. *Romeo* uniknął zasadzki; uwiadomiona zaś o tém publiczność, która się z całym zapalem polityką sceny zajmuje, takim sykaniem i gwizdaniem nazajutrz powitała zazdrośną *Juliettę*, że odtąd czuła para na scenie zdaje się kochać jak w libretto. Po pierwszym akcie opery występuje balet: *Gabriella di Vergy*, albo jakiś morlacki, którego tytułu nie pamiętam, ale piękniejszy od pierwszego. Na drugim większym teatrze, *Teatro Valle*, dają także opery, a zamiast baletu komedye. Prima-donną jest pani *Testa*. Na trzecim, *Metastasio*, same komedye klasyczne. Na czwartym zaś, *Aliberti*, operetki i komedyjki pomniejszych. Ale oprócz tych czterech teatrów stałych, funkcjonuje tu jeszcze w tym karnawale aż sześć teatrzyków amatorskich, ale także publicznych; a mianowicie w towarzystwach: Filo-dramatycznym, Filarmonicznym, z tytułem Akademii, i Anti-filarmonicznym, które wciąż emuluje i kłóci się

z pierwszym. Dyryguje niem *Marchese Rafaele Muti-Papazzuri*, który sam jest fortepianistą. Byliśmy po kolei we wszystkich. W dwóch ostatnich dają same tylko opery, a raczej wyjątki z oper. Oprócz tego, co tydzień są w obydwóch wieczory muzykalne. Na jednym z nich, w Akademii, jakiś Niemiec grał cały koncert na flecie. Ale byłto prawdziwie „flet czarnoksiężki.“ Publiczność szalała z zapamiętaniem. Frenetyczne oklaski i okrzyki, zdawało się, że mury rozsada. Tak chyba musiał grać kiedyś Marsyas, gdy śmiał Feba do walki wyzywać. Ale co ten, to wcale nie ma buty Marsyasza, i owszem nicby nie stracił, gdyby go z tej jego skóry odarto, a w jaką okazańszą obszyto. Od miesiąca jadam z nim zwykle przy jednym stole *à la lepre*, ale nigdy mi ani na myśl nie przyszło, aby ten chudy, maleńki człowieczek mógł mieć w sobie takie cudowne technienie, a może i natchnienie.

Lecz to widać ogólne jest prawidło ducha,
Że im on w kim technie wyżej, ten sam mniej w nos dmucha.

Powiedz to wszystko pani Szymanowskiéj, bo dla niéj to ja zwłaszcza te *musicalia* piszę.—Tyś sam pewnie ciekawszy teatru u księżny Zeneidy, i jak ja „*j'ai fait mes farces?*“ Bo to jest, jeśli pamiętasz, tytuł sztuczki, w której miałem i w której występowałem rzeczywiście w przeszłą niedzielę. Otóż poszło to jakoś nie tak bardzo źle, jak się bałem; a tém samym już bardzo dobrze. Nie ręczę, czy ze zbytnej gorliwości o pronuncyacyą, z *je* nie stałem się niekiedy *jeu*, albo czy *que* nie przerosło w *queu*. Ale to jakoś uszło. *Verba volant*. A zresztą część tych

usterków tłumiły też czasem i oklaski, dawane mojej *miléj*, kiedy była ze mną na scenie; chociaż, Bogiem a prawdą, oklaski te zaczynała zwykle sama gospodyni, której grzeczni goście wtórzili. Bo i nasza „*dziesiąta Muza*“ nie zdaje się być w tak ścisłych stosunkach z siostrzyczką *Talią*, jak z innemi. Ale co w drugiej sztuczce „*Michel et Cristine*,” to obie tytułowe osoby: młody książę Wołkoński i panna Luiza Vernet, warte były istotnie publiki; a zaś publika, *per suam qualitatem*, jeśli nie *quantitatem*, mogłaby zadowolnić choćby nawet samego Talmię czy Garrika. Cały środek salonu kwitł jak ogród kwiatowy różnobarwnemi strojami poważnych dam i ładnemi twarzyczkami panienek, a wkoło ścian, jak hebanowe ramy uroczego tego obrazu, czerniły się dwa rzędy spektatorów frakowych, między którymi: Thorwaldsen, Cammucini, dwaj Vernetowie, Craffonari, Bruni, dalej Visconti, Nibby, Bonstetten, Adam, i t. d. A co gwiazd i wielkości światowych! Moja największa korzyść z roli aktora była ta: że mnie xiężna, po skończeniu spektaklu, prezentowała po kolei wszystkim tym panom, których dotąd po większej części z daleka tylko widziałem, i że mię przytém p. Horacy Vernet na herbatę we wtorek wieczorem do siebie zaprosił. Jest on tu dyrektorem francuzkiej Akademii malarstwa, w której się kształcą wszyscy młodzi malarze francuzcy, przebywający w Rzymie. Mieszka w prześlicznej *Villi Medicis*, na Monte Pincio, gdzie się też mieści i Akademia. Villa ta jest własnością rządu francuzkiego od czasów Ludwi-

ka XIII, który ją odziedziczył po matce swojej, Maryi z Medyceuszów. Wieczór wtorkowy był wprost dla xiężny Zeneidy, którą Vernet zaprosił dla obejrzenia najnowszego swojego i tylko co wykończonego obrazu. Jestto portret terażniejszego papieża, w całej postaci, niesionego na tronie w uroczystej processyi w kościele Ś. Piotra. Obraz wielkich rozmiarów; dowodzący zapewne obfitęj i żywej wyobraźni autora, ale mniej wpływający na wyobraźnię widzów, niż jego obrazy bitew, z których jeden, wyobrażający bitwę bandytów z żandarmami papieżkimi, przedstawiał także gościom jako nowy swój utwór. W tamtych jest on prawdziwym i wielkim poetą. Łatwiej mu widać poczuć i wyrazić rycerską odwagę i zapał, niżli cichą pobożność i skrucę. A i w nim samym, jak w postaci tak i w rozmowie, znać wyraźnie dwa te pierwsze przymioty, tylko że nastrój ich więcej się zdaje być wesołym i żywym, niżeli patetycznym lub sentymentalnym. Słyszałem go mówiącego i śmiejącego się głośno, z powodu jakichś sztychów rozrzuconych na stole, przy którym około niego stali: Cammucini, Catel (pejzażysta), Craffonari, kochany nasz Allan, sędziwy ośmdziesięcioletni Norblin, i kilku młodych malarzy francuzkich. Rzecz musiała się toczyć o kolorycie, bo podszedłszy słyszałem Cammuciniego jak mówił: że ubiory rzymskie nie dopuszczają bogactwa kolorów, i że przeto rad jest, że ma przed sobą trzy obrazy, w których będzie mógł je rozwinąć. Obrazy te są: Papież Grzegorz w Anglii; Wejście Sforzów do Medyolanu, i scenę z Atalii Ra-

syna, dla pani hr. Ostrowskiej.—Powiedz to wszystko panu Orłowskiemu, którego musiałeś już poznać, i którego to może interessować: tém bardziej, że potem była mowa i o nim. Sam Vernet admirował „ogień i fantazyą w pozach jego koni;“ Adam mówił o trybie życia jego w Petersburgu, a stary Norblin chwalił się, że był pierwszym jego nauczycielem. Stało się zaś to w taki sposób. Xiężna Izabella Czartoryska zwiedzała dobra swoje w Galicyi, z licznym dworem, przy którym był natenczas i Norblin. Przy wjeździe do jednej karczmy, w której przygotowany był obiad, wszystkich uwagę zwróciło mnóstwo figur końskich, węglem lub kredą rysowanych po ścianach, tak zewnątrz jak wewnątrz karczmy. Zapytany o to gospodarz, odpowiedział z ubolewaniem, że ma syna urwisa, który nic nie chce robić, co mu ojciec każe, a tylko albo hasa na koniach, gdzie którego dopadnie, albo je bazgra po ścianach lub na rejestrach ojcowskich. Norblin pierwszy w tych niekształtnych rysunkach dopatrzył zaród talentu, a zawołany chłopak stawił się wkrótce przed xiężną, czerwony, zapocony, z koszulą zawiązaną na bakier. Na zapytanie xiężny, czyby się chciał uczyć rysować, aż podskoczył z radości wołając: „Ach! chciałbym, chciałbym bardzo, mościa xiężno!“ Ta żywość i ta śmiałość podobały się xiężnie; wzięła więc na opiekę chłopca, i zabrawszy go wprost z popasu, poruciła nauce Norblina. Tak opowiadał Norblin; o ile w tém jest prawdy, sam pan Orłowski najlepiej opowie. Ale z tego opowiadania wywiązała się bardzo zajmująca

rozmowa, o objawach w dzieciństwie wrodzonych ludzi talentów i zdolności.—W ogólności cały ten wieczór był bardzo interessujący i miły. Osób było najmniej 60, prawie sami artyści. Prócz dworu więzny Zeneidy był tylko poseł francuzki, hr. La Ferronay, z dwiema córkami, i jacyś dwaj panowie angielscy z rodzinami. Lokal obszerny, swoboda zupełna. Na stołach, obok rysunków leżało mnóstwo gazet i nowych książek francuzkich. Jedni je przeglądali, drudzy grali w szachy, inni nakoniec, do których i ja należałem, albo rozmawiali z damami i zci-cha między sobą, albo przysłuchiwali się rozmowom starszych. Mnie stary Norblin posadził w kącie przy sobie i rozpytywał długo o Warszawie, o której żywą i wdzięczną zachowuje pamięć. Największa jednak dla mnie przyjemność tego wieczoru, wyniknęła z łakoci; nie żebym tak był łakomy, ale ci opowiem dla czego? Roznoszono obficie owoce, ciasta, wina, cukry i lody. Ze wszystkimi temi tacami, jakiś zręczny, fertyczny, młody lokaj Francuzik, tak często przystępował do mnie, że to wreszcie zwróciło moją uwagę. Gdy więc mu dziękowałem za lody, a on z osobliwszą grzecznością jeszcze mi ananasowe zalecał: „*Vraiment, Monsieur, rzekłem: vous êtes bien bon de penser tellement à moi.*“—A on na to z figlarnym uśmiechem: „*Car on m'a recommandé, Monsieur, de penser à vous.*“—No, no! proszę cię tylko, panie Julianie! nie wyciągać ztąd żadnych wniosków! Rekomendacya ta bowiem, niestety, nie ściągała się tylko do mnie wyłącznie, lecz do całego

dworu xiężny Zeneidy; bo i młody xiążę, i Szewirew, byli również przedmiotem szczególnej uprzejmości *de Monsieur André*, (bo tak słyszałem że go nazywano), a tylko grzeczne moje słówko wywołało tę głośną konfidencją z jego strony. Zawsze jednak tak byłem z niej kontent, że gdy przy wyjściu podawał mi płaszcz i parasol, wcisnąłem mu do ręki całe pół skuda — z niezbyt czystych pobudek — wyznaję; bo częścią wprost przez próżność, a częścią przez rachubę, ażeby dobre słowo o mnie przed panną Luizą powiedział. Jój téż samój, w ciągu wieczoru, znalazłem stosowną sposobność podziękować zlekka, jako gospodyni, za doznaną uprzejmość pana Andrzeja; na co tak wdzięcznym spłonęła rumieńcem: że gdyby to było za kulisami naszego szaradowego teatru, podziękowałbym jój „niższy kolanem,“ jak powiada Trembecki, to jest, przybrałbym przed nią téż pozę, jaką tam nieraz przybrać się zdarzało.

Ale muszę ci jeszcze opowiedzieć o dwóch wieczorach, na których byliśmy w ciągu ostatniego tygodnia: o królewskim — to jest u królowej Hortensyi, i o demokratycznym — u sąsiada naszego w tymże domu, pana adwokata Sella. Piérwszy, na który byliśmy zaproszeni za pośrednictwem xiężny Wołkońskiej, zaczął się dla mnie pod fatalném godłem. Przyjechaliśmy zawczasie, (choć już była 10), kiedy jeszcze nikogo nie było w salonie. Żeby więc samym nie świecić oczyma, nie było innój rady, jak powrócić nazad do domu. Adam był w najgorszym humorze; a że ja to, niestety, doradzałem pośpiech: więc mu-

...zród służyć gderania w drodze, a potem w domu zgodzić kapryski. Chciał już być całkiem nie jecnać, i nawet się zaczął rozbierać. Ale wzięłam i... gęcznie na sztuki niewieście, i to karesami, to żartem, nadewszystko zaś przypomnieniem panny Celiny, kiedy ~~nie chciała~~ jechać z nami na teatr: dokazałem na... się udobruchać, i nawet stał się bardzo c... łę. Przyjechaliśmy tedy powtórnie o san... i tak jeszcze byliśmy jedni z pierwszych. ... jak zawsze uprzejma: przy zapytaniu Adama o za... dołączyła grzeczną wymówkę, że się musiała... ięć dopominać przez się. W ogólności w ka... jej słowie znać żywość, dowcip, i chęć—jeśli... dobawania się, to przynajmniej zrobienia przyjemności gościom i zachęcenia ich do rozmowy. Ze mną mówiła chwilę o pogodzie, o śniegu w Rzymie, i o różnicy klimatów i kalendaryzów, starego i nowego stylu. Potem zaprezentowała nas starszemu swemu synowi, który stał blisko, i z którym Adam czas jakiś o zimie petersburskiej rozmawiał. W dalszym ciągu wieczoru zagadnęła mnie raz jeszcze przechodząc, jak przepędzam karnawał? i obiecała wiele przyjemności, kiedy prawdziwy Rzymski karnawał zobaczę. Z Adamem zaś mówiła o Vernecie, o Akademii, i o obrazach szkoły francuskiej w porównaniu z włoskimi. Wieczór był tańczący; osób ze sto. Tańce rozpoczął książę Wirtemberski, bardzo przystojny mężczyzna, z bardzo piękną Angielką, Lady Seymour. Obaj młodzi książęta, synowie domu, brali w nich czynny udział, i ró-

wnie zręczni piechotą, jak codzień na ulicach popisują się konno. Ale najosobliwszą tancerką tego balu była pani generałowa *Ménou*, wdowa po generale, koledze Napoleona, który był z nim razem w Egipcie. Jest ona Egipcyanką z rodu, i mąż jój był się dla niej najprzód zmuzułmanił, nim ona sama potem chrześcijanką została. Jest to drugi tom pani Zajączkowej, albo sławnéj niegdyś *Ninony de l'Enclos*, co do czerstwości, żywości i elegancyi na starość. Ma lat około 70; włosy białe jak śnieg, ale utrefione w pukle; a tak się nosi i zwija w kontredansie, jak przepiórka pomiędzy zbożem. Nie tak łatwo jój wszakże, jak widać, o tancerza: bo najczęściej, jak uważałem, tańcowali z nią synowie domu. Excentryczność ta zresztą, jak mi potem mówiono, nie razi tu już nikogo, tak do niej wszyscy od lat tylu nawykli, i tak sama jest skutkiem upodobania raczej, a nie śmiesznej pretensyi staruszki. Upatrywałem wszędzie Króla Hieronima, aby uczcić jego majestat; ale go na tym balu nie było. Z Polaków byli: hr. Potoccy, Zamoyski, x. Radziwiłł, który dzisiaj do Neapolu wyjechał, i pan Dernałowicz. Wróciliśmy do domu po pierwszój.

Drugi wieczór u p. Sella był dla nas niezmiernie ciekawy. Znaliliśmy tego pana ze spotykania się tylko na wschodach. Ale przyszedł sam do nas rano, i tak szczerze, tak serdecznie zapraszał na wieczór, że Adam nawet nie drożył się długo. Wprzód jednak wstąpiliśmy na chwilę, we dnie, aby się saméj pani przedstawić. Powitała nas jak najlepszych znajomych, chociażśmy się po raz pierwszy widzieli, gwoli

go sąsiedztwa; a tak nam dziękowała za przyjęcie zaprosin męża, jakbyśmy im największą łaskę zrobić mieli. Osobliwsza jest ta uprzejmość włoska w klasie średniej! Obok niej, nasza nawet jest mniej uczuciowa. A i cały ten wieczór był nader charakterystycznym

Obszerny salon, przed-
pokój i pokój
gośćmi. Ale za
uderzyło nas dziwne
jakieś ugrupowanie t
twa. W przedpokoju.
i w trzech kątach salonu
iły się osobne gronka,
w pośród których gosp
nie zważając na nie,
przeprowadził nas do s
o pokoju, gdzie dopie
ro nie nas, ale nam i
przedstawić obecnych,
nawet damy i młode
ki. Były to rodziny
adwokatów, doktorów i urzędników sądowych. Ale
pryncypalną figurą, dla której czy my, czy ona dla
nas była zaproszoną, był obwieszony orderami, stary
dawny półkownik wojsk francuzko-włoskich, pan
Emmanuele Sozzi, który odbywał kampanię 1812
roku, i sześć tygodni przeleżał chory — gdzie? —
w Smorgoniach! we dworze hr. Przędzieckiego; a do-
znał tam, jak mówi, tak rodzicielskiej opieki i tak
braterskiej życzliwości od rządzcy tych dóbr i okoli-
cznych sąsiadów, iż poczytuje sobie za największą przy-
jemność, że może przed Polakami wdzięczność swoją
dla nich oświadczyć. A cóż dopiero gdy mu powie-
działem, że jestem także sąsiadem smorgońskim,
i gdyśmy się rozgadali o niedźwiedziach i obwarzan-
kach tamecznych! Rozumiałem, że mnie zadusi, jak
zaczął całować i ścisnąć; a to jego wzruszenie oddzia-

łało i na nas, i uczyniło nas bohaterami fety. Tymczasem zauważyłem w salonie, że zaczęto po kątach nakrywać i zastawiać osobne stoliki; co się też odbywało i w pokoju naszym, tylko, że tu był stół jeden, przy którym gospodarze czynili honory, ale tylko dla gości w tym pokoju będących. Widząc nasze zdziwienie, półkownik wytłómaczył nam co to znaczy. Mający obszerniejsze mieszkania, ludzie téj klasy co pan *Sella*, pozwalają niekiedy bliższym swoim przyjaciółom czy krewnym, zapraszać do nich każdy swoich gości, którzy nie są nawet obowiązani zaznajamiać się koniecznie z gospodarzami domu, ale też i są ugaszczani nie przez nich, lecz tylko przez tych, co ich zaprosili. Tym sposobem dom prywatny zamienia się niejako w oberżę; ale też razem tworzy punkt zjednoczenia i ułatwia towarzyskie stosunki mniej zamożnych klass społeczeństwa. Trudniej jednakże było poczciwemu półkownikowi usprawiedliwić przed nami, „rajską niewinnością,” inny jeszcze miejscowy obyczaj, gdy jakaś młodziuteńka panienczka z salonu wbiegła do naszego pokoju, gdzie stały łóżka obojga gospodarzy, i nie zważając na obecnych, zaczęła się w nim rozporządzać, jakby wcale nie było nikogo. Nie opisuję ci bliżej téj sceny, którą kiedyś ustnie opowiem; ale to muszę dodać, że cały ten wieczór, jako rodzajowy obrazek towarzyskości tutejszych klass średnich, sprawił na nas jak najmilsze wrażenie, ze względu uprzejmości, naturalności, prostoty i serdeczności, tak w obejściu jak i w rozmowie. Adam nagadał się z półkownikiem do syta o Napo-

jakiéjs Markezyny włoskiéj, ten jakiéjs Grafini niemieckiej, i t. p. Strzelecki zgadł od razu czyja w tém jest sprawka; a zapytany o to *Il Conte Rino*, dziwił się, że się temu dziwiono: „bo on przecież zostawiał *swoje własne* bilety, skoro mu je darowała matka.“ Ale szkoda słów i papieru mówić dłużej o tym głupstwie. Lepiej więc skończę słówkiem o poczciwym xieżulku, z Galicyi także, który się nazywa *Miesiączek*, a wygląda jak miesiąc w pełni. Przyjechał on na parę miesięcy do Rzymu; ale za piérwszém pójściem do watykańskiego muzeum, tak był zgorszony nagością posągów: że na widok Nimf, Gracyj i Bogiń, wołał tylko spluwając: „tful tful pokusnice! djablice!“ a zaś tak go raziło, że to widział w pałacu papieżkim, że w dziesięć dni po przyjeździe, zabrał się nagle i pojechał do domu.—Papier się skończył.—Bądź zdrów!

X.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 13 lutego 1830 r.

Dziś po południu zaczyna się tu właściwy karnawał. Jak więc cały Rzym po ulicach, a może i po domach, krząta się i uprzęta wszystkie codzienne wystawy i sprzęty, a wywiesza kobierce i chorągwie, szykując się i przygotowując do przyjęcia i używania dorocznej uroczystości narodowej: tak i ja zamierzam w tym liście zbyć ryczałtowo z myśli wszystkie przeddzisiejsze wspomnienia i notaty, aby następny mógł być *kartą białą*, do przyjęcia samych karnawałowych obrazów i wrażeń.

W dzień N. P. Maryi Gromnicznej, słońce jak gdyby odwdzięczając ziemi za blask milionowych gromnic, które płoną ku chwale Bożej, zabłysło nagle tak ciepłą, tak wiosenną pogodą, że jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej, cała natura od razu rozpromieniła się życiem nowém: jak może rozpromieni się dusza, kiedy po wyjściu z ciała przy świetle gromnicy, blask Łaski nad sobą zobaczy. A i duszyczki nasze—a przynajmniej moja,—choć siedzi jak ślimak w skorupie, różki jednak do góry podniosła. I my sami jak ptaszki na wyraj—jak jaskółki na skrzydłach bocianich, dzień w dzień prawie wylatujemy za

miasto: to jest, albo więźna Wołkońska, albo państwo Ankwiczowie, albo panna Anastazyja z matką, zabierają nas do swoich powozów i obwożą po okolicznych *villach*, które, jak Hory wóz Feba, otaczają z różnych stron Romę. Ale oprócz tej opieki płci pięknej, dał nam tu jeszcze Pan Bóg współ-pielgrzyma, który co do wożenia nas i fundowania obiadów, gotówby choćby codzień z największą ochotą być naszym Mecenasem i Amfitryonem. Jest to przybyły niedawno hr. Alexander Potocki, syn Szczęsnego, dziedzic Tulczyzna i Zofiówki, milionowy bogacz, ale który z pozoru i usposobienia wygląda raczej na Kwakra, tak sam o tém swém państwie i bogactwie nie myśli, i tak jest pełen dobrodusznój prostoty, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ręczyłby można, że każdy z jego ekonomów, przez to samo że służy u niego, musi się więcej czupurzyć na pana—i niezawodnie wyjdzie w końcu na niego. Bo ekonomom, u niego to być musi jak wołom w pszenicy! On sam powiada o sobie, że nic go tak nie męczy i nie nudzi jak to wielkie mienie; bo czuje obowiązek rozumu i sumienia, aby go marnie nie strwonić i używać dobrze, a to mu odejmuje osobistą swobodę. To też gotówby, jak mówi, sprzedać je komu za połowę ceny, byle miał to sumienne przekonanie, że ten nabywca nie będzie tylko prostym spekulantem, i że potrafi lepiej od niego utrzymać je i obracać na ogólny krajowy pożytek. Podróżuje zwłaszcza dla tego, aby się na czas jakiś od pańsko-gospodarskich kłopotów oderwać; a że go podróż sama przez się nie

bawi, więc rad jest z towarzyszków przepędzania czasu. Z Adamem zna się od czasów Odeskich, i znać po nim, że go miłuje serdecznie, *notabene*, nie bez wzajemności. Codziennie więc prawie rano, około godziny 10-jej zajżdża do nas powozem, na cały dzień najętym, proponując to spacer, to obiad, to jaki spektakl na wieczór.

 Nie obraża się atoli,
 Gdy Adam, płci pięknej gwoli,
 Z nią jeździć lub chodzić woli.

Bo i sam on, jak widzę, jest jej wielkim admiratorem, większym nawet niżli kamiennych lub malowanych piękności. Ilekroć zaś zwiedzamy razem stare jakie pomniki i gruzy: ma zawsze w pudle powozu ogromny jakiś *Dictionnaire historique*, z którego ja zazwyczaj, jak bernardyński braciszek w refektarzu, czytam głośno objaśniający artykuł. Nic go wszakże tak nie wzruszyło, jak obraz zakopywania żywcem biednych Westalek, na placu, gdzie się to odbywało, a który zowie się tu dziś *polem zbrodniczym*, (*Campo sclerato*). Czas, to dopiero wielki sędzia i mściciel, jak mówi gdzieś Lord Byron, który wszystkiemu na świecie sprawiedliwość nakoniec wymierza, i nadaje właściwe znaczenie albo nazwisko!

Onegdaj z tymże Potockim, x. Parczewskim, Strzeleckim, i kilku innymi, zwiedzaliśmy sławne *katakumby*, za bramą i przy bazylice Św. Sebastjana za miastem. Niegdyś, w świątyniach i pałacach Romy, zwano je pewnie *jaskiniami złoczyńców*, za jakich uchodzili

pierwsi chrześcijanie, którzy w nich szukali schronienia, kopiąc je i rozszerzając sami coraz dalej. Dziś jest to przedmiot czci i pobożnych pielgrzymek, na podobieństwo z grobem Zbawiciela; bo z nich to, jak *On Sam* z grobu, zmartwychwstało i wyszło na świat chrześcijaństwo. Były to pierwiastkowo kopalnie piasku i kamieni, na budowę tych gmachów Romy, które przez wieki dziwiły świat ogromem, jak dziś zadziwiają ruina: że mogły być tak wielkie i upaść. A oto na ich gruzach, nie tylko tu, ale i na całej kuli ziemskiej, wznoszą się pod niebiosa miliony świątyń, których prawdziwe kamienie węgielne z tych samych właśnie pochodzą kopalni. Bo przecież musisz wiedzieć, że w każdym ołtarzu, przy którym ma się odprawiać ofiara mszy świętej, jest i musi być koniecznie kamień z relikwiami świętych Męczenników. Otóż dziewięć dziesiątych takich relikwii, które się po tych wszystkich kościołach znajdują, dostarczyły niewątpliwie tutejsze katakumby. Były one albowiem nie tylko schronieniem żywych, ale też i ogólnym cmentarzem pierwiastkowych chrześcijan, przez ciąg wieków prześladowania. I owe kamienie z relikwiami w ołtarzach, są właśnie na pamiątkę tego, że się wtenczas na grobach męczenników w tych lochach odprawiały święte ofiary. Lochy te są niezmiernie obszerne; nie tylko opasują miasto i rozciągają się pod niem w rozmaitych kierunkach, ale sięgają nawet, jak mówią, aż do brzegów morza w Ostii. Długość ich wszystkich razem wzięta ma jakoby wynosić seciny mil, a liczbę w nich pogrzebionych obliczają na miliony. Są to

kurytarze, dość ciasne, wąskie, ciemne i wilgotne, oświetlone gdzie-niegdzie przez otwory w górze (*lucernaria*); rozszerzające się niekiedy w rozmaitych kształtach, jako kaplice, a w ścianach po obu stronach mające właśnie owe grobowce, z których dzisiejsze nasze cmentarne katakumby wzięły swój wzór i nazwisko. Ta część pieczar, w którejśmy byli, nosi nazwę *Katakumb Św. Sebastjana*, od zwłok tego świętego, które tu Ś. Lucyna przeniosła, i sama wkrótce obok nich spoczęła. Wejście do nich jest z cmentarza Ś. Kalixa. Inne wejścia do innych części katakumb, i same te ich gałęzie, zowią się też *cmentarzami* i noszą również imiona różnych Świętych, którzy w nich pogrzebieni byli. Mówię *byli*— bo tak relikwie ich, jak i wszystkie ruchome pamiątki, jak np. sarkofagi, łzawnice, freski, a nawet same nagrobne kamienie z napisami lub rysunkami, przeniesiono już ztąd oddawna do kościołów albo muzeów. Czy zaś te wszystkie gałęzie katakumb łączą się pomiędzy sobą, z pewnością niewiadomo; bo w jednych miejscach przejścia zasypane są ziemią, w drugich zaś zamurowano je umyślnie; gdyż nieraz zdarzały się przypadki, że zbyt gorliwi pielgrzymi, lub nazbyt ciekawi podróżni, ginęli zabłąkani w labiryntach podziemia. Dziś nie wolno ich zwiedzać inaczej, jak za poprzedniem pozwoleniem władzy kościelnej, i to z przewodnikami opatrzonymi w pochodnie. Mybyśmy jednak i bez nich mogli tam spacerować bezpiecznie, mając pomiędzy sobą Strzeleckiego, który z niemniejszą (jeśli nawet może nie z większą) cieka-

wością i zapalem archeologa studyjuje te podziemne pieczary, jak rozsypane nad nimi gruzy starożytnej Romy; bo w gruzach widzi już tylko szczątki starzej, a tu szuka zaczątków nowej ery świata. I rzeczywiście słuchaliśmy go jak złotoustego kaznodziei, gdy z drobnych na pozór szczegółów, jak np. z napisów, godeł, rysunków, wyprowadzał całe szeregi pojęć, uczuć i wyobrażeń, nieznanych wtedy jeszcze na powierzchni ziemi, a które tu pod ziemią kiełkowały, krzewiły się i rosły, jak ziarna nowej cywilizacji, polewane krwią męczenników, nim ich plon całą ziemię ogarnął i całą ludzkość nowym życiem ożywił. I było w tym bez porównania więcej ciekawego, niż w szerokiej a wielce uczonej prelekcji p. profesora Nibby „O starożytnych grobowcach Rzymskich,“ którą miał przed tygodniem, za opłatą, dla cudzoziemców, a na którą nas więźna Zeneida zawiozła. Professor odbywał ją pod gołym niebem, za tąż bramą Ś. Sebastjana, niegdyś *Porta Capena*, z kąd wychodziła owa sławna droga *Via Appia*, zwana *Królową dróg* (*Regina viarum*), której szczątki, wespół z gruzami wodociągów, stanowią dziś najwspanialszy, jeśli nie jedyny zabytek z czasów Rzeczypospolitej Rzymskiej.—Pamiętasz pewnie z archeologicznych lekcyj naszego szanownego Gottfryda Ernesta Grodka, że podług prawa Dwunastu Tablic, groby Rzymskie powinny być zawsze za miastem; stawiano zaś je zwykle wzdłuż dróg publicznych dla tego, aby pamięć w nich pogrzebanych w umyśle przejeżdżających odświeżać.

Otóż do boku *Królowej dróg* cisnęli się wyłącznie ze swojemi grobami ówczesni „*Królewięta* Rzymscy, (jak Chmielnicki naszych panów nazywał), i w pośród tych to grobów p. Nibby przedmiot swój *ex cathedra* wykładał. Szereg ich rozpoczyna grobowiec Scypionów, najstarożytniejsza ze wszystkich pamiątka Romy. Jest to właściwie już tylko *grób grobu*: loch podziemny, nad którym wznosiło się niegdyś olbrzymie mauzoleum. P. Nibby, jak Cuvier ze szczątków mammuta, odgadywał zeń i odtwarzał wyobraźni słuchaczów dawną jego całość; ja zaś powtarzałem sobie w myśli z Krasickim:

„I my znikniemy, i mogiły znikną.“

Żadna nawet z kamiennych postaci Scypionów, które zwykle w grobowcach obok urn z popiołami stawiano, nie uszła przed kosą Saturna; kości zaś ich, jakiś senator Wenecki uwiózł ztąd do swojej ojczyzny, i tam podobno wystawił im jakiś pomniczek, dla ozdoby ogrodu swojej wiejskiej *villi*. *Sic transit gloria mundi*. Jedyne biust z tego grobu, uwieńczony laurem, a znajdujący się dziś w Watykańskim muzeum, ma być, jak mówią, wizerunkiem poety Enniusza, którego, jak byli patronami za życia, tak widać i po śmierci Scypionowie do grobowego swego towarzystwa przyjęli. I nie jestże to niejako symbol, jak w potomości sława poetów nad sławą bohaterów—pióro czy rylec nad mieczem, duch nad ciałem—góruje? — Ze wszystkich innych pomników, a raczej mauzoleów, najlepiej zachowany jest dotąd grób Cecylii Metelli, żony Triumwira Krassusa. A więc

i znowu jakby nowy symbol—tryumfu dzieła miłości nad śmiercią i czasem! — Podstawa kwadratowa, z ogromnych brył kamienia; nad nią rotunda z białego marmuru, wewnątrz której stał niegdyś sarkofag, zdobiący dziś dziedziniec pałacu Farnese. Nad tą rotundą, czy wieżą, były jeszcze dookoła kolumny, nad którymi wznosiła się kopuła. Zrzucono je w wiekach średnich, gdy sam pomnik służył za twierdzę.— Przy tym i przy innych grobowcach i *columbariach*, ciągnących się szeregiem o kilka mil włoskich za miasto, p. Nibby rozwodził się szeroko nad ich architekturą, opowiadał ich rozkład wewnętrzny, obrzędy przy paleniu lub grzebaniu ciał, i t. d.— *Columbaria* (gołębniki), są to jakby pałacowe officyny przy grobach możniejszych rodzin, w których mieszczono popioły ich wiernych sług lub klientów, stawiając urny w otworach podobnych do okien gołębników, zkąd i ta ich nazwa pochodzi. W *katakumbach* już nie ma téj różnicy stanów. Patrycyusz czy wyzwolencie, (niewolników tam zgoła nie było), spoczywali tuż obok siebie jak rodzeni bracia w Chrystusie. Purpurę, czyli (jak u nas nazywano) karmazyn, stanowiła tam tylko jedna krew męczeńska. Przepych nie odznaczał grobów bogaczy, gdzie ubóstwo uważano i czczono jako jedną z cech Bóstwa na ziemi. Za toż nad nimi, na powierzchni świata, jak we wszystkim, tak nawet i w grobowcach, w miarę jak *virtus* (cnota i siła) Romy chyliła się do upadku, przepych i zbytek szalony wzrastał jak cień od ciała przed zachodem słońca. Dzisiejszy zamek Ś. Anioła, prawdziwa

forteca, jest znaczną inną jak grobowym pomnikiem Cesarza Adryana; a piramida na grobie Kaja Cezara, który był znaczną więcej jak Iwanem, czy też ordynatorem uczt i balsad cesarskich, czyż nie przypomina pychy Faraonów Egipskich?—A podobną też kolej rzeczy można by i w chrześcijaństwie dopatryć. Narwa „*złota odrodzenia*,” sprawiedliwie mogłaby się nazwać *drucznaczą*, przy stosowaniu jej do pogaństwa i do chrześcijaństwa. Pogaństwo zaczyna się w nim *odrzucać* z upadku, a chrześcijaństwo *odrzucać się* od pierwotnej swojej czystości. Jedno i drugie dzieje się z razu bardzo niewinnie w imię nauki i sztuki, które owazem żarliwy duch chrześcijański chciałby uświęcić i podnieść ku Niebu. Ale jak w sztuce ciało, olśniewając pięknnością, zaczyna zwolna brać górę nad duchem: tak rozum ludzki, olśniony nagle skarbnami wiedzy starożytnych, jak młody dziedzic ogromnej fortuny, rośnie coraz w próżność i pychę, i widząc co już dokonał przed wschodem światła objawionej wiary, myśli że się i nadal obejść może bez niego; aż coraz bardziej zaufany w swych siłach, występuje do walki z wiarą, ażeby w końcu, jak to dziś widzimy, z pod doktorskiego biretu pana Hegla, sam się Bogiem jedynym ogłosił. — Ale wracam do grobowców Rzymskich. — Same groby papieżów z owych czasów, o ile się oddalają od katakumbowych, o tyle się zbliżają do pomników z nad drogi Appijskiej. Gdzie tu czas zmówić *Aniół Pański* za duszę, albo rozpamiętywać cnoty pogrzebionych, kiedy do koła rzeźby i posagi całą myśl twoję zwracają ku

sztuce, ku podziwianiu lub krytyce jój mistrzów?— Nieraz przychodził mi na myśl grób Paca, w Antokolskim naszym kościele Ś. Piotra, który jest wier-
nym odbiciem ducha mogił katakumbowych. Wielki pan i dygnitarz, fundator kościoła, każe się grześć w jego progu, aby po nim wszyscy deptali, i zamiast wyliczania godności swych lub czynów, wyryć na grobowym kamieniu jeden tylko wyraz: *peccator* (grzesznik)!—W Rzymie, z pomiędzy wszystkich sławnych grobów, które widziałem, (a widziałem ich mnóstwo, i ex-królów, i bohaterów, i mędrców, i wielkich artystów), jeden tylko uczynił na mnie podobne, duchowe wrażenie. Jest to grób poety, grób Tassa, w kościele Ś. Onufrego, na wzgórzu *Janiculum* leżącym. Przyczyniło się jużciż do tego i wspomnienie całego ciągu życia tego ideału poety, w zapasach z losem, światem, z wiekiem swoim i z sobą samym. Ale dosyć byłoby i samego grobu. Prosty kamień w podłodze kościelnej z napisem:

D. O. M.
Torquati Tassi
Ossa hic jacent.
Hoc ne nescius esset hospes
Fratres hujus ecclesiae
P. P. (posuerunt)
Anno MDXCV.

Tak więc ubodzy zakonnicy skromnego kościołka biorą na siebie zawiadamiac gościa, gdzie leżą prochy człowieka, który gdyby nie był umarł dniem przedtém, nazajutrz już miał stać się przedmiotem

ogólniej czci całego chrześcijańskiego świata; w Rzymie, na Kapitolu, z rąk najwyższego kapłana i króla, rozdawcy koron i aureoli, miał otrzymać koronę laurową i razem aureolę chwały najpiérwszego poety swojego czasu! Czyżby więc śmierć zatarła zasługi? Czyż dla zwłok takiego człowieka nie było miejsca w Watykanie czy w Panteonie? albo czyżby grób jego nie był wart pomnika? Wprawdzie najświetniejszy pomnik nagrobny ująłby tylko może wrażenia dzisiejszemu grobowi. A ja rzuciłem pytanie, co lepiej: czy że poeta umarł w przeddzień swego tryumfu, czy żeby był umarł nazajutrz? Panna Henryetta, rodzice jój, Strzelecki, x. Parczewski, który był z nami, wszyscy żałowali wraz ze mną, że tój pociechy nie dożył. Jedna tylko panna Marcellina zrobiła uwagę, że pożyteczniej może dla duszy opuszczać świat w poczuciu jego znikomości, niż w upojeniu próżności i chwały. Adam stał nachmurzony na uboczu i milczał, jakby naszych dyskusyj nie słyshał. Na zapytanie dopiéro samój pani hrabiny, ocknął się z zamyślenia i rzekł: „że o témby najlepiej mógł powiedzieć sam Tasso, gdyby mu dano przemówić z za grobu.“—Nie słowa te, ale ich ton i sama vibracya głosu miały coś tak przenikliwego, że wszyscy raptem zamilkli, a ja szczerze *in petto* zmówiłem wieczne odpocznienie za Tassa, jakby za zwyczajnego nowego nieboszczyka, i przytém z mimowolną trwogą westchnąłem o zdrowie Adama. Czy ta myśl przebiegła i drugich?—z pewnością nie wiem, ale mi się tak

zdało;—a wiesz, że się niekiedy myśli magnetycznie zgadują.

Z kościoła, przewodniczący nam zakonnik zaprowadził nas do celi w klasztorze, w której Tasso chorował i umarł. Celka mała, sklepiąta, ale jasna, a z okna cudny widok na miasto. W ogrodzie rośnie ogromny dąb, pod którym codzień śladywał, a z kąd widok jeszcze piękniejszy, ogarnia całe miasto, i okolice aż do morza. W celi zachowane są ubogie sprzęty, które mu służyły w chorobie: krzesło, pas, miska, zwierciadełko i kałamarz drewniany. Ale najciekawszym jest rękopism ostatniego niedokończonego listu do przyjaciela. Szkoda, że go nie mogłem całkiem zapamiętać; bo jest on niemniej może wiernym odbiciem wysokiej, rzewnej i wierzącej duszy poety, jak maska z wosku, zdjęta z twarzy jego po śmierci, i podług niej wykonane popiersie, dają poznać szlachetne, piękne rysy oblicza, na które śmierć może dopiero spokojność i pogodę rozlała. W liście tym przepowiada już blizką śmierć swoją. Jest w nim i odcień żalu do losu i świata, i poczucie wartości własnej, gdy mówi: że musi umierać w nędzy, on, który się przecież spodziewał, że chwała, którą pisma jego wiekowi przyniosły, przyniesie coś i dla niego samego. Pisze dalej, że się przeniósł do tego klasztoru nie tylko dla zdrowego powietrza, ale też aby w rozmowach z pobożnymi zakonnikami przygotować się lepiej do wieczności. Kończy prośbą o modlitwę za siebie i zapewnieniem przyjaźni w przyszłym, trwalszym życiu. W obec tych słów i myśli, któ-

rych śmierć skończyć nie dała, straciły urok laury, których wieniec zdobił popiersie. Przyszedł mi tylko na myśl, i powtórzyłem wiersz Naruszewicza:

„Wasz to obyczaj—cierniem w życia ciągu,
Laurem po śmierci wieńczyć na posagu.“

Poprosiłem wszakże panienki, ażeby mi uszczknęły każda po trzy listki. Posyłam tu z nich dwa: jeden dla ciebie, drugi dla Ólesia. Trzeci poszlę wprost Ignacemu, czwarty zachowam sobie. Dwa zaś ostatnie przeznaczam dla Czeczotta i dla Witwickiego. Bo nie wiem zkąd i dla czego, ale o ile zapamiętam, myśl o losie i śmierci Tassa łączyła się we mnie mimowolnie z wyobrażeniem doli i śmierci naszego Książnina, którego znowu z rzewności i piosnek przypominał mi Czeczott. Tymczasem, jak widzę z fizjonomii, ze wszystkich naszych znajomych, najpodobniejszym do Tassa byłby może chyba Witwicki, tak z powagi i regularności rysów, jak z wysokiego czoła i podłużnego owalu twarzy. Po Adamie, Witwicki jest dla mnie najpiękniejszym ze wszystkich naszych poetów. Myślałem zaś po kolei o wszystkich, nie wyjmując nawet klasyków—a wiész z jakiego niedorzecznego powodu? Oto, gdzie który może umrzeć i być pochowanym? a to stosując do wszystkich wiersz Kochanowskiego:

„I obmyśli to pewnie syn pięknej Latony,
Że popiół gości moich nie będzie wzgardzony.“

Ale dość téj żałoby!
Laur rzuciwszy na groby,

Pójdź teraz z nami użyć życia i wiosny, którą w pełnym rozkwicie, blasku, bujności i krasie południowej, obaczyliśmy i powitaliśmy raz pierwszy w villi *Doria-Pamphili*, (nieopodal od grobu Tassa, na témże wzgórzu Janiculo, za miastem). Jest to rozkoszna, cieniasta oaza na tle pustynnej Kampanii Rzymskiej, wartaby również zwać się królową villi, jak *Via Appia* królową dróg. Oprócz obszaru, położenia, widoków; przeslicznych łąk i trawników; przepysznych drzew i gajów: mirtowych, laurowych, migdałowych, pomarańczowych, a zwłaszcza sławnych tutejszych palm-sosen, których ciemno-zielone wachlarze, rozgałęzione dopiero u szczytu, jak baldachin nad palankinem, rysują się i odbijają malowniczo na tle nieporównanego błękitu, a przeświecają same promieniami słońca, ścielą jakby gwiazdzone kręgi cienia po kwiatkach, których nieprzeliczone mnóstwo, i dziko i sztucznie rozsianych, mieni się i połyskuje wszystkimi barwami tęczy, a wonność ich — zwłaszcza fijołków — rzeczywiście przesycę powietrze i upaja za każdym oddechem. Otóż oprócz tych wszystkich skarbów Fauny i Flory, o których my północnicy ani wyobrażenia nie mamy—villa ta odznacza się jeszcze nadzwyczajną obfitością wody: to rozlanéj w gładkie zwierciadła, to szemrzającéj w małych strumykach, to szumiącéj w spienionych kaskadach, to tęczami tryskającéj w powietrze, to nakoniec samym swym spadem na klawisze czy szkiełka, gra-

jącej na tak zwanym *hydraulicznym organie*, jak wiatr gra na arfie Eolskiej. Jest to sławna niegdyś *Aqua Traiana*, teraz *Aqua Paola* albo *Paulina*, od imienia papieża Pawła V, który ten starożytny wodociąg odnowił i powiększył; a która dziś obficie niż dwie inne: *Aqua Vergine* i *Aqua Felice*, napawa, płóczy i orzeźwia Rzym nowy, na wszystkich jego pagórkach i placach. Idzie ona z dwóch jezior: *Bracciano* i *Martignano*, i tu na wzgórzu Janiculo rozdziela się na dwie gałęzie, z których jedna, przez wspaniałą fontannę *Paulina*, rozlewa się na *Pocatybrze* (*Trastevere*), a druga płynie ku Watykanowi, i tworzy tam te dwie sławne olbrzymie fontanny, które biją na placu przed kościołem Ś. Piotra. Otóż w villi *Pamphili* po drodze, Najada ta, w całej piękności, ukazuje się najprzód i popisuje przed Rzymem, i sama sobie gra marsz na organie, jak wojsko przed wejściem do miasta.—Milszój wycieczki nie mieliśmy dotąd. Adam był rozpromieniony jak słońce; panienki ożywione jak kwiaty od słońca; a mianowicie panna Henryetta, która w wesołych podskokach jak dziecko goniła za motylami po łące. Nie mogąc jej doścignąć — przypomniałem i powtórzyłem wiersz z *Maryi Sztuart* Szyllera, ze sławnej sceny w parku *Fotheringhay*, którym Kennedy do Maryi przemawia:

„Ihr eilet ja, als wenn Ihr Flügel hättet 1).“

Aż tu, ku największemu podziwieniu mojemu, biegnąca zatrzymuje się nagle, zwraca się, i z figlarnym

1) Spieszysz się, pani, jakbyś skrzydła miała.

uśmiechem i pozą, odpowiada mi słowo w słowo odpowiedzią Maryi w sztuce:

„*Lass mich der neuen Freiheit genießen,
Lass mich ein Kind seyn! Seyd es mit!
Und auf dem grünen Teppich der Wiesen
Prüfen den leichten, geflügelten Schritt!*“

Adam zadziwił się także, i nuż w admiracją pamięci i talentu deklamatorki! (W istocie deklamuje prześlicznie). Ja zaś, na rozkaz panny Marcelliny, parafrazuję jak mogę naprędce ten cudny oryginał.

O! daj mi, pozwól mym myślom i sercu
Użyć swobody, zdziecinieć na chwilę,
I po zielonym téj łąki kobiercu
Z wiatrem skrzydlate wyścigać motyle.

I gdy sama pani hrabina admiruje z kolei parafrazę moję, ja palę dalej *ex promptu* apostrofę do samej panny Henryetty:

O! baw się, panie! korzystaj z téj chwili!
(Ja odpowiadam za Annę Kennedę),
Wiosna wam za nas odpłaca w *Pamphili*,
Uroki zimy na *Via Mercède*.

Tu już i Adam śmieje się i daje mi *brawo!* a ja, jako uznany laureat, dopominam się u pańienek o wieniec. Zrywają i dają mi kwiatki. Adam także zbiera szybko fijołki, i uzbierawszy garść pełną, rzuca niemi na pannę Henryettę. Panna Marcellina podbiegła, i schwyciła kilka w przelocie. Adam woła o zdobycz nieprawną, bo one wszystkie należą

do swojej *królowej*; a jest i warta być *królową fiołków* ta, co gra tak *La Violette* Herza, (ulubioną sztukę Adama). Tu wszczyna się gwar i dysputa. Ja pytam: jakież więc kwiaty dla panny Marcelliny przeznacza? On zrywa i podaje jej narcyz. Ja w nim, jako w godle próżności, widzę przytyk do wyniosłości i dumy; Adam tylko podobieństwo z lilią, której tutaj nie ma pod ręką. Heroina z obydwóch tych względów stanowczo nie przyjmuje narcyza. Ja więc zrywam i ofiaruję *purpurowy* anemon. Zgadła, jakby wyczytała myśl moją, do czego ja ten kolor stosuję; i „*Kardynał mój*“ z ofuknieniem odpycha przypomnienie szkarłatu:

„*What? not receive my foolish flower?
Nay, I am then indeed unblest! 1)*“

wołam patetycznie z Zulejką, uderzając i załamując dłonie. Ale nim doszedłem do wiersza, który zwłaszcza chciałem powiedzieć:

„*And knowst thou not who loves thee best? 2)*“

przerwała mi jak na biędę panna Henryetta, która związawszy mały bukiet z dwóch różyczek i kilku liści laurowych, przyniosła go i podaje Adamowi. On także wzbrania się przyjąć i usuwa się mówiąc: „Jedno zawczasie, drugie za późno!“ — Tu panna Marcellina oddaje mu schwytane na powietrzu fiołki

1) Co? przyjmujesz mego drobnego kwiatu?
O! toż już jestem iście nieszczęśliwy!

2) Nie wiesz-że, kto cię kocha najwięcej?

i z wesołym przekąsem mówi: „Może te będą panu najmilsze?” — „Ale co na to powie ich królowa?” ja pytam. Królowa zarumieniła się tylko jak róża;— a w téjże chwili sama pani hrabina, godząc nas, dalsze spory przerwała.

Ale nie tylko ona i my wszyscy — sam téż pan Ankwicz, zwykle poważny i zimny, ożywił się tu i rozweselił. I gdy wnet z jakiegoś pagórka, z kąd widać całą Kampanią Rzymską, wyteżamy wzrok w stronę morza, które jak pas jasnych obłoków blyszczy tylko zdaleka i zlewa się z niebem: on zamawia nas i zaprasza na przejażdżkę do *Fiumicino*, aby zbliżka *Mediterraneum* oglądać. (Jest to najbliższy Rzymu punkt na brzegu morskim). Dziękujemy, ma się rozumieć; a on snuje dalsze projekta innych jeszcze wycieczek za miasto, nim skwary i *malaria* nastaną. I rzeczywiście temi projektami osłodził nam—a zdaje się, że i panią—szczery smutek z opuszczenia téj villi, gdy zachodzące słońce przypomniało powrót do miasta. Ale jeszcze i sam ten powrót, równie jak i przepyszny zachód słońca, przedłużały urok dnia tego. Adam, choć nie wierszami, ale wszystko co mówił było jak improwizacya poetyczna. Siedział naprzeciw panny Henryetty; udrapowany płaszczem, bez kapelusza, uśmiechniony, rozpromieniony, wyglądał rzeczywiście na Antinusa. Wszystko co się nawinęło na oczy, podawało treść do rozmowy, której tłem była zartobliwa wesołość. Z samą panią grał w *cetno* i *licho* na palcach; pannę Henryettę wyzwał na grę w *zielone*, a z panną Mar-

celliną kłócił się ząb za ząb. Gdy zaś wkrótce z samym panem Ankwiczem zaczął poważny dyskurs o polityce: nie dziwi mię, że jego interlokutor, za powrotem do domu, nie mógł wyjść z podziwienią nad jego głębokim rozumem. Dowiedziałem się o tém nazajutrz od samej pani; i to właśnie dało mi assumpt do długiej z nią i nader poufniej rozmowy, która znowu posłużyła mi za najsilniejszy argument, do zwalczenia dziwnego projektu Adama, który spadł na mnie jak piorun. Kiedy ja bowiem nazajutrz po tej naszej wycieczce, rozpływam się w marzeniach o niej i o przyszłych, i choć już nie śpiąc leżę z zamkniętymi oczyma: on wstał wcześniej niż zwykle, i okrywszy się płaszczem, chodził w kółko po drugim pokoju. Byłem pewny że kuje wiersze, i żeby mu nie przeszkadzać, umyślnie przedłużałem półdrzemkę. Aż tu nagle przy kawie występuje z projektem, żeby jechać do Neapolu z Potockim, który się tam wkrótce wybiera. Struchlałem od stóp do głowy, bo zgadłem o co rzecz idzie. W Wejmarze straszyl mię nieraz wyjazdem, jak Mentor Telemaka; tu sam sobie chce być Mentorem. Odradzałem, ale nie protestowałem stanowczo, żeby się przez przekorę nie uparł. Ale dopiero wieczorem, po tej rozmowie z samą panią, rozmówiliśmy się téż z nim na otwarte, chociaż w sposób ogólnikowy, i stanęło nakoniec na dewizie Bayarda: „*Fais ce que tu dois, advienne ce que pourra.*“ — Dłużej ci o tém nie piszę. — Ale co mam napisać o wycieczkach do innych villi i okolic, o których na początku tego listu wspomniałem? Opi-

sy ich nie wchodzą w mój program, a towarzystwo, lubo zawsze bardzo miłe, niekiedy nawet toż samo, nie miało już wszakże ani tego uroku, ani takiego wpływu, jak w *Doria - Pamphili*. Byliśmy jeszcze z państwem Ankwiczami w villach *Albani*, *Niels*, i *San Severino*. Pierwsza ma piękne widoki, ale ogród nie może się równać z *Pamphili*. Za toż pałac jest bez porównania piękniejszy, a nadewszystko jest on po Watykanie i Kapitolu najbogatszym muzeum rzeźb starożytnych, zappełniających portyki, galerye, sale, a uszykowanych podług planu i pod przewodnictwem samego Winkelmana. Jest tu sławny profil *Antinousa*; posąg jakoby *Brutusa*, (dla tego, że ze sztyletem w ręku), ale taki szkaradny co do wyrazu twarzy, że wartby wyobrażać najemnego zbira; i t. d. Najciekawszymi wszakże dla mnie były posągi i biusta rozmaitych cesarzów Rzymskich, których tu jest wielkie mnóstwo. Zresztą widzieliśmy już to wszystko parę razy przedtym, a teraz przebiegliśmy tylko przelotem, dla przypomnienia, napawając się głównie wiosną i wonią kwiatów; mianowicie w villi *Niels*, której szczególną zaletę i sławę stanowi niesłychana obfitość róż, zaścielających literalnie resztki gruzów pałacu Cezarów, na których i z których jest zbudowaną, a zowie się od imienia właściciela swojego, Anglika. *Villa San Severino*, niewielka, zaniedbana, opuszczona, podobała się jednak najlepiej *Adamowi* przez to, że mu przypominała niektóre ogrody litewskie. To mi nastroczyło uwagę, że niektórzy wojażerowie nasi w cudzych krajach, podobni są do par-

weniuszów, którzy w towarzystwie bogaczy wstydzają się ubożego pochodzenia swojego; kiedy przeciwnie drudzy, rozumni i zacni, tém bardziej zaczynają kochać kraj własny, na zasadzie tego uczucia, o którym mówi Brodziński, że

„Rzewniej się jakoś kocha matkę nieszczęśliwą.“

Panienki z tego powodu zapragnęły obaczyć ową drogę litewską, za *Porta Pia*, o której ci już kiedyś pisałem, że Adam brał ją nieraz za cel naszych przechadzek za miasto, i często o niej przed panienkami wspominał. Pojechaliliśmy więc za *Porta Pia*, i byliśmy radzi niezmiernie, nie tyle z samej téj drogi, o z ogólnego widoku Kampanii Rzymskiej, rozkwitającej w pełni powabów wiosennych, których jeszcze skwar słońca nie zwarzył. Adam jednak i tu znalazł sposobność przenoszenia wiosny naszej nad włoską, a mianowicie: że u nas całe powietrze rozlega się śpiewem skowronków, a tu ani jednego nie słychać.

W *Villi Borghese* odbyliśmy formalną majówkę, (Luty tutejszy wart naszego Maja), z całym dworem księżny Zeneidy, licząc w to nas i p. Ricci, i z całym towarzystwem pani Klustin, licząc w to Bonstettena, pp. DUBY i De Luc; a nadto z dodatkiem szaradowych naszych współartystek: panien Siemionow i panny Luiry Vernet z matką, oraz kilku panów, częścią z ambassady francuzkiej, częścią z pomiędzy uczących się tu kosztem Akademii Petersburskiej artystów, na czele których jest p. Bruni, bardzo światły i miły młodzieniec. Wyjechawszy po ranném śniadaniu od księżny,

przebawiliśmy dzień cały, jak dawni Rzymianie, pod gołym niebem; przyczem cieniste szpalery villi służyły nam za portyk, a szum wody, *Aqua Vergine*, przepływającej tędy ponad villą, (wodociągiem na wysokich arkadach), jeszcze to podobieństwo podwajał. Owoce, ciasta, cukry i wino, składały ballast każdego powozu. Mężczyźni tylko i pani Vernet z córką byli gośćmi. Za toż ona w powrocie zaprosiła nas do siebie na lody, które czekały na nas w ślicznym ogrodzie, w villi *Medicis*, pod którym, podziemnym kanałem, przepływa też sama *Aqua Vergine*, której nam w villi *Borghese* dostarczały do picia szumiące fontanny. Towarzystwo nasze dzieliło się tam na dwie połowy. Starsza—do której należeli Adam i panna Anastazyja — siedziała sobie pod cieniem, gwarząc jak polne koniki, (według porównania Homera); młodsza zaś, pod nominalnym nadzorem i opieką dobrej pani Własow, motylkowała swobodnie po parku. A zaglądaliśmy też i do tak zwanego *Casino*, to jest pałacyku w ogrodzie, w którym, jak w villi *Albani*, można widzieć niemały zbiór rzeźb starożytnych; choć są to tylko resztki ogromnego niegdyś muzeum, które książę Borghese, szwagier Napoleona, sprzedał mu za ośm milionów franków.

Najpiękniejszą ozdobą tego zbioru jest najnowsza statua Wenery, zwanéj *zwycięzką* (*Victrix*), dłota Kanowy, do której za model artystcie pozowała sama księżna Borghese, słynna z piękności Paulina Bonaparte. Oglądaliśmy ją sami mężczyźni, bo damy wejść razem nie chciały. Bez nadziei cudu Pigma-

liona, niebezpiecznie byłoby wpatrywać się w nią długo, ażeby potem głowy o ten marmur nie strzasnąć. — I wiesz jakie mi przyszło doskonałe wytłómaczenie mitu o Galatei? Pigmalion zakochał się nie w posągu, ale w modelu, a zapomniawszy o marmurze i glinie, zwolnił go z piedestału i z pozy posągu, i ztąd poszło, że posąg ożywił. Wszyscy uznali słuszność mego wniosku. — A ja od Galatei przechodząc do Egeryi, powiem ci jeszcze słówko o ostatniej, bo onegdajszej wycieczce naszej za miasto, właśnie do grotty i gaju tej bogini, czy kochanki Numy.

Egeryą w niej naszą była panna Anastazyja, a towarzyszymi, trzech Genewscy jój przyjaciele. Grota leży w przesłicznej, długiej, samotnej dolinie. Zielone sploty bluszczu, zwieszając się z jój wierzchu, tworzą jakby powiewną zasłonę u wniścicia. W głębi szeleszcze woda spadająca z góry. Nie dziw, że Numa przychodził tu marzyć; ale jeśli marząc nie usnął, to winien był chyba obecności Egeryi, jak my towarzystwu panny Anastazyi; bo inaczej, ten szelest wody, a przytém miły chłodek i cień samej grotty, dziwnie jakoś równie do marzeń jak i do snu zachęca. Okrągły, mały gaik na wzgórzu, jest już nie wiem którym pra-prawnukiem owego, w którym ta czuła para spacerowała przed wjeki. — Ale Egeryja nasza w powrocie nie popisała się wcale z darem natchnienia. Chciała nam pokazać i objaśnić po drodze *Thermy Karakalli*, które sama studyowała kiedyś pod przewodnictwem Viscontego, i kazała tam jechać furmanom. Wysiadamy, wchodzimy — p. Duby czyta

z Nibbiego opisanie wspaniałych ruin — których nigdzie wkoło siebie nie widzimy. Prosimy więc o objaśnienie uczonej przewodniczki — a ta sama zakłopotana, zmieszana, dziwi się, jąka, i nie wie co mówić. Udajemy się zatem do przechodniów, ale i z tymi jakoś nie możemy się porozumieć. Jowialny starszek Bonstetten i Adam wyścigają się w wesołych żartach z głębokiej archeologicznej wiedzy naszej Ciceronki, która miała przed nami snuć nić Aryadny; aż nakoniec p. DUBY, wertując dalej Nibbiego, domyśla się i przekonywa, że jesteśmy nie w *Thermach*, ale w *Cyrku Karakalli* — czego uczona przewodniczka nasza nie umiała sama odgadnąć. Ztąd nowe żarty i śmiechy, i nakoniec opowiadania rozmaitych w tym rodzaju anegdot, których żałuję że nie mam czasu powtórzyć, bo uszłyby na wety do uczt pana Kaspra. Zostawię to może na później. — Teraz miałbym jeszcze do powiedzenia o kilku wieczorach: u pp. Potockich, Sanguszków, książny Dietrichstein, a' mianowicie u księcia Gagaryna, gdzie był powtórnie amatorski teatr, jak będzie jutro u książny Zeneidy, na którym znowu „*Mes Farces*,” a więc i ja w nich wystąpię. U księcia grano dwie nowe sztuczki: „*Le nouveau Pourceaugnac*” i „*L'Ours et le Pacha*,” w której rolę niedźwiedzia grał jeden z naszych panów — czego mu drudzy nie mają za dobre. Ale dam temu pokój, a ograniczę się na świetnym kostiumowym balu u p. sła hiszpańskiego, hr. Gomeza Labrador. Wszystkie nasze znajome panie miały być na nim, a młodsze figurować w kostiumach. Udałem się więc do księcia

Gagaryna, który tak był uprzejmy, że nie tylko dał nam bilety, ale sam był introduktorem naszym i przedstawił nas gospodarzowi.

Pałac ambassady hiszpańskiej, na placu, który od niego bierze swe nazwanie (*Piazza di Spagna*), odznacza się prawdziwie królewskim przepychem. Gust i zbytek walczy tu o lepsze. Salony od marmurów, porfirów i złota. Freski najznakomitszych malarzy; płaskorzeźby Thorwaldsena, Kanowy, i t. d. Meble paryzkie, zwierciadła weneckie, kobierce perskie, naczynia etruskie, porcellany japońskie i chińskie. Złocene brzozy, alabastry, kryształy, błyszczą po wszystkich framugach i kątach. A to wszystko w zieleni i w kwiatach, morzem światła z góry oblane! A wśród tego wszystkiego, wyobraź tylko sobie rój, tłum, fale panienek: Bogiń, Nimf, Sylfid, Wrózek, Bajader, Hurysek, w najrozmaitszych malowniczych strojach, różnych mód, czasów i krajów!—A jeśli ci to nie da pojęcia o świecie wschodnich baśni, albo raju Proroka, to, choćbyś był muzułmanem, nie wartbyś go nigdy oglądać. Nam wszakże nie godziło się myśleć o tém, bośmy właśnie należeli do Gwebrów; nie żeby za nich przebrani, lecz żeśmy giernkowali dwóm *Kaplankom Słońca*, którego obraz z pozłocistej blachy, odbijając promienie światła, błyszczał im jak ono samo na piersiach; nie gasząc wszakże gwiazd srebrnych, na błękitcie ich tunik rozsianych, co jakby przez chmurkę mgły letniej, z pod przejrzystych zasłon migały. Zgadniesz łatwo, kto one były. Adam jeżeli odrywał się od nich, to chyba *pour faire sa*

cour danie dworu Ludwika XIV, którą z wielką wagą i wdziękiem reprezentowała nasza *Korynna*; ja zaś, jak zwykle przestając na mniejszym, *flonowalem* tylko czasem około *Berżerki Bretońskiej*, której przedoskonały ideał przedstawiała panna Luiza Vernet. Ale co nas, i wszystkich w ogólności Polaków, radowało serdecznie i szczerze, to, że wśród tylu bogiń i boginek, wśród kostiumów całego świata, nie gasty, owszem świeciły: *Krakowianka*, i strój jej góralski. Xiężna Iza tak go podniosła. Ale trzebaż, że ta pociecha serc naszych, a oczu wszystkich, że ta właśnie zamąciła wesołość balu. Wiodąc rej w pierwszej parze mazurka, na srebrnej podkóweczce czerwonego bókika, pośliznęła się — i choć nie upadła, tak strąciła stopę u zgięcia, że nie tylko już dalej tańczyć i pozostać na balu nie mogła, ale dziś nawet jeszcze śmiało stąpać nie może, i w powozie już tylko wybiera się na *Corso*.

Gdzie i ja, list ten zapieczętowawszy,
Ruszam—by potem napisać ciekawszy,
O tym Rzymskim karnawale.—
Tymczasem, na ten raz—*vale!*

XI.

Do tegoż.

Rzym, 24 lutego 1830 r. (Popielec).

„Pulvis es et in pulverem reverteris.”
Proch jesteś i w proch się obrócisz.

„A toż co?”—krzykniesz może na ten epigraf listu, mającego być opisaniem Karnawału Rzymskiego. Nie jest i to bez analogii z karnawałem. Bo jak niegdyś na *memento* dla ludu, ażeby się zbyt nie rozhu-kał, miano tu zwyczaj zaraz na początku tracić publicznie jakiegoś winowajcę: tak i ja dla tego posypuję cię najprzód obrzędowym dzisiejszym popiołem, abyś się wyobraźnią nazbyt nie rozbujał. Nie roszcze ja wprawdzie nadziei, aby mój opis miał sprawić ten skutek; ale i treść sama wystarczy. Opis ten zaś nie jest tylko dla ciebie lub dla was, jak bywały poprzednie, ale ułożyłem go dla szerszej publiczności, i przeznaczam albo do przyszłej *Meliteli*, albo do której z naszych gazet, jak o tém zadecyduje Witwicki. W tym celu pojedyncze szczegóły, które widziałem, skupiłem i ująłem w ramy ogólnego obrazku, i ten ci tu najprzód przepiszę. Przy końcu zaś dopiéro, *tibi vobisque solis*, dodam jako *post-scriptum*, co przez ten czas moja własna *persona* w tym zgiełku i gwarze robiła. A więc masz:

Karnawał Rzymski.

Karnawał (*Carnevale. Mięsopest*), zabytek dawnych Saturnaliów, tak niegdyś w starożytnym Rzymie ulubionych, jest dotąd narodową uroczystością we Włoszech, wspólną wszystkim ich krajom i miastom. Stolicą jego przedtém była Wenecya. Dziwne to miasto, zarazem do kamiennéj floty i do labiryntu podobne; z tysiącem swych krętych uliczek, krzyżujących się mostków, kanałów i tajemniczych gondoli; z placem Św. Marka, do balowéj sali raczej podobnym; zdaje się być przeznaczoném na miasto intryg, biesiad i maskarad, stanowiących główną zabawę i powab karnawałów włoskich. Lecz minęły dla Wenecyi czasy wesela i uroczystości. Do Rzymu dziś śpieszyć musi podróżny na piérwszy i ostatni tydzień Wielkiego Postu, jeśli chce widzieć najwspanialszy kościelny obrządek i najweselszy w świecie karnawał. Najweselszy, bo kto nie był świadkiem wesołości Włochów, ten, możnaby powiedzieć, nie wie co jest wesołość.

W całym chrześcijaństwie tydzień zapustny przeznaczony jest zwykle na zabawę; lecz w innych krajach po miastach bawią się tylko niektórzy; w Rzymie lud cały — lud włoski. Gdzieindziej teatrem zabaw są ciasne domy i natłoczone sale; tu całe miasto — Rzym! Podobnaż różnica i w ludziach. My np. bawimy się najczęściej albo dla towarzyskich względów, albo dla przepędzenia czasu; Włosi dla użycia zabawy. Niemiec rad bawić się tylko drugimi — obserwa-

cyą; Francuz tylko dla drugich — popisywaniem się; Włoch bawi się w sobie i dla siebie—uczuciem. Ztąd to i upodobanie Włochów w maskaradach; bo maski zapewniają im najpotrzebniejszy warunek zabawy — swobodę. Niemcy mniej w nich znajdują powabów; bo już ciekawiej jest obserwować cudze twarze, niż maski. Francuzi dla kostiumów chyba je lubią; bo sami woleliby raczej okazywać się tylko, nie tać. Włochowi służą one do obudzenia jego wyobraźni, a ta mu za wszystko wystarcza.

Tegoroczny karnawał w Rzymie z większym niż kiedy oczekiwany był utęsknieniem; gdyż właśnie w poprzedzającym roku, śmierć Leona XII papieża pozbawiła była mieszkańców wszelkich zabaw publicznych. Od ostatniego dnia adwentu, był on już głównym przedmiotem, zajmującym myśl i wyobraźnię ludu. Ilekroć zdarzyło mi się przechodzić przez ludniejsze ulice lub rynki, gdzie się lud prosty z okolic codziennie na targi zgromadza, nie było pewnie minuty, ażeby tu lub ówdzie, wpośród zgiełku i wrzawy, słowa: *Carnevale*, nie słyszał. Ilekroć, jako cudzoziemiec, wdałem się z Rzymianinem w rozmowę o jego mieście, żaden z nich nie zaniedbał zapewnić mi uroczyście, że wszystko, co mi się w niemi dotąd podobało, jest niczem w porównaniu z ową rozkoszą, jakiej bez wątpienia doświadczę, zobaczywszy Rzymski Karnawał. „Byle tylko Papież nie umarł“ dodawał z westchnieniem każdy prawie mówiący, ściskając ramionami i wznosząc oczy ku niebu. Ta jednostajność obaw i jakaś tajemniczość przy ich wy-

rażaniu, zwróciły moje uwagę. Przy rozmowie więc o tém z jednym adwokatem, światłym i dojrziałym człowiekiem, zdziwiło mię niewypowiedzianie, kiedy na zapytanie moje: azali Ojciec Św. jest tak słaby czy chory? usłyszałem odpowiedź: że wprawdzie nie ma się tak źle bardzo w téj chwili, ale „że musi umrzeć w tym roku.“ (*Ma il deve morire quest'anno*). Dziwne to słowo *musi*, wymagało koniecznie objaśnienia. Jakoż dowiedziałem się naówczas po raz pierwszy, o czém później nie sto razy słyszałem, że już od czasów Piusa VII krąży i znajduje powszechną wiarę przepowiednia, oznaczająca rok śmierci trzech po sobie następujących papieżów, która się już na nim samym i na jego następcy ziściła ¹⁾). Panujący obecnie Pius VIII wie sam jakoby o niej, i gotuje się do blizkiej śmierci. Nie wiem jak dalece to prawda; ale co w publiczności, to nie zdarzyło mi się spotkać nikogo, coby miał w tém najmniejszą wątpliwość, i śmiało możnaby dodać, że pewno żaden naród nie troszczył się i nie prosił gorliwiej o przedłu-

¹⁾ Przepowiednia ta, oparta na liczbach, jest następująca: Pius VII nastąpił po Piusie VI: $6 + 7 = 13$; dodać (niewiadomo dla czego?) 10, będzie 23. Pius VII umarł w r. 1823. Po Piusie VII nastąpił Leon XII; $7 + 12 = 19$, a *plus* 10 = 29. Leon XII umarł w r. 1829. Po Leonie XII nastąpił Pius VIII: $12 + 8 = 20$ a $+10 = 30$. Pius VIII *musi* tedy umrzeć w r. 1830.

(NB. Przepowiednię tę przesłałem ci już kiedyś w jednym z poprzednich listów, a tu ją tylko dla ogółu czytelników powtarzam).

zenie życia swojego monarchy, choćby tylko do pópielcowej środy. Jakoz spełniły się zyczenia, i w sobotę, przed mięsopustną niedzielą, o godzinie drugiej z południa, huk dzwonów i wystrzał z działa na zamku Św. Anioła, ogłosił pożądane hasło karnawału.

Główna ulica *Corso*, przeryniająca wzdłuż całe prawie miasto, na której się maskarada odbywa, zaczęła się w mgnieniu oka mnóstwem niezliczonego ludu; rzekłbyś, że wszyscy, w sieniach domów zamknięci, hasła tylko do wyjścia czekali. Po obu stronach ulicy, przy murze, wznosiły się już ustawione w amfiteatr proste drewniane ławki, lub plecione ze słomy krzeselka, na drewnianych podwyższeniach stojące, które spekulanci, lub sami właściciele domów, każdy przed swoim, do najęcia stawiają. Ze wszystkich okien wywieszzone różnobarwne kobierce, albo adamaszkowe, galonami bramowane opony; wszystkie krużganki uwieńczone zielonemi wiankami i kwiatami; wszędzie wesołe twarze, ożywione giesta, wszędzie ruch, gwar, zgiełk, śmiechy i głośnie rozmowy, zwiastowały powszechne wesele i prawdziwie narodową uroczystość. Uniesienie, prostego zwłaszcza ludu, tak się zdaje burzliwe, że niegdyś, by je powściągnąć i zagrozić zbytnej swawoli, miano zwyczaj wraz z pierwszym hasłem karnawału tracić, dla zbawiennego przykładu, skazanego już na śmierć winowajcę, którego często lat kilka po wyroku na ten cel w więzieniu trzymano. Zwyczaj ten dziś już nie istnieje, i żadne smutne wrażenie nie maści wesołości publicznej; chyba że nad Sabińskimi górami,

nad śnieżnym czołem Sorakty, gromadzące się chmury niepogodą zagrożą. Naówczas po wszystkich kościołach nakazuje się nabożeństwo o pogodę, z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu. Rzymianie tak są przekonani, że Bóg ich zabawami opiekować się raczy: że choćby deszcz jak z wiadra lał rano, każdy się niemniej przeto na popołudniową maskaradę gotuje, pełen ufności, że się niebo rozjaśni. Jakoż słyszałem od osób, bawiących przez lat wiele w Rzymie, że w rzeczy samej najczęściej tak bywa.

Za drugim wystrzałem z działa, całe wojsko załogi, jazda i piechota, przeciąga w całej paradzie przez *Corso*, tam i nazad, gęste za sobą zostawiając strażę. Trzeci wystrzał oznacza tryumfalny wyjazd najpięrszego ze świeckich urzędników, noszącego dotąd wspaniały tytuł „Senatora Rzymskiego,“ który ubrany w złotogłowej szacie, krojem XV wieku, w niemniej staroświeckiej, poszostnej, ze szklanemi ścianami karecie, poprzedzany przez laufrów, mając za sobą dwie podobne karety, orszak jego wiozące, objeżdża wolnym krokiem główne miasta ulice, udając się do Kapitolu, gdzie we wspaniałej sali, na tronowém krześle zasiadłszy, odbiera ponawiającą się corocznie przysięgę wierności od Żydów, w Rzymie mieszkających. Obrządek ten niegdyś ważny w istocie, dziś jest już tylko czczą formą. Rabin, na czele deputacyi, ubrany czarno, we fraku i w materyalnym płaszczyku, do stroju więzy podobnym, zbliżywszy się pokornie do tronu, w krótkiej lecz ozdobnej mowie, upraszał o pozwolenie dalszego w Rzymie poby-

tu. Otrzymawszy je, przyklęknął u nóg Senatora, i składając na znak hołdu ogromny pęk kwiatów, wymówił głośno dawną rotę przysięgi: „*Giuro la fedeltà al Senato ed al popolo Romano*” (Przysięgam na wierność Senatowi i ludowi rzymskiemu). Senator przyjął kwiaty, i rabina zlekka nogą potrącił. Jest to zabytek upokarzających obrządków, przez które niegdyś, chociaż dając opiekę, chciano przecieć pogardę dla niewiernych okazać. Kiedyś także Żydzi musieli, dla zabawy ludu, biegać codzień do me ty przez ciąg karnawału; dziś miejsce ich zastępują konie. Żydzi tylko muszą składać podatek na kosztą tych wyścigów i na nagrodę zwycięzcy.

Gdy się to dzieje w Kapitolu, na ulicach tłok się coraz powiększa. Zaraz po przejeździe Senatora, powozy mają prawo wjeżdżania na *Corso*—i tu się rozpoczyna właściwy karnawał, od soboty przed mięsopustną niedzielą do ostatniego wtorku, to jest dni 11, jednostajnym sposobem codzień, oprócz niedzieli, od południa do wieczora trwający.

Czytelnik chcący ze słów niedokładnych powziąć o nim jakiegokolwiek wyobrażenie, musi sobie wystawić długą na rzut oka ulicę, ciągnącą się jak ozdobny korytarz między dwiema przepysznymi salami, między placem *del Popolo* z jednej, a placem *di Venezia* z drugiej strony; zapchaną od końca do końca gwarliwem mnóstwem różnobarwnych ubiorów i masek; podobną do płynącej rzeki głów ludzkich, nad którymi, jak statki na wodzie, wznoszą się we dwóch rzędach powozy, tam i nazad zwolna idące, których koni

w tłumie nie widać. Wszystkie okna od góry do dołu, nakształt żyjących obrazów, zapełnione rzędami, piętrami, piramidami twarzy, piór, kwiatów, czepków i kapeluszków kobiecych. Wszystkie krużganki, otwarte lub jaskrawemi namiotami przykryte, niemniej licznych zawierają widzów — jeśli ci widzami tylko chcą zostać; gdyż zwykle osoby, na krużgankach stojące, należą do najczynniejszych aktorów sceny, która się pod nimi odbywa. Oba wyżej wspomniane place, pomimo swój obszerności, nie różny od ulicy przedstawiają obraz i natłok. Lecz próznoby kto w całym tym tłumie chciał szukać nadzwyczajnych, kosztownych strojów, dowcipnych karykatur i masek; próznoby nadstawiał ucha, aby usłyszeć głośne dowcipne rozmowy lub tajemnicze przycinki, stanowiące główną zabawę naszych zwyczajnych maskarad. Nie widać tu prawie nic więcej, prócz weneckiego *Arlekina* w kołpaku; rzymskiego *Pajazza* w pstrym stroju; neapolitańskiego *Poliszynella* z makaronem w ręku i w ustach; adwokata w dawniej peruce; doktora z podkasaną togą i z pewnym lekarskim narzędziem w ręku, i t. p. Role te pospolicie są mówne; obierają je zwykle najzważszi i najweselsi, ufni w swój dowcip i płuca. Trudno jednak słyszeć co więcej, prócz głośnych wykrzyków i śmiechów; a jeśli gdzie kilka zebranych masek zacznie z sobą dłuższą rozmowę, ta się bynajmniej do ich ukrytej osobistości nie ściąga, lecz owszem, utrzymując każda swój przybrany charakter, odegrywają między sobą z natchnienia jakąś dramatyczną scenę, którą zebrany tłum widzów, podług zasługi akto-

rów, gwizdaniem lub oklaskami przyjmuje. Przedmiotem niemych, satyrycznych masek, są najczęściej niedobrane małżeństwa: niski staruszek, obok olbrzymiej połowicy z wąsami; wychudły młokos, przy opasłej matronie, i t. p. Dalej następują domina i różne narodowe ubiory. Na placach widać niekiedy całe grona masek, przedstawiające pantomiczne sceny. I tak np. na placu *del Popolo* widziałem bandę złodziei, napadniętych niby i broniących się od żołnierzy. Żołnierzami były słomiane bałwany, w czerwonych mundurach, które złodziei nożami i kolbami kłóli i niby zabijali. Scena ta, obudzająca wstręt i odrazę w oświeconych widzach, znać było że się bardzo podobała ludowi, który śmiejąc się, klaszcząc i wykrzykując: *bravo!* coraz tłumniej rozbojników otaczał i swojej ku nim sympatii nie tuił.

W powozach częściej dają się widzieć kosztowniejsze ubiory i maski, lecz i tu najpospolitszym conceptem jest furman przebrany za kobietę z wąsami. Większy przepych lub dowcip, można być pewnym, że cudzoziemca oznacza. Widziałem jak dwaj Anglicy, sami niemaskowani, przebrawszy pudła za kawalera rzymskiego, posadzili go między sobą w karecie; lecz oburzywszy publiczność tym żartem, wszyscy trzej poszli do kozy. Z krajowców nikt tu bynajmniej nie sadi się na ubiory i maski, gdyż każdy sam ogólną zabawą zajęty, zdaje się zapominać o sobie; nie chce i nie usiłuje, aby na siebie tylko oczy drugich obrócił. Toż samo dzieje się z dowcipem. Ktoby chciał w tém powszechném zamieszaniu i gwa-

rze odznaczyć się i bawić drugich swoją rozmową, może być pewny że i sam się znudzi i nie znajdzie słuchaczy; a chociażby i znalazł, ci go nie dosłyszają za wrzawą.

Innego tu wcale rodzaju ogniwo łączy pospołu całe towarzystwo, bez różnicy stanu i wychowania. Ogniwo tén. są tak zwane *confetti*. Mają to być i powinny kminkowe białe cukierki; są zaś w istocie wapienne białe kamyki, na wzór cukrów robione, któremi wszyscy bez wyjątku, w maskach czy bez masek, znajomi czy nieznajomi, mają prawo i przywilej ciskać sobie nawzajem w oczy. Żart ten, prawie zawsze bolesny, jest najulubiejszą zabawą, pobudką najgłośniejszych okrzyków i śmiechów, główną cechą karnawałów włoskich. I w rzeczy samej, jemu to przyznać należy ową poufałość, swobodę i pustotę dzieciinną, która owoczesne zabawy Włochów, od zabaw wszystkich innych narodów odróżnia. Patrząc wzdłuż ulicy, rzekłbyś, że najgęstszy grad pada, tak bezprzestannie powietrze zaćmione jest białą chmurą w górę i z góry lecących *confettów*. Piechotni niosą je w ręku, w długich papierowych pakach, trzymając je wysoko, ażeby obca ręka, sięgnąwszy zniechęta do nich, własnej przeciw nieostróżnemu bronii nie użyła. Jadący w powozach, mają je obok siebie w naczyniach lub w formalnych worach stojące, i sypią nimi na wszystkie strony, grzecznym piérwiej ukłonem powitawszy znajomych, i sami parasolikami, w miejsce puklerzy, zasłaniając się od wzajem pocisków. Ostróżność ta jest mianowicie p

przy omijaniu niektórych balkonów, do zbrojnych baterij podobnych. Biada powozom, które ciżba pod niemi zatrzymał chyba że śmiały obrońca, wskoczywszy na siedzenie lub koziół, trafnym od razu rzutem zasypie napastnik w oczy i zmusić się z placu przymusi; albo że damy, które nie chcą dać się zmieścić w powozach, jeżeli zwłaszcza damy są znanymi, lub dla ostudzenia poprzedniczej wścieklizny, osypują się lekką powtórny gradem nie już wapiennych, ale wzdziwych „pańskich konfettów,” (*confetti da signorine*), albo pęczkami fijołków. Jedne i drugie, by chybiwszy powozu na ziemię upadły, stają się w oczach miłośników łupem małych chłopców, co jak rekiny za okrętem, upędzają się za powozami *delle belle signorine*, w nadziei podobnej zdobyczy. Szczególniejszy ten orszak, biegnący za wozem piękności, możnaby było przyrównać do amorków, gdyby brudna odzież i twarze, podkasane nogi i ręce, i nocna szlafinca na głowie, zapędów imaginacyi nie psuły. Stare dziady w podobnymże stroju, uwijając się po ulicy, z ogromnemi koszami na plecach, każdemu, za lichą cenę, wapiennej ammunicyi dodają. Próznowy kto w powszechnym tym boju chciał neutralnym pozostać; najcierpliwszy ujrzy się wkrótce zmuszonym do użycia praw własnej obrony. Widziałem kilkunastu młodych malarzy niemieckich, którzy na jednym wozie, mirtem i dębowemi liśćmi uwieńczonym, sami za Druidów przebrani, jechali nie mając konfettów, i spokojną kontemplacją zajęci, znosili cierpliwie z założonemi rękami ciosy kamieni-

stego gradu. Tłum nieczyunością ich oburzony, sy-
pał go na nich ze szczególną zawziętością, biegnąc za
ich powozem i krzycząc: „*Difendetevi, Tedeschi! di-
fendetevi!*“ (brońcie się Niemcy! brońcie!). Upom-
nienia te ustne i ręczne, tak się widać sprzykrzyły
nakoniec cichym kapłanom lasu, że zaopatrzwszy
się w dwa ogromne wory wapienników, tak nawzajem
dali się we znaki, że gdziekolwiek wóz ich się zazi-
lenił, słysząc było różne wcale od pierwszych okrzyki:
„*Guardatevi, fuggite! ecco vengono i Tedeschi!*“
(strzeżcie się, uciekajcie! oto zbliżają się Niemcy!).

Najstraszniejszymi przeciwnikami w tej wojnie, są
zazwyczaj Anglicy. Krużganek ich ambassady, i dru-
gi leżący naprzeciw, przez jakiegoś lorda najęty, by-
ły prawdziwą Scyllą i Charybdą, których nikt ani
się ustrzedz, ani bez szkody ominąć nie mógł. Sły-
szałem opowiadających, że w Neapolu przed kilku
laty, bawiący w tym mieście Anglicy, zbudowawszy
z desek wspaniałą okręt, na bardzo wysokim wozie,
przez sześć wołów ciągnionym, którego pokład do
wysokości okien pierwszego piętra dochodził, powy-
bijali konfettami wszystkie prawie szyby na ulicy
Toledo. Nikt jednak za tę szkodę do odpowiedzial-
ności pociągnąć ich nie śmiał; gdyż bez dowodu, że
to umyślnie zrobili, roszczenie pretensyi do zapłaty
byłoby ubliżeniem swobód karnawałowych, które
każdy Włoch w drugich, dla samego siebie szanuje.
Jakoż dziwić się trzeba, że w tak różnorodnej massie
ludu, z natury do porywczosci skłonnego, i przy tak
dotkliwej zabawie, nie widziałem i nie s^z

wet o żadnej kłótni, z tego powodu wynikłej. A jednak wiem z doświadczenia, jak trudno się jest wstrzymać od pierwszego uczucia gniewu, gdy kto zniemacka kamieniami w twarz sygnie, od których ból nawet i przez suknię dochodzi. Wolno oddać, jeśli się uda, ale się obrażać nie godzi. I wyznać trzeba, że na tym punkcie panuje tu najzupełniejsza równość. Najpospolitszy ulicznik może podbić, a choćby i wybić oczy najbogatszemu panu, nie lękając się wcale losu owego Ezopowego chłopca, którego, jak wiadomo, dowcipnie mszczący się mędrzec do podobnej kiedyś psoty namówił. Ilość zużytych konfettów jest miarą wesołości dnia; im więcej widzisz plam białych na sukniach, a sinych i czerwonych na twarzach, tem pewniej możesz zaręczyć, że się bawiono wesoło. Dopiero o godzinie szóstej wieczorem, dzwonienie na Anioł Pański i wystrzał z moździerza, na placu *del Popolo*, daje hasło zawieszenia broni — do jutra. Natychmiast wszystkie powozy zjeżdżają w boczne ulice; stojące w nich wojsko występuje i wyciąga linie wzdłuż po obu stronach *Corso*; piesza zaś publiczność ciśnie się do okien, lub zasiada za opłatą ławki i krzesła, koło murów stojące. W kilka minut cała ulica staje się środkiem pusta, a bieleje, jak śniegiem, masą zdeptanych konfettów.

Zaczyna się akt drugi codziennej zabawy: wyścigi koni, (*Corso dei cavalli*), samemu tylko Rzymowi właściwe, i różniące się całkiem od wyścigów zwyczajnych, jakie się w innych krajach odbywają. Tam się jeżdżycy na koniach ubiegają do mety; tu same

tylko konie, w zastępstwie Żydów, jak się rzekło wyżej, bawią chciwą widowisk publiczność. Gdy za drugim wystrzałem z moździerza, oddział konnych żandarmerów trzykroć w największym pędzie przeleci ulicę i przekona się, że wszelkie zawady uprzątnione zostały: powrót jego na plac *del Popolo* jest hasłem do puszczania koni (*mossa dei cavalli*).

Na samym środku, rzeczonoego placu wznosi się drewniany amfiteatr, o egipski obelisk oparty i czerwonym sukniem okryty; miejsce najdroższe ze wszystkich. Przed nim w rząd ustawiają naprędce przeoryny, wtykając je ostremi końcami do gotowych już w ziemi otworów. *Barbareski*, (tak się zwą masztalercze z turecka ubrani), prowadzą po dwóch i czterech rżące i wspinające się konie, które z najlepszych stad wzięte, nie starsze nad lat trzy i całkiem niejeżdżone być powinny. Cała sierść popisana krédą, każdego swoim numerem; nad czołem ogromna kita z piór, u każdego w innym kolorze; mają nadto poprzywiązane do boków kawałki cienkiej blachy lub złocistego papieru, którychby szelest straszył je i naglił do biegu. Oprócz tego masztalercze, stojąc obok nich w przeorynach, biją je, kolą, smagają i krzyczą przeraźliwie, aby je jak można rozżarzyć. Za trzecim strzałem z moździerza, dźwięk trąb daje hasło puszczania. Sznur wyciągnięty wpoprzek ulicy—upada, i konie, raz jeszcze biczem zacięte, puszczają się jak szalone, ażeby uniknąć hałasu. Próżna wszakże nadzieja nieszczęśliwych zwierząt! trafiają z deszczu pod rynnę. Wszystko co żyje na ulicy, krzyczy,

gwizdże, klaszcze i macha rękami, używając wszelkich sposobów, aby ich przestraszyć i zapal powiększyć; tak, że niekiedy, wbrew celowi, ogłupiałe i ogłuszone tym hałasem konie, zatrzymują się nagle wpół drogi, mniej szybkemu, lecz obojętniejszemu ustępując pierwszeństwa. Z drugiego końca *Corso*, przed placem Weneckim, rozwieszono są płótna wszczegół całej ulicy; koń, co się pierwszy o nie uderzy, ogłasza się zwycięzcą, i przynosi swemu właścicielowi nagrodę od 20 do 25 skudów, powiększającą się codzień, i tak zwane *pallio*, to jest kawał szkarłatnego sukna, trofej i drogą pamiątkę zwycięstwa. Przysądza je Senator, siedzący na wysokiej galeryi, w towarzystwie kilku assessorów. Jeśliby kilka koni razem dobiegło do mety, żaden z nich nie bierze nagrody; pieniądze rozdają się na szpitale, a *pallio* zawieszają się w kościele Ś. Antoniego Opata, patrona zwierząt, gdzie je corocznie na processyi, w dzień jego święta, obnoszą. Jak skoro konie przebiegły, tłum rozchodzić się zaczyna, śpiesząc spocząć po domach, lub bawić się jeszcze w teatrach; gdyż nikomu już na ulicy znajdować się w masce nie wolno.

We Wtorek tylko zapustny, do dwóch poprzedzających przydaje się jeszcze akt trzeci i ostatni: *Moccoli* albo *Moccoletti*. Są to długie, cienkie, woskowe świeczki, które każdy na ulicy, w powozach, po krążgankach i w oknach, po kilka, kilkanaście i po kilkadziesiąt zapala, mieszcząc je wtedy na przytwierdzonych do końca kija: gwiazdziej, krzyżu, lub kole. Cała zda się ulica gore jednym płomieniem. Wnet

po przebiegu koni, maski i powozy wracają. Ruch, zgiełk, krzyk, zamieszanie, większe jeszcze niż pier-wiej; o konfettach nikt już nie myśli; teraz rzecz idzie o to, kto komu świeczki pogasi. Na piechotnych do-syć dmuchnięcia, do powozów trzeba szturmować, wskakiwać na stopnie lub z tyłu, albo chustką na kiju wiatr robić. Walka wesoła, lecz nierówna; ła-twiej wyższy niższemu dokuczy. Ztąd też i tu, jak w wojnie konfettów, grozą piechotnych są powozy, grozą powozów kruzganki. Ztamtąd to spuszcza-ją się płócienne chorągwie, pęki piór, wachlarze ze strzyżonego papieru, po sto świeczek razem gaszące. Hasłem napastników jest okrzyk: „*È spento il car-nevale!*“ (zgaszony karnawał!)— „*Vive ancora!*“ (ży-je jeszcze!) odpowiada z tryumfem napastowany, jeżeli świeczki swoje od zgaszenia uchronił. Inaczej musi prędko zapalać je nanowo, bo go zagłuszą okrzyki: „*Vergogna senza moccoli!*“ (wstyd bez świeczek!). Każdy w tém chętnie użycza drugiemu pomocy i o-gnia, jeśli tylko wzięwszy do zapalenia, sam wraz ze świeczką nie uciecze. Niepodobna sobie wyobrazić tego blasku, zgiełku, hałasu, jaki w téj chwili na ca-łej ulicy panuje. Podróżny, który był świadkiem téj sceny, powtórzy wraz ze mną, pewny jestem, że nigdy ani weselszej, ani oryginalniejszej nie widział.

No! cóż moja elukubracja? Dla ciebie cała jój wartość, że obrazek zdjęty z natury; ale dla mnie ma ona swoją ważność zkądinąd. Pierwszy artykuł pro-

zą, który w życiu pisałem do druku, była to krótka wiadomość o życiu i pismach Bürgera, mająca poprzedzać mój przekład ballady jego *Mysłiwiec*, drukujący się w dzienniku Wileńskim, w kwietniu 1822 r. Był to mój *Maiden-speech* ¹⁾, jak mówią Anglicy; a ty wiesz, że od przekładu téj ballady Walter-Skott także zawód swój rozpoczął. Wybiegliśmy więc z jednego punktu, jak konie z placu *del Popolo*, ale on zdobył *Pallio* i pieniądze, a mnie, kto wie, czy nie przypadnie w udziale los tego biedaka żrebca, co oglupiały wrzawą zatrzymał się w pół drogi, i pewno pójdzie za karę orać albo bronować, jak „*Pegasus im Joch*.” Mysłiwiec wszakże, nie mogę powiedzieć, żeby nie upolował coś dla mnie. Przezeń to imię moje, jak imiennik mój z kniei, wymknęło się na świat literacki. Pan Franciszek Salezy Dmochowski przedrukował go w swojej *Bibliotece Polskiej*, w Warszawie, a pan Leon Borowski odczytał go z katedry, nie już jako ćwiczenie studenta. Ale ten nieszczęśliwy wstęp prozaiczny, co on mię pracy i boleści kosztował! Pozszywałem go ztąd i zowąd i przyniosłem na sąd Adama. „Żle”—Przerobiłem więc i przyniosłem raz drugi. „Nie lepiéj!”—Przerabiałem noc całą i przyniosłem raz trzeci. „Jeszcze gorzéj.” — Tu już rozpacz mię ogarnęła, a łzy jakoś połały się same. On śmiał się do rozpuku, gładząc mię i całując, ale się ulitował nade mną i sam za mnie ów artykuł napisał. Otóż

¹⁾ *Maiden-speech* (dziewicza mowa), tak nazywają w Anglii każdą pierwszą mowę, którą nowy Lord ma w Parlamencie.

od owój chwili, powyższy opis karnawału był pierwszym prozaicznym ćwiczeniem, które przed nim czytałem—ze strachem. Uzyskał wszakże *imprimatur*, i to mię tak po dziecinnemu cieszy, jak Bürger niegdyś po dziecinnemu zasmucił.

Ale trzebaż ci teraz powiedzieć, co myśmy w ciągu tego karnawału robili. Ja, niestety, przechorowałem połowę, i musiałem jak niedźwiedź w jamie siedzieć na *Via del Orso*, kiedy Rzym cały bawił się i biegał na *Corso*. A oto z jakiej przyczyny.—Po oddaniu na pocztę ostatniego mojego listu, ze Strzeleckim, Parczewskim, Karczewskim, Wodzickim, i kilku jeszcze nowo-przybyłymi, o których niżej napiszę, tłoczyliśmy się jak mogąc za senatorską karetą na Kapitolu i na *Corso*, aby widzieć, co się dało obaczyć. Przyczem nasz Macedończyk grał prawdziwie rolę bohatera, torując nam drogę w natłoku, i siejąc jak Akwilon gradem wapiennych *confettów*. Na wyścigi końskie dopiero poszliśmy patrzeć z okien państwa Ankwiczów, które mieli najęte na *Corso*, za jedenaście skudów na cały ciąg karnawału. Nazajutrz, w niedzielę, byliśmy na wielkiem śniadaniu z blinami, u xiężny Dietrichstein, a wieczorem, jak ci pisałem, było powtórzenie teatru u xiężny Zeneidy, z dodaniem trzeciego aktu z opery *Otello*, w którym występowała xiężna i pan Ricci. „*Farsy*“ udały się lepiej nawet niż pierwszą razą; ale gdy przyszło ubierać bohaterkę drugiej sztuczki „*Krystynę*,“—szpilek, niestety, w garderobie naszej zabrakło. W niedzielę kramy zamknięte—A więc?—A więc ja, przez głupią

na ten raz szarmanterią dla panny Luizy, a głupszą jeszcze nieogłędność, zgrzany, bez płaszcza, jak stałem, skoczyłem na *Via del Orso*, aby u naszej gospodyni kilkadziesiąt szpilek pożyczyć. Wprawdzie panna Luiza przyjęła to wdzięcznie; ale cóż, kiedy nazajutrz obudziłem się z klóciem w gardle, jakby te wszystkie szpilki w niem uwięzły. Trzeba było przystawiać pijawki—i aż do piątku nie wyszedłem z domu. Pozbawiono to mię widoku oficjalnej defilady ambassadorów w powozach, która, jak zwykle, odbyła się w tłusty czwartek. Nazajutrz dopiero p. Alexander Potocki zajechał po mnie i zabrał mię do swego powozu, bo Adam jeździł z państwem Ankwiczami, do których i my także przyjechaliśmy na herbatę. Ale i ta przejażdżka źle mi się powiodła. Z jakiegoś okna tak mi sypnięto w twarz wapienukami, że formalnie podbito oczy, i musiałem je cały wieczór leczyć wodą różaną. Dla mnie więc prawdziwie wesoły karnawał zaczął się dopiero w poniedziałek zapustny, kiedy już mogłem znowu zwijać się po ulicy i drugim téż nawzajem zasypywać oczy. Na *Moccoletti* państwo Ankwiczowie wzięli nas obu do swego powozu, i nie chwaląc się, mogę powiedzieć, żeśmy dzielnie tak swoich, jak i panieńskich świeczek przed zgaszeniem bronili. Na zakończenie pojechaliśmy téż razem z nimi na tak zwane *Festino*, w teatrze *Alberti*, gdzie między dwiema farsami na scenie, połączonej z parterem, odbywała się, podobnie jak w Warszawie, tłumna i gwarna maskarada, której byliśmy tylko spektatorami z łoży, i nie czekając koń-

ca, który jest punkt o dwunastój, zostaliśmy odwiedzeni do domu.

Takie są dzieje karnawału mojego, bo Adam ma swoje osobne, lubo wiem że i w nich także nic osobliwszego nie zaszło. Ale i moja rekluza nie była dla mnie bez pociech. Oprócz bowiem łaskawych odwiedzin, Adam tak był troskliwy i czuły, że w dniu stawiania pijawek zgoła z domu nie wyszedł, następnych zaś musiałem go prawie gwałtem wyprawiać, a i tak zawsze na dziesiątą powracał. Towarzyszem zaś chwil samotnych był mi zwłaszcza poczciwy Parczewski, który zaspokoiwszy jako wojażer pierwszą ciekawość karnawału, nie chciał się jako xiądz poniewierać w tłumie, i właśnie gdy się wszyscy kwapili na *Corso*, on przychodził do mnie, i czytał mi swoją powieść „*Władysław Biały*,” z której wprzód znaleźliśmy tylko wyjątki. Ma ona być we trzech tomach, a pierwszy jest już skończony. Z wyjątków tych Adam rokuje mu najświetniejsze nadzieje w zawodzie powieściopisarza. W formie i manierze jest on naśladowcą Walter-Skotta, ale w psychiczném kreśleniu charakterów, w pojedynczych obrazach i scenach, nie znać w nim bynajmniej kopiisty, a owszem czuje się wyraźnie, że wszystko czerpie z siebie i z przedmiotu, w który się głęboko wpatruje. A przytém styl i język piękny, akcja żywa, dyalogi naturalne i zręczne, a dowcip i humor prawdziwie polski.— *A propos* powieściopisarstwa: W końcu miesiąca spodziewają się tu Fenimora Coopera, i panna Anastazyja jest już uprzedzona, że będzie miał do niej listy z Paryża.

Być więc bardzo może, że będziem jedli *bifsztyk* albo *rostbif* z Cooperem, co, podług sposobu widzenia pana Osińskiego, powinny go pozbawić uroku wielkiego człowieka. Ale za toż o Walter Skocie smutne bardzo wieści. Allan, zamiast oczekiwanéj odpowiedzi od niego, otrzymał list z Edymburga, od wspólnego ich przyjaciela, w którym ten mu donosi, że zdrowie Waltera Skotta jest coraz gorsze; że doktorowie każą mu koniecznie jechać do cieplejszego klimatu na łód stały; że rząd chce mu dać na to fundusz i przeznaczyć osobny okręt, jak ekwipaż na jego usługi; ale że on opiera się temu, i chce, jak mówi, umierać na swojej ziemi i wśród swoich starych przyjaciół. Biedny Allan ze łzami mówi o tém. Sam on zaś w przyszłym tygodniu wyjeżdża ztąd do Neapolu, z dwiema rodzinami swoich przyjaciół; ale sam jeszcze nie wie, z którą ztamtąd i dokąd—to jest, czy do Konstantynopola, czy do Kadyxu popłynie. Kochany, poźciwy człowiek! Zawsze dla nas równie przyjazny. Nie ma tygodnia, żebyśmy nie byli, albo on u nas, albo my u niego; a spotykamy się téż tu i ówdzie. Smutno nam będzie z nim się rozstać. Za toż mamy miłą nadzieję doczekać tu wkrótce z Wenecyi kochanego Adolfa (Januszkiewicza), którego zdrowie, jak sam pisze, nie jest wcale w najlepszym stanie. Nie może np. spać inaczej, jak w teatrze, albo w kościele, gdzie sobie miejsce na noc na ten cel najmuje. Dziwimy się, że się nie boi. Była o tém niedawno szeroka mowa u państwa Ankwiczków. Ja i panienki wyznaliśmy otwarcie, że się boi-

my strachów. Strzelecki i pan Ankwicz śmieli się z nas jak z dzieci. Macedończyk fanfaronował, że gotów jest nocować choćby w sklepie między trumnami. Ale Adam wziął rzecz na seryo, i oświadczył, że za żadne skarby na świecie nie nocowałby umyślnie sam jeden na cmentarzu albo w kościele; nie dla obawy strachów, lecz dla obawy własnej wyobraźni, za którą nikt ręczyć nie może; i że niegodne jest natury i rozumu człowieka, płoche wyzywanie sił wyższych. Przyczém tak uroczyście, tak cudnie rozwinął teorią stosunku duszy ludzkiej ze światem tajemniczym i wpływu jego na duszę, że wszyscy bez wyjątku wpływ ten w téj chwili poczuli, a mnie aż zimne mrowie przebiegało. Powiedz to proszę czcigodnemu p. Oleszkiewiczowi, i dodaj, że Adam o nikim nie wspomina tak często i z tak różnych powodów jak o nim, z czego widać jak pamięć jego zawsze mu jest obecną i drogą. Że zaś przy końcu téj rozmowy o strachach, opowiadanie moje o mnie samym wywołało ogólną wesołość i zabawiło towarzystwo, więc bierze mnie ochota powtórzyć tu je czarno na białém. Dla czego? Sam dobrze nie wiem. Ale zadałem sobie w téj chwili to psychiczne pytanie. Czyżby przez próżność? Na pozór, nie; a w gruncie, bodaj że tak. Chwalić się z głupstwa lub z przebiegłości dziecinnéj, zdaje się nie ma powodu. Ale być bohaterem anegdoty, która tak może zabawi pannę Celinę i pannę Helenę, jak zabawiła pannę Henryettę i pannę Marcellinę—jest powód, że ci tę anegdotkę przepisz

Otóż, jeżeli teraz jeszcze boję się nieco stracił był czas, że się bałem okropnie. Przed

cyi naszój w Borunach, była na rynku kapliczka, gdzie umarłych przed pogrzebem stawiano. Każdy nowy jój gość był dla mnie nowém udęczeniem w nocy, gdy ze strachu zasnąć nie mogłem. Środek budzenia starszych kolegów nie zawsze okazał się skutecznym, i co gorsza, mógł nie ujść bezkarnie. Ale tuż przez ścianę w kuchni były zazwyczaj kury i koguty. Zaczawszy więc sam najprzód śpiewać *kukuryku*, starałem się je pobudzić do wtóru; i gdy który rzeczywiście zaśpiewał, usypiałem wtedy spokojnie, pewny że już upiór nie przyjdzie. Dziś wiem już lepszy sposób na podobnego rodzaju bezsenność, który i tobie zalecam. A ten jest — myśleć o aniołkach.

Ale obiecałem ci wspomnieć o nowych znajomościach. Towarzystwo tu nasze powiększyło się znacznie przybyciem pani Węsierskiej, obywatelki z Poznńskiego, z prześliczną pięcioletnią córeczką, (z którą się bardzo kochamy), i z dwudziesto-letnim: synem Albinem, i siostrzeńcem, Felicyanem Niegolewskim, który ma cerę i głosik piętnastoletniej panielki, a jest wcale dorzeczny i miły młodzieńczyk. Razem téż z nimi, nie wiem czy jako ich Mentor, czy tylko jako przyjaciel domu, podróżuje p. Antoni Jaźwiński, nasz Litwin, autor czy wynalazca *mnemoniczno-chronologicznej tabliczki*, mającej na celu ułatwiać spamiętanie dat historycznych, za pomocą widomych znaków, narysowanych w kwadracikach, na które się dzieli owa tabliczka, a które oznaczają stulecia i dziesiątki lat. Opisywać ci jój dłużej nie myślę, bo chociaż Adam i Strzelecki mówią, że rze-

czywiście może być bardzo pożyteczną, i chociaż ja, więcej może niżeli kto inny, potrzebowałbym właśnie téj pomocy: ale tak mi już ona kością w gardle stoi, że myśleć o niej nie mogę bez wstrętu. Bo wyobraź tylko sobie poważnego, światłego i nader wymownego człowieka, który gdziekolwiek jest, z kimkolwiek kiedykolwiek się spotka, o czémkolwiek ten ktoś chciałby mówić, on zawsze akkaparuje rozmowę, i nigdy o czém inném nie mówi, jak o téj swojej tabliczce, czyli raczej o téj swojej metodzie, którą nie do saméj już tylko chronologii historycznej, ale do wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej stosuje, i do każdéj podobnie układa tabliczki. Z początku słuchało się ciekawie, ale potem!... Nie masz wyobrażenia, jak tego rodzaju monomania nieznośną jest dla otaczających. — A jednak kiedy sobie przypomnę dzieło Iringa o Kolumbie: to bodaj, czy i ten wielki Krzysztof, który, jak niegdyś jego patron samego Pana Jezusa przez wodę, tak on przeniósł przez ocean krzyż i światło prawdziwéj wiary; czy i ten wielki odnalazca zatraconej części świata, nie był za życia podobnym monomanem jak Jaźwiński. A więc, czy podobna czyjaś monomania nie jest koniecznym warunkiem rodzenia się na świat każdéj nowéj idei, odkrycia, lub wynalazku? A więc, czy nuda i niecierpliwosć, jaką we mnie obudza Jaźwiński, nie jest tylko skutkiem mojej głupoty, a ogólnej niewdzięczności ludzkiej? Być to może. Ale niemniej prawdą jest wszakże, że ile razy wchodzi do państwa Ankwic a obaczę że już tam siedzi Jaźwiński: zaraz kr

wana tabliczka staje mi przed oczyma jak krata więzienna, a ja sam czuję się w sobie jakby myśl moje i słowa kto pętał. Jedynym antidotem na tę zgorę, jest drugi nudziarz i oryginał w swoim rodzaju, częsty gość także w domu państwa Ankwiczów, o którym że ci dotąd nie wspomniałem, to jedynie dla tego, że dosyć już mam nudy z widywania go i słuchania. Jestto pan Piotr *Aigner*, pomimo francuzkiego nazwiska, rodowity i nieodrodny Warszawianin; mający już lat ośmdziesiąt z górą; z profesyji architekt, który budował świątynię Sybilli w Puławach i kościół Św. Alexandra w Warszawie; który był protegowanym xięcia Jenerała Ziem Podolskich, służył wojskowo pod Kościuszką, i znał wiele ówczesnych znakomitości naszych. Wszystko to nie kwalifikuje go wcale na nudziarza, i owszem niektóre opowiadania o przeszłości byłyby nawet bardzo zajmujące, gdyby nie mówił ciągle o architekturze i o sobie, a błagą i popisywaniem się z oklepanemi wolterańskimi sentencyami nie rościł pretensyi do wielkiego rozumu, którym rad bardzo imponować drugim. Zwykłą więc moją taktyką, w której mi dopomagają panienki, jest, aby obu tych panów usadowić wieczorem obok siebie. Bo ponieważ się wzajemnie nie lubią, (gdyż każdy chce mówić swoje, a jeden drugiemu przeszkadza), więc obydwu milczą jak mruki, i dają czas odetchnąć drugim, albo rozmawiać o czém inném, niż o chronologicznej tabliczce lub o stylach architektury. — Kiedy zaś jest już mowa o oryginałach, muszę ci jeszcze powiedzieć o jednym tutejszym,

dla rykoszetu na drugiego, którego między sobą macie w Petersburgu.

Nie ma pewno jednego cudzoziemca w Rzymie, któryby nie znał *Monsignora Abbate Brutti*. Jest on dworzaninem papieżkim, niższego chóru, ale bynajmniej nie księdzem, chociaż nosi ubiór labusia, który tu jest uniformem dworskim. Żywy, zwinny, gładki, układny, nadskakujący panom, zasługujący się paniom, zalecający się do panienek, jest on wszędzie przyjmowany uprzejmie, tem bardziej, że nie tylko w nadziei wynagrodzenia lub prezentu, (któremi wcale nie gardzi), ale wprost nawet z natury i nawyknięcia, gotów jest zawsze do uczynnej przysługi, w wyjednywaniu zwłaszcza różnych pomniejszych dyspens, odpustów, biletów wejścia, i niekiedy nawet prywatnych audyencyj u Ojca Św. Posądzają go nawet niektórzy, że jest ajentem niektórych ambassad; ale to rzecz niedowiedziona, i wcale ogólnej jego opinii nie szkodzi. Otóż ten pan *Abbate Brutti* dowiedziawszy się żeśmy z Wilna, zaraz przy pierwszym poznaniu zapytał nas, czy znamy „*un celebre poeta, signor conte Kika Dżerski*”? Ledwośmy się domyślili że rzecz idzie o Kiszkę Zgierskiego; a zaś zaciekawieni niezmiernie z kąd on mógł wiedzieć o nim, dowiedzieliśmy się nawzajem, z kąd się wzięła ta *Złota Ostroga*, z którą *wieszcz* niegdyś tak pompatycznie po Wilnie, a dziś może i po Petersburgu na swoim pegazie harcuje. Orderek ten wyjednał dla niego pan *Brutti*, złożywszy wprzód Ojcu temu wszystkie dzieła *wielkiego wieszca*,

oprawie, a między temi i jego „*Prawo Kanoniczne*,“ które mu on w tym celu przez pana Straszewicza był przysłał, z dodaniem 25 dukatów *à conto*, i z obietnicą stu jeszcze, jeżeli go wyprowadzi na *rycerza* i przypnie mu *złotą ostrogę*. Złota ostroga została przypięta, ale bynajmniej nie stała się bódzcem rycerzowi do odesłania obiecanych dukatów. Adam śmiał się serdecznie z długiej i przestraszonej miny dyplomaty-włocha, kiedy usłyszał radę, aby ten spodziewany przychód całkiem ze swego budżetu wykręślił. Ty, jeśli spotkasz gdzie *hrabięgo-wieszczę*, powiedz, że *L' Abbé Brutti* kłania mu się przeze mnie, i patrz, czy się choć zarumieni. Wątpię.

Lecz jest to symbol czasu smutny i złowrogi,
Jak się to dziś dochodzi do *Złotój Ostrogi*.

Bądź zdrow.

XII.

Do Ignacego Chodźki.

Rzym, 9 marca 1830 r.

Przecież, wreszcie, nakoniec, widzieliśmy Papieża—i tobie, jak obiecałem, pierwszemu o tém donoszę. Moglibyśmy więc tedy opuścić już Rzym z pokojem Symeona; albowiem oczy nasze oglądały, bez oglądania czego być w Rzymie, jest, podług przysłowia, jak nie być. Szczęściem, że jeszcze nie myślimy o tém. Życie owszem tu nasze, tak zewnętrzne jak i wewnętrzne, wzbiera zda się jak strumień na wiosnę. Opowiem ci po kolei o wszystkiém, ale zaczynam najprzód od Papieża. Widzieliśmy go wczoraj — szkoda tylko, że nie jak najwyższego kapłana, ale jak króla z tego świata; na tronie, nie przy ołtarzu. Wkładał czerwone kapelusze nowo mianowanym Kardynałom, jak poprzednicy jego rozdawali i wkładali korony. Odbywało się to w jednej z sal Watykanu, gdzie nas uprzejmy *Mgr. Brutti* wprowadził, i tuż po za ławkami Kardynałów umieścił. O naznaczonej godzinie purpuraci zaczęli wchodzić i zajmować każdy swe miejsce. Gdy już wszyscy byli zebrani, otwarły się drzwi w głębi sali, i ukazał się Ojciec Św. niesiony w krześle, nakształt otwartej lektyki, przez czterech dworzan, galowo ubranych. Dwaj starsi

Kardynałowie, z wielkiem uszanowaniem dopomogli mu powstać z krzesła i wejść na stopnie tronu, co mu widać z trudnością przychodzi samemu; zresztą zdaje się być zdrowym i czerstwym. Twarz dziwnie łagodna i miła, ma raczej wyraz ojcowskiej dobroci, niżli monarchicznej powagi. Na głowie miał tyarę (nakształt infuły), ze złotogłowiu, a na ramionach kapę nakształt ornatu. Skoro zasiadł na tronie, Kardynałowie po kolei przystępowali do ucałowania ręki, którą im, z wdzięcznym uśmiechem, obwiniętą w suknię podawał. Poczém jakiś *Monsignor* zaczął długą oracyą po łacinie; podczas której sześciu Kardynałów wyszło z sali, i powróciło wkrótce prowadząc między sobą trzech nowo mianowanych, z których każdy szedł między dwóma, jeden za drugim, wszyscy w czerwonych już pończochach i kalotkach na głowie. Pierwszym był Anglik *Weld* ¹⁾, bardzo wspaniałej postaci, lat zapewne najmniej 60. Przez długi czas był świeckim i żonatym; i boleść to po śmierci żony skłoniła go, jak mówią, do stanu duchownego. Ma żyjącą córkę i z niej wnuków. Dwaj drudzy, Włosi: *Domenico di Simone*, i *Cesare Nembrini-Pizoni*, nie odznaczają się niczém. Owszem, gdy się pierwsza wiadomość o ich mianowaniu roze-

¹⁾ Od czasów Henryka VIII pierwszy to był Kardynał Anglik. Po nim był Wisemann, a teraz jest Manning, Arcybiskup Anglii.—Wnuk Kardynała Weld, p. *Labarre de Bodenham*, ożenił się z Polką, panną Ireną Morawską. Mieszkają w Rzymie i dom ich słynie z gościnności i ducha chrześcijańskiego.

szła, na posagu *Pasquina* przylepiono zaraz epigramę: że mianowanych jest trzech nowych Kardynałów, z których jeden „*non sa parlare*,” (nie umie mówić; — zapewne jako Anglik po włosku); drugi „*non può parlare*,” (nie może mówić;—bo jest zajękliwy); trzeci zaś „*farebbe bene di non parlare*,” (zrobiłby dobrze, gdyby nic nie mówił). Na wczorajszym wszakże obrzędzie wymowa żadnemu z nich potrzebną nie była. Mówił tylko Monsignor-orator. Oni przykląwszy przed tronem Papieża zaczęli najprzód od ucałowania nogi; potem dopiero całowali rękę, którą im Ojciec Św. podał bez okrycia, i wszystkich trzech z kolei po ojcowsku uściśnął. Przez ten czas Monsignor zamilkł; ale znów mówił dalej, gdy oni odszedłszy od tronu, zawsze w pośród dwóch przewodników, zaczęli obchodzić ławki kardynałów, całując się każdy ze wszystkimi. Następnie zbliżyli się znowu do tronu, i Monsignor znowu zamilkł. Trzej dworzanie stojący za tronem trzymali trzy kapelusze czerwone i płaskie jak talerz. Papież wkładał je po kolei na skronie kłękających przed nim, przemawiając do każdego z osobna, po łacinie, czystym i przyjemnym głosem: „Na chwałę Boga w Trójcy Jedynego, i na ozdobę Stolicy Apostolskiej, przyjm ten czerwony kapelusz, i bądź gotów w każdej potrzebie przelać krew swą za Jezusa Chrystusa!” — Podczas obrzędu tego i przemowy, stojący po bokach tronu dworzanie, czerwoną jakąś zasłonę przed twarzą Ojca Św. trzymali, zakrywając go przed okiem publiczności.— Na tém się skończył obrządek, po którym nowi Kar-

dynałowie wskazane sobie miejsca zajęli, słuchając końca mowy oratora. Papież pobłogosławił z tronu zgromadzonych, i sprowadzony z niego przez tych samych dwóch Kardynałów, którzy go nań wprowadzili, oddalił się, jak przybył, niesiony na krześle.— Wczoraj i dzisiaj w mieście, wielka feta z tego powodu. Na *Corso* i na placu *Colonna* paliły się wczoraj i mają się palić dziś i jutro smolne beczki i godowe pochodnie; wiele domów było uilluminowanych.

A teraz, jeśli może chcesz wiedzieć, jakie to wszystko na mnie zrobiło wrażenie? Niestety! muszę ci odpowiedzieć prawdę, że nie takie, jakem się spodziewał i życzył. Ach! czemużem to Ojca Św. nie obaczył najprzód przy ołtarzu! Wprawdzie on sam i tutaj przejął mię czcią i uszanowaniem. Ale trzebaż właśnie nieszczęścia, że mi wypadło siedzieć tuż za plecami tego samego kardynała *Vigoni*, który już raz na balu u xięcia Gagaryna tak niefortunne wywarł na mnie wrażenie. Ale tam raziły mię tylko jego ruchy i maniery; tu musiałem słuchać rozmowy. Do niegooby to właściwie dały się zastosować słowa epigramatu: „*farebbe bene di non parlare.*“ Bo jego to mianowicie rozmowa była dla mnie kamieniem zgorszenia. Mówił z jakimiś dwóma Anglikami, którzy siedzieli tuż przy mnie, i ze swoim sąsiadem kolegą. Ci pierwsi żartowali z niego widocznie, wyciągając go na rozmowę o damach i o koniach, i śmiali się spoglądając na siebie, kiedy im opowiadał o jakimś swoim ogierze, o czémby w stajni chyba mówić było warto; i to jeszcze tak szkaradną francuzczyzną,

że i ztąd nawet byłby powód do śmiechu. Koledze zaś swojemu, podczas gdy Papież wkładał kapelusze, szeptał dość głośno do ucha, jak mu każe przyrządzić łososia, na którego musiał go prosić. Mojaż wina, że słysząc to wszystko niechęć, jak cudze grzechy przy konfesyjonałe, nie mogłem się obronić od myśli, za które może także do konfesyjonału iść trzeba? Żeby je więc w sobie pokonać, spoglądałem umyślnie po innych Kardynałach, których fizyognomie rozumne, poważne, świątobliwe, kontrastowały najwybitniej z Vigonim.

I karcąc w sobie grzeszne myśli jak penitent,
Szeptąłem wciąż jak pacierz: „*ubi plura nitent*,” i t. d.

Z kolei mam ci mówić o nowej znajomości, której wiem, że mi będziesz zazdrościł. Poznałem Fenimora-Coopera! Przyjechał tu z Paryża; a że miał ztamtąd listy do panny Anastazy Klustin, matka jej wyprawiała dlań świetny wieczór, na którym wszystkie znakomitości tutejsze, literackie i artystyczne, mogły widzieć, powitać i uczcić tę gwiazdę drugiej półkuli, która wprost przez ciekawość zajrzała na naszą, i przebiega ją lotem komety, z całą konstellacją swojej rodziny, to jest z żoną i czterema córkami. To też gdy go spytałem, słysząc że ma być w Dreźnie, czyby nie miał zamiaru i chęci zwiedzić ztamtąd razem i Polski, która go zna i ceni na równi z całą Europą? — odpowiedział mi bardzo uprzejmie, że w istocie pragnąłby szczerze widzieć i poznać ojczyznę Kościuszki: „*Mais, Monsieur*, (dodał z dobro-

dusznym uśmiechem), *qui voyage avec cinq jupons, n'est pas maitre de sa volonté.*—Sama już ta odpowiedź, a cóż dopiero ton głosu, gdybyś go był słyszał, mogłyby ci od razu dać wyobrażenie o dziwnie jakoś poczciwej prostocie i bezpretensyjności, która jak w sposobie mówienia, tak i w całym obejściu jego przebija. Pan Kriwcow, urzędnik ambassady, wielki elegant i światowiec, (choć bez ręki), przedstawiony mu przez gospodynię domu, powitał go dobornemi słowami, mówiąc między innemi: „*Je m'estime heureux, Monsieur, de faire la connaissance d'un homme, dont la gloire remplit les deux mondes.*”—Cooper, który właśnie swobodnie z otaczającymi siebie rozmawiał, zmieszał się na ten komplement, i widocznie zakłopotany. kłaniając się bardzo grzecznie nawzajem, nie znalazł widać zprędką innej odpowiedzi, nad dziwne w rzeczy samej: „*Oui, Monsieur!*”—Obecni przygryźli wargi, żeby nie dopuścić uśmiechu, widząc zwłaszcza wzajemne zmieszanie się pana Kriwcową, który na tę niespodzianą odpowiedź, języka w ustach, jak to mówią, zapomniał.—„*C'est un rustre!*” mówił wprawdzie o nim potem do swoich; ale co dla mnie, to właśnie ta prostota i nieśmiałość w takim człowieku, zdaje mi się być szczytem wielkości, bo znać z nich, że jest wyższy nad próżność i pychę. Pod tym względem przypominał mi on naszego Karola Lipińskiego, najskromniejszego pewnie ze wszystkich *staronych* artystów, którym ciągle pochwały i oklaski, nie dziw, że często zawracają głowę. Z fizyognomii téż i postaci, Cooper wyglądać zda się ra-

czój na poczciwego gospodarza-fermera, niż na takiego, jakim jest, autora. Ale i o Walter-Skocie powiadają toż samo. Musi już mieć lat przeszło 50. Wzrost wysoki, ruchy poważne; wyraz twarzy spokojny i łagodny; głos powolny, oczy błękitne. W rozmowie więcej słucha niż mówi. Z Adamem rozmawiał dość długo i rozpytywał go zwłaszcza o duchu i charakterze Słowian, i o plemionach koczujących na stepach. Panna Anastazyja nie zaniedbała pewno uprzedzić go, kto był Adam. Jakoż traktował go z wyraźnym szacunkiem, ale żadnych komplementów nie prawił. W ogólności zdawał się nie czuć, że on to był bohaterem fety; albo jeżeli czuł wewnątrz, to widać, że umyślnie ten charakter w sobie zacierał, uważając się tylko za jednego z gości. Póki stał w gronie mężczyzn, na środku salonu, starałem się być jak można najbliżej, aby dosłyszeć co mówi. Ale były to zwykłe potoczne rozmowy: o podróżach, o Włoszech, o Rzymie, i t. p. Nadewszystko byłbym ciekawy co i jak rozmawiał z damami, które go wkrótce między siebie zabrały; ale tam już nie można się było przybliżyć. Widziałem tylko zdaleka jak się kłaniał na wszystkie strony, pewnie za komplementa dziękując. Żony i córki jego na tym wieczorze nie było, chociaż były także proszone. Wymówił je niezdrowem i znużeniem podróży.

Oprócz tego fenixa z antypodów, najciekawszym epizodem tego wieczoru była długa i żywa dysputa pomiędzy koryfeuszami artystycznej sławy Europejskiej, do której ja, lichey robaczek, mimowolnie sta-

łem się powodem. Wspominałem już wam nieraz o Thorwaldsenie, którego tu i ówdzie widywałem, i któremu xiężna Wołkońska przedstawiła mię osobście po amatorskim teatrze u siebie. Ale znajomość ta skończyła się wtedy na zwykłej grzecznej formułce z jego strony: „*Charmé, Monsieur!*“ i t. d. i na moich czołobitnych pokłonach. Tu dopięro, widząc że siedzi sam jeden na stronie, ośmieliłem się zbliżyć ku niemu i przypomnieć się jego znajomości, aby mu złożyć hołd czci i uwielbienia, ułożywszy wprzód w myśli frazes *à la Kriwcow*. Przyjął go bardzo uprzejmie; pytał z jakich stron Polski przybywam, a dowiedziawszy się że z Warszawy, spytał, czy już tam doszedł model jego posągu xięcia Józefa, i jak się publiczności podoba? Odpowiedziałem jak było w istocie, że wszyscy admirując doskonałość sztuki, załują że nie dość przypomina osobę, którą ma wyobrażać. To wyraźnie ubodło staruszka. (Bo jest to nizki i chudy staruszek, z ubielonym już całkiem włosem, ale tak żywy, ruchawy i gestykujący w rozmowie, że wziąć go możnaby raczej za syna najgorętszej strefy Włoch, a nie lodowatej Skandynawii). Otóż staruszek się poruszył i zawołał jak z oburzeniem: „Cóż to? (*e che?*) tożbyście może panowie chcieli, żeby był w uniformie ułańskim?“ (i tu wykrawał na powietrzu palcami jakby wążkie poły munduru); „w kaszkiecie i z kitą na głowie?“ (i tu podniósł rękę nad głowę, z palcem nastawionym jak kita). Odpowiedziałem pokornie, że Xiążę na portretach u nas wyobrażany jest pospolicie w burce.

Ale że nie wiedziałem jak *burka* po włosku i po francuzku, więc dopomogłem też sobie gestem, dodając tylko po francuzku: „*dans un manteau comme ça.*“ Musiał widywać rysunek, bo zrozumiał o co rzecz idzie. „*A, a, a!*“—zaśmiał się ironicznie—„*come un Cosacco*“ (jak kozak).—I nim zdołałem odpowiedzieć na to, zerwał się z krzesła i z formalnym już gniewem zawołał: „*Siete i barbàri, miei signori! i barbàri!*“ (jesteście barbarzyńcy, moi panowie! barbarzyńcy!). I dla tego nie lubię posyłać dzieł moich do krajów, gdzie nie ma poczucia sztuki.—Tu już zamilkłem na dobre, chociaż pomyślałem *in petto*, że staruszek jest nieco za śmieszny; i że *sculptorum genus* gorszy jest niż *poetarum*. Ale ten jego wykrzyknik i zerwanie się z krzesła, ściągnęły nań uwagę innych. Piérwsza księżna Zeneida zbliżyła się ku nam, i dowiedziawszy się o co idzie, z wielką delikatnością wzięła moją stronę, napomykając zlekka o posągu Blüchera w Berlinie. „Blücher, Blücher!“—zawołał rozirytowany staruszek.—„Wolno Niemcom jak się podoba, Niemcy dla mnie nie są modelem.“—Tu zbliżył się Vernet, ojciec, (Horacy), i księżna Zeneida wytoczyła przed nim tę sprawę. W ślad za nim przystąpili drudzy; i gdy ja, jak flankier w bitwie, zrejenterowałem się sobie na stronę, widząc zchodzące się kolumny: zawiązała się długa i ożywiona rozmowa, w której wzięli udział z kolei: Vernet syn, Cammucini, Craffonari, Catel (malarz pejzażów), który sam jeden tylko zdanie Thorwaldsena podzielał. Rzecz głównie szła o przewagę: czy ideału, czy praw-

dy historycznej w sztuce, kiedy ta o historią potrąca. Vernet ojciec, ma się rozumieć, musiał bronić ostanniej, (*oratio pro domo sua*), i bronił bardzo rozumnie, ze względu zwłaszcza uczuć i wspomnień narodowych, które każdy historyczny pomnik czy obraz ma na celu obudzać w narodzie. Vernet syn, mówił: że mając właśnie do robienia obraz wystawiający Rafaela malującego *Łóże Watykańskie*, będzie się starał o jak najpodobniejsze portrety uczniów jego i przyjaciół, których chce u stóp rusztowania pomieścić. Cammucini opowiadał o sobie, że karton do obrazu „Śmierć Wirginii“ robił na témże *Forum*, gdzie ona śmierć tę poniosła; a mając malować czyn Horacyusza Koklesa, po razy kilka w nocy przepływał łódką Tyber w tém miejscu, gdzie stał ów most, którego on bronił. Craffonari, najślawniejszy dziś portrecista tutejszy, nie sądził, aby największa doskonałość pędzla w portrecie, mogła brak podobieństwa zastąpić. Jednym słowem wszyscy, oprócz Catela, jak wspominałem wyżej, byli stanowczo przeciw Thorwaldsenowi. On jednak niczém nie dał się przekonać i twierdził: że w dziełach sztuki, wzgląd na sztukę powinien być pierwszym; że co wreszcie ujdzie w malarstwie, w rzeźbie nigdy mieć miejsca nie może i nie powinno: bo insza rzecz pędzel i płótno, a insza dłuto i marmur; i nakoniec, że posąg, jest to pomnik; a jak celem pomnika nie jest nigdy wyobrażenie samego faktu, ale tylko pamiątka jego i przypomnienie: tak i posąg, bez podobieństwa osoby, celu tego dopełniać może. Dysputa ta kubek w kubek przypominała

mi spory z klasykami w Warszawie; tém bardziej, że sam Thorwaldsen, jak z białych włosów, tak i z zapału i zapędu w dyspacie, bardzo jest do Koźmiana podobny.—Podczas téj rozmowy ogólnej, Adam z Ver-netem ojcem rozmawiał kilka minut na stronie, i wi-dać było po obu, że się w zdaniach zgadzali. Cooper słuchał zdaleka, ale sam się do rozmowy nie mieszał. Gdy się zaś ta przeciągała za długo, panna Anasta-zya chcąc jój koniec położyć, a może i wyprowadzić Thorwaldsena z kłopotu, wzięła sama w niój udział, i ogólną zasadę kwestyi zřęcznie od sztuk plastycz-nych do muzyki zwróciła. Poczém jakby na dowód tego, co mówiła, usiadła do fortepianu i zagrała kil-ka rzewnych melodyj ukraińskich. Wszyscy zbliżyli się ku niój i otoczyli instrument. Cooper stał tuż obok jój krzesła i unosił się nad rzewnością melodyi. Gdy zaś wkrótce zagrała jakiś *Morceau brillant*, Thorwaldsen, stojący niedaleko odemnie, odezwał się do jój matki: „Je ne savais pas, Madame, que made-moiselle votre fille est si *vertueuse*.“ Miało to zna-czyć *virtuosa*; albowiem arcy-mistrz dłóta mniej biegle włada językiem francuzkim, i wiele o nim z tego wzglę-du krąży tu pociesznych anegdot. Mówiłem téż z nim po włosku, jak umiałem, wiedząc, że to lubi najlepiej.

No a co? czy masz już dosyć o *gloryach* świato-wych, których wiem żeś tak zawsze łakomy? Kiedy tak, to ci powiem o nowój znajomości serdecznój, ja-kiój podobnej dotąd z nikim nie zabrałem od Wilna.

W przeszłą sobotę, dnia 3 tutejszego marca, siedzie-liśmy sobie, jak zwykle po kawie, zatopieni każdy w swo-

jój lekturze. A wtém otwierają się drzwi i wchodzi jakiś młodzieńczyk, blondyn, ładny, rumiany, i z wesołym uśmiechem, jakby pewny serdecznego przyjęcia, idzie wprost ku Adamowi. Ten podniósł oczy, spojrzął, ale ani się ruszył z kanapy. Młodzieńczyk zachwiał się nieco, ale nie tracąc fantazyi, zbliża się i zapytuje: „Pan mnie nie poznaje?” — „Przepraszam” — odpowiada mu zimno nierozbudzony jeszcze z zaczytania Adam. — „Jestem Stefan Garczyński.” — Adam się przecież poruszył; ale widać było wyraźnie, że nie lepiej nazwisko gościa, jak i rysy jego przypominał. Młodzieńczyk zmieszał się strasznie; pobladł raptem i poczerwieniał, że aż mi się żal go zrobiło: tém bardziej, że mi przyszła na pamięć własna moja megdys scena z Chodanim. Dopiero gdy mu wydeklamował wyraźnie i dobitnie, że się poznali w Berlinie, i że on go to pierwszy zaprowadził i zapoznał z Ganssem: dopiero wreszcie Adam przyszedł do roztropu, i zaczął spełniać obowiązek gościunego i uprzejmego gospodarza. Ja zaś, aby zatrzeć do reszty to niemiłe wrażenie, odezwałem się żartobliwie do gościa, że jeśli liczył na pamięć „pana Mickiewicza” co do fizygnomii i nazwisk, to się fatalnie omylił; bo ja myślę, że on sam siebie kiedyś we zwierciadle nie pozna, jak już raz swego nazwiska zapominał. (W istocie tak było w Kownie, i to przy podpisaniu najpilniejszego listu). Adam zaczął się śmiać, a młodzieńczyk, nie pytając nawet kto jestem, zwrócił się do mnie z tak miłym uśmiechem, i tak czule podał mi rękę, że mi się jak

panienka od razu podobał. Sympatya być musi wzajemną, bo choć jeszcześmy z sobą *pod zajęcem* ani solniczki soli nie zjedli, jesteśmy już jak po pół beczce. O jedno tylko się boję, czy nie jest on bardzo uczony; bo skończył uniwersytet w Berlinie i jest podobno zwolennikiem Hegla, którego ja instynktowo niecierpię, a z tego co wiem o nim, bez skrupułu stosuję do niego te słowa Pisma Św., „że mądrość tego świata głupstwem jest.“—Nie powiedziałem mu jeszcze tego i nie wiem czy kiedy powiem; ale co do uczości, to będę się musiał rozmówić. Szanowni uczeni warszawscy przyzwyczaili mię do tego, że się ich jak koń wielbłąda obawiam. Jak spojrzę na te juki mądrości książkowej, z których jak szydło z worka wyłazą cytaty, to tak się czuję jakoś żakiem i nieukiem, że już nie śmiem mówić co myślę, i muszę chyba szukać głosu i oczek panieńskich, jak zaczarowany źródłu żywej wody, aby zły ten urok rozproszyć. Wprawdzie dotąd z Garczyńskim tak nie jest. Bo chociaż lubi mówić o rzeczach poważnych, i wszystko zwłaszcza bierze na seryo; ale mówi co sam myśli i czuje, a nie co gdzieś w książce wyczytał. To zaś branie rzeczy na seryo, bardzo mi jest owszem korzystne. Naprzykład, co do zwiedzania Rzymu. Dotąd widziałem jużciż prawie to wszystko, co *Guide* wojażerom zaleca; ale cóż, kiedy w głowie jak na Pocięjowie: wszystko, jak przybywało, tak leży bezładnie. On zaś systematycznie chce zacząć *ab ovo*, i porządkiem iść *usque ad finem*. Z nim więc powtórzę wszystkie moje kursa; tém bardziej, że poczciwy Strzelecki,

z którym go wnet zapoznałem. oścarował się nam na *Cicerona*. Jakoż pierwsza zaraz wyieczka była na szczyt wieży Kapitońskiej: na której ja sam dotąd byłem wiele razy, ale admirowałem tylko piękne widoki, mianowicie na góry Alby i nad-Tyberowe nawiuny. Teraz zaś po raz pierwszy Strzelecki, z mapą w ręku, wyłożył nam formalny kurs topografii starożytnego i nowego Rzymu. Wprost zantąd zwiedziliśmy najdokładniej *Forum* i *Colosseum*, gdzie ja dotąd tylko dumiałem: teraz zaś od dołu do szczytu obejrzelśmy wszystko, i byliśmy gdzie tylko wejść można. Przewodnikiem, który nam wszystkie przejścia otwierał, był mieszkający w tych ruinach pustelnik. Pustelnik w Colosseum!... Poetycznie! nie prawdziwie! — Po moim ości chrześtynym, pustelniku Borzińskim, był to pierwszy pustelnik, którego widziałem: a może już gdzieś indziej, nie ma ich na świecie. Przypominał mi on rzewnie i Boruny, i dom, i matkę — siebie. Boś pewnie i ty kiedyś studentem z czcią i obawą na niego spoglądał. I co dziwna, że i tu ubiór ten sam. Habit, kaptur, ogórki, sandały! — Garczyński był też zachwycony: bo choć sam wierszy nie pisze, ale widać zna doskonale, rozumie i czuje poezją. Umie na pamięć całego Adama: czytał wszystkich poetów niemieckich: a co największa, że we wszystkiem co widzi, umie dopatrzeć poetycznej strony. Dziwię się więc, że wierszy nie pisze. Ale kiedy mu to powiedziałem, on tak postawił wysoko ideał prawdziwego poety, że aż rozpacz mię ogarnęła, i musiałem biedz co tchu na *Via Mercade*, żeby z tego wrażenia ochłonać. Ma

racyą mówić Brodziński, że dla pańienek tylko warto pisać wiersze. Taki górny ideał poety przed oczyma, byłby ciągle jak jastrząb nad skowronkiem; skowronekby ani pisnął. Ale i pod względem pańienek, nowy nasz przyjaciel coś bardzo na Katona zakrawa. Ledwieśmy go namówili, że poszedł z nami do państwa Ankwiczów; ale nigdzie więcej bywać nie chce, żeby czasu napróżno nie tracić. Strata czasu w towarzystwie pańienek! To mi sensat! Cytuję mu piosnkę Mentora:

Co to starzy za warjaci,
Mówią bez przyczyny,
Że czas młody źle się traci,
Bawiąc u dziewczyny.
I pędzą mię do roboty,
A nie wiedzą tego,
Że bez dziewcząt ja ochoty
Nie mam do niczego. i t. d.

I przeto z tego tematu ciągle z nim staczamy walki; to jest właściwie ja jeden, bo Adam tylko się śmieje. Ale ta sprzeczność w zdaniach bynajmniej naszej harmonii nie szkodzi. I owszem, widzę wyraźnie, że jak ja jego systematyczność, tak on moją teorią życia bierze téż na uwagę, i po trochu nawet do serca. Z tego wszystkiego zaś widzisz, jak on mię mocno zajmuje. Dowiedziałem się téż od pani Węsierskiej, z Poznańskiego, o czém pewno sambym nie pytał; bo mam wstręt rozpytywać się o familijnych stosunkach przyjaciół, jakby mi nie dość było na ich samą osobie. Dziad jego był jednym z bogatszych

obywateli Wielkopolskich; lecz w skutek staropolskiej hojności i gościnności, cały ten swój majątek przekazał. Ojciec był półkownikiem wojsk polskich, w czasów W. X. Warszawskiego; matka z matką rodziny Skórczewskich. Osierocony w dzieciństwie wraz z siostrą, wychował się u wuja swego w Lubostroniu; siostra zaś u ciotki po ojcu. Mgła jakby jakiś tęsknoty, zdająca się być tłem jego charakteru, nie zład inąd może pochodzi. Jest to jak cień sieroctwa rzucony na myśl i serce. Tu przybył z krowym swoim, p. Apolinarym Gajewskim, który jest młodszym jego siostry i uniwersyteckim kolegą. Jest i to bardzo światły i miły młodzian, ale się nie równa ze Stefanem. Adam także bardzo go lubi, i nie narzuca mi nawet tą razą gorącości pierwszych affektów. Owszem cieszy go, widzę, blizki nasz stosunek. Powiada, że ma w nas obraz „*Allegro i Penseroso*” Milтона, i bawią go nasze dysputy z tego tonu.— A w sam czas przybył nam właśnie, dla osłodzenia smutku i niepokoju z powodu choroby Parczewskiego. Pocziwiec, tak mię pocieszał w ostatniej mojej chorobie i to nas jeszcze bardziej zbliżyło. Korzystając z ciepłych wieczorów, włóczyliśmy się z nim potem po Rzymie. Ostatnia nasza wycieczka była do Pirydy Cestyusza, i ostatnia przy niej rozmowa budzi we mnie złe jakieś przecucia. Naprzeciw leży cmentarz protestancki, na którym między innymi widzieliśmy grób angielskiego poety Shelleya, który utonął w zatoce morskiej w Spezzia, a Lord Byron, przyjaciel jego, spalił go tamże na stosie, starożytnym ob-

ządkiem pogańskim, (za co straszne nań były okrzyki), a potem prochy jego przywiózł z sobą do Rzymu, i tu na tym cmentarzu pogrzebał. Otóż z powodu tego zwłaszcza grobu, rozmowa nasza przybrała też kolor grobowy, i Parczewski opowiedział mi swój sen przeszłej nocy, który na nim zrobił wrażenie, a które, z powodu różnych antecedensów, i ja też na nieszczęście podzielim. Śnił mu się wspólny blizki nasz przyjaciel, Ludwik Spitznagel, który, wiesz, że się zastrzelił, a obiecywał niepospolitego człowieka. Spotkał go jakby na ulicy w Rzymie i podjął się zaprowadzić, gdzie już, jak mówił, czekają na niego. Szli więc przez jakieś ciasne i kręte uliczki, aż weszli do przedsiönku ciemnego jakiegoś gmachu. Tu ukazała się nagle matka Parczewskiego, która z wielkim żalem i płaczem chciała go wstrzymać, aby nie szedł do środka. Ale przyjaciel pociągnął go gwałtem za sobą, a trzask drzwi zamykających się za nimi obudził marzącego ze snu. Żartowałem, ma się rozumieć, cytując nasze przysłowie: „Sen mara, Pan Bóg wiara,“ ale w sercu aż mi się zimno zrobiło. Przypomniałem sen własny w dzień śmierci Ludwika. Wiesz, że jechał już do Egiptu, jako dragoman przy tamecznym konsulacie; na wyjezdném zaś z Wilna, pisał do mnie do Warszawy błagając, abym go przeprowadził ztamtąd do Krakowa; bo on umyślnie dla tego przez Warszawę drogę obraca. Przygotowałem się więc do téj podróży i czekałem go lada chwilę. Tymczasem jednej nocy śni mi się, że go widzę wraz z ojcem, który już nie żył, stojącego na jakiejś mappie,

rozłożonej na podłodze pokoju, ale na której nic nie ma prócz jakichś pasów światłych i ciemnych, jakby to była mappa jakiejś bezmiernej, bezludnej pustyni; on zaś dziwnie smutny i błady, mówi zdaje się do mnie: „Dziękuję! ale nie masz potrzeby tu mnie przeprowadzać.“ — Obudziłem się ze smutnym wrazeniem i zapisałem sobie datę tego widzenia. W tydzień potem otrzymałem wiadomość, że w tym dniu właśnie, bez żadnej rzeczywistej przyczyny, w Snowiu, u marszałka Rdułtowskiego, życie sobie odebrał. Ale to nic jeszcze w porównaniu z wypadkiem, który się zdarzył w Wilnie z jego matką. Rozstał się z nią w najweselszym usposobieniu, i wiedziała, że ma wstąpić po drodze do Snowia. Tymczasem, w ten sam dzień i godzinę jego śmierci, matka najzupełniej spokojna, siedziała sobie w swoim pokoju, którego okna wychodzą na ogród. Nagle w ogrodzie zrobił się straszny szum wiatru, chociaż dzień był pogodny i cichy, a razem głośny świegot rozmaitych ptaszek, których mnóstwo jest w tym ogrodzie. Zakręt wichru pędził je wprost ku oknu, wraz z tumanem kurzawy i liści, i przez okno, które było otwarte, wleciał do pokoju kanarek, przestraszony i ledwo dyszący, który dał się złowić bez trudu. Wiatr i ptastwo ucichło nagle. Ale co najdziwniejsza, że w téjże samej chwili taki niewymówny niepokój ogarnął matkę o Ludwika, że natychmiast wysłała sztafetę do Snowia, ażeby się o nim dowiedzieć.— Lord Byron w przypisku do Zulejki wspomina o jakiejś pani, która najmocniej była przekonana, że duch siostry wrócił do niej w postaci

ptaka, i on sam na tém podaniu oparł inwencyą pta-
szka, śpiewającego nad mogiłą Zulejki. Bóg to wie,
ile w tém prawdy! Ale matka, choć o tém nie mówi,
zdaje się, że ma coś nakształt téj myśli. A i ja sam,
wyznaję, nie mogłem jakoś całkiem obronić się od
niój, kiedy tego kanarka widziałem. Jest zawsze
bardzo smutny, siedzi w kąciku klatki, i ani skacze
po niój, ani się odezwie. To pewna, że pomimo naj-
ściślejszych poszukiwań, nikt się do jego właściciel-
stwa nie przyznał. — Otóż ten mój sen i kanarek
przyszły mi na myśl przy opowiadaniu snu Parczew-
skiego, i dotąd mię niepokoją; tém bardziej, że zacho-
rował zaraz nazajutrz, nagle, i boję się czy nie
w skutku przeziębienia na téj naszej przechadzce,
przed którą czytał mi jeszcze u siebie bardzo ciekawą
swoję rozprawkę o kazaniach we Włoszech, Niem-
czech i u nas, w wieku XVII. Było to zapalenie
płuc, do którego oddawna jest skłonny; a choć pier-
wsze niebezpieczeństwo minęło, Bóg wie jakie być
mogą następstwa. Odwiedzamy go najczęściej jak
można, i Garczyński zwykle nam towarzyszy. Bo
on tylko bawić się nie lubi, a raczej na zabawę tylko
żałuje czasu; ale gdzie idzie o powinność albo ofiarę,
tam go nie potrzeba namawiać. Ciągła owszem ofia-
ra z siebie, ku celom ogólnego dobra i ku służbie
swojego społeczeństwa i kraju, jest to główny ideał
jego życia i marzeń. Podobałby się z tego surowej
pannie Anieli, nie wątpię. Niechże więc moja Kró-
lowa, dobrém swoim życzeniem, a może czasem i pa-

brzeg morza, c
i dalsze. Jak
szych, onegdaj
Wołkońskim i
do *Grotta Fer*
gdzie są piękne
w tamczym p
jakiś rodzaj kit
wspólnych wszys
liśmy i nie słysz
więcej miejski niż
stiumu, a co twar
wdziwie ładnej, a
je *per gelosia* zam
tłoku w kościele,
A więc rzuciwszy o
wesoło w powozie ś
ponieważ dzień był l
do drugiego blizkieg
równie brudne i posę
górami i wśród nie

mieszkania Papieżów. Miejsce miłe, pałacyk ładny, aleśmy we środku nie byli. Żal nam było błękitu nieba i rozkosznego powietrza. A że ztąd już równa odległość do *Albano* i do *Grotta Ferrata*, więc posłaliśmy tam umyślnego po powóz, aby po nas do *Albano* przyjechał, a sami peregrynowaliśmy dalej, mając do widzenia po drodze grób Horacyuszów i Kuracyuszów i sławny kanał Albańskiego jeziora, dla odpływu wód jego wykuty w skale pod ogromną górą, na przestrzeni półtory mili włoskiej. Prawdziwe dzieło olbrzymów! Adam mówił: że wszystkie tytaniczne dzieła potęgi ludzkiej, dokonywane na ziemi, mają zawsze charakter wielkości, bo celem ich i skutkiem był zawsze jakiś pożytek, który cześć i wdzięczność obudza. Ale od czasu wieży Babilońskiej, albo szturm^u Tytanów, wszelka rywalizacja z Niebem, albo wdzieranie się ludzi do tajemnic Nieba, kończy się zawsze tylko karą ich zuchwałości i upokorzeniem ich pychy, i to równie w świecie fizycznym, jak duchowym i umysłowym. Dałby Bóg żeby jeszcze za życia Hegel tego kiedy doczekał! Bo nie masz wyobrażenia, jak mnie zawsze złość bierze, kiedy o tym Niemcu pomyślę, teraz zwłaszcza, gdy widzę, że takie serce i umysł jak Stefana, jak pajak pszczołę oplątał. Dla mnie jestto jak talmudzista-rabin, zaszczipiony na odszczepieńcu-krzyżaku. I niech sobie jego adepei tomy pochwał o nim napiszą; professor, który po latach trzydziestu wykładu z katedry, może sam powiedzieć o sobie, że go nikt z uczniów jego nie zrozumiał, oprócz jednego, a i ten tylko zrozumiał opacznie:

professor taki i mędrzec, koniec końców, podpaść musi pod definicyą Pisma Św., co jest taka mądrość i taki mędrzec.

Ale nie myśl, iż zapomniałem, że idziemy do Albano. Owszem jest i w tém jakby charakterystyka téj naszej przechadzki. Idziemy drogą wysadzaną drzewami, jak w Pritaneum uczniowie Platona, rozmawiając nie o błahościach ziemskich, ale o różnych rzeczach z jego świata idei; aż nakoniec, jakby na przekór jemu, który poetów chciał wypędzić ze świata, Szewirew deklamuje nam z pamięci wyjątki ze swego tłómaczenia: „Obozu Wallensteina“ Szyllera. Doskonałe! — Już to nie ma do tłómaczeń jak język nasz i rossyjski, a może i w ogólności słowiański. Jest to może i w naturze słowiańskiej, ta łatwość i ta skłonność do naśladownictwa. Przekłady Żukowskiego, to są arcydzieła. Nadewszystko zaś kord mię ciągle jego przekład ballady Walter-Skotta, „Wieczór przed Ś. Janem,“ który mam za lepszy od mego, i nie będę miał spokojności, aż mój kiedyś do tegoż kamertonu dostroję. — Otóż prawiąc tak o różnych rzeczach, aniśmy się spostrzegli, jakeśmy stanęli w Albano. Miasteczko wcale porządne, a położenie arcy-romantyczne, w dolinie, między wzgórzami, porośłemi zielonym i wesołym lasem. Tuż na górze i skale leży *Ariccia*; aleśmy tam już nie byli, uszedłszy i tak pieszo ze trzy mile nasze. Wcale jednak nie byliśmy znużeni, i w najlepszym humorze, a i z nie gorszym téż apetytem, wróciliśmy

o siódmj do Rzymu, gdzie nas Xiężna czekała z obiadem.—

No! a teraz, na dzisiaj, więcj już nie pamiętam, co-
bym tu jeszcze mógł dodać. A i tak zawsze się boję,
czy zbytnią rozwlekłością i szczegółowością nie grze-
szę. Jeśli tak, to proszę o przebaczenie. A nie, to
oddajcie wet za wet. Odpiszcie za pokutę choćby dwa
razy dłużej, a już ja was z góry *absolvo*. Bądź zdrów!

XIII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 11 marca 1830 r.

Znasz ty ten stan, nazajutrz po majówce,
Pewnie ten sam w Szczuczynie, co w Borunach,
Gdy przeszły dzień w studenckiej jeszcze główce
Szumi i gra—jak wiatr w Eolskich strónach,
A tu już znów szkolny dzwonek *dzen, dzen!*
Ach! jaki żal, że już przeszedł dzień ten!

Tak mi żal dziś dnia wczorajszego, dnia wycieczki do *Fiumicino!* Adam pierwszy przyrównał go do majówki, gdyśmy się już o szóstej rano ubierali na łeb na szyję, aby punkt o pół do siódmej, jak było umówiono, stawić się na *Via Mercède*. Panienki już były ubrane, (po podróżnemu: w szarych, zgrabnych płaszczykach, z pelerynkami pod szyję, i w pasterskich kapelusikach ryżowych); stół do kawy był już nakryty; dwa powozy stały przed bramą: czterokonne otwarte *lando* na sześć osób, i kocz parokonna na cztery. Ale rzecz dziwna, jak to lada okoliczność, wychodząca z rutyny codzienniej, ożywia nowém życiem grono tych samych osób, które się codziennie widują. Adam idąc zboczył umyślnie na *Monte Citorio* ażeby kupić jakiś pęczek zieleniny, i zaraz przy

powitaniu pokazał go pannie Henryecie, zapytując o wzajemną zieloność. Z uśmiechem uchyliła rąbek pelerynki, i bukietik zielony tkwił za paskiem płaszczyka. Widząc to, zaimprovizowałem wpół głośno do panny Marcelliny:

Patrz, pani! przedziwny sposób,
Dla niewielomównych osób,
Nic nie mówiąc, mówić sobie:
„Myślę, myślałem o tobie.“

I zaproponowałem czybyśmy także od dzisiaj nie mogli zagrać z sobą w *zielone*? Ale Adam, który dosłyszał, odwrócił się prędko z przestrożą, ażeby się na to nie zgadzała, bo ja mam zawsze zielone— w głowie. Rozmowa z tego tonu zaczęta, poszła dalej jak ogień liniowy; a śmiech, żarty i kłótnie zagłuszały brzęk filiżanek, które jeden przed drugim wydzieraliśmy z rąk nalewających panienek; aż na koniec zniecierpliwiony tém sam pan Ankwicz zawołał tonem Katona: że już dosyć tych figlów i czas jechać. A więc i pojechaliśmy przed ósmą. Damy do swego powozuabrały dwóch najmłodszych: xięcia Olesia i Felisia Niegolewskiego. Nie trudno było zrozumieć dyplomacyą panięską, i że na powrót inny komplet będzie. Ale tymczasem musieliśmy się pocieszać doskonałemi cygarami, które pan Ankwicz wczoraj z Livorno otrzymał, i archeologiczną erudycyą Strzeleckiego, który nam wszystko po drodze objaśniał.

Fiumicino, mała mięscina, o cztery nasze mile od Rzymu, leży nad samém morzem, przy ujściu prawej

odnogi Tybru, jak Ostia przy ujściu lewej. Odnoga ta tak jest wąską, że nie zasługując na miano rzeki, otrzymała nazwę rzeczutki (*fiumicino*), która przeszła i do miasteczka. Droga z Rzymu przez *Porta Portese*, dawna *Via Aurelia*, wysadzana pięknymi drzewami, idzie wzdłuż Tybru, przez kraj nieuprawny, ale wesoły i kwitnący życiem. Ranek prześliczny, powietrze rozkoszne. Humor mój w podniesieniu, ale takiem, że trzeba albo rozmawiać z panienkami, albo samemu sobie deklamować wiersze; inaczéj gaśnie, jak węgle w samowarze, gdy się komin kapturkiem przykryje. Szczęściem omijając *ville Crestaldi*, gdzie są jakieś zabytki starożytności, Strzelecki zapragnął je widzieć, a raczéj pokazać drugim. Krzyknął więc na furmanów, żeby się zatrzymali; z czego ja korzystając wyskoczyłem na parlamentarza do powozu panienek. Propozycja nieprzyjęta; a panna Henryetta kazała odpowiedzieć, że dziś jest dzień poświęcony wiośnie i życiu, a nie starożytnym grobowcom. Strzelecki był zły, ale ja kontent; bo obaj młodzieńcyki zaprosili mię do swego towarzystwa. A że damy nie kładły *veto*, więc umieściliśmy się we trzech na przedzie. Ale i tu trafiłem na kurs archeologii; tylko że ta z ust panny Henryetty nie sypie jakoś kamieniami i gruzem. A mówiła o dawnym Rzymskim porcie w tém miejscu, zwanym *Portem Trajana*, nim go Tyber całkiem zamulił, i o ogromnych magazynach, zbudowanych przez Klaudyusza, Nerona i Trajana, których olbrzymie ruiny widzieliśmy zdaleka w przejeździe. Dzisiaj port w Fiumi-

cino służy tylko za przystań dla łodzi rybackich, a wszystkie większe statki i okręty handlowe zawijają do portu w Ostia. Samo miasteczko składa się zaledwo z kilkunastu domków, ale porządných, i co dziwna, czystych. Nad samym brzegiem morza wznosi się nowożytny kościółek pod wezwaniem „N. Panny, *Gwiazdy Morza*,” niewielki, ale gustowny i ładny. We środku w okrąg kopuły napis: „*Tu es portus salutis et stella maris*,” ztąd i nazwa kościółka. W ołtarzu fresk, dosyć brzydki, przedstawia wylądowanie barki. Nie opodal sterczy tak zwana wieża strażnicza, której podobne, w pewnej od siebie odległości, znajdują się na całym tym brzegu, broniąc go niby od napaści Barbaresków. Przed laty kilkunastu, lękano się rzeczywiście ich wylądowania. Załoga w Fiumicino składa się z 800 żołnierzy, których w lecie dziesiątkuje *Malaria*. Wszystko to widzimy i słyszymy wysiadłszy już z powozu i zbliżając się ku morzu. Brzeg płaski, piaszczysty, zarosły krzakami jałowcu i innych poziomych krzewów. Ale morze! Morze Śródziemne! Morze, nad którego brzegami przeszło tyle ludów, tyle dziejów, tyle wielkości! Morze, które oblewa Grecyą i Ziemię Świętą! na które patrzył Homer—nim oślepl— a my teraz patrzymy mówiąc o tém wszystkiém, a nadewszystko admirując samo to morze—tak ciche, tak łagodne, tak błyszczące złotem od słońca, tak błękitne odbiciem nieba, tak z siebie szmaragdowo-zielone—że przypomniałem i powtórzyłem głośno wiersze Moora z *Lalla Rookh*:

„*Wind, lull'd to languor, scarcely curl
The Green Sea wave, whose waters gleam
Limpid, as if her mines of pearl
Were melted all to form the stream.*”

(Wietrzyk wpołsenny ledwie muśnie fale,
Co się tak błyszczą w różanej pogodzie,
Jakby się wszystkie perły i korale,
Co leżą na dnie, rozplynęły w wodzie).

Sam nawet Tyber, zwykle płowy i mętny, tu przy ujściu nabiera zda się od morza nowego koloru i blasku, a dzieląc się na kilka gałęzi tworzy wyspę, tak zwaną *Świątą* (*Isola Sacra*), gdzie niegdyś stała świątynia Jowisza i Wenery, i gdzie zwłaszcza na jakąś uroczystość wito dla bóstw tych wieńce i wieńczo no się mirtem. Do dziś dnia ogromne drzewa i zarośle mirtowe okrywają całą tę wyspę, i pod białem drobném swém kwiecieniem, wyglądają jak gdyby przypuszone śniegiem. Tam mamy się przeprowić na promie, odpoczywać, jeść obiad i resztę dnia przepędzić. Ale wprzód jeszcze przypatrujemy się łowieniu ryb w Tybrze i w morzu. Mnóstwo małych łódek uwija się wzdłuż brzegu. W każdej po dwóch rybaków. Stoją po obu końcach, trzymając każdy sznur od skrzydła sieci, którą zarzucają daleko od łodzi, a potem ciągną do niej, albo do brzegu. Wdajemy się z jednymi w rozmowę, którzy nic nie ułowiwszy od rana, zabierają się już wracać do domu. Adam daje im *paola*, aby raz jeszcze zarzucili siatkę, i obracając się do panny Henryetty dodaje: „Na szczęście

Pani! — Odpłynęli na jakieś staj parę, i zakreśliwszy duże półkole płyną na koniec ku nam, którzy ich z ciekawością czekamy na brzegu. Panna Henryetta uprzedza z góry, że pewno nic nie ułowią, bo jój się w niczem nie szczęści. W twarzy Adama znać wyraźny niepokój; przysiągłbym, że musiał coś sobie jak w kabale zamyslić. Wtém — o! radości! — słyhać i widać pluskanie się w matni, a nawet i w okach skrzydeł trzepocą się uwięzłe rybki. „*Presto! presto!*” — wołają na siebie rybacy, *zszywając* co najściślej niższe brzegi skrzydeł. I oto wysuwa się matnia prawie pełna; pewno z pół kopy ryb większych i mniejszych; jakieś prawie całkiem okrągłe, z ostrym grzbietem jak u okónia, a smaczniejsze od wszystkich ryb rzecznych. Ale nie myśl, zmiłuj się, że ugryzłem je na surowo, jak Eskimos albo Wenecyanin. Nie postąpiłem jeszcze tak dalece w cywilizacji gastronomicznej: ostryg nawet przełknąć nie mogę. Ale Strzelecki zakupił cały połów, i odrzuciwszy mniejsze rybki do morza, większe kazał nieść do oberży, aby je tam na obiad usmażono — w oliwie. Obiad wszakże i bez tego był dobry, a przedewszystkiem wesoły. Jedliśmy go w altanie z mirtu, wieńcząc siebie nawzajem i obwijając kieliszki jego liśćmi, jak dawni Rzymianie przy uczcie. Wino przyjechało wraz z nami. Przy kawie i Liworneńskich cygarach, napastowano zewsząd Adama aby co zaimprovizował; ale zbywał żartami i nie chciał. Chyba że się podobna nazwać improwizacją jakie z dziesiątek conceptowych dystychów, najwięcej stosowanych do mnie,

a z których może kilka uszłoby na dewizę karmelków. Za toż ja deklamowałem, aż mi w gardle zaschło, co chciano: *Świteziankę, Budrysów, Twardowską*, i nakoniec moje *Wesele*. To ostatnie wybrał Strzelecki, co mi wcale nie było po myśli. Deklamowałem więc arcy-tendencyjnie: to jest nie tylko nie uwydatniając, ale owszem jak można zacierając to wszystko, w czém mógłby być choć cień alluzji, i przeto tylko wprost nie odmówiłem, aby się téj przyczyny odmowy nie domyślano. A jednak byli tacy, co delikatny ten odcień w deklamacyi mojej zrozumieli, i podziękowali mi zań, nic nie mówiąc. Magnetyzm—nie zwierzęcy, ale myślno-duchowy, jest to coś nakształt gry w *zielone-niewidome*. I kto wie czy nie na tém największy, jeżeli nie jedyny, urok rozmowy z pięcią piękną zależy. Doznawaliśmy go wczoraj w pełni; aż dziwny, niespodziany wypadek, wesołe to usposobienie zamącił. — Słońce już miało się ku zachodowi, i trzeba było myśleć o powrocie. Panienki pobiegły jeszcze zebrać nieco mirtów dla p. Aignera i dla pani Moszyńskiej, których spodziewały się zastać wieczorem u siebie. Wtém z za ruin świątyni Jowisza, występuje nagle jakaś kobiéta, widocznie cyganka, istna *Meg-Merillis*, z *Astrologa* Waltera-Skotta: wysoka, czarna, z włosami w nieładzie, w jakimś czerwoniawym łachmanie, i wrzaskliwie dopomina się o jałmużnę, ofiarując się przytém przyszłość wróżyć z ręki. Panna Marcellina ani chce słuchać; ale panna Henryetta porywa gwałtem jęj rękę i zarazem podaje swoje. Co im ta wróżka powie-

działa, nie wiemy. Bo nimeśmy się do nich zbliżyli, wróżba już była skończona; ale obie panienki były tak zmieszane, żeśmy się słowa u nich dopytać nie mogli. Musiało być coś albo bardzo smutnego, albo zdradzającego tajemnicę serca ¹⁾). Daliśmy więc pokój pytaniom, a sami ofiarując wieszczce jałmużnę, nikt z nas nie miał ochoty narażać się na podobneż wrażenie. Ja zresztą boję się strasznie wszelkich wróżb, kabał i przepowiedni; Adam zaś z wielkiem seryo gromił tego rodzaju ciekawość; co jeszcze bardziej skonfundowało panienki. Powarzeni więc nieco i smutni wsiedliśmy do powozów — ja i Adam z damami. On widocznie chciał je rozerwać; dobył pugilares z kieszeni, i najprzód z samą panią hrabiną, a potem z panienkami zaczął grać w *szubieniczkę*, przeplatając grę żarcikami. Środek okazał się skutecznym, i rozmowa stała się znowu wesołą. Tymczasem słońce zaszło, i księżyc jasny, pogodny, opromienił srebrzystym blaskiem Kampanią i wody Tybru. Rozmowa z żartobliwój przeszła w nastrój uczuciowy, poważny, a ja z niej, zwłaszcza ze słów samój pani hrabiny, wiele dobrej powziąłem otuchy. Niedaleko już przed Rzymem powozy się zatrzymały przed jakąś oberżą. Adam wysiadł zapalić cygaro, a tymczasem przystą-

¹⁾ Z korespondencji pani Seweryny Duchińskiej, „O wspomnieniach Ewuni,“ umieszczonej w *Bibliotece Warszawskiej* z Marca 1871 r.. dowiedziałem się dopiero po raz pierwszy, co to była za przepowiednia. Pannie Marcellinie wrożyła, że wstąpi do zakonu, a pannie Henryecie, że dwakroć ponowi śluby.

(P. A.)



pił Strzelecki. Sama pani zaprosiła go aby wziął trzeci na przedzie. Nie musiało to być po myśli Adamowi; bo chociaż niby swobodnie, ale jednak stanowczo oświadczył, że chce też użyć towarzystwa pana hrabiego, i wsiadł z nim do drugiego powozu. Posmutniało zatem i w naszym, a o ósmej byliśmy już z powrotem na *Via Mercède*. Oprócz kilku spędzanych osób, przyszli Garczyński i Gajowski. Pierwszy nie dał mi się namówić do uczestniczenia w dzisiejszej wycieczce, ale w skutek czynionych mi za to wyrzutów, obiecał, że będzie towarzyszył w następnych. Kiedy one nastąpią, nie wiem; ale pewnie przed Wielkanocą. Tymczasem mamy przed sobą mnóstwo projektów w mieście. Jutro np. idziemy wszyscy na kopułę Św. Piotra; zaraz potem mamy oglądać przy pochodniach Muzeum Watykańskie i Kolosseum. Żeby więc te nowe wrażenia nie ścierały wczorajszego, spisałem je tu za świeżej pamięci, a dokończenie listu odkładam na później.

13 marca, wieczorem.

Ledwie żyję, tak dziś jestem znużony—ale tylko fizycznie. Dla tego wprost z obiadu na *Via Mercède* powróciłem na cały wieczór do domu, i po krótkiej *siestie*, zasiadam *ad epistolam meam*. Deszcz wczoraj pomieszał nasze plany pójścia na kopułę. Za to dziś byliśmy i na samym jej szczycie, i na samym jej spodzie, to jest w podziemnej części kościoła Św.

Piotra; i w Watykańskim ogrodzie, i w bibliotece Watykańskiej. Ta ostatnia najwięcej mię zmordowała. Już to ja zawsze w każdej prawie bibliotece przypominam sobie mniej więcej samego siebie, gdy mię kiedyś pan hr. Karol Przeddziecki, dziedzic Smorgoń, a wielki mój *benefaktor*, (bo mi dawał pocztowe konie do Dziewietni), obwoził najprzód po swoich folwarkach i pokazywał w nich barany i cielęta, na które ja nie z większym pewnie interesem, jak one na mnie, patrzałem. W bibliotekach ja to jestem jak baran lub cielę; nastawiam uszy na to, czegom nie ciekawy; wytrzeszczam oczy na to, co mię nie obchodzi; a przez grzeczność udając zajęcie, nudzę się i morduję sam w sobie. W Watykanie dobrze przynajmniej że białe kruki zamknięte są w klatkach, to jest wszystkie bibliograficzne rzadkości w szafach; i przeto sprawujący obowiązek *Ciceronów* nie zmuszają koniecznie spektatorów do zbyt szczegółowego oglądania wszystkich. Są jednak pomiędzy niemi, co mnie nawet istotnie zajęły. Np. rękopism Cicerona *De Republica*, z którego bibliotekarz tutejszy, kardynał Mai, po raz pierwszy to dzieło zatraczone wyczytał. A było to prawdziwe odgrzebanie Pompei. Na pierwotnym albowiem rękopiśmie z czasów Rzymskich, ktoś w wiekach średnich, przez oszczędność pergaminu, zawernikowawszy dawne litery, napisał był na nich wykład psalmów, który następnie książka Mai zeskrobywać musiał. — Adam, Strzelecki i panna Henryetta toczyli długie archeologiczno-bibliograficzne rozprawy, do których należał i Garczyński, podczas

kiedy ja sobie z drugimi damami poprzestawałem na obchodzeniu i na admiracyi samego gmachu, który już zresztą nie pierwszy raz dzisiaj widziałem. Wielka sala ma 216 stóp długości a 48 szerokości, i przedzielona jest na dwie części sześciu ogromnymi kolumnami. Wokrag ich i przy ścianach, szafy, a w nich zamknięte same rękopisma. Obliczają je na dwadzieścia kilka tysięcy. Xiążek stosunkowo jest mało, bo zaledwo o kilka tysięcy więcej. Na ścianach dość brzydkie freski, wyobrażają budowanie starożytnych bibliotek, koncylia generalne, etc. Dalej kalendarz stary malowany na drzewie, i za szkłem kilka rękopismów na papyrusie, z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Po za tą salą, na prawo i na lewo rozciągają się dwie przeciwległe galerye, mające razem 400 kroków długości, i podzielone także na sale. Wszystkie xiążki zamknięte w szafach. Po ścianach freski. Przy końcu galeryi na lewo, *Muscum*, tak zwane: *święte*: to jest zbiór sprzętów, obrazów i rozmaitych przedmiotów, znalezionych w grobach dawnych chrześcijan. Między temi, najdawniejszy, jaki znają, obraz Chrystusa Pana, z mozaiki. Przy końcu galeryi na prawo, *Muscum świeckie*, to jest zbiór starożytnych różnometalowych sprzętów, narzędzi, ozdób, i t. d. Najciekawszym był dla mnie warkocz jakiś Rzymianki, znaleziony w sarkofagu, a tak doskonale zachowany, jakby dziś wyszedł z ręki fryzyera. Czy ta pani mogła pomyśleć, trefiąc kiedyś te włosy przed stalowém zwierciadłem, że za dwa tysiące lat świat cały podziwiać je będzie. Szkoda, że to nie jest

ten sam warkocz Bereniki, od którego konstellacyą gwiazd nazwano. Jest tu także, w osobnym gabinecie, sławne starożytne malowidło na tynku, (rodzaj fresku), które, do odkrycia Pompei, uważane było za najdroższy, jeżeli nie za jedyny zabytek starożytnego malarstwa. Zwie się ono *Weselem Aldobrandińskim* dla tego, że wyobraża jakoby wesele Bachusa z jakąś Nimfą, i że Papież Pius VI kupił je od kardynała Aldobrandini i zapłacił 10,000 skudów, t. j. sto tysięcy złotych naszych. Kardynał musiał być z tego wielce rozradowany, więcej niż pan młody w obrazie, kiedy obraz nie *weselem* Bachusa, ale *weselem Aldobrandińskim* nazwano.

Prosto z biblioteki poszliśmy do podziemnego kościoła Św. Piotra. A wiesz-że co to jest ten podziemny kościół? Oto gdy na miejsce dawniej bazyliki nad grobem Św. Piotra, zbudowanej przez Konstantyna W. w r. 326, zaczynało budować terazniejszą, (w r. 1450, za Papieża Mikołaja V.), zalecono architektom ażeby nie poruszali podłogi dawniej, pod którą miały być pochowane zwłoki Św. Apostoła. Zostawiono więc przestrzeń 11 stóp wysokości między dawną i nową podłogą, i tę ostatnią w tém miejscu na arkadach i kolumnach oparto. Ta przestrzeń stanowi kościół podziemny. Prowadzą doń marmurowe wschody z pośrodku balustrady, przed środkowym wielkim ołtarzem w górnym kościele. Nad tym to ołtarzem wznosi się w górze owa sławna kopuła, oparta na czterech słupach, z których każdy ma 206 stóp obwodu; i pod tym to ołtarzem w podziemnym

kościelie jest środkowa kaplica, w kształcie krzyża, stanowiąca właściwy grobowiec Św. Piotra. Po rogach cztery inne kaplice, pod słupami dźwigającymi kopułę, składają całość tego podziemnego przybytku. Łączą je korytarze malowane *al fresco*, równie jak i sklepienie, ale dla ciemności nie widać. W ścianach i na sklepieniu pali się jedna, ciągle gorejąca latarka. Na ścianach znajdują się grobowce: kilku kapłanów, króla Ottona II, i trzech Stuartów.

„O! marne szczęście światowej,
Blask tylko latarki na mur grobowy!”—

A teraz z dołu do góry! W jednym ze słupów wspierających kopułę, kręte schody prowadzą do niej. Idziem, idziem, i wychodzimy na platformę dachu, gdzie jak pieczarki wkoło borowika, dziesięć kopuł, ni mniej ni więcej, wyrasta wkrąg kopuły wielkiej, która ma jeszcze odtąd 285 stóp wysokości. O widoku z tak niska mówić, szkoda słów! Ale za toż widok na kościół, z galeryi wewnętrznych, okrążających kopułę, z których niższa ma 380 stóp obwodu, jest tak zachwycający, ale zarazem i tak przerażający, że jeszcze myśląc o nim czuję zawrót głowy. Nieraz mnie patrzącemu z dołu, ludzie na tej galeryi stojący, wydawali się jak kawki. Teraz zaś patrzącemu z góry, ludzie po kościele chodzący, zdawali się istotnie podobni do żółwiów: bo wzrostu i nóg nie widać, a same tylko głowy pełzają **zda się po podłodze**. Ale co tam patrzeć na ludzi, kiedy **otchłań i ogrom**

świątyni całą myśl i uwagę pochłania!—Cała kopuła wewnątrz wyłożona jest mozaiką złotą. Na niej wyobrażona *Gloria* niebieska; czterej ŚŚ Ewangelistowie olbrzymich rozmiarów, (pióro, które jeden trzyma w ręku, ma 17 stóp długości), i sławny napis: „TU ES PETRUS ET SUPER HANC PETRAM EDIFICABO ECCLESIAM MEAM, ET TIBI DABO CLAVES REGNI COELORUM.“ Patrząc więc na tę kopułę w górze, na ten kościół u spodu, a stojąc właśnie między panną Henryetą i panną Marcelliną, zaimprovizowałem do nich na prędce:

Gdyby kiedy czyj duch,
Tak wśród Aniołów dwóch,
Leciał pod Nieba strop:
A pod nim ziemia cała
Tak mu się piękną zdała,
Jak ten kościół u stóp:
To kto wie, czy ten człek,
Przez jeden, drugi wiek,
Nim spocznie w chwale Boskiej:
Nie byłby jeszcze rad,
Popatrzeć na ten świat,
Choć wisząc jak Twardowski.

My jednak poszliśmy wyżej, pomiędzy dwiema ścianami kopuły, i dopiero z galeryi zewnętrznej, okrążającej spód tak zwaną *latarni*, spójrzeliśmy na świat Boży. Ach! co za panorama! Watykan u stóp naszych; cały Rzym, cała Kampania przed nami! Na zachód morze, kończące horyzont, zdaje się jakby powstająca chmura, jakby błękitniejące w oddaleniu pasmo gór.

Na wschód miasto, objęte zakretem Tybru, najeżone tysiącami wież, kopuł, kościołów, krzyżów, błyszczących i gorejących od słońca. Między miastem a morzem równina. Gdzieś niedziedzie tylko nagie i piaszczyste wzgórki, poziomymi krzakami zarosłe. Na południe villa *Pamphili*, swymi baldachinowymi sosnami. Bliżej cały ogrom pałacu, którego zniskąd inąd nie widać, i oba watykańskie ogrody. Na północ *Monte Mario*, i u stóp jej najpiękniejsza z okolic Rzymu, pełna drzew i w pośród ich zieleni bielejących domków. Środkiem niej płynie Tyber, który gdzieś niedziedzie przebłyska. Nakoniec w oddaleniu, w siniej mgle śnieżna *Sorakte*, i w prawo jej góry Sabińskie, a w lewo góry Tolfa, Cornelano, Viterbo, i t. d., i t. d. A dodajże jeszcze do tego przeczysty szafir nieba, i słońce, i powietrze wiosenne! Sama latarnia ma jeszcze 75 stóp wysokości, to jest wysokość najmniej trzypiętrowego domu, a na jej wierzchu jest jeszcze druga mniejsza galeryjka, w okrąg podstawy bani czy kuli, ze złoczonego brązu, w której 16 osób może się pomieścić, (ma siedem i pół stóp średnicy). Do tej bani z latarni trzeba się pięć po stromiej drabinie, a ztamtąd można się jeszcze dostać aż do krzyża, który jest szczytem kopuły i całego kościoła, a oprócz piramid egipskich, najwyższym punktem na świecie, do jakiego dzieło ludzkie dosięga. Nie mieliśmy wszakże ochoty ani nawet próbować mieszczania się w bani, tém bardziej, że Cicerone opowiadał nam o jakimś xiędzu hiszpańskim, który tam umarł ze strachu, spójrzawszy w przepaść pod



sobą. My wszyscy Boga dzięki wróciliśmy cało i odpoczęliśmy sobie w ogrodach watykańskich. Mówię ogrodach, bo jest ich dwa: jeden zowie się *Giardino della Pigna*, z powodu olbrzymiej szyszki sosnowej z brązu, z dawnego Panteonu; drugi: *Giardino Pontificio*, w którym jest sławna w architekturze *Villa Pia*, albo *Casino del Papa*, rzeczywiście śliczna budowa. Ale zabawiła nas najwięcej fontanna, w kształcie okrętu z kamienia, z którego, za odkręceniem rury wodociągu, ze wszystkich wystających punktów wyskakują raptem wytryski, i armaty strzelają—wodą. Przypomniało mi to owe nasze niegdys hydrauliczno-studenckie figle w rzece z kochanym Józikiem Massalskim, na które ty z brzegu tylko śmiejąc się patrzałeś; kiedy my, w roli dwóch nieprzyjacielskich okrętów, przyskaliśmy w twarz wodą nawzajem, póki ten lub ów drugiemu ust albo oczu nie zalał. Gdzież te czasy? A gdzie te wody *rodzinnéj* Wilii,

Cośmy wtedy czerpali w *zdzieciniak* dłonie?...—

Słyszę pukanie do drzwi, ktoś przychodzi—i dobrze! bo już dość na dzisiaj.

14 marca rano.

Dziwny to czasem zbieg okoliczności! Wiész, kto wczoraj pukał i przyszedł? Oto Adam z Garczyńskim. Mówią, że wyglądałem strasznie przy obiedzie; a że pierwszy od panienek odszedłem, więc się zlekli

o moje zdrowie, i przyszli. obaczyć czy żyję. Ale trzebaż, że właśnie kiedy ja o dawnych czasach myślałem, dawne czasy niejako powracały ku mnie; jak nieraz na ulicy, ledwo pomyślał o kim, już go rzeczywiście spotykasz. A powróciły w kształcie głębszej, żarliwej, zapalanej dysputy, jakiej od czasów Wileńskich, ani stoczyłem sam, ani słyszałem, a która przecież, jak za owych czasów, skończyła się nierozzerwaniem, ale owszem tém większym zbliżeniem serc, jeśli nie wyobrażeń: jak mówią, że burza przetrąca skleja w morzu cząstki bursztynu. W poprzednim liście do Ignacego pisałem o poznaniu się i stosunku naszym z Garczyńskim. Poznasz go więc mniej więcej nim ten list odbierzesz. W uczuciach, w zasadach, w uczynkach, jest on czystym chrześcijaninem; ale w teoryach, w myślach, a zwłaszcza w rozumowaniach, kręci się, jak derwisz w meczecie, w formułkach filozofii niemieckiej, a już jak przed trumną Proroka bije czołem przed systematem Hegla—który z nią rzeczywiście możnaby porównać: bo wisi na powietrzu, a w środku—zgnilizna. O nim wczoraj zaczęła się rozmowa, ale wnet wzniosła się w sfery najodderwawszych wyobrażeń i pojęć. Ja więc sobie zostałem na dole, i tylko przysłuchiwałem się ciekawie, jak kiedyś amerykański ornitolog Audobon przypatrywał się napowietrznej walce dzikiego łabędzia z sokołem. Ale że bymże to ja mógł tę dysputę, jak on tamtą walkę opisać! Słuchając pomądrzałem przynajmniej o jeden procent, ale wątpię czy ci się z tego choć dziesiątny ułamek dostanie. Bo słyszałem właśnie między in-

nemi: „że nie dość jest posłyszeć i uznać, a więc niby już wiedzieć jaką prawdę, ażeby móżdż ją podać i przełać w drugiego. Trzeba się najprzód tak nią przejać samemu, aby żyć w sobie jęj światłem i ciepłem, które wtenczas same przez się dadzą się z nas poczuć drugiemu. Tym sposobem słońce oświeca i ożywia naturę; zwierciadło odbijając blask słońca, może tylko puszczać *zajęczi*. Mądrość tylko prawdziwa i świętość, (bo obie znaczą jedno i to samo), może być tęp słońcem dla ludzi; filozofia, jako nauka, będzie zawsze tylko zwierciadłem.“ — Są to własne mnięj więcj słowa Adama; a już ja sobie w myśli wyobraziłem dalej, jak te *zajęczi* przez oczy wskakują do głowy szkolarzy. Treścią albowiem dysputy były prawa i granice rozumu; mądrość i filozofia (niemiecka). Adam jużciż był dla mnie tym Audobońskim łabędziem, który w końcu drapieźnego napastnika zwyciężył. Tylko że i poczoiwy Garczyński nie był wcale drapieźnym, i tylko się na obronę swojej tezy wysiłał. A i sama teza na pozór była jedna i ta sama z obu stron; tylko że w rozumieniu jęj w gruncie, obie strony różniły się z sobą, jak Wiara i Filozofia (niemiecka). Wprawdzie jedna i druga wskazuje człowiekowi cel jeden — doskonałość. Ale wiara powiada przez usta Zbawiciela: „Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz w Niebiesiech!“ — a więc czcicie, kochajcie i słuchajcie Ojca! Filozofia zaś, jak szatan w raj, woła wprost na swoich adeptów: „Bądźcie jako Bóg!“ Hegel nawet podobno idzie dalej niż szatan, bo nie powiada: *bądźcie!* ale *jesteście;* nie jako Bóg (*sicut Deus*),

ale wprost *samym Bogiem!* gdyż Boga nie ma nigdzie, tylko w myśli ludzkiej. Wprawdzie tego śmiesznego absurdu Garczyński ani powtarza, ani broni; obstaje tylko przy prawie jednostki ludzkiej dociekania wszelkiej prawdy przez siebie, i przy potędze rozumu ludzkiego, że sam o własnych siłach dociec jęj jest mocen. Adam zgadza się z nim najzupełniej w uznaniu godności jednostki ludzkiej, jako stworzonej na obraz i podobieństwo Boskie; ale na mocy praw fizycznych i moralnych natury ludzkiej, na mocy doświadczenia dziejów i wieków, zaprzecza stanowczo tęj pretensyi i pysze rozumu. Bóg sam tylko jak źródłem życia, tak jest źródłem mądrości i prawdy, i On sam tylko objawia je światu. Ale jak Siebie tylko objawił przez Siebie, tak wszystko resztę objawia przez ludzi, do których sam przemawia — natchnieniem. W natchnieniu jest pierwsze ziarno, pierwsza iskra, pierwsze słowo wszelkiej mądrości i prawdy, którą już potem rozum i ogół ludzki uprawia, rozpromienia, pojmuje i wykonywa. Wszystkie wielkie rzeczy na świecie: narody, prawodawstwa, instytucye wiekowe; wszystkie wiary przed przyjściem Chrystusa; wszystkie nauki, wynalazki, odkrycia; wszystkie arcydzieła poezyi i sztuki; wszystkie wzięty początek w natchnieniu: proroków, mędrców, bohaterów, poetów. Ale Prorok musi być świętym; mędrzec a człowiek cnotliwy nazywany był jednakowo u Greków. Doskonałość ludzka zależy na tém, aby stać się godną natchnienia. Tymczasem pycha rozumu, odrzucając powagę praw i natchnień Boskich, a sądząc, że

je może własną siłą zastąpić: tworzy tylko mądrość fałszywą, to jest owe przeróżne doktryny, szkoły, systemata filozoficzne, które na rzece wieków i dziejów ludzkich, powstają i znikają jak bańki na wodzie. Przypomina to naszą bajkę ludową o djable, który widząc jak Pan Bóg stwarzał człowieka, ulepił też postać ludzką, ale gdy ją tchem swoim ożywił, powstała ztąd tylko—małpa.—„A więc filozofia jest małpą mądrości!“ wykrzyknąłem jak Archimedes, gdy przez natchnienie rozwiąawszy zadanie, z radości aż z wanny wyskoczył. Wykrzyknik mój przerwał dysputę; a poczciwy Garczyński, widząc tę moją radość, nie tylko się tém nie obraził, ale sam owszem zaczął śmiać się ze mną, czy ze mnie, a potem mię serdecznie uściskał i ucałował. I to mi przypomniało owe nasze czasy i koleżeńskie dysputy Wileńskie. Adam zaś dowiódł mu w końcu faktycznie, że dla tego tylko tak wierzy w formuły filozofii Hegłowskięj, że wciela w nie sam swoje uczucia, które wziął ze krwi przodków i z tradycyi chrześcijańskięj. Bo jużciż nie ma pewnie Pruss za taki ideał ludzkości, za jaki Kant i Hegel chcieliby je wystawić.—Ta zgodność zdań o Prusakach zagodziła spory poprzednie; i obaj dziś Garczyńskiego więcej jeszcze niż przed tém kochamy.—Za dni kilka czekamy przybycia Adolfa, od którego miałem list wczoraj. Ale cóż, kiedy te wszystkie pociechy zatruwa nam stan zdrowia Parczewskiego. Cały wieczór aż do północy przepędziliśmy onegdaj u niego. Na obiedzie zaś byliśmy u xiężny Zeneidy, razem ze sławnym chemikiem *Morichinim*, i młodym poetą *Sterbinim*. Ten

ostatni, po wyjściu chemika, czytał swoją tragedję: „Westalka“, w rodzaju Alfierego, za którą kiedyś wygnany był z Rzymu za czasów Leona XII. Autor czytał ją z wielkim zapalem. Ja nie mogłem dobrze rozumieć, ale Adam powiada, że nic warta. To też nie prawił żadnych komplementów autorowi, których mu nie szczędzili druzgocini. — „Smutna to rola autora, czytać swój utwór przed obcych ludzi! chyba, że już jest drukowany, — autor tak jest pewny siebie, że się chce nim targnąć, — walczyć, jak np. pan Józef-Dyonizy w Warszawie, — chce tym sposobem zasięgnąć prawdziwego zwycięstwa. To dzieło, jest to prawie to samo, jak gdyby jakaś dziewczynka, ubierając się na bal, pytała kawalerów, jak ją ogląda?“

Wierząc ich pochwałam nierazby przypadło,
Że zaniedbawszy sama spójrzeć we zwierciadło;
Mogłaby, wszedłszy na bal, wyjść na czupiradło.

Bądź zdrow!

XIV.

Do tegoż.

Rzym, 24 marca 1830 r.

Jutro dzień Zwiastowania N. M. P., i jeżeli Ojciec Św. zdrów będzie, wielka, jak co rok, celebra Papieżka (*Capella Papale*), w kościele Dominikańskim *S-ta Maria sopra Minerwa*, to jest zbudowanym na gruzach dawniej świątyni Minerwy, dokąd się mamy wybrać od samego rana. Potem czeka nas wielki obiad u księżny Zeneidy dla całej pierwszej arystokracji Rzymskiej; a zaś pojutrze raniutko ruszamy znowu z pp. Ankwiczami na zamiejską dwudniową wycieczkę do Frascati i do Albano. W obec więc takiej perspektywy przyszłości, przeraża mię, jak memnoniczna tabelka Jaźwińskiego, cały arkusz zabazgrany notatkami do listu, z których muszę ci przecież choć strzępek dziś jaki nadszarpnąć, bo mi już wstyd, że nie pisałem tak dawno. Żeby ci jednak opowiadać dzień po dniu cośmy w tym czasie robili: byłoby to chyba chcieć pozować samemu a la *niby* Nibby, a ciebie kamienować niby męczennika, gruzami wszystkich cyrków, thermów, portyków, świątyn, łuków i akweduktów, cośmy już wszystkie prawie po kolei zwiedzili. Czy, i o ile przez to zmądrzałem? Sam nie wiem. Ale



cała historia staréj, wielkiéj Romy, przesunęła mi się niejako przez głowę, wiątać się w myśli z nowszą, którą wyczytałem w Gibbonie, a przez te właśnie ruiny prowadząc do filozoficznych medytacyj nad *Fatum* i *Vanitatem vanitatum* rzeczy tego świata. Dotąd czytając o tém nieraz tu i ówdzie, ty wiesz, że człek nie bardzo brał to jakoś do serca; i częściej owszem nad ziątką tego rodzaju, jak niegdyś na rekolekcyach w szkołach, ani spostrzegł jak zdrzemnął się słodko, albo marzył na jawie o czémś wręcz przeciwném. Jest to coś nakszałt tego, jak gdy bronąc się od jakiegóś pokusa, wyobrazasz sobie np. żeś umarł, że leżysz już na katafalku, a nad tobą *de profundis* śpiewają. Sam je nawet pomagasz nócić, a mimo to nieustraszona pokusa, jakby śmiejąc się z urąganiem, tém żywiéj zda się w blasku gromnic przed oczyma twemi tańcuje. Ale miéjże istotnie przed sobą nieboszczyka na marach; ani spostrzeżesz znowu, jak kircałunu padnie na myśl twoję, a chłód od niego jakby wiał na serce. Otóż tak samo prawie rzecz się ma z ruinami. Stoisz np. w środku *Thermów* Tytusa, zbudowanych na gruzach *Złotego Palacu* Nerona, który sam znowu zbudowany był na miejscu dawnego domu i ogrodów Mecenasa, a bodaj nawet że i na jego grobie, obok którego, jak wiadomo, pogrzebiony był i Horacyusz. A więc trzy piętra ruin — i to jakich! Nad środkowém ogniskiem światła dawnéj Romy, które samo było wynikiem jéj wiekowéj pracy i chwały, szaleje w najwyuzdańszéj rozpuszcie symbol najnikczemniejszego tyraństwa, który to jéj światło i chwa-

łę krwią najcnotliwszych synów jęj zalewa, a ją samą w popiół obraca. A nad tém znowu Tytus, zwany *laskawym*, (jedyny z Rzymskich Cezarów, który na ten przydomek zasłużył), buduje, jakby dla zmycia plamy tego miejsca, najwspanialsze naówczas *Thermoy*, to jest łaźnie, których mania budowania za Cezarów w Rzymie i na całej przestrzeni państw jego, była jakby symbolem ogólnego poczucia ludzkości, że się świat ma oczyścić i odrodzić przez wodę: choć pędzono do cyrków, na pożarcie zwierzętom, tych właśnie, co światu o wodzie chrztu świętego mówili. Otóż gdy stoisz wśród Thermów Tytusa a o tém wszystkiém po kolei rozmyślasz: chcąc nie chcąc, ani spostrzeżesz, jak wychodzisz na historyozofa i mędrca, o czém ci się wprzód ani śniło. A pamiętajże, że do każdej prawie ruiny wiążą się mniej więcej podobne szeregi wspomnień; tylko że każdy na nie patrzy po swojemu i ze swego punktu widzenia. Szanowny nasz *Cicerone* Strzelecki, chciałby np. wyryć jak selwasserem w myśli każdego z nas, cały topograficzny plan każdej ruiny, a odbudować ją w wyobraźni naszej czém była, nim się stała ruiną. Ale w jednym tylko Jaźwińskim ma on w tém cierpliwego słuchacza. Garczyński dumma głęboko, ja marzę; głośno zaś, albo poetyzujem albo filozofujem nad tém, co widzimy. I rzecz dziwna, że gdy filozofia jego raczy zstąpić z wysokości katedry, a moja wysunie się z zapiecka, zawsze się jakoś z sobą zejda i zgadzają. W rozmowach tylko o nięj samęj, nie ma pomiędzy nami zgody i pokoju. Adam

jeśli absolutnie nie milczy, to z jednym tylko Strzeleckim mówi czasem albo rozprawia na seryo, a zaś do naszych górnych bujań i rozpraw z Garczyńskim, z żartem chyba lub z konceptem się wtrąca. Ale to się tylko tak dzieje, gdy sami z Nibbym w ręku a ze Strzeleckim przy boku, depcemy „te gmachy połamane w zwaliska bez ładu;” ale skoro mamy „nad głową jasne niebo, obok piękne lice,” to jest, kiedy korzystając z pogody, damy nasze z *Via Mercède* towarzyszą nam w tych wycieczkach: wtedy uczona archeologia na bok, (choć o niej rada prawić panna Henryetta), a i pan Adam zabiera głos chętnie jak augur albo orator. Serce znać „nie ucieka, (jak z ruin krymskich) w dalekie okolice i czasy,” ale owszem umie używać i korzystać z chwili obecnej. Poezya się nawet ocknęła. Napisał wiersz na ten temat, który ci tu zaraz przepiszę, a o następstwach jego powiem niżej. Jest to pierwszy, a może i ostatni wiersz, który napisał w Rzymie. Bo mówi: że kiedy człowiek żyje poezją, szkoda czasu żeby ją pisać. Sonety, jak sam powiada, pisał z ostatniej nudy czy tęsknoty, w której czém inném rozerwać się nie mógł. Wiersz zaś dzisiejszy ma taką genezę. Oddawna już panna Henryetta dała nam swój sztambuch, z prośbą o napisanie w nim czego. Przypominałem o tém nieraz Adamowi, ale mię zbywał zawsze zwykłym swoim: „Nie nudź mię! daj mi pokój!” Aż wreszcie przed tygodniem, po całodziennej włóczędze po gruzach, które nam objaśniała panna Henryetta, kiedy ja ledwo żywy spałem jak w letargu, on, (miarkując po świecy),

musiał przynajmniej śledzić godzin parę, i napisawszy najprzód swoje imię na początku sztambuchowej kartki, podpisał pod niem co tu następuje.

DO MEGO CICERONE.

Mój Cicerone! oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię,
Wędrownik skreślił na znak że był w Rzymie,
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.
Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótniwa fala, może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody,
I nigdy o nim nic się nie dowiemy.
Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w rękę twoją, wśród włoskiej krainy,
Za cały napis to imię wykreślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.
Czy drżącą ręką, po długim dumaniu,
Rył go powoli, jak nagrobek w skale;
Czy go odchodząc uрониł niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu.
Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twym świeci czołem.
Przez Rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.
Ty umiesz przejrzeć nawet serca z głazu,
Głę błękitnemi raz rzucisz oczyma;
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu,
Ach! ty wiesz może i przyszłość pielgrzymą?

Nieprawdaż, że wiersz zgrabny, i koniec znaczący? Ale dla mnie był on powodem najprzód wielkie-

go zmartwienia, a potem wielkiej radości. Sam antet zaraz nazajutrz zaniósł go właścicielce sztambucha. Co się tam stało, ja nie wiem; ale wróciwszy wieczorem do domu, zastałem już Adama, i to w najgorszym humorze; a co najgorsza, że jak gdyby na mnie. Za odpowiedź na zapytanie moje, czy nie chory? wlepił we mnie wzrok nachmurzony i oświadczył krótko i sucho, że chce i musi jechać na święta do Neapolu. Poczulem, że opozycya byłaby nie w porę; powiedziałem więc tylko, że pojedziemy razem. Powolność go ta zmiękczyła. Dodał wszakże, że mocno żałuje, że tego piérwój nie zrobił—co znaczy, że ja mu odradziłem. Połknąłem więc i tę pigułkę, i zacząłem nie żartem myśleć o pakunku. Najprzód jednak nazajutrz rano poszedłem na *Via Mercède*, aby zrozumieć z kąd ten zły wiatr zawiął. I tam jakoś znalazłem wszystkich powarzonych, i dowiedziałem się wnet od samej pani, że pan sam miewa często paroxyzmy *spleenu*; że wczoraj właśnie był ten dzień fatalny, i że pan Adam zdał się być niekontent. O wierszu nikt nic nie mówił, i ja też nie pytałem nikogo. Nie wiem więc jaką rolę odegrał on w tém wszystkim, ale przeczuwam jakoś, że w nim źródło złego. Pan sam jużciż musiał go czytać; a nuż po przeczytaniu pokwaśniał!... Jest to wszakże tylko mój domysł, nie więcej.

Teraz pana samego nie było już w domu; ale mi powiedziano, że wyszedł, mając być i u nas, i to w celu, aby nas prosić na dzisiejszy wieczór. Nie wspomniałem więc wcale o projekcie podróży, a przy dalszej rozmo-

wie z samą panią, podzieliłem najkompletniej jej zdanie, że trzeba być wyrozumiałym dla starszych, i na chwilowy humor ich nie zważać. Wyszedłem więc pocieszony, i tylko medytowałem nad tém, jakby z tą mądrą radą trafić do przekonania Adama. A był to dzień 18 Marca (6 podług kalendarza waszego), rocznica właśnie téj pamiętnej mi wiecznej chwili, w której przed ośmiu laty, raz pierwszy, jak nieśmiały kochanek, posłyszałem z ust jego słowo wzajemności. Byłem na tę intencją w kościele; ale jemu samemu nie wspomniałem nic o tém, pamiętając na usposobienie wczorajsze: Dopiero wróciwszy przed wieczorem do domu, zastałem go już pogodniejszym; ale że był istotnie cierpiący, więcęśmy już na ten wieczór proszony nie poszli. Koniec zaś tego wieczoru należy odtąd dla mnie do najmilszych pamiętek życia. Rozmówiliśmy się do dna o wszystkiém, o przeszłości i o przyszłości—którą on całkiem woli Boskiej porucza, a ja w zbytecznej tylko własnej jego wyniosłości i delikatności uczucia, upatruję jedyną przeszkodę aby ta przyszłość mogła być na pewno szczęśliwą. Przed ośmiu laty, rozgarniając mi po swojemu włosy, powiedział ze łzami w oczach: „Nie prawdaż? smutno będzie tobie bezemnie?“ — i musiał mię sam potem uspakajać jak dziecko. Teraz powtórzył prawie toż samo, tylko że nieco odmiennie, objąwszy mię za szyję i mówiąc: „Smutniej będzie temu na świecie, kto z nas kogo przeżyje!“ — i następnie wpół seryo, wpół żartem, tłómaczył się i przeproszał za wszystko, czém kiedybydź mógł mi dokuczyć; choć rzeczywiście nie

dokuczył nigdy.—Brak świecy i oleju w lampie zmusił wreszcie skończyć rozmowę; ale ja aż do rana oka zmrużyć nie mogłem—z radości. Jest to dla mnie najważniejszy wypadek, nie tylko tych dni dziesięciu, przez które nie pisałem do ciebie, ale może całego stosunku z Adamem. Bo nigdy on tak do dna nie otworzył serca, a moja miłość i uwielbienie dla niego, nigdy już chyba nie wzniosą się wyżej.—Ach! nie ma szczęścia na świecie, jak kochać! I dla tego ja tak jestem szczęśliwy. A w tym samym, że mówię ci o tym, miej dowód, jak ty wiele przyczyniasz się ku temu. Tymczasem na dzisiaj *vale!* bo mi już trudno wrócić do szczegółów prozy, a i Garczyński czeka na mnie u siebie, aby pójść razem na wieczór do Parczewskiego, gdzie się także zjedziemy z Adamem. List ten, jeśli nie jutro, to już chyba za powrotem z Frascati dokończę.

25 marca, godz. 11 wieczorem.

Nie kończę, ale tylko kontynuuję dzisiaj. Ojciec Św. nie celebrował, i próżnośmy ze trzy godziny w najstraszniejszym tłoku czekali. Obiad u xiężny był arcy-wspaniały, i prócz nas dwóch i Szewirewa, jako już domowych, nikt z obcych nie był bez mitry, a przynajmniej bez korony z gałkami. Ten jednak blask heraldyczny nie miał nic bardzo olśniewającego. Prócz historycznych nazwisk i tytułów, nikt sam żadnym wspomnieniem historycznym nie błyszczał. A siedziało u stołu par 27, t. j. osób 54; bo mężczyźni siedzieli każdy obok swjej damy, której rękę do stołu po-

dawał. Sama xiężna wybrała Adama i szła z nim na samym ostatku; syna zaś swego, Szewirewa i mnie, przeznaczyła na *Cavalieri serventi* trzem jakimś młodziuteńkim, ale już mężatkom. A działo się to tak prędko przed samym obiadem, że nawet niedosłyszałem nazwiska mojej damy, której miałem zaszczyt być przedstawionym jako Polak i jako przyjaciel domu. Doleciał mię tylko jój tytuł *Signora Marchesa*, a że był wymówiony po włosku, wzięłem to za wskazówkę, że mam z nią tym językiem rozmawiać. Czekałem jednak na pierwsze jój słowo, sam nie wiedząc od czego zacząć. Ale wyprowadziła mnie wnet z ambarasu, mówiąc swobodnie i śmiało, że oddawna była ciekawa poznać jakiego Polaka (*un Polacco*), o których wiele słyszała. Przeprosiwszy więc ją najpierw za moję włoszczyznę, prosiłem aby ze mnie nie sądziła o wszystkich i nie powzięła w ogólności złego o nich wyobrażenia. Spójrzała na mnie bystro, i z uśmiechem szczerego dziecka, bez najmniejszego odcienia komplementu albo kokieteryi, odpowiedziała wręcz, kręcąc głową: „*Non c'è paura!*“ (nie ma strachu). Osłupiałem z podziwu nad taką naturalnością, a zrozumiawszy z kim mam do czynienia, pozwoliłem téż sobie swobodniejszej myśli; i gdyśmy już zasiedli do stołu, łamiąc się jak mogłem z językiem i sztukując się czasem francuzczyzną, zacząłem się zdobywać na koncepta i komplementa, jakieby u nas zaledwie pensyonarkę jaką bawić chyba mogły. Ona wszakże przyjmowała je tak wesoło, z tak dziecinną jakąś prostotą i naiwnością, a odpowiadała nieraz tak zręcznie,

że w końcu przejął mię respekt i admiracya dla niej: dla téj szczeréj, poczciwéj, dobrodusznéj natury, a przytém dla téj swobody w myślach i rozmowie, która przecież nigdy i w niczém z granic ściśtéj przyzwyczajoności nie wyszła. Czyż to nie lepiej, niż ten ciągły turlecikowy nastrój na ten sam ton i nutę, jaką kiedyś na jakimś pańskim dworze nucono; który wszelką indywidualność zacierają, a w rozmowie, zamiast rozwijać myśli, zmusza tylko sadzić się na frazesy, i to mianowicie francuzkie, aby się ich gładkością i dobrą pronuncyacją popisać? I moja Signora umie po francuzku; ale wymawia z włoską, i odpowiadawszy mi tylko na frazes mój w tym języku, znowu sama do włoszczyzny wracała. Bawiliśmy się więc wzajem wesoło, a oprócz gwaru ogólnej rozmowy u stołu, dodawało nam jeszcze natchnienia i wino. Przed każdą parą gości stały dwie karafki, jedna z przezrystą Rzymską wodą (jakiéj równą ma tylko Wilno), druga z krajowém smaczném winem *Montefiascone*, które przytém nie jest wcale bez mocy. Gdy więc moja sąsiadka po piérszój potrawie wzniosła rękę ku stronie karafek: ja sądząc, że zgaduję jéj chęci, porwałem najprzód za karafkę z wodą. Ale zaledwie nalałem troszeczkę, ona dawszy znak szklanką że dosyć, prosi mię o „*un poco di vino*“. Nalewam więc — nalewam — nie tylko już *un poco*, ale jak mi się zdaje, *assai* i *molto*, a ona szklankę jak trzyma tak trzyma. Nakoniec, gdy już prawie przeszło za połowę, (co dla mnie nawet byłoby za *troppo*), podziękowała mi i wypiła duszkiem. Wkrótce znowu przyszło

pragnienie; ale już ja zacząłem od wina. Woda służyła mu tylko jakby dla ceremonii pokropienia. A że się to ponowiło z pięć razy podczas obiadu, i przytém, jak uważałem, zagraniczne téż wina, które nalewano, nie były wstrętne dla różanych ustek: zacząłem się na seryo obawiać, co będzie z naszym powrótem od stołu. Tymczasem oprócz weselszego humoru, żadnych innych oznak nie było; p. Ricci zaś, z którym o tém mówiłem, zrobił mi sprawiedliwą uwagę: że piwo nasze, gdyby go tyle wypita, sprawiłoby niewątpliwie ten skutek, jakiego ja się spodziewałem po winie, nie wiedząc, że damy tutejsze przywykają do niego od dzieciństwa, pijąc je za codzienny napój, zwłaszcza podczas upałów letnich, kiedy zwykle *malaria* grassuje. Odprowadziwszy więc damę moję do salonu, nie miałem już sposobności zbliżyć się więcej do nięj, gdyż siedziała między paniami we środku, a my staliśmy sobie na uboczu, słuchając śpiewu pana Ricci *solo*, a potém psalmów Marcella, które z nim sama księżna Zeneida śpiewała. Na tém skończyła się feta, którą ci tu chciałem opisać. Nazwiska damy mojęj i kto ona, dowiem się chyba za powrótem z Frascati, dokąd jutro raniuteńko jedziemy.

Ale, ale—zmartwiłem się dziś i zgniewałem okropnie na Garczyńskiego. Miał z nami jechać jutro, i nie jedzie. Dla czego? Zabij mię, jeśli wiem lub się domyślam. — Kochany, miły, ale dziwny człowiek! Gdybyż był przynajmniej poeta! powiedziałbym, że pół waryat, i kwita. Ale filozofi... (Prawda, że takaż to i filozofia niemiecka). Kocham go coraz więcej, im

blżej poznaję; a to mię w nim nie tylko razi, ale nawet jakby przeraża. Zdałoby się, że straszny jakiś ślub czy tajemnica ciąży mu na sercu i myśli. Rozwieseli się ze mną, śmieje, goni się po ruinach jak student; a potem raptem, ni z tego ni z owego, wygląda jak zrozpaczony kochanek. Wczoraj wieczorem u Parczewskiego był ożywiony i wesół; chociaż wielce poważnie o trudnych obowiązkach człowieka i obywatela rozprawiał. Dziś zachodzę do niego z kościoła. Pisał coś, ale schował gdy wszedłem; potem zaś, jakimś desperackim tonem, oświadcza mi, że jutro jechać nie może. Co? dla czego? Pytam go, reflektuję, i nakoniec wściekam się ze złości. Nic nie pomaga. Chciałby, ale nie może — jedyna odpowiedź. A niech go wszystkie bogi! W tej chwili nawet jeszcze i żal mi go serdecznie, i złość bierze, gdy o tém pomyślę. Adam ma także swoje chwilowe humory, ale nigdy ani takich fantazyj, ani uporu. Niech cię to jednak nie zraża ku niemu; bo wierz mi, szlachetniejszego serca i piękniejszej duszy niepodobna znaleźć na świecie. Wszystko to u niego wypływa z tej zasady, że człowiek, żeby być godnie człowiekiem, powinien się co chwila wyrzekać przyjemności dla obowiązku.—Ale za cóż ja cierpię za niego?... Adam przyjmuje to obojętnie i mówi: „Kiedy nie chce, to niechaj nie jedzie!“ A i on jednak szczerze i serdecznie go lubi.— Dobranoc!



28 marca, rano.

Wróciliśmy z Frascati.—
Obraz w treści bogaty.

Szkic wszakże będzie krótki—obyż węzłowaty! bo list ten dziś koniecznie chcę oddać na pocztę.—Wyjechaliśmy onegdaj o 7-mój; temi samemi powozami, w tém samym towarzystwie, i w tym samym porządku co do Fiumicino. Dzień téż był równie piękny, *Kampania* jeszcze bardziej kwitnąca, i wiosna byłaby w całej okazałości, gdyby nam przecież choć jeden skowronek, choć jakikolwiek ptaszek w całej drodze zaśpiewał. Prawda, że i drzew nigdzie aż do samego Frascati nie było. Za toż po obu stronach gdzieś gdzie ruiny, i pyszne dwa wodociągi, stary i nowy, na wysokich arkadach, wyglądają jak szereg wspaniałych przysionków. Widok zakończony górami. Z przodu góry *Latykańskie* i *Sabińskie*, z boku we mgle błękitne pasmo Apenninów.—Frascati, małe ale schludne miasteczko, słynie zwłaszcza zdrowém powietrzem, i przeto liczy wiele pięknych *villi*, z pałacami i ogrodami. Najpiękniejsze należą do xięcia Borghese, a w jednej z nich są sławne hydrauliczne figle, zwane „*Giuocchi d'acqua*“. Między innemi np. Parnas, na którym wszystkie figurki grają na różnych instrumentach za pomocą wody, która gdzieś jakiś organ ukryty porusza. A są téż zdradzieckie fontanny, które za naciśnięciem nogą niewidomój sprężyny, wytryskają nagle z pod ziemi i oblewają jak deszczem nieostróżnego przechodnia, ku wielkiej uciesze miejscowych

ogrodników, a także i naszój, gdyśmy się jedni z drugich *szmigusa* cieszyli. Tu na wzgórzu leży *Villa Rufinella*, zbudowana na miejscu dawnój villi Cicerona, w której on zwykle lato przepędzał, i tu swoje *Tusculania* pisał. Frascati bowiem jest odroślą dawnego *Tusculum*, którego znaczne ruiny leżą o parę wiorst ztamtąd. Ruszyliśmy tam zaraz po śniadaniu, damy i sam pan Ankwicz na osiołkach, które są tu jak miejscowa remiza, my zaś, jako paziowie przy średnio-wiecznych *donzellach*, trzymaliśmy za cugle te dzielne rumaki, lub same damy podtrzymywaliśmy na siedłach, z poręczami naksztalt krzesetek. W *Tusculum* nic ciekawego, prócz kilku bardzo starożytnych ruin i kilku pięknych widoków, zwłaszcza z ogrodu Kamedułów. *A propos* cnotliwego Katona, który się tutaj urodził, Adam ubawił całe towarzystwo długiem i wielce dramatyczném opowiadaniem o sejmikowój przygodzie Reytana w Nowogródku, gdzie ubiegający się z nim o Podkomorstwo Wojniłowicz, odwiódł od niego dowcipnym podstępem całą szlachtę, i sam przed nim urząd ten otrzymał. Szkoda, że nie mam czasu powtórzyć tobie tutaj téj ciekawój historyi. Ja zaś zgubiwszy przypadkiem srebrną śrubkę od ołówka panny Henryetty, w gruzach jakiejś pelagijskiej budowy napisałem w jój pugilaresiku piosenkę, na ton i miarę naszój ludowój o pastuszcze gęsi, która włócząc się dzień cały po wsi z bębenkiem:

„Bębenek zbiła,

„Gąski zgubiła,

a potém łamiał ręce lamentowała:

„Ach! ja nieszczęsna, cóż ja zrobiła!“

Wspominam ci o tém dla tego, abyś miał próbkę kamertonu rozmów, które nam na ruinach *Tusculum* tak mile dzień cały zajęły, żeśmy zaledwie po zachodzie słońca, z zalem na obiad i na noc do Frascati wrócili.

Nazajutrz (to jest wczoraj), zaraz po kawie, nie bardzo dobrej, ale bardzo wesołej, puściliśmy się na całodzienną wycieczkę do Albano, dokąd powozy poszły prostą drogą i miały czekać tam na nas; my zaś sami, na osiołkach i pieszo, jak wczoraj, ruszyliśmy najprzód przez cudny las kasztanowy do *Grotta Ferrata*, téj saméj wsi czy miasteczka, gdzieśmy byli już raz na kiermaszu z Szewirewem i młodym Wołkońskim. A że i droga ztamtąd do Albano też sama, więc powtarzać tu o niéj nie będę; tém bardziej że, Bogu dzięki, celem naszym nie było zwiedzanie żadnych pamiątek lub osobliwości, ale wprost użycie wiosny, powietrza i towarzystwa. To ostatnie harmonizowało z pierwszemi—jak wesołość z pogodą. Przygód nie było żadnych, oprócz mojej z osłem. Panienki chciały przejść się i pozsiadały z siodeł, sama zaś pani hrabina chciała koniecznie nas wsadzić na osły. Adam oparł się stanowczo; ja—jak zawsze damom—uległem. Alić zaledwo wsiałem i ujechałem kilkadziesiąt kroków, osioł... (Mówią, że to bestya głupia, ale gdzie tam! Żaden zwierz przecież oprócz osłicy Balaama nie przemówił nigdy po ludzku. Ma on widać swój rozum; natura tylko krnąbrna i uparta). Otóż osioł poczuwszy innego jeźdźca, zaciął się najprzód i zaczął wierzgać, a następnie, zmuszony kijem do

ruchu, przewrócił się raptem na bok, i gdyby nie poręcz u siodła, z którego ja wyleciałem, byłby się tarzał w piasku do góry nogami. Ztąd mnie wstyd, wszystkim śmiech, a osła jego właściciel zaczął grzmocić kijem co siły. Ja wszakże wspaniałomyślnie wstałem się za nim, a na ekzuzę jego i swoją zaimprovizowałem czterowiersz:

„Biedny osiołku! bez słusznej przyczyny
Pan twój okrutny skarał cię tak srogo,
Kto raz był sługą panny Marcelliny,
Prócz niéj, za pana mieć nie chce nikogo. —

I tak śmiejąc się, rozmawiając, kłócąc się lub dysputując— przed południem doszliśmy do Albano, (dawniej Alby, rywalki Romy), gdzie nasyciwszy się niezłym obiadem, a przecudnym widokiem na całą Kampanią Rzymską, zieloną, jak axamitny kobierzec; na morze, *Mare Tirreno*, bielące się tysiącem żagłów drobnych łodzi; na błękitne szczyty gór Latium i Sabiny, wśród których po nad wszystkiemi wznosi się *Monte Cavo*;—tam, o godzinie piątej po południu, zwróciliśmy ostatnią naszą pielgrzymkę. Góra ta sławną jest z tego, że u stóp jéj obozował Annibal, gotując się do szturmu Romy, i że na samym jéj szczycie, o 2000 stóp nad powierzchnią morza, stała świątynia Jowisza *Latialis*, zbudowana przez Tarkwiniusza Pysznego, a w której tryumfatorowie Rzymscy, nazajutrz po odbytych wjeździe na Kapitol, obowiązani byli składać hołd i ofiary. Dotąd w stroméj, skalistej drodze, która na wierzchołek prowadzi, widać ślady kół ich rydwanów, i prawdziwie dziwić się trzeba, jak



konie mogły wejść na nią. Osiołki wszakże drapały się dzielnie, i żaden się już więcej nie przewrócił; ale my mieliśmy przytém sposobność okazać naszą troskliwość, podtrzymując damy nasze na siodłach. Miły ten obowiązek rywalizował z przyjemnością samój. prześlicznej drogi i widoków. Droga szła ciągle pod górę, najprzód brzegiem jeziora i pyszną aleją do *Castel Gandolfo*; potem dalej do *Palazzuola*, (gdzie była niegdyś stara Alba, ojczyzna Kuracyuszów), a ztamtąd wreszcie do kresu podróży. Ale co zachód słońca z *Monte Cavo*, to już był chyba uwieńczeniem wszystkiego. *Finis coronat opus*. Adam był w zachwyceniu, i prozą improwizował dytyramby. To też nie piérwój, aż już wszystko na niebie zagasło, zabraliśmy się do powrótu, i za ciemna już wsiadłszy do powozów w Albano, przy więzycu o północy dopiéro wróciliśmy do Rzymu; my z Adamem w powozie z damami. Nie drzemaliśmy ani chwili, chociaż na marzeniach nie brakło.—Bądź zdrow!

XV.

Do tegoż.

Rzym, 4 kwietnia 1830 r.

Wypij dwie szklanki maślanki,
Zjedz talerz cukrowej pianki,
Przeczytaj wciąż trzy sielanki,

A poznasz — jeśli nie wiesz — co ckliwość. Ale czyż tego samego efektu nie sprawi trzecie z rzędu opisanie naszych zamiejskich *wiosnowek*, (*majówkami* ich nie nazwać przed Majem), z których każda z natury swojej jest rodzajem *sielanki*, z treści ma podobieństwo do *pianki*, a z opowiadań moich — hal kto wie, czy nie do *maślanki*? Sądz jak chcesz, ale darmo! pić musisz. Listy moje nie są bynajmniej kompozycją oryginalną, ale wprost tylko kopią *żywych obrazów*, w których my tu sami po kolei figurujemy. Chcesz je widzieć? to patrzaj! Nie chcesz? to wola twoja! Najgadatliwszy list tém jest lepszy od żywego gaduły, że łatwiej zamknąć oczy niż uszy; łatwiej go nie czytając wrzucić do komina, niż gościa za drzwi wyprosić. Ja wszakże dla urozmaicenia przedmiotu, zacznę nie wprost od trzeciej wycieczki, (którą wszakże uważam za główną treść tego listu), ale od powrotu z Albano, t. j. od daty ostatniego,



ażeby ci powiedzieć, cośmy téż w mieście przez ten czas robili.

W przewidywaniu bowiem blizkiego już wyjazdu, wyszliśmy całkiem z biernej roli i rutyny stałych mieszkańców, w jakiej gościliśmy tutaj przez zimę, jak bociany u nas przez lato; to jest, spacerując sobie swobodnie, jak one po naszych łąkach, i polując na miłe chwilki, jak one na skaczące tam żabki. A chociaż nieraz nam przyszło zębami z zimna *klekotać* jak one, dobrze nam jednak było w tém czasowém gniazdku, które nam, jak im u nas, polsko-słowiańska zwłaszcza gościnność tu usłała, i ciągle w różny sposób starała się uprzyjemnić. Gotując się więc do odlotu, uważamy za obowiązek, aby wszem w obec i każdemu z osobna, którzy na nas byli łaskawi, wdzięczność naszą nawzajem okazać, i jak wszystkie ciekawsze miejsca i pomniki, tak i wszystkie znajome domy, po raz ostatni zwiedzić i odwizytować. Szereg tych pożegnalnych wizyt zaczęliśmy już od kulminacyjnego punktu naszych tu stosunków, to jest od królowej Hortensyi, która nas bardzo uprzejmie, jak zawsze, przyjęła, i w ożywionej rozmowie z Adamem, uwielbienie dla jój rodziny odpłaciła wyrazem wysokiego szacunku i sympatyi serdecznej dla całego naszego narodu. Pani Letycya, po złamaniu nogi, lubo wyszła z niebezpieczeństwa, dotąd wszakże nie przyjmuje nikogo; i przeto dawna obietnica królowej, że nas jój osobiście przedstawi, nie mogła przyjść, niestety, do skutku. Na prośbę wszakże Adama przy-

rzekła: „że złoży matce Cesarza hołd czci pierwszego polskiego poety,“ jakim wié, że jest Adam.

Na dwa następne wieczory, po powrocie z Frascati, znaleźliśmy już inwitacye w domu. Pierwszy liczny i-muzykalny u państwa Siemionowych, gdzieśmy raz tylko byli przedtém z wizytą; drugi u xiężny Dietrichstein, w szczuplejszém kółku tego samego prawie towarzystwa, które się zbiera zwykle u xiężny Zeneidy. Na pierwszym byłbym się znudził, gdyby nie obecność panny Luizy Vernet, której już od dawnego czasu nie widziałem. A że i ona nie miała tam wielu znajomych, więc czułem, że tóż wzajem rada była ze mnie; i to mię nastrajało na ton poetycki, więcéj niż wszystkie symfonie i trele, które z kolei następowały po sobie, nie zostawując miejsca i czasu innego rodzaju zabawie. Adam owszem był z tego kontent, że nie miał potrzeby rozmawiać; ale za toż u xiężny Dietrichstein musiał nieborak przejść przez najprzykrzejszą dla siebie próbę; to jest, czytać sam głośnie swojego *Farysa*, w tłómaczeniu francuzkiém, które xiężna Zeneida, na prośbę gospodyni, umyślnie z sobą na ten cel przywiozła. Adam był zły formalnie, ale się nie mógł wywinąć. A wszakże, gdyby w nim była choć żyłka próżności autorskiej, miałby tu pole do jéj nasycenia; i to nie tylko w ogólnych komplementach, ale w istotném współczuciu słuchaczy. Jak więc niegdyś przysłane mu konfitury, tak i tu całą słodycz téj przyjemności ja właściwie spożyłem za niego. On zaś, pomimo wszelkich usiłowań panny Anastazyi, która się do niego wdzię-

czyła, nie wprzód ochłonał ze złego humoru, aż gdy Szewirew zaczął czytać cały swój przekład „*Obozu Wallensteina*“ Szyllera, który jest rzeczywiście doskonały. Adam tak był nim zachwycony, i tak się nakoniec ożywił, że był prawdziwie bohaterem wieczoru w rozmowie, którą zwłaszcza z panną Anastazją, Bonstettenem i z panem Douby, o cało-europejskiej poezji dramatycznej prowadził; zestawiając i porównywając nawzajem: południową z północną, Romańską z Germańską, katolicką z protestancką; to jest, hiszpańską z XVI wieku, ze współczesną jej angielską, i z późniejszą niemiecką. Francuzi bowiem, podług niego, właściwej sobie formy dramatu nie stworzyli dotąd u siebie; chociaż po nich się on to właśnie spodziewa, że kiedyś stworzą prawdziwie nowożytny. historyczny dramat, którego już pierwsze zarody upatruje w znajomych tobie „*Les soirées de Neuilly*“ a mianowicie w „*Sprzysiężeniu Malleta*.“ Tylko, że miejscem przedstawienia takich dramatów, nie będą już teatralne sale, ale chyba cyrki lub place publiczne; tak jak i same dramata nie będą tylko dla zabawy możnych próżniaków, ale raczej dla nauki ogółu obywateli, który z nich będzie się uczył historii przeszłości, jak Grecy uczyli się poetyckich tradycyji swoich. Cały zaś ten przyszły stan rzeczy, łączy on w przepowiedniach swoich z powrotem kiedyś Napoleonidów, którzy mają rozwijać w rzeczywistości na świecie, co Opatrzność, jako zaród idei, geniuszowi ich protoplasty natchnęła.—Te jego historyozoficzne poglądy wywołały zwawą dysputę z p. Douby, w któ-

rój Adam przy końcu był prawdziwie jakby natchniony, tak, że wszyscy z uszanowaniem zamilkli, a panna Anastazy, ze złożonemi rękami, wpatrywała się w niego jak w cudowny obraz. Postrzegł on to wrażenie, i sam zmienił je raptem, przechodząc w ton żartobliwy, a najprzód z samego siebie. To też cała reszta wieczoru przeszła na wesołym opowiadaniu różnych anegdot, politycznych zwłaszcza i literackich. Muszę przytoczyć ci jedną, którą opowiadał Bonstetten, na dowód, że i gdzieindziej na świecie są tacy literaci i redaktorowie, których lekkość i płytkość z jednej, a z drugiej strony junakiarska zuchwałość w pisaniu i sądzeniu *ex cathedra* o wszystkiem, w podziw nieraz wprawiały nas prostych Litwinów. Jakiś *facetus* z Genewy przesłał do gazety *Quotidienne* w Paryżu wiadomość o wybuchłej jakoby wojnie pomiędzy kantonami: Berneńskim i Waadtlandzkim (*pays de Vaud*); a gdy temu redaktor uwierzył, zaczął mu przysyłać co poczta biuletyny o strategicznych działaniach wojsk obu, umieszczając plac bitew na niedostępnych szczytach gór, dokąd nigdy żaden człowiek nie doszedł. Nieświadomy geografii redaktor (politycznej gazety w Paryżu!) umieszczał je przez kilka numerów, aż wreszcie ostrzeżony widać przez kogoś, przysłał swemu korespondentowi wyzwanie na pojedynek. Ale że ten pisał pod pseudonimem: więc wystawiony na śmieszność literat, nie miał nawet i téj satysfakcyi, aby choć siłą pięści słabość głowy swojej osłonić. — Ale i jeszcze jedna anegdota. Wiem, jak ojcowie nasi, (twój i mój), nie-



nawidzą austriackiego *Beobachtera*, z którego wyciągami zazwyczaj częstuje ich *Kuryer Litewski*. Sądzę więc, że im to robi przyjemność. — Otóż redaktor téj gazety, jako organu Metternicha, piorunował ciągle na Greków za ich powstanie przeciw Padyszacha. Aż dnia jednego odbiera ze Stambułu *firman* i pakiet z pieczęcią sułtańską, mianujący go Baszą o trzech buńczukach; ale że *pies niewierny* nie wart jest ogonów końskich, więc mu Sułtan przysyła buńczuk o trzech oślich, który właśnie zawierał ów pakiet. Redaktor tak był niemądry, że w pierwszym zapale gniewu, ogłosił znaczną nagrodę za wykrycie sprawcy tego żartu, i tym sposobem sam go podał do wiadomości powszechnéj. — Ale co ja tu piszę cudze anegdoty, mając tyle do pisania o sobie, że nie wiem, czy to wszystko w tym liście pomieszczę. Miěj więc je sobie dla opowiadania drugim, a sam słuchaj, co następuje.

Na tym samym wieczorze u księżny Dietrichstein, panna Anastazyja zawiadomiła nas, że już ma pozwolenie, (o które trzeba prosić osobno), na oglądanie Muzeum Watykańskiego — przy pochodniach; a że już zaprosiła na ten spektakl państwo Ankwiczów, ja więc tylko dodałem prośbę, aby mi wolno było przyprowadzić z sobą Garczyńskiego, Gajewskiego i Niegolewskiego, którego ja bardzo téż lubię. Sam *Visconti*, najślawniejszy z żyjących dziś archeologów włoskich, miał być — i był istotnie *Ciceronem* naszym, a to *gwoli* starego Bonstettena, dla którego téż

to właśnie panna Anastazyja urządziła całą tę artystyczno-estetyczną fetę.

O! gdyby było w mej mocy,
Pokazać ci to Muzeum;
Ten jakby z Tysiąca Nocy
Zaklęty gmach — *Elyseum*
Postaci, kształtów, lic, które,
Przez sztuki cudowną dzielność,
Ludzką już w sobie naturę
Przyoblokły w nieśmiertelność:
Tak, że stojąc między niemi,
Czujesz się jak ich towarzysz,
A zapomniawszy o ziemi,
Nie wiesz sam: żyjesz, czy marzysz?

Ale to jest wrażenie, nie obraz; a ja dałbym nie wiem co za to, gdybyś ty z opisu mojego, mógł choć raz, choć jak przez dziurkę od klucza, zajrzeć sam w głąb choć jednego z tych najpyszniejszych w świecie, tak zwanych *korytarzy*, a rzeczywiście sal, czy galerij, niezmiernej długości, (z jakich się składa całe to muzeum), wspartych na rzędach kolumn z najdroższego marmuru, porfiru, alabastru; brukowanych mozaiką; sklepionych arcy-dziełami malarstwa, w złotych ramach; a wypełnionych po obu stronach nieprzeliczoną mnogością posągów, biustów, pomników, i wszelkiego rodzaju arcydzieł rzeźby. Wtenczas dopiero mógłbyś chyba pojąć, jakie to czarnoksiężkie wrażenie sprawić mogło wejście i przejście po tych zda się nieziemskich gmachach, pograżonych w ciemnościach i ciszy nocnej, a oświetcanych tylko koleją czerwonawą łuną pochodni, w której białe postacie i twarze

posągów ukazywały się i znikwały jak widma — podobne też do zjawienia się duchów, obudzając w patrzących wzruszenie. Ale że ci, niestety, opisać tego nie umiem, więc musimy poprzestać oba na prozaicznych szczegółach: że było nas osób dwadzieścia kilka; żeśmy się zgromadzali w dziedzińcu tak zwanym *Belwederskim*, ze wspinałym portykiem dookoła, (który już sam od razu jak w nowy świat nas przenosił), a po czterech rogach którego są właśnie cztery osobne przybytki, (tak zwane *gabinety*), gdzie się mieszczą najświetniejsze, nie tylko w tém muzeum, ale i w całym świecie „cuda dłóta“: *Apollo* (Belwederski), *Laokoon*, *Antinous* albo *Merkury*, a z nowszych *Perseusz* i *Gladiatorowie* Kanowy. Od nich więc najprzód zaczęliśmy przegląd — i dobrze! Bo na „głodny ząb i łakome ucho“ ciekawości naszej, pierwsze obfite danie erudycy *Viscontego*, tak artystycznej, jak archeologicznej, nie tylko nie sprawiło przesytu, ale tycząc się owszem tych kulminacyjnych arcydzieł, poszło nam na istotny pożytek. Ale inaczej się rzecz miała, gdyśmy się zapuścili w nieskończony labirynt korytarzy, a przez trzy przeszło godziny będąc ciągle na nogach, tak wreszcie czuliśmy się znużeni, że nawet same panienki, które mię przedtém gromiły surowo za moje ciche apostrofy do nich, podczas uczonych wykładów profesora: teraz same, wymownym uśmiechem i westchnieniem, wtórowały parafrazie mojej sławnego wykrzyknika *Ryszarda III-go*, kiedy wołał o konia wśród bitwy: „*A horse! a horse! my kingdom for a horse!*“ (koniał koniał królestwo moje za koniał).“

Ja zaś wzdychałem nad uchem pańienek: „*Une chaise! une chaise! tout ce Musée pour une chaise!*” — A tymczasem niezmordowany Visconti zatrzymywał nas co chwila przed lada amorkiem, który mu się więcej podoba, (a zna je wszystkie, jak astronom gwiazdy), i wyczerpując do dna wszystkie jego zalety, sam się ich admiracją zapalał. Wspominałem sobie Byrona, który się uskarżał, że znienawidził Horacjusza dla tego, iż mu go nadto w szkołach admircwać kazano; i gdyby nie spotkanie się czasem z ciepłą rączką w cieniu, albo nie słówko ożywcze do ucha: zmartwiałbym i skamieniał od chłodu martwych marmurów. — Ale i wszyscy inni mieli już ich zadość; i nie z mniejszą radością, jak Orfeusz z Pól Elizejskich, (nie mówię z piekła), spojrzawszy u drzwi czule jak on po za siebie, wyszliśmy wreszcie na świeże powietrze. Panna Anastazyja podała projekt, aby korzystać jeszcze ze wschodu księżyca i przejść się po Watykańskim ogrodzie. Noc była przecudna: szmer fontann, śpiew słowików, cienie drzew, światło księżyca, i wonność balsamiczna w powietrzu, orzeźwiły nas i zachwyciły, a różnica wrażeń dzieł natury i sztuki, była przedmiotem długiej, zajmującej rozmowy, która się przeciągała jeszcze i przy wieczerzy u pani Klustin. Owoc jój w myśli mojej jest taki: Wszelkie, jakiegobądź dzieło sztuki, ma, i mieć musi koniecznie, swoją miarę porównania w naturze—bądź fizycznej, bądź duchowej człowieka, i najprzód podług téj miary jest, i być musi sądzone, nim na sławę i chwałę zasłuży. Dla dzieł natury, téj miary poró-

wnania nie ma ani w umyśle, ani w uczuciu, ani nawet w imaginacyi ludzkiej; przeto nie ulegają one żadnym poprzednim sądom, aby przez nie dopiero podziw albo uwielbienie obudzić. — W sztuce mistrzem jest człowiek, w naturze, Bóg-Stwórca. — Wrażenie najwyższych dzieł sztuki jest zawsze tylko pośrednie, umysłowe—ludzkie; wrażenie dzieł natury, bezpośrednio duchowe — Boskie. — Była więc, jak widzisz, mowa i o Bogu; bo nikt z biorących udział w tej rozmowie, (nie tak jak niegdyś Göthe z Queteletem w Wejmarze), natury nie brał za Boga, ani Boga za jedno z naturą.

Jeszcześmy siedzieli u stołu, kiedy zegar wybił dwunastą; i w tejże chwili wniesiono na blacie ogromną jakąś, szczególniejszą rybę, z rozdziawioną szeroko paszczą i nastrzępionemi skrzelami, w której pierwsza xiężna Zeneida odgadła, śmiejąc się głośno: *le poisson d'Avril*. Gdyż była to ryba cukrowa, nadziana wewnątrz lodami, a z uderzeniem dwunastej godziny nastął właśnie *Prima Aprilis*. Zaczęliśmy go więc bardzo wesoło, opowiadaniem różnych konceptów zwodzenia; i dopiero około drugiej, państwo Ankwiczowie odwieźli nas łaskawie do domu. Nie zasnęliśmy jednak zaraz, planując, w jakiby sposób zwieść zgrabnie nasze panienki. Plany się te nie udały. Ja zapłaciwszy dwa *paole* publicznemu *skrybie*, który zasiada codziennie na *Monte Citorio*, przynosząc z sobą składane krzeselko i stolik, a pisząc wszystko, czego kto zażąda: kazałem mu napisać *una lettera molto affetuosa* do nieznajomej jakoby osoby, którą

widuję tylko w kościele, ale dowiedziawszy się gdzie mieszka, uprzedzam ją, że za pierwszą jej po tym liście bytnością w tymże kościele, zbliżę się do jej ławki i powtórzę ustnie, co już tu sam pan *Scriba* powinien czule i pięknie wyrazić. Jakoż wywiązał się z tego dość zrecznie; ja tylko wcale niezrecznie kazałem zaadresować list bezimiennie „*alla bella Signora Polacca, Via Mercède N. 9.*“ Adress ten zdradził cel listu; a że przytém panienki domyśliły się źródła, więc go nam za przyjściem naszym nierozpieczętowany oddano, i to jeszcze z nadpisem na kopercie: *Prima Aprilis*. Adam zaś chciał był pójść, ale zalenił się i nie poszedł, do Stattlera, aby tenże w imieniu Craffonarego, który maluje portret panny Henryetty, wezwał ją, aby dziś o południu stawiała się na posiedzenie, koniecznie w sukni balowej, o co właśnie między nimi spór idzie. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że *Craffonari*, (najsławniejszy tu dziś portrecista), od kilku już tygodni pracuje nad tym portretem, i że Adam na każde prawie posiedzenie towarzyszy wraz z matką pannie Henryecie. Portret zaś jego samego wymalował już bardzo pięknie i podobnie kochany nasz i poczciwy *Stański*, (bo tak z polską przezwaliśmy Stattlera), którego piękną narzeczoną już znamy, a z nim samym w najprzyjaźniejszych zawsze jesteśmy stosunkach.

A teraz, „czas do méj treści! „*Now to my theme!*“ jak mówi Byron. Treścią albowiem główną tego listu, w myśli mojej przy jego zaczęciu, miała być właśnie trzecia nasza *Sielanka*, którą umyślnie tak długo

przedzieliłem od drugiej czém inném — choćby jak maślankę rumiankiem. „A znasz ty rumianek Rzymski?“ — Ja dopiero piérwszy raz w życiu dowiedziałem się o nim podczas téj podróży. I będziesz miał poniżej relacją o tém.

Dwaj dobrzy przyjaciele domu państwa Ankwiczków, x. *Proja* i x. Biskup *Castellani*, *Monsignor Sacrista de Sacri Pallazzi*, to jest mający dozór nad katakumbami i rozdawca relikwii śś., obaj z zakonu xięży Augustyanów, oddawna już namawiali samą panią hrabinę, aby odbyła pielgrzymkę do *Genezzano*, gdzie jest najpiérwszy klasztor tego zakonu, położony w górach *Abruzzo*, a słynący cudownym obrazem *Pocieszenia N. Panny*, który tam także cudownym sposobem, przed wieki z *Negreponu* się dostał. A że droga do *Genezzano* prowadzi przez *Palestrine*, a *Palestrina* jest to dawna *Preneste*, stolica Etrusków, to jest najdawniejsze z miast włoskich, przed przyjściem jeszcze *Eneasza* z *Troi*, przez *Cyklopów* dla syna bożka *Wulkana* stawiane: a zatém i sam pan hrabia, jako archeolog, oddawna pragnął je zwiedzić. A zatém, dnia 2 Kwietnia, to jest przedwczoraj, wyruszyliśmy tamże w tym podwójnym celu; raniéj niż kiedykolwiek, bo zaraz po szóstéj, i w trzech lekkich parokonnych powozach; bo zwykłe towarzystwo nasze powiększyło się o $\frac{1}{4}$, a to *plus* składali: *Stattler* i *Garczyński* z *Gajewskim*. Widzisz więc, że się *Garczyński* nawrócił. A jak? — Masz tu o tém jeszcze jeden epizod.

Prócz ciebie, w którym wszystko, co mi nie do gustu, gromię wręcz, jak z pistoletu: (bo wiem, że nie na wspaniałomyślnie przebaczysz); względem innych przyjaciół mam wzdry ten obyczaj, że gdy mi się w nich co nie podoba, upatruję chwili stosownej, aby im to gładko powiedzieć. Otóż nie podobało mi się w Garczyńskim, że nie pojechał z nami do Frascati. Ale nie mówiłem już nic o tém wróciwszy; a że i Adam także nic nie mówił: widziałem, że go to już trochę korciło. Tymczasem poszliśmy z nim we dwóch do Kolosseum, tegoż dnia, cośmy mieli być w wieczór w Muzeum Watykańskiem. On był mi wdzięczen za to, że pamiętałem o nim i wyjednałem dlań pozwolenie uczestnictwa. Z tego przysłała rozmowa serdeczna, a z téj rozmowy assumpt do wypowiedzenia mu tego, co mi ciążyło na sercu: to jest zdania o jego dziwactwach, i o przesadzie, choć w dobrém. Pokora, z jaką słuchał, wzmagając elokwencyą moją, tém bardziej, że była w niej w gruncie i *oratio pro domo sua*. Jak bowiem kiedyś czcigodny mój Mentor łajał mię i gromił straszliwie: że się wolę włóczyć, niż uczyć; wpatrywać się we wstążki, niż w książki; ja przeciwnie, w roli Mentora, zarzucałem memu Telemakowi, że poniewiera kwiatami życia; a że tego nie czyni dla zbawienia swéj duszy, więc musi chyba czynić dla pychy, choć ją ubiera w pozór cnoty obowiązku. Nie wyliczam ci wszystkich dalszych argumentów, któremi szermowałem jak szablą, kiedy się już ręka rozmacha; ani wiem, który trafił do jego przekonania. Ale dość, że

się musiał przekonać; bo rzucił mi się w końcu na szyję, i zowiąc mię szczęśliwym, sam, omal nie ze łzami, wyznawał że cierpi, i że sam sobie rady dać nie umie. Ja więc ofiarowałem się mu za lekarza, a pierwszy recept, który przepisałem, był ten, aby od panienek nie stronił, a z nami na *Sielankę* pojechał. Adam aż się trzymał za boki, kiedy mu opowiadałem tę scenę; to jest (mówiąc jego słowami), kiedy taki latawiec i próżniak, jak ja, *admonitował* takiego sensata i filozofa, jak on, a filozof słuchał jak student. Ty miéj w tém rys charakteru, czy raczój może tylko excentryczności Stefana; a z tego możesz wnosić, jak go można kochać. — Zgodził się więc jechać z nami; ale pod tym wszakże warunkiem, ażeby państwo Ankwiczowie zaprosili razem i Gajewskiego. Co kiedy nastąpiło — jedziemy. Adam i Strzelecki z damami; ja z Garczyńskim i Niegolewskim; sam pan Ankwicz z resztą towarzystwa.

Z Rzymu do Palestriny, jest około 5 mil naszych. Droga przez Kampanią nic już dla nas nie ma nowego; ale *ciceronuje* w niej za to Garczyńskiemu, który się wszystkiém zachwyca, i cieszy się, że mię posłuchał. Dzień prześliczny, ale zbyt już gorący. Biedne konie prawie ustają. O południu jesteśmy już na miejscu. Miasteczko brzydkie, (liczy 6,000 mieszkańców), a co gorsza, *locanda*, to jest oberża, szkaradna; a co najgorsza, to że nic w niej innego nie ma na śniadanie, prócz sałaty i fig suszonych. Ja upatruję w tém przymusową *wigilię* do jutrzejszój naszej pielgrzymki; ale wtém mądry Strzelecki wzbudza podziw ogólny

przezornością swoją. Wydobywa z powozu doskonałe *salami*, t. j. wędlinę, pieczeń, ciastka i pomarańcze, w które się zaopatrzył, nic nie mówiąc nikomu, i promienieje radością uprzejmego Amfitryona, widząc jak jego goście krzepią ochoczo siły przed archeologiczną wycieczką, w której on ma być *Ciceronem*.

Pierwszym jej celem jest *Monte di S. Pietro*, ogromna skalista góra, panująca po nad miasteczkiem, z ruiną średniowiecznego zamku, a raczej formalnej twierdzy, która się też *cytadellą* nazywa. Najpiękniejszą ozdobą tych ruin, są prześliczne festony bluszczu, rozwieszone wszędzie po ścianach i tworzące prawdziwe „zielone arabeski“. Dla nich samych jednakże nie warto byłoby piąć się w górę, a gorzej jeszcze schodzić, po usuwających się pod nogami kamieniach; gdyby trudu nie wynagradzał czarodziejski widok na całą Kampanię Rzymską i na otaczające ją góry i morze. Nasyciwszy się nim dowoli, i odpocząwszy, po zejściu, na ziemi w prześlicznym lasku sosnowym: idziemy widzieć owe sławne mury Cyklopów, budowane z ogromnych brył granitowych, które może nadzieją obrony ozuchwalając mieszkańców dawniej *Prenesty*, ściągały tylko na nich i na nią coraz nowe klęski i zniszczenie, i to w najodmienniejszych epokach i okolicznościach. Pierwszym, który miasto zburzył do szczytu, a mieszkańców w pień wyciął, był Sylla, podczas wojen z Maryuszem. Później wszakże on sam, na témże miejscu, zbudował tak olbrzymią świątynię Fortuny, że całe miasto dzisiejsze mieści się w obrębie jej ruin. Ale i ono samo jest już tylko

odroślą dwóch poprzednich *Palestryn*, większych daleko i bogatszych od terażniejszej, ale także po dwa-kroć, raz w XIII, drugi raz w XV wieku, zdobytych szturmem i z ziemią zrównanych. O tém wszystkiém nauczał nas Strzelecki podczas obiadu, którego naj-smakowitszą przyprawą był głód; a zaś największém uweseleniem wieczoru — rumianek. Pan Ankwicz czuł się niezdrów, i chciał się nim leczyć. Panienki same nawarzyły go tyle, że potóm chciały gwałtem wszystkich nim uraczyć. Ztąd opór, spory, żarty, i wesolość ogólna. Adam z wielką wymową bronił siebie i drugich, i nakoniec zmuszony uledz, przyjął to jako pokutę na intencją jutrzejszych penitentek. Ja wychyliłem duszkciem moję filizankę, zaimprovizowawszy piérwój czterowiersz:

Ha! gdy to ma być pokuta,
Muszę wypić, choć nie chce się.
Toć rumianek nie cykuta!—
Na cześć twoję, Sokratesie!

Rumianek rzymski wszakże nie jest tak zły, jak sobie wyobrażałem. Ma daleko więcej goryczy, ale za to mniej ckliwego zapachu, niżeli nasz zwyczajny. NB. trzeba go pić bez cukru.

Przed rozejściem się do snu, Strzelecki wystąpił z projektem, ażeby panie same jechały do Genezza-no, a mężczyźni tymczasem zwiedzili starożytną *Gabię*; ale to tak starożytną, że jakiś średniowieczny pisarz włoski powiada o niej: „że Romulus i Romus chodzili tam na akademię, na którą ich dziad Numitor wyprawił.“—Sam pan Ankwicz nie był od tego; ale

damy tak się tém obrażyły, że nawet nie protestując zdały to nam całkiem na wolę. Ja więc pierwszy podniosłem *veto*; ale to może nie miałooby skutku, gdyby zapytany z kolei Adam nie odpowiedział stanowczo, że jedzie do Genezzano, i „że woli katolicką pielgrzymkę, niż deptanie pogańskich ruin, których i tu już mieliśmy do syta.“ Projekt więc Strzeleckiego upadł; ale panienki, za sam jego pomysł, nie podały mu nawet ręki na dobranoc.

Ale noc ta i dla nas wszystkich nie mogła nazwać się dobrą. Mieściliśmy się jak śledzie w beczce; dla młodszych, łóżek i pościeli nie stało. Ja z Garczyńskim spaliśmy na wąziutkiej kanapce, z przystawionym szeregiem krzesel, twardych—ale gdybyż choć równych, jak deska! Mimo to:

Usnąwszy wesoło gwarząc,
Spaliśmy rozkosznie marząc,

z wielkiem niezadowoleniem musieliśmy wstawać i ubrać się o piątą, bo obudzili nas *wetturyni*, czyli raczej właściciele mułów, które zaprzężone już zamiast koni, brzękadłami upręży pod oknami *lokandy* dzwoniły. Konie nasze zostały w Palestrinie; gdyż droga do Genezzano jest tego rodzaju, że tylko albo na osiołkach kouno, albo mułami w zaprzęgu może być bezpiecznie przebyta. Kręta, stroma, urwista, wije się między dzikimi, skalistemi górami, niekiedy tuż nad brzegiem przepaści, w które koń łatwo by się uśliznął. My jednak ani pomyśleliśmy o niebezpieczeństwie, upajając się wonią górskiego powie-

trza i świeżością wiosennego poranku. Brak tylko śpiewu ptasząt i tu raził ucho.

Po dwugodzinnéj podróży w pustyni, ujrzeliśmy nakoniec przed sobą domki, rozrzucone na pochyłości góry i przyczepione do niej jak jaskółcze gniazda — (to *Genezzano!*)—i stanęliśmy wkrótce przed wspaniałym, jak na pustynię, kościołem, który wespół z poważnym, średniowiecznym klasztorem, cały spłaszczony wierzch góry zajmuje. Jakby na nasz przyjazd czekano—zaledwieśmy weszli do środka, ozwał się dzwonek, i tuż za nim organy, i solenna wotywa wyszła z zakrystyi, udając się do pięknej i bogatej kaplicy, gdzie się cudowny obraz Matki Boskiej znajduje. Wysłuchaliśmy więc najprzód mszy świętej, którą Adam całą przekłęczał; jak niegdyś w Ostréj Bramie ze mną, w dzień swego wyjazdu z Wilna. Po mszy, damy się spowiadały, my zaś tymczasem oglądaliśmy kościół. Ja wolałbym był raczej pójść za ich przykładem; ale nie czułem się dość przygotowanym, a *ex promptu* jakoś nie śmiałem; a wreszcie mam przed sobą cały wielki tydzień. Sam pan Ankwicz udał się do Przeora, z listem od x. Biskupa *Castellani*, który sam w skutek tego przyszedł do kościoła, i po udzieleniu Komunii świętej, damy i całe towarzystwo do klasztoru na śniadanie zaprosił. Klasztor jest bardzo czysto i porządnie utrzymany; sądząc zaś z wychodzących bez przerwy mszy w kaplicy i przy innych ołtarzach, wniesćby można, że liczba zakonników musi być bardzo znaczna. Zresztą potwierdzał to także i długi stół w refektarzu, na którym nam do śniada-

nia nakryto. Braciszek wniósł na tacy 12 białych kubków z uchami; w każdym na dnie były dwa żółtka, posypane miazko tłuczonym cukrem, które każdy z nas miał sobie rozbijać. Nie wiedzieliśmy co to znaczy, a Adam odezwał się głośno: „Muszą nas mieć za suchotników, kiedy każą nam pić *hogel-mogel*.“— Ale wnet tenże braciszek wszedł powtórnie z ogromnym imbrykiem, czy raczej dzbanem gorącej kawy, i nalewał ją nam upominając, abyśmy ciągle żółtka rozbijali. Smakuje to wcale nie źle; lepiej daleko niż z tutejszą śmietanką, która nawet nie ma pretensyi do tego tytułu, i po prostu nazywa się mlekiem. O mleko to nawet tak trudno w ogólności we Włoszech, że np. w żadnej kawiarni w Rzymie nie znajdziesz już po południu *café con lattè*. Bydło zazwyczaj pasie się przez całe lato w górach, i tam zaraz na miejscu robią z mleka séry na zimę. Miejsce masła zastępuje zwykle oliwa. Nam za ciasto do kawy służyły suszone grzanki i chleb świeży, źle wypieczony. Przy śniadaniu x. Przeor, rozmawiając z panem Ankwiczem, opowiadał ciekawe szczegóły o klasztorze, którego pierwszym fundatorem miał być sam Św. Augustyn, i o sposobie życia zakonników, którzy się sami trudnią gospodarstwem, i własnymi rękami uprawiają w ogrodzie owoce i warzywo. Zwiedzając po śniadaniu ten ogród, podziwialiśmy czystość, porządek i gust artystyczny w urządzeniu i utrzymaniu szpalerów, altan i kwiatowych klombów; nadewszystko zaś samo położenie miejsca i uroczystą jego spokojność i ciszę. Ztąd wywiązała się długa rozmowa

o życiu zakonném, w której Adam z takim przejęciem się i zapałem wykazywał jego konieczność w społeczeństwie ludzkim, i tak poetyckimi farbami kręślił jego duchowe rozkosze: że taki nawet przeciwnik, jak Strzelecki, musiał się w końcu uznać pekonanym: a zaś panna Marcellina, która jedna z pomiędzy nas wszystkich ma pociąg do tego życia, tak była poruszona słuchając, że aż łzy mimowolnie popłynęły z jej oczu. Zawstydzila się ich sama nieboga; ale łzy te nie spadły napróżno. Adam, ujrawszy je, spowzniał raptem, i pod ich to niewątpliwie wpływem, zakwitnął w myśli jego jeden z najpiękniejszych kwiatków poezji naszej, który ci tu wnet przepiszę. Bo o samym powrocie do Rzymu, nie mam nic ciekawego do opowiadania. W Palestrinie przemieniliśmy tylko znowu muły na konie, i po najędzniejszym śniadaniu, o 8 w wieczór zajechaliśmy wprost na *Via Mercède*, gdzie na nas z obiadem czekano.

Adam wiersz swój musiał ułożyć w drodze, bo go za powrotem do domu od razu na czysto napisał. Ty zaś miej go w tym liście za zielony liść palmy — w pustyni; bo dziś tu u nas palmowa Niedziela, która u was będzie dopiero za tydzień. Przyszły więc, da-li Bóg, mój list zaczę już chyba od *Alleluja*; a tymczasem na dzisiaj, *Vale!*

DO MARCELLINY ŁEMPICKIEJ.

W GENEZZANO.

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł.
Dziś tobie Anioł nie jeden zazdrościł.

Ty spuszczasz oczy, które Bóztwem gorą;
Jak ty mię swoją przerażasz pokorą!
Święta a skromna!—Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,
Tobie, klęczącej przed Barankiem Bożym,
Jutrzenka usta modlące się stuli.

Wtedy zlatuje Anioł twój obrońca,
Jasny i cichy, jak światło miesiąca:
Zasłonę marzeń powoli rozdziela,
A troskliwości pełen i wesela,
Z takim nad tobą schyla się objęciem,
Jak matka nad swém senném niemowlęciem.

Jeżeli promień nieśmiertelnej łaski
Zbyt żywo w oczach Anioła jaśnieje,
I gdy się senna zbyt żywo rozśmieję:
Anioł łagodnie przygasza swe blaski,
Stula nad senną zasłonę marzenia,
I odlatuje biorąc twe westchnienia.
Lecz nim odleci, kładzie wdzięki nowe,
Jak nowe suknie dziecięciu pod głowę.—
Tak się piastunka jego codzien budzi,
Z nową miłością u Boga i ludzi.—

Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył,
Gdybym noc jedną, tak jak ty, przemarzył.

XVI.

Do Ignacego Chodźki.

Rzym, 11 kwietnia 1830 r.—Wielkanoc.

Alleluja! Słyszę huk dział na zamku Ś-go Anioła i weselny odgłos dzwonów po mieście, i zerwałem się ze snu równemi nogami, aby wam pierwszym w téj chwili powiedzieć *Alleluja*. Co do opisu Wielkiego Tygodnia, który pamiętam że ci obiecałem, będziesz miał o tém osobny artykuł, i notabene w stylu literackim, bo mam go już zaczęty, i nie tylko dla ciebie i dla was, lecz i do przyszłorocznej *Meliteli* przeznaczam. W liście tym dodam tylko szczegóły o sobie, które prócz was nikogo obchodzić nie mogą, i nad którymi téż pisząc głowy sobie nie łamię. Że zaś nie jest to praca, a więc i żadne naruszenie święta: nie będzie zdaje się grzechem, że mając już pióro w ręku, dziś najprzód powiem ci o tém, cośmy robili między Palmową Niedzielą a Wielkim Czwartkiem, od którego się tu właściwie *Wielki Tydzień* zaczyna.

Otóż owéj Niedzieli byliśmy razem z Garczyńskim na uroczystéj processyi kardynałów z palmami, które najprzód kardynał Pacca, w zastępstwie Ojca św., poświęcił i każdemu z nich po kolei rozdawał. Widok rzeczywiście wspaniały; chociaż wspanialszym byłby

niewątpliwie w kościele Ś-go Piotra. Ale i ten i wszystkie inne wielko-tygodniowe obrządki, odbywają się tutaj nie w nim, lecz w pałacowej Watykańskiej kaplicy, zwaną Syxtyńską, która światową swą sławę zawdzięcza wszakże nie temu, ale znajdującym się w niej freskom Michała Anioła, między którymi, jak wiesz, pierwsze miejsce trzyma „Sąd Ostateczny.“ Tłok w nim lecących w piekło potępieńców, nie był większy od tłoku w kaplicy; a więc i my w niej piekliśmy się jak w piekle, a przynajmniej jak w łaźni. Za to rajskiej prawdziwie rozkoszy doznaliśmy tamże. we Środę, słysząc sławne *Miserere*, wykonywane przez samych śpiewaków, ale których głosy naśladują niekiedy różne instrumenta, a raczej są same jakby ideałem ich harmonii i wdzięku. Adam był w zachwyceniu, i mówi: że w Niebie chyba mogą śpiewać pięknie. Przy końcu zwłaszcza, cała masa głosów złączonych w jedno, jakby jakaś łuna świetlana, jakby jakaś ściana z kryształu, wznosi się, szczyrzy się, rośnie... i tak jakoś istotnie porywa za sobą, że gdy w końcu nagle zamilknie, czujesz się jakbyś został na powietrzu, z kąd musisz znów wracać na ziemię. Po błogosławieństwie Papieżkiem, jest to największe i najmilsze wrażenie z całego tu Wielkiego Tygodnia, które się jeszcze i w Piątek ponawia. Ale o tém niżej.

W Poniedziałek, po obiedzie u państwa Ankwiczków, korzystając z prześlicznej pogody, przyprowadziliśmy na koniec do skutku oddawna już ułożony projekt zwiedzenia przy pochodniach Forum i Koloseum. Obraz tego wieczoru stoi mi dotąd w oczach

jakby jakaś *Fata Morgana*. Kolosseum znasz pewnie z rysunku. Wyobrażaj więc sobie, co mówię. Blask ośmiu płomienistych pochodni, wkoło krzyża środkowego stojących, rozlewa się po całej arenie i krwawą łuną pełga i faluje po ścianach. Co w tych falach mogło się komu odbijać z przeszłości (ma się rozumieć „przed oczyma duszy“), to już nie do mojego obrazu należy. Ja tylko opowiadam com widział widomie.—Pochodnie rozbiegają się nagle, i na chwilę nikną w ruinie. Ale wnet zaczynają błyskać przez otwory, a niosący je, jak tancerze w kontredansie, wiedzą już widać z góry gdzie się zwrócić, gdzie stanąć, zkad je wytknąć i jak niemi wywijać, aby tworzyły zawsze jakby jedną umówioną figurę; jakby jakąś ciągłą konstellacją, nie gwiazd, ale iskrzystych, ogoniastych komet, od których smugi czerwonego światła, coraz zkad inąd padając z wysoka, co chwila nowe kształty zdają się nadawać arenie i coraz nową część ruin odsłaniają przed okiem. Ostatnią część tego spektaklu stanowi ukazanie się prawie razem na najwyższych dostępnych punktach, wszystkich tych ośmiu promienistych świateł, w których blasku, niosący je ludzie, wyglądają jak czarne djabełki; bo już ciż niepodobna równać ich do posągów, (które tam może niegdyś stały rzeczywiście), kiedy patrzącym z dołu nie zdają się większymi od kawek albo puszczyków: co właśnie w owej chwili, wystraszone ich światłem ze swoich kryjówek, migały z krzykiem nad naszymi głowami, częścią powiększając wrażenie, częścią tylko pobudzając do śmiechu.

że najwi
rozkoszno
i o której
do domów
nas upragi
dało się z
stin z córki
pp. Bonstet
dwaj nazajut
odbyć, i od
czą wycieczkę
Ostia sła
lewego ramien
z powodu *mala*
siebie być cele
Bonstetten chci
zwiedzał i opis
zamejskiej *wios.*
od Rzymu; droga
scu, oprócz gruzów
tysięczna lud...



towarzystwa, należy wyłącznie—morzu. A rozkoszowaliśmy się jego widokiem nie w Ostii, ale o parę wiorst ztamtąd, w *Castel Fusano*, prześlicznym zamku księcia *Chigi*, zbudowanym na miejscu sławnéj niegdyś villi Pliniusza młodszego, *Laurentium*, którą on sam podobno bardzo pięknie opisał. Pałac leży śród lasu, nie parku, sosnowego i dębowego, który się aż do morza i wzdłuż brzegów jego rozciąga. Dzień był jasny, słoneczny, ale wiatr silny i ciągły. Fale jak pasma gór śnieżnych, wznosiły się jedne nad drugie i literalnie piętrzyły się w obłoki. Ja raz piérwszy widziałem rozhukane morze. Widok na pozór jednostajny i nudny, a jednak tak wciąż nowy i pociągający, jak życie — nawet gdy los niém nieraz jak wiatr morzem miota. My pod zasłoną rozłożystych dębów, sami prawie nie czuliśmy wiatru; ale szum jego i świst po gałęziach, zlewał się, jak napowietrzny akkord, z szumem i rykiem bałwanów, rozbijających się o brzegi i konających prawie u stóp naszych. Wrażenie było nie do opisania. Żal nam było odejść nawet na obiad. Przyniesiono go więc nam nad morze, i zastawiono pod drzewami na ziemi. Ucztowaliśmy prawdziwie po rzymsku, wpół leżąc; a rozmowa była tém żywsza, że musiała, by się dać słyszeć, przewycięzać szum lasu i morza. Adam właściwie nie improwizował, ale widocznie był w nastroju ku temu, i w tém niekiedy co mówił, było tyle i takiej poezyi, że zachwycona panna Anastazyja, wpół żartem zrobiła uwagę, że duch Wirgiliusza tak może stoi przy nim w téj chwili, jak niegdyś z Dantem spacerował po piekle.

Virgiliusz albowiem i jego *Encida* były głównym przedmiotem rozmowy; gdyż byliśmy właśnie w okolicach, gdzie się część jej akcji odbyła, a które kiedyś Bonstetten opisał. Mielśmy nawet ochotę zwiedzić stolicę Turnusa, *Ardeg*, ale czasu na to nie stało. Mnie zaś z owego *dictum* panny Anastazyi, wiesz jakie przyszło do głowy wytłumaczenie naszego przysłowia: „Tłucze się jak Marek (czy jak mara) po piekle?”— Oto, że pierwiastkowo nie był to ani *Marek*, ani *Mara*, ale *Maro*. Ktoś może z naszych kiedyś panów czy uczonych, którzy sami uczyli się w Padwie, użył go dla popisu ze swojej znajomości *Komedyi* Danta; a dworzanie albo uczniowie, powtórzyli je szlachcie; w ustach której, nieznany jej łaciński *Virgilius Maro*, przemienił się w polskiego *Marka* albo *Marek*. Adam śmiał się z mego domysłu, chociaż przyznał, że nie jest całkiem, albo mniej bez sensu, jak tyle innych etymologicznych wywodów.

Ale dość już tego bazgrania! Adam śpi jeszcze, a trzeba go budzić; bo niezadługo czas iść do kościoła, gdzie mamy widzieć celebreg i wielką benedykcyą Papieżką. A więc raz jeszcze *Alleluja!* i na dziś *Vale!*

12 kwietnia, w nocy.

Otóż już i po świętach! a nim ci powiem, jak nam one przeszły, masz najprzód obiecany:

WIELKI TYDZIEŃ W RZYMIE.

Być we Włoszech, a nie być w Rzymie podczas Wielkiego Tygodnia, jest to podług przysłowia: być

w Rzymie a nie widzieć Papieża; grzech równie nieodpuszczony w oczach ciekawych podróżników, jak sędziów, którzy ich kiedyś za powrotem do kraju mają badać i sądzić, jak użyli czasu podróży. To też będąc już w Rzymie, dosyć jest wyjść przed Niedzielą Kwietną na gościńce ku miastu wiodące, ażeby się przekonać o natłoku ciekawych pielgrzymów. Mówię *ciekawych* tylko, gdyż pomimo usiłowań najwyższej wyobraźni, trudno jest w modnych koczykach, pozłocistych landarach, opakowanych wetturach, przy odgłosie trąbek pocztarskich, lub aryj z nowych oper, przez wetturynów śpiewanych, dopatrzeć owych dawnych pobożnych pątników, co z brzemieniem tylko swych grzechów, w kapturze i włosienicy, z kosturem w ręku i torbę na plecach, szli piechotą z najdalszych krain na miejsce powszechnego odpustu, pokutne psalmy śpiewając. Wprawdzie i to powiedzieć trzeba, że ktoby dziś z takim uczuciem przybył do stolicy chrześcijaństwa, dla obchodzenia najświętszej w chrześcijaństwie pamiątki; dla zbudowania się widokiem obrzędów, w najwspanialszej na świecie świątyni, przez najwyższego naczelnika wiary odprawiać się mających; jakżeby się zadziwił, zgorszył, albo zasmucił, widząc, iż oprócz jednego tylko błogosławieństwa Papieża, wielkiego rzeczywiście i uroczystego obrzędu, wszystkie inne zdają się być zamienione na jakieś sceniczne widowisko, pokazywane za biletami, dobrze jeszcze że niepłatnymi, i przeznaczone jedynie dla zwabienia i zabawy cudzoziemców, po większej części różnowierców (Anglików), a to tak dalece, że żaden rodowity

Rzymianin, a cóż dopiero ubogi pielgrzym, biletów tych nawet dostać nie może. Pielgrzym taki, gdyby był z naszego kraju, potałowalby może nieraz owych prestych, ale pełnych wracenia obrządków swego parafialnego kościoła, gdzie wszystko w dniach męki Pańskiej nosi cechę opustoszałego domu, którego Pan leży na marach; owego grobu w clemnicy, otoczonego ludem pełnym wiary, modlącym się i płaczącym, jakby nad rzeczywistym grobem Zbawiciela; owój nakoniec rezurekcyi nocnej, gdy z łona grobowego milczenia, przy zmieszonym odgłosie trąb, dzwonów, mōdzierz y i organów, zabrzmie nagle wesōle „Alleluja,” rozjaśniā się ołtarze i ściany, a promienne monstrancjum, z grobu wyjęte, zabłyśnie nad ukorzonym ludem, jak widomy symbol zbawienia, wschodzącego dla nas z bram śmierci...

Nic z tego nie znaleźć w Rzymie. Wszystkie obrzędy odbywają się tu nie w kościele Ś-go Piotra, jakby się spodziewać należało, lecz w prywatnej kaplicy Papezkiej, Syxtyńską zwanęj, i w ciasniejszych jeszcze pokojach Watykańskiego pałacu, zdolnych ledwo pomieścić dziesiątą część widzów, tłoczących się jakby na teatr. Nic nie pomogā bilety, przez kardynałów lub posłów zagranicznych dawane. Trzymający straż Szwajcarowie, w ubiorze z XIV wieku, w pancerzach, pstrych kubrakach, czerwonych pończochach i okrągłych kapeluszach z piórami, odpychają halabardami, bez różnicy płci i wieku, tych wszystkich, co albo się już zmieścić nie mogą, lub się im nie podobają z pozoru. Wynikające z tego zgiełk, zamieszanie i często

formalne bitwy, mącą na samym wstępie wszelkie religijne uczucie. Szczęśliwy, kto się wędrze przebojem, lub czyhając na wejście którego z kardynałów, uczepli się kraju szat jego, i pchając go bez ceremonii przed sobą, ustrzeże się ręki Szwajcara, co go zwykle chce schwytać za kołnierz. Myśmy w tém byli szczęśliwsi od drugich, i to dość osobliwym sposobem, bo za pomocą znajomego nam kalwińskiego pastora z Genewy. Krewny jego, naczelny dowódzca Szwajcarów, dał nam niemniej osobliwe bilety: imię swoje napisane na dwójce i trójce żółdnej, z wycisnioną na laku pieczęcią. Na widok tego talizmanu, halabardy schylały się przed nami, lub same rozpędzały tłumy, niechęcace ustąpić nam z drogi. Tym sposobem, we Czwartek, o godzinie szóstej rano, dostaliśmy się do kaplicy Syxtyńskiej. Nabożeństwo zacząć się miało o siódméj; ale nikt na świecie nie potrafiłby zgadnąć nie widząc, na czém schodził czas oczekiwania Anglikom i Angielkom, składającym przynajmniej połowę zgromadzenia. Oto na jedzeniu i wzajemném częstowaniu się śniadaniem, którego nie pospieszyli zjeść w domu. Z worków, z koszyków, z papierków, wychodziły koleją ciasta, bułki, a nawet grzanki chleba z masłem, nakładane wędliną, i znikały pod białemi, jak wilcze, zębami wyspiarzów, którzy nawet ust chustką zakrywać nie raczyli.

Oburzający ten widok, więcej niż tłok i gorąco, wyгнаł nas z kaplicy na korytarz, gdzie jak łódź na uwięzi, pochylani ustawicznie w tę i ową stronę ruchem skupionego tłumu, równo z końcem nabożeń-

względem nich tego obrzędu dopełniał. Ojciec Św. po odmówieniu obrzędowej modlitwy, przepasuje się białym płótnem, i mając po za sobą kilku kardynałów, niosących miednicę, nalewkę i ręczniki, zbliża się po kolei do każdego z pielgrzymów, i powitawszy go niskim ukłonem, leje wodę na obnażone nogi, i otarłszy je potem ręcznikiem, całuje. Tak mię przynajmniej zapewniali stojący bliżej, gdyż sam za tłumem pocałowania dójrzyć nie mogłem. Pielgrzymi w czasie umywania nóg zdejmują czapki, i zaraz po umyciu otrzymują z rąk kardynała ogromny pęk kwiatów, przez Papieża wprzód poświęconych. Po skończonym obrzędku, udają się rzędem do przyległej sali, gdzie na nich czeka stół zastawiony obficie i uwieńczony kwiatami, a którego nakrycie i osobne przed każdym zastawione potrawy i wina, może każdy z nich zabrać z sobą do domu, lub komu się podoba odesłać. Na ten koniec, za każdym stoi ogromny kosz, do którego sładzy półmiski i butelki pakują. Jeden tylko z pomiędzy trzynastu, Polak, xiądz Zamojski z Galicyi, (gdyż sami tylko xięża kapłani na pielgrzymów wybierani bywają), przypadający na siebie udział, darował usługującym do stołu sługom papieżkim.

Aby wyjść z obiadowej sali pielgrzymów, chcąc nie chcąc trzeba przechodzić przez drugą, gdzie wszyscy kardynałowie u jednegoż stołu jedzą Wieczerzę Pańską. Posągi dwunastu Apostołów z lanego srebra, służą za wspólną ozdobę stołu. Zresztą każdy kardynał je osobne potrawy, z własnej kuchni, na srebrze i porcelanie z własnego swego kredensu, mając

za krzesłem dwóch lub trzech służących w liberyi i częstując niekiedy przysmakami znajomych sobie widzów. Wszystko to ma pozór *pańskiego* obiadu, ale nikomu pewno z chrześcijan nie przypomnieliby *Wieczery Pańskiej*.

Jestto ostatnie Wielko - Czwartkowe widowisko w Watykanie, na które wygłodniali od rana widzowie cisną się z niezmordowaną ciekawością, jakby się chcieli nasycić zapachem kardynalskich przysmaków. Wyszedłszy ztamtąd, odetchnęliśmy świeżem powietrzem dopiero o godzinie 4-tėj po południu.

Z większym bez porównania uczuciem, widzieliśmy nazajutrz wieczorem, w klasztorze *Trinità dei Pellegrini*, umywanie nóg siedmdziesięciu prawdziwym pielgrzymom, przez jednego z kardynałów, (xięcia Odescalchi), i kilku pierwszych panów świeckich, którzy im sami potem usługiwali do stołu. Klasztor ten z przeznaczenia swojego obowiązany jest, ze składkowych dochodów, dawać pomieszkanie i żywność przez trzy dni wszystkim przybywającym do Rzymu pielgrzymom. Wzruszający był widok ludzi z różnych stron i krajów, po większej części starców, w ubiorze pielgrzymkim, siedzących u jednego stołu, połączonych braterstwem wiary, ugaszczanych w imię Chrystusa! Wieczernę ich składały: makaron, ryby, suszone winogrona, jabłka, chleb, woda i wino. W oddzielnych izbach, gdzie mężczyznom wchodzić nie wolno, pierwsze damy rzymskie oddają równaż posługę pielgrzymkom.

W Wielki Piątek, groby ani tak pięknie przybrane, ani tak tłumnie odwiedzane, jak po naszych miastach. W Watykanie Grób Pański urządony jest w kaplicy Paulińskiej i odznacza się tylko pięknym oświetleniem. Nad wieczorem w kaplicy Syktyńskiej ponawia się sławne *Miserere*, wykonywane przez śpiewaków papieżkich, które już tamże odbywa się najprzód we Środę. Trudno jest oddać słowami urok tej muzyki wokalnój; to tylko można powiedzieć, że żadna muzyka na świecie nie zdołałaby sprawić równie wzruszającego wrażenia. Głosy naśladowują doskonale różne narzędzia muzyczne: flet, harmonikę, a niekiedy brzmienie organu. Samo *Miserere* nie trwa dłużej nad 20 minut, ale poprzedzone jest śpiewaniem psalmów, podczas których gaszą kolejną wszystkie światła, palące się w świeczniku obok ołtarza, tak, że śpiewanie samego *Miserere* odbywa się w zupełnej ciemności, co też niemało wrażenie jego powiększa. Po ukończeniu, kardynałowie, wraz z ludem, udają się processyą do kościoła Ś-go Piotra, gdzie następuje ukazywanie z krążanku relikwii św. Krzyża i chustki św. Weroniki, z wizerunkiem oblicza Zbawiciela. Kardynałowie i lud cały na kolanach cześć im oddają.

W Wielką Sobotę, bazylika św. Jana Laterańską jest przedmiotem ciekawości ogólnej. Tam bowiem rano przede mszą odbywa się uroczysty obrzęd chrztu nowo-nawróconych: Żydów, Turków, lub heretyków, a to z chrzcielnicy Konstantyna W., z której on sam był niegdyś ochrzczony. Podczas mszy następuje

konsekracja xięży, a nakoniec święcenie wody. Właściwej Rezurrekcyi nocnej ani wieczornej tu nie ma; zastępuje już ją msza ranna, podczas której *Alleluja* śpiewają.

W pierwszy dzień Święta, równo ze wschodem słońca, huk dział i dziwnie wesoły odgłos dzwonów (*en carillon*) po mieście, jest pierwszym odpowiedniem uroczystości hasłem. Na wałach zamku Św. Anioła zatknięte białe chorągwie, z herbami miasta Rzymu i panującego Papieża, powiewają nad drogą do Ś-go Piotra wiodącą i same ją zdają się wskazywać. Mszę św. przy środkowym ołtarzu odprawia zwykle sam Papież, siedząc na tronie, twarzą obrócony do ludu; po bokach, podług starszeństwa, siedzą rzędem kardynałowie i biskupi, w pontyfikalnych ubiorach, a sześciu z nich w ornatach służy do mszy Ojcu Św. Wspniany jeszcze widok z drugiej strony ołtarza! Cały kościół Ś-go Piotra napełniony ludem! który się w nim nawet pomieścić nie może, i widać przez drzwi otwarte, jak z odkrytymi głowami cały plac i krużganki zapełnia. Po skończonem nabożeństwie, obie massy łączą się z sobą na placu, oczekując na błogostawieństwo Papieża.

Ktoby chciał choć w najmniejszej części pojąć wielkość i wrażenie tego obrzędu, niech nie zważa na słowa opisu; ale jeśliby widział choć rycinę Rzymu, niech sobie wystawi w myśli ów przepyszny plac Św. Piotra, z facyatą kościoła jego w głębi, z olbrzymimi krużgankami po bokach, z dwówa najpiękniejszymi w świecie wodotryskami i obeliskiem w pośrodku,

zamknięty z czwartej strony od miasta kilkudziesięciu rzędami powozów, napełniony kilkunastu albo i więcej tysiącami ludu, oczekującego z religijném wzruszeniem na ukazanie się i błogosławieństwo Namiestnika Chrystusowego; a nad tém wszystkiém błękitne niebo włoskie i pogodne słońce kwietniowe! Powietrze drży od gwaru i migoce od blasku. Wtém w głębi ciemnego okna, nad przysionkiem kościelnym, promień słońca odbił się o coś jasnego — i błysnął jak błyskawica. W jednej chwili cichość powszechna; wszystkich oczy w jeden cel wryte! Jasność w oknie powiększa się, wysuwa, i jednym razem, za pomocą urządzonéj ku temu maszyny, ukazuje się nad przysionkiem Papież siedzący na tronie, w białych szatach, w tyarze, otoczony kardynałami w purpurze, w półkole stojącymi za tronem. Huk dział, dźwięk dzwonów, odgłos tręb, bębnow i rozstawionych muzyk, zabrzmiały razem jak piorun, i również nagle zamilkły. Papież powstaje z tronu, podnosi obie ręce ku Niebu, i modli się za lud, nad ludem. Cichość, jakby nikogo nie było; wrażenie nie do opisania. W téj chwili nikt zapewne z obecnych nie myśli o różnicy wyznania.

Papież opuszcza ręce, i zwracając się na trzy strony, błogosławi „miastu i światu“ (*urbi et orbi*). Znów działa, dzwony, bębny i muzyka jak przedtém—zmieszane niespodzianie tą razą z ogólném rżeniem koni, przerażonych widać tém nagłym przejściem z milczenia do wrzawy, ale które dziwnym sposobem we wrażeniu się ludzkim odbiło!... Cały lud upadł na kolana w pokorze i w milczeniu, jak gdyby po przyjęciu

Sakramentn ołtarza. Papież usiadł znowu na tronie; chwilę jeszcze pozostaje na miejscu; powtarza błogosławieństwo siedzący, usuwa się w głąb okna, i znika.

Kto raz był świadkiem téj chwili, na pewno nie zapomni jój nigdy!

Wieczorem uroczę oświetlenie kopuły i kościoła Ś-go Piotra, a nazajutrz wspaniały fajerwerk, tak zwana *Girandola*, na zamku Św. Anioła, kończą uroczystości świąt Wielkanocnych w Rzymie.

Tyle jest słów artykułu dla mającój go czytać w druku publiczności; ale dla was muszę jeszcze dodać słoweczko o illuminacyi i fajerwerku, o których w nim dla tego tak tylko krótko wspomniałem, że się nie czułem na siłach powiedzieć tego, co chciałbym, i jak warto. Jest w tém coś tak cudnego, tak czarodziejskiego, że nie mogę przewieść na sobie, abym choć jak zwierciadło *zajęczka*, choć jak isierki ich blasku, na myśl waszą nie rzucił. Zamknij więc najprzód oczy i wyobraź sobie plac i kościół Ś-go Piotra, które wiem że znasz pewnie z rysunku. Kopuła wielka i obie poboczne; cały fronton kościoła, i oba plac otaczające krużganki; wszystkie spojenia dachu, wszystkie gzemsy, podstawy i kapitele kolumn; słowem wszystkie punkta wydatne, gdzie się lampy utrzymać mogą; wszystko to gore, płonie, pała — i to nie migotnemi, osobnemi lampami, jak u nas, ale osłoniionemi papierem, napuszczonym oliwą, przez który płomienia nie widać, ale tylko nieruchomy blask jego zlewa się

w nieprzerwane linie światła, które, jak hafty ogniste, znaczą wszystkie kontury rysunku téj najwspanialszój na świecie budowy. Najwyższa część kopuły z oknami, tak zwana *latarnia*, (tą razą prawdziwie czarnozięzka), zdaje się być całkiem przejrzystą, a krzyż górujący nad banią, na tle czarném nocnego błękitu, świeci zda się między gwiazdami, jak jakaś nowa konstellacya niebieska, przy której wszystkie dawne blednieją. Wszystko to zapala się za dnia; tak, że gdy zmierzch padać zaczyna, cały ten ogrom ognisty zjawia się jakby sam przez się, i tylko coraz widomięj występuje, zadziwia, zachwycal... Ale myślisz że na tém koniec? Gdzie tam! To tylko podmalówka obrazu. Punkt o godzinie dziesiątej, słyszysz trzykrotne uderzenie we dzwonek. I oto z wierzchu i z dwóch ramion krzyża wybuchły razem trzy ogniste pochodnie; i w téjże chwili, w témże okamgnieniu, dachy kopuły, kościół, krużganki, oblały się podobnemiż ogniami, jakby grad meteorów osypał je z góry. Potop nowéj światłości lunął jakby falą po ziemi, i błyskawicą odbił się na niebie. „*Fiat lux*“ w całym znaczeniu, przy zasiewie firmamentu gwiazdami! — Ale jakże się to dzieje? zapytasz. Muszę ci dać zaraz odpowiedź, abyś mię nie posądził, że przesadzam czy kłamię.

Do obsługi kościoła Ś-go Piotra, do utrzymania w porządku i czystości wszystkich jego szczegółów i części, od podziemia do szczytu krzyża, jest cała osobna klasa ludzi, (zwanych téż *Sanpietrini*), którzy się gnieźdzą, rosną, wychowują i żyją tylko w cieniach jego dachu, a jak strzelcy alpejscy po skałach,

tak pną się, skaczą i biegają po gzemsach, szczytach i stromych wyżynach, gdzieby żaden inny śmiertelnik ani się wdrapać, ani ostać nie mógł. Otóż ci *Sanpietrini* stanowią właśnie ową maszyneryą, za pomocą której ta się cudowna zmiana dekoracyi odbywa. Rozstawieni po dachach i gzemsach, każdy ma do zapalenia nie więcej nad trzy pochodnie, połączone pomiędzy sobą siarkowanym sznurkiem, tak, że za przytknięciem doń lontu, wszystkie się zapalają od razu. Operacya ta wszakże tak jest niekiedy niebezpieczną, że wszyscy biorący w niej udział spowiadają się zwykle rano, jak żołnierze przed bitwą, i rzadko się podobno bez przypadku obywa. My nie przedtém nie wiedzieliśmy o tém, i dobrze! bo nam żadna myśl smutna uroku wrażenia nie psuła. Oglądaliśmy zaś to wszystko najprzód z daleka, z *Monte Pincio* i innych punktów miasta, a potem z placu przed kościołem Ś-go Piotra, stojąc we trzech. (t. j. my dwaj i Garczyński, za otwartą landarą państwa Ankiewiczów, jak zwyczajne *trio* lokajskie za każdą kardynalską karetą. Damy wprawdzie chciały koniecznie zaprosić Adama do środka, ale on miejsce tam swoje ustąpił pani Węsierskiej z córeczką, która wraz z nami była na *Święconim*.

Święconie to na *Via Mercède* odbyło się całkiem po polsku: licząc w to hojność, świetność i uprzejmość przyjęcia. Było osób przeszło czterdzieści, prawie wszyscy bawiący w Rzymie Polacy, a nadto dwóch Biskupów i kilku *Monsignorów* Włochów. W środku stołu figurował baranek z chorągiewką czerwoną

z białem, a obok najrozmaitszych ciast, wędlin i zwierzyny, były też polskie baby i mazurki, fabrykacy domowej, tudzież indyk z nadzianiem i dwoje prosiąt, z chrzanem w zębach. Ten ostatni specyał sprowadzony był umyślnie zdaleka, i to zwłaszcza *gwoli* Adama, który kiedyś mówił o sobie, że go to za dzieciństwa najwięcej na *święconém* bawiło. A przypomnieliśmy też wszyscy nasze czasy dziecinne, assystując w Sobotę poświęceniu stołu. Obrzędu tego dopełnił młody xiądz Polak, z Galicyi, którego wtedy widzieliśmy raz pierwszy, i tyle tylko wiedzieliśmy o nim, że się nazywa Zamojski. Ale nazajutrz przy święconém wszczęła się mowa o wieczery pielgrzymów w sali watykańskiej, i ja między innymi opowiadałem mój podziw i pokusę pożądlivosti na widok nadzwyczajnej wielkości pomarańczy, smażonej w cukrze, a wieńczącej, jako korona, piramidę z ciast i cukrów przed jednym z pielgrzymów; o czém zaraz tamże na miejscu Adamowi mówiłem. Ledwom skończył, pani Ankwiczowa z uśmiechem szepnęła coś do ucha panie Marcellinie, a ta wyszedłszy na chwilę, wraca wnet niosąc pompatycznie na tacy, i ofiaruje mi tę samą pomarańczę—o! dziwy! Wtedy to dowiedzieliśmy się dopióro, że x. Zamojski, za rekomendacją pani Ankwiczowej, był także jednym z pielgrzymów; że przed nim to właśnie stała owa pomarańcza, i że on, korzystając z przywileju, lubo całą resztę potraw i nakrycie służbie papieżkiej darował, ten jeden wszakże półmisek z cukrami excypował dla siebie, i takowy, w hołdzie wdzięczności, protektorce swojej odesłał.

Słyszając to Adam, oświadczył głośno i uroczyście, że od dziś dnia rozstaje się ze mną, a to biorąc za przykład mądrego Solona, który uciekł od Polykratesa, widząc, że mu się wszystko nazbyt wiedzie i składa po myśli. Ztąd długa, gwarna i wesoła rozmowa o szczęściu, która całe młodsze towarzystwo przy święconém zajęła, a skończyła się wniesieniem toastu za zdrowie i za spełnienie *wszystkich* życzeń Adama. Był to żart, niby dla ubłagania go dla mnie; ale w tonie wielu życzących nie trudno było odgadnąć myśl głębszą, którą, sądzę, że i sami gospodarze pojęli, a biedna panna Henryetta płoniła się ciągle jak róża. Obyż się te życzenia ziściły!

Ale miałem ci jeszcze powiedzieć o fajerwerku, czyli tak zwanój *Girandoli*, która się w drugi dzień święta na wałach zamku Ś-go Anioła odbywa i z której właśnie przed godziną wróciłem. Jestto to samo dziwowisko ognia, tylko że na „*inszy manier*:" w iluminacyi, z góry na dół; w *Girandoli*, z dołu do góry. Sam okrągły kształt wałów i położenie ich nad samym Tybrem, dziwnie się już na scenę fajerwerku nadaje. Za daném hasłem z działa, trzy najprzód ogniste balony wzniosły się jednocześnie w powietrze; i tuż zaraz kilkaset rac razem śmignęło w górę z całej okrągłości wałów, i cały zamek osypało gwiazdami; i tuż zaraz ściany tych wałów zapłonęły w ogniste festony, z herbem papieżkim i z tyarą w pośrodku. A cóż dopiero mówić o różnobarwnych młynkach, kołach, fontannach, kaskadach, które wciąż, siejąc iskry i gwiazdy, kręciły się, tryskały i spadały do Tybru,

dwojąc się w jego falach i gasnąc w nich z trzaskiem i sykiem; aż nakoniec wybuch wulkanu, zionąc tysiącami szmermelów i tęczowym ogniem bengalskim, zamknął to dwugodzinne cudne widowisko. Gdyby za czasów Nerona znano proch i pirotechnikę dzisiejszą, nie potrzebowałby palić Rzymu, aby się dziwom ognia przypatrzeć, i pewnoby na takim fajerwerku poprzestał.

Widzisz więc z tego wszystkiego, że jest mi czego powinszować świąt w Rzymie; a że list ten jest już do wodem, że mimo tylu i tak nowych wrażeń, ciągle jednak myślałem o was: toć nam, zdaje się, wszelkie prawo myśleć, i że wy też dzieląc się jajkiem, cząsteczkę jego, przeznaczoną dla mnie, rozdzielicie pomiędzy siebie.

My jutro raniuteńko z pp. Ankwiczami jedziemy na cały dzień do Tivoli, a potem mamy jeszcze w projekcie dalsze peregrynacje za miasto. A więc tymczasem *Dobranoc*, i na dziś, *Finis!*

XVII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 14 kwietnia 1830 r.

Tłómaczu Horacego! wiem, że tobie gwoli
Powinienbym szeroko pisać o Tivoli,
Gdzieśmy wczoraj dzień cały, jak on co rok latem,
Poili się téj saméj aury aromatem,
Zachwycali wzrok temiż wdziękami natury,
Patrząc na Rzymskie pola i Sabińskie góry,
I nastawiali ucha na szum téjże wody,
Przy którym on tam może skandował swe ody,
Lub słodkim, jak my wczoraj, lubując się wczasem,
Spacerował z Wirgilim, albo z Mecenasem.

Ale cóż, kiedy ja sam w téj chwili jestem tak niewyczasowany, zmordowany i roztrzepany, że ani sposób myśleć o skupieniu myśli; i przez gwałt tylko biorę pióro do ręki, aby choć tylko dla ciągu, naszkicować jako tako to *wczora*; bo na *dziś* i na *jutro* mamy już tak szczelne programy, że innéj chwili na to mieć nie będę; a zaś pojutrze znowu wyjeżdżamy w góry, i to na całe trzy dni, do *Subiaco*. Szczęściem, że droga idzie przez Tivoli, gdzie znów pewno popasywać będziemy, a więc będę mógł jeszcze dodać co, albo sprostować. I w tym celu list ten myślę wziąć z sobą i kontynuować w podróży, gdzie i jak

wypadnie. A kto wie nawet, czy tój samėj metody nie zastosuję i do następnych listów przed wyjazdem z Rzymu. Bo wyjazd ten ma nastąpić z początkiem maja; a tyle jeszcze mamy do widzenia, tyle rzeczy do załatwienia, tyle wizyt do oddania, że na długie pisanie czasu pewno nie będzie. A zresztą każdy dług łatwiej spłacać ratami, niżeli ryczałtem.

Ale jedźmy już do *Tivoli*! — Towarzystwo to samo, co do *Genezzano*. Garczyńskiego nie trzeba już było namawiać. Recept mój poskutkował widocznie. Panienki mówią już o nim: że miły; a on mi sam powiada, że ani wiem, ani domyślić się nie mogę, co dlań i ile dobrego zrobiłem. Intryguje mię to moje niewiadome dobrodziejstwo, ale dałem już pokój próżnym zapytaniom, i tylko jako dobrodziej śmielój hołdu posłuszeństwa wymagam i drappuję się w toge Mentora. On się temu bez oporu poddaje, i kochamy się wzajem coraz bardziej. Otóż tedy jedziemy do *Tivoli*. Ja dla miłości jego, żeby jechać z nim razem, rzekłem się nawet miejsca w powozie z damami, które na mnie przypadało z kolei, i odstąpiłem je znowu Strzeleckiemu. Chociaż była w tém i druga przyczyna.— „*Vivre et laisser vivre*,“ jest to moja ulubiona dewiza. A że lubię sam Ignąć do ludzi; więc téż nie czuję większej przyjemności nad tę, jak kiedy mogę kleić i wiązać między sobą tych, których sam lubię. Na Strzeleckim przekonałem się niedawno, że i egida Minerwy nie zastania śmiertelnych od strzał Kupidyna. Poznawszy go, byłem pewny, że on kamiennym tylko boginiom hołduje; aż tu

raptem niespodziewanie błysło mi nowe światło, jak *sajączek* w oczy. Widzę, że w obec panny Marcelliny, uczony nasz archeolog podziela los Pigmaliona; bięda tylko, że bardzo wątpię, czy mu ta nowa Galatea da się wywieść ze stanu zimnego marmuru. Tém bardziej wszakże chciałbym mu dopomódz, że się także dowiedziałem przypadkiem, iż mię z początku miał i brał za rywala, i szlachetnością tylko swego charakteru musiał zapewne w sobie przewycięzać uczucie, jakie w nim to przypuszczenie względem mnie mogło obudzać. Teraz to już całkiem minęło; i choć nie jestem jego konfidentem, on wie jednak, że go odgadłem, i odtąd w całym postępowaniu mojem widzi we mnie szczerego swego sprzymierzeńca, który mu choć w ten sposób chciałby odwdziżyć przysiężki w interesach Adama. Interessa te, od świat zwłaszcza, zdają się stać lepiej, niż kiedy; i przeto wszyscy w różowych humorach, jedziemy i dojeżdżamy nakoniec do Tivoli—ominąwszy po drodze, jak i ja tu omijam, siarczane jezioro *Solfatara* i sławny grobowiec rodziny *Plautia*, do pomnika *Cecylii Metelli* podobny; oraz sławniejszą jeszcze *Villa Adriana*, którą dopiero mamy zwiedzić wracając.

Tivoli, dawne *Tibur*, ulubiona niegdyś rezydencya letnia wielkich panów i poetów Rzymskich, jest dziś bardzo ładnym miasteczkiem, na pochyłości skalistego wzgórza, porośłego lasem oliwnym. Oprócz historycznych pamiątek i malowniczych widoków, zaleca się i słynie zwłaszcza swemi wodospadami, jak *Szaffuza* kataraktą Reńską. Rzeka *Anio* albo *Anie-*

ne, zwana dzisiaj powszechnie wielkim, a raczej grubym Tybrem, *Teverone*, (gdyż jest to zgrubiałe nazwanie Tybru (*Tevere*), odpowiadające naszemu *Tybrzysko*), roztrąca się tu i przedziera przez skały, znac trzęsieniem ziemi rozpadłe, i z szumem, rykiem, łoskotem, hałasem, wali się z wysokości w przepaście, tworząc większe i mniejsze kaskady, tak zwane *Cascatelle*, które w piękności nie ustępują Alpejskim. Po nad główną, nad samém urwiskiem góry, wznosi się owa sławna świątynia Sybilli, która za wzór służyła Puławskiej. Niewielka, ale prześliczna i dobrze zachowana. Kształt ma okrągły, i otoczona kolumnami. Druga obok czworograniasta, miała być świątynią Westy, a dzisiaj jest kościołem Ś-go Jerzego.

Napatrzywszy się z góry skoków katarakty, poszliśmy widzieć ją z dołu, na samo dno przepaści, do tak zwanój *Grotty Neptuna*. Jest to pieczara, albo jama w skale, nie wykuta, lecz naturalna, gdzie zapieniona woda lecąc z góry, wpada, „wre, szumi, i huczy, i pryska;“ kłębi się i paruje jak w kotle na ogniu; aż jak z kamiennój wanny, za wyjęciem szpuntu, leci gdzieś dalej w otchłań niedojrzaną. Jeśli może pamiętasz w *Fire-Worshippers* (Czcicielach Ognia) Moora, opisanie podziemnej jaskini, przez którą Gwebry płyną ze swą branką:

„Gloomy, as that eternal porch,
„Through which departed spirits go.“

(Czarnój jak brama, przez którą z ohydą,
Po strasznym sądzie potępieńcy idą);

to masz wyobrażenie i téj, i drugiej jeszcze podobnej-
że pieczary, zwanéj *Grotą Syren*, po drugiej stronie
tęjże katarakty, gdzieśmy omal nie pokręcili karków,
schodząc po stroméj, wązkiej, a ślizkiej od błota ście-
zynie. Nie szliśmy jednak wcale z miną potępień-
ców, podając rękę aniołkom; a co we środku, to uba-
wiliśmy się owszem po studencku, oblewając się na-
wzajem wodą, co nas już sama przez się oblewała ro-
są. Było to na pamiątkę wczorajszego *Szmigustu*.
Adam tak mi chlusnął za kołnierz obiedwiema rękami,
że literalnie na plecach byłem zmokły do nitki,
i bałem się żeby febry nie dostać. Śpieszyliśmy więc
wyjść co prędzej na słońce, nie uważając wcale na
uczony wykład Strzeleckiego, który damom początek
i znaczenie *szmigusowego* zwyczaju tłumaczył. Za
czasów pogańskich było to ku czci bogiń rzek i jezior,
w chrześcijańskich zaś zostało jako pamiątka chrztu
ludu za Mieczysława. Panienci téż nie bardzo słu-
chały, i więcej je zajmowały wyścigi nas młodszych,
cośmy się chcieli przez to rozgrzać i rozruszać.

Od Zachodu góra, na której leży dzisiejsze Tivoli,
dzieli się od przeciwnéj głębokim wąwozem, który stano-
wi główną piękność miejsca. Do niego to spadają sławne
Kaskatelle, tworząc rzekę płynącą w głębi.
Pierwszy spad ma dwa piętra i pięć głównych gałęzi;
drugi i trzeci liczą ich także po kilka. Pochyłość
przeciwnéj góry porosła starym lasem oliwnym; owoc
z drzew dotąd niezabrany. Przeszedłszy most nad
częścią rzeki zwanéj *Wodą Złotą*, wchodzi się do
Villi Mecenas, nad samym spadkiem kaskatel, pa-

nującej nad całym wąwozem, z widokami na Kampanię Rzymską i na góry Sabińskie. Obwód jej rozciągał się niegdyś szeroko; pod nią zaś podziemnym tunelem przechodziła jedna z wielkich dróg Rzymskich, *Tiburtina*. Dotąd widać ślady portyków otaczających niegdyś wewnętrzny dziedziniec, gdzie było pewnie miejsce biesiad i rozmów uczonych, a także i ślady piwnic, z kąd też pewnie przynoszono ów *Falern*, z którego biesiadnicy czerpali natchnienie. My także naśladowaliśmy ich pod tym względem, tylko że pijąc *Bordeaux* a nie *Falern*; i to nie w tej klassycznej villi Mecenasa, ale w sąsiedniej romantycznej *Villi d'Est*, gdzie Ariosto, jak mówią, bawiąc na dworze właściciela jej, Kardynała, większą część swego *Orlanda* napisał. Widocznie Muzy lubiły to miejsce, choć w innej zapewne toalecie wdzięczyły się do Ariosta, niż do Horacyusza albo Katulla, którego villa jest także w pobliżu. Horacyusz miał swoją dalej w górach, gdzie dopiero w Piątek będziemy. Tymczasem z rozkazu pana Ankwicza przyniesiono nam do villi d'Est nasze zapasy podróżne i parę potraw z oberży, i chociaż pod cieniem cyprysów, biesiadowaliśmy bardzo wesoło. Nadewszystko radbym ci powtórzyć *in extenso* długą i nader ożywioną rozmowę, *à propos* Horacyusza, w której Adam, jak najzarliwszy klasyk, z zapałem godnym Koźmiana, stawał w obronie piękności formy i języka w poezyi, w której Garczyński, Strzelecki i panienki samych tylko wysokich myśli i uczuć szukali. Cała różnica między nim a warszawskimi naszymi klasykami jest w tém, że ci panowie

w formie i języku widzą tylko architektoniczny porządek i retorykę stylu, on zaś pod temiż samemi wyrazami rozumie harmonią, ton i koloryt słowa, bez których żadna sama myśl i uczucie poezyi nie stworzy; kiedy przeciwnie sama piękna forma i język, niezależnie nawet od treści, mogą obudzać poetyckie wrażenie, jak melodia piosnki, nócna bez wyrazów. Są nawet poeci, którym sama forma i język imię to zapewnia, chociaż pod względem treści, do retorów właściwiej należą. Takim jest u nas Trembecki. Wiész, jak go Adam uważa za mistrza, i jak wszystkim nam kazał studyować go i uczyć się na pamięć; kiedy tymczasem Krasicki, prawdziwy i wielki poeta, pomimo całej doskonałości formy i języka, która słuszną admiracją obudza, za wzór w tym względzie drugim służyć nie może; bo jest to jego przyrodzona własność, która stanowi wprawdzie cechę każdego istotnego poety, ale sztuką drugiemu naśladować się nie da. O to szła właśnie gorąca dysputa, w której ja byłem tylko jak zakrystyańczyk, dosypujący do trybularza kadzidła, to jest, zdobywałem się na cytaty przykładów ku poparciu twierdzeń Adama. Między innemi przytoczyłem téż i twoję strofkę:

„Po dolinie
Brenta płynie,
Po niej pływa cień gondoli.
Z szumem wiosła
Fala niosła
Tęskną nótę barkaroli.“—

Adam zaś, *à propos* otaczających nas cyprysów, deklamował z niemniejszym upodobaniem, i to po razy kilka, wiersz Olesia:

„Cyprys wzrostem swym dumny,
W Maju nawet ponury,
Smutnie wznosi do góry
Kształt grobowej kolumny;“—

mówiąc przytém, że za każdym spójrzeniem na cyprys, wiersze te przychodzą mu na pamięć. Ale nie widziałem go nigdy tak rozpływającego się nad pięknością wiersza i tak deklamującego z rozkoszą i zapalem, jak gdy cytował strofkę Trembeckiego:

„Czy to Lapońskie zaprzęzesz renny,
Które cię w szybkiej przyszłizną sani,
Czy to z odwagi chcąc być imienny,
W Mongolfiera nawiedz nas bani.“

Powtarzał to razy z dziesięć, zmuszając wszystkich słyszeć i widzieć w tych wierszach: i brzęk dzwonek zimowej uprzęży, i połysk gładkiej drogi po śniegu, i szybkość koni i jazdy, i nakoniec poważne wzdymanie się balonu!...

Pomimo wszakże wszystkich tych cytów i przekonywań, pokazało się nakoniec, że my tylko, uczniowie Borowskiego, mamy widać wszczepione nam przezeń to jakieś muzykalne poczucie i upodobanie w samej harmonii słów i rytmu wiersza, bez względu na myśl jego i znaczenie. Adam zaś za powrotem do domu, szeroko o tém rozmawiając ze mną, uważał owszem za dobry symptom w ogóle czytelników, że

się nie dają uwieść samej formie; chociaż to wcale nie powinno zwalniać piszących od jak najtroskliwszego baczenia na formę. Bo jakkolwiek może profani doskonałości jej nie potrafią ocenić szczegółowo; usterk każdy niezawodnie poczują; a przez to i ogólne wrażenie się spaczy.

Ale masz tobie! Miałem pisać króciutko, a widzę że znów wpadłem w zwykłą moją wadę—gadulstwo. Wybacz! nałóg druga natura. Zatoż nie wrócę już do Tivoli, chyba znowu pojutrze, i o *Villi Adriana*, którą przelotem tylko przebiegliśmy o zmroku, przelotem też powiem tylko, co ona jest: bo jak jest, to sam chyba pojutrze lepiej za dnia obaczę.

Wiész, że kiedyś Rzymianie, podbijając kraje, nie tylko królów ich, ale i bogów zabierali w niewolę, i przewiózłszy w tryumfie za wozem zwycięzcy przez Róme, stawiali ich potem w Panteonie. Otóż coś na wzór tego, Cesarz Adryan, objechawszy swe państwo, cokolwiek widział w niém gdzie pięknego, pod względem architektury, chciał to zawsze mieć przed oczyma, i w tym celu wybrawszy sam stosowne miejsce, kazał na niém budować wierne kopie wszystkich tych gmachów, które mu przed innemi utkwily w pamięci. Tym sposobem powstał prawdziwy „Panteon gmachów,” jak go trafnie nazwał Garczyński, to jest, na przestrzeni mającej obwodu dwie mile nasze, stanęły obok siebie najpiękniejsze: świątynie, teatra, cyrki, thermy, łuki, portyki, egipskie i greckie, otaczające pałac cesarski. W ogrodzie zaś urządzono

podobieństwo najświetniejszych okolic, jak np. dolinę *Tempe*, *Pola Elizejskie*, *Tartar*, i t. d. Nieprawdaż, że rezydencya wspaniała? Ale dzisiaj z tego wszystkiego to tylko *ruina ruin*, emblemat do dewizy: „*Sic transit gloria mundi!*”

Dla rozrywki więc téj smutnej myśli, masz tu jeszcze anegdotkę o Adamie, która nam śmiechem wczoraj zakończyła dzień. Powróciwszy o 11 do domu, długośmy jeszcze gadali. Lampa paliła się na stole. Adam tak był zajęty przedmiotem rozmowy, że wypaliwszy jedną fajkę, z pośpiechem nałożył drugą, i trzymając ją w ustach wspartą na stoliku, zaczął krzesać ogień krzesiwkiem. Rozumiałem że go to bawi, i nic nie mówiłem. Ale gdy wnet uderzywszy się w palec, rzucił z gniewem krzesiwko o stół i zrobił gest jak do wyjścia—co się często zdarzało—po ogień do kuchni; parsknąłem śmiechem wskazując na lampę. Rozśmiał się także szczerze, i *diapazon* rozmowy z poważnego przeszedł w wesoły. Adam obiecuje mi wydać świadectwo na piśmie, z przyłożeniem herbowej pieczęci, dla przesłania go Czeczotowi, że jestem dlań nie tylko dogodnym, ale potrzebnym i pożytecznym towarzyszem podróży. *Vale!*

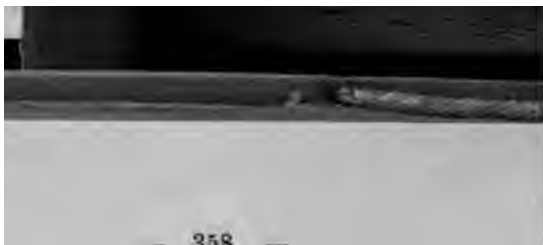
15 kwietnia, rano.

Macedończyk Wodzicki dawał nam wczoraj obiad pożegnalny *al Lepre*, bo za dni kilka wraca do Kra-

kowa. Od czasu marsowej jego względem mnie intencji, żyliśmy z nim w ściślejszej unii niż przedtém. Czystej krwi z Lechitów Lechita! Serce złote, ale głowa jak balon. Kierować się nie daje, ale buja zawsze wysoko.—Obiad był bardzo wesoły. Było osób jak raz dwanaście, i to z różnych okolic kraju. Adam z przedziwnym dowcipem charakteryzował odcięcia każdej. Dostało się przytém każdemu; ale się nikt za prawdę nie gniewał. Gdy zaś przyszło do *kochajmy się*, Judasza pewno między nami nie było.—Przed obiadem Adam zaprowadził do państwa Potockich i zaprezentował im Karczewskiego, o którym przedtém już mówił. Skutkiem tego zamówili u niego kilka obrazów z widokami Rzymu, a uprzejmą grzecznością ujeli samego artystę. Obie panie szczególnie, (pani Arturowa i pani Alfredowa), są dla mnie ideałem powagi i wspaniałości królewskiej; co w nich wcale nie zmniejsza uprzejmości, ani słodczy niewieściego wdzięku.—Następnie oddaliśmy kilka wizyt *pour prendre congé*, między innymi u Verneta. Z miłą panną Luizą rozstaliśmy się bardzo serdecznie. Obiecała że nie zapomni o nas, i wyznała: *qu'elle aime beaucoup les Polonois.* — Z obiadu wprost, z połową gości, poszliśmy do Parczewskiego, i przebyliśmy tam cały wieczór. Ma się niby to lepiej. Doktor wysyła go w góry.

Tak więc za dni niewiele rozpiezchniemy się wszyscy w różne strony świata. Bo i księżna Zeneida, z całym domem, wyjeżdża też na czas jakiś w góry. Państwo Ankwiczowie wracają do Galicyi, ale

znów na rok przyszły mają przybyć do Rzymu. Strzelecki z młodym xięciem jedzie z nimi razem. Jedna tylko pani Klustin, z panną Anastazyą, wybierają się w jedną drogę z nami, do Neapolu, a potem ztamtąd do Genewy, gdzie i my także w końcu lata być mamy. Zapraszają nas bardzo uprzejmie szanowni ziomkowie Tella, którzy sami także w tych dniach uciekają ztąd od skwarów i *malaryi* na brzegi błękitnego *Lemanu*; a najukochańszy mój staruszek Bonstetten obiecuje zaprezentować mię wszystkim najpiękniejszym jego Ondynom, od których on sam, jak stary fenix na stosie od słońca, czerpie siłę na przyszłe odrodzenie. Od poczciwego także Allana miałem list z Neapolu, przed samém wsiadaniem na okręt, na którym do Kadyxu popłynął. A mieliśmy téż listy z Wejmaru. Pani Ottilia bardzo czule pisała do Adama, oświadczając mu uprzejmą pamięć *Papy* i wszystkich innych mieszkańców Wejmaru, w których wspomnieniach on, (jak się wyraża), „jasny ślad swego przejścia zostawił.“ Pan August wybiera się do Włoch; i sam w przypisku do listu żony dodaje: że w każdym mieście będzie się dopytywał o nas w ambasadach, żeby się z nami mógł spotkać. My tymczasem w tych dniach już niewątpliwie czekamy tu przybycia Adolfa (Januskiewicza), którego dotąd stan zdrowia zatrzymywał po drodze. Tak to ludzie, jak paciórki w kalejdoskopie, zbiegają się i rozbiegają w tém życiu, tworząc coraz to nowe grupy i figury! W ilu to już takich figurach i ja także figurowałem, a składające je niegdyś pació-



reczki, gdzie się to już do dziś dnia nie rozsypały po świecie, i pewno się już na nim w tę samą figurę nie zbiegna! Bogu dzięki przynajmniej — i daj Boże w dobrą chwilę powiedzieć! — że żadna z tych, które były najbliżej, (oprócz jednego Ludwika Spitznagla), nie stoczyła się dotąd w otchłań wiecznego rozstania. I gdyby mi dziś umrzeć przyszło, to kto wie, czy nie najlepszym może moim *ciceronem* w świecie duchów, byłby właśnie ten sam Emmanuel Lachnicki, który mi tu najwięcej mówił o duchach; i takby może uprzejmie oryentował mię na tamtym świecie, jak raczył oryentować w Warszawie. Bo nie wiem czy ty wiesz lub pamiętasz, że jadąc pierwszy raz do Warszawy z moim krewnym w r. 1825, zjechaliśmy się na popasie za Grodnem z Lachnickim, który jechał też swemi końmi, i odtąd ja całą dalszą podróż z nim razem w jego powozie odbyłem. To zaś musisz wiedzieć na pewno, że był to swego czasu najgorliwszy *Magnetyzer* w Wilnie; redaktor i główny autor „Pamiętnika Magnetycznego,” który własnym kosztem wydawał. Otóż główna nasza rozmowa w podróży była ciągle o świecie duchów, których ja się naówczas po studencku tylko lękałem, a on przeciwnie z niemi po bratersku w myśli obcował. I, Panie świeć nad duszą jego! nauczyłem się wtedy od niego wiele dobrych rzeczy, które tém głębiej utkwily mi w pamięci i w sercu, że będąc wkrótce świadkiem jego chwil ostatnich, i patrząc potem na wyraz pięknej jego twarzy na marach, poczułem po raz pierwszy sam w sobie, że śmierć nie jest tak straszną jak ją malują,

kiedy się ją z krzyżem w sercu spotyka, a idzie się za nią w świat duchów. Mimo to, nikt pewno rzewniej nademnie nie płakał po nim w Warszawie; tém bardziej, że cała wtedy Warszawa była głównie zajęta pogrzebem Staszica.

Ale nie myśl, że piszę to dla tego tylko, aby ćwiartkę czémkolwiek zapełnić; gdyż jest to owszem w związku z programem naszym na dzisiaj, i w ogólności z zamiarem moim, ażeby ci w tym liście coś o wszystkich tu bliższych naszych znajomych powiedzieć. — Otóż obiadujemy dzisiaj u państwa Dernałowiczów, to jest, właściwiej mówiąc, u niej saméj; bo on sam możeby nas nie prosił, a mybyśmy téż może nie poszli do niego. Ale co u niej, to ja zwłaszcza bywam najczęściej jak mogę, i niestety, widzę coraz wyraźniej, że dni jéj są policzone, chociaż sama wcale tego nie czuje. Biedna kobieta! nie dla tego, że ma umrzeć tak młodo, ale że musi umierać, kiedy tak jeszcze żyć pragnie. Nieraz słysząc ją projektującą na przyszłość, czuję jak mi się łzy cisną do oka, i prawie zawsze wtedy myślę o Lachnickim, o którym téż i bez tego codzień przy pacierzu wspominam. — Zatoż wieczór dzisiejszy obiecuje nam być bardzo wesołym, bo razem z całym polskim towarzystwem jesteśmy zaproszeni do xięstwa Sanguszków. Xiężna Iza codzień piękniejsza!

Dnia 16 kwietnia, godzina 5 rano.

Wychodzimy na *Via Mercède*, zkąd mamy jechać zaraz do *Subiaco*. Półarkusz ten biorę z sobą,

wraz z kałamarzykiem podróżnym, aby nań tuż *in loco standi* jak mak świeże wrażenia otrząsać.

Godzina 10, Villa Adriana.

Ach! co za ranek! ach! co za wonność!
Ach! co za drzewa! co za zieloność!
Istny tron Fauny, Flory i Wiosny!
Mirt, laury, dęby, cyprysy, sosny,
A takie stare, olbrzymie, dziwne!
I pełne jagód lasy oliwne,
I pełne kwiatów łąk ich kobierce,
Tak rozrywają oczy i serce,
Że choć chcesz myśleć o miejsc tych losie,
Jak o umarłych w Wilnie na Rossie ¹⁾:
Darmo! bo urok życia natury
Tak bije na cię z dołu i z góry,
Że ani sposób czuć, choć pamiętasz,
Że ten gaj, ogród, Eden—to cmentarz!

I oto masz sumę wrażeń, jakie wynoszę z Villi Adriana, gdzieśmy przez całe dwie godziny nie chodzili, ale biegali, uciekając od Strzeleckiego, który chciał nam wszystko tłumaczyć, podczas kiedy my tylko z wszystkiego chcieliśmy zbierać samę śmietankę wrażeń. Teraz trzeba już jechać, bo pan Ankiewicz pędza, a Strzelecki tuż przy mnie kłóci się z panienkami, zarzucając im i całej płci niewieściej, że dla sensacyj po drodze, gotowe zawsze zapomnieć

¹⁾ Nazwanie jednego z cmentarzy Wileńskich.

o głównym celu podróży.—Piszę to na zwaliskach tak zwanych *Cento Camarelle*, to jest koszar gwardyi Pretoryańskiej, które były tuż obok pałacu Cesarza.

Godzina 1 po południu, Vicovaro.

A co to jest Vicovaro?
Młyn, w wąwozie, nad pieczarą,
Albo raczej nad otchłanią,
Gdzie się wody rzeki *Anio*
Walą, pienia, wrą, bałwanią.
A nad niemi, w kształcie łuku,
Most aż zda się drży od huku,
Jak my na nim, patrząc w przepaść,
Drżym ze strachu, by w nią nie paść.
Teraz panowie i panie
We młynie jedzą śniadanie,
Ja to piszę na kolanie,
A wnet mamy wsiąść na osły,
By nas dalej w góry niosły.

Bo wśród tych to gór (Sabińskich) leżała sławna owa villa Horacyusza *Ustica*, której ślady mamy oglądać; i najpiękniejsza droga tędy do Subiaco jest tylko dostępną dla osłów, albo dla tych, co sami jak osły wolą iść raczej, tak jak ja, piechotą. Do Tivoli aniśmy zajrzeli. Zostawiamy to sobie na powrót.

Godzina 3, Colle del Postello.

Tak się nazywa dziś miejsce, gdzie miała stać jakoby villa Horacyusza; głyż prócz sztucznego znać

nasypu ziemi, tworzącego spłaszczony pagórek, żadnych ruin nawet nie widać, a wkrąg na nim zasiane proso, odejmuje mu nawet poważny pozór mogiły. Tuż po za nim wznosi się góra *Monte del Corgnalletto*, o której poeta w swych wierszach pod imieniem *Lucretilis* wspomina; nazwisko zaś bliskiej wioski *Rustica*, widocznie od dawnego *Ustica* pochodzi.— Nie było więc tu po co drapać się po górach. Ale droga piękna i miła. Strzelecki deklamuje wyjątki z *Ód* i *Listów*; Adam idzie tuż przy osiołku panny Henryetty, który zląkł się był czegoś i omal jej nie rzucił. Ja także deklamuję czasem to i owo, i asystuję zwłaszcza samej pani Hrabini, która mię za to z osiołka parasolką swoją osłania. W ogólności wesoło i gwarno; wszyscyśmy w różowym humorze; a choć upał nieco dokucza, cień drzew i wonny powiew górskiego zefiru odświeża powietrze i myśli. Odpoczęliśmy, i ruszamy dalej.

Godzina 7, Subiaco.

Uf!!! Po sześciu godzinach wędrówki, można w siódmój, i warto odpocząć. *Locanda* wcale nie zła; mamy pokój osobny o dwóch łózkach. Adam wylega się na swoim, a jest bardzo kontent z podróży. Ja też, jak ów Dafnis w sielance, przypędziwszy „ucieszne kozy:“

„Przylegnę, i strudzenia, lubo snem swobodnym,
Lubo będę zabywał“—(on co nie był głodnym,
Łatwo sobie mógł mówić), „śpiewaniem łagodném;“

ale co ja, to chyba dymem cygara będę oszukiwał podniebienie, nim nas zawołają na obiad. Ale u was dziś Wielki Piątek; więc nawet poczuciem głodu miło mi jest łączyć się z wami.

Godzina 11 w nocy.

A co to jest Subiaco? Jest to dość spore miasteczko (6,000 mieszkańców), jak wszystkie średniowieczne włoskie, ciasne, ciemne i niezalecające się czystością. Ale położenie malownicze: na pochyłości skalistej góry *Cavo*, ślicznym gajem porostej; nad głębokim wąwozem, między nagiemi, wysokimi skałami, w który rzeka spada kaskadą. Sława atoli miejsca, która nas tu ściągnęła, polega mianowicie na tém, że tu powstał najpierwszy klasztor Benedyktynów, a przedtém jeszcze sam Św. Benedykt, założyciel zakonu, w końcu V wieku, trzydzieści lat na pustyni przemieszkał. Siostra tylko jego, Św. Scholastyka, nie chcąc rozdzielać się z bratem, którego całą duszą kochała, wybłągała téż sobie pozwolenie, aby mogła w pobliżu jego, także jako pustelnica zamieszkać. Dziś obok grot w rozłomach skały, w których żyli samotnie oboje, raz na rok się tylko widując, wznoszą się piękne kościoły i klasztory Benedyktynów i Benedyktynek, sławne jako pomniki architektury gotyckiej z XI i XIII wieku. Wszystko to mamy zwiedzać i oglądać jutro, pod przewodnictwem zapewne samego Opata, do którego pan Ankwicz ma list polecający z Rzymu. Dziś tylko po obiedzie, prawdziwie Wiel-

ko-piątkowym, odbyliśmy po piętych pielgrzymkę do obu tych groć pustelniczych, a wspominając wpływ i zasługi zakonu Benedyktynów w chrześcijaństwie i cywilizacji nowożytnej, Adam zestawiał te groty z widzianą dzisiaj rano Villą Adriana. Tam pan świata, nazwany i mieniący się Bogiem, buduje sam sobie, jak Bogu, najwspanialszy na świecie przybytek, bo ze wszystkich najwspanialszych gmachów świata złożony; a jakaż zeń korzyść dla świata? jakiż po nim ślad dzisiaj na świecie? Tu człowiek przez miłość dla Boga wyrzekający się świata i ludzi, aby tylko swą duszę, na obraz Boski stworzoną, za śladem Syna Bożego, ku doskonałości Ojca przybliżyć: staje się, nie myśląc sam o tém, jednym z największych dobroczyńców świata i ludzkości, cywilizatorem barbarzyństwa, krzewicielem rolnictwa i oświaty. I oto po upływie czterestu wieków, kiedy na całej kuli ziemskiej, tysiące w imię jego wzniesionych przybytków, chwałę jego niejako z chwałą Bożą jednoczą: sama ta dzika jaskinia, w której krył się przed światem, jest dziś przedmiotem czci pobożnej dla tych, którzy z obojętnością, jeżeli nie ze wzgardą, przed godzinami kilku gruzi villi Cezara deptali. A tenże sam Totilla, król Gotów, który właśnie villę tę zburzył, czyż on sam, jak powiada legenda, nie upadł na kolana przed tym pustelnikiem, ślubując zaprzestanie okrucieństw, o które go mąż święty, bez względu na swe własne bezpieczeństwo, strofował? Trzebaż wymówniejszego dowodu, kto rzeczywiście rządzi i panuje nad światem: Cezar, czy Bóg? ciało czy duch? albo wyrazistszego

symbolu, gdzie duch taki, który Bóg bierze za narzędzie swoje, woli i może raczej rezydować na ziemi: czy w Villi Adriana, czy w jaskini Subiaco? to jest, czy w potędze i pysze światowej, czy w świętości i w pokorze chrześcijańskiej? Adam mówił to wszystko tak prosto, ale zarazem z takim namaszczeniem, że go wszyscy jak kaznodziei słuchali, i nikt nie śmiał wziąć tego za temat do potocznej dalszej rozmowy. Ja tylko nieco później, pozwoliłem sobie tej przyjemności z Garczyńskim, że przedłużałem dalej tęż miarę porównania pomiędzy Św. Benedyktem a Heglem *et Compagnie*. Dobranoc!

Subiaco, 17 kwietnia, godz. 6 rano.

Dzień dobry! Nie śpię już od godziny. Obudził mnie szczególniejszy jakiś gwar pod oknami. Spójrzę, aż tuż na placu fontanna kamienna, otoczona żelaznym poręczem, a wkoło niej tłum dziewcząt większych i mniejszych. (*Notabene*, kobiety w tych okolicach słynne są z piękności, i ubiór mają bardzo malowniczy, tak, jak np. u nas w Biłgoraju). Otóż mnóstwo tych miłych żyjątek, z kształtnymi miedzianymi naczyniami na główkach, przychodzi wciąż i odchodzi, i kupi się, i śmieje się, i gwarzy, i swawoli, czerpiąc wodę z fontanny. Bawił mię niezmiernie ten widok, ale póki spał Adam, okna otworzyć nie śmiałem. Ubrałem się tylko co prędkiej, i gdy się nakoniec obudził, otworzyłem, i zacząłem się kłaniać bardzo grzecz-

nie przez okno. Postrzegły to i raptem zamilkły; ale wszystkie patrzyły ku mnie, a niektóre i główką kiwały nawzajem. Adam zburczał mię po mentorsku, grożąc, że jeszcze Włoch jaki gotów przyczepić się i sprawić mi za to *bastonadę*. Nie dla tego jednakże nie mogłem zejść na dół, ale że wszyscy zaraz idziemy do kościoła.

Godzina 3 po południu.

Upał taki straszny na dworze, że choć smaź naleśniki na słońcu. To też odbywamy *siestę*, siedząc każdy w swym kącie, z żaluzyami zamkniętymi u okien, a po klasztornym obiedzie u OO. Benedyktynów. Jesteśmy więc jak prawdziwi pielgrzymi, których zwykle podejmują klasztory. Ojciec *Tommaso*, Opat, poważny i uczony jak widać człowiek, robił nam sam honory domu, pokazując po nabożeństwie kościół, klasztor i ogrody klasztorne, gdzie sami xięża, stosownie do reguły zakonu, uprawiają jarzyny, zboże i wino. Opisywać ci tego nie będę, równie jak i kościoła Św. Scholastyki, dokąd z polecenia Opata przewodniczył nam także bardzo poważny kapłan, *Padre Benedetto*. Wspomniałem już zdaje się wyżej, że to są sławne zabytki najdawniejszej gotyckiej architektury we Włoszech. Wprost ztamtąd, mimo grot świętych, powróciliśmy na godzinę pierwszą, na zaproszony obiad w refektarzu, gdzie już xięża swój byli skończyli. Obiad był postny, rybny, i wcale niewymyślny;

ale oprócz uprzejmości i światłej rozmowy gospodarza, zaprawiał go nam szczerą wesołością jowialny humor Brata Kanaparza (*Fra Angelico*), który nam sam posługiwał do stołu, i z każdego półmiska, który przynosił, sam w bardzo dowcipny sposób, zachwalając go niby, żartował. Na jarzynę, obok cienkich i całkiem zielonych szparagów, były jakieś gorzkie korzonki, które się zowią nawet *Cardi Benedicti*, na pamiątkę, że sam Św. Benedykt karmił się nimi żyjąc tu w pustyni, a potem ich uprawę braciom zakonnym zalecił. Ale oprócz tych *kardów*, są tu jeszcze i specjalne *róże Św. Benedykta*, rosnące dziko wkrąg jego kapliczki, szczególnie istotnie i jakby krwistego koloru. Legenda o nich jest taka. Kiedyś były to róże zwyczajne. Ale raz Święty, dręczony jakąś pokusą, nie mogąc jej pokonać inaczej, rzucił się między ich ciernie, i tarzał się w nich dopóty, aż się całkiem krwią jego oblały. Odtąd kwiaty przybrały ten kolor. Zaopatrzyłem się w nie jako w talizman, i tobie kilka listków oskubię z nich i poszlę. Zjedz je, lub zaléj jak tyzannę, i wypij. Djabeł nie śpi i czyha na każdego z nas, jak ryczący lew na baranków. A komu nie stać na heroizm Świętych, niech przynajmniej choć pamięć o nich wesprze go czasem w chwili niebezpiecznej!

Godzina 11 w nocy.

Czy mi się śniło, pisząc to o trzeciej, że dziś jeszcze, i to sam na sobie, doświadczę jakby skutku mego ta-

lizmanu, to jest, że doznam wrażenia, któreby samo przez się mogło łatwo stać się pokusą, a które przecież było tego rodzaju, że gdybym śmiał je przypisać sam sobie, mogłoby to mieć mię przechwałki. Przypisuję więc je wyłącznie cudownym różom Św. Benedykta, które mam w pugilaresie na sercu, i powiem ci o tém wyraźniej, ale tylko poczekaj, z kolei. Najprzód muszę rzecz skończyć z martwemi pięknościami natury; bo domyślasz się już pewno, że tu będzie mowa o żywój.

Otóż skoro nieco schłodniało, wybraliśmy się w góry za miasto, ażeby się okolicom przypatrzeć. Panorama rzeczywiście prześliczna. Oprócz malowniczego położenia miasta, nad wąwozem z kaskadą i rzeką, widok na okoliczne góry ma jakby coś nadziemskiego. Z jednej strony góry *Abruzzo*, piętrzące się, zielone, oblane ogniem zachodniego słońca, ciągną się aż do granic Neapolitańskich; z drugiej, pasma gór *Apennin*skich, w zasłonie mgły różowo-błękitnej, gubią się w niedojrzanej przestrzeni i zdają się gdzieś rozplwać w powietrzu. Śpieszyliśmy jeduak z powrotem, mając zapowiedzianą na wieczór rewizytę *Ojca Tommaso*. Fontanna przed oknami naszymi była znów otoczona gronem kobiet czerpiących wodę. Mogłem tedy przypatrzeć się im zblizka, i z piękniejszymi nawet próbowałem zawiązać rozmowę. Wtém, patrzę, zbliża się jedna, z małym dzieckiem na ręku, z błyszczącym naczyniem na głowie, w malowniczym stroju Albanek, to jest w bieli i w gorseciku błękitnym. Wpatruję się, i szczerze ci mówię, że skamieniałem

z podziwu. Istna żywa Madonna Syxtyńska! Nie pamiętam, ażeby kiedy jakakolwiek piękność tak nagle i tak silnie zrobiła na mnie wrażenie; a przytém taka jakaś cześć mię ogarnęła, jak gdybym anioła zobaczył. Uczucie to dotąd tkwi we mnie. Garczyński i Feliś Niegolewski, którzy szczęściem stali tuż przy mnie, oddali mi świadectwo, że nie przesadzam w pochwałach, którym wprost na słowa moje, niestety, nikt, a szczególnie Adam, wierzyć nie chciał. Dowiedziałem się potém o niej, że jest żoną ubogiego krawca; że słynie w mieście równie z zalet moralnych jak z wdzięków, i że ma godne siebie imię *Angelika*.

Po odejściu więc Ojca *Tommaso*, rozmowa o piękności zajęła nam cały wieczór, i naturalną kolejną przeszła do miłości. Strzelecki, decyfrując rano stare nagrobki, wyczytał na jednym, że spoczywająca w nim niejaka *Affa*, z miłości w kwiecie wieku umarła. Ten napis i ta moja żywa Angelika, tak rozmarzyły wyobraźnię nas wszystkich, że sam Strzelecki nakoniec obiecał solennie damom, że napisze z tych tematów powieść, i że w nią wplecie całe nasze grono dzisiejsze. Podziękowaliśmy mu wszyscy za tę łaskę, jeżeliby los *Affy* miał być treścią dzieła, i zaczęliśmy poddawać każdy swoje pomysły. Adam, ze zwykłą swoją conceptowością, radził na zakończenie bastonadę i spławienie w fontannie admiratora cudzej żony przy niej; ja zaś na seryo, oprócz stosownej treści, proponowałem nawet tytuł: „Róże Ś-go Benedykta,” i Strzelecki przychylił się ku temu. Wątpię, czy z tego co będzie; ale to planowanie ubawiło nas wszyst-

kich.—Teraz już po 12-ój, i właśnie w téj chwili u was muszą się odbywać po kościołach rezurrekcyę nocne. A więc i ja ci na *dobranoc* mówię: *Alleluja!*

Dnia 18, Niedziela, godz. 7 rano. Subiaco.

Alleluja i dzień dobry! Wróciliśmy z kościoła i wyjeżdżamy w téj chwili. *NB.* Subiaco nazywało się dawniej *Sub lacum*, od sztucznych jezior za czasów Nerona, który miał tu swą villę na lato. A więc villa Nerona stała się za czasem pustynią, w której mieszkał Św. Benedykt!!! Mój Boże! co się to dzieje na tym globie ziemskim! Słyszałem o tém wczoraj od Ojca *Tommaso* i cały czas dziś myślałem w kościele.

O południu, w Tivoli.

Popasujemy tu i odbywamy *siestę* pod cieniem tychże samych cyprysów w villi d'Est, co *piérwiój*. O Tivoli nic więcej do dodania nie mam. Przy śniadaniu w oberży, Adam kazał gotujące się jaja ugotować na twardo i na czerwono, w łusce od cebuli, i częstował niemi towarzystwo, na pamiątkę święconego dziś u was. Strzelecki gniewał się o to, i po żywój z tego względu dyspucie, poszedł zły w inną stronę z Gajewskim. My tymczasem „idziemy w bitki,“ i tańczymy czerwone jaja. Mądra zabawa literatów, na ruinach klassycznej villi Mecenasa!

Godzina 11 w nocy, Rzym.

Otóż i koniec naszych miłych majówek! Ale trzebaż, że jak pierwsza do Fiumicino, tak i ta dziś ostatnia w Villi Adriana, zakończyła się jakby znakiem złej wróżby. Tam cyganka, tu żmija. Z Tivoli, na resztę popołudnia, zajechaliśmy raz jeszcze do Villi Adryana. Panienki chciały zajrzeć do jakiejś pieczary, gęstym bluszczem zarosłej u wnijscia. Adam podając rękę pannie Henryecie, cofnął się nagle i ją wstecz pociągnął. Ujrzał tam bowiem okropną, jak się wyraził, żmiję, całą białą a w centki czarne, z błyszczącymi oczyma, która na szelest wchodzących wspięła się i syczeć zaczęła. Adam tak ją malowniczo opisał, że nieustraszony Strzelecki chciał koniecznie obaczyć ją zblizka. Nie pomogły przekładania Adama i samego p. Ankwicza. Ale gdy w końcu panna Marcellina powiedziała bardzo łagodnie: „Ja pana proszę,“ dał się odprowadzić jak baranek.—Ukazanie się wszakże téj żmii przykre jakoś na wszystkich zrobiło wrażenie, choć je chcieliśmy potem załagodzić żartami.—Já w powrocie do Rzymu zacząłem w myśli pożegnanie jego, które, zdaje się, że prędko dokończę, a więc przysłę ci może w przyszłym liście. Ten pieczętuję dziś jeszcze, aby mi już w głowie nie mącił. Bądź zdrów!

XVIII.

Do tegoż.

Rzym, 20 kwietnia 1830 r., rano.

Wiersz gotów i Adolf (Januskiewicz) przyjechał. Dwa poetyczne fakta dnia wczorajszego. Dobrze, że pierwszy poprzedził drugi, bo po spotkaniu się z Adol-fem, nie miałbym czasu myśleć już o wierszach. Ale i samo to spotkanie miało w sobie coś poetycznego. Odniosłszy list do ciebie na pocztę, wstąpiłem do kościoła *San Luigi de Francesi* na mszę, jako w dru-gi dzień waszego święta. Wyszedłszy z myślą o was, lub deklamując z cicha wiersz świeżo napisany w nocy, nie widzę co się dzieje koło mnie, i wchodzę machi-nalnie na *Via del Orso*. Aż tu chwyta mię ktoś za rękę i wykrzykuje głośno moje imię. Spójrzę—Adolf który wczoraj w wieczór przyjechał i szedł najprzód na *Via del Orso* szukać numeru naszego mieszkania. Zaprowadziłem go więc do Adama, gdzie zastaliśmy właśnie Garczyńskiego. Z prawdziwą rozkoszą za-znajomiłem ich między sobą. Obaj mili mi równie, obaj piękni, jak *Dzień* i *Noc* Michała-Anioła; to jest, Garczyński jasny blondyn, Adolf ciemny brunet. Gdy-byś był ty i Ignacy, a cóż dopiero Czeczot, Żegota i Wi-twicki, miałbym wszystkich najmilszych płci męskiej.

Adam ucieszył się niemniej z przyjazdu Adolfa. Ale biédak cierpiący jest dzisiaj. Boję się, czy się nie za-
ziębił onegdaj; bo po dniu skwarnym wieczór był
chłodnawy, a on cały czas jechał bez płaszcza, i je-
szcze mnie ofuknął, niewdzięcznik, gdy go po kilka
razy ostrzegałem. Wczoraj zaś, pomimo znużenia, mu-
sieliśmy być jeszcze na obiedzie u xięcia Gagaryna, gdyż
za powrót z Subiaco, znaleźliśmy w domu inwitacyą
jego na Niedzielę; a gdy wczoraj, na żądanie Adolfa,
poszedłem z nim do ambassady, aby go zaprezen-
tować i wyekskuzować się, żeśmy nie byli: xiąże znowu
i nas i jego na obiad wczorajszy zaprosił. Między
wielu innymi gośćmi, była cudnie pięknie Greczynka,
pierwsza z rodu Hellenów, którą w życiu widziałem,
i przy której siedziałem u stołu. Jój także imię He-
lena. Dość niechby taką była żona Menelausa, a nie
dziw, że nawet starszankowie Trojańscy, patrząc na
nią, jak mówi Homer, nie śmieli całkiem potępić Pa-
rysa, lub, że ją Grecy tak odebrać chcieli! Wczoraj-
sza moja sąsiadka jest także „cudzym przykuta pier-
ścieniem,” to jest, żona greckiego konsula w Livorno,
przybyła tu w gościnę do krewnych. A jaka przytém
grzeczna i rozmówna! Szkoda, że nie ma już czasu
korzystać z téj miłej znajomości. Bo oprócz mnóstwa
zajęć przed wyjazdem, muszę być *ciceronem* Adolfa
po Rzymie, ku czemu nabyłem już wprawy, spełnia-
jąc też funkcją przy Garczyńskim. Czekam właśnie
ich obu, aby iść razem na kopułę Ś-go Piotra. Adolf
czuje dość siły, aby tę wyprawę przedsięwziąć, a Rzym
najprzód chce z góry obaczyć.

O północy.

Licz-że tutaj człowieku na jaką przyjemność! Przyjazd Adolfa miał mi być jakby kopułą pobytu w Rzymie. *Finis coronat opus*. A oto powróciwszy z nim z kopuły Ś-go Piotra, znalazłem Adama tak słabym, że już nie mógł iść nawet na pożegnalny obiad do ciężny Wołkońskiej, która miała wyjechać jutro, ale dowiedziawszy się o słabości Adama, wstrzymuje się aż ozdrowieje. Nie chciałem też iść sam jeden, ale Adam mię zmusił koniecznie. Adolf z Garczyńskim pozostali przy nim i przed chwilą dopiero odeszli. Adam śpi niby, ale ma gorączkę. Nie mam nawet humoru przepisywać ci wierszy. Dobranoc!

24 kwietnia.

Przez trzy dni ani tknąłem pióra, bo chybabym ci pisał same biuletyny, a ja tego się właśnie bałem. Doktor wprawdzie nie straszył, mówiąc, że to jest zwykła Rzymska wiosenna gorączka; ale gorączka w ciele, to jak burza w powietrzu. Co wiesz, kiedy może błysnąć i zagrzmieć? Najbezpieczniej siedzieć cicho i Panu Bogu się polecać. To też dziś, Bogu dzięki, Adam jest już stanowczo lepiej. Przez te wszystkie dni ja z Garczyńskim luzowaliśmy się na przemian; kiedy jeden zostawał przy chorym, drugi Adolfa oprowadzał po mieście. W wieczór dopiero schodziliśmy się wszyscy, i gdy się Adam czuł lepiej, bywało niekiedy wesoło. Poczciwy Feliś, Stattler, Strzelecki i Gajewski dotrzymywali nam wiernie kompanii. Je-

dnego wieczora był téż pan Ankwicz, drugiego Szewirew, nie mówiąc już o odwiedzających we dnie, których ja zwykle przyjmowałem w przedpokoju, będącym razem i *dormitorium* naszym. Adam leżał na kanapie w salonie. Chciały także odwiedzać i damy, ale je Adam odprosił, i tylko ja codziennie posyłałem im lub zanosilem biuletyny. Dziś jest ostatni *wielki wieczór* u nas, bo już jutro chory zacznie wychodzić; skoro zaś wyzdrowieje zupełnie, gotujemy siurpryzę dla naszych pań z *Via Mercède*, to jest piknik w *Villi Pamphili*. Strzelecki ma już pozwolenie właściciela jej, xięcia Chigi, który nie tylko pałac, ale nawet cały swój kredens oddaje nam na ten dzień do użycia.— Adolf z Garczyńskim przypadli od razu do siebie, jak zwykle Litwin z Wielkopolaninem. Dziś prowadzę go do państwa Ankwiczów.

Godzina 12 w nocy.

Grande soirée udał się przewybornie. Przypomniały się nam czasy Wileńskie. Oprócz zwyczajnych gości, był Jaźwiński, Albin Węsierski, Karczewski i Wodzicki, który jutro dopiero wyjeżdża. „*Viel gescherzt und viel gelacht*,“ jak mówi Gellert w piósenke. Między innemi Adolf ciągnął kabałę dla obecnych z Horacyusza, który leżał na stole. Dla mnie wypadło: „*Funus atque imagines ducant triumphales tuum*.“ (Pogrzeb twój i obrazy tryumfalne niech wiodą). Nie było w tém istotnie żadnego znaczenia; ale Adam, w przystępie dobrego humoru, wziął się do parafrazy i komentarzów, twierdząc, że

dość jest zmienić parę liter w tym wierszu, a będzie i sens i znaczenie, i nie dwuznaczna nawet prawda wyroczeni; to jest, dość w pierwszym wyrazie zamiast *n* położyć *m*, w czwartym zamiast *a*, *u*, a w ostatnim zamiast *tu*, *e*, a wypadnie: *Fumus atque imagines ducunt triumphales eum*. (Dym i obrazy tryumfalnie wiodą go).

Otóż dym (*fumus*), podług niego, miał znaczyć *fiu fiu* w głowie, a zaś *imagines* piękne twarzyczki; tylko że w tym razie *triumphales* powinno się tłómaczyć przez *tryumfujące*. Śmiałem się szczerze razem ze wszystkimi, ale uderzywszy się w piersi, czuję sam rzeczywiście, że jest w tém sens i, niestety, kęs prawdy. Wprawdzie dotąd tryumf *obrazków* trwa tylko póty, póki ja sam zechcę; ale cóż, kiedy jedne zastępują drugie, a wola moja nigdy na tym punkcie nie słabnie. Ach! a gdy idzie o pracę, o naukę, poprawę—wzdycha się tylko i szepce: *Fiat voluntas tua!* Cała nadzieja w miłosierdziu Sędziego, że odpuści, jako i ja odpuszczam; a cała pociecha w tém chyba, że się sam poczuwam do winy; bo przecież ludzie i piszą i mówią, że kto już z gruntu i bez nadziei głupi, ten się ma sam zazwyczaj za świętego albo za mędrca. A jednak musi to być miła sensacya, myśleć tak samemu o sobie! Mnie najbardziej strach byłoby umrzeć, nie zostawiwszy po sobie nic nad to, co się dotychczas napisało i, niestety, wydrukowało. Nie wiem czy to jest postęp, że mi się tak wszystko złém zdaje, parę rzeczy ledwo wyjąwszy. Ale jest to cierń moich myśli, który mię i w téj chwili bodzie i pikuje. Spowia-

dam się dla ulgi serca; bo te trzy dni choroby Adama były dla mnie prawdziwie jakby czasem rekolekcyj, podczas których sam w sobie rachunek sumienia robiłem, i dla tego to może ten żarcik kabalistyczny wzbudził we mnie jakby rodzaj zgryzoty. A jednak—gdybym się nie wstydził sam siebie, gotów byłbym, jak penitent po wyjściu z kościoła, zabrać się wnet do przepisania ci tego wiersza, o którym na początku listu wspomniałem, a który Adam, Stefan i Adolf—nie chwając się—chwalili. Przeznaczony on jest do sztambucha panny Henryetty, a poświęcony wspólnie jej i pannie Marcellinie. Jeśli go nie odbierzesz w tym liście, znak to będzie, że go stosownie do tytułu na sam odjazd z Rzymu zostawiam. Bo co na dzisiaj, to *Buona notte!*

26 kwietnia, rano.

Rozpoczęliśmy tedy smutny szereg pożegnań, przeprowadziwszy dziś aż do bramy miasta więźnę Wołkońską z całym jej orszakiem. Wyjechała na kilka tygodni w góry. Pierwsze wyjście Adama wczoraj było na obiad pożegnalny do niej, gdzie on i na cały wieczór pozostał. Ja zaś z Adolfem, Garczyńskim i Gajewskim, rano najprzód byliśmy na nabożeństwie w kościele Ś-go Piotra, a wieczorem na teatrze maryonetek. Wychodząc z kościoła spotkaliśmy sławną do roczną, jako w dzień Ś-go Marka, processyą, która z kościoła pod jego wezwaniem, szła do grobu xięcia Apostołów. Składały ją wszystkie zakony i wszystkie kapituły Rzymskie. Tych ostatnich jest siedem,

tylko co bazylik. Zakonnicy w habitach tylko, kano-
nicy w komzach, ale wszyscy bez świec, bez śpiewów,
defilowali po parze. Defilada trwała najmniej godzinę.
Słyszałem, że liczono do dwóch tysięcy więź.
Przed każdą kapitułą niesiono *un padiglione*, to jest
baldachin w szerokie pasy żółte i czerwone, i dzwo-
nek, który się jednem uderzeniem co kilka kroków
odzywał, i sam tylko przerywał ogólne milczenie.
W kościele dopiero miały się odprawiać uroczyste nie-
szpory, aleśmy już na nich nie byli.

Teatr marynetek, *Teatro Fiano*, jest wielce ulu-
bioną zabawką Rzymian; a że sala nie może pomie-
ścić więcej na 300 osób, każda więc reprezentacya co
wieczór po cztery razy się powtarza. Bilet wejścia
kosztuje 3 bajoki (9 groszy naszych). Wszystkie miej-
sca na parterze są równe. Zamiast łóż jest tylko
mały balkonik w głębi, naprzeciw sceny, na który bi-
let podobno całe dwa paole kosztuje. Skoro jedna
publiczność po skończonem widowisku przez boczne
drzwi wychodzi zacznie, otwierają drzwi główne dla
nowej, która już tam czeka skupiona i tłoczy się na
łeb na szyję. My przyszliśmy na przedstawienie już
trzecie, a i tak ledwo mogliśmy się docisnąć. W grun-
cie rzeczy są to nasze jasełka, tylko że na większą
skalę, i dla starszych znać dzieci przeznaczone. Hu-
morystyka satyryczna, stosowana do okoliczności miej-
scowych, stanowi zwykły przedmiot grywanych tu
sztuczek. My trafiliśmy na parodię opery Rossinie-
go: „*Conradino, Cuor di Ferro*“, którą tu w ciągu
karnawału dawano. Figurki kształtne i zręczne, po-

ruszają się i gestykują bardzo zgrabnie jak żywe, w takt śpiewu lub stosownie do słów, mówionych za nie z za kulis. Publiczność strasznie mieszana. Od uliczników, tragarzy, weturynów, subretek, aż do bardzo porządnie ubranych dam i poważnych mężczyzn; wszystko to łączy się razem, siedzi obok, śmieje się i klaszcze wspólnie. Bo śmiechy i oklaski były prawie nieustające. Nie mogliśmy dobrze zrozumieć co je zwłaszcza wywoływało, ale musiały to być jakieś bardzo wesołe i dowcipne koncepta, bo sąsiedzi nasi po obu stronach, staruszek xiądz i młoda dziewczyna, nie tylko śmieli się do rozpuku, ale niekiedy nawet zwracali się ku nam z wykrzyknikami: „*Ah! ah! bellissima! bellissima!*” — Żywość wrażeń ludu włoskiego nigdzie się nie wyraża jaśniej jak w teatrze. A jest tu i drugi teatr ludowy, *della Pace*, gdzieśmy także zajrzeli na kwadrans z Adolfem, podczas choroby Adama. Bilet wejścia kosztuje 8 bajoków. Teatrzyk wcale porządny, wązki, długi; z czterema rzędami łóż. Dekoracye i ubiory nie gorsze od Wileńskich, gdzie, pamiętam, jak raz Rogowski knotem od lampy spłowił oczy w obrazie Kupidyna malował. Publiczność tegoż gatunku, co na maryonetkach. Nie patrzyliśmy nawet na sztukę, której główną osobą był *Pulcinello*. Ja go nigdy rozumieć nie mogę, ale wiem że dla publiki Rzymskiej jest on rodzajem żywego *Pasquina*, to jest owego kamiennego posągu, na którym tu odwiecznym zwyczajem przylepiają się różne koncepta i epigramata, tyjące się wypadków lub osób współczesnych. I nie zawadzi dodać, (czego mo-

że nie wiesz), że od tego to zwyczaju i od nazwy tego posągu pochodzi wyraz *paszkwił* (*pasquillo*). Samo zaś imię *Pasquino*, było kiedyś rzeczywistém nazwiskiem jakiegoś złośliwego dowcipnisa, który tak się dał wszystkim we znaki za życia, że potem na pamiętkę po śmierci, posąg ten jego imieniem przewano.

Godzina 12 w nocy.

Jeżeli słusznie życie przyrównywają do podróży, to koniec tu naszego pobytu byłby bardzo podobny do starości. Same pożegnania, rozstania, tęsknota — a cała perspektywa pociechy, że i sami zaraz wyjeździem. I trzebaż jeszcze, że całe popołudnie dzisiejsze zeszło nam na oglądaniu samych grobów, to jest mnie, Adolfowi i Garczyńskiemu, bo Adam wprost z obiadu *al Lepre*, poszedł na *Via Mercède* i tam na nas czekał wieczorem. My zaś byliśmy na grobach: Tassa, Rafaela, Hozyusza, Sobieskich i św. Stanisława Kostki. Wszystkie, prócz ostatniego, widziałem już pierwiéj; ten ostatni więc dzisiaj zrobił na mnie najwięk sze wrażenie. Ale jest w tém i inna przyczyna. Czytając kiedyś gorliwie Żywoty Świętych, miałem sam wielką ochotę zostać świętym, i za ideał do naśladowania brałem zwłaszcza św. Stanisława Kostkę. Nie męczono go jak męczennika; nie męczył się sam jak pokutnik; nie trudził się jak Apostoł lub missy onarz; kochał i chwalił tylko Pana Boga, w spokojnej celi marzył o aniołach, i poszedł prosto do Nieba. Nie wiedziałem jeszcze naówczas, że łatwiej może czło-

wiekowi pokutować, niżeli nie zgrzeszyć; passować się z szatanem na ziemi, niżeli, jak Anioł w powietrzu, utrzymać się w niewinności. Zawsze jednak i dzisiaj powiadam, że gdyby św. Stanisław Kostka pisał wiersze, byłby to najwłaściwszy patron poezyi i poetów. Kwitnął jak kwiat w Winnicy Pańskiej — i chwała szlachcie naszej, że wykwitł z jój ducha, jak św. Kazimierz z tronu Jagiellonów. A jest téż pomiędzy nimi i pewne powinowactwo duchowe; i ztąd to może ich obu malują z lilijami w ręku. Tutaj w celi, gdzie umarł, przy kościele Ś-go Andrzeja, na *Monte Cavallo*, jest posąg jego naturalnej wielkości, wyobrażający go w chwili skonania. Twarz i ręce z marmuru białego, suknia z czarnego, łoże i pościel z złotego. Wyraz twarzy przesłiczny, słodycz i pokój anielskie. Tak umrzeć, jest to prawdziwie zasnąć, jak mówią, w Bogu; ale jakże to pierwiej trzeba żyć w Nim i dla Niego! Posąg ten jest dłóta rzeźbiarza Le Gros.

Jutro jest wielki pożegnalny obiad u państwa Ankwiczów, a przed obiadem mamy zwiedzić razem zamek Ś-go Anioła. Adam zapowiedział już dzisiaj, że w *Villi Pamphili* odkryto jakieś nowe bardzo ciekawe *Columbarium*, które p. Ankwicz i damy chcą jeszcze razem z nami przed wyjazdem oglądać. Ma to być nasza ostatnia wycieczka. Ani im w myśli, że ich czeka siurpryza; a ja się na to cieszę, jak student na figla. Dobranoc!

- Dzień 27 kwietnia, godzina 3 po południu.

Wracamy z zamku 8-go Anioła, ale ja z głową całkiem nabitą czém inném, a to jest, losem i obrazem Beatrici Cenci. Historią jój wiész. Portret jój, arcydzieło Guido-Reniego, znajduje się tu w galerji pałacu Barberini, a kopje są po całym świecie. Widzieliśmy go razy z dziesięć. Guido-Reni malował go po wydaniu już na nią wyroku śmierci, i nawet podobno, jak mówią, w sam dzień jój egzekucji. Obwinięta jest w białe prześcieradło, jakby w całun, mający w tym dniu jeszcze pokryć martwe jój zwłoki i tę główkę przecudną, dziecinną, anielską, która spaść miała pod katowskim mieczem. Malarz myślał to pewno, kiedy ją malował; i ten żal, który sam wtedy czuć musiał, wsiąknął widać w płótno i w farby, że tak dziś jeszcze z obrazu na serca widzów odbija. Nieraz patrząc na łzy się zbiera. I tożby być miała zbrodniarka? ojcobójczyni? Sam ten obraz Guido-Reniego jest już jakby obroną jój i uniewinnieniem. Ale gdyby jój obrońca przed sądem mówił o niej tak, jak dziś Adam, sąd przysięgłych byłby ją niewątpliwie uwolnił. Nie zaprzeczał on winy, ale uniewinniał z powodów. Jest w tém straszna, jak mówił, tajemnica natury i dziejów ludzkich. Wielka zbrodnia, w rodzinie, w narodzie, w ludzkości, ma w sobie jakąś dziwną, demoniczną siłę, jakby wybuch potęgi i tryumfu szatana, która najczystszych nawet mrokiem swoim ośmiewa i w przepaść porywa za sobą. Gdyby słońce zboczyło z swój drogi, cały jego świat planetarny poleciałby gdzieś w chaos i w otchłań. Ojciec jest jak słońce

w rodzinie. Bezbożność jego zbrodni obłąkała niewinną; jak polityczne zbrodnie mocarzy obłąkują narody i wieki. Zbrodnie takie nie uchodzą bezkarnie; ale skutki ich i wpływy w ludzkości, obmywają się dopiero łzami, a odkupują się tylko krwią tych właśnie w gruncie niewinnych, którzy przez nie obłąkać się dali. Taką nieszczęśliwą ofiarą była, podług Adama, Beatrice Cenci. Zawsze go mocno zajmował jój portret. Za każdym razem cośmy go widzieli, stał przed nim długo, wpatrywał się i milczał. Pan Ankwicz dostał był kiedyś w zimie, z jakiejś klasztornej biblioteki tutejszój, i dawał mu do czytania rękopis łaciński, zawierający opis jój processu. Nieraz o tém była rozmowa, ale zawsze tak sobie, zwyczajna. Dziś dopiero w podziemiach zamku Ś-go Anioła pokazywano nam loch ciasny i ciemny, gdzie nieszczęsna była więziona i z kąd poszła na rusztowanie. Panna Henryetta zaczęła zachęcać Adama, ażeby o niej dramat czy poemat napisał. To wywołało wybuch jego myśli, w rodzaju improwizacyi, ale bez żadnej pretensyi do tego. Treść główną stanowiło to, co tu wspomniałem; ale ton głosu i wyraz twarzy mówiły więcej niż słowa. Przy wrażeniu tego wspomnienia wszystkie inne poblady, choć mnóstwo ich wiąże się z tém miejscem. Wszystkie dziejowe średniowieczne wypadki w Rzymie, ocierały się o mury tego zamku, który się jeszcze wtenczas nie nazywał *Anielskim*. Nazwę tę bierze dzisiaj od olbrzymiej brązowej statui Archanioła Michała, który się wznosi nad nim z mieczem w ręku i depce go jak smoka—bo nie ma się czém opie-

kować. Było to kiedyś najprzód grobowe mauzoleum Cezarów, które Adryan, jak swoją villę za życia, na po śmierci dla siebie zbudować kazał. W wiekach średnich zamieniono je na fortecę, którą Alexander VI, papież, połączył z Watykanem, a późniejsi jego następcy wzmocnili i rozszerzyli. Archanioła dopiero Benedykt XIV postawił. Dziś jestto cytadella, kaszary, arsenał i turma. Widok kilkudziesięciu więźniów politycznych, wyblądłych i wynędznionych, przechadzających się pod strażą po jednym z placów broni, (a jest ich aż trzy wewnątrz zamku), zrobił na nas arcy przykre wrażenie. Czyż i tu jak na Spielbergu? Zatoż widok z wałów zewnętrznych na Rzym i na okolice prześliczny. Opisywać ci tego nie myślę, a kształt zamku znasz pewno z rysunku. — Adam wzywa mię ku pomocy, żeby mu chustkę zawiązać w kokardkę, bo się jemu samemu nie udaje. A i ja muszę przebrać się na obiad.—Więc, Adieu!

Po północy.

Teraz ledwo wracamy z obiadu, to jest z *Via Mercède*. Mój Boże, jak ten czas leci! Dawno to było poznanie i pierwszy obiad witalny, a oto już i *Agape!* Życie nasze, to jak gra w szachy. Poruszamy się ciągle jak pionki, a co krok, to stosunek jednych względem drugich odmienny! Tu jeszcze, Bogu dzięki, nic się nie zmieniło na gorsze; ale dwie *partye* się grają, i w obiedwóch do końca daleko. Rok przyszedł już je chyba rozstrzygnie. Dałby Bóg zamatować *królowe!* Ale jedna z nich bodaj że się

nie da sama, a przed drugą jest twarda *wieża*, której szturmem nie zdobyć, a *rycerz* oblegać nie umie. Ja sobie w roli *konika* tu i tam wyskakuję swobodnie; ale tęskność rycerza, jak w piosnce, „po połowie cięży i we mnie.“ Nie ma co! trzeba zostawić resztę czasowi i Opatrzności.

Obiad był i wesoły i smutny; to jest, każdy nad-rabiał rezonem, a w duszy pewnie myślał o rozstaniu. Zresztą *vinum laetificat cor*, czyli jak u nas: *trunek na frasunek*; a że trunku dolewano obficie, więc i fra-sunku w końcu stosunkowo ubyło. Gospodarz pił zdrowie gości, goście gospodarzy, potem dam, potem poetów—w ogólności, a więc tuż i *kochajmy się*. Na strzemienne popłynęły *Lachrymae*, ale nie nasze. Osób było 22, sami Polacy. Po obiedzie panna Henryetta grała. Adam słuchał, jak „nasepiony sokół“ u Bohdana, słuchający „kwileń kukułki.“ Mnie ka-zano wydeklamować mój wiersz, który już do sztam-buchów panienek wpisałem i zacząłem przepisywać dla ciebie. Mniej się dziś mnie samemu podobał niż dotąd. Za zimny. Dzisiaj rzewniej czułem rozsta-nie. Powiedziałem to pannie Marcellinie, i w téj, pe-wno ostatniej z nią rozmowie *à parte*, było więcej po-ezyi niż w wierszu. A zresztą i być tak powinno. Poezya, to uczucie w nas samych; to źródło, co bije w duszy. Wiersze, to tylko bąble albo bryzgi, co czasem na powierzchnię i nad brzeg wyskoczą.—Na wieczór przyjechali księżtwo Sanguszkowie. Piękność, to dopiero poezya na zewnątrz! Od sielanki do ody, każda i każdego poruszy. Xiężna Iza, to *oda!* Od

stuletniego komandora Dunina, do sześćioletniej Win-cusi, córki pani Węsierskiej, cały nasz towarzyski łańcuch zadrgał jakby od iskry elektrycznej, gdy weszła. Ostatnia, patrząc na nią i kręcąc główką, odezwała się jakby sama do siebie: „Jaka piękna pani!“ A w téjże prawie chwili, siężna wcale tego nie słysząc, mówiła do kogoś obok: „Ach! jakie śliczne dzieciątko!“ Ja to jeden z obu stron słyszałem, a przynajmniej ja jeden zwróciłem uwagę na to wzajemne oddziaływanie piękności, i zakomunikowałem to zaraz Garczyńskiemu i Adolfowi. Posłużyło to nam za temat do porównywania różnych rodzajów piękności, z różnemi gatunkami poezyi. Panna Henryetta—*sielan-ka*; ale tylko wdzięczna, nie ckliwa. Panna Marcellina—*elegia*, ale tylko poważna, nie nudna. Starsze panie — to już jakby dydaktyka albo epos. Z Adolfem przebiegliśmy pamięcią nasze miłe kasyną Wileńskie, szukając podobieństwa do ballad, legend, i t. d. Najtrudniej było znaleźć podobieństwo z satyrą. Trzebaby na to chyba tak zwaną „*beauté du diable*.“ Garczyński opowiadał nam o jakiejś pani w Berlinie, że z rysów tak była piękną, iżby się w niej rzeźbiarz rozkochał, ale razem tak sztywną i zimną, że sam przy niej mógłby skamienieć. Grecy widać na ten rodzaj piękności wymyślili swoją Meduzę. A i nasza Królowa Bona musiała być w tym rodzaju. Z Polkami, Bogu dzięki, rodzaj ten jakoś nie licuje. Najprostszą naszą, byle czystej rassy dziewczeczka, to zawsze jak *mazurek*, *krakowiaczek*, lub *dumka*. I pokręcić się, i pośpiewać, i pomarzyć z nią miło. Lafiryndy

tylko, Boże odpuść, to już czysta poezya Delilowska, choćby gładka, jak przekład Felińskiego! A mieliśmy też dziś taką przed sobą; tę samą, co to kiedyś Adama, jako poetę, po francuzku najprzód witała. Jest to może jedyna osoba, z którą spotykając się tu i ówdzie, niceśmy od pierwszego spotkania w znajomości nie postąpili, kiedy z najoryginalniejszą np. excentryczką, jaką jest pani hrabina Moszyńska, zaszliliśmy w bardzo dobrą komitywę. Ja zwłaszcza skaptowałem jej względy, zaimprovizowawszy raz przy grze w szarady, szaradę do jej faworyta, tego najobrzydliwszego kudłatego szpica, który mię kiedyś przy pierwszej wizycie u pp. Ankwiczów tak okropnie podobieństwem sowy przestraszył. Nazywa się *Telasko*, a szarada moja brzmi tak:

Pierwsza, prosta litera; zaś dwoma *druziemi*
Jak machnie czarnoxięźnik, różne dziwy płała.
Wszystko jest ideałem wierności na ziemi,
I dowodem, jak cnota ta w skutki bogata:
Rozum zniewala, szpetność wdziękiem opromienia—
A bez niej—piękność nawet źródłem udręczenia.

Dzisiaj pani Moszyńska tak raczyła być czułą dla mnie, i tak trafnych mi parę rzeczy powiedziała o Adamie, admirując jego geniusz, a przytém prostotę i dobroć: że niemniej może przez to ujęła mię za serce, jak ja ją przez moję szaradę. Ależ bo wszelka najmieszniejsza nawet oryginalność, ma w sobie (dla mnie przynajmniej) jakiś pewny pociąg, choćby tylko dla tego, żeby się jej zblizka przypatrzeć; kiedy przeciwnie lafiryndyzm wstręt tylko i nudę obudza. Tam

przynajmniej jest ruch i życie; tu prosta malowana lalka—tylko że nie dla zabawy dziewczątek.

Z obecnych na dzisiejszym wieczorze, muszę jeszcze wspomnieć o jednym, o którym nie pamiętam żebym kiedy wspominał. Bo niepodobnaż wyliczyć wszystkich po imieniu, których się w towarzystwie spotyka, póki się chyba z nimi w bliższy jakiś lub szczególniejszy stosunek nie zajdzie. Ależ my z xiędzem Scypionem, o którym właśnie chcę mówić, od dawna już jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach, spotykając się często w domu państwa Ankwiczów; tylko że w chwilach pisania do ciebie, myśl jakoś nigdy nie doszła do niego—w dłuższe zwykle po drodze plątając się sukienki. Otóż jestto młody kapłan z Krakowa, świątły, uczony, gładki w obcowaniu, a także i na obliczu, który w zwyczajném kółku naszym na *Via Mercède* reprezentował stan duchowny, po wyjeździe x. Zajączkowskiego, zupełny z nim stanowiąc kontrast. Tamten, choć także uczony i przystojny, ale samą już swoją postawą, (wysoki, silny, barczysty), przypominał raczej bernardyńskiego kwestarza, niż misyjonarza-apostoła, a rubasznocią tonu w rozmowach i manierach zdradzał nieraz nawyknięcia żołnierskie: gdyż istotnie żołnierkę najprzód, przed wejściem do stanu duchownego, traktował. Pamiętasz może pierwszą jego dysputę z Adamem, o której ci kiedyś pisałem. Przełożony Misyjonarzy w Rzymie upominał go nawet, jak mówiono, o te wybuchy porywczosci w dysputach, i to podobno przyspieszyło wyjazd jego z Rzymu. W xiędzu Scypionie przeciw-

nie, jak w obejściu tak i w rozmowie znać od razu człowieka z wyższém towarzyskiém wykształceniem i spokojną łagodną naturą, co go czyni nader miłym kompanem i sympatyą ku niemu obudza. W rozmowie z nim ostatnim przed wyjściem, pożegnałem dziś niejako miły ten salon, przypomnieniem różnych chwil miłych, któreśmy w nim wspólnie spędzili.

Ale potraćiwszy o stan duchowny, choć tu jeszcze choć zauotować przynajmniej imiona kilku innych naszych kapłanów, którycheśmy tu w Rzymie poznali, a o których gdzieindziej wspomnieć mi już nie przyjdzie. Pierwszym jest xiądz Brzozowski (Rajmund), ostatni rektor akademii Jezuickiej w Połocku, i jeden z głównych wydawców tamiecznego „*Miesięcznika*“. Jest to siedmdziesięcioletni staruszek, miły, słodki, łagodny, a przytém niepospolicie rozumny. Przywiązany serdecznie i tęskniący do kraju, prowadzi tu życie samotne, osładzając je sobie, jak mówi, głośném codziennym czytaniem wyborowych dzieł polskiej literatury i pisaniem „*Słownika Pisarzy Polskich*“. Dawałem mu do czytania poezye Adama, które mu bardzo przypadły do serca i ojcowską przychylność dla autora zjednały. Adam go też bardzo poważa. Byliśmy u niego razy kilka, a ja z długich nieraz ich rozmów o Jezuitach, tę zwłaszcza odniosłem korzyść, że z przekonania w sobie sprostowałem zdanie, które dotąd jak *za panią matką pacierz* powtarzałem wprost za drugimi, to jest, że Jezuici umyślnie ociemnili Polskę. Zakon ich, jak wszędzie tak i u nas, przy piérwszém zaprowadzeniu swoim, był owszem najczynniejszym

krzewicielem oświaty, czego mu i najwięksi przeciwnicy nie przeczą; a jeśli z czasem pod tym względem zleniwił: pochodziło to nie z ducha i zasad zakonu, ale raczej z charakteru i usposobienia naszej szlachty, która u nas wyłącznie zakon ten składała. W innych albowiem krajach, w tymże czasie, Jezuici gorliwie pracowali w naukach, a nawet i u nas większa część pojedynczych pisarzy, od końca XVI do połowy XVIII wieku, wyszła z ich szkół lub z ich zakonu. Wadliwość systemu nauczania w szkołach, wynikała też nie wprost z winy zakonu, ale raczej z ogólnych pojęć i okoliczności ówczesnych; bo przecież i Akademia Krakowska, wieczna przeciwniczka Jezuitów, do czasu reformy Konarskiego, na nic lepszego zdobyć się nie mogła. Myśli te zwłaszcza wypowiadał Adam, a xiądz Brzozowski, lubo zawsze obrońca zakonu w ogólności, nie odpychał jednakże sprawiedliwych zarzutów, tém bardziej, że i sam Adam tuż przy nich chętnie łagodzące je okoliczności przytaczał. I rzecz to prawdziwie rozkoszna być świadkiem takich rozpraw pomiędzy mądrymi, kiedy w nich obie strony prawdy tylko szukają. Ale niechże kto popróbuje w ten sposób dysputować naprzykład z xiędzem Zajączkowskim z Warszawy! To też ja podobne dysputy między Litwinami tylko słyszałem.

Z drugim znajomym tu naszym xiędzem Wilczyńskim, Bazylianem, także Litwinem, dysput nawet nigdy nie było, a tylko szczerą miłą pogadanka—jak wiejski podwieczorek u naszego proboszcza, od mleka, jajecznicy i ogórków z miodem. X. Wilczyński jest

tu także *quasi* proboszczem przy kościele *Santa Maria del Pascolo ai Monti*, jedynym tego obrządku w Rzymie, gdzie jest obraz N. P. Maryi Żyrowickiej w ołtarzu. Ja jako dawny uczeń Bazylianów w Borunach, chodziłem tam niekiedy na mszę, dla przypomnienia sobie czasów szkolnych. Adam zaś lubi zwłaszcza x. Wilczyńskiego za jego śpiewającą wymowę litewską.

Mieszka też jeszcze w Rzymie znakomity bardzo, jak mówią, z nauki i pobożności, xiądz Stanisław Choloniewski, z Wołynia. Zaznajomił nas z nim pan Alexander Potocki, ale że się on rzadko towarzystwu udziela, nie mieliśmy sposobności wejść z nim w bliższą zażyłość. Adam wszakże ma o nim wysokie wyobrażenie, i jutro właśnie wybieramy się do niego z pożegnaniem.

Ale najgłówniejszym programem na jutro jest urządzenie na pojutrze pikniku w *Villi Pamphili*. Będzie to nasze babie-lato w Rzymie. A ten list, to jak ostatni listek prawdziwego lata. Dobranoc!

28 kwietnia, godz. 2 po południu.

Nie pamiętam rozkoszniejszego zajęcia, jak miałem dziś całe rano, dopomagając Strzeleckiemu w urządzeniu jutrzejszego festynu; chociaż kto wie, czy to właśnie nie pamięć czegoś podobnego przyczyniała się może najwięcej do tej serdecznej, poetycznej rozkoszy. Wciąż mi bowiem stały na myśli przygotowania do podwieczorku w Dziewiętni, któryśmy tam

kiedyś przed laty urządzali razem z Ignacym, na przyjęcie pięknych jego sąsiadek z Ruskiego Siola; a samo to przypomnienie faktu obudzało też zda się w duszy i cały szereg ówczesnych marzeń i wrażeń, tém bardziej, że się z niemi dzisiejsze jak jedwab w jeden sznurek splatały. A jednak co za różnica sceny! Tam skromny szlachecki dworek, w zakątku parafii Wojstomskiej; tu wspaniała xiążęca *Villa Pamphili*, w Rzymie! Tam współtrajcą co do układu podwieczorku, był stary łysy kucharz Michał, w szarój kapocie; tu wymuskany elegancki *Credenziere* xięcia Chigi, który nie tylko nam sali, ale nawet kredensu i srebro stołowych do użycia na jutro pozwolił. Strażnik tego wszystkiego *Signor Credenziere* ma być także zarazem i liwerantem biesiady. Całe podobieństwo jest w tém, że mamy ufetować ładne, miłe panienki, i że serce widać jeszcze nie schłodło. Program obiadowego śniadania (*dejeuner dinatoire*) jest taki: Najprzód wstępna przekąska, śledzie, ostrygi i t. d. Potém rosół w filiżankach, i do tego jakieś *crocchetti*, po naszymu, paszteciki. Potém kotlety *à la Milanese* (z dyspozycyi mojej), ze stosowném ugarniowaniem. Potém jakieś „morskie pławaczki.“ Potém szparagi, karczochy, i t. d. na jednych półmiskach obok. Potém na pieczyste—bażanty! Słyszysz? Nie kurczęta, nie bekasy nawet — ale bażanty! i to z zachowaniem na różnie złocistych i srebrzystych czubków swych i ogonów, jak niegdyś pawie na ucztach rycerskich. Jutro zaś ma to być uczta czysto poetycko-panieńska. Adam radził wyprawić czysto polsko-litewską, i to podług

starożytnych przepisów „*Doskonałego Kucharza*“, to jest stariej obdartej książki, którą, jak co dobrego, ma w podróżnej bibliotece swojej i odczytuje nieraz z wielką przyjemnością. Ma się rozumieć, że ten projekt upadł, i Strzelecki otrzymał zupełne pełnomocnictwo co do urządzeń kulinarnych fety. Ale i część jej estetyczna zaniedbaną nie będzie. Prócz pysznej zastawy stołu, od sreber, kryształów, wazonów, cały stół będzie obwieszony girlandami z kwiatów. Przy wetach: od cukrów, lodów, galaret, i t. d. ma się odezwać muzyka, wtórująca toastom „przezdrowia“, a zaś przy podwieczorku, o zachodzie słońca w ogrodzie, *Signor Credenziere* obiecuje nam ukazać w oddale niu balet, to jest taniec ludowy *saltarelle*, wykonany przez ogrodników i ogrodniczki-miejscowe. Przytém wszystkie fontanny mają być puszczone, a barometr zapowiada pogodę. Słowem, ptasiego mleka braknąć chyba będzie; a zaś śpiew ptasi, którego tu nie ma, ha! może poezya zastąpi. Od opisu zatém téj fety zacznę list następny; a tymczasem ten kończę i odniosę na pocztę, idąc na pożegnalny obiad do pani Klustin, gdzie téż mamy widzieć wieczorem całe bliższe ich towarzystwo, które i dla nas było tak uprzejme.

Wracając z Villi Pamphili, wpadłem na chwilę jeszcze do muzeum i do galeryi Watykańskiej, dla spójżenia po raz ostatni, ale tylko na dwa przedmioty: na *Apollina Belwederskiego* i na *Przemienienie Pańskie* Rafaela. Tu i tam w ludzkiej postaci uosobienie, wcielenie idei bóstwa: pogańskiej i chrześcijańskiej. Bózek zstąpił z Olimpu i stoi na ziemi. Bóg-Człowiek

duchem Bożym wznosi się po nad ziemię i ulatuje ku Niebu. Rzeźba tu nie podołałaby malarstwu, tak jak tam malarstwo rzeźbie. Żeby tak glinę i marmur ożywić, trzeba iskry Prometeusza. Żeby tak płótno przemienić w widzenie, trzeba żeby je chyba Anioł Rafael objawił. To téż symbolem natchnienia w pogaństwie jest, podług mnie, Prometeusz, który ogień z Nieba wykrada; w chrześcijaństwie, Anioł Zwiastunik, którego sam Bóg Ojciec przysyła.—Bądź zdrow!

XIX.

Do tegoż.

Rzym, 30 kwietnia 1830 r.

„*O! quam vana, quam fallax spes hominum est!* ¹⁾.” Rozumiałem, że tęczowemi farbami zacznę list dzisiejszy, opisując wczorajszą fetę; a oto zamiast tęczy, straszna czarna chmura, z której piorun niezawodnie wypadnie. Xiądz Parczewski jest umierający. Onegdaj, idąc na obiad, zachodziłem jeszcze do niego i znalazłem go owszem lepiej, niżeli kiedy. Dziś albo jutro rano wybierał się do Albano na lato. Ja z Adol-fem mieliśmy go tam przeprowadzić, a potem, jadąc do Neapolu, zajechać do niego z Adamem. Opowiadałem mu cały program przygotowującej się fety. Dzielił szczerze moje zajęcie i żałował, że nie może być z nami. Nadewszystko chciałby był podziękować pani Ankwiczowej za tyle dowodów dobroci i troskliwości prawdziwie macierzyńskiej. Przez cały bowiem ciąg choroby przysyłała mu codzień rosół polski, a często i delikatniejsze przysmaki ze swojej kuchni. Na przyszłą zimę obiecywał sobie, że będzie u nich częstszym gościem niż przedtém. W Albano miał pi-

¹⁾ „O! jak próżna, jak zwodna jest nadzieja ludzi!”

sać dalej swego „Władysława Białego,” który ciągle myśl jego zajmował. Słowem, chorobę swoją uważał za skończoną, i ani cień złego przeczucia nie przeleciał nam obu przez głowę. Ja wczoraj przy obiedzie, w imieniu i z polecenia jego, wniosłem toast wdzięczności dla państwa Ankwiczów; przyczém szeroko mówiliśmy o nim, i ja głupi tryumfowałem, że się sen jego złowieszczy nie sprawdził. Teraz nie śmiem i wstydę się prawie wspomnieć nawet o tym obiedzie, dla tego właśnie, że był taki wesoły i miły, a tu już złe wisało nad nami.—Po zachodzie już słońca wracaliśmy wszyscy piechotą; a ja, idąc przez *Via del Orso*, wbiegłem na chwilę do domu, żeby wziąć płaszcze dla siebie i dla Adama. Aż tu mi gospodyni, z jakąś dziwną miną, podaje kartkę—na którą ledwo spójrzałem, przeszło mię jak sztyletem. Na oddartym świstku papieru napisano było tylko ołówkiem: „Źle ze mną, mój Edwardzie! przyjdź zaraz jeżeli możesz.” Pismo tak było zmienione, że ledwo rękę Parczewskiego poznałem; służąca zaś, co tę kartkę przyniosła, powiedziała naszej gospodyni, że ten pan, co ją przysłał, umiera. W pięć minut byliśmy już przy nim. W progu spotkaliśmy się z xiędzem, który na własne wezwanie chorego, wypowiedał go już był przed przyjściem naszym i ŚŚ. Sakramentami opatrzył. Powiedział nam, że nie ma nadziei. O piątój po południu, bez żadnej widocznej przyczyny, prócz chyba, że wprzód nieco pakował swój tłóмок do drogi, krew nagle rzuciła mu się ustami, a doktor Pasqualini powiada, że mu znać pękło w piersiach jakieś krwiste

naczynie, i że krew płuca zalewa. Leżał blady jak ściana, chustkę trzymając na ustach. Skoro nas ujrzał wchodzących, poruszył zlekka głową i rękę ku nam wyciągnął. Doktor zabronił mu słowa przemówić; ale samo jego spójrzenie było wymowniejsze niż słowa. Śmierć zda się zajrzała mi w duszę—i wszyscy byliśmy jak rażeni piorunem, który z pogodnego nieba uderzył. Po takim dniu, taki wieczór! Adolf, ja i Niegolewski zostaliśmy na noc przy chorym. Adama wyprawiliśmy gwałtem. Garczyński poszedł za mnie nocować z nim razem. Zluzowali nas dziś rano o szóstej; a teraz my z Adolfem przyszliśmy tutaj prześpać się z godzinkę. Bo i Adolf biędny tak słaby, że choć sam zapomina o sobie, mnie, patrząc na niego, strach bierze. Ach! strach o wszystkich, co żyją i których się kocha! Ledwo widzę co piszę; ale chciałem napisać koniecznie.

Dnia 1 maja—wieczorem.

Skończył już swoje cierpienia. Skonał dzisiaj o pierwszój w nocy. Cały dzień wczoraj przebyliśmy przy nim. Dnia tego nie zapomnę nigdy. Pierwszy był taki w życiu mojem; Boże daj, żeby i ostatni! Od rana, w skutek lekarstwa, krwotok ustał, ale pozostało duszenie i brak oddechu. Mógł przecież i chciał mówić, chociaż mu wzbranieli. Ale powiedział: „Pozwólcie! mnie już nic nie zaszkodzi; a toż moje ostatnie słowa!“—Nie mówił wszakże ciągle, ale znać było, że myśl pracowała, i rezultat jój chciał wypowiedzieć. Najzupełniejszą bowiem przytomność do

ostatniej chwili zachował. Dyktował mi co miałem napisać do matki, odsyłając jej, za pośrednictwem ambasady, pozostałe rzeczy, książki i rękopisma. Lzy nieraz przytém przerwały mu mowę. A była to jedyna chwila rozrzewnienia. Obraz boleści matki był widać najboleśniejszym dla niego. O sobie mówił poważnie i spokojnie. „Zal mi umierać, wymając; ale się nie boję. Ten sam Bóg jest tam, co i tutaj. Jak mię prowadził tutaj, ufam że i tam będzie. Bez woli Jego, wiem, że się nic nie dzieje, a miłosierdzie Jego bez granic.“—Po razy kilka powracał do tego, że najbardziej sobie wyrzuca, iż więcej myślał o sławie u świata, niż o udoskonaleniu i zbawieniu duszy. „A teraz widzę jasno jak na dłoni, rzekł, że to jest

jedyny prawdziwy cel naszego życia, a wszystko reszta *vanitas vanitatum*.“—Nie tań! wszakże, że i w tej nawet chwili smutno mu jest pomyśleć: „ze śladu nawet po nim nie zostanie.“—„Ale Bóg widział—dodał z uczuciem — że chciałem, wedle sił moich, służyć szczerze Jemu i ojczyźnie. Bóg nie dopuścił — wola Jego święta! Wy przynajmniej zmówcie za mnie pacierz po polsku!“—I w słowach tych czuć było jakby odcień goryczy. Gdy zaś nas płaczących obaczył, wyciągnął ku nam rękę, i bardzo uroczystym, poważnym tonem rzekł: „Nie płaczcie! Życie dla mnie nie było rozkoszą. Proście tylko, żebym już prędkiej skończył te męczarnie. Prędkiej czy później, przyjdziecie tam wszyscy.“—To były ostatnie słowa, które do wszystkich w ogólności przemówił. Ale przedtém rozmawiał po kolei z każdym, i dziękował za dowody przy-



jaźni. Mówiąc ze mną, przypomniał swój sen o Ludwiku, i zacytował epigraf z Dziadów: „Są rzeczy na ziemi i na Niebie, o których ani śniło się naszym filozofom.“—W ogólności we wszystkiém, co w tym dniu powiedział, było tyle uczucia, prawdy, namaszczenia, że daj Boże tylko pamiętać i umieć z tego korzystać, żeby zasłużyć na takie skonanie!—Skonał tak lekko, że aniśmy spostrzegli. Pożegnawszy się niejako z nami, zamknął oczy i odwrócił się jakby chciał zasnąć. Nie spał jednak, i z ruchu ust widać było, że musiał modlić się w myśli. Kapłan, który go spowiadał, odwiedził go zrana i powrócił raz jeszcze wieczorem. Z nim ostatnim rozmawiał może jaki kwadrans po cichu; poczem tak się uspokoił, iż pewni będąc że zasnął, odeszliśmy wszyscy od łóżka i siedzieli koło stolika, zbliżając się wtedy tylko gdy się poruszył lub jęknął, dla podania mu lekarstwa albo napoju. Stan taki trwał cały wieczór. Duszenie i brak oddechu przychodziły paroxyzmami, ale bólów przytém nie było. Dopiero około północy paroxyzm był dłuższy i cięższy, ale się znów uspokoił. Nakoniec około pierwszej, słyszemy jakby długie, głębokie westchnienie. Przybiegamy—już go nie było.—Pomódlcież się i wy za niego po polsku! Bo nie jest to tylko strata dla przyjaciół, ale istotna dla kraju i dla literatury naszej.

Dnia 3 maja, godz. 2 po południu.

Powracam wprost z pogrzebu, a tak mi jakoś smutno, ciężko, okropnie, że sam sobie wytłómaczyć tego

nie umiem. Nie jest to bowiem prosty żal czy smutek; ale jakby grobowy kamień jakiś spadł na mnie i tłoczy mię swoim ciężarem. Lubiłem go jużciż szczerze i serdecznie; ale jak wielu innych. Nie był on przecież dla mnie żadną taką podporą w życiu, bez którejbym obejść się nie mógł. Śmierci tak spokojnej, tak pięknej, tak pełnej wiary i nadziei, zazdrościłoby raczej, niż płakać. Wszystko to mówię sam sobie, i czułem nawet w pierwszych chwilach wrażenia. Potem zajęcia się około pogrzebu i spełnienia ostatniej woli zmarłego, trzymały mię w ciągłym roztargnieniu, tak, że czasu na smutek nie było. Wczoraj dopiero, gdy go już złożono do trumny, ja zostawszy sam jeden w pokoju, przykląknęłam przy niej żeby zmówić pacierz, i wpatrując się w tę twarz tak pełną łagodności i pokoju, i prawie uśmiechniętą, doznałem owszem najprzód jakby jakiegoś duchownej pociechy, i z tém uczuciem powstając, pocałowałem go w czoło. W téj chwili dziwna zmiana zrobiła się we mnie. Chłód tego czoła przeszył mię na wskrós jak zimnym żelazem, a wszystkie zda się uczucia i myśli zwarzyły się jak kwiaty od mrozu. Rzekłbym, że powiew śmierci powionął na duszę i życie jednym razem zakrzepło. Stan ten osobliwszy trwa dotąd, i rady z nim dać sobie nie mogę. Ufam przecież, że to tak długo nie będzie. Ale w téj chwili wybaczyć, że ci o tém piszę; bo mówić żywym głosem wstydzę się i nie śmiem nikomu, a może lżej mi będzie, gdy powiem. Od chwili nawet tego pocałunku, nie śmiem pocałować Adama, ani nikogo z tych, których kocham; i choć byłem dziś



rano w kościele, i w obec katafalku sam jakby wija-tyk przyjąłem, boję się jakoś, żeby tego poczucia śmierci, które wyraźnie tchnie we mnie, w kogo drugiego nie przelać. Gdyby był umarł w ciągu swojej choroby — byłem na to przygotowany, i wrażenie zapewne nie byłoby takie. Ale tak niespodziewanie, tak nagle! i to w dniu tak wesołym, tak miłym! i to jakby na zakończenie pobytu w Rzymie, który był dla mnie najważniejszą może epoką w życiu pod względem odmian wewnętrznych! Nie jestże to znak jaki, przepowiednia, symbol, że i samo to życie przed końcem będzie musiało przez coś podobnego przechodzić? Wiem ja i mówię sam sobie, że to jest głupstwo, fantazyja, marzenie, i że najlepiej przyszłość Panu Bogu zostawić. Ale cóżem ja winien, że mi to gwałtem ciśnie się do głowy? A ty przecież nie weźmiesz mi za złe, że dzieląc zawsze z tobą tyle miłych wrażeń, tą razą i smutne dzielam. Obecni mają dosyć na swoim, abym im jeszcze moje urojenia narzucał. Adam zwłaszcza tak jest smutny i przywalony, że samby raczej potrzebował pociechy, której ja mu, niestety, udzielić nie mogę. Państwo Ankwiczowie wyjeżdżają jutro rano, a wyjechaliby już onegdaj, gdyby nie ta śmierć Parczewskiego i chęć oddania mu ostatniej posługi. Wczoraj o piątej po południu przenieśliśmy go z jego mieszkania do polskiego kościółka Ś-go Stanisława (*ai Polacchi*), który dla tego nazywa się polskim, że go kardynał Hozyusz umyślnie dla pielgrzymów polskich, wraz z należącym doń *hospitium*, fundował.

łek ten zostaje tu dzisiaj pod rozporządzeniem ambasady, i xiążę Gagaryn tak był dobry, że pozwolił na złożenie w nim w sklepie zwłok Parczewskiego, jako kapłana. Prócz kilkunastu xięży z parafii, w której mieszkał, i kilku nieznanomych kapników, z twarzą zakrytą kapturem, my tylko sami Polacy postępowaliśmy za trumną, którą niesli słudzy kościelni. Mnie ciągle stała w myśli ostatnia nasza przechadzka i rozmowa przy kolumnie Cestysza o smutnym losie umierających na cudzej ziemi. Dzisiaj, po odśpiewaniu exekwii i po mszy, którą celebrował sędziwy x. Brzozowski, spuszczone go w oczach naszych do grobu przed wielkim ołtarzem, gdzie się już wiele trumien polskich znajduje. **Złożyliśmy się wszyscy na marmurową tablicę, której napis ułożyć ma Adam. Oby mu była lżejszą, niż mnie moje obecne wrażenie!**

Dnia 5 maja.

. Zdziwisz się może — i słusznie — gdy ci powiem, że wrażenie to, o którym tylko co tu wyżej czytałeś, zmieniło się we mnie równie prawie nagle, jak przyszło; i to wcale nie w skutek własnej woli czy siły rozumu, który się próżno chciał z niego otrząsnąć; ale też, wierz mi, że nie w skutek samej tylko wrażliwej lekkomyślności, o którąbyś mię może posądził. Ja sam, wyznaję ci szczerze, uważam jedno i drugie za opatrzone dla mnie zrządzenie, które mię najprzód poskromiło w bujaniu, a potem samo z upadku podniosło. — Śmierć i pogrzeb przyjaciela, ani też rozstanie się z przyjaciółmi, jakimi byli dla nas państwo Ankwi-



czowie, nie są już, Bogu dzięki, tém ostatniém wrażeniem, które wynieść lękałem się z Rzymu, jako symbol proroczy na przyszłość. Wrażeniem tém w téj chwili jest posłuchanie u Ojca Świętego, i prawdziwie ojcowskie jego błogosławieństwo. Przyszło mi ono równie niespodzianie jak smutek, i ożywiło, jak tamten odrętwił. Posłuchaj, jak się rzecz miała.

Państwo Ankwiczowie wyjechali wczoraj rano, jak mieli. Strzelecki z młodym xięciem Czartoryskim udali się razem z nimi w tęż drogę. Siedmiu nas, w dwóch powozach, przeprowadzało ich za miasto. Na *Ponte Mole* wysiedliśmy wszyscy, mając się tam ostatecznie pożegnać. Adam jeden jechał z damami. Ale tu pani Ankwiczowa zrobiła projekt, aby przeprowadzić ich jeszcze dalej, do pierwszego popasu w Storta. Adam wzbraniał się, ale tylko dla tego, że chciał koniecznie wyjechać także nazajutrz, a już ciż trzeba było przygotować się do podróży. Ja więc czując, że mu to zrobi przyjemność, wziąłem te wszystkie przygotowania na siebie, i wyprawivszy go dalej z damami, wraz z Garczyńskim i Gajewskim, sam z Adolfem, Stattlerem i Niegolewskim, powróciłem do miasta. Było to z mojej strony—nie chwaląc się—poświęcenie, na które w inném usposobieniu wewnętrzném, kto wie nawet czybym się był zdobył, albo czyby mi ono przyszło było na myśl. I trzebaż, że temu to właśnie winien jestem to jedyne może w téj chwili, a przynajmniej najskuteczniejsze lekarstwo, t. j. nowe żywe wrażenie, które mię z poprzedniego złego uleczyło. I to jest właśnie, co ja nazywam pro-

widencyonalnością w życiu; czego już wiele razy sam na sobie doznałem, a może i każdy doznają. Przenieś to od szczegółu do ogółu, od atomu do ogromu, a dojdiesz aż do Opatrzności dziejowej.

Odwiózłszy Niegolewskiego do domu, wstąpiłem do pani Węsierskiej, ciotki jego, aby się z nią przed wyjazdem pożegnać. Aż tu widzę jakiś ruch niezwykajny. Przygotowują suknie, zawijają papiloty Vincusi, widocznie wybierają się dokądś. Monsignor Brutti oznajmił przed godziną, że Ojciec Święty dzisiaj o południu będzie w pałacu Kwirynalskim, gdzie na prośbę księżny Stolnikowej Czartoryskiej, ma dawać posłuchanie prywatne jój samój i wnukom jój, księztwu Sanguszkom, i że on, (Monsignor Brutti), korzystając z okoliczności, wyjednał téż podobne dla pani Węsierskiej z familią, które ma być zaraz po piérwszém. Pani Węsierska tak była dobra, że mię do grona familii przyjęła. Skoczyłem więc co prędzėj do domu, żeby się przebrać stosownie, i o kwadrans na piérwszą byliśmy już w anti-kamerze przed miejscem posłuchania, gdzie na nas czekał uczynny nasz *cicerone*, umierając, jak się wyraził, ze strachu, ażebyśmy się nie spóznili. Jakoż nie upłynęło może minut dziesięć, gdy księstwo Sanguszkowie wyszli ze swą babką, i na nas kolej wejścia przypadła. Oboje oni byli do łez poruszeni doznaną uprzejmością i dobrocią przyjęcia. Ale choć o tém ciągle i od wszystkich słyszałem, nigdybym nie mógł nawet wyobrazić, nie widząc, ażeby ta uprzejmość i dobroć mogły dochodzić do takiego stopnia, w jakim je Pius VIII posiada.



W prostym proboszczu, a nie to w Papieżu, jeszczeby mogły uchodzić za typ chrześcijańskiej pokory. Wierzej mi, że nie przesadzam, i słuchaj!

W środku obszernej sali, która jest zarazem kaplicą, przy stoliku pod jedną z kolumn, Ojciec Święty siedział na krześle wysokim, z poręczami, w kształcie tronu, jak go zwykle malują, karmazynowym axamitem powleczone. Sam był ubrany biało, w sukni krojem zakonnym, przepasaną pasem tegoż koloru. Na głowie miał purpurową *kalotkę*, a na nogach, opartych na miękkim podnóżku, téjże barwy axamitne trzewiki, bogato złotem haftowane, z krzyżem wyszytym i relikwiami za szkłem w pośrodku, któreśmy najprzód, podług zwyczajnego obrządku, jako katolicy, przyklękłszy ucałowali. Ale trzebaż było widzieć ten uśmiech niewymownej słodyczy, ten wyraźnie jakby ambarass, który się na poważnej i łagodnej twarzy starca malował, kiedy przy dopełnieniu téj ceremonii, każdego z nas z kolei oburącz z ziemi podnosił, i ścisnąc po ojcowsku za rękę, pierścień na swojej do pocałowania podawał. „*Bien obligé, Madame la Princesse! bien obligé, Monsieur!*” przemawiał przytém do każdego z kolei. Biedna pani Węsierska nie wiedziała co począć z tym swoim xiążęcym tytułem: czy go przyjąć, czy protestować? gdyż widocznie staruszek nawykł był do niego podczas audyencji poprzedniej, i używał go pewno nie myśląc, w pośpiechu uprzedzającej grzeczności. Ale nie sposób było sprostować omyłki, gdyż wnet obracając się ku niej i ku wszystkim, zaczął się ekuzować i przepraszać, że nie

łem jak mogłem, ale z niekłamaném uczuciem, a on wzięwszy dłoń moję między obie swoje i gładząc ją, po kilkakroć powtórzył: „*Bravo, bravo, giovine! mi fa molto piacere!*”—To wyrażenie *bravo* musi być jego przysłowiem, bo go prawie co chwila mówiąc do każdego używał, i zaraz obok przytém jakieś miłe słówko powiedział. To też byliśmy wszyscy poruszeni głęboko; a jednak była chwila, żeśmy omal nie parsknęli od śmiechu. Przepraszam za tę dygressyę, ale muszę opowiedzieć: dla czego? Pisałem ci kiedyś o Jaźwińskim, że swoją chronologiczną tabelkę tak zda się narysował sobie na języku, że o niczém inném nie mówi. Otóż stojąc w antykamerze, zapytywaliśmy się żartem z Felisem i Albinem Węsierskim, czy też Jaźwiński i do Ojca Św. będzie mówił o swojej tabelce? Rzecz tak się być zdawała niepodobną do prawdy, że samo to przypuszczenie pobudziło nas tylko do śmiechu. No, a więc wystaw sobie co się z nami działo, gdy Jaźwiński, odpowiedziawszy na pierwsze zapytanie Papieża, sam w ślad zatém odezwał się do niego, bardzo dobrą i płynną włoszczyzną, zapytując nawzajem, czy Jego Świętobliwość otrzymał, i co sądzi o mnemoniczno-chronologicznej tabelce, którą miał zaszczyt Mu przesłać? Papież zmieszał się niemniej jak my wszyscy—ale tylko z innego powodu. Zamiast bowiem obrazy, którejsmy się bali, zaczął owszem bardzo pokornie usprawiedliwiać się i przepraszać, że nic o tém nie wie. „Musieli to zatrzymać w mojej kancelaryi. Oni tak często robią ze mną;”—dodał obracając się ku nam wszystkim, jak gdyby się chciał

na to wskazać przed nami. Jazwiński już zaczynał wykład zwrócić swojej i wynalazku, kiedy na szczęście Papiet przerwał mu zapewnieniem, że się o dar ten już u kancelaryi swojej upomniał, i dziękując mu za pamięć o sobie. Następnie zwracając się ku wszystkim oświadczył, że jest rad bardzo z widzenia dziś tyle Polaków (czemu *Signori Polacki*). Zrozumieliśmy, że to jest znak pogodynia. Przyklekliśmy więc znowu, a pan Wymierski, w imieniu wszystkich, poprosiła o błogosławieństwo. Ojciec św. wznosił ręce, i odprawował wpał głębie kroczą modlitewkę łacińską, zaczął nas wymawiając poważnie i uroczyście: że błogosławi nas samych, i rodziny nasze, i tych wszystkich, których my sami w tej chwili Miłosierdziu Bożkiemu polecamy. Dla jednej tylko Wincusi była formułka i apostrofa osobna, żeby ją Bóg szczęśliwie na chwałę swoją, a na pociechę matki i rodziny hodował. Chcieliśmy ucałować znowu nogę, ale nam nie dopuścił, i tylko pierścien na rękę w kolej do pocałowania znowu podał. Głęboko zaś już odchodzili, wsparł się oburącz o poręcz krzesła, a nie mogąc się podnieść, odezwał się prawie błagalnie: „*Scusate, Signori, scusate! Sono povero vecchio; i piedi tutti infiat!*”¹⁾ i wskazując na nogi dodał po francuzku: „*J'ai la goutte, Messieurs. J'ai la goutte.*” — Odchodziliśmy, a raczej cofaliśmy się, twarzą obróceniu ku niemu, jak każe przyjęty obyczaj, i gdyśmy już do-

¹⁾ „Darujcie, panowie, darujcie! Jestem biedny staruszek: nogi całkiem pobrzękłe!”

chodzili do drzwi, skinął ku nam ręką od ust, i odezwał się raz jeszcze: „*Adieu, Messieurs! Adieu, Madame!*“

Wyszedłem jak odrodzony; i chociaż zaraz na progu Parczewski wrócił mi na myśl, wrażenie było już inne. Zamiast żalu i apatyi poprzedniej, przyszła mi raptem ochota oddać hołd jego pamięci, rzucić kwiat na świeżą mogiłę, to jest, mówiąc po prostu, napisać wiersz na śmierć jego. I ta myśl tak mną ośwładła, że nim doszedłem do domu, pierwsza część była prawie ułożona *in brutto*, a gdy Adam wrócił ze Storty, druga już była gotowa na *netto*. Przepiszę ci je tu obie, bo na trzecią, jak mi się zdaje, czasu już przed wyjazdem nie będzie. Zresztą ma być w niej tylko wierny obraz chwili ostatniej, (bo teraz prawda w obrazach i myślach jest dla mnie kardynalnem prawem w poezyi), a to właśnie masz już w tym liście.

Adam wrócił tak słodki i miękki, że choć go przyłożył do rany. Ani zmarszczył się nawet, że nic przygotowanego do podróży nie zastał. Audyencyi u Papieża zazdrości, a wiersze, które mu przeczytałem, pochwalił. O zmroku już dopiero obiadowaliśmy *à Lepre*, a potem z Niegolewskim, Adolfem, Garczyńskim i Gajewskim, przepędziliśmy cały wieczór w Kolosseum, aby mu się po raz ostatni przy świetle księżycy przypatrzeć.—Gdyby nie audyencya u Ojca Św., to kto wie, czy i ta przechadzka w Kolosseum nie sprawiłaby na mnie tego samego ożywczego skutku. Adam go też zda się doświadczył. Wyszedł weselszy, niż przyszedł. Romę pożegnaliśmy na Forum. Za

powrótem do Rzymu, do północyśmy jeszcze przesiedzieli w cukierni.—Teraz idę najmować konie, bo już rzeczy upakowane. A oto masz wiersz:

Na śmierć X. Stanisława Parczewskiego.

I.

Dawno to było, o! mój przyjacielu!
Gdym twój rówieśnik w młodości i zdrowiu,
Gdym twój towarzysz przechadzek bez celu,
Gdy ten sam jeszcze xiętyc był na nowiu,
Błądziłem z tobą nad Tybru brzegami?—
Noc była jasna, cicha i wesoła,
Niebo, jak zajrzeć, błyszczało gwiazdami,
Prócz kroków naszych—milczenie dokoła.

Pełni tajemnej, uroczej radości,
Przy Cestusza staliśmy kolumnie.
Wspomnienia kraju i wspólnej przeszłości
Do ust i myśli cisnęły się tłumnie.
Wtenczas ty, pomnę, patrząc na mogiły,
Wkrąg przed oczyma leżące naszemi,
Które w swém łonie na wieki pokryły
Pielgrzymów obcój, oddalonyj ziemi: ¹⁾
„O! biedni oni!—rzekłeś—każdy pewnie,
„Jak my, do kraju tęsknił lub się śpieszył;
„Každy miał kogoś, co go kochał rzewnie,
„Nadzieją jego powrotu się cieszył!—
„Ciężko musiało być im przed skonaniam,
„Bez pożegnania, bez błogosławieństwa;
„Nikt słodkiem słowem, nikt czułem star aniem
„Nie ulżył bólów, nie pokrzepił męztwa;

¹⁾ Cmentarz Angielski.

„Nikt nie wyleje łzy nad ich mogiłą.
„My obcy tylko—nie po nich się smucim.
„Kto wie, co komu Niebo przeznaczyło:
„Litwa daleko—kto zgadnie, czy wrócim?—
„Śnił mi się wczoraj przyjaciel umarły,
„Wiódł mię za sobą do ciemnego gmachu:
„Widziałem matkę, we łzach i przestachu,
„Chciała mię wstrzymać—wtém się drzwi zawarły.“ —

Śmiejąc się; pomnę, jam twój sen tłómaczył,
Bo ach! czyż mogłem przewidzieć w tę chwilę,
By ten sam jeszcze xiężyc mnie obaczył,
Mnie—klęczącego na twojej mogile?

II.

Boże! któż celów woli Twój dociecze,
Kto pojmie drogi Twego przeznaczenia:
Gdy wielkie, piękne zamiary człowiecze,
Gdy geniuszu wyższego natchnienia,
Jak kwiaty wyższych światów, na tym świecie
Tak często w płóнным opadają kwiecie?

Ach! jam znał tajnie duszy jego!—cała
Była miłością Boga, kraju, cnoty!
Jam widział cele, do których myśl śmiała
Swe nieugięte kierowała loty.
Jam wiedział skarby jego wyobraźni,
I nauk, pracą zebranych wytrwałą.
Niestety! czemuż głos tylko przyjaźni
Ma być ich całą rękojmią i chwałą?

Kilka lat jeszcze—a jużby twe chęci,
Stawszy się czynem, służyły ojczyźnie;
Kilka lat jeszcze—a ziomków pamięci
Imieby twoje zostało w spuściznie!—

U stóp ołtarzy stałeś już gotowy,
W albie Pokory, w stole Poświęcenia,
By śladem Skargi, mówca słoto-słowy,
Lud swój z miłością wołać do zbawienia.

I wyobraźni pochodnię iskrzystą
Wstrząśniesz nad dziejów przeszłością ojczystą,
Już był poczuł ową ducha dzielność,
Co przeszłość słowem wskrzesza w nieśmiertelność.

O! wiele wróżył krajowi i sobie!
Ale inaczej rozrządziły Nieba.—
I cóż nam dzisiaj zostało po tobie?
Ach! przykład chyba jak umierać trzeba.

(*Caelera desunt*).

Dnia 6 maja, o południu.

Za godzin parę wyjeżdżamy z Rzymu, ale nie wprost jeszcze do Neapolu. Weturyna dostać nie mogłem. Zapisałem się więc na dylizans, nie publiczny, bo go tu nie ma, ale utrzymywany prywatnie przez niejakiego *Angresani*, który ze jutro ztąd dopiero wychodzi, a nam już nieznośnie jest tutaj, więc o godzinie trzeciej jedziemy weturynem na noc do Albano, z Adolfem i Stefanem, którzy nas tam przeprowadzają, i czekać będziemy na dylizans, którym jutro przyjedzie Feliś, mający razem z nami jechać do Neapolu. Prosił nas o to, a że go oba lubimy, więc owszem radzi z tego jesteśmy. Ostatnim aktem moim w Rzymie będzie oddanie tego listu na pocztę; przedostatnim zaś jest składanie i wkładanie do koperty w tej chwili przepisanej już oddawna wiersza na „Odjazd z Rzy-

mu.“ Ja zaś sam w tym ostatnim liście z Rzymu, błogostawię cię i żegnam po łacinie: *Deus te benedicat!*
Vale, et me ama!

ODJAZD Z RZYMU,

wiersz poświęcony

Henryecie-Ewie Ankwiżównie i Marcellinie Lempickiej.

Jedźmy! cóż nada rozstaniu przewłóczyć?
Jedźmy! pierś w Rzymską, uzbroiwszy stałość.
Gdzież, gdy nie w Rzymie, potrzeba się uczyć
Jak zrzec się szczęścia, i pokonać żalność?

Jedźmy! lecz jeszcze zwróćmy raz oczyma!
Widzę cię, Rzymie, i żegnam na wieki!
Żegnam ostatnią modlitwą pielgrzyma,
Gdy z twoich świątyń wraca w kraj daleki.

Żegnam ostatniem spójrzeniem malarza,
Gdy płonąć żądzą twoich mistrzów chwały,
Po raz ostatni w pamięć duszy wraża
Wcielone w płótno i w głaz ideały.

Żegnam ostatniem wieszczą zadumaniem,
Kiedy ku przyszłej pieśni swych ozdobie,
Troskliwą myślą zbiera przed rozstaniem
Wszystko co widział, czuł, i myślał w tobie!

Miało! dość wspomnieć twoje święte imię,
Czyjeż wnet serce żywiej nie uderzy?
Jako świat niegdyś do ciebie, o! Rzymie!
Chwała twych wspomnień do świata należy.

Z nią najprzód serce zaręcza młodzieniec,
Kraj i swobodę gdy kochać zaczyna;
Tu myśl poety ulata po wieniec,
Po palmę Niebios duch Chrześcijanina.

Któż nie zapragnął, dawnych świadom czynów,
Nad twoją o nich podumać ruiną?
Lub cię z nadludzkich cnót i dzieł twych synów
Nadziemską jakąś nie mniemał krainą?

Nie inny urok na współczesnych ludzi
Wieszcz lub bohater zwykł rzucać adaleka.
W kimże szlachetnej zawiści nie wzbudzi,
Kto zbliżka poznał wielkiego człowieka?

I o natrętniej zapomniawszy chwale,
Przyjazne serce ku niemu ośmielił,
Na łonie jego myślał poufale,
Czuł jego czuciem, i swoje z nim dzielił?

Szczęśny! kto błądząc po twych, Rzymie, szczytkach,
Z grobu olbrzyma dawny wzrost ocenia,
I po twych polach, i po twych pamiątkach,
Jak bluszczy, swe skromne rozciągnął wspomnienia!

Ileż miejsc, których świat imiona święci
W poważnej chwale czynów uroczystych,
Na wieki w sercu mojem i pamięci
Podzielać będzie urok pól ojczystych?

Tu syn Północy, z dziecka zachwyceniem,
Nowej natury obaczyłem dzieła;
Tu, upojona innych niebios tchnieniem,
Nowy świat uczuć moja pierś objęła.

Śród nowych wspomnień, śród obrazów nowych,
Nowością wrażeń dusza odmłodziła,
Jak gdyby w wieniec kwiatów południowych,
W nowe się myśli z uśmiechem ubrała!...

Wspomnienia! po cóż stawacie przedemną?
Wdzięk wasz smutkowi rozstania urąga.—
Żegnam cię, Rzymie!—Już zasłoną ciemną
Mgła błękitnawa twój obraz zaciąga.



Nic już w niéj oko rozeznac nie zdoła.
Krzyż Watykański lśni tylko na niebie,
Jak przeżegnanie ostatnie Kościoła,
Dla tych, co z zalem patrzą po za siebie.

Znikłeś!—a przestrzeń, co chwila rosnąca,
Że dzieli wiecznie—wiém ja to, i czuję.
Lecz nieraz jeszcze, nieraz myśl tęskniąca
Ojczyste tobą pola zabudujel...

Wy! co mię wiodąc po Rzymu ruinach,
Ziomki urocze, jak kraju wspomnienia!
O Rzymskiej chwale, i o Rzymskich czynach,
Jak z xiąg Sybilli, uczyły z kamienia!

Znacie te róże rozwiste wieńcami,
Po Cezarskiego niegdyś gmachu szczątkach?
Jako te róże, chwile, com żył z wami,
Kwitnąć mi będą na Rzymu pamiątkach.

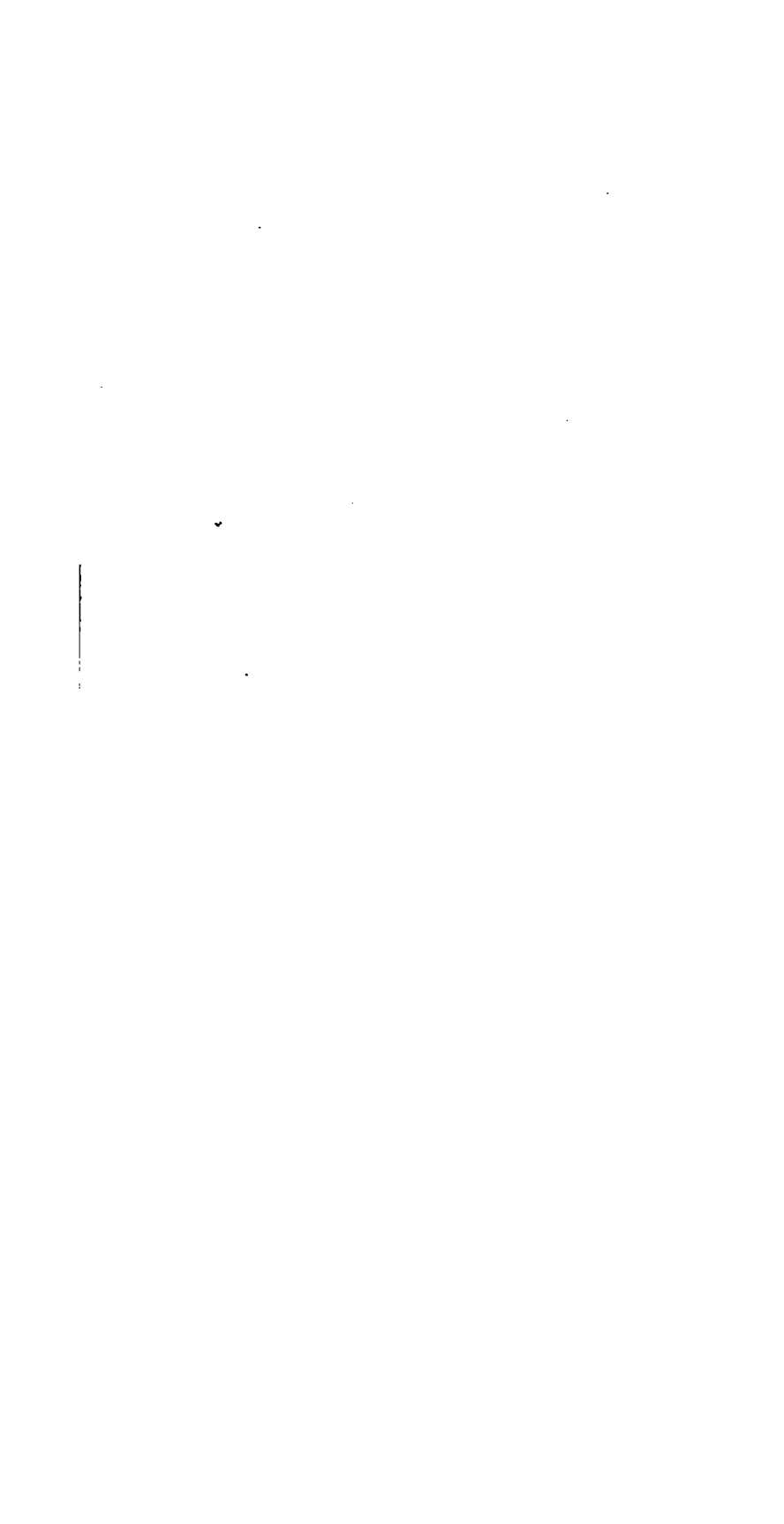
KONIEC.

11

SPIS RZECZY

w tomie trzecim zawartyoh.

	<i>Strona</i>
Listy z podróży:	
I. Do Juliana Korsaka, z Rzymu	1
II. " " " " "	24
III. " Ignacego Chodźki "	44
IV. " Juliana Korsaka "	66
V. " " " " "	90
VI. " Ignacego Chodźki "	113
VII. " Juliana Korsaka "	125
VIII. " " " " "	136
IX. " " " " "	166
X. " " " " "	190
XI. " " " " "	216
KARNAWAŁ RZYMSKI.	217
XII. " Ignacego Chodźki "	243
XIII. " Juliana Korsaka "	266
XIV. " " " " "	287
XV. " " " " "	304
XVI. " Ignacego Chodźki "	325
WIELKI TYDZIEŃ W RZYMIĘ.	330
XVII. " Juliana Korsaka "	346
XVIII. " " " " "	372
XIX. " " " " "	395





ERRATA.

W tomie pierwszym na str. 160, wiersze 15 i 16,
przełożone są niewłaściwie: *szesnasty* należy czytać *przed*
piętnastym.



1911

1912

1913

1914

1915

1916

1917

1918

1919

1920

1921

1922

1923

1924

1925

1926

1927

1928

1929

1930

1931

1932

1933

1934

1935

1936

1937

1938

1939

1940

1941

1942

1943

1944

1945

1946

1947

1948

1949

1950

1951

1952

1953

1954

1955

1956

1957

1958

1959

1960

1961

1962

1963

1964

1965

1966

1967

1968

1969

1970

1971

1972

1973

1974

1975

1976

1977

1978

1979

1980

1981

1982

1983

1984

1985

1986

1987

1988

1989

1990

1991

1992

1993

1994

1995

1996

1997

1998

1999

2000

2001

2002

2003

2004

2005

2006

2007

2008

2009

2010

2011

2012

2013

2014

2015

2016

2017

2018

2019

2020

2021

2022

2023

2024

2025

2026

2027

2028

2029

2030

2031

2032

2033

2034

2035

2036

2037

2038

2039

2040

2041

2042

2043

2044

2045

2046

2047

2048

2049

2050

2051

2052

2053

2054

2055

2056

2057

2058

2059

2060

2061

2062

2063

2064

2065

2066

2067

2068

2069

2070

2071

2072

2073

2074

2075

2076

2077

2078

2079

2080

2081

2082

2083

2084

2085

2086

2087

2088

2089

2090

2091

2092

2093

2094

2095

2096

2097

2098

2099

2100







3 610 306 306 306 306

STANFORD UNIVER
CECIL H. GREI
STANFORD, CALIFOR
(415) 723

All books may be rec

DATE [

STANFORD UNIVER CECIL H. GREI STANFORD, CALIFOR (415) 723
All books may be rec
DATE [

